

**JUDE DEVERAUX**  
**DRZEWO MORWY**

# 1

## *Byłam mu potrzebna.*

Gdy ktoś - zwykle dziennikarze - po raz n-ty zadawał mi pytanie, jak mogę wytrzymać z mężczyzną pokroju Jimmiego, zazwyczaj uśmiechałam się tylko i zbywałam pytanie milczeniem. Zdażyłam się już przyzwyczaić do zniekształcania moich wypowiedzi i wolałam trzymać język za zębami. Tylko raz popełniłam błąd, mówiąc prawdę młodej reporterce, ale wyglądała na osobę wielce sympatyczną i tak spragnioną wiedzy, że przez chwilę przestałam się pilnować. Wystarczająco długo, aby wymknęły mi się trzy słowa: „Jestem mu potrzebna”. O te trzy słowa za dużo!

Kto mógł przewidzieć, że chwilka niekontrolowanej szczerości narobi mi tyle kłopotów? Dziewczyna ta - trudno by ją wtedy nazwać dojrzałą kobietą - wykorzystwała moje niewinne zdanko do rozpętania skandalu o zasięgu międzynarodowym.

Rzeczywiście była spragniona - ale nie wiedzy, lecz sensacji. Potrzebowała pikantnej historyjki, więc ją sfabrykowała, choć nie miała ku temu żadnych podstaw.

Muszę przyznać, że potrafiła zbierać materiały. Przez te dwa tygodnie, które dzieliły wywiad ze mną od jego opublikowania, chyba w ogóle nie spała. Przeprowadziła niezliczone konsultacje z psychiatrami, guru od pracy nad sobą i duchownymi. Prosiła o rozmowę nie tylko wojujące feministki, ale każdą kobietę na świeczniku, która kiedykolwiek po-

zwoliła sobie na kilka krytycznych słów pod adresem mężczyzn. Oczywiście wszystkie te wypowiedzi zacytowała w swoim artykule.

Opisała tam Jimmiego i mnie jako przykład patologicznej rodziny, w której on przy ludziach zgrywał męskiego szowinistę i domowego tyrana, podczas gdy we własnych czterech ścianach jest naprawdę bezradny jak dziecko. Mnie natomiast sportretowała jako skrzyżowanie herod-baby i nadopiekuńczej mamuski.

Po ukazaniu się artykułu, który wzbudził ogólną sensację, wstydziłam się pokazać ludziom na oczy. Najchętniej skryłabym się w mysiej norze łub w którejś z najbardziej odizolowanych od świata spośród dwunastu rezydencji Jimmiego. Odmienne niż ja on nie bał się nikogo i niczego - pewnie dzięki temu tak się w życiu dorobił. Śmiało wystawiał się na najbardziej kłopotliwe pytania, otwarte kpiny czy nachalne rady pseudoterapeutów, których zdaniem powinniśmy żyć bardziej na widoku.

Jimmie zamiast odpowiedzi otaczał mnie ramieniem, rozbrajająco się przy tym uśmiechał do kamery, a niedyskretne pytania kwitował śmiechem bądź żartem.

- Czy to prawda, panie Manville, że w domu żona kręci panem, jak chce? - podpytywał dziennikarz, uśmiechając się głupawo. Jimmie był przecież atletycznie zbudowanym mężczyzną wzrostu 185 cm, a ja miałam wszystkiego metr pięćdziesiąt pięć, zaokrąglone kształty i nie wyglądałam na osobę zdolną do kręcenia kimkolwiek.

- Oczywiście. Ona o wszystkim decyduje, ja jestem tylko figurantem! - kpił w żywe oczy Jimmie, szczerząc od ucha do ucha garnitur imponujących zębów. Trzeba go było dobrze znać, aby dostrzec przy tym charakterystyczny chłód w jego spojrzeniu. Jimmie bowiem nie znosił krytyki swego postępowania i wprawdzie głośno deklarował: „Bez niej niczego bym nie zdziałał!”, mało kto potrafił się jednak domyślić, czy on żartuje, czy mówi serio.

Po jakichś trzech tygodniach spotkałam przypadkiem ka-

merzystę, który towarzyszył wtedy reporterowi przeprowadzającemu tamten wywiad. Zdażyłam go nawet polubić, bo nie przesyłał do swojej redakcji zdjęć ukazujących mój podwójny podbródek pod najbardziej niekorzystnym kątem.

- Co porabia ten pański kolega, który tak interesował się naszym małżeństwem? - zagadnęłam.

- Już u nas nie pracuje - odpowiedział fotografik, zakładając nowe baterie do aparatu.

- Słucham? - Nie od razu dotarł do mnie sens jego słów.

- Został zwolniony - powtórzył, nie patrząc mi w oczy. Kiedy w końcu podniósł wzrok znad aparatu - nie spojrzął na mnie, tylko na Jimmiego. Był na tyle rozsądny, żeby nie mówić już nic więcej, a i ja o nic więcej nie pytałam. Mieliśmy z Jimmiem niepisaną umowę, że mam się nie wtrącać do jego spraw.

- Zupełnie jakbyś była żoną bossa mafii - podsumowała mnie mniej więcej rok po naszym ślubie moja siostra.

- Jak to, przecież Jimmie nikogo nie morduje! - zaprotestowałam z oburzeniem. Jeszcze tego samego wieczoru powtórzyłam Jimmiemu swoją rozmowę z siostrą i w jego oczach dostrzegłam błysk, którego złowróźbnej wymowy wtenczas jeszcze nie znałam.

Ledwo minął miesiąc, a już mojemu szwagrowi zaproponowano podjęcie pracy na szczególnie korzystnych warunkach. Oprócz poborów - dwukrotnie wyższych od dotychczasowych - miało mu przysługiwać na koszt pracodawcy mieszkanie z samochodami dla wszystkich członków rodziny i służbą, w tym trzema pokojówkami i nianią do dziecka. Jasne, że nie mógł odmówić przyjęcia takiej posady. Tyle że łączyło się to z wyjazdem do Maroka!

Gdy Jimmie zginął w katastrofie lotniczej, a ja w wieku trzydziestu dwóch lat zostałam wdową, wszystkie media uporczywie wałkowały jeden temat - Jimmie zostawił mnie bez grosza przy duszy. Rzeczywiście, nie zapisał mi w testa-

mencie swoich ciężkich miliardów dolarów. Nie orientowałam się nawet, ile ich miał - równie dobrze mogło to być dwa, jak i dwadzieścia. W każdym razie nie powąchałam z nich ani złamanego centa.

- Czy dziś zbankrutowaliśmy, czy zgarnęliśmy gruby szmal? - pytałam nieraz, gdyż kursy jego akcji na giełdzie zmieniały się z dnia na dzień, w zależności od tego, czego Jimmie akurat próbował.

- Dziś leżymy na obydwu łopatkach - potrafił odpowiadać z takim samym śmiechem, z jakim obwieszczał przysporzenie kolejnych milionów do swojej fortuny. Nikt z otoczenia Jimmiego nie rozumiał, że pieniądze nic dla niego nie znaczą. Stanowiły najwyżej produkt uboczny gry na giełdzie.

- To coś takiego jak obierzyny z jabłek, z których akurat usmażyłaś dżem - tłumaczył mi. - Tyle że świat przykłada większą wagę do obierzyn aniżeli do dżemu.

- No, to biedny jest ten świat - podsumowałam, co Jimmie skwitował tubalnym śmiechem, po czym zaniósł mnie do sypialni, gdzie spędziliśmy upojne chwile.

Według mnie Jimmie musiał przewidywać, że nie dożyje późnej starości.

- Muszę zrobić jak najszybciej wszystko, co tylko mogę - mawiał nieraz. - I ty ze mną, Piegusku, prawda?

- Oczywiście. Zawsze będę z tobą - odpowiadałam całym poważnie. Okazało się jednak, że nie miałam szansy towarzyszyć mu aż po grób. Zostałam sama, co zresztą przewidział.

- Jużja o ciebie zadbam, Piegusku - powtarzał mi ciągle. Nazywał mnie tak, odkąd się poznaliśmy, ponieważ miałam piegi na nosie, a zwracał się do mnie tym czułym przydomkiem szczególnie wtedy, gdy rozmawialiśmy o poważnych sprawach.

Nie przykładam specjalnej wagi do tych słów, gdyż Jimmie dbał o mnie stale. Dawał mi wszystko, o czym zamarzyłam, nimjeszcze zdałam sobie sprawę, że o tym właśnie marzę. Zwykle mawiał przy tym, że zna mnie lepiej niżja sama.

Tak rzeczywiście było, ale gwoli sprawiedliwości muszę dodać, że nie dał mi zbyt wiele czasu, bym dobrze poznała samą siebie. Podróżując z Jimmiem po całym świecie, nie miałam kiedy zastanawiać się nad takimi problemami.

Natomiast Jimmie poznał mnie dobrze i na swój sposób o mnie zadbał. Nie zrobił jednak dla mnie tego, co uchodziło za słuszne w oczach świata, ale to, czego naprawdę potrzebowałam. Nie uczynił mnie bogatą wdową, a zarazem obiektem westchnień co drugiego kawalera na kuli ziemskiej. Wprost przeciwnie - zarówno pieniądze, jak też dwanaście swych luksusowych rezydencji zapisał dwóm osobom, których najbardziej na świecie nienawidził - swojej starszej siostrze i bratu.

Dla mnie natomiast przeznaczył zrujnowaną, zapuszczoną farmę gdzieś wśród lasów Wirginii. Nie miałam pojęcia, że w ogóle miał taki obiekt, toteż swoją darowiznę opatrzył takim oto komentarzem:

„Zrób to dla mnie, Piegusku, i dowiedz się, jak to było naprawdę. I gdziekolwiek będziesz, czymkolwiek się zajmiesz, pamiętaj, że zawsze Cię kochałem”.

Kiedy zobaczyłam później tę farmę, uderzyłam w płacz. Tym bowiem, co przez ostatnie sześć tygodni trzymało mnie przy życiu, było moje wyobrażenie o tym domu. Wymarzyłam sobie uroczą budowlę z bali, zwieńczoną kominem z kamienia polnego. Na werandzie miały stać ręcznie wyplatane, bujane fotele, a trawnik od frontu był upstrzony płatkami róż. Wokół miały się rozciągać żyzne ziemie, obficie owocujące sady i plantacje malin...

Na miejscu ujrzałam jednak paskudny klocek w stylu lat sześćdziesiątych, obłożony szalunkiem z rodzaju tych, którym nie dają rady mrozy, śniegi ani słońce. Elewacja ta przez wszystkie lata, odkąd ją położono, nie zmieniła jadowicie zielonkawego koloru.

Pojednej ścianie domu pięło się dzikie wino, ale nie z gatunku, który stwarzałyby przynajmniej pozory malowniczości i przytulności. Odwrotnie - te pnącza sprawiały wrażenie, iż

pragnęłyby pochłonać dom, pożreć go na surowo, a potem zwrócić tak samo jadownicie zielonkawą treść.

- To się da załatwić - odezwał się za mną ściszym głosem Philip, jakby czytał w moich myślach. „Piekło” byłoby stanowczo za delikatnym określeniem tego, *co* przeżywałam w ciągu ostatnich tygodni.

To właśnie Philip obudził mnie w środku nocy, by przekazać mi wiadomość, że rozbił się samolot, którym leciał Jimmie. Zaskoczyło mnie jego wtargnięcie do sypialni, gdyż jako żona Jimmiego byłam przez współpracowników męża traktowana jak święta krowa. Mężczyźni, których zatrudniał, nigdy nie zaryzykowałiby próby zbliżenia się do mnie - nie tylko w kontekście męsko-damskim. Żaden z jego zwolnionych pracowników nie prosił mnie, bym wstawiła się za nim u męża, gdyż wiedzieli, że w takim przypadku czekałoby ich coś znacznie gorszego aniżeli utrata pracy.

Toteż kiedy адвокат Jimmiego położył mi rękę na ramieniu i ponaglił, bym wstała - od razu wiedziałam, że musiało się wydarzyć coś strasznego. Któż w innej sytuacji odważyłby się wetknąć choćby nos do mojej sypialni i łudzić się, że dożyje ranka?

- Jak to się stało? - zapytałam od razu, próbując zachować pozory opanowania, choć cała w środku dygotałam. Wmawiałam sobie, że to nie może być prawda. Jimmie - taki duży, taki silny - nie mógł przecież... Nie dopuszczałam tego słowa do świadomości.

- Musisz się szybko ubrać - nalegał Philip. - Spróbujemy utrzymać to w tajemnicy najdłużej, jak tylko się da.

- Czy Jimmie został ranny? - spytałam z nadzieją w głosie. Może leżał w jakimś szpitalu i mnie przyzywał? Nie, to niemożliwe. Jimmie przecież wiedział, jak zawsze martwiłam się o niego. Denerwował się, kiedy robiłam mu wyrzuty z powodu palenia, picia i zarywania snu. „Wolałbym stracić nogę niż wysłuchiwać twojego zrzędzenia!” - odburkiwał zniecierpliwiony.

- Nie - odparł Philip chłodnym, nieprzyjaznym głosem, patrząc mi prosto w oczy. - James nie żyje.

Zdawało mi się, że zemdleję. Jakże chętnie schowałabym się z głową pod kołdrę, aby znów się obudzić u boku Jimmiego! Czekałam tylko, kiedy wsunie swoją wielką łapę pod moją nocną koszulę i zacznie wydawać zabawne pomruki, które mnie zawsze rozśmieszały.

- Nie masz teraz czasu rozpaczać - ponaglał Philip. - Musimy zrobić duże zakupy.

- Zwariowałeś, o tej porze? - Od razu otrząsnęłam się z pierwszego szoku. - Przecież jest dopiero czwarta rano!

- Już to załatwiłem. Otworzą sklep specjalnie dla nas. No, szybko, ubieraj się, nie mamy czasu do stracenia.

Nie spieszył mnie ton jego głosu. Usiadłam spokojnie na łóżku, zbierając fałdy obszernej nocnej koszuli i przerzucając przez ramię warkocz. Jimmie lubił, żebym się ubierała w staroświeckim stylu i nosiła długie włosy. W ciągu szesnastu lat małżeństwa z nim wyhodowałam taki warkocz, że mogłam na nim usiąść.

- Nie ruszę się nigdzie, dopóki nie będę wiedziała, o co chodzi - oświadczyłam stanowczo.

- Teraz nie ma czasu... - zaczął Philip, ale urwał i widocznie zmienił zdanie, bo zaczerpnął głęboko powietrza i ciągnął dalej z wyraźną desperacją: - Trudno, może wyrzucą mnie przez to z rady adwokackiej, ale ci to powiem. Spisywałem testament Jamesa i wiem, że spadkobiercy rzucą się na ciebie jak sępy. Może zdołam ich powstrzymać przez kilka dni, ale nie dłużej. Dopóki testament nie zostanie oficjalnie otwarty, jesteś wciąż żoną Jamesa.

- Zawsze pozostanę żoną Jamesa! - sprostowałam z dumą, wysuwając podbródek w najbardziej wyzywającym geście, na jaki było mnie stać. A serce krzyczało: „Jimmie, tylko nie ty!” Każdy inny człowiek na świecie mógł umrzeć, byle nie on!

- Wiem, Lillian - pocieszał mnie Philip, patrząc na mnie wzrokiem pełnym współczucia. - Ktoś taki jak James Man-



ville mógł się urodzić tylko raz. On rządził się własnymi prawami.

Nie skomentowałam tych słów. Czekałam, aż powie coś, czego dotąd nie wiedziałam. Ciekawe, do czego zmierzał.

Philip przetarł oczy i spojrzał na zegarek.

- Z punktu widzenia etyki zawodowej nie powinienem ci tego mówić... - zaczął, potem westchnął i ciężko usiadł przy mnie na krawędzi łóżka. Był to dla mnie kolejny dowód, że Jimmie naprawdę nie żyje. Philip nie odważyłby się ryzykować takiej poufałości z żoną swego możnego klienta, gdyby istniał chociaż cień szansy, iż może on nieoczekiwanie wejść do sypialni. - Nikt nigdy nie był w stanie przewidzieć, co zrobi James i dlaczego. Nawet ja, chociaż pracowałem dla niego przez dwadzieścia kilka lat, nie zdążyłem go do końca poznać - tłumaczył się Philip. Znów przerwał, zaczerpnął kilka oddechów, ale zanim wrócił do rozpoczętego wątku, ujął moją rękę i trzymał mocno. - Lillian, on ci nic nie zostawił. Cały swój majątek zapisał bratu i siostrze!

- Jak to, przecież on ich nienawdził! - Próbowałam wyrwać rękę z jego dłoni, bo powiedział coś dla mnie niepojętego. Wprawdzie Atlanta i Ray byli jedynymi żyjącymi krewnymi Jimmiego, ale wiedziałam, że miał ich w głębokiej pogardzie. Owszem, wspomagał rodzeństwo finansowo, zwłaszcza gdy musiał wyciągać jedno lub drugie z tarapatów, ale poza tym zwyczajnie ich nie znosił. Kiedyś zamyślił się, a gdy spytałam, czemu tak dziwnie na mnie patrzy, odpowiedział pozornie bez związku: „Oni pożarliby cię żywcem!”. „To brzmi intrygująco!” - próbowałam żartować, ale Jimmiemu nie było do śmiechu. „Po mojej śmierci Atlanta i Ray puszcza cię w skarpetkach - prorokował. - Znajdą adwokatów, którzy zgodzą się pracować za nieustalone z góry honorarium”.

Nie lubiłam, że Jimmie tak często poruszał temat swojej śmierci. Próbowałam więc obrócić wszystko w żart.

- Jak to nieustalone? Nie umówią się co do wysokości wynagrodzenia? - pytałam z uśmiechem.

- Nie, bo będzie ono zależeć od tego, ile pieniędzy z ciebie wycisną - zniecierpliwiał się Jimmie.

Ja też nie chciałam więcej o tym słuchać, więc lekceważąco machałam ręką.

- Philip się już nimi zajmie! - rzuciłam lekko, ale Jimmie wyprowadził mnie z błędu.

- Philip nie poradzi sobie z taką zachłannością.

Miał rację, bo ilekolwiek by dał Atlantcie i Rayowi - zawsze było im mało. Kiedyś, gdy Jimmie dostał niespodziewany telefon o konieczności natychmiastowego wyjazdu, przyłapałam Atlantę w mojej garderobie na liczeniu moich butów! Wcale się nie spieszyła, że nakryłam ją na tym - przeciwnie, wypaliła mi prosto w oczy: „Masz o trzy pary więcej niż ja!” Wjej spojrzeniu było coś, co przejęło mnie lękiem, odwróciłam się więc na pięcie i uciekałam z własnych apartamentów!

- Co masz na myśli, mówiąc, że zapisał im cały majątek? Cały, a więc co? - wypytywałam Philipa, by zweeksłować swoje myśli na jakikolwiek inny temat oprócz tego, jak będzie teraz wyglądać moje życie, życie bez Jimmiego.

- To znaczy że wszystkie jego akcje, domy, majątki ziemskie i linie lotnicze dostaną się w spadku twojemu szwagrowi i szwagierce.

Z początku nie wydawało mi się to takie złe, gdyż z całego serca nie cierpiałam pretensjonalnych rezydencji Jimmiego.

- Może to i lepiej, bo na mój gust za dużo jest w nich szkła i metalu - próbowałam potraktować sprawę lekko.

- Lillian, ja mówię poważnie! - Philip Spiorunował mnie wzrokiem. - James już cię nie osłoni, a ja nie będę władny zrobić niczego w tym kierunku. Nie mam pojęcia, dlaczego tak postąpił. Próbowałem go przekonać, żeby zmienił zdanie, ale zbył mnie, mówiąc, że dostaniesz tyle, ile ci trzeba. Więcej nie udało mi się z niego wydobyć.

Philip wstał i próbował się opanować. Jimmie zawsze powtarzał, że najbardziej ceni Philipa właśnie za to, że nikt i nic nie potrafi wyprowadzić go z równowagi. Tym razem jednak do tego doszło.

Z całej siły starałam się przestać wyobrażać sobie moją przyszłość - bez tubalnego śmiechu Jimmiego i jego opiekuńczych ramion. Spojrzałam więc na Philipa wyczekująco.

- Czy to znaczy, że mnie wydziedziczył? - Usiłowałam powstrzymać się od uśmiechu, bo sama biżuteria, którą obdarował mnie Jimmie przez lata naszego pożycia, była warta ciężkie miliony.

- Coś w tym rodzaju. - Philip kolejny raz zaczerpnął tchu. - Zostawił ci farmę w Wirginii.

- No, to lepsze niż nic. - Nadałam swemu głosowi brzmienie kompletnie wyprane z humoru i czekałam na ciąg dalszy.

- Wiem, że popełniłem wykroczenie przeciw etyce zawodowej, ale kiedy spisałem ten testament, wysłałem kogoś do Wirginii, by rzucił okiem na tę farmę. To jest... - Na chwilę odwróciłam głowę, a ja przysięgłabym, że mruknął pod nosem: „Draństwo!”, głośno jednak dokończył: - ...nic wielkiego.

Udałam, że nie dotarł do mnie ten komentarz, ale gdy Philip obrócił się z powrotem do mnie - miał już oficjalny wyraz twarzy. Spojrzał na zegarek, który wart był więcej niż dwadzieścia tysięcy dolarów, a wiedziałam, że dostał go w prezencie od Jimmiego. Ja zresztą dostałam taki sam, tylko trochę mniejszy.

- Może go czymś uraziłaś? - Philip szeptem snuł domysły. - Na przykład nie byłaś mu wierna? '

Za całą odpowiedź spojrzałam tylko na niego i pogardliwie parsknęłam. Rzeczywiście, myślałby kto! Kobiety w haremach cieszyły się chyba większą swobodą niż żona Jamesa Manville'a.

- Aha, rozumiem. - Philip przestał drażnić ten temat. - Przez całe miesiące próbowałem to rozgryźć, ale do niczego nie doszedłem, dałem więc sobie spokój. Jedno jest pewne, że prawdziwe piekło rozpęta się dopiero po otwarciu testamentu Jamesa. Atlanta i Ray położą łapę na wszystkim, a tobie - jak psu ochłap - rzucają tę chałupę w Wirginii i pięćdziesiąt tysięcy zachowku. Jedyne, co mogę dla ciebie zrobić, to

dopilnować, żebyśmy zdążyli nakupić, ile tylko się da, zanim wiadomość o zgonie Jamesa zostanie podana do publicznej wiadomości.

Słowa „zgon Jamesa” o mało mnie nie dobiły. Dobrze, że Philip podtrzymał mnie za ramię.

- Nie wolno ci teraz rozczulać się nad sobą! - zarządził. - Ubieraj się, i to szybko, bo kierownik magazynu czeka na nas.

Tak więc już o wpół do szóstej rano tego chłodnego wiosennego dnia Philip zawiózł mnie do jakiegoś ogromnego magazynu i wepchnął do środka z poleceniem, abym zakupiła wszystko, co może mi być potrzebne w domu na wsi. Niestety, jego wysłannik nie dał rady przedostać się do środka, nie mógł więc mnie poinformować, ile tam jest sypialni. Zaspany kierownik, którego ściągnięto z łóżka, aby otworzył swój magazyn specjalnie dla żony Jamesa Manville'a, smętnie włókł się za nami i notował nazwy towarów, na które wskazałam.

Wciąż wydawało mi się, że śnię. Najlepszym dowodem, że jeszcze nie do końca się rozbudziłam, było to, iż w wyobraźni od samego początku składałam relację Jimmiemu z tych groteskowych zakupów. Oczywiście, wyolbrzymiałam jeszcze komizm niektórych sytuacji, aby go bardziej rozśmieszyć. Miałam na przykład zamiar opowiedzieć mu, iż żądano ode mnie decyzji, jaki model kozetki chcę wybrać, a ten tępy, wpółprzytomny facecik nie wiedział nawet, co to jest kozetka!

W głębi duszy wiedziałam jednak, że nie będę miała szansy na opowiedzenie czegokolwiek Jimmiemu, bo już nigdy go nie ujrzę żywego.

Posłusznie wypełniałam więc zalecenia Philipa i wybierałam meble, sprzęt kuchenny, bieliznę pościelową i różnego rodzaju wyposażenie domu, którego w życiu nie widziałam. Śmieszyla mnie ta sytuacja, ponieważ w rezydencjach Jimmiego meble były przeważnie robione na zamówienie, a kuchnie przestronne i zaopatrzone we wszystkie możliwe udogodnienia.

O siódmej Philip już odwoził mnie do domu, ale po drodze coś sobie przypomniał i sięgnął na tylne siedzenie wozu.

- Kupiłem ci jeszcze samochód. - Podał mi folder reklamujący toyotę z napędem na cztery koła. Dopiero przy tym uderzyło mnie, że sam prowadził swój pojazd, podczas gdy normalnie korzystał z aut i kierowców Jimmiego. Również to świadczyło, że cały mój dotychczasowy świat legł w gruzach!

- Biżuterii też nie będziesz mogła zabrać - dodał jeszcze. - Wszystkie kosztowności są opisane i ubezpieczone, każdy przedmiot z osobna. Ubrania będziesz mogła zatrzymać, ale nawet i to Atlanta może ci utrudniać, bo ma taką samą figurę jak ty.

- Rzeczywiście, nosi ten sam rozmiar! - wyszeptałam. - Zabierze moje rzeczy!

- Możesz, oczywiście, próbować obalić testament - powiedział Philip. - Ale to nie jest proste. Chyba z pół roku temu Atlanta sugerowała, że wie o jakichś twoich ciemnych sprawkach.

Mówiąc to, patrzył na mnie spod oka. Wyczuwałam, że znów chce wybadać, czy w moim życiu nie pojawił się jakiś inny mężczyzna prócz Jimmiego. Ciekawe, kiedy miałabym nawiązać bliższe stosunki z jakimś mężczyzną, skoro Jimmie nie lubił ani przez chwilę zostawać sam, a zarazem chciał mieć absolutną pewność, że i ja nie jestem sama. Pytany o przyczynę takiego zachowania, odpowiadał zwykle żartobliwie, całując mnie w czubek nosa: „Boję się, żeby mnie upiór nie porwał!” Jimmie rzadko kiedy... co ja mówię, raczej nigdy nie udzielał bezpośredniej odpowiedzi na pytania natury osobistej. Żył tu i teraz, w takim świecie, jaki zastał, nie wnikając głębiej w jego wnętrze. Nie próbował nawet analizować motywów postępowania ludzi ze swego otoczenia. Po prostu przyjmował ich takimi, jacy byli, i albo ich lubił, albo nie.

- Byłam dziewczicą, kiedy poznałam Jimmiego, i nigdy w moim życiu nie istniał nikt inny poza nim - poinformo-

walam Philipa. Nie patrzyłam mu przy tym w oczy, bo przecież coś ukryłam przed nim. Sądziłam, że nie wie o tym nikt prócz mnie, jakim więc sposobem Atlanta zdołała to wywachać? A jednak wywachała!

Około godziny ósmej mój dotychczas bezpieczny świat przestał istnieć. Nie wiedziałam, jakim cudem Atlanta dowiedziała się tak szybko o katastrofie samolotu Jimmiego, ale jakoś to się jej udało. Ajeszcze zanim ta wiadomość dotarła do prasy, moja szwagierka skorzystała na tym bardziej niż przez całe czterdzieści osiem lat swego życia.

Ledwo z Philipem zdążyliśmy wrócić z zaimprovizowanej wyprawy po zakupy - w progach domu, który uważałam dotąd za swój, przywitali nas uzbrojeni ochroniarze. Poinformowali mnie, że odtąd nie mam prawa wstępu do tego domu, gdyż objęli go w posiadanie jedyni żyjący krewni Jimmiego - Atlanta i Ray.

Wróciliśmy więc do samochodu Philipa, który ze zdumienia potrząsał głową i rozmyślał, w jaki sposób ci ludzie mogli poznać treść testamentu. Skąd Atlanta wiedziała, że James zapisał wszystko jej i bratu?

- Słuchaj, Lillian... - myślał głośno, a ja uświadomiłam sobie, że za życia Jimmiego nie zwracał się do mnie inaczej niż „pani Manville”. — Nie wiem, jak ona na to wpadła, ale niech noja złapie tego drania, co jej to wychlapał...

Nie dokończył, bo trudno mu było na poczekaniu wymyślić odpowiednio dotkliwą karę dla swego współpracownika, za którego pośrednictwem nastąpił przeciek.

- Nie bój się, będziemy walczyć! - zapewniał. - W końcu przez tyle lat byłaś jego żoną...

- Miałam siedemnaście lat, kiedy za niego wyszłam - uzupełniłam. - I to bez zgody mojej matki!

- O Boże! - Philip otworzył usta, a mnie się wydało, że chce mi palnąć kazanie na temat nieodpowiedzialności. Zmilczał jednak - i słusznie. Jaki sens miałyby taka reprimenda po śmierci Jimmiego?

Następny tydzień okazał się większym koszmarem, niż..

sobie wyobrażałam. Zaledwie w kilka godzin po śmierci Jimmiego Atlanta wystąpiła w telewizji. Oświadczyła, że sżykuje się do stoczenia walki z „tą kobietą”, która przez tyle lat trzymała pod pantoflem jej ukochanego brata.

- Już ja dopilnuję, żeby dostała to, na co zasługuje! - podkreśliła z naciskiem.

Nie obchodziło jej przy tym, że Jimmie w swoim testamencie pozostawił mnie prawie bez środków do życia. Nie wspomniał nawet o starej farmie. Atlanta chciała raczej zemścić się na mnie za jakieś wymaginowane krzywdy. Zależało jej nie tyle na pieniądzach, ile raczej na upokorzeniu mnie.

Oczywiście ujawniła, że mój ślub z Jimmiem nie był prawnomocny. Prawdopodobnie dowiedziała się o tym od mojej siostry, która odeszła od męża, bo źle znosiła pobyt w Maroku, a on z kolei nie chciał zrezygnować z lukratywnej posiadłości. Winą za rozpad swojego małżeństwa obarczyła oczywiście mnie i, mszcząc się, poinformowała Atlantę o nieważności naszego ślubu.

W rezultacie Atlanta wymachiwała przed kamerami foto-reporterów moją metryką urodzenia i fotokopią aktu małżeństwa. Z dokumentów tych wynikało, że w dniu ślubu miałam dopiero siedemnaście lat, ale dodałam sobie rok. W świetle prawa zatem nasz związek był nieważny!

Teraz jednak nie miałam przy sobie Jimmiego, który broiłby mnie przed wszędobylskimi dziennikarzami. Ci zaś korzystali z okazji, aby po jego śmierci wziąć na nim odwet za to, że zawsze ich spławiał. Wyrzebywali więc z archiwów moje najmniej korzystne zdjęcia i publikowali je wszędzie, gdzie tylko mogli. Bałam się otworzyć gazetę, włączyć telewizor czy komputer, aby nie znaleźć tam przejaskrawionego wizerunku moich dodatkowych podbródków i wydatnego nosa, którego kształt odziedziczyłam po ojcu. Nieskończoną ilość razy próbowałam przekonać Jimmiego, by pozwolił mi zoperować sobie ten nos i poprawić jego kształt. Mąż jednak zawsze zapewniał, że kocha mnie taką, jaka jestem, i nie przeszkadzało mu nawet, że nos miałam skrzywiony w prawo.

Teraz jednak ten feler wydawał mi się mało ważny na tle wszystkich niestworzonych bredni, które kolportowano na mój temat. Jak mogłam się czuć, kiedy czworo poważnych dziennikarzy - trzech mężczyzn i jedna kobieta - dyskutowało przy okrągłym stole, w jaki sposób usidliłam Jamesa Manville'a, żeby go zmusić do ślubu? Tak jakby mężczyzna pokroju Jimmiego dał się komukolwiek usidlić! I to komu jak komu, ale siedemnastoletniej dziewczynie, której jedyny majątek stanowiły symboliczne nagrody wygrane na lokalnym jarmarku? Nieprawdopodobne!

Z kolei prawnicy rozważali, czy mam prawo dysponowania choćby częścią pieniędzy Jimmiego.

Ostateczny wyrok na mnie został wydany po oficjalnym odczytaniu testamentu Jimmiego. Odkąd ujawniono, że cały swój majątek rozdzielił między brata i siostrę - mnie okrzyknięto drugą Jezabel. Raptem wszyscy uwierzyli, że podstępnie złapałam w pułapkę biednego, małego Jimmiego, ale on poznał się na moich knowaniach i użył testamentu, aby mi wskazać, gdzie moje miejsce.

Philip starał się chronić mnie przed wścibskimi pismakami, jak mógł, ale nie było to proste zadanie. Najchętniej wskoczyłabym do pierwszego z brzegu samolotu, by polecieć gdzieś daleko i skryć się choćby w mysiej norze, ale czas, kiedy mogłam swobodnie korzystać z samolotów i przemieszczać się w dowolne miejsca na kuli ziemskiej, skończyły się dla mnie raz na zawsze.

Przez sześć tygodni od śmierci Jimmiego, podczas gdy trwało postępowanie spadkowe, a prasa wałkowała na wszystkie strony wszelkie zasłyszane sensacyjki, siedziałam zamknięta w domu Philipa. Odważyłam się opuścić to schronienie tylko raz, gdy poszłam na pogrzeb Jimmiego, ale wtedy nie było mnie widać spoza czarnego welonu. I dobrze, bo za nic nie chciałam dać dziennikarzom, a tym bardziej Atlancie czy Rayowi, satysfakcji z widoku moich łez.

Początkowo nie chcieli mnie wpuścić nawet do kościoła, na nabożeństwo żałobne. Na szczęście Philip przewidział ta-



ką możliwość i zawczasu wynajął sześciu osiłeków o gabarytach zapaśników sumo, którzy nagle wyrosli jak spod ziemi i otoczyli mnie ścisłym kręgiem. Tak więc na pogrzebie mojego męża mogłam pojawić się tylko w asyście muskularnych goryli i od stóp do głów spowita w głęboką czerń.

Nie przejęłam się tym specjalnie, bo zdążyłam do tej pory zrozumieć, że Jimmie nigdy już nie powróci, a nic innego nie miało dla mnie znaczenia. Dla odwrócenia uwagi próbowałam wyobrażać sobie dom na farmie, gdzie miałam teraz zamieszkać. Wspominałam, jak Jimmie prosił kiedyś, bym mu opisała swój wymarzony domek. Napomknęłam wtedy o przytulnym gniazdku nad jeziorem, z obszerną werandą, ocienionym wysokimi drzewami.

- Zobaczą, co się da zrobić - obiecał wtedy Jimmie z wesołymi iskierkami w oczach. Pierwszą jednak nieruchomością, którą po tej rozmowie kupił, okazał się zamek położony na wyspie u wybrzeży Szkocji. Panował w nim tak przenikliwy ziąb, że nawet w sierpniu szczękałam zębami.

Także po uprawomocnieniu się testamentu Jimmiego nie odważyłam się opuścić azylu w domu Philipa. Odkąd zabrakło Jimmiego, a za progiem czyhali agresywni przedstawiciele prasy, było mi wszystko jedno, gdzie przebywam i co robię. Wiele czasu spędzałam w łazience, a potem zasiadałam do stołu z Philipem, jego żoną Carol i dwiema córkami, ale nie pamiętam, abym miała na coś apetyt. W końcu Philip podsunął mi myśl, że najwyższy czas, bym gdzieś wyruszyła.

- Za nic w świecie nie wysunę nosa za próg! - zarzekałam się, spoglądając ze strachem w stronę okien, w których przez całą dobę nie rozsuwałam zasłon. - Oni tylko czekają, żebym wyszła!

Philip ujął moją rękę i pieszczotliwie ją pogładził. Mimo że pochowałam już męża, nadal czułam się mężatką i nie życzyłam sobie takich poufałości. Wyszarpnęłam dłoń i zmierzrzyłam go karcącym spojrzeniem, ale Philip tylko się uśmiechnął.

- Dużo rozmawialiśmy z Carol o tobie - poinformował. - Doszliśmy do wniosku, że powinnaś... zniknąć.

- Pewnie, nawet wiem, jak! - podchwyciłam. - Najlepiej, gdybym rzuciła się na stos pogrzebowy, niczym indyjska wdowa, by towarzyszyć mężowi na tamtym świecie.

Wyraz twarzy Philipa świadczył, że nie śmieszy go ten rodzaj czarnego humoru. Odwrotnie niż Jimmie, który w najsmutniejszej sytuacji potrafił znaleźć zabawne momenty. Zgodnie z tą filozofią na jego pogrzebie powinnam była tańczyć do upadłego.

- Lillian... - Philip powtórnie wyciągnął do mnie rękę, ale i tym razem ją odtrąciłam. - Kiedy ostatnio widziałas się w lustrze?

- Ja? - Miałam na końcu języka jakąś uszczypliwą replikę, ale w porę spojrzałam w lustro stojące na komodzie w pokoju gościnnym, który zajmowałam. Już od pewnego czasu wiedziałam, że chudnę, co mnie wcale nie dziwiło, bo przez ostatnie tygodnie prawie nic nie jadłam. Nie przypuszczałam jednak, że doprowadzę się do takiego stanu. Gdzieś zniknął mój podwójny podbródek, a uwydatniły się kości policzkowe.

- Rzeczywiście, coś podobnego! - zwróciłam się do Philipa. - Jimmie aplikował mi tyle wymyślnych diet odchudzających i wszystko na nic, a wystarczyło, że umarł - i bingo! Nareszcie straciłam to całe sado.

Jednakże Philip nie widział w tym nic zabawnego.

- Lillian, czekałem do tej pory, żeby dać ci czas na oswojenie się ze śmiercią Jimmiego i tym jego nieszczęsnym testamentem. Ale teraz musimy już porozmawiać.

Miał zamiar palnąć mi kolejne kazanie na temat mojego braku rozsądku, co wyrażało się w tym, że nie przyznałam się ani jemu, ani Jimmiemu do mojego prawdziwego wieku w dniu ślubu.

- Przecież z radością wyprawiłby huczne wesele! - perorował dzień potem, kiedy dowiedział się prawdy. - Byłoby to bez porównania lepsze niż ucieczka z domu!

Słyszałam już te mądrości nieraz i nie chciałam słuchać po raz któryś z rzędu, więc mu przerwałam.

- Uważasz, że powinnam zniknąć?

- Właściwie to Carol jest tego zdania. Według niej całe twoje dalsze życie może się stać jednym wielkim wywiadem prasowym, bo te dziennikarskie hieny nie przestaną cię nękać i wyciągać z ciebie coraz to nowych rewelacji o twoim pożyciu z Jimmiem. Chyba że...

- Chyba że co?

Pociągnęła twarz Philipa od razu się rozjaśniła i dopiero teraz zrozumiałam, dlaczego Jimmie nazywał go liskiem.

- Pamiętasz, jak ci mówiłem, że próbowałem wyperswadować Jamesowi taki testament, jaki napisał? - Pozornie zmienił temat, ale nie czekał na moją odpowiedź. - Przynajmniej udało mi się go przekonać, żeby w swojej ostatniej woli nie wspominał o tej farmie w Wirginii. Posłużyłem się argumentem, że jego siostra w swojej zachłanności może próbować odebrać ci także tę farmę. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, jak to miejsce wygląda, i myślałem, że jest...

- Jakie? - wpadłam mu w słowo.

- Coś warte - dokończył z oczami utkwionymi najpierw w podłodze, a potem zwróconymi na mnie. - Posłuchaj, Lillian, zdaję sobie sprawę, że nie jest to zbyt atrakcyjna nieruchomości, ale musiała coś znaczyć dla Jamesa, bo inaczej dawno by się jej pozbył.

- A po co w ogóle ją kupił?

- Rzecz w tym, że wcale jej nie kupował. Wydaje mi się, że ta farma od zawsze znajdowała się w jego posiadaniu.

- Ale kiedyś przecież musiał ją kupić! Chyba nie dostał jej w prezencie? - Początkowo nie rozumiałam, dopiero po chwili mnie olśniło. - Masz na myśli, że Jimmie mógł ją odziedziczyć?

Sprawa zaczęła nabierać rumieńców. Przypomniałam sobie, że istotnie ani Atlanta, ani Ray bądź Jimmie nigdy nie wspominali czasów swojego dzieciństwa. Ray, zapytany o to wprost, zmieniał temat, podczas gdy Atlanta i Jimmie łągli

jak najęci. Płatali się przy tym w zeznaniach, bo raz któreś z nich nadmieniało, że pochodzą z Dakoty Południowej, a innym razem - że z Luizjany. Jimmie podał mi cztery różne wersje imienia swojej matki, a z jego życiorysu też trudno było dowiedzieć się czegoś konkretnego o pierwszych szesnastu latach jego życia. Pod tym względem jego biografowie nie mieli więcej szczęścia aniżeli ja.

- Nie jestem tego pewien - uściślił jeszcze Philip - ale wiem, że James nie kupił tego majątku, odkąd pracowałem dla niego.

Oznaczało to, że Philip współpracował z Jimmiem prawie od zawsze. Słyszac tę rewelację, mogłam tylko zamrugać oczami.

- Mogę ci jedynie powiedzieć - mówił dalej Philip - że James zbladł jak ściana, kiedy wspomniałem, że Atlanta i Ray mogą robić zakusy na tę farmę. Wyglądało to, jakby się czegoś przestraszył.

- Jimmie miały się bać? - nie dowierzałam.

- Powiedział mi coś w rodzaju: „W porządku, Phil, w takim razie zapiszę tę farmę na ciebie, a w swoim czasie przekażesz ją Lil. Wtedy także oddasz jej to”.

W tym momencie Philip wręczył mi kopertę z listem od Jimmiego. Była zapieczętowana, nie mógł więc znać treści listu. Przetrzywał go u siebie w domu wraz z aktem darowizny farmy w Wirginii, czekając na odpowiedni moment, kiedy będzie mógł przekazać mi oba dokumenty.

Po przeczytaniu liściku złożyłam go w kostkę i umieściłam na powrót w kopercie. Nie uroniłam ani jednej łzy, bo przez ostatnie sześć tygodni wypłakałam chyba całą wodę z organizmu. Następnie sięgnęłam po akt darowizny, ale Philip odsunął go z zasięgu moich rąk.

- Jeśli wystawię go na nazwisko Lillian Manville i zgłoszę przeniesienie prawa własności, w ciągu dwudziestu czterech godzin będziemy mieli na karku dziennikarzy i adwokatów. Natomiast... - Celowo odwlekał moment sformułowania zasadniczej konkluzji, jakbym była dzieckiem, na którym

chciał wymóc obietnicę, że będzie grzeczne. Nie dałam się na to nabrać, tylko skierowałam na niego oczy jak spodki.

- Dobrze, powiem już - zmiękł ostatecznie. - Carol i ja uważamy, że powinnaś podać się za kogoś zupełnie innego. Tak ostatnio schudłaś, że nikt już nie weźmie cię za pulchniutką żoneczkę Jamesa Manville'a.

Ze złości oczy zwięzły mi się w szparki. Nie uradował mnie rewelacjami o tym, z czego zarówno on, jak też inni pracownicy Jimmiego podśmiewali się za moimi plecami. Teraz pod moim spojrzeniem poczuł się wyraźnie zażenowany, co świadczyło, że lata spędzone u boku Jimmiego nie poszły na marne.

- Dobrze już, dobrze - próbował załagodzić sytuację, wypuszczając ze świstem powietrze z płuc. - Oczywiście, że ostateczna decyzja należy do ciebie, ale odwaliłem już kawał roboty, by załatwić ci nowe dokumenty. Użyłem wpływów Jamesa, dopóki pamięć o nim jest jeszcze świeża. Przepraszam, że tak mówię, ale wiesz, jak szybko ludzie zapominają. No więc patrz i decyduj, czy w to wchodzisz.

Podał mi paszport z wolnym miejscem na wklejenie zdjęcia, wystawiony na nazwisko „Bailey James”. Odczytałam je głośno i podniosłam pytający wzrok na Philipa.

- To Carol wymyśliła - wyjaśnił. - Wzięła twoje panieńskie nazwisko i połączyła je z imieniem Jamesa... Ale tobie chyba się to nic podoba?

Rzecz w tym, że mi się podobało. Przyjęcie nowego nazwiska mogło przecież oznaczać początek zupełnie nowego życia.

- Jesteś teraz o wiele szczuplejsza, a gdybyś jeszcze obcięła i rozjaśniła włosy... No, może jeszcze...

Urwał, a ja nie wiedziałam, dlaczego nie dokończył zdania. Zorientowałam się dopiero wtedy, gdy zobaczyłam jego oczy wlepione w mój nos. Był nie tylko wydatny, lecz i skrzywiony w prawą stronę - pozostałość po wypadku, kiedy w pierwszej klasie spadłam głową w dół ze zjeżdżalni. Pamiętam, jak wymądrzał się szóstoklasista Johnnie Miller,

podczas gdy krew tryskała mi z nosa jak z kranu. „Wiadomo, taki wielki nochal musiał uderzyć o ziemię pół godziny wcześniej niż ona”. Wprawdzie nauczycielka starała się mnie pocieszyć, jak mogła, a Johnniemu kazała mnie przeprosić, samajednak z trudem powstrzymywała śmiech.

- Uważacie, że powinnam zoperować sobie nos, prawda? — podsunęłam. Philip powściągliwie kiwnął głową.

Rzuciłam okiem na swoje odbicie w lustrze. Gdyby Jimmie pozostawił mi swoją fortunę, mogłabym kazać zbudować dla siebie willę otoczoną wysokim murem, chroniącym przed natrętami. Nie miałam tych pieniędzy, ale wiedziałam, że po jakichś dziesięciu latach postać Jimmiego zblaknie w ludzkiej pamięci. Tylko jak przeżyć te dziesięć lat?

- Pewnie umówiłeś mnie już z chirurgiem plastycznym? - zaatakowałam Philipa frontalnie.

- Owszem, na dziś wieczorem. - Spojrzał na zegarek, który kosztował dwadzieścia patyków. Ja swojego już nie miałam, bo zaopiekowała się nim Atlanta. - Oczywiście, jeśli jesteś gotowa.

- Bardziej gotowa już chyba nie mogę być! - odpaliłam po głębokim wdechu.

Ta rozmowa toczyła się przed dwoma tygodniami. Od tamtego czasu nos zagoił mi się na tyle, że sama zaczęłam poważnie myśleć o opuszczeniu gościnnego domu Philipa i Carol. Z tym tylko, że nie wracałam do świata jako Lillian Manville, ale ktoś, kogo nie rozpoznawałam nawet w lustrze, ktoś nazwiskiem Bailey James.

W okresie rekonwalescencji zdążyłam lepiej poznać Carol. Dawniej widywałam ją czasem na przyjęciach wydawanych przez Jimmiego, ale on zawsze przestrzegał mnie, bym nie spoufalała się zbyt z jego pracownikami. Zachowywałam się więc względem Carol uprzejmie, ale z niczego jej się nie zwierzałam, podobnie jak ona mnie. Zresztą nie byłam nigdy nadmiernie wylewna w stosunku do kogokolwiek poza Jimmiem.

Chirurg wykonał zabieg u siebie w gabinecie, a po kilku

godzinach Carol i Philip odwieźli mnie do własnego domu. Przez pierwszą noc dyżurowała przy mnie wynajęta pielęgniarka, następnej zaś nocy, gdy byłam już sama, Carol zapukała do drzwi mojej sypialni. Kiedy zaprosiłam ją do środka, weszła cichutko na palcach i przysiadła na brzegu łóżka.

- Jesteś zła? - zagadnęła nieśmiało.

- Niby dlaczego miałabym być zła, przecież ten lekarz tak świetnie to zrobił? - Udawałam, że nie wiem, o co jej chodzi, ale nie dała się nabrać. - Myślisz, że jestem zła, bo poświęciłam szesnaście lat swego życia mężczyźnie, który mnie w rewanżu wydziedziczył? - zgadywałam.

- Tak, faceci są perfidni - potwierdziła. Uśmiechnęła się do mnie, a kiedy dotknęłam swego obolałego nosa - roześmiała się w głos.

Zawtórowałam jej, bo po raz pierwszy od czasu mojej ostatniej rozmowy z Jimmiem wróciło mi poczucie humoru.

- To jak się teraz będziesz ubierać? - dopytywała, zakładając nogę na nogę. Mogła mieć o jakieś dziesięć lat więcej ode mnie, ale założyłabym się, że już zdążyła mieć kontakt z chirurgią plastyczną. Była ładną, zadbaną blondynką, a ja potrafiłam to ocenić, bo sama też umiałam dbać o siebie. Może ważyłam trochę za dużo, ale zawsze przykładałam wielką wagę do fryzury i makijażu.

- A gdzie się znowu mam ubierać? - spytałam przestraszona. W duchu modliłam się, żeby nie kazali mi stawać na sali sądowej przeciw Atlancie i Rayowi, oskarżających mnie o zdominowanie Jimmiego.

- No, w swoim nowym wcieleniu - wyjaśniła Carol. - Przecież nie możesz donaszać moich powyciąganych koszulek.

- Och, rzeczywiście, przepraszam! - zreflektowałam się. - Widzisz, nie miałam ostatnio głowy, żeby myśleć o ciuchach...

Szlag mnie trafił, ale nie zdołałam powstrzymać łez cisnących się do oczu, choć chciałam za wszelką cenę trzymać fason i wierzyć, że Jimmie robił to, co robił, z miłości do

mnie. Owa teza nie wytrzymała jednak konfrontacji z faktami. Zważywszy na to, że nie miałam co na siebie włożyć oprócz tego, co miałam na sobie w chwili śmierci Jimmiego, i czarnej chusty pożyczonej od Philipa - wcale nie chciałam za wszelką cenę być dzielna.

Carol współczująco dotknęła mojej ręki i poderwała się z łóżka, rzucając mi w biegu:

- Poczekaj, zaraz wracam.

Rzeczywiście nie trwało to dłużej niż kilka sekund, a już przytargała niemały stos kolorowych prospektów. Musiała chyba mieć je przygotowane tuż za drzwiami, bo w tak krótkim czasie nie zdążyłaby tyle ich pozbierać.

- Co to jest? - spytałam ze zdziwieniem, gdy rozsypała je na moim łóżku.

- No, to wygrałam pięć dolców! - wykrzyknęła triumfalnie. - Założyłam się z Philipem, że w życiu nie widziałas katalogu. W nor... to znaczy, chciałam powiedzieć, w większości domów takie rzeczy otrzymuje się pocztą, i to co najmniej sześć różnych dziennie.

Wiedziałam, że o mało nie wyrwało się jej: „w normalnych domach”, ale ugryzła się w język, bo we wszystkich rezydencjach Jimmiego pocztę przynosił mi służący na srebrnej tacy.

Wybrałam na chybił trafił jeden z katalogów firmy Norm Thompson. Reklamowana w nim konfekcja była akurat w podobnym stylu jak rzeczy, które miałam w swojej garderobie. Jimmie zatrudnił specjalnego dostawcę, który dbał, żebyśmy we wszystkich naszych rezydencjach mieli komplet odzieży.

Carol zaczęła przerzucać inny katalog, magazynu „Coldwater Creek”.

- Wiesz, że zawsze było mi cię żal? Robiłaś wrażenie takiej samotnej i zagubionej. Powiedziałam kiedyś Philipowi... - Urwała, wsadzając nos między kartki.

- Co mu powiedziałaś? - złapałam ją za słowo.

- Ze przypominasz żarówkę, która świeci tylko wtedy, kiedy James jest w pobliżu.



Nie byłam zachwycona tym porównaniem, bo wypadałam w nim niekorzystnie, jakbym zdolna była świecić tylko odbitym blaskiem.

- Co przez to rozumiesz? - wycedziłam, siląc się na maksymalnie chłodny ton. Carol właściwie to zinterpretowała i zaczęła z innej beczki.

- Wiesz, doszliśmy do wniosku, że powinniśmy ci się odwdzińczyć za wspaniały prezent ślubny, który dostaliśmy od ciebie i Jimmiego. Najlepiej będzie, jeśli zamówimy dla ciebie trochę nowych rzeczy, czego tam będziesz potrzebować na nową drogę życia. Philip pokryje wszystkie koszty, bo teraz stać go na to. - Ściszone głosem dodała wyjaśnienie: - Atlanta i Ray zaangażowali go jako jednego ze swych pełnomocników!

Szczęka opadła mi tak gwałtownie, że poczułam skurcz bólu w świeżo zagojonym nosie. Miałam ochotę wykrzyknąć: „A to zdrajca!”, lecz opanowałam się i zapytałam oględnie:

- Czy mogłabyś mi przypomnieć, jaki prezent ślubny dostaliście od nas?

- Ten dom - wyjaśniła Carol.

Na chwilę mnie zatkało, a potem spojrzałam w inną stronę, żeby Carol nie widziała wyrazu moich oczu. A więc Jimmie ofiarował tak cenny prezent swojemu adwokatowi, bo uważał go za przyjaciela, a ten - ledwie ziemia zamknęła się nad darczyńcą - miał świadczyć usługi jego śmiertelnemu wrogowi? Nie skomentowałam jednak tego faktu, tylko biorąc do ręki któryś z rzędu katalog, spytałam niewinnie:

- Masz może coś takiego z wyrobami jubilerskimi? Przydałby mi się nowy zegarek.

Carol uśmiechnęła się do mnie, a ja odwzajemniłam jej uśmiech. Czułam, że zadzierzgnęły się między nami więzy przyjaźni.

Philip przyglądał się, jak Lillian wysiadała z samochodu i wolnym krokiem zmierzała do domku na farmie. Zważywszy na to, jakie piekło przeszła, i tak wykazała maksimum opanowania — tylko raz pozwoliła sobie na wybuch płaczu: gdy po raz pierwszy ujrzała to miejsce. Philip potrząsał głową z niedowierzaniem, kiedy przypominał sobie, jak usilnie starał się nie dopuścić do takiej sytuacji. Wraz z trzema swoimi współpracownikami spędził dwa popołudnia i jedno przedpołudnie na próbach przekonania jej, aby wszczęła kroki mające na celu obalenie testamentu Jamesa Manville'a. Doszedł bowiem do wniosku, że dokument ów jest nie tylko niemoralny, ale i niezgodny z prawem.

Nie od razu jednak powziął to podejrzenie. Kiedy James powiadomił go, jak ma zamiar rozporządzić swoim majątkiem - uniósł brwi ze zdziwienia, ale nie śmiał przedstawić pracodawcy swoich obiekcji. Przypuszczał bowiem, że James przyłapał swoją młodą żonę na „skoku w bok” i dlatego uznał, iż nie zasługuje ona na pieniądze męża. Nie wyjawiał jednak swoich przemyśleń, próbował tylko wyperswadować Jamesowi decyzję, która nieuchronnie pociągnęłaby za sobą serię procesów sądowych. Przez myśl mu nie przeszło, że wdowa mogłaby nie oprotestować tak niesprawiedliwego testamentu. Sugerował Jamesowi, żeby podzielił majątek na trzy równe części - dla siostry, brata i żony.

Jednakże James nie chciał o tym słyszeć, wbił sobie do głowy, że najlepszą darowizną dla Lillian będzie jakaś farma w Wirginii.

- Na pewno jej się tam spodoba - zapewniał, zadowolony z siebie. - Tak wiele jej odebrałem, że chciałbym to w taki właśnie sposób wynagrodzić.

Philip sądził, że obrabowanie kobiety z milionów dolarów jest dla niej raczej karą niż nagrodą, ale na wszelki wypadek trzymał język za zębami. Dopiero po śmierci Jamesa, gdy po-

znał prawdziwe oblicze Atlanty i Raya, zaczął namawiać Lillian do podważenia testamentu. Chętnie zgodziłby się przewodniczyć zespołowi najlepszych prawników USA, byleby odprawić z niczym tę parę chciwych łajdaków. Dopiero teraz zorientował się, jaką krzywdę wyrządziły Lillian zarówno środki masowego przekazu, jak też ludzie mieniący się jej przyjaciółmi.

Mimo to nikt nie był w stanie skłonić jej do wniesienia skargi, choć prawnicy przekonywali, że gdyby nawet nie chciała przyjąć tych pieniędzy - mogłaby je przekazać na cele dobroczynne.

- Jimmie miał dobrą głowę do interesów, więc z pewnością wiedział, co robi - dowodziła. - Nie będę kwestionować jego ostatekniej woli, bo nie postąpiłby tak bez powodu.

- Przecież Manville nie żyje! - nie wytrzymał któryś z adwokatów i ze złości aż poczerwieniał. Nie mógł uwierzyć, że któraś z kobiet dobrowolnie zrezygnowałaby z milionów dolarów.

Po trzecim z kolei posiedzeniu zespołu adwokackiego Lillian w końcu wstała i wygłosiła oświadczenie:

- Zapoznałam się ze stanowiskami panów i przesłankami, które wskazują, że mam szansę na wygranie sprawy sądowej. Nie złożę jednak pozwu, gdyż powzięłam mocne postanowienie podporządkowania się ostatekniej woli mojego męża.

Wyraziwszy ten pogląd, obróciła się na pięcie i zamierzała opuścić salę posiedzeń, gdy usłyszała wypowiedziany ściszym głosem komentarz jednego z prawników, który nie znał dobrze ani Jamesa, ani tym bardziej jej:

- Ona jest za głupia, żeby docenić wartość tego majątku.

Zawróciła więc i Spiorunowała prawnika takim wzrokiem, jak nieraz czynił to James Manville.

- Pan chyba jeszcze nie pojął - wycodziła - że w życiu istnieją sprawy ważniejsze od pieniędzy. Jak pan sądzi, czy gdyby pan był multimilionerem i umarł, pozostawiając żonę bez grosza, czy ona wniosłaby o unieważnienie takiego testamentu? A może jednak ceniłaby pamięć o panu wyżej aniżeli pańskie pieniądze?

Nie czekała na odpowiedź, dumnie wyprostowała się i wyszła. Koledzy adwokata, któremu palnęła takie kazanie, zasłaniali twarze, nie mogąc powstrzymać śmiechu. Wiedzieli, że akurat on rozwodził się z trzecią żoną, która mu udowodniła przywłaszczenie zabytkowych klamek do drzwi.

W końcu Philip zarzucił daremne próby przekonania Lillian, aby zakwestionowała testament Jimmiego. Po ostatnim posiedzeniu, zakończonym fiaskiem, poskarżył się Carol, leżąc przy niej w łóżku:

- Nie wiem już, co mam dalej robić.
- Pomóż jej - podsunęła Carol.
- Ajak myślisz, po co było to wszystko?

Carol nie dała się zbić z tropu. Nie podnosząc oczu znad kolorowego magazynu, który przeglądała, odrzekła bez namysłu:

- Próbowałeś zmusić ją, aby postąpiła przeciw sobie. Zachowałeś się jak tyran, i to gorszy niż James.

- Rzeczywiście, nawet wyglądasz na zastraszoną - ironizował. - No, więc mi powiedz, coś tam znowu wymyśliła.

Po dwunastu latach małżeństwa poznał ją na wylot i wiedział, kiedy miała mu coś do powiedzenia. Czekwała jednak, aż zacznie upadać na duchu, i dopiero wtedy ofiarowała mu wsparcie moralne.

- Musisz jej pomóc w tym, w czym ona zechce - powiedziała.

- A wiesz przynajmniej, co to ma być? - nie dowierzał. - Siedzi zamknięta w pokoju i nie chce z nikim rozmawiać. Nikt spośród tych tak zwanych przyjaciół, których tylu pętało się po domu Jamesa, nawet nie zadzwonił do niej z kondolencjami - dodał z niesmakiem.

- Wiesz, nie znałam jej zbyt dobrze, ale wydaje mi się, że mimo małżeństwa z Jamesem próbowała żyć jak normalni ludzie.

- Czy z Jamesem Manville'em można było żyć normalnie? - parsknął Philip. - Carol, czyś ty niczego nie dostrzegła? Przecież on miał rezydencje rozsiane po całym świecie,

a w nich roje służby. Zaraz po jego śmierci zabrałem ją do normalnego domu towarowego i głowę bym dał, że nigdy przedtem nie widziała czegoś podobnego. Przynajmniej od czasu, kiedy uciekła z domu, aby wyjść za Jimmiego.

- No więc co robiła w tych wszystkich domach? Urządzała przyjęcia?

Philip zamyślił się, zakładając ręce za głowę i patrząc w sufit.

- Nie - powiedziała. - Przyjęcia urządzał sam James, a Lillian tylko się na nich pojawiała, a potem siedziała sama w kącie i podjadała ukradkiem, biedactwo!

- A czy nigdy nie widziałeś, żeby była zadowolona?

- Nie - zaczął z rozpędu Philip, ale zaraz się poprawił. - To znaczy źle mówię. Raz zaniósłem Jamesowi jakieś dokumenty do podpisania, ale kiedy już od niego wyszedłem, zauważyłem, że pominął jeden, więc zawróciłem. Szedłem w kierunku, z którego dobiegały głosy, i zastałem ich samych, tylko we dwoje. Tym razem nie było przy nich żadnych gości ani nikogo ze służby...

Na chwilę przymknął oczy, żeby wywołać z pamięci ten obraz. Przeszedł wtedy przez cały dom, jedną z licznych rezydencji Jamesa, wartą wiele milionów dolarów, „całą ze szkła i metalu” - jak mawiała Lillian. Idąc za dobiegającymi głosami, trafił do pokoju, w którym jeszcze dotąd nie był. Po drodze musiał przejść przez kuchnię, a że drzwi były otwarte, mimowolnie zajrzał do środka. Zasłaniała go kunsztownie udrapowana kotara, więc nie przypuszczał, by mogli go dostrzec. Było mu głupio, że ich podgląda, ale nie mógł odebrać oczu od sceny, której stał się przypadkowym świadkiem.

Tym razem Lillian nie miała na sobie wyszukanej kreacji z renomowanego magazynu, lecz zwykłe dżinsy i bawełnianą koszulkę. W końcu saloniku, gdzie się znajdowali, stał okrągły stół z odrapanym sosnowym blatem, kanapa obita różowym kretonem i dwa wyplatane krzesła, które wyglądały, jakby nabyto je na prowincjonalnej aukcji staroci. Meble te nie imitowały żadnego określonego stylu i mogły się znajdować

w co drugim amerykańskim mieszkaniu, a jego lokatorzy też zachowywali się jak przeciętne amerykańskie stadło.

Lillian nakładała Jamesowi na talerz potrawy, które przynosiła z pomocniczego kredensiku. Jemu w tym czasie nie zamykały się usta, a Lillian uważnie słuchała, starając się nie uронić ani słowa. Kiedy już miał przed sobą pełny talerz - James roześmiał się z własnego dowcipu, a Philip w tym momencie skonstatował, z jaką piękną kobietą był żonatyjego pracodawca. Lillian nie wyglądała w tym momencie na niezgrabną kurę domową, która we własnym domu nie ma nic do gadania, tylko na prawdziwą piękność. Potem role się odwróciły, bo Lillian zaczęła nakładać sobie porcję i w tym czasie opowiadała coś mężowi. On zaś słuchał jej z takim zaangażowaniem, jakiego Philip jeszcze u niego nie widział. Potakiwał jej słowom, co wskazywało, że zasięgał jej opinii w jakiejś sprawie i wysłuchiwał, co ma na ten temat do powiedzenia. Wyglądało to na idealny partnerski układ.

Philip wolał zabrać niepodpisany dokument i dyskretnie się wycofał. Ileż razy zdarzyło mu się słyszeć teksty w rodzaju: „Manville zrobiłby lepiej, gdyby zostawił tę tłuścą gęś i ożenił się z kobietą, która nie boi się własnego cienia!” Kiedy jednak Philip konfrontował ten osąd z tym, co widział, musiał stwierdzić, że James Manville dobrze wiedział, co robi.

Wracając tego dnia do samochodu, Philip po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że przez wszystkie lata współpracy z Jamesem nigdy nie zazdrościł mu jego miliardowych dochodów, bo James płacił mu, ile chciał. Dopiero kiedy zobaczył tamtą sielankową scenę rodzinną, poczuł ukłucie zazdrości, bo Carol nawet w pierwszym roku małżeństwa tak na niego nie patrzyła ani z takim oddaniem nie wsłuchiwała się w jego słowa.

Rzucił okiem na niepodpisany papier, ale w gruncie rzeczy cieszył się, że James nie zauważył jego obecności. Na pewno nie byłby zachwycony, że jego współpracownik widział go w tak intymnych okolicznościach.

- Owszem, raz wydała mi się szczęśliwa - mógł śmiało uspokoić Carol.

- Kiedy to było? — dopytywała zaciekawiona małżonka.

Mimo że James już nie żył, Philip uważałby jednak za sprzeniewierzenie się jego pamięci, gdyby ujawnił, czego był świadkiem. Wspomnienie tej sceny przyprawiało go jedynie o jeszcze większą konsternację, jeśli bowiem James tak kochał żonę, to czemu nie zostawił jej przynajmniej tyle pieniędzy, by mogła zapewnić sobie ochronę przed prasą?

- Przecież widzę, że chcesz mi coś powiedzieć - wywinął się sprytnie. - Wyduś to wreszcie!

- Kiedy jechaliśmy na pogrzeb Jamesa - wyznała Carol - Lillian spytała mnie, czy widziałam ten dom na farmie, którą jej zostawił.

- I co z tego? - podchwycił Philip. - Sam dom to kompletna ruina. Owszem, krajobraz jest malowniczy, ale ta ruina nadaje się tylko do tego, by ją zburzyć do fundamentów.

- Hmm... - zamyśliła się Carol, odkładając czytane przed chwilą pismo. - James nie zbiłby takiej kupy szmalu, gdyby nie umiał planować. Jak myślisz, jakie plany mógł mieć w stosunku do tego obiektu?

- Może chciał go najpierw wysoko ubezpieczyć, a później podpalić?

Carol puściła tę uwagę mimo uszu i dalej snuła swoje rozważania.

- Przecież to jasne, że ona nie miałaby tam chwili spokoju! Dziennikarze rozłożyliby się obozem pod jej oknami. Ona musi... - Zawiesiła głos, spoglądając wyczekującym wzrokiem na męża. Najwidoczniej spodziewała się, że dokończy rozpoczętą myśl, ale Philip nie miał już siły bawić się w zgadywanki.

- Co musi? - zażądał odpowiedzi. Wtedy właśnie Carol wtajemniczyła go w szczegóły swojego planu, zgodnie z którym Lillian powinna zmienić nie tylko swój wygląd, ale także nazwisko.

Teraz, kiedy Philip przyglądał się, jak Lillian - przepara-

szam, Bailey - taksuje wzrokiem zaniedbaną rudere, musiał przyznać, że istotnie wydawała się kimś zupełnie innym. Przypomniał sobie, jak kiedyś James walnął trzymaną akurat książką w blat biurka i wrzasnął:

- Nie mogę się skupić! Lil znowu wymyśliła sobie jakąś idiotyczną dietę!

Natychmiast przywołał sekretarkę do swojego gabinetu i kazał jej zamówić dla Lillian po funcie czekoladek firmy „Godiva” we wszystkich smakach.

- No, może to coś pomoże! - oznajmił z uśmiechem triumfu. - Teraz możemy wracać do pracy.

Odkąd mąż przestał niweczyć jej wysiłki, Lillian w ciągu kilku tygodni straciła znacznie na wadze. Kiedy Philip opowiedział Carol, jak do tego doszło - podparła się pod boki i podsumowała:

- Ach, więc dlatego udało jej się tak schudnąć? Zapamiętam to sobie, kiedy następnym razem wsiądziesz do samolotu...

Już radykalny spadek wagi dodał Bailey urody, a jeszcze gdy pozbyła się wydatnego nosa — tym bardziej widoczne stały się jej piękne oczy i małe, lecz zmysłowe usta. Philip nie mógł oderwać od niej oczu, aż w końcu Carol zauważyła to i przy śniadaniu szepnęła mu do ucha:

- Jeśli nie przestaniesz tak się na nią gapić, walnę cię w łeb tą łopatką!

Nie dało się jednak ukryć, że Bailey prezentowała się nadzwyczaj korzystnie. Pierwszym pytaniem, jakie zadała po zdjęciu opatrunku z chirurgicznie skorygowanego nosa, było:

- Jak myślicie, czy ktoś mnie teraz pozna?

- Absolutnie nikt! - zapewnili chórem doktor, Carol i Philip. Przez grzeczność powstrzymali się jednak od stwierdzenia, że wygląda teraz o wiele ładniej, gdyż oznaczałoby to, że przedtem była brzydka.

Na razie Philip wysiadł z wozu i gestem nakazał drugiemu kierowcy, aby wyładował walizki z bagażnika i zaniósł je do domu. Zawczasu bowiem zamówił dwa samochody, które



miały oczekiwać na lotnisku: toyotę, którą kupił dla Lillian, i wynajęty czarny sedan dla niego, aby miał czym wrócić na lotnisko.

W drodze na lotnisko im. Dullesa Lillian odchyliła głowę na oparcie fotela i przymknęła oczy. Kiedy Philip próbował zagadać do niej - w milczeniu tylko potakiwała mu ruchem głowy. Podejrzewał, że obraziła się na niego za przyjęcie pełnomocnictwa Atlanty i Raya. Chciał jej wyjaśnić przyczyny takiego postępowania, ale po namyśle doszedł do wniosku, że im mniej Lillian wie, tym lepiej. Gdyby nie zdecydowała się na podjęcie walki o unieważnienie testamentu - zrobi to za nią. To jednak musiało wyjść od niej samej.

Lotnisko od małej górskiej miejsciny Calburn dzieliły trzy godziny jazdy samochodem. To wtedy Lillian odłożyła w końcu na bok urazę i zaczęła wypytywać Philipa o wszystko, co wiedział na temat tych okolic i jej przyszłego domu.

Philip jednak wyznał szczerze, iż mimo że znał Jamesa Manville'a od dwudziestu lat - nie wiedział nic o czasach jego dzieciństwa. Nie miał też pojęcia, jaki związek z jego przeszłością może mieć opuszczony domek na wsi.

- Nie rozumiem, jak Jimmie mógł być spokrewniony z ludźmi pokroju Atlanty i Raya - powtarzała to zdanie w nieskończoność.

Philip miał odpowiedź na końcu języka: „Szkoda, że nie widziałas Jamesa, gdy załatwiał jakiś interes. Przekonałabyś się wtedy, że był bardziej podobny do nich, niż mogło ci się wydawać!” Nie podzielił się z nią jednak znanymi sobie faktami, ponieważ wolał, by zachowała w pamięci pochlebny obraz swego męża.

Tymczasem Lillian... - to znaczy Bailey - obesza dom wokół, by zobaczyć go od tyłu. Detektyw wynajęty przez Philipa przywiózł mu zdjęcia nieruchomości, z których wynikało, że tylna część domu jest bardziej zniszczona niż frontowa, toteż obawiał się konfrontacji Bailey z rzeczywistością. Kluczem, który otrzymał od Jamesa w dniu podpisania aktu darowizny, otworzył drzwi od frontu.

Zardzewiałe zawiasy pękły i drzwi wypadły na ziemię razem z framugą. Philip w zakłopotaniu obejrzał się na pracownika niosącego bagaże. Aby wejść do domu, nie mógł ominąć wywalonych drzwi.

Wnętrze robiło przygnębiające wrażenie. Z sufitu do podłogi zwisały grube od kurzu pajęczyny. Pod podłogą zaś uwijały się myszy, szczury i inne stworzenia. Światło słoneczne wpadające przez dawno niemyte szyby załamywało się w tumanach pyłu, którego pokłady gromadziły się tu przez całe lata.

- Proszę zabrać bagaże z powrotem do samochodu - polecił Philip tragarzowi. - Ta pani tu nie zostanie.

Sam też czym prędzej jeszcze raz przestąpił wywalone drzwi, by jak najszybciej wydostać się na świeże powietrze. Nigdy jeszcze nie myślał o Jamesie Manville'u tak źle jak w tej chwili. Człowiek, który potrafił skazać swoją żonę na wegetację w tej kupie gruzu, musiał być albo wariatem, albo ostatnim draniem. A ponieważ znał Jamesa na tyle, by wiedzieć, że był on zdrowy na umyśle, pozostawała tylko ta druga możliwość..

Zacisnął zęby ze złości i poszedł na zaplecze, aby odszukać Bailey. Tam się przekonał, że zdjęcia nie kłamały - od tyłu budynku wyglądał jeszcze gorzej niż od frontu. Prawie niknął w gęstwinie drzew, krzewów równie wysokich jak te pierwsze, złowroźnie kolczastych pnączy i chwastów rozrośniętych do monstrualnych rozmiarów, które walczyły między sobą o dostęp do światła i powietrza. Philipa na ten widok przejął dreszcz, zanim po swojej prawej stronie odkrył ścieżkę ułożoną z kamieni. Kiedy przedzierał się przez splątane chaszczce, pszczoły brzęczały mu nad głową, przyspieszył więc kroku.

- Lillian?! - zawołał odruchowo, zanim przyłapał się na omyłce. Od razu rozejrzał się, czy nikt go nie usłyszał, jako prawnik bowiem doskonale zdawał sobie sprawę, że nie powinien już używać dawnego imienia swojej klientki. Jednakże w tym gąszczu, gdzie łatwo mógł się zgubić pułk wojska, nic takiego mu nie groziło.

- Bailey?! - odezwał się głośniej, ale nie usłyszał odpo-

wiedzi. Od razu wyobraźnia zaczęła mu podsuwać wizje zagrożeń czyhających na takim odludziu -jadowitych węży, wściekłych skunksów, jeleni zdolnych powalić człowieka jednym kopnięciem... W tych górach mogły również grasować wilki, rysie czające się na drzewach i skaczące na ludzi z gałęzi, a może nawet niedźwiedzie?

Gdyby Bailey nie miała na sobie jaskraworóżowej kurtki, na pewno by jej nie zauważył. Zasłaniał ją bowiem gruby pień najbrzydszego drzewa, jakie Philip w życiu widział. Zza tego pnia wystawały tylko nogawki dżinsów i jeden różowy rękaw. Czyżby się powiesiła? Może postępek Jamesa i przynębiający nastrój oraz wygląd tego miejsca doprowadziły ją do takiej desperacji?

W panice, z sercem kołaczącym w piersi, popędził w stronę drzewa. Zanim się do niego dostał, musiał przejść pod dwoma nisko zwisającymi konarami. Dopiero wtedy stwierdził, że Bailey wprawdzie żyje, lecz zachowuje się dziwnie. Patrzyła nieruchomo w górę w takim zachwycie, jakby widziała tam jakąś niezmierną zjawę. W pierwszej chwili Philip pomyślał, że stało się coś gorszego od samobójstwa - ta kobieta postradała zmysły!

- Bailey! - powtórzył ścisłym głosem, a kiedy nie zareagowała, spróbował po staremu: Lillian!

Nie przestawała jednak patrzeć w górę. Powoli zaczął przybliżać się do niej, ale przez cały czas patrzył uważnie pod nogi. Wiedział bowiem, że ludzie, którym zagraża atak grzechotnika, powinni stać spokojnie i unikać gwałtownych ruchów. Może więc dlatego Lillian się nie poruszała, że pełzył w jej stronę jadowity wąż?

- Bailey - przemówił do niej łagodnie. - Jedźmy już stąd. Nie musisz wcale tu zostawać. Jeśli zechcesz, kupię ci jakiś mały domek gdzie indziej.

- A wiesz przynajmniej, co to jest? - wyszeptwała.

Philip posłusznie spojrział w górę, ale jedyne, co widział przed sobą, było to stare drzewo, nadające się tylko do ścięcia albo nawet wykarczowania.

- Pewnie, to paskudny, stary drapak, ale nie musisz na niego patrzeć - zapowiedział stanowczo i położył rękę na jej ramieniu, aby ją stamtąd odciągnąć. Bailey jednak patrzyła na drzewo z nabożnym podziwem.

- To bardzo stare drzewo czarnej morwy - poinformowała go z powagą.

- Aha. - Puścił mimo uszu te słowa, ściskając mocniej jej ramię.

- A nie słyszałaś, jak Chińczycy oszukali Jakuba Pierwszego? - zachichotała.

Co za Jakuba, do cholery? Philip nie od razu skojarzył, że chodzi o króla Anglii, niedołęznego następcę Elżbiety I. Co jednak angielski król miał wspólnego ze starą, zrujnowaną farmą w Wirginii?

- Widzisz, król Jakub koniecznie chciał sprowadzić do Anglii drzewa morwowe, aby móc hodować jedwabniki i czerpać zyski z produkcji jedwabiu - tłumaczyła mu Lillian. - Wiesz przecież, że jedwabniki żywią się liśćmi białej morwy, prawda? No, więc Jakub zakupił w Chinach tysiące drzewek morwy, ale dostawcy go nabrali! - Ze śmiechem wskazała na liść drzewa. - Wysłali do Anglii drzewka czarnej morwy, której liści jedwabniki nie jadają!

Philip spojrział na zegarek. Była już druga po południu. Na dojazd do lotniska trzeba przeznaczyć trzy godziny, a lot miał zarezerwowany na godzinę szóstą. Musiał tylko wykupić jeszcze dodatkowe miejsce w samolocie dla Bailey.

- Może opowiedziałabyś mi to wszystko w drodze powrotnej? - spróbował delikatnej perswazji.

- Ja nigdzie nie jadę - oświadczyła stanowczo Bailey.

Tym razem Philip miał ochotę się rozpłakać. Czy kobiety zawsze muszą robić mężczyznom na złość?

- Ależ, Bailey! - chciał stanowczo przemówić jej do rozsądku. - Przecież nawet nie widziałas tego domu w środku! To zupełna ruina, drzwi wypadły z futryny, kiedy próbowałem je otworzyć, a wewnątrz śmierdzi stęchlizną. Jak możesz choćby pomyśleć o spędzeniu tutaj nocy?

- Zaraz, a to co takiego? - wpadła mu w słowo.

Tym, co oboje usłyszeli, był odgłos parkowania potężnej ciężarówki na dawno nieużywanym, żwirowanym podjeździe.

- Och, nie, tylko nie to! -jęknął Philip, podczas gdy Bailey przeskoczyła przez nisko zwisające konary drzewa i pobiegła w tamtym kierunku, przedzierając się wśród chaszczki.

Przywieziono zamówione meble!

### 3

Dwaj muskularni tragarze, którzy przyjechali meblowozem, zatrzymali się na chwilę, aby zza pleców Bailey zajrzeć do domu przez wyrwane drzwi. W środku wiatr wpadający przez wybite okno poruszał pajęczyny i wznosił tumany kurzu.

- Państwo nie spodziewali się nas, prawda? - przerwał kłopotliwe milczenie jeden z ekspedytorów.

- Zaszła pomyłka. - Philip próbował wyjaśnić sytuację. - Chcielibyśmy odesłać te meble z powrotem.

- Ale my nie możemy ich zabrać! - wymawiał się ekspedytor. - Widzi pan, ciężarówka jest moja, ale meble należą do firmy. Zapłacili mi za transport w jedną stronę, gdybym więc przywiózł je z powrotem, kazaliby mi pokryć koszty przejazdu.

- Ja pokryję wszystkie koszty... - zaczął Philip, ale Bailey nie dała mu skończyć.

- Wcale nie mam zamiaru ich odsyłać. Wstawię te meble do domu, kiedy tylko... - Nie od razu znalazła właściwe określenie, więc tragarz, unosząc brwi ze zdziwienia, podpowiedział:

- Wyremontuje go pani?

- Może podjadę tyłem pod sam dom? - podsunął jego kolega. - Wygląda mi, jakby wystarczyło go stuknąć, żeby się zawalił.

Wyższy i masywniejszy z ekspedytorów -jak się okazało, właściciel ciężarówki - spoglądał na Bailey z troską połączoną z pobłażliwą wyższością, gdyż przerastał ją mniej więcej dwukrotnie.

- A nie ma tu jakiegoś miejsca, gdzie moglibyśmy wyładować meble, zanim pani wyremontuje dom? - zagadnął. - Może znajomi mają duży garaż?

Bailey przygryzła dolną wargę i pokręciła przecząco głową. Nie miała tu przecież żadnych znajomych, a wzroku Philipa wolała unikać. Wiedziała przecież, że on tylko czeka, aby „zmańdrzała”. Jest to popularny męski eufemizm, oznaczający ni mniej, ni więcej, tylko to, żeby przyznała mu rację i postąpiła tak, jak jej nakazywał.

Drugi ekspedytor przezornie powstrzymał się od dalszych komentarzy na temat stanu domu.

- Czy nie można by postawić tych mebli w stajni? - zaproponował.

- W stajni? - Bailey uniosła głowę ze zdziwienia. - To tutaj jest jakaś stajnia?

Robotnik pokazał palcem w stronę kępy drzew, spomiędzy których wystawała kalenica budynku noszącego ślady czerwonej farby.

- Albo to jest stajnia, albo remiza strażacka - zażartował.

Nikt się nie roześmiał z jego dowcipu, ale Bailey momentalnie ruszyła w tamtym kierunku, jedną ręką osłaniając twarz, a drugą rozgarniając gałęzie i pnącza, które tarasowały jej drogę.

- Będę pamiętał, żeby panu nie dać napiwku! - rzucił ze złością Philip pod adresem ekspedytora, który wspomniał Bailey o stajni. Potem sam podążył za nią, a tragarze jego śladem.

Rzeczywiście, w odległości niecałych stu metrów znajdowała się stajnia, choć dotrzeć do niej nie było łatwo, zielska i krzaki bowiem pozarastały wszystkie ścieżki. Na przedramieniu Bailey pojawiły się trzy świeże zadrapania.

Nie była to typowa stajnia czy obora, przystosowana do

hodowli stada koni lub krów. Budynek wyglądał raczej na ogólnoużytkowe pomieszczenie gospodarcze, w którym poprzedni właściciel - amator - trzymał trochę narzędzi rolniczych i może jednego czy dwa konie pod wierzch.

Bailey mocowała się z ciężkimi wrotami, usiłując je otworzyć. Dołączyli do niej ekspedytorzy, którzy stwierdzili, że okucia drzwi są masywne, choć zardzewiałe od długiego nieużywania. Podczas gdy Philip stał z boku ze ściągniętymi ustami na znak dezaprobaty, Bailey z pomocą tragarzy udało się odsunąć jedno skrzydło. Wionął stamtąd tuman kurzu i drobinek słomy, od czego wszyscy zaczęli kaszleć.

- Kiedy ostatni raz ktoś to otwierał? - zagadnął drugi pracownik, odchrząkując, aby pozbyć się kurzu z gardła.

- Nie mam pojęcia - wyjaśniła Bailey, wykonując kilka głębokich wdechów i wydechów. - Po raz pierwszy zobaczyłam to miejsce mniej więcej godzinę temu.

- To pani kupiła ten dom w ciemno?! - wykrzyknął tragarz takim tonem, jakby uważał ją za ostatnią idiotkę.

- Nie kupiłam, tylko odziedziczyłam - rzuciła przez ramię Bailey, zajęta oglądaniem wnętrza stajni. Przez wysoko umieszczone okno wpadało tam światło słoneczne, ale i tak oczy musiały się przyzwyczaić do półmroku. W środku znajdowały się kostki wysuszonego siana, części końskiej upręży rozwieszona na jednej ścianie, a kilka połamanych łopat na drugiej. W głębi dostrzegła także kilka pustych boksów, w których kiedyś stały konie. Ogólnie wydawało się, że budynek ten jest w lepszym stanie niż dom mieszkalny. Przy najmniej dach tu nie przeciekał. Bailey zwróciła się więc do towarzyszących jej mężczyzn i oznajmiła: - Wniesiemy te meble tutaj!

- Ciekawe, jak masz zamiar to zrobić - rzucił z ironią Philip. Rzeczywiście, do stajni nie prowadziła nawet ścieżka, a co dopiero podjazd odpowiedni dla ciężarówki! Bailey nie od razu znalazła odpowiedź, ale po chwili twarz jej się rozjaśniła.

- Zaraz, przecież kupiłeś mi samochód terenowy, z napędem na cztery koła! Utorujemy sobie drogę.

Odwróciła się i pomknęła z powrotem wąskim przejściem, które we czwórkę wydeptali wśród zarośli.

- Jak baba wbije sobie coś do głowy, to jej pan nie przetłumaczy! - mruknął pod nosem robotnik i zachichotał, kiedy Philip udał, że tego nie słyszy.

Po kilku godzinach stajnię zapełniły skrzynie, pudła i meble osłonięte pokrowcami. Bailey dała za to tragarzom pięćdziesiąt dolarów napiwku.

- Teraz nie możesz pozwalać sobie na taką rozrzutność! - przestrzegł Philip, gdy ekspedytorzy odjechali. - Jeśli już musisz dać komuś napiwek, przeznaczaj na to mniejsze sumy.

Bailey szła przed nim, ale nawet nie odwróciła głowy. Kiedy dotarli z powrotem do domu, Philip chwycił ją za ramię i wytoczył dalsze argumenty.

- Słuchaj, Lil... to znaczy Bailey... Musimy porozmawiać poważnie. Przecież nie możesz zostać sama w tym... - Trudno mu było znaleźć odpowiednie określenie dla tak zaniedbanej rudery Odkąd znał Bailey, zawsze żyła w pałacach, otoczona służbą i zbytkiem, poświęcając większość czasu na zabiegi upiększające, podobnie zresztą jak i jego żona. - Zachowujesz się jak Maria Antonina udająca pasterkę. Nie masz bladego pojęcia, ile pracy wymaga takie miejsce.

- W gruncie rzeczy nie mam bladego pojęcia o niczym, prawda? - Bailey dokończyła niedopowiedzianą myśl. - Tylko powiedz mi, jakie mam inne wyjście.

- Ja się tobą zaopiekuję - bez namysłu zapewnił Philip. - Kupię ci inny dom i...

Oczy Bailey zwięziły się ze złości, kiedy natarła na niego.

- Ach, więc na to spożytkujesz pieniądze, które otrzymałeś od Jamesa Manville'a? Najpierw kupisz mi dom, potem mnie tam osadzisz i będziesz utrzymywał? - Im bliżej podchodziła, tym bardziej zniżała głos. - A może chciałbyś zająć miejsce Jimmiego? Jeśli jeden facet mógł wziąć mnie na utrzymanie, czemu ty nie miałbyś zrobić tego samego? Ale to, że przez szesnaście lat żyłam w zamknięciu, wcale nie



oznacza, że będziesz mógł zamknąć mnie w następnym haremie!

Oszołomiony Philip zamrugał oczami i cofnął się o krok.

- Nie o to mi chodziło. Chyba sama widzisz, że ten dom nie nadaje się do zamieszkania.

- Owszem, ale za to jest mój! - wrzasnęła z pasją, kiedy zaś Philip wzdygnął się, jeszcze gwałtowniej na niego natarła. - Myślę, że zasłużyłam przynajmniej na to za wszystkie upokorzenia, jakich doznałam na przyjęciach, na które Jimmie mnie zabierał. Pamiętam, jak wszyscy śledzili każdy mój ruch i każdy kęs, który podniosłam do ust. Myśleliście, że nie słyszałam tych szeptów za moimi plecami? Jaka to jestem gruba i brzydka, jak nie pasuję do takiego prężnego biznesmena jak Jimmie?

- Ja nigdy nic takiego nie mówiłem! - zaprotestował Philip. - Nie rób ze mnie kozła ofiarnego!

- To dlaczego pracujesz dla Atlanty i Raya? - wyrwało się jej, choć poniewczasie ugryzła się w język. Wcale nie chciała dać mu do zrozumienia, jak ocenia jego postępowanie.

Philip nie spieszył się z odpowiedzią, bo zarówno jego wrodzona powściągliwość, jak i prawnicze nawyki zawodowe nie pozwalały mu na zbytnią wylewność. Za to zresztą James najbardziej go cenił.

- Zaufaj mi - wykrztusił wreszcie. - Tylko o to jedno cię proszę. Żebyś mi ufała.

Przez chwilę oboje mierzyli się wzrokiem i żadne nie ustępowało, aż w końcu Philip rozładował napięcie uśmiechem.

- To całkiem niezły pomysł z tym haremem i z tobą w roli faworyty...

Bailey aż rozdziawiła usta ze zdumienia. Czyżby mówił serio? Potrzebowała mniej więcej minuty, aby zdać sobie sprawę, że to była prowokacja, w dodatku natury seksualnej! Dotychczas jedynie Jimmie pozwalał sobie na coś takiego, i to nieczęsto. Z początku więc nie wiedziała, jak ma odpowiedzieć, ale w końcu pomyślała sobie: „Co szkodzi pożartować?”

- Dobrze, ale musisz mianować mnie drugą żoną, zaraz po Carol, albo nie mamy o czym mówić. A jeśli urodzę ci syna, to on ma zostać sułtanem, jasne?

Philip roześmiał się, ale zaraz umilkł i w zadumie dodał:

- Przykro mi, że nigdy nie próbowałem cię lepiej poznać.

- Mnie też - odrzekła, uśmiechając się do niego.

- Czy dlatego, że nie próbowałaś poznać mnie, czy siebie samej?

- Jedno i drugie. - Nachyliła się bliżej ku niemu i pocałowała go w policzek.

- A wiesz, co do tego syna... - W oczach zabłyśły mu wesołe iskierki. - Mam strasznie słabą jakość nasienia, więc musielibyśmy próbować nieskończoną ilość razy.

- Zjeżdżaj stąd! - pogroziła mu ze śmiechem.

Zanim Philip niechętnie wsiadł do samochodu, najpierw zostawił Bailey listę numerów telefonów, pod którymi będzie uchwytny. Jeszcze z okna wykrzykiwał:

- Gdybyś tylko czegoś potrzebowała, zaraz daj mi znać!

- Kolacji! - zawołała za nim, kiedy już na wstecznym biegu wycofywał się po żwirowanym podejździe, obecnie zaorniętym chwastami. - I sklepu spożywczego!

Nie ruszała się z miejsca, dopóki nie ucichł odgłos silnika. Dopiero wtedy opuściło ją napięcie, choć wokół otaczały ją chaszcze wysokości człowieka, drzewa ze zwisającymi konarami i kolczaste pnącza. Zza jednego z drzew dochodził jakiś szelest. Czyżby prześlizgiwał się tam wąż, czy może ktoś się skradał, aby ją śledzić?

Przymknęła oczy, przełknęła ślinę i odmówiła krótką modlitwę: „Dobry Boże, miej mnie w opiece tak samo jak przedtem”. Chciała jeszcze coś dodać, ale na koniec uznała, że to wystarczy. Dotychczas szczęściło jej się w życiu, prosiła więc Boga tylko o to, aby tak już zostało.

Spojrzała w stronę, skąd dochodził podejrzany szelest, i stwierdziła, że to tylko dwie gałęzie ocierają się o siebie. Nie osłabiło to jej lęków, gdyż słyszała więcej niepokojących

odgłosów i dostrzegała potencjalne kryjówki dla ludzi i zwierząt. Wzięła się jednak w garść na tyle, że pobiegła w stronę stajni.

#### 4

Następnego ranka Bailey zaraz po przebudzeniu nie wiedziała, gdzie jest. Odruchowo sięgnęła w stronę, gdzie przez pół życia znajdowała przy sobie Jimmiego. Nie zmartwiła się jednak, gdy nie natrafiła na jego ciepłe ciało. Przecież często wyjeżdżał w interesach, robić pieniądze lub je wydawać.

Do rzeczywistości przywrócił ją dopiero warkot ciężarówki. Kiedy odwróciła się na plecy, dostrzegła wysoko umieszczone okno. To jej przypomniało, że Jimmie nie żyje, a ona została zupełnie sama.

Z zewnątrz dobiegał śpiew ptaków, szum wiatru w koronach drzew i zgrzyt kół ciężarówki na żwirze. Dawno już nie słyszała takich odgłosów, bo domy, które kupował Jimmie, leżały zawsze wśród zieleni, a z kamiennych tarasów często rozciągał się widok na przestwór oceanu. Żwirowanych podjazdów jej mąż nie uznawał.

Tragarze poprzedniego dnia od razu rozstawili dla niej łóżko. Wcale nie pasowało ono do tego wnętrza - zrobione z pomalowanych na biało desek, stylizowane na antyk, wyglądało jak reklama bielizny pościelowej umieszczona w głównym maneżu stajni. Bailey musiała przeszukać sześć skrzyń, zanim trafiła na pościel. Philip pomógł jej rozłożyć białe bawełniane prześcieradło, oblec poduszki i ułożyć u wezgłowia chyba z pół tuzina, a potem przykryć to wszystko białą, puszystą narzutą. Żartował przy tym, że takie białe łoże na tle kostek sprasowanego siana wygląda jak dekoracja do filmu reklamowego.

Ledwo Philip odjechał za dostawcami mebli, Bailey od razu położyła się do łóżka. Wyrzucała sobie przy tym, co ona

najlepszego zrobiła. Gdyby miała przy sobie telefon komórkowy, pewnie od razu zadzwoniłaby do Philipa, żeby wrócił i zabrał ją stamtąd. W tym momencie była gotowa zgodzić się na wytoczenie procesu Atlancie i Rayowi o należną jej część spadku, za którą kupiłaby sobie jakiś naprawdę porządny dom...

Porzuciła jednak te myśli, gdyż ciężarówka była coraz bliżej. Po chwili usłyszała już charakterystyczny pisk hamulców. Czyżby powrócili ekspedytorzy, aby zabrać meble? Na wszelki wypadek odrzuciła kołdrę i wsunęła nogi w buty.

Toporne wrota stajni ciężko się otwierały, więc Bailey dorzuciła w myśli do listy niezbędnych zakupów puszkę smaru. Szybko przemierzyła wyjeżdżoną już ścieżkę między stajnią a domem, przed którym stała teraz potężna, biała ciężarówka z nadrukiem na skrzyni: Ekipa Porządkowo-Remontowa „Wiking”, ozdobiona rysunkiem muskularnego osobnika w hełmie z rogami i mopem w garści.

Drzwi ciężarówki otworzyły się i z szoferki wyskoczył mężczyzna w granatowym kombinezonie, trzymający kwitariusz.

- Pani Bailey James? - zapytał.

Nie od razu przypomniała sobie, że tak brzmi teraz jej imię i nazwisko!

- Tak, ale ja nie zamawiałam sprzątanania... - tłumaczyła się, przecierając oczy, podczas gdy drugimi drzwiami ciężarówki wysiadło jeszcze dwóch ludzi.

- To może dobra wróżka spełniła pani życzenie? - zażartował pracownik firmy, obrzucając spojrzeniem dom z leżącymi na ziemi drzwiami i wybitymi szybami w oknach, przez które widać było pokoje pełne śmieci i pajęczyn..

Bailey spojrzała na niego z niedowierzaniem, bo nie przywykła do takiej śmiałości ze strony personelu usługowego. Mało tego - w oczach robotnika dostrzegła wesołe błyski, czyli coś, co ostatnio często widywała u mężczyzn. Oznaczało to, że sprzątacze po prostu podpuszczają ją, podobnie jak Philip. Podchwyciła więc z udaną powagą:

- A pan jest księciem z bajki, tak?

Gdyby to samo powiedziała miesiąc temu do któregoś z otaczających ją panów, pewnie skrzywiłby się z niesmakiem i odszedł. Ci ludzie natomiast tylko parsknęli śmiechem, a dla jej rozmówcy, cokolwiek by powiedziała, było dobre.

- Jeśli pani sobie życzy, firma „Wiking” może załatwić nawet księcia! - skłonił się szarmancko, podsuwając jej bloczek do podpisu.

W nagłówku rachunku figurowało nazwisko zlecającego - Philip Waterman. Kochany Philip - pomyślała Bailey, podpisując zlecenie. Wprawdzie nie postawił jej kolacji, za to przysłał fachowców od sprzątaniania! Przez chwilę miała ochotę odprawić ich, pragnąc zmanifestować swą niezależność, ale odstraszyła ją wizja tygodni spędzonych na kolanach przy szorowaniu podłóg. Zwróciła więc podpisany rachunek pracownikowi firmy.

- Hej, Hank! - krzyknął jego kolega z werandy. - Co mam z tym zrobić?

Bailey musiała naokoło obejść rozrośnięty krzew, żeby zobaczyć, co ten człowiek ma na myśli. Na ziemi przy wyważonych frontowych drzwiach piętrzyły się pudła i torby, a we framugę przyległego okna powitykano mnóstwo karteczek.

Kierowca ciężarówki czekał na odpowiedź, Bailey więc pospiesznie zaczęła przerzucać paczki. W jednym pudle znajdował się żaroodporny półmisek, mieszczący zapiekankę z tuńczyka i makaronu. „Witamy!” - głosił dołączony bilecik, podpisany: Patsy Longacre. Oddzielnie leżały dwa zapakowane w folię pieczone kurczaki, ale do nich nie załączono żadnego liściku. Ktoś podrzucił nawet pół funta gwoździ w torebce z zatłuszczonego papieru, a do środka włożył karteczkę wyrwaną ze szkolnego zeszytu. Napisał na niej: „Myślę, że to się może przydać”. W innej torebce znalazła cztery jabłka, pojedynczo zawinięte w gazetę, a w litrowym słoju z wytartym blaszanym wieczkiem - opatrzonym etykietką „Iris Koffman” - domowe pikle. Do parapetu okiennego poprzywiązywano sznurkiem trzy bukiety polnych kwiatów, a oparta o ścianę stała obok zardzewiała motyka. Przyczepio-

na do niej, niepodpisana karteczka głosiła: „Pani na pewno będzie tego potrzebować, a mój mąż, Bóg mi świadkiem, nigdy jej nie używa”.

W spazzonej framudze okiennej potworzyły się centymetrowe szpary, toteż wystarczyło tam miejsca na masę wizytówek i folderów. Za ich pomocą reklamował się zarówno przedstawiciel firmy ubezpieczeniowej, której biuro mieściło się przy Main Street w Calburn, jak też specjalista od studni i pośrednik w sprzedaży nieruchomości, który posługiwał się sloganem: „Jeśli chcesz coś sprzedać - zadzwoń do mnie”. Bailey ucałowała tę wizytówkę, zanim wsunęła ją do kieszeni džinsów.

- O, ja też mam taką! - zażartował jeden z członków ekipy remontowej, ale Bailey puściła tę aluzję mimo uszu.

- Już ja się tym zajmę, a panowie mogą zacząć sprzątanie - obwieściła.

- Szkoda, że w poprzednim miejscu zostawiliśmy miotacz płomieni! - zareplikował któryś z pracowników, zaglądając do środka przez brudne okno. Bailey rzuciła im spojrzenie mające oznaczać: „Do roboty!”, ale nie zareagowali tak, jak zwykle reagował personel na karcące spojrzenie Jimmiego. Roześmiali się tylko i zaczęli wynosić z ciężarówki sprzęt i środki czyszczące.

Tymczasem Bailey wydobyła dużą kopertę, zatknęta w szparę w ramie okiennej. Wewnątrz znajdował się pakiet z powitaniem od miejscowej Izby Handlowej, której przewodniczyła pani Janice Nesbitt. Załączono doń plan miasta Calburn, z zaznaczoną Main Street i trzema odchodzącymi od niej ulicami. Wczoraj Philip przywiózł ją tu z przeciwnego kierunku, nie zdążyła więc zobaczyć miasta, a teraz ze zdziwieniem stwierdzała, ile mieści się tutaj sklepów i punktów usługowych. W rogu planu narysowano strzałkę, a przy niej widniało objaśnienie: „To jest droga do Twojego domu”.

„Raczej droga donikąd” - mruknęła pod nosem Bailey, ale gdy podniosła wzrok, dostrzegła, że pracownik ekipy remontowej podsuwa jej puste pudło. Podziękowała mu

uśmiechem, bo takie właśnie pudło w sam raz pomieściło przesyłki od mieszkańców miasteczka. Pomyślała przy tym, że kiedy... no, wyglądała inaczej - wtedy nikt nie wykazywał takiej troski o nią.

Zaniosła pudło do stajni, bo właśnie uświadomiła sobie, że jest głodna, a wołała zjeść coś bez świadków. Potrzebowała też czasu, aby przyzwyczać się do myśli, że zamieszka teraz wśród ludzi, którzy mają zwyczaj obdarowywać nowo przybyłych upominkami. Jednakże nie nacieszyła się długo samotnością, bo usłyszała klakson samochodowy. Domyśliła się, że ktoś ją przywołuje, więc z udkiem kurczęcia w jednej ręce, a jabłkiem w drugiej wybiegła na dwór. Stała jak wryta, bo zobaczyła na podjeździe kolejne trzy ciężarówki i jeszcze dwie na szosie, a dla dalszych czterech kierowcy szukali miejsca do zaparkowania. Równocześnie Bailey otoczyło ośmiu mężczyzn, wyciągając bloczki rachunków do podpisu.

- Przepraszani, chłopaki, ale chciałbym jakoś stąd wyjechać. Pani Bailey James, prawda? - Pracownik w służbowym uniformie firmy „FedEx” nie czekał na potwierdzenie, tylko wręczył jej przesyłkę i bloczek do podpisu.

Cóż miała robić? Podpisała przekaz i otworzyła paczuszkę, która zawierała dwie koperty z adresem zwrotnym Philipa. Wjednej znajdował się liścik: „To prezent na parapetówkę. Nie krępuj się, na biednych nie trafiło!” - Philip najwyraźniej zapisywał wszystkie wydatki na rachunek Atlanty i Raya, gdyż w drugiej kopercie znalazła plik nowiutkich banknotów pięćdziesięciodolarowych, prosto z banku. Dołączył do nich notatkę: „Przecież wiem, jakie napiwki lubisz dawać”.

Bailey z uśmiechem podniosła oczy znad przesyłki. Wokół niej stało już chyba ze dwunastu pracowników różnych firm, podsuwając jej do podpisu coraz to nowe zlecenia.

- Proszę, kto pierwszy? - zachęciła, wyciągając rękę po dokumenty. Podpisywała je bez czytania, choć czuła, że duch Jimmiego krzywi się na ten widok.

- Czy mogłaby pani pokazać mi, jak przebiega instalacja gazowa? - dopytywał jeden z monterów.

- Gdzie założyć gniazdka telefoniczne? - nagabywał drugi.

- A gdzie pani ma licznik prądu? - chciał wiedzieć kolejny.

- Naprawdę nie wiem - odpowiedziała wszystkim naraz Bailey. — Sama jeszcze nie byłam w środku.

Po tym komunikacie zapadła cisza, bo trudno było uwierzyć, że właścicielka domu mogła jeszcze nie widzieć jego wnętrza. Robotnicy popatrzyli po sobie i na pewno pomyśleli: „To jakaś wariatka”.

- Ja tu jestem od dwudziestu minut, a też jeszcze nie widziałem tego domu, taka tu dżungla! - przyszedł jej z pomocą mężczyzna przedstawiający się jako pracownik przedsiębiorstwa kształtowania terenów zielonych. — Otrzymaliśmy polecenie, żeby oczyścić teren, wyciąć i wykosić, co się da. Wysłałem już kolegę po piłę łańcuchową i kosiarkę. Ma pani dla nas jakieś specjalne zlecenia?

Bailey zrobiła wielkie oczy, bo jak mogła dawać jakiegokolwiek zlecenia dotyczące ogrodu, którego w życiu nie widziała? Pokręciła więc przecząco głową, ale gdy już odchodził - zawołała za nim:

- Tylko proszę uważać, żebyście nie uszkodzili morwy!

Nie przerywając marszu, konserwator ze śmiertelną powagą odparował:

- Aha, mamy uważać, żeby nie wypłować tego nieszczęśnika, którego to drzewo pożarło?

- Właśnie, bo ono potrzebuje go jako nawozu - odpaliła Bailey w tym samym duchu. - Koszty stypy proszę doliczyć do rachunku.

- Zrobi się! - odrzyknął fachowiec, markując salutownie. Także inni tylko się uśmiechnęli i udali w kierunku domu. Bailey poszła w ślad za nimi, by wreszcie obejrzeć siedzibę, którą Jimmie zapisał jej w spadku.

Przekraczając leżące u progu drzwi, na chwilę zamknęła



oczy i pomodliła się do swego anioła stróża. Miała nadzieję, że wewnątrz domu okaże się mniej odpychające niż jego widok z zewnątrz.

Już po czterech krokach przekonała się jednak, że zarówno anioł stróż, jak i jej opiekuńcza dobra wróżka musieli akurat być na urlopie. Znalazła się w małym, dusznym i mrocznym, pozbawionym okien pomieszczeniu, które wyłożono ordynarną, brązową wykładziną drewnopodobną, zrobioną nie wiadomo z czego. Podobnymi, ale jeszcze bardziej odrapanymi i powyginanymi płytami wyłożony był drugi, większy pokój, do którego prowadziły wąskie drzwi wycięte w murze. Nie było tam okien, za to aż pięćdziesiąt drzwi.

Bailey ostrożnie otworzyła jedną z nich i jej oczom ukazał się następny pokój, długi i wąski, z taką samą pseudoboazerią. Dopiero tu w jednej ze ścian znajdowało się wysoko niewielkie okno w aluminiowych ramach. Nie przepuszczało jednak za wiele światła. Bailey wróciła więc do większego pokoju, starając się nie nadepnąć na sznury odkurzaczy pracujących z ogłuszającym rykiem. Otworzyła inne drzwi, za którymi znalazła podobną sypialnię, też z oknem umieszczonym za wysoko, aby przez nie wyjrzeć.

Trzecie z kolei drzwi prowadziły do łazienki z różową glazurą, upstrzoną niegustownymi, drobnymi kwiatkami. Właściwie w tym pomieszczeniu każda powierzchnia miała jakiś deseń: ściany nad kafelkami w kwiatki oklejono winylową tapetą - również w kwiatowy wzór - sufit pokrywały imitacje stiuków, a płytki posadzki, mające naśladować skórę czy coś podobnego, sprawiały wrażenie, jakby ich było więcej, niż trzeba. Chyba same wyrosły, bo nikt by czegoś takiego nie zaprojektował!

Bailey przyjrzała się drzwiom do łazienki, aby sprawdzić, czy mają zamek. Nie chciała, żeby ktokolwiek zobaczył to wewnątrz - człowiek o słabym sercu mógłby po prostu nie przeżyć takiego koszmaru.

Za piątymi drzwiami znajdowała się mała, wąska kuchon-

ka z niedużym okienkiem nad zlewem, niewystarczającym, by mogło rozproszyć półmrok. Szafki wiszące na ścianach ledwo się trzymały, były brudne i zrobione z lichego materiału.

- Nie dam sobie z tym rady - odezwał się pracownik firmy porządkowo-remontowej, pochylony nad jedną z szafek. - Mogę spróbować je oczyścić, ale nie jestem przecież stolarzem.

- Niech pan zrobi tyle, ile pan może - rozstrzygnęła problem Bailey, idąc na drugi koniec kuchni urządzonej na wzór okrętowego kambuza. Znajdowały się tam drzwi do jedyne- go pomieszczenia, które przypominało jej dotychczasowe wyobrażenie o wiejskim domu. Światło dostawało się tam przez wysokie, zdobione kasetonami, staroświeckie okno, pod którym był zainstalowany kamionkowy zlew, osadzony w masywnym drewnianym blacie, pełnym szram od intensywnego użytkowania. Błat trzymał się na grubych, toczonych nogach, a pod nim stały kamionkowe i gliniane garnki i beczułki, w których dawniej kisiło się kapustę i ogórki. Na bocznych ścianach wisiały pomalowane na biało półki, zastawione brudnym i zasnutym pajęczyną różnego rodzaju sprzętem kuchennym. Znajdowały się tam weki, w których ktoś robił kiedyś przetwory, emaliowane czajniki i kociołki, lejki, osączarki do sera i szczypce oraz stosy pożółkłych ścierek, w których pająki urządziły sobie gniazda. W końcu Bailey zobaczyła coś, co przyspieszyło bicie jej serca - metalowe pudełko z wytłoczonym słowem „Przepisy”.

- Czy chce pani, żebym wyrzucił te rupiecie? - dopytywał pracownik, zaglądając jej przez ramię. - Tylko w tym pokoju w ogóle *coś* było, wszystkie inne są puste. Możemy wywieźć to wszystko na śmietnik.

- Nie! - zaprotestowała gwałtownie Bailey, potem spokojniej dodała: - Niech pan to zostawi. Proszę tu posprzątać, ale niczego nie wyrzucać. Chciałabym zachować nawet te słoiki i wieczka, bo teraz już się takich nie znajdzie. Niech pan tylko oczyści je i zostawi tutaj.

W nagłym impulsie przycisnęła do siebie metalowe pudełko z przepisami.

- Tak jest, panie kapitanie! - uśmiechnął się pracownik. Jeszcze weselszą minę zrobił, kiedy Bailey musiała przecisnąć się obok niego w ciasnym przejściu.

Z kuchni można się było dostać do zmywalni - ze staroświecką zmywarką i osączarką do naczyń, utrzymanymi w zielonym kolorze awokado. Drzwi wychodziły stamtąd bezpośrednio na dwór. Bailey otworzyła je ostrożnie, w obawie, aby nie upadły wprost na nią. Gdy nacisnęła klamkę - zatrzeszczały, na wszelki wypadek osłoniła więc głowę ramieniem. Na szczęście zawiasy trzymały mocno, toteż mogła wyjrzeć na zewnątrz. Po podwórzu uwijali się mężczyźni i krzepkie kobiety, obsługując przeróżne maszyny. Jedna z nich, przypominająca toporny, zielony traktor, z kierowcą siedzącym w przeszklonej kabinie, kosiła roślinność od domu do samej granicy posiadłości, której powierzchnia - zgodnie z aktem darowizny - wynosiła dziesięć akrów. Inny pracownik usuwał suche gałęzie ze starej jabłoni, a drugi, zabezpieczony skórzanym pasem, poddawał temu samemu zabiegowi wiekowy klon.

Chyba mogła zaufać Philipowi, że ci ludzie wiedzą, co robią! Zamknęła więc drzwi, izolując się od hałasu na dworze, lecz wcale nie mniejszy robiły maszyny w centralnie usytuowanym pokoju. Ostatnie prowadzące stamtąd drzwi otwierały się na hall, w którym było kilka dalszych par drzwi. Zaczynały się tam również schody na górę, skąd padało światło. Po prawej stronie znajdowała się duża sypialnia i przylegająca do niej łazienka z wydzieloną kabiną prysznicową, wanną i szafą w ścianie. Sypialnia miała nawet mały wykusz i smukłe okna w drewnianych ramach, takie same jak w pomieszczeniu przy kuchni. Kiedyś pewnie spał tutaj poprzedni właściciel domu, a teraz jego miejsce miała zająć Bailey.

Ten pokój miał przynajmniej odpowiedni rozkład i liczbę okien, ściany były jednak obite tak samo paskudną wykładziną jak wszędzie, a glazura i armatura łazienkowa wyjątkowo niegustownie dobrane. Wanna odstraszała ciemnobrązową

emalią, sedes był biały, a dwie umywalki - utrzymane w tonacji zakrzepłej krwi.

Z dreszczem obrzydzenia wycofała się do hallu, skąd przeszła do dalszych dwóch pokojów i jeszcze jednej łazienki. Znajdowały się tam również liczne nisze.

Niestety, wszystkie bez wyjątku pokoje jakby wyszły spod jednej sztancy: wybito je imitacją ciemnego drewna, a łazienki mogły służyć za przykład, jak wiele deseni daje się zastosować w jednym pomieszczeniu. I tak glazura w trzeciej łazience była stylizowana na zielony marmur. Innym rodzajem imitacji marmuru wyłożono blat wokół umywalki, a jeszcze inny stanowił surowiec płytek posadzkowych. Nawet zielona zmywalna tapeta na ścianach powyżej pasa glazury miała wzór przypominający żyłki marmuru.

- Rzygać się chce! - mruknęła pod nosem Bailey, zamykając drzwi za sobą.

Wzięła głęboki oddech, zanim sprawdziła, dokąd prowadzą schody. Zastanawiała się, czy to możliwe, aby znajdowały się tam kolejne sypialnie. Jak dotąd naliczyła ich już pięć. Wynikało stąd, że poprzedni właściciel albo miał dużo dzieci, albo często przyjmował gości. Jeśli Jimmie tu się wychował, byłoby to całkiem możliwe.

Powoli, badając każdy stopień, czy nie załamię się pod nią, dotarła na poddasze. Dopiero tam mogła się uśmiechnąć, mimo że w dachu ziały dwie dziury wielkości pięści, pod które w czasie deszczu podstawiano wiadra. Mimo brudu i zaniedbania facjatka robiła jednak miłe wrażenie, szczególnie mansardowe ściany, w których okna wychodziły na dach. Wpuszczały dużo światła słonecznego, a przy tym nie były umieszczone tak wysoko, żeby nie można było przez nie wyjrzieć. Bailey odstawiła na podłogę uratowane pudełko z przepisami i spróbowała odsunąć zardzewiałą zasuwkę jednego z okien. Udało się je otworzyć i do środka wtargnęło świeże powietrze, a z nim więcej światła, bo brudne szkło nie blokowało mu dostępu. Dzięki temu Bailey mogła dokładniej rozejrzeć się po pokoju.

Przez środek biegła barierka sięgająca jej do pasa, która dzieliła facjatkę na dwie części. Ktoś jednak odpiłował centralny fragment barierki i ustawił go pod przeciwległą ścianą.

Jedna połowa poddasza, od strony schodów, była otynkowana i pomalowana na biało, a druga wyłożona tą samą co na dole, ciemnobrazową imitacją boazerii.

- Jeszcze jedna sypialnia? -jęknęła głośno Bailey. Zamierzała przejść na drugą stronę barierki przez jej wyciętą część, ale coś ją powstrzymało. Z jakiegoś powodu nie ufała podłodze: po jej stronie zrobiono ją z solidnych desek, a po stronie przeciwnej - z płyt sklejk, przybitych gwoździami do legarów. Robiły wprawdzie wrażenie mocnych, ale wolała nie ryzykować stawania na nich.

Za chwilę straciła szansę wypróbowania wytrzymałości podłogi, bo usłyszała trzy krótkie sygnały klaksonu ciężarówki, jakby ktoś trąbił specjalnie, aby ją przywołać. Z goryczą pomyślała, że jeszcze sześć tygodni temu zwracano się do niej: „Czym mogę pani służyć, pani Manville?“, a teraz ktoś na nią po prostu trąbi! Dobrze jeszcze, że nie gwizdże! Mrucząc pod nosem, podniosła pudełko z przepisami i zbiegła na dół, przeskakując przewody wysokiego napięcia, skrzynkę z narzędziami elektryka i leżącego na brzuchu montera od telefonów, który właśnie instalował gniazdko. W biegu krzyknęła pracownikom firmy „Wiking“, żeby nikt nie wchodził na poddasze, bo może to być niebezpieczne.

Przy jednej z ciężarówek czekały na nią dwie kobiety. Obie około trzydziestki, średniego wzrostu i dość ładne, chociaż żadna nie była piękną. Na podstawie fizycznego podobieństwa Bailey wzięła je z początku za siostry, aczkolwiek reprezentowały zupełnie inny styl. Jedna, o ciemnych włosach, miała na sobie koszulową bluzkę, dżinsy i tenisówki. Druga, z włosami ufarbowanymi na blond, nosiła garsonkę z dzianiny, czółenka na wysokich obcasach i tyle złotych bransoletek, że Bailey zastanawiała się, jak ona daje radę podnosić ramiona.

- Dzień dobry, jestem Bailey James. - Wyciągnęła do przybyłych rękę, a w środku rosła z dumy, że nie pomyliła się przy tym nowym nazwisku.

- A ja jestem Janice Nesbitt - przedstawiła się kobieta w garsonce.

- Aha, z Izby Handlowej? - od razu skojarzyła Bailey, zwracając się tymczasem do drugiej pani.

- Tak, to ja. - Janice ucieszyła się, że Bailey zapamiętała jej nazwisko z powitalnej wizytówki. - To wstyd, że nikt inny nie przyjechał, by osobiście poznać panią.

- Wystarczy, że panie przyszły - uśmiechnęła się do nich Bailey.

- Nazywam się Patsy Longacre - włączyła się druga kobieta. - Sądziłam, że pokaże się tu ktoś z miasta, może nawet z Izby Handlowej...

- Zaraz, przecież to pani jest z Izby Handlowej, prawda? - Bailey próbowała wybrnąć z sytuacji.

- Tak, jestem jej przewodniczącą - odrzekła żywo Janice. - Widzę, że u pani dziś wielkie porządki. Nie wiedziałam nawet, że ktoś kupił ten dom. Od kiedy pani go ma?

- Ja... - zaczęła Bailey, aby zyskać na czasie i wymyślić na poczekaniu wiarygodną bajeczkę. Nie mogła przecież powiedzieć prawdy!

- Kiedy po raz pierwszy zobaczyła pani ten dom i postanowiła go kupić? - podpowiedziała Patsy. Bailey w popłochu przebiegała wzrokiem od jednej kobiety do drugiej, ale one, choć stały blisko siebie, patrzyły każda w inną stronę.

- Dostałam ten dom w spadku - wykrztusiła w końcu. - Może panie wiedzą, do kogo przedtem należał?

- To pani tego nie wie? - wycedziła Janice, mierząc Bailey przenikliwym spojrzeniem.

- A po kim pani go odziedziczyła? - dołączyła się Patsy.

Bailey pożałowała, że nie przewidziała takiej ewentualności i zawczasu nie przygotowała sobie zręcznego kłamstwa. Nabrała więc powietrza w płuca i wypaliła:

- Po moim mężu. Jestem wdową i do chwili otwarcia te-

stamentu nie wiedziałam nawet, że posiadał tę nieruchomości. - To akurat było prawdą.

- Boże, jak można nie wiedzieć nic o finansach własnego męża! - zdziwiła się Janice.

Bailey otwierała już usta, żeby powiedzieć *coś* na swoją obronę, ale zmilczała, bo przypomniała sobie, że finansami Jimmiego zajmowały się trzy potężne konsorcja prawnicze. Z uśmiechem zmieniła temat:

- Chętnie bym panie czymś poczęstowała, ale same panie widzą... - Niezdecydowanym ruchem machnęła ręką w stronę domu. - Jestem akurat bardzo zajęta. Wszystkie moje meble stoją w stajni...

- To nic nie szkodzi - oświadczyła pewnym głosem Janice i skierowała się od razu do stajni. Najwidoczniej znała drogę. Nie przeszkadzało jej przy tym, że ma na sobie elegancjki kostium i rajstopy, a ludzie zajmujący się ogrodem nie zdążyli jeszcze wykosić zielska.

- Ją zaraz... - zaczęła Bailey i już ruszyła za nią, ale zauważyła, że druga kobieta, Patsy, nie rusza się z miejsca. Zatrzymała się więc i zaprosiła ją: - Mogę paniom pokazać tę stajnię. Wprawdzie nie bardzo jest tam na czym usiąść, ale jeśli pani pozwoli z nami...

- Z nami? - podchwyciła Patsy. - Powiedziała pani chyba, że jest wdową, więc kto tu jeszcze mieszka? Pani dzieci?

Bailey spojrzała na nieznaną kobietę z przerażeniem. Czyżby się przesłyszała?

- Mówiąc „z nami”, miałam na myśli panią Janice - wytłumaczyła. - Chyba nie przekreśliłam imienia, prawda? Pani Janice Nesbitt?

- Nie znam jej - ucięła krótko Patsy, bezceremonialnie mijając Bailey. - No więc jak, idzie pani?

- Oczywiście - zapewniła Bailey, czując się jak spóźniony widz w teatrze, który dotarł dopiero na trzeci akt sztuki. Ciekawe, o co tym kobietom chodziło.

Zanim dobrnęła do stajni, nowo przybyłe panie już tam

były. Janice zdążyła nawet otworzyć skrzynię oznaczoną „kuchnia”.

- Przepraszam! - oświadczyła stanowczo Bailey, zamykając pudło Janice przed nosem. - Widzą panie, że jeszcze nie zdążyłam się rozpakować. Może byłoby lepiej, gdyby...

- Od roku 1968 nikt tu nie mieszkał. - Patsy nie pozwoliła Bailey dokończyć zdania.

Jimmie miał wtedy dopiero dziewięć lat, a żadnemu z jego biografów nie udało się wykryć, co robił przed szesnastym rokiem życia!

- A kto tu mieszkał przedtem? - Bailey postanowiła pójść za ciosem.

Obie kobiety popatrzyły na nią zdziwionym wzrokiem, jakby pytały: „To pani tego nie wie?” Bailey zorientowała się więc, że sprawa się komplikuje.

- Mój mąż był ode mnie znacznie starszy i nie lubił mówić o swojej przeszłości - wyznała. - Chętnie więc usłyszałabym, co panie wiedzą o tym miejscu.

- Jakie panie? - Patsy prześwidrowała Bailey nieprzyjaznym spojrzeniem. - Jeśli chcesz zamieszkać w Calburn, zapamiętaj sobie, że poza tobą i mną nikogo w tym pomieszczeniu nie ma.

- Aha, rozumiem. - Bailey gwałtownie zamrugała oczami, po czym zwróciła się do Janice: - Ty i ja także jesteśmy tu same?

- Oczywiście - potwierdziła Janice. - No, może poza myszami i innym drobiazgiem. Nie wiem, jakie jeszcze paskudztwo może się pętać po takiej stajni, bo nie mam zielonego pojęcia o rolnictwie.

Patsy parsknęła szyderczo, a Bailey zauważyła, że Janice splecione rumieńcem gniewu i zacisnęła w pięści ręce obwieszane bransoletami. Najwidoczniej posiadanie lub brak kwalifikacji rolniczych stanowiły dla niej drażliwy temat.

- Ja też nie znam się na tym - przyszała jej w sukurs.

- To po coś przeniosła się do Calburn? — wypaliła prosto z mostu Patsy. Bailey nie mogła oprzeć się wrażeniu, że każ-



de jej słowo stanowi pośrednią aluzję skierowaną w Janice, więc spróbowała rozładować sytuację.

- Uważasz, że powinnam była raczej spieniężyć tę ziemię za grube miliony i przenieść się na przykład na Riwierę?

Tym razem Janice roześmiała się, a Patsy zmierzyła Bailey badawczym spojrzeniem.

- No, no, masz niezłe gadane! - orzekła.

- Tobie też niczego nie brakuje, ale uprzedzam, że nie lubię złośliwości, jasne?

- Dobra, kapuję. - Patsy w końcu uśmiechnęła się do Bailey.

- No, więc jakie masz dalsze plany, jeśli mogę spytać? - zagadnęła już uprzejmiejszym tonem Janice. - Chyba że mąż dobrze cię zabezpieczył...

Bailey ledwie mogła uwierzyć, że poznała te kobiety dopiero przed chwilą. Czy w tej Wirginii wszyscy są tacy niedyskretni, że zadają osobiste pytania po dziesięciu minutach znajomości?

- Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, co mam dalej robić — wyznała szczerze. - Mąż zapisał mi w spadku tę farmę i trochę gotówki, ale za mało, żeby starczyło na resztę życia. Pewnie będę musiała rozejrzeć się za jakąś pracą. Wicie może, gdzie są jakieś wakaty?

Janice otaksowała Bailey od stóp do głów.

- Hm, nie wyglądasz mi na „kobietę pracującą” - stwierdziła. - Kim byłaś, zanim wyszłaś za mąż?

- Nastolatką - odparła po prostu Bailey.

- Ja mam w domu dwóch nastolatków, ale to są chłopcy - włączyła się Patsy. - Pracują u swego wujka w warsztacie, ale ty nie znasz się na stolarce, prawda?

- Chciałabym się znać! - westchnęła Bailey. - Ten dom jest w strasznym stanie. W dachu są dziury, a podłoga na poddaszu łąda chwila może się zawalić. Chętnie wyburzyłabym też część ścian działowych, żeby przerobić niektóre sypialnie na coś innego. Jest ich tu tyle, że mogłabym otworzyć pensjonat.

Janice przyglądała się Bailey z ukosa, kiedy oczy nagle jej rozbłysły.

- Już wiem, co powinnaś zrobić - oznajmiła triumfalnie. - Znaleźć sobie nowego męża!

- Chyba nie - roześmiała się Bailey. — Tak kochałam mojego nieboszczyka męża, że nie przypuszczam, aby...

- Oczywiście tu, w Calburn, nie ma zbyt wielu kawalerów do wzięcia... - ciągnęła Janice, tym razem głośniej, nie zwracając uwagi na słowa Bailey.

- Nie mam zamiaru powtórnie wychodzić za mąż! - powtórzyła z naciskiem Bailey. Do tej pory nawet o czymś takim nie pomyślała, a poza tym wcale nie chciała, aby rozmowa zmierzała w tym kierunku. - Może zajrzycie do domu, pokazałabym wam łazienki?

Liczyła, że wygląd tych pomieszczeń odwiedzie je od prób swatania. Zrobiła pierwszy krok w stronę wyjścia ze stajni, ale żadna z tych dziwnych kobiet nie podążyła za nią. Janice wpatrywała się w nią uporczywie, a Patsy spoglądała w kierunku poddasza, jakby przypominała sobie coś związanego z tym miejscem.

- Tym razem potrzeba ci kogoś młodszego, kto mógłby ci się tu przydać - dowodziła uparcie Janice. - Takiego, żeby ci pomógł...

- Ale ja nie... - zaczęła Bailey. Cóż, gdy Patsy znów wpadła jej w słowo.

- Otóż to właśnie! - wykrzyknęła triumfalnie. - Mam świetny pomysł. Musisz znowu wyjść za mąż!

- Przecież Janice dopiero co o tym wspomniała! - zniecierpliwiła się Bailey. - Nie słyszałaś tego? Ona stoi o niecały metr od ciebie!

Patsy nawet nie mrugnęła, tylko rozwijała zaczęłą myśl.

- Musisz wyjść za mąż i nawet wiem, za kogo. Najlepszy byłby dla ciebie mój szwagier, Matthew.

Bailey przyjęła te rewelacje z wymuszonym uśmiechem. Nie lubiła, kiedy ktoś wtrącał się do jej życia prywatnego, i wołała przerwać te swaty, zanim będzie za późno.

- To mile z twojej strony - stwierdziła stanowczo. - Na pewno twój szwagier jest uroczym człowiekiem, ale nie przypuszczam, żeby...

Patsy dalej terkotała jak nakręcona, jakby Bailey w ogóle się nie odzywała.

- On jest rzeczywiście super, ale miał pecha, bo ożenił się z zupełną idiotką. Ledwo Matt trochę stanął na nogi, już uciekła z jakimś facetem. Nie rozumiem, jak można wystawić do wiatru tak cudownego chłopaka jak brat mojego męża, ale to w końcu jej strata. Tak więc Matt już od pół roku mieszka u mnie. Właściwie mogłabym od razu do niego zadzwonić i umówić was na kolację, na przykład dziś wieczorem... - Nie zastanawiając się dłużej, podwinęła połę bluzki i odczepiła od paska szaszetkę z telefonem komórkowym.

- Nie! - zaprotestowała Bailey tak głośno, że obie kobiety wytrzeszczyły na nią oczy. - Owdowiałam dopiero niedawno i potrzebuję czasu, żeby się oswoić z tą sytuacją. Na razie nie chcę się angażować w żaden związek. Wprawdzie już o tym myślałam, ale jeszcze nie mogę sobie wyobrazić... no, życia z innym mężczyzną. Rozumiecie mnie, prawda?

Jej rozmówczynie zamiast odpowiedzi tylko zamrugały powiekami, ale Patsy zaraz wystąpiła z nowym pomysłem:

- No, to przyszyły czwartek, może być?

Bailey powoli zrobiła wdech, potem wydech i policzyła do dziesięciu. Ani myślała dać się zahukać przez dwie kobiety, które między sobą udawały, że się nie znają.

- Jeżeli mówię, że potrzebuję czasu, to znaczy, że... - zaczęła groźnym tonem, ale teraz przerwała jej Janice:

- Ta posiadłość najbardziej potrzebuje przedsiębiorcy budowlanego - wygłosiła. Czyżby uzewnętrzniła już swoje poglądy na tę sprawę, a teraz zapragnęła zmienić temat?

- Świetnie, mam tu wizytówkę takiej firmy! - ucieszyła się Bailey.

- Walter Quincey? - prychnęła pogardliwie Janice. - Zedrze z ciebie jak Cygan za matkę, a nie zrobi nic konkretnego. To największy loser na dwa hrabstwa razem

wzięte. Tobie potrzeba prawdziwego budowlańca, który zna swój fach.

Patsy nie odezwała się ani słowem, tylko rozglądała się po stajni. Bailey miała nadzieję, że nie uraziła jej zbyt, odrzucając kandydaturę jej szwagra do swojej ręki, ale chciała od początku postawić sprawę jasno. Tymczasem Patsy zaszkodziła jej czymś zupełnie innym:

- Prawda, nie powiedziałam ci jeszcze, że mój szwagier jest przedsiębiorcą budowlanym!

Bailey przyjęła tę nowinę z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony nie chciała robić tej kobiecie ani jej szwagrowi płonnych nadziei, ale z drugiej - przerażała ją wizja szafek kuchennych, które ledwo się trzymały, grożąc w każdej chwili oberwaniem się. Ze zdumieniem usłyszała własny głos, pytający:

- Twój szwagier jest budowlańcem?

- Coś w tym rodzaju. Właściwie jest architektem, ale zna się na budownictwie.

- Dobry fachowiec? - Oczami wyobraźni zobaczyła już wyrzucane przez okno ohydne, zielone kafelki z łazienki i zdzierane ze ścian pokoiów brązowe, drewnopodobne boazerie.

- No pewnie, nadzorował budowę wieżowców w Dallas.

- Ale na pewno drogo bierze, a ja nie mam zbyt dużo pieniędzy.

- Wiem, kochanie. - Patsy wypowiedziała te słowa takim tonem, że Bailey aż pociemniało w oczach. - Całe miasto już huczy, że wszystkie twoje rachunki zapłacił jakiś Philip!

Ponieważ Patsy nie powiedziała nic więcej, Bailey wniosowała, że przybyłe panie oczekują od niej wyjawienia, kim jest Philip. Nie miała jednak zamiaru ich o tym informować, bo w końcu nie był to ich interes.

- Pełnomocnik mojego męża - rzuciła niedbale.

- No, jeśli u ciebie kiepsko ze szmałem, to dobrze trafiłaś. - Patsy kontynuowała rozpoczętą myśl. - Tu, w Calburn, nic nie kosztuje drogo, bo nikt nie mógłby sobie na to po-

zwolić. No, może z wyjątkiem niektórych osób. - W tym momencie znacząco spojrzała w stronę Janice.

- Niektóre osoby... — zaczęła Janice, nie patrząc na Patsy, lecz jednak licząc się z jej obecnością.

Bailey wzniosła oczy do nieba. Tylko tego jej brakowało, żeby te baby skoczyły sobie do oczu jak rozwścieczone kocięce! W co ją nieboszczyk James Manville wpakował?

- No dobrze - odezwała się głośno, aby zapobiec kłótni.

Wyjdę za niego, jeśli on wyremontuje mój dom. Chyba że chodzi mu tylko o seks? Albo o jedno i drugie?

Obydwie jak na komendę odwróciły się w jej stronę, a szczęki opadły im w sposób identyczny, tak że łatwo było wziąć je za siostry. Pierwsza opamiętała się Patsy.

- Trochę seksu na pewno dobrze mu zrobi - stwierdziła bez cienia uśmiechu. - Ale jeśli tu, w Calburn, weźmiesz sobie kochanka, wszystkie będziemy miały przechłapanie. Radzę ci, zapłać mu na początek połowę tego, ile zechce, a z seksem daj sobie na razie spokój. - Wybrała jakiś numer na telefonie komórkowym i kontynuowała swoje pouczenia. - Wiem z doświadczenia, że aluzje są bardziej podniecające niż sama rzecz. Na przykład, gdybyś go chciała poprosić o udrożnienie kanalizacji, nałóż przedtem szorty.

Bailey skwitowała ten wykład uśmiechem. Doszła do wniosku, że może jednak uda się jej porozumieć z tymi kobietami. Jeszcze bardziej się rozpromieniła, gdy Patsy poinformowała swego rozmówcę:

- Wiesz, Matt, mam dla ciebie robotę!

## 5

Następnego ranka Bailey obudziła się ze strachem, bo tym razem pamiętała, gdzie się znajduje. Jej łóżko przeniesiono ze stajni do właściwej sypialni, ale wyłożone ciemnymi płytami ściany działały na nią przytłaczająco. Wprawdzie nie-

osłonięte niczym okna przepuszczały światło, ale tym bardziej widoczna stawała się brzydota tego wnętrza.

Wieczorem poprzedniego dnia była tak zmęczona, że padła na łóżko jak kłoda. W ostatniej chwili przypomniała sobie, żeby nałożyć nocną koszulę. Nie spała jednak dobrze, bo dręczyły ją koszmarne sny, związane ze wspomnieniami o Jimmie. W ciągu szesnastu lat ich pożycia nigdy nie rozstawali się na tak długo! Kiedy Jimmie wybierał się w jakieś ciekawe miejsce, zabierał ją ze sobą.

Potrafił na przykład pytać:

- Piegusku, chciałybyś zobaczyć tę wyspę z żółwiami?
- Galapagos? - uściślała, a Jimmie tylko się uśmiechał.

Wyszła wprawdzie za niego wkrótce po ukończeniu szkoły średniej, ale od tamtego czasu zdążyła znacznie powiększyć swój zasób wiadomości, z czego Jimmie był bardzo zadowolony. Oczywiście chętnie godziła się na wyjazd i dopytywała, kiedy wyruszają. Gdy usłyszała, że za pół godziny, narzekała, że tak długo musi czekać.

Teraz przetarła oczy, które zaszkliły się łzami. Znowu uświadomiła sobie, że Jimmiego przy niej nie ma i nigdy już nie będzie.

Powoli zwlokła się z łóżka i powędrowała do pstrokatej łazienki. Odbicie jej „nowej” twarzy w lustrze wytrąciło ją z równowagi, nadal bowiem trwało przyzwyczajenie do dawnego, haczykowego nosa i do nadmiernej tuszy.

- I co ja mam teraz zrobić? - zadała sobie pytanie, wchodząc pod prysznic. Wczoraj zagadnęła nowo poznane kobiety o wolne miejsca pracy, ale wiedziała, że oszukuje zarówno Patsy i Janice, jak też siebie samą. Nie miała przecież żadnych kwalifikacji. Nigdy nie nauczyła się pisać na maszynie i była chyba jedyną obywatelką USA poniżej osiemdziesiątki, która nie potrafiła korzystać z komputera. Jimmie zawsze jej powtarzał, że szkoda na to czasu, bo może przecież zaangażować fachowców do obsługi komputera.

W wyniku takiego postępowania zdobyła tylko kwalifikacje, jak być żoną, i nic ponadto.

Zakręciła prysznic i wytarła się nowym, szorstkim ręcznikiem, ani razu jeszcze niepranym. Nałożyła obcisłe spodnie, które kupiła razem z Carol, i przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna zadzwonić do Philipa. Szybko jednak odrzuciła tę myśl, gdyż obawiała się, że następnym krokiem byłaby zgoda na wyciągnięcie pieniędzy od Atlanty i Raya.

Zamiast tego wzięła głęboki oddech, otworzyła drzwi sypialni i korytarzem przeszła do salonu. Jeszcze wczoraj, późnym popołudniem, Philip dostał jej kolejną ekipę tragarzy, by przenieśli ze stajni do domu to wszystko, co stało zapakowane w skrzyniach. Mieli ustawić ich zawartość według życzenia Bailey, dopiero więc teraz miała czas dokładnie przyjrzeć się meblom. Tydzień wcześniej kupowała je w pośpiechu i w przymusowej sytuacji, już więc nie pamiętała, jak wyglądały. Teraz jednak też przypadły jej do gustu.

W salonie znalazły się dwie kanapy obite tkaniną w czerwone kwiaty piwonii, złote kiście winogron i zielone liście. Komplet z nimi tworzyły dwa, wygodne na oko, fotele z tapicerką w ciemnozłoty deseń. Między nimi stał stolik do kawy. W przeciwległym końcu pokoju urządzono aneks jadalny - długi stół, pod nim czerwony perski dywan, a wokół stołu osiem giętych krzeseł w kolorze ciemnoniebieskim. W pudle pod ścianą leżały zasłony w czerwono-czarną kratkę, które pozostawili tam specjaliści od organizowania przeprowadzek. Raz, że nie umieli ich zawiesić, a po drugie, zasłon nie starczyło do wszystkich okien.

Ten salon jednak nawet zastawiony meblami nie wyglądał zachęcająco. Przypuszczalnie panujący w nim półmrok nie pozwalał na powstanie atmosfery przytulności.

Z salonu Bailey przeszła do kuchni. Wczoraj pracownicy ekipy remontowej dołożyli wszelkich starań, by nadawała się do użytku, ale ich wysiłek nie wystarczył. Elektryk z hydraulikiem pozrywali ze ścian wiszące szafki, twierdząc, że pozostawienie ich na dawnym miejscu może być niebezpieczne. Udało się im wprawdzie wepchnąć do środka masywny trzon kuchenny marki „Thermador”, ale nie wiedzieli, gdzie

go ustawić. Problem rozwiązał ogrodnik, który wyciął piłą łańcuchową segment szafki ściennej, i dopiero wtedy kuchenka się zmieściła. Elektryk przeciągnął i umocował rurki doprowadzające gaz, ale miejsce dla pojemnej, dwudrzwiowej lodówki znalazło się dopiero po usunięciu dalszych fragmentów obudowy. Przy drugiej ścianie kuchni monterzy zainstalowali ceramiczny zlew z tylnym odpływem wody, ale nie obyło się przy tym bez komentarzy w rodzaju: „O, coś takiego właśnie wyrzuciłem na śmietnik, kiedy remontowaliśmy dom mojej babci!” Niezależnie od tego hydraulik podłączył także zmywarę do naczyń firmy „Miele”, którą Bailey sama kupiła.

Na razie jednak mogła tylko westchnąć, patrząc na bałagan w kuchni. Te z szafek, które pozostawiono, miały chropowate, ostre kandy po odpiłowanych fragmentach. Po tych, które usunięto, zostały na ścianach prostokąty farby w różnych kolorach. Sprzęt kuchenny, który kupiła częściowo z Philipem, a trochę na zamówienie za poradą Carol, złożono na razie w przyległej spiżarni, bo w samej kuchni nie zmieściłoby się już nic większego od łyżki.

Z prowiantów dostarczonych przez mieszkańców miasteczka zostało tylko skrzydełko kurczaka. Tragarze i monterzy podjadali po trochu, aż ogołocili lodówkę prawie do czysta. Bailey napełniła więc wodą z kranu fajansowy kubek, który znalazła w spiżarni, wzięła skrzydełko kurczaka i wyszła z tym na dwór.

Kobiety, które ją wczoraj odwiedziły, wyjechały zaraz po telefonie Patsy Longacre do szwagra. Bailey nie mogła się nadziwić, że wsiadły razem do tego samego, starego mercedesa. Zastanawiała się, czy rozmawiały ze sobą, kiedy nikt ich nie widział. Po powrocie do domu zadała sama sobie więcej pytań, na które musiała odpowiedzieć, dotyczących głównie tego, co gdzie postawić. Zajęło jej to resztę dnia, i to do tego stopnia, że tylko co jakiś czas wyglądała na zewnątrz, by sprawdzić, co robią ludzie z ekipy remontowej.

Tym bardziej olśniło ją to, co zobaczyła po otwarciu tyl-



nych drzwi. Jeszcze przedwczoraj kłębiły się tam tylko dzikie chaszczce, wśród których zdołała utorować sobie ścieżkę prowadzącą do morwy. Teraz przed jej oczami rozciągał się prawdziwy ogród. Nie taki, jakie często spotyka się przy amerykańskich domach, czyli trawnik z kilkoma krzewami i kępami bylin. Nie, z takiego ogrodu jak jej obecny mógłby być dumny nawet Jasper — długoletni ogrodnik i człowiek, który doglądał licznych rezydencji Jimmiego.

Mało tego, był to ogród, o jakim Bailey marzyła przez całe życie! Zamiast rozległych przestrzeni, na których mógłby lądować helikopter, drzewa i krzewy rozmieszczone w taki sposób, że powstały przytulne kąciki, stwarzające nastrój intymności i tajemniczości.

Odstawiła pusty kubek i ogryzioną kostkę kurczęcia. Wyszła na taras wyłożony kamiennymi płytami, a stamtąd po takiej samej ścieżce dotarła tam, gdzie rosły drzewa. Stara, rozrośnięta morwa, której otoczenie oczyszczono z chwastów i gruzu, prezentowała się teraz majestatycznie i dostojnie. Bailey pozdrowiła ją uprzejmym „dzień dobry” i postanowiła zbadać, dokąd doprowadzi ją ścieżka.

Obierając kierunek w prawo, trafiła na ogrodzoną połącz gruntu spulchnionego glebogryzarką. Czarna, żyzna ziemia tylko czekała, aż padną w nią nasiona. Odpoczęła już, tyle lat leżąc odłogiem, i świetnie nadawała się pod ogród warzywny.

Tuż za płotem ciągnął się sad obsadzony karłowatymi drzewkami, których sadzonki kiedyś wyhodowano w doniczkach, a potem przeniesiono do gruntu. Dzięki temu ich dolne gałęzie zwisały na jakieś sześćdziesiąt centymetrów nad ziemią, tak że nawet dziecko dałoby radę zerwać większość owoców.

Bailey nie spodziewała się jednak obfitego plonu w tym roku, gdyż przez wiele lat nikt tych drzewek nie pielęgnował. Dopiero wczoraj zostały, po raz pierwszy po przerwie, porządnie przycięte. W niektórych rzędach widniały puste miejsca, oznaczone kupkami świeżych trocin. Najwyraźniej ogrodnicy wycięli uschnięte drzewka.

Za sadem ścieżka skręcała ostrym łukiem w lewo. Bailey minęła kępę zimozielonych krzewów i stanęła jak wryta: oto miała przed sobą niewielki stawek, do którego po sztucznie spiętrzonych skałkach spływał strumyk, tworząc mały wodospad. Ścieżka pięła się na szczyt pagórka, Bailey więc celowo szła powoli, aby niczego nie uronić z roztaczających się wokół widoków. Brzegi stawu zarastały trzciny, a w miejscu, gdzie strumień stawał się płytszy, ułożono głązy, po których można było przejść na drugą stronę. Tam zaś, w cieniu rozłożystego orzecha, stała wysłużona, lecz solidna ławka z kutego żelaza. Płyty, na których ją ustawiono, porastała macierzanka piaskowa.

Bailey nie przeszła od razu na tamten brzeg, aby usiąść na ławce. Wolała iść powoli, by zobaczyć jak najwięcej. I zobaczyła - na samym szczycie pagórka znajdował się drugi staw, obramowany kamieniami. Wczoraj ogrodnicy oczyścili jego nieckę i Bailey zauważyła, że wymienili zainstalowaną tam pompę zwrotną, która zasilala wodospad.

Za kolejnym zakrętem - tym razem w lewo - schodząc z pagórka, można było zobaczyć z lotu ptaka całe gospodarstwo: po lewej stronie dom, po prawej stajnię. Nie dochodząc do zabudowań, Bailey minęła dobrze zakamuflowane boisko do krykieta lub piłki nożnej. Być może kiedyś uwijały się tam dzieci? Przeciwniegi kraniec boiska wyznaczała linia krzewów i szczątki starego drewnianego płotu, obrośnięte pnączami. Sztachety już dawno wygnity, przetrwały tylko żelazne słupki, osadzone w betonowym fundamencie. Bailey podeszła tam na skróty przez boisko, bo ciekawiło ją, do jakiego gatunku należą te krzewy i pnącza. Z zadowoleniem stwierdziła, że krzewy były osypane owocami agrestu i porzeczek, a po słupkach pięły się jeżyny.

Tuż przed wejściem do stajni odkryła spłachetek gruntu, nad którym ogrodnicy wyjątkowo ciężko się napracowali. Wyrwali chwasty do gołej ziemi, odsłaniając rzędkę pędów z charakterystycznie ząbkowanymi liśćmi. Była to plantacja malin!

Przy końcu tej plantacji wyłożona płytami ścieżka rozwidłała się i jednej odgałęzienie biegło między drzewami, by następnie zawrócić w stronę domu. Bailey nie dała rady jednocześnie wysledzić, dokąd prowadzi druga odnoga, ginęła bowiem w gęsto zadrzewionym terenie. Wybrała jednak tę drugą i wkrótce otoczył ją półmrok i chłód pod baldachimem drzew, a panowała tam taka cisza, jakby nigdy nie stała w tym miejscu stopa ludzka. Oczywiście wrażenie to było złudne, bo ścieżka została wytyczona przez człowieka - najlepszy dowód, że w cieniu dwóch potężnych drzew kryła się mała kamienna ławeczka.

W tym miejscu ścieżka skręcała pod ostrym kątem w prawo, odsłaniając polankę, w środku której wykopano dół na ognisko - o średnicy około metra, obłożony kamieniami. W środku można było jeszcze znaleźć nadpalone drwa. Dookoła nie przewidziano żadnych miejsc do siedzenia, ale po ziemi wił się bluszcz, tworząc miękkie poszycie. Polankę otaczały drzewa, ale ich korony nie stykały się, przepuszczając światło słoneczne. Bailey przypuszczała więc, że i dym z ogniska znajdował tam ujście. Atmosfera tego miejsca pobudzała wyobraźnię, gdyż zdawało się jej, że i teraz słyszy rozmowy ludzi siedzących przy ognisku, czuje zapach dymu i ciepło płomieni.

Z uśmiechem zawróciła, aby wyjść z lasu na słońce. Od stajni skierowała się ku domowi, ale jego widok, zwłaszcza od frontu, natychmiast popsuł jej humor. Nie rozumiała, jakim sposobem taki piękny ogród mógł powstać przy tak niegustownie urządzonej i zaniedbanej ruderze. Chyba że kto inny zajmował się domem, a kto inny ogrodem? Jeśli tak, nie mogli być małżeństwem, bo ludzie o tak skrajnie różnych osobowościach nie wytrzymałoby ze sobą długo.

Ledwo Bailey znalazła się w domu, natychmiast zapragnęła stamtąd wyjść. Wprawdzie próbowała sobie wmówić, że powinna teraz zastanowić się nad swoim dalszym życiem, ale po chwili sama ze śmiechem przyznała, że to pomysł rodem z mydlanej opery. Należało zacząć od rzeczy

najważniejszych, czyli zrobienia zapasu żywności. W tym celu poszła do sypialni po torebkę, po drodze przypominając sobie stałe porzekadło Jimmiego: „Zawsze poznaję, kiedy Lil ma jakieś kłopoty, bo wtedy od razu sunie do najbliższej kuchni!”

Zasiadła za kierownicą samochodu, który kupił jej Philip. Zaczęła od tego, że wzięła głęboki oddech, bo w swoim życiu niewiele czasu spędziła za kółkiem. Tylko swojej wytrwałości zawdzięczała, że w ogóle nauczyła się prowadzić samochód. Jimmie zwykle się jej nie sprzeciwiał, lecz nie chciał się zgodzić, aby brała lekcje jazdy. Z początku podchodziła do tego wyrozumiale, gdyż przypuszczała, że mąż obawia się, by po zdobyciu tej umiejętności nie uciekła od niego. Tygodnie jednak mijały, a on wciąż nie dawał się przekonać. W końcu wpadła w złość, przy czym wiedziała, że choć w życiu zawodowym groźby nie robiły na Jimmim wrażenia - pragnął jednak mieć spokój w domu. Zebrała się więc na odwagę i wygarnęła mu prosto w twarz:

- Posłuchaj, Jimmie, do końca życia nie odezwę się do ciebie, jeśli nie pozwolisz mi uczyć się prowadzenia samochodu. Jestem już dorosłą kobietą i nie możesz wiecznie traktować mnie jak dziecko!

Rzadko zdarzało się, aby Jimmie wpadał w złość, lecz tym razem to się zdarzyło. Mało brakowało, a Bailey skapitulowałyaby, jednakże pozostała przy swoim.

Jimmie wytrzymał zaledwie trzy „ciche dni”, po czym zatrudnił jakiegoś pokracznego człowieczka w charakterze instruktora jazdy dla swojej żony. W dniu, kiedy zdała z pozytywnym wynikiem egzamin na prawo jazdy, wręczył jej kluczyki do zgrabnego żółtego BMW. To, że samodzielnie przejechała się nim może ze sześć razy, nie miało żadnego znaczenia. Najważniejsze było to, że zdobyła umiejętność, którą uważała za potrzebną.

Wszystko to jednak działo się już dość dawno, Bailey więc nie była pewna, czy jeszcze pamięta, jak się prowadzi samochód. Ostrożnie wycofała swoją toyotę z podjazdu na żużło-

wa drogę, obsadzoną po obu stronach drzewami. Przejechała ze ćwierć mili niezabudowanego terenu, aż do skrzyżowania z asfaltową szosą. Pamiętała, że z Philipem przyjechała tu od lewej strony, a więc w prawo skręcało się do Calburn.

Po krótkim wahaniu zdecydowała się skręcić w lewo. Nie byłajeszcze gotowa do odwiedzin w mieście, którego mieszkańcy, podobnie jak Janice i Patsy, na pewno zarzuciliby ją pytaniami o sprawy osobiste. Na razie chciała tylko nakupić wiktuałów, a dopiero potem zastanawiać się nad kolejnym krokiem.

Trzy godziny później wracała tą samą drogą samochodem pełnym produktów. Cały bagażnik zajmowały wyładowane reklamówki, za tylnym siedzeniem stały skrzynki świeżo zerwanych truskawek, które nabyła w przydrożnym stoisku. Na tylnym siedzeniu poustawiała kartony z torbami cukru i butelkami octu, a na przednim siedzeniu - obok siebie i na podłodze - znowu reklamówki z artykułami spożywczymi.

Uśmiechała się do siebie, bo odnosiła wrażenie, że znalazła już sposób na życie.

## 6

Matthew Longacre zaparkował swoją furgonetkę pod rozłożystym drzewem i spojrzął na zegar w desce rozdzielczej. Było wpół do siódmej. Odwlekał te odwiedziny, jak długo mógł, ale bratowa nie dawała mu spokoju, dopóki nie zgodził się na spotkanie z „wdową”. Stała nad nim jak kat nad grzeszną duszą i powtarzała: „Jest młoda, ładna i miła... Czego ci więcej trzeba?” Nałożyła mu przy tym na talerz plaster swojego popisowego dania - „klopsa z niespodzianką”. Niespodzianka polegała na tym, że potrawa w ogóle dawała się zjeść.

- Byłyście tam razem z Janice? - zapytał jej mąż, Rick, grzebiąc w swojej porcji klopsa podanego z ziemniakami

puree, przyrządzonymi z proszku, i z fasolką szparagową, która od długiego duszenia prawie całkiem straciła kolor.

- Pojechałam tam sama - oświadczyła Patsy wyzywającym tonem, który jej rodzina znała aż za dobrze.

- No, szykuje się zadyma! - mruknął jeden z jej osiemnastoletnich synów, tyczkowatych bliźniaków.

- Stawiam pięćdziesiątkę na mamę! - wyrwał się John.

- A ja dwadzieścia pięć na tatę! - zawtórował mu Joe.

- Przymknijcie się, bo nie dostaniecie deseru! - ostrzegła ich Patsy. Na wszelki wypadek odwróciła się do szwagra, udając, że nie widzi, jak za jej plecami chłopcy dalej obstawiali swoje typy, tyle że na migi.

- Zastanów się, Patsy - próbował jej tłumaczyć Rick. - Co ta kobieta sobie pomyśli o ludziach z Calburn? Jak możecie przyjeżdżać do niej razem z Janice, a na miejscu nie rozmawiać z sobą?

- Nie wiem, o czym mówisz! - prychnęła Patsy, nie spuszczać oczu z Matta, który akurat rozgniał widelcem kęs klopsa. - Przecież tu nie chodzi o mnie, tylko o panią James. Potrzebuje specjalisty od prac budowlanych, a ty, Matt, właśnie nim jesteś. Już jej obiecałam, że podejmiesz się tej roboty.

Matt nie podniósł nawet wzroku na szwagierkę, bo wiedział, że dopóki mieszka pod jej dachem - jest od niej zależny. Nie miał też wątpliwości, że umówiła go z „wdową” w określonym celu - liczyła, że gdy skojarzy tę parę, przy okazji pozbędzie się go z domu.

- Matthew, mówię do ciebie! - Patsy pobudziła jego uwagę tym samym apodyktycznym tonem, jakim zawsze przemawiała do swoich trzech mężczyzn. - Chyba zrobisz dla mnie przynajmniej tyle?

- A co już jej powiedziałaś o mnie? - wymamrotał, jakby mówił z pełnymi ustami.

- Żeby się czasem z tobą nie przespała! - warknęła Patsy i osiągnęła swój cel, bo skupiła na sobie uwagę wszystkich mężczyzn. — No więc jak, pojedziesz do niej czy nie?

- Pod takim warunkiem od razu na starcie? - próbował zażartować Joe, ale spojrzenie matki zamknęło mu usta.

- Pojadę, ale jeszcze nie dzisiaj. - Matt próbował na oczekaniu znaleźć jakąś wymówkę. - Dziś wieczorem muszę...

- Obejrzeć *Buffy*? - wpadł mu w słowo John. Obaj chłopcy świetnie się bawili zakłopotaniem stryja. W czasie wakacji podjęli pracę u niego na budowie, licząc, że nie namęczą się zbyt. Szybko jednak przekonali się, że Matt jako stryjek i jako szef - to dwaj różni ludzie. Dał im to do zrozumienia już pierwszego dnia, gdy samowolnie przedłużyli przerwę na lunch do dwóch godzin.

- Swoją drogą ciekawe, co ona zamierza zrobić z tym starym domiszczem po Hanleyach - zmienił temat Rick. Odwrócił tym uwagę swojej żony i wyzwolił brata z kłopotliwej sytuacji.

- Twierdzi, że musi tam zamieszkać, bo nie ma innego wyjścia - rzuciła Patsy, ponownie stając przy kuchni. - Wydaje mi się, że mąż nie zostawił jej zbyt dużo pieniędzy na życie. Na razie większość jej wydatków pokrył jego adwokat. Kto chce jeszcze klopsa?

O dokładkę poprosili wszyscy z wyjątkiem Matta.

- Jakie ten adwokat ma powody, żeby za nią płacić? - zainteresował się Joe. - Chyba że ona z nim kręci...

- Ryszardzie Longacre, zrób coś z tymi chłopakami! - zapelowała Patsy. - Te ich powiedzonka są poniżej krytyki!

- No, Pats, przecież oni już nie są dziećmi! - łagodził Rick, obejmując ramieniem smukłą talię żony. Za jej plecami rzucił bratu znaczące spojrzenie, sygnalizując mu, aby się dyskretnie ulotnił poza zasięg dalszych pytań Patsy.

Ta rozmowa toczyła się wczoraj, a przez cały dzisiejszy dzień Matt ze strachem myślał o czekającym go wieczorem spotkaniu. Dobrze, że chociaż przed południem mógł uniknąć słuchania plotek o kobiecie, którą już wzięto na języki całe Calburn, razem z bratankami bowiem pracował trzydzieści mil od miasta, przy zleconej mu adaptacji garażu na

pokój gościnny. Po fajrancie w biegu cmoknął Patsy w policzek, bąknął coś na temat ważnej konsultacji z klientem i poszedł na hamburgera do baru w Calburn.

- Słyszałam, że ona jest nadziana - zagaiła już na wstępie kelnerka, Ruth Ann, nalewając mu kawę. Nie wygłaszała tego poglądu wprost do Matta, tylko do dwojga miejscowych, którzy tu przyszli, by obgadać zmiany zachodzące w starym domostwie Hanleyów.

- Pewnie, musi mieć kupę szmalu, żeby opłacać tych wszystkich fachowców. Tylko po co topi tyle gotówki na tym zadupiu? Nie lepiej byłoby dla niej przenieść się gdzieś bliżej cywilizacji? - myślał głośno Mark Underwood. Jesienią miał wyjechać na studia i nie mógł się doczekać, kiedy wywrwie się z Calburn, aby tu więcej nie wracać.

Inni goście w barze nie ustosunkowali się do jego wypowiedzi.

- A wiecie, co ja o tym myślę? - włączyła się do rozmowy Opal, właścicielka salonu piękności na tej samej ulicy. - Ona musi mieć jakieś plany co do naszego miasta. Na przykład może chce założyć taki... no, jak to się nazywa? Takie miejsce, gdzie można przenocować i zjeść śniadanie?

Matt wpatrywał się uporczywie w swoją filiżankę, próbując zgadnąć, czy dzisiejsza kawa będzie bardziej przypominać zabarwioną wodę, czy olej silnikowy. Kiedyś żartem zaproponował Ruth Ann, żeby zmieszała te dwa płyny, to może wyszłaby z tego normalna kawa. Ona jednak potraktowała jego dowcip całkiem poważnie i z oburzeniem oświadczyła, że jeśli nie smakuje mu kawa u niej - niech poprosi tę latawicę, swoją byłą żonę, żeby mu zrobiła lepszą! W odpowiedzi Matt tylko westchnął, bo wiedział, że w takim małym miasteczku jak Calburn nic się nie ukryje.

Kiedy tak analizował zawartość swojej filiżanki, nagle zdał sobie sprawę, że wokół niego zapanowała cisza. To konsumenci zebrani w barze czekali na jego głos w dyskusji, dzięki temu bowiem, że był szwagrem Patsy, zyskał opinię bywalca „wielkiego świata”.



- Takie miejsce to zajazd albo pokoje gościnne - dopomógł Opal w zaklasyfikowaniu opisanego pojęcia.

- Czyli coś takiego jak bar i motel w jednym? - włączyła się Ruth Ann. - Czy ona myśli, że w takim małym miasteczku jak nasze potrzebne są dwa zajazdy?

Matt zdążył już położyć na stoliku banknot pięciodolarowy i zbierał się do wyjścia, ale jeszcze zawrócił od drzwi.

- Nie martw się, Ruth Ann - pocieszył ją. - Już ty nie musisz obawiać się konkurencji. Twój lokal jest jedyny w swoim rodzaju i nikt cię nie zastąpi.

Na pożegnanie obdarzył zebranych promiennym uśmiechem i wyszedł, podczas gdy oni zastanawiali się, czy to, co powiedział, należało odczytać jako pochwałę, czy raczej krytykę. Matt, zadowolony, że choć w części odegrał się za marną jakość kawy, wsiadł do swego ciemnoniebieskiego chevroleta o ładowności trzech czwartych tony.

- No, to jazda do wdowy! - zapowiedział sam sobie. Włączył silnik, wrzucił wsteczny bieg, aby wyjechać z parkingu, i skierował się w stronę Owl Creek Road, gdzie leżała stara farma Hanleyów.

Teraz, kiedy już tu dotarł, nie mógł odkładać w nieskończoność momentu spotkania. Wsiadł z wozu i ruszył wolnym krokiem ku domowi. Znał to miejsce dobrze, bo jeszcze jako dzieci jeździli z Rickiem na rowerach wzdłuż strumienia i przedzierali się przez chaszczki do drzew owocowych, które wciąż jeszcze rodziły. Przez trzy lata z rzędu wynosili stamtąd tyle owoców, że mogli sprzedawać je z małego straganu przy szosie. Nie dawało im to jednak wielkiego dochodu, bo wszyscy farmerzy z Calburn w ten sposób sprzedawali owoce ze swych ogrodów.

Idąc ścieżką, rozglądał się wokół. Musiał przyznać, że w stosunkowo krótkim czasie zrobiono tu dużo. Z wrażenia aż zagwizdał, bo potrafił ocenić, ile musiało kosztować przeprowadzenie tak gruntownej renowacji. Właściciele firm re-

montowych mogli zażądać dwu- lub nawet trzykrotnie wyższego wynagrodzenia za oderwanie swoich pracowników od innych zleceń i skierowanie wszystkich w jednym dniu na ten sam teren. Jasne było, że ktoś zainteresowany starym domostwem musiał mieć i pieniądze, i wpływy.

Matt wszedł po wąskich schodkach od frontu i chciał zapukać do drzwi, ale otworzyły się same pod jego dotknięciem. Znał dobrze rozkład tego domu, bo przed laty nieraz z Rickiem dostawali się do środka przez wybite okno, aby się tam bawić. Lubił nawet sam przebywać w opustoszałym domu, ale pewnego dnia zauważył, że ktoś wstawił szybę i odciął mu wejście. Opowiedział wtedy matce, że w domu Hanleya ktoś przeprowadził jakieś naprawy, ale matka była zbyt zajęta, żeby się tym zainteresować.

- Hej! Jest tam kto? - zawołał od progu. Nie czekając na odpowiedź, wszedł sam do salonu i zrobił wielkie oczy. Pamiętał przecież, jak zapuszczone i zrujnowane było to wnętrze, a tu zobaczył je wysprzątane i na nowo umeblowane. Mało tego, meble mu się spodobały, gdyż różniły się znacznie od gotowych kompletów, które kupowali zazwyczaj mieszkańcy Calburn.

- Ładne to! - stwierdził, wodząc ręką po oparciu kanapy obitej grubym, francuskim kretonem.

W tym momencie poczuł woń gotujących się potraw i stanął jak wryty. W ostatnich latach przebywał od tak dawna poza domem, że nabrał awersji do gotowych półproduktów, kupowanych w sklepach. Patsy zarzucała mu nadmierną wybredność i jeśli chodzi o jedzenie, to chyba miała rację - stał się przewrażliwiony na tym punkcie.

- Cześć! - przywitała go kobieta, która weszła do salonu od strony kuchni. Wydała mu się ładna - niewysoka, tu i ówdzie przyjemnie zaokrąglona. Miała na sobie jasne spodnie i tenisówki - prawdziwe tenisówki, a nie toporne adidas! - koszulkę bez żadnego nadruku i biały fartuszek, teraz nieco poplamiony.

- To pewnie ty jesteś tym przedsiębiorcą budowlanym? -

upewniła się i bez ceremonii wyciągnęła w jego stronę drewnianą łyżkę. - Czy mógłbyś skosztować i powiedzieć, jak to smakuje? Próbowałam już tyle razy, że nie wyczuwam różnicy.

Na czubku łyżki znajdowała się odrobina złocistej galaretki. Matt nie paliłby się zbyt do degustacji, ale nie mógł się oprzeć zachęce ze strony tak uroczej kobiety. Rzucił jej spojrzenie, którym dawał niedwuznacznie do zrozumienia, że wie o jej rozmowie z Patsy, w której jego osoba była brana pod uwagę w kontekście seksualnym.

Zapomniał jednak o tym wszystkim z chwilą, gdy poczuł na języku smak galaretki.

- Co to jest? - zapytał, oblizując łyżkę, jak to czynił w dzieciństwie.

- Dżem jabłkowy przyprawiany imbirem - rzuciła mu przez ramię, bo wracała do garnków. Matt podreptał za nią jak na sznurku, ale gdy ujrzał, jak teraz wygląda kuchnia, postawił oczy w śłup.

- Wiem, wiem, że tu jest okropnie - uprzedziła jego ewentualny komentarz, podnosząc wzrok znad rondla, w którym właśnie mieszała.

Rzeczywiście, Matt nie wierzył własnym oczom i nawet dla pewności zamrugał kilka razy, by sprawdzić, że widzi to, co naprawdę ma przed sobą. W ścianach ziały dziury po zerwanych wiszących szafkach, a te, które pozostawiono, wyglądały, jakby...

- Ktoś je przycinał piłą łańcuchową? - wyartykułował głośno ostatnią część swych rozmyślań.

- Tak, ogrodnik - odpowiedziała całkiem poważnie, tym razem mieszając w innym rondlu. Dysponowała bowiem płytą kuchenną o sześciu palnikach, a na każdym stał garnek, w którym coś bulgotało. Kiedy podszedł bliżej, poczuł zapach cynamonu, goździków i...

Nie wytrzymał i poddał się dyktatowi swego nosa, który poprowadził go w stronę największych garnków.

- Co tam takiego pichcisz? - spytał, starając się nadać swemu pytaniu ton uprzejmej ciekawości.

- Pewnie chcesz wiedzieć, po co tyle tego? - Znów uprzedziła jego pytanie i dodała z westchnieniem: - Zawsze tak robię. Kiedy mam jakiś problem, zabieram się do gotowania.

- A duży ten problem czy mały? - zagadnął, dostrzegając jednocześnie jakąś czerwoną substancję na patelni stojącej tuż przy nim.

- Raczej z tych większych, bo to tylko połowa tego, co dzisiaj nakupiłam. A jeszcze zdarzyło mi się coś tak zabawnego... - Urwała w pół zdania i podniosła wzrok na gościa. - Och, przepraszam, ale jestem źle wychowana! Nazywam się Bailey James.

Wytarła ręce w fartuch i przywitała się z gościem.

- Matthew Longacre - przedstawił się, ujmując jej dłoń. Nie patrzył jej przy tym w oczy, tylko nad głową, namierzając rondel z tym czymś czerwonym.

- Jesteś głodny? - uchwyciła jego spojrzenie. - Akurat ugotowałam kolację, ale sama nie dam rady wszystkiego zjeść. Może zjemy razem?

Matt z trudem oderwał wzrok i powonienie od smakowicie pachnących potraw. Zastanawiał się, czy nie jest to jakaś pułapka. Może Patsy pouczyła ją, że do serca mężczyzny trafia się przez żołądek?

- To zależy, co proponujesz - odpowiedział wymijająco, możliwie najbardziej obojętnym tonem. W końcu zdążył już przedtem zjeść hamburgera u Ruth Ann!

- Gołębie. Kupiłam je od takiego dziadka, który stał przy drodze.

- Od starego Shelby'ego? - spytał zaszokowany Matt. Owszem, znał tego zdziwaczałego farmera, który hodował gołębie i sprzedawał je do luksusowej restauracji w Waszyngtonie, ale w Calburn nie było zwyczaju jądania tych ptaków.

- Aha, rzeczywiście tak się nazywał. Przemięły człowiek, ajaki życzliwy!

- Shelby? - wyszeptał Matt z przerażeniem. Z tego, co

wiedział, ten ekscentryczny staruch potrafił, grożąc nabita strzelbą, przeganiać intruzów ze swojej ziemi.

- Lubisz gołębie? Chyba że jesteś wegetarianinem?

- To zależy, czym Patsy nafaszeruje swój klops. - Próbował zażartować, ale Bailey nie rozumiała aluzji, więc tylko się uśmiechnęła. - Owszem, lubię gołębie. - W myśli dodał: „A przynajmniej tak mi się zdaje”.

- To świetnie. - Z ogromnej lodówki o drzwiach z nierdzewnej stali wyjęła porcelanowy półmisek przykryty folią. - Jeszcze tylko skończę dopiekać wątróbki i kolacja zaraz będzie gotowa.

Więc jeszcze mają być wątróbki?

- W porządku - odpowiedział słabym głosem. - Może mógłbym w czymś pomóc?

- Nie miałyś nic przeciwko temu, żebyśmy jedli na dworze? W tym domu jest... - Zawiesiła głos, wykonując nieokreślony ruch ręką.

- Ciemno i ponuro, prawda? - dokończył z uśmiechem, patrząc na nią z wyżyn swego wzrostu. Wątróbki z grilla, gołębie, dżem jabłkowy i cojeszcze? Patsy mówiła, że „wdowa” nawet nie myśli o uprawianiu z nim seksu. A niby co to miało być, jeśli nie „zaproszenie do walca”? - Słucham?

Nie dosłyszał, co Bailey tymczasem powiedziała, bo jego kubki smakowe rozrosły się do takich rozmiarów, że zasłaniały mu uszy

- W kredensie są sztuce. Mógłbyś je przynieść?

- Jasne! - odrzyknął i popędził do przyległego pokoju, gdzie zaczął otwierać szuflady w poszukiwaniu noży, widelców i serwetek. Znalazł także obrus, świeczniki i świece. Z całym naręczem tego wszystkiego wrócił do kuchni, gdzie kompletnie go zamurowało na widok kolejnych czynności Bailey. Dekorowała właśnie talerze z płatami mięsa przypominającego pierś kurczęcia małymi, czerwonymi kulkami ociekającymi zalewą. - Co to jest? - wyszeptał.

- Marynowane winogrona. A co, nie lubisz?

- Skąd! - zaprzeczył skwapliwie, aż zaschło mu w gardle,

musiał więc odchrząknąć. — To znaczy jestem pewien, że są pyszne, najlepsze, jakie w życiu jadłem... Wiesz co? Wyniosę już to wszystko na dwór.

Ledwo wyszedł z domu, zaczął sam sobie przykazywać: „Spokojnie, Longacre, nie rób z siebie idioty. Pamiętaj, że sprzedajesz się za wątróbkę z grilla”. To ostatnie stwierdzenie spowodowało, że głośno parsknął śmiechem.

- O, ty też to robisz? - zareagowała Bailey, stawiając na rozesłanym obrusie dwa pełne talerze. Matt nie mógł wprost oczu oderwać od ich zawartości. Gospodyni posiekała bowiem upieczone wątróbki tak drobno, że zamieniły się w pastę. Rozsmarowała ją na grzankach, a na nich ułożyła pokrojone w plastry mięso gołębi. Przybrała to wszystko marynowanymi winogronami, a oddzielnie podała sałatę. Nie była to jednak prawie pozbawiona koloru i smaku sałata lodowa, jaką przeważnie serwowała Patsy i jaką powszechnie jadano w Calburn. O, nie! Bailey podała kilka odmian sałaty, ciemnozieloną i czerwoną, gładką i fryzowaną... Klęcząc na trawie, Matt wpatrywał się w tę martwą naturę z nabożnym podziwem.

- Co takiego robisz? - wyszeptał.

- Mówisz do siebie.

- Aha, rzeczywiście! - Przyłapał się na tym, że zachowuje się jak pacjent hipnotyzera.

- No to proszę, częstuj się! - Usiadła przy drugim końcu obrusa i postawiła sobie talerz na kolanach.

Matt modlił się, aby nie drżały mu ręce, kiedy przyjmował od niej swoją porcję, potem usiadł naprzeciw Bailey i wziął do ręki widelec. Jak na filmie w zwolnionym tempie, nabrał na widelec kawałek grzanki z pastą z wątróbki i plasterkiem gołębiego mięsa. Ostrożnie, z namaszczeniem poniósł ten kęs do ust, ale kiedy poczuł na podniebieniu smak potrawy - zmrużył oczy z rozkoszy. To było pyszne, po prostu niebo w gębie! Nigdy w życiu nie jadł takich delicji.

Do rzeczywistości przywrócił go cichy śmiech Bailey.

- Smakowało? - spytała.

- Mmmm.... - wystarczyło za całą odpowiedź.

- No więc masz pomysł, jak przebudować ten dom? Oczywiście Patsy uprzedziła cię, że nie mam zbyt dużo pieniędzy? ,

W tej chwili jednak Matt nie miał ochoty ani mówić o pieniądzach, ani odejść od tego talerza. Dopiero po chwili uniósł wzrok i napotkał uśmiech Bailey. Sama nie jadła zbyt dużo, ale zaproponowała:

- Możesz dostać jeszcze, jeśli chcesz.

- Och, przepraszam - zaczął niezręcznie. - Mam po prostu...

Plątał się, bo głupio mu było, że rzucił się na podaną potrawę, jakby nie jadł co najmniej od miesiąca.

- ...dość smażonej ryby, krewetek i pizzy, prawda? - dokończyła za niego. Matt mógł jedynie przytaknąć i w milczeniu kontynuować posiłek.

Bailey nie zjadła swojej porcji do końca, ale po chwili odsunęła talerz, odchyliła się do tyłu, wsparta na łokciach, i skierowała wzrok na drzewo rozpościerające nad nimi swą koronę.

- Wiesz, to jest bardzo stara morwa. - Nagle zmieniła temat. - Słyszałeś kiedy, że morwa potrafi owocować nawet w wieku pięciuset lat? Jest tak płodna jak prawdziwa kobieta.

Tymczasem Matt prawie już opróżnił swój talerz, zastanowił się więc nad jej słowami. Ciekawe, co chciała przez to powiedzieć.

- Mówiłaś przedtem, że zdarzyło ci się coś zabawnego... - próbował jej dopomóc.

- Och, to doprawdy nic ważnego.

- Ale powiedz mi, proszę - zachęcił. - W końcu nie możemy rozmawiać tylko o rzeczach ważnych!

- Dziś... - zaczęła i urwała, patrząc na niego, jakby rozważała, czy ma o tym mówić, czy nie.

Matt rozumiał jej obawy. Słyszał od Patsy, że niedawno owdowiała, a on też dopiero co się rozwiódł. Nie nacieszył się długo swoim małżeństwem, ale wiedział, jak dobrze jest

mieć komu się zwierzyć nawet z tak banalnych spraw, jak na przykład: „Dziś złapałem gumę”. Niby drobny kłopot, ale urasta do rangi tragedii, jeśli nie ma się komu pożalić. Na razie więc milczał, licząc, że to ośmieli ją do dalszych wnu-rzeń.

- Wiesz, jak jedna chwila może całkiem odmienić twoje życie? - Zaczęła z zupełnie innej beczki.

- Yhym - odmruknął Matt z pełnym przekonaniem. Pewnie, że znał to uczucie. Sam już kiedyś myślał, że doznał zawału...

- No więc dziś rano obudziłam się z przeświadczeniem, że nie nadaję się właściwie do niczego. Mąż zostawił mi ten dom i ziemię, jego adwokat kazał tu wysprzątać i umeblo-wać, ale teraz będę musiała zacząć sama zarabiać na życie. Tylko jak, skoro nic nie umiem?

Matt w tym właśnie momencie się zakrztusił, więc zanim odzyskał mowę, znacząco postukał widelcem w talerz.

- Chcesz powiedzieć, że umiem gotować? Owszem, umiem. Uczyłam się tego u prawdziwych mistrzów w swo-im fachu. Ale co mi przyjdzie z gotowania?

Matt chciał coś wtrącić, ale powstrzymała go ruchem ręki.

- Wiem, masz na myśli, że mogłabym otworzyć restaura-cję? Owszem, ale to chyba ostatnia rzecz na świecie, jaką chciałabym robić. Pichcić na okrągło te same dania, użerać się z gośćmi i pracownikami? Nie, to nie dla mnie.

- No więc co? - Matt wycierał swój talerz kawałkiem chleba, podsunęła mu zatem swoją niedojedzoną porcję, bła-gając bez słów, żeby zechciał ją skończyć.

- Byłam dzisiaj w takim wielkim supermarkecie. Trudno mi powiedzieć, w którym miejscu. Jakoś tak na lewo od głównej szosy...

- Na pewno już więcej nie zjesz? - asekurował się Matt, a gdy przytaknęła, wziął od niej talerz. - No więc co się zda-rzyło w tym supermarkecie?

- Chyba właśnie tam wpadłam na pomysł. Przyszło mi do głowy coś, czym mogłabym się zająć. Robieniem przetwo-



rów! No wiesz, takich domowych konserw, w wekach. Nawet to lubię.

Matt kiwnął głową ze zrozumieniem. Dopiero teraz, kiedy naprawdę najadł się do syta, mógł jej spokojnie słuchać.

- Jimmie - to znaczy mój świętej pamięci mąż - zawsze mówił, że próbuję w ten sposób zakonserwować czas, aby zatrzymać go w miejscu.

Spodziewała się, że Matt jakoś skomentuje te słowa, ale za mało ją znał, by się ustosunkować do tej wypowiedzi.

- No więc tam, w tym supermarkecie, zajrzałam do działu, który nazywają delikatesowym. Stały tam małe słoiczki dżemu po siedem dolarów sztuka. I wtedy mnie olśniło. Przecież potrafię robić znacznie lepsze dżemy, różne oryginalne marynaty... Mogłabym z powodzeniem je sprzedawać!

- To rzeczywiście brzmi interesująco - przyznał Matt, dojadając jej porcję. - A znasz się na kierowaniu fabryką?

- Po co od razu fabryka? Myślałam o produkcji na mniejszą skalę, na przykład o sprzedaży wysyłkowej czy zaopatrywaniu sklepów dla koneserów. Ty oczywiście nie znasz się wcale na sprzedaży dżemów?

- Ani trochę.

- Hmm - mruknęła, odchylając się do tyłu, aby lepiej widzieć morwę.

- Więc co ci się takiego zabawnego przydarzyło? - przypomniał Matt, wycierając ręce w serwetkę z tkaniny w czerwono-białą kratkę.

- Wkładałam właśnie do koszyka butelki octu do marynat - relacjonowała z uśmiechem Bailey - gdy podeszła do mnie jakaś pani i szepnęła mi do ucha, żebym nie kupowała tutaj octu. Że jeśli chcę kupić większą ilość, taniej mi wypadnie w hurtowni. Przyznałam się, że mieszkam tu od niedawna i nie mam pojęcia, gdzie jest hurtownia, oderwała wtedy kawałek swojej listy zakupów i narysowała mi mapkę. Doradziła jeszcze, żebym kupowała owoce na straganach, wprost od farmerów. I żebym się targowała, bo tutejsi rolnicy sprzedadzą mi swój towar za każdą cenę. Podziękowałam jej,

a ona poklepała mnie po ręce i dodała - Bailey z błyskiem w oku zacytowała wypowiedź nieznajomej damy - „Nie ma za co kochana. Poznałam po akcencie, że jesteś Jankeską, a oni są zawsze tacy niezaradni. Ty jednak wyglądasz na sympatyczną osóbkę, więc co szkodzi ci pomóc?”

Oboje serdecznie uśmieli się z tej opowieści.

- A najśmieszniejsze jest to, że wychowałam się w Kentucky! - podsumowała Bailey.

- Nie można tego poznać po twoim akcencie. - Matt przyglądał się jej badawczo, ale nie rozwijał już tego tematu - nie przestawała natomiast kontemplować drzewa morwy. - Musiałaś mieć dobrych nauczycieli!

Bailey tymczasem przypomniała sobie coś i gwałtownie zerwała się na nogi.

- Zupełnie zapomniałam o winie! - Aż podskoczyła. - Jakie to nieuprzejme z mojej strony, że nie podałam nic do picia. A mam przecież całą butelkę pinot noir!

Zanim Matt zdążył jeszcze o coś zapytać, znikła we wnętrzu domu.

- To ciekawe! - rzucił w przestrzeń, wstając i rozciągając zdrętwiałe mięśnie. Zorientował się bowiem, że Bailey sprytnie unika odpowiedzi na osobiste pytania. Po chwili zresztą wróciła, niosąc dwa napełnione kieliszki. Podała mu jeden i zaproponowała:

- Może masz ochotę na kruszon z brzoskwiń?

W pierwszym odruchu Matt o mało nie wykrzyknął: "Tak!" ale zapanował nad sobą. Biorąc od niej kieliszek z winem, spojrzał dalej, poza drzewo morwy.

- Te budynki stały puste przez wiele lat, ale mój brat i ja, kiedy byliśmy mali, lubiliśmy się tu bawić. Teraz to miejsce wygląda zupełnie inaczej.

- Pewnie, ekipa remontowa odwaliła tu kawał roboty - przyznała Bailey, sącząc wino. Matt zauważył, że przysunęła się do niego bliżej, lecz nie za blisko. - Nie wiem, jak dam radę utrzymywać to w porządku, ale dopóki chwasty ponownie się nie rozrosną, wygląda to ślicznie.

Widząc jego wyczekujące spojrzenie, uśmiechnęła się i dodała:

- Może masz ochotę na małą wycieczkę?

- Bardzo chętnie - zgodził się skwapliwie.

- Zobaczyłam to miejsce po raz pierwszy dopiero dwa dni temu, więc ty pewnie wiesz o nim więcej ode mnie, ale pokażę ci, co już poznałam.

- Dobrze, prowadź. - Przepuścił ją przodem i szedł za nią, mierząc ją wzrokiem z góry na dół. Zauważył, że jest szczupła i ma niezłą figurę. Mało tego - była zadbana (nauczył się tego określenia od swojej byłej żony i jej przyjaciół). W swoim czasie musiała spędzać masę czasu w siłowni! Nie pokazywała teraz zbyt wiele odsłoniętej skóry, ale założyłby się, że nie żałowała pieniędzy na kremy i masaże.

W milczeniu przyglądał się jej i słuchał, co miała do powiedzenia na temat swego ogrodu. Okazało się, że wie dużo o roślinach. Wygłosiła cały wykład na temat różnic między jeżyną pnącą a krzewiastą, jak również między dwiema odmianami malin.

- Każdą z nich trzeba inaczej przycinać - zaznaczyła.

Gdyby tylko jej słuchał, a nie widział - mógłby ją wziąć za wiejską gospodynię. Która jednak wiejska gospodyni potrafi przyrządzić potrawę godną serwowania w czterogwiazdkowej restauracji? Owszem, stykał się nieraz z dobrą domową kuchnią, ale kojarzyła mu się raczej z kurczętami smażonymi w głębokim tłuszczu lub dzwonekami suma. Nie znał natomiast kucharki, która zestawiałaby wątróbki i gołąbki z marynowanymi winogronami.

Bailey pokazała mu jeszcze staw i opowiedziała o rybach, które przezimowały pod lodem. Wspomniała także, jak musiała zabezpieczyć brzegi siatką, by odstraszała szopy. A gdy znaleźli się na zapleczu domu, zveksłowała rozmowę na temat agrestu i porzeczek, których Matt w życiu nie jadł.

Im więcej mówiła, tym bardziej go zaskakiwała. Niektóre słowa wymawiała inaczej niż rdzenni Amerykanie. W końcu nie wytrzymał i zapytał:

- Nauczyłaś się tego wszystkiego w Kentucky? - Przechodzili akurat przez zalesiony teren, rozpoczynający się za stajnią. — Wychowałaś się może na farmie?

- Skąd, najwyżej na przedmieściu. Ale popatrz, czy to nie jest urocze?

Wskazała miejsce przygotowane do rozpalania ogniska na polance, a Matt uświadomił sobie, że znowu nie odpowiedział na jego pytanie. Podtrzymał więc temat ogniska.

- Wiesz, raz z bratem o mało nie wywołaliśmy pożaru lasu.

- Opowiedz o tym - poprosiła.

- O czym tu mówić? To była po prostu głupia, szczeniacka zabawa. Rick i ja nazbieraliśmy chrustu, polaliśmy go benzyną do zapalniczek i rzuciliśmy na to płonące zapałki. Oczywiście, benzyna wybuchła. - Potrząsnął głową na samo wspomnienie. - Łaska boska, że nas nie zabiło. Gdyby nie zaczął padać deszcz, kto wie, do czego mogłoby dojść.

- No, to rodzice musieli was porządnie skrzyknąć.

- Mama nigdy się o tym nie dowiedziała, bo pracowała do późna poza domem, tak że przez większą część dnia chodziliśmy samopas. - Przerwał, spodziewając się, że zada pytanie, które wszyscy zadawali w tym miejscu. Ponieważ jednak Bailey nie pytała o nic, sam dokończył: - A ojciec odszedł od nas, kiedy ja miałem pięć lat, a Rick trzy.

- Och, przepraszam. - Bailey podniosła oczy na niego, ale odwrócił głowę w inną stronę, żeby nie widziała wyrazu jego twarzy.

- Nic nie szkodzi, to było dawno temu. A co porabiają twoi rodzice?

- Ojciec umarł, kiedy miałam czternaście lat, a matka w zeszłym roku. Ale mam jeszcze siostrę - wyznała, zwracając oczy ponownie w stronę ścieżki.

- W Kentucky? - uściślił.

- Tak - odpowiedziała takim tonem, aby zniechęcić go do zadawania dalszych pytań. Matt jednak zdawał się tym nie przejmować.

- W takim razie, jeśli nie urodziłaś się na farmie, to gdzie nauczyłaś się tyle o owocach i warzywach?

Musiła znowu odwrócić się ku niemu i już otwierała usta, ale najpierw westchnęła:

- Czy wszyscy w tym mieście są tacy dociekliwi?

- Owszem - potwierdził Matt z satysfakcją w głosie. - Tu nic się przed nikim nie ukryje. O mnie nawet dzieci wiedzą wszystko, co tylko można.

- Także i to, że ożeniłeś się z latawicą? - zaśmiała się Bailey.

- To wersja Patsy. Cassandra widziała się z nią najwyżej raz, ale podobno była dla niej nieuprzejma. Patsy zemściła się w ten sposób, że puściła w obieg plotkę, jakobym ożenił się ze „słodką idiotką” .

- A czy ona rzeczywiście była taka?

- No, zanadto inteligentna być nie mogła, skoro mnie opuściła! - Matt uśmiechnął się krzywo.

Bailey zalotnie przekrzywiła głowę.

- Dalej nie odpowiedziałeś mi na osobiste pytanie.

- No to mamy remis - uśmiechnął się Matt. - Co z tym kruszonem brzoskwinowym? Nabrałem na niego apetytu!

- Uważaj, żebyś nie nabrał za dużego, bo przytyjesz.

- A co ty w ogóle wiesz o tyciu? - zapytał tonem lekko aluzyjnym.

- Absolutnie nic - oświadczyła ze śmiertelną powagą, choć z wesołymi iskierkami w błękitnych oczach. - Nie mam bladego pojęcia o dietach odchudzających, godzinach forsownych ćwiczeń połączonych z głodówką ani o frustracji wskutek braku efektu... Skądże, nigdy nie miałam nic wspólnego z tyciem!

Zanosząc się śmiechem, poszła w stronę domu, a Matt jak po sznurku za nią. Nie minęła chwila, a siedział już przy stole w salonie, smakując pierwszy łyk kruszonu brzoskwiowego.

- Co ty... - zaczął, ale nie umiał dokończyć pytania.

- Co tam dodałam, że smakuje inaczej niż normalny kruszon brzoskwiowy, prawda?

Matt mógł tylko potakująco kiwnąć głową.

- To wiśnie i wanilia. Wystarczy odrobina jednego i drugiego, aby wydobyć prawdziwy smak brzoskwiń. A brzeg szklanki obtoczyłam w mielonych migdałach.

Matt przykazywał sobie, żeby się, broń Boże, nie rozpłakać. Niezdolny do wyrażenia swoich aktualnych uczuć, postukiwał tylko widelcem w talerz i wyrzucał z siebie urywane słowa:

- Gdzie? Jak?

Bailey spuściła oczy i zacisnęła ręce na krawędzi stołu. Dopijała jeszcze swoje wino i zdawała się zastanawiać, ile może mu powiedzieć.

- Mój mąż zatrudniał kucharza i ogrodnika - wydusiła w końcu. - Spędzałam z nimi dużo czasu i wszystkiego się od nich nauczyłam.

Matt ocenił, że odkryła przed nim najwyżej jeden procent prawdy, ale było to lepsze aniżeli nic.

Wypił już może połowę kruszonu, kiedy wpadł na Pomysł, właśnie, Pomysł przez duże „P”. Zauważył bowiem spojrzenie Bailey utkwione w ścianie pokrytej szkaradną, brązową wykładziną i o mały figiel się nie wygadał, że pod nią kryje się wykuty w kamieniu kominek.

- No więc co sądzisz o tym domu? - zaczął ostrożnie. Zauważył, że odetchnęła z ulgą, kiedy przestał pytać o jej przeszłość.

- To zupełna ohyda! - stwierdziła. - Kiedy się dowiedziałam, że Jimmie zostawił mi dom na farmie, wyobrażałam sobie romantyczny wiejski dworek z kominkiem i werandą, na której można by siedzieć w bujanym fotelu. Tymczasem spadła mi na głowę rudera naszpikowana sypialniami i łazienkami, jakby to był hotel! Widziałeś kiedyś coś takiego?

Matt uprzątnął do czysta swój talerz, wypił kruszon i resztkę wina. Wytarł usta serwetką i wstał od stołu.

- Poczekaj, przyniosę narzędzia z samochodu, to coś ci pokażę, dobrze? - zaproponował.

- No pewnie! - zgodziła się, zaciekawiona.

Po drodze do samochodu Matt powtarzał sobie, że ma zachować spokój i ostrożność. Wiedział, że los dał mu jedyną w swoim rodzaju szansę, a jeśli ją teraz zaprzepaści, to już straci na zawsze. Otworzył skrzynkę z narzędziami i wyjął stamtąd łom, a przy tej czynności stanął mu przed oczami klops w wykonaniu Patsy. W wyobraźni porównał go z pieczonymi gołębiami i kruszonym z brzoskwiń, jakim poczęstowała go ta oryginalna kobieta. I to jakim kruszonym - dodała do niego wiśni, a brzegi szklanek obtoczyła w mielonych migdałach! Przystąpił więc do akcji z taką powagą, jakby miał dokonać dzieła swego życia. Przewiesił przez ramię pas z narzędziami, wetknął pod pachę łom i ruszył pewnym krokiem w stronę domu.

Zauważył, że Bailey tymczasem sprzątnęła naczynia. Zatrzymał się w drzwiach kuchennych, gdyż właśnie wstawiała do lodówki rondel z niedosmażonym dżemem.

- Gotowa? - zapytał. W odpowiedzi poszła za nim aż do frontowych drzwi.

- Kiedy studiowałem architekturę, w ramach pracy dyplomowej miałem wykonać jakiś projekt... - opowiadał, kłęcząc na podłodze w miejscu, do którego przylegały płyty imitujące boazerię. - W tym celu obmierzyłem ten dom ze wszystkich stron i rozrysowałem go tak, by zachować taki sam plan, ale zmienić rozkład wnętrza. Przypadały akurat święta Bożego Narodzenia, nie chciałem więc w tym czasie narzucać się Rickowi i Patsy. Starałem się spędzać jak najwięcej czasu w tym domu, więc dobrze go obejrzałem i spróbowałem wyobrazić sobie, jak wyglądał pierwotnie. Zorientowałem się, że tę idiotyczną wykładzinę położono nie od razu po zbudowaniu domu, ale znacznie później. Oderwałem więc niektóre płyty, zajrzałem pod spód i przybiłem je z powrotem. O, na przykład tę! - Znalazł szparę między płytami tak dużą, że zmieściłaby się w niej ręka, i spróbował podważyć płytę łomem, upewniając się zawczasu: — Mogę?

- Możesz zrobić z tym paskudztwem, co chcesz - odpowiedziała z rozbrajającą szczerością, ale podskoczyła, gdyż

odrywaniu płyty towarzyszył zgrzyt wyciąganych gwoździ. Matt odstawił ją na bok i zwrócił się do Bailey z uśmiechem triumfu. Ona jednak w powstałej dziurze dostrzeżała tylko spodnią stronę analogicznej wykładziny z sąsiedniej sypialni.

- Nie widzisz tego, co tam jest - stwierdził z nutą zawodu.

- Przepraszam, czego nie widzisz?

- No, tego! - Wskazał na coś w rodzaju słupka między dwiema płytami.

- Aha - odpowiedziała bez przekonania. Matt kopniakiem wybił cienką płytę, aż przeleciała na stronę przyległej sypialni.

- A teraz widzisz? - niecierpliwił się.

- O, z dwóch pokoi można zrobić jeden! - zauważyła Bailey. - Świetny pomysł!

Matt w końcu położył rękę na pionowej drewnianej belce, którą wskazał uprzednio.

- Naprawdę nic nie widzisz? A co to jest? - podpowiadał.

- Chyba jakiś słupek.

- No właśnie! A jakie konstrukcje opierają się na słupkach?

- Na przykład skrzynki pocztowe...

- Pomyśl o czymś większym! - zachęcał Matt ze śmiechem. - Gdzie można postawić bujany fotel?

- Aha! - odgadła Bailey, najpierw nieśmiało, potem powtórzyła głośniej: - Na werandzie?

- No, wreszcie załapałaś!

- Myślisz, że tu naprawdę...

- Tak, tu przedtem była weranda. Biegła wokół domu, zajmując mniej więcej jedną czwartą jego powierzchni, w kształcie litery „L”. Jakiś amator zabudował ją, aby wygospodarować przedsiónek, dwie sypialnie i dodatkową łazienkę.

- Do tego wyjątkowo brzydką! - dodała Bailey.

- Jeżeli zgodzisz się na wyburzenie ścianek działowych i zrezygnujesz z tych sypialni i łazienki, będziesz mogła odzyskać werandę.



Matt z zadowoleniem stwierdził, że Bailey była zanadto zszokowana, aby komentować jego słowa. Odwrócił się więc, skrywając uśmiech, a kiedy wrócił do salonu - tym razem ona podreptała za nim jak po sznurku.

W salonie zwrócił uwagę Bailey na występ w najdłuższej ścianie, na odcinku mniej więcej metra.

- Odwróć się i zamknij oczy, bo to brudna robota - przykazał. Już podsadził łom pod płytę, gdy nagle się zawahał. - Albo może nie będę tego robił, bo zakurzę ci wszystkie meble?

- Przecież mam odkurzacza! - zapewniła pospiesznie. Pospiesznie też cofnęła się i zamknęła oczy, ale otworzyła je, gdy usłyszała trzask. Matt zdążył przytrzymać odbitą płytę, zanim upadła na meble, ale razem z nią uniosła się chmura pyłu. Dopiero gdy opadł, ukazała się kamienna konstrukcja.

- Czy to kominek? - spytała nieśmiało, podczas gdy Matt ustawiał oderwaną płytę pod ścianą.

- Ależ oczywiście. Z kamienia polnego. - Wsadził głowę w palenisko i zajrzał do kanału kominowego. - Wydaje mi się, że nawet nie trzeba będzie wiele pracy, żeby go doprowadzić do stanu używalności.

- I mógłbyś to zrobić? Oderwać te wszystkie płyty, odsłonić kominek i werandę? Tak, żeby się nadawały do użytku?

Dzięki niej poczuł się jak lekarz, który znalazł sposób na przywrócenie zmarłego do życia.

- Pewnie - odpowiedział takim tonem, jakby to była najprostsza rzecz pod słońcem. Wolał nie uprzedzać jej o niebezpieczeństwie uszkodzenia całej konstrukcji domu, zbudowanych, być może, krokwiach dachowych, o możliwości zagrzybienia ścian lub zagnieżdżenia się termitów. Uznał też, że lepiej nie mówić jej o podejrzanym brzęczeniu, które właśnie usłyszał w przewodzie kominowym

Unikając gwałtownych ruchów, przyłożył płytę boazeryjną z powrotem na miejsce i przybił tak szybko, jak tylko mógł, aby jeszcze bardziej nie rozdrażnić roju pszczół lub os, których gniazdo odkrył.

- Teraz jeśli chodzi o kuchnię - zapowiedział, ewakuując się z Bailey na bezpieczną odległość. - Zawsze byłem zdania, że tę ścianę można by wyburzyć i połączyć kuchnię z jadalnią. Najwyżej tam, gdzie się gotuje, mogłabyś mieć specjalną wysepkę. Wolisz postument z marmuru czy granitu?

- Marmur?... Granit?... - wyszeptała.

Matt znowu musiał się odwrócić, żeby skryć uśmiech. Po-tem oprowadził Bailey po sypialniach i opowiedział o możliwości kupna instalacji wodnej i gazowej po cenach hurtowych.

- To ty zajmujesz się także instalatorstwem? - zdziwiła się Bailey.

- Ja nie, ale mój kumpel ze szkoły tak, mogę więc go poprosić, żeby się tym zajął.

Podobały mu się meble, które Bailey zakupiła do sypialni, gdyż miały obicia o wypukłej fakturze. Patsy wolała meble na wysoki połysk, w których można się przeglądać, podczas gdy jego ekszona lubowała się w antykach, zwłaszcza takich, które były za drogie, aby z nich normalnie korzystać.

Nadal podtrzymywał rozmowę, kiedy przechodzili przez kolejne dwie sypialnie i łazienkę. Bailey zdawała się nie zauważać, że w tych pomieszczeniach zabawił nieco dłużej. Szczególnie wnikliwie przyglądał się ścianie oddzielającej łazienkę od jednej z sypialni. Chętnie podjął się wykucia drzwi w tej ścianie, by powstało osobne wejście. W domu Patsy dzielił bowiem łazienkę z jej dwoma synami - strasznymi brudasami. Każdego ranka potykał się o porozrzucane na posadzce ich mokre ręczniki i brudną bieliznę. Patsy oświadczyła, że nie używa tej łazienki, toteż nie ma zamiaru jej sprzątać. Przez ostatnie pół roku Matt spędzał więc każde sobotnie przedpołudnie na szorowaniu podłogi w łazience.

- No, więc jak? - spytał Bailey, spoglądając na łazienkę z nadzieją w oku. Była wprawdzie niegustownie urządzona, ale za to nie użytkowało jej dwu niechlujnych nastolatków.

- A co z poddaszem? - odpowiedziała mu pytaniem.

- Ach, rzeczywiście, zobaczymy.

Pierwszy zaczął wchodzić na górę po schodach, ale na trzecim stopniu przestąpił z nogi na nogę. Zaniepokoilo go, że schody wydają się niezbyt stabilne.

- No, trzeba w to będzie włożyć dużo pracy! - rzucił przez ramię.

U szczytu schodów przystanął, aby zaczerpnąć powietrza. W czasach, gdy jako dziecko odwiedzał to miejsce, wmawiał młodszemu braciszкови, że na poddaszu straszą duchy. Prawda była taka, że chciał mieć tę facjatkę tylko dla siebie, jako azyl, gdzie się chronił, gdy życie stawało się trudne do zniesienia.

- Dobrze się czujesz? - Bailey przyglądała mu się badawczo.

- Oczywiście - zapewnił. - Próbowałem tylko przypomnieć sobie, jak to wyglądało, kiedy byłem tu ostatni raz. Wydaje mi się, że w części oddzielonej poręczą podłogę położono niedawno. Przedtem tworzyła onajakby galerię nad pokojem poniżej, dopiero później ktoś wyciął fragment poręczy, a otwartą przestrzeń nakrył podłogą, aby uzyskać dodatkowe pomieszczenie. Prawdopodobnie...

- Nie idź tam! - Bailey gwałtownie powstrzymała Matta, nie dając mu dokończyć. Kiedy się obejrzał, dostrzegł w jej wzroku wyraźne zakłopotanie.

- Przepraszam, pewnie pomyślisz, że zwariowałam, ale mam złe przeczucia związane z tym miejscem. Robotnikom z ekipy remontowej też nie pozwoliłam tu wejść. Wiem, że to głupio z mojej strony, ale...

Zawiesiła głos i wzruszyła ramionami.

- Zobaczmy. - Nachylił się i zaczął podważać płyty sklejk. Po oderwaniu trzech sam się cofnął. - Miałaś nosa - pochwalił z podziwem. - Ten, kto układał tę podłogę, to jakiś partacz bez pojęcia o stolarce budowlanej. Równie dobrze mógł użyć klocków lego.

Bailey podeszła bliżej i popatrzyła w miejsce po wyrwanej sklejce. Znajdujące się pod nią legary ledwie się stykały, z pewnością więc nie utrzymałyby większego ciężaru.

- Gdyby ktoś tam wszedł, poleciałby na dół jak amen w pacierzu - stwierdził Matt. - Często miewasz takie przecucia?

- Nie bardzo, tylko czasami... Pewnie myślisz, że jestem głupia?

- Absolutnie nie.

- Czasem wydaje mi się, że wiem, czy coś jest w porządku, czy nie. Nie chodzi tu wcale o przewidywanie przyszłości, ale takie wycucie, czy to, co akurat chcę zrobić, jest słuszne. To chyba coś w rodzaju instynktu.

- Jeśli tak, to jest on bardzo dobry.

Na dworze zaczynało się ściemniać, a poddasze było nieoświetlone. Bailey zaczęła schodzić, Matt za nią, ale u szczytu schodów zatrzymał się na chwilę i rozejrzał po facjatce. Oczami wyobraźni widział już pod przeciwległą ścianą swoje biurko z komputerem, a pod oknem stół kreślarski. Gdyby dobudował podest, mógłby ustawić stół wyżej, tak by można było wyglądać przez okna. Miałyby wtedy widok na ogród, gdzie Bailey uprawia surowce na swoje przetwory i wymyślne potrawy. Mógłby...

- Czy jeszcze coś jest nie w porządku?! - zawołała Bailey od podnóża schodów.

- Nie! - odkrzyknął i zaraz zszedł na dół.

Znowu znaleźli się w salonie, ale tym razem Bailey nie zaprosiła go, żeby usiadł, nie zaproponowała nic do jedzenia ani do picia, ani też sama nie usiadła. Jasne było, że oczekuje, aby już się pożegnał. Rzeczywiście, minęła dziewiąta, a ona pewnie miała jeszcze coś pilnego do zrobienia. Jednakże to samo do zrobienia miał również Matt.

Nie miał wcale ochoty zbierać się do wyjścia. Stał tylko i czekał na jej ostateczną decyzję.

- No więc dobrze, dam ci tę pracę - zdecydowała. - Powiedz mi tylko, ile żądasz, bo nie wiem, czy będzie mnie na to stać. Mam także inne wydatki...

„Teraz albo nigdy - pomyślał Matt. - To twoja jedyna szansa, Longacre”.

- A ja chciałbym ci coś zaproponować - wypalił, ale zaraz pożałował źle dobranych słów, Bailey bowiem od razu cofnęła się o krok.

- Coś, co ma związek z tą pracą - dodał szybko, ale nie rozluźniła napiętych mięśni barków. - Czy nie moglibyśmy usiąść i porozmawiać o tym?

Skierował się w stronę najbliższej kanapy, ale Bailey nie ruszyła się ze swego miejsca, przyglądając mu się z rezerwą. Usiadł więc sam, nabrał w płuca dużo powietrza i podniósł na nią oczy.

- Słuchaj, potrzebuję mieszkania, a ty masz tu tyle wolnych sypialni, może więc odnajęłabyś mi którąś? W weekendy pracowałbym nad przebudową domu, a ty płaciłabyś tylko za materiały.

- Rozumiem - odpowiedziała, unikając jego wzroku. Obeszła kanapę dookoła i usiadła na krześle w przeciwnym końcu salonu. - Ale dlaczego chcesz się wprowadzić akurat do mnie? W Calburn musi być więcej osób, które mają wolne pokoje.

- O, niejedna! - roześmiał się półgębkiem. - Tylko że one nie umieją gotować albo mają kupę hałaśliwych bachorów, albo... Nie obraż się, ale masz w sobie coś, co mi się podoba... Jakiś spokój i pogodę. Nie wyglądasz na kobietę, która łatwo wpada w histerię.

- Rzeczywiście - przyznała Bailey. - Trudno mnie wprowadzić z równowagi. - Przez chwilę oglądała paznokcie, a potem dodała: - To gdzie chciałbyś spać?

- Myślę, że mógłbym zająć tę większą sypialnię od tyłu, która przylega do zielonej łazienki - zaproponował skwapliwie. - A na facjatce urządziłbym sobie pracownię. W weekendy zwykle prowadzę księgowość.

- Oprócz odbudowy mojej werandy będziesz zajmował się jeszcze księgowością?

- Zgadza się, werandy i kominka. Aha, i jeszcze kuchni. Nawet przede wszystkim kuchni.

- Właśnie, jak będzie zjedzeniem?

- Myślę, że będziesz dla mnie gotować.
- Dobrze, ale kto za to zapłaci? Widzę, że lubisz dużo jeść, a gdybyś przyjmował gości? Kto wtedy pokryje dodatkowe wydatki?
- Mam otwarty kredyt w sklepie spożywczym w Calburn, mogę więc płacić za wszystko, co tam kupisz. Tak będzie dobrze?
- A jeśli to będą warzywa z mojego ogrodu lub owoce kupione bezpośrednio u producenta? Albo w hurtowni?
- Matt z niedowierzaniem zamrugał oczami. Przecież o wiele bardziej obawiał się, aby nie posądziła go o nieczne zamiary w stosunku do niej!
- No więc ile chciałabyś, żebym ci płacił za mieszkanie i utrzymanie?
- Powiedzmy... sześć stów miesięcznie plus koszty produktów.
- Co takiego?! Ależ to rozbój na równej drodze! - wykrzyknął. Udał, że wstaje, przyglądając się jej kątem oka, ale nawet nie drgnęła, zachowując zupełny spokój.
- Pokój w motelu kosztowałby cię znacznie drożej, nawet bez wyżywienia - tłumaczyła. - Musiałbyś sam sobie gotować, a u mnie będziesz miał wikt wliczony w cenę. Moja praca w kuchni zrównoważy twoją stolarkę, a gdybyjeszcze doliczyć tę twoją księgowość weekendową... W sumie te sześć stów to i tak za tanio - dodała po namyśle.
- Nie przesadzaj, Calburn to nie jest wielkie miasto. Ceny są tu o wiele niższe.
- No to co? - Bailey rozsiadła się wygodniej i skrzyżowała ręce na piersiach. - Albo przyjmujesz moje warunki, albo do widzenia!
- Przyjmuję, ale nie jestem zachwycony.
- Tak i mnie się wydaje. Czy chcesz, żebyśmy spisali umowę?
- Myślę, że wystarczy, jeśli podamy sobie ręce na zgodę. - Nie przestawał uśmiechać się do niej. - Chyba że zażądasz za to dodatkowej opłaty?

- Bo ja wiem... A powinnam?

- Nie - roześmiał się Matt, wyciągając do niej rękę. Kiedy Bailey ujęła ją, ich spojrzenia przez chwilę się spotkały. Ale to ona cofnęła się pierwsza i od razu skierowała ku drzwiom. Matt poszedł za nią, a w drzwiach minął ją, by wyjść.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wprowadziłbym się od jutra - zaproponował.

- W porządku, ale chyba nie masz zamiaru... no, wiesz co! - Po chwili wahania dodała jeszcze: - Nie wydaje mi się, abym była gotowa na...

- Seks? - dokończył wprost.

- To jeszcze mogłabym wytrzymać. - Uśmiechnęła się. - Nie chciałabym tylko angażować się w żaden związek, dopóki nie znajdę dobrego sposobu zarobkowania. Potrzebuję swobody i niezależności. Jasne?

- Chyba tak - powiedział niezdecydowanie. - Seks może być, byleby nie wtrącać się do twojego życia. Czy zrozumiałem cię dobrze?

- Mniej więcej - zaśmiała się, zamykając drzwi. - Tylko żebyś wiedział: w razie gdyby do czegoś doszło, trzykrotnie podwyższę ci komorne!

Matt szedł do swego samochodu, zanosząc się śmiechem., Już w szoferce musiał posiedzieć chwilę, z głową odchyloną na oparcie fotela, aby móc ostatecznie uwierzyć w swoje szczęście. Nareszcie będzie mógł wyprowadzić się od Patsy!

Uśmiech nie schodził mu z twarzy jeszcze i wtedy, gdy włączył silnik. Mało tego, że opuszczał mieszkanie szwagierki - wprowadzał się pod dach kobiety, która naprawdę umiała gotować i prowadzić dom jak należy! To mu się dopiero udało!

Zjeżdżając z Owl Creek Road na asfaltową drogę, miał tylko nadzieję, że Bailey nie dowie się, ile naprawdę Patsy brała od niego za mieszkanie. Płacił jej siedemset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie plus tygodniowe zakupy dla całej pięcioosobowej rodziny!

Następnego dnia Bailey wstała, kiedy dochodziła już ósma. Nic dziwnego, bo położyła się spać około trzeciej nad ranem. Po odjeździe Matta zagracony domek wydał się jej bowiem tyleż pusty, co pełny bolesnych wspomnień o dawnym życiu. Nawet kiedy położyła się do łóżka, ponad godzinę przewracała się z boku na bok i nie mogła zasnąć, aż w końcu narzuciła coś na siebie i poszła do kuchni napić się czegoś ciepłego.

Posiedziała także chwilę przy stole w jadalni, przyglądając się ścianie, która w swoim wnętrzu ukrywała kominek. To właśnie wtedy usłyszała jakiś szmer na dworze i od razu spojrzała ku frontowym drzwiom w nadziei, że ukaże się w nich Jimmie. W tym momencie zdała sobie sprawę, że musi natychmiast coś zrobić, bo inaczej przepłacze całą noc.

W lodówce stały rondle z niedosmażonym dżemem, a na podłodze skrzynka truskawek, które kupiła na przydrożnym straganie. Na swoją kolej czekały woreczki śliwek, duże pudełko jeżyn i torba wiśni, a szuflady lodówki wypełnione były warzywami.

- Albo usiądziesz i będziesz płakać, albo weźmiesz się do roboty! - skarciła sama siebie. Skończyło się na tym, że nałożyła tenisówki i fartuszek, postawiła na stole skrzynkę z truskawkami i przybory do robienia przetworów. Philip podesłał jej montera, który zainstalował telewizję kablową, nastawiła więc telewizor na kanał z nocnym programem i zabrała się do pracy.

Rano, jeszcze ziewając, przeszła do spiżarni, gdzie mogła podziwiać plon nieprzespanej nocy - butle nalewki jeżynowej i wiśniowej, słoje dżemu i konfitur z truskawek, powideł śliwkowych, keczupu z zielonych pomidorów, śliwek i marchewek w occie. Na parapecie nadal stało pudełko z przepisami - znalezisko, z którego początkowo tak się cieszyła. Zawiodła się jednak, bo w środku znajdowały się tylko receptury tak prostych potraw jak klops czy smażone kurczęta.



Kosztowało ją to mnóstwo pracy - najpierw wyparzyła słoiki w zmywarce nastawionej na maksymalną temperaturę, a pokrywki do nich wygotowała we wrzątku. W kuchni brakowało miejsca na to wszystko, wykorzystowała więc stół wjadalni, przykrywając go uprzednio czystymi ścierkami.

Zaczęła od jeżyn, które przesyłała cukrem i wstawiła do słabo nagrzanego piekarnika. Musiały powstać w cieple przez kilka godzin, zanim pod wpływem cukru puściły sok. Odrywając szypułki truskawek, od razu je sortowała - do jednego garnka wrzucała owoce przeznaczone na dżem, do drugiego te, które miały być smażone w całości. Kiedy już perkotały na małym ogniu, wydrylowała śliwki i przesyłała je do wielkiej misy, podczas gdy w garnku zagotowała mieszankę octu winnego, zagęszczonego soku jabłkowego, goździków, pieprzu z Jamajki, imbiru i liści bobkowych.

Sprawiła, czy dżem już dostatecznie stężał, wlewając małą jego ilość na chłodny talerz. Szybko zakrzepł, co oznaczało, że jest gotowy do ponakładania w słoiki. Przyciągnęła blisko stołu sterylizator z wrzącą wodą, bo szczelne zamknięcie słoików wymagało wysokiej temperatury i sterylnej czystości. Wystarczyło, żeby na brzegu słoika została odrobina dżemu, a już wieczko nie przylgnęłoby na całej powierzchni albo, co gorsza, do środka dostałyby się bakterie!

Najpierw ponakładała, najszybciej jak mogła, wydrylowane śliwki do gorących, wyparzonych słoików. Przez lejek z nierdzewnej stali zalewała ich zawartość precedzoną marynatą octową. Brzegi weków dokładnie przetarła suchą ścierką, nałożyła pokrywki, dokręciła je i ustawiła słoje na tacy, którą zaniósła do kuchni. Za pomocą szczyptic przeniosła je do sterylizatora i nastawiła odpowiedni czas ogrzewania. To samo zrobiła z dżemem i konfiturami z truskawek, jak też z dżemami, które zaczęła smażyć jeszcze poprzedniego dnia.

Wyparzyła w zmywarce także ozdobny, dwulitrowy gąsior. Wsypała do niego wiśnie, które wydrylowała szpilką, pozostawiając jednak szypułki. Zasypała je cukrem i zalała do

pełna grappa - włoską wytrawną wódką z winogron. Przykrywką miała hermetyczne zamknięcie, więc dokładnie ją docisnęła.

Ponad godzinę zajęło jej siekanie przeznaczonych na keczup zielonych pomidorów, które także nabyła u przydrożnego sprzedawcy. Dodała do nich drobno pokrajane jabłka i cebulę. Wszystkie warzywa przesypała do garnka i dusiła z octem winnym, rodzynkami, pieprzem cayenne, imbirem i czosnkiem.

Oczyszczone młode marchewki również zalała octem winnym, doprawionym cukrem, nasionami selera, kopru i gorczycy, ziarnami białego pieprzu i liśćmi bobkowymi.

Tymczasem jeżyny w ciepłym piecu wypuściły dużo soku. Zlała go do woreczka z gazy, który ciasno zawiązała sznurkiem i przymocowała do nóg odwróconego taboretu. Na spodniej stronie jego blatu postawiła ceramiczną miskę, do której miał ściekać czysty sok.

Po uszczelnieniu słoików z keczupem i marynowaną marchewką zmierzyła ilość odsączonego soku zjeżyn, dodała tyle samo dżinu i po wymieszaniu przelała do hermetycznie zamykanych butelek. Oznaczyła wszystkie wyroby etykietkami i przeniosła do spiżarni. Cała ta praca tak ją zmęczyła, że zasnęła w okamgnieniu, zaraz gdy położyła się do łóżka.

Rano jednak zaczęła rozważać kwestię, co z tym robić dalej. Wprawdzie wczoraj wyrób dżemów, keczupu i nalewek na sprzedaż wydał się jej genialnym pomysłem, ale gdy prześpała się z tą myślą, zaczęły ją dręczyć wątpliwości. Przede wszystkim - jak miałyby dostarczać swój towar klientom? Zwykle przygotowywała po sześć słoików każdego przysmaku, ale dla celów handlowych musiałyby produkować większe partie - setki czy nawet tysiące jednakowych słoików. Nie wiedziała także, czy sprzedaż nalewek własnej produkcji nie stałaby w sprzeczności z ustawą antyalkoholową. Czy na przykład wyrób wiśni w koniaku wymagałby specjalnej licencji?

Dawniej, gdy czegoś chciała, wystarczyło poprosić o to

Jimiego, a on już osobiście wszystkim się zajął lub wyznaczył kogoś odpowiedzialnego. Kiedy nad ranem w końcu kładła się do łóżka, zauważyła na szafce nocnej kalendarzyk z adresami i telefonami. Znalazłaby tam wszystkie numery, pod którymi można było zastać Philipa. Gdyby do niego zadzwoniła i poprosiła o pomoc, wzięłaby sprawy w swoje ręce. Dla niej jednak oznaczałoby to przyznanie się do klęski.

Miała więc gotowe przetwory w słoikach, ale nie wiedziała, co z nimi zrobić. Głośno krytykowała nieboszczyka Jamesa Manville'a, bo to przez niego nie potrafiła z niczym sobie poradzić. Jak ma teraz zarabiać na swoje utrzymanie, jeżeli nie miała pojęcia, od czego zacząć?

Najpierw targała nią złość, potem zbierało się jej na płacz, aż w końcu doszła do wniosku, że po prostu brakowało jej Jimiego. Tak pragnęła, żeby był teraz przy niej! Żeby mogła słyszeć jego głos, rozmawiać z nim, słuchać, co miał do powiedzenia... Razem rozwiązałyby wszystkie problemy.

Brakowało jej także seksu z Jimiem. Wczoraj pół żartem, pół serio droczyła się na ten temat z Mattem Longacre'em. Wydawało mu się, że nie zechce wynająć mu pokoju w obawie o swoją cnotę, jej tymczasem ani w głowie powstało, by odgrywać niewinną dziewczycę! Odwrotnie, marzyła tylko, żeby ktoś wyzwolił ją od przytłaczającej samotności! Przywykła do życia w domach mieszczących wielu mieszkańców, choćby większość z nich stanowiła służba. Jej to nie przeszkadzało, szybko bowiem zaprzyjaźniała się z pracownikami domowymi. Ilekroć zajrzała do kuchni - witał ją tam uprzejmie szef z całą armią kucharzy i kuchcików. W ogrodach czekało ją miłe przyjęcie ze strony ogrodników i projektantów zieleni. Zamków usytuowanych na wyspach doglądali przychylni jej konserwatorzy, pływający na łodziach.

Nawet jeśli życie, jakie wiodła u boku Jimiego, było nieco dziwaczne, to przywykła do niego i czuła się z tym szczęśliwa. Teraz została sama, nie miała ani do kogo się odezwać, ani poprosić o radę, ani też z kim pójść do łóżka. Chwilami zamierzała przywdziać żałobę i, jak królowa Wiktoria, obno-

się się ze swym wdowieństwem do końca życia. Innym razem zwyciężało w niej pragnienie śmiechu, rozrywki i radosnej zabawy w łóżku we dwoje. Nagłe przejście od bujnego życia intymnego do kompletnej pustki sprawiało jej wręcz ból fizyczny.

W końcu zmusiła się jakoś do wyjścia ze spiżarni i z miseczką płatków śniadaniowych usiadła na schodkach przed prowadzącymi do ogrodu drzwiami domu. Miała stamtąd widok na rozrośniętą morwę, na której zaczynały się formować pierwsze owoce.

- Zostałyśmy tu same, kochana! - powiedziała do niej. Kiedyś dowiedziała się od angielskiego ogrodnika, że morwa jest najbardziej... ostrożnym spośród drzew! Otóż nigdy nie wypuszczała liści, dopóki nie minęło zagrożenie przymrozkami. „Najpierw popatrz na morwę!” - mawiał zawsze ogrodnik. Jeśli na początku kwietnia miała już młode pędy, bez obawy można było wysadzać do gruntu nawet wrażliwe rośliny. Natomiast choćby w maju panowała już wiosenna pogoda i synoptycy nie przewidywali nawrotu zimy, a morwa jeszcze nie rozwinęła pąków - lepiej było przetrzymać sadzonki w inspektach, gdyż z całą pewnością miały nadejść późne przymrozki.

Bailey jednak nadal nie wiedziała, co ma ze sobą począć. Dokupić jeszcze owoców i zrobić więcej przetworów? Nawet jeśli nie miała pomysłu na ich dystrybucję?

A może lepiej zastanowiłaby się nad treścią liściku, jaki zostawił jej Jimmie? „Zrób to dla mnie, Piegusku, i dowiedz się całej prawdy o tym, co się stało”. Im częściej czytała tę notatkę, tym bardziej wychodziła z siebie. Ciekawe, czego i jak miała się dowiedzieć.

O jaką prawdę mu chodziło? Szkoda, że nie zostawił jej przynajmniej jakiejś wskazówki, od czego zacząć. W Calburn powszechnie nazywano farmę, której zapisał, starym domostwem Hanleyów. Co to mogło mieć wspólnego z Jimmiem, który nosił nazwisko Manville? Chyba że było ono fałszywe, podobnie jak większość szczegółów jego ży-

ciorysu. Jeśli mógł zmienić nawet wspomnienia z dzieciństwa, to dlaczego nie nazwisko?

Im dłużej jednak Bailey kontemplowała stare drzewo, tym bardziej rozjaśniało się jej w głowie. Nawet Jimmie miał przecież coś, czego nie zdołał ukryć. Była to blizna na twarzy, którą zręcznie maskował sumiastymi wąsami. Nie wiedział o niej nikt oprócz Bailey, ale i ona wykryła ją tylko przypadkiem, podczas nocy poślubnej. Wystarczyło jednak, by oględnie poruszyła ten temat, a po raz pierwszy i jedyny w ich pożyciu Jimmie poważnie się na nią rozgniewał. Oczywiście nigdy więcej o tym nie wspomniała.

Ze zdarzeniem tym Bailey wiązała pewne nadzieje. Może uda się jej w jakiś sposób wykryć to, co Jimmie chciał, aby wykryła?

Wróciła do domu, wstawiła pustą miseczkę do zmywarki, wzięła torebkę i kluczyki od samochodu. Otwierała już drzwiczki, gdy nagle coś ją tknęło. Jeszcze raz pobiegła do domu i napełniła skrzynkę po truskawkach słoikami świeżo zrobionych przetworów. Co szkodziło zareklamować swoje wyroby?

Gdyby Bailey chciała za pomocą jednego słowa scharakteryzować Calburn, prawdopodobnie użyłaby określenia: „opuszczone” lub „opustoszałe”.

Jej dom od centrum miasteczka dzieliły mniej więcej dwie mile, ale wzdłuż tej drogi mijała prawie same puste domy. Znajdowały się wśród nich wiejskie dworki z werandami i w cieniu drzew rozrośniętych do rozmiarów wyrzutni rakietowej. Niektóre trawniki były jeszcze koszone, inne - zarosnięte krzewami i chwastami. Cojakiś czas trafiał się dom zamieszkały, ale większość świeciła pustkami.

- Co tu się mogło stać, na miłość boską?. - dziwiła się Bailey. - Gdzie się podziali ci wszyscy ludzie?

Kiedy dotarła do skrzyżowania dróg w centrum miasteczka, zauważyła, że większość sklepów także nie pracuje. Nie-

które miały okna wystawowe zabite deskami, w innych z za brudnych szyb ziała pustka lub widać było pożółkłe tablice z napisem: „Do wynajęcia”.

Działy tylko pojedyncze firmy. W budynku, który sprawiał wrażenie zlepionego z dwóch różnych, po jednej stronie czynna była poczta, po drugiej - bar. W sklepie z antykami to, co można było dostrzec przez dawno niemyte szyby, przypominało raczej starocie niż antyki. Sklep spożywczy handlował także wyrobami przemysłowymi, a zieleniak reklamował przywędłe warzywa. Bailey pomyślała, że musi poradzić się Mattem, gdzie najlepiej kupować produkty.

W sklepie z tekstyliami sprzedawano również lody i wypożyczano kasety wideo. Na samym końcu ulicy znajdował się salon piękności „U Opal”.

Bailey bez wahania zajęła samochodem na parking przed tym zakładem. Nie wątpiła, że właśnie tam najłatwiej zdobędzie potrzebne jej informacje.

Otwierając drzwi, zadzwoniła dzwoneczkiem. Jednakże kilkunastoletnia dziewczyna, siedząca w fotelu i pogryzająca batonik, nawet nie podniosła oczu znad ilustrowanego magazynu filmowego. Miała jasnoblonde farbowane włosy, długości mniej więcej siedmiu centymetrów, z widocznymi odrostami, powiązane różnokolorowymi frotkami w małe pęczki. Oczy podmalowała grubą, czarną kreską, a mimo upalnego dnia paradowała w swetrze - tak obszernym, że pasowałaby na młodego hipopotama - narzuconym na obcisłe, czarne legginsy.

- Słucham? - Odwróciła głowę z grubsza w kierunku drzwi, ale nawet nie spojrzała na Bailey. - Pani sobie życzy...?

- Zastanawiałam się właśnie... - zaczęła Bailey, ale bez przekonania. Może jednak nie powinna była tu przychodzić? Wcale nie była zachwycona, że ta młoda osoba mogłaby zajmować się jej włosami.

- Carla, zobacz, kto przyszedł - odezwał się głos z zaplecza.

- Jejku, mamo, zaraz... - ciągnęła leniwie dziewczyna, nie zamierzając opuścić fotela.

Bailey chciała już powiedzieć, że zmieniła zdanie i rezygnuje z usługi, gdy kobieta, która w tym momencie wyłoniła się zza kotary, stanęła jak wryta i z oczami jak spodki.

- Ach, to pani! - wykrztusiła w końcu.

Przez jedną koszmarną chwilę Bailey obawiała się, że właścicielka salonu rozpozna w niej Lillian Manville, żonę miliardera.

- Pani jest tą wdową, która kupiła starą farmę Hanleyów, prawda? A Matt Longacre ma się do pani dziś wprowadzić? - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Bailey ze śmiechem przytaknęła i pomyślała z ulgą, że jednak trafiła pod właściwy adres. Tu z pewnością zasięgnie języka, co się dzieje w Calburn.

- Wstawaj! - syknęła właścicielka prosto w ucho dziewczyny, która z fotela gapiła się na Bailey takim wzrokiem, jakby przyniosło ją UFO. Matka musiała potężnie szturchać córkę, by zdecydowała się wreszcie zwolnić fotel.

- Leć do sklepu i przynieś pani coś do picia. Może być „Dr Pepper”. - Skierowała wzrok z powrotem na Bailey. - A pani życzy sobie farbowanie czy trwałą? A może strzyżenie albo pasemka? I proszę mi mówić Opal.

- Nie, tak naprawdę to chciałam... - zaczęła Bailey i zamierzała dokończyć: „zadać kilka pytań”, ale właścicielka i jej córka wlepiły w nią oczy tak uporczywie, że nie chciała ich zawieść.

- Prosiłabym tylko o mycie i modelowanie.

W jednej chwili szefowa zakładu przejęła inicjatywę. Chwyciła Bailey pod ramię i prawie wtłoczyła w fotel, podczas gdy jej córka wreszcie udała się na poszukiwanie napoju.

Bailey wyszła z zakładu fryzjerskiego dumna i wyprostowana. Wsiadając do samochodu, pomachała odprowadzającym ją wzrokiem Opal i Carli.

Wyjeżdżała z miasta z przyklepionym do ust uśmiechem,

ale gdy tylko znalazła się dalej - zaparkowała wóz w cieniu i wyłączyła silnik. Z torebki wyjęła szczotkę, wysiadła z samochodu i porządnie wyszczotkowała włosy. Opal musiała zużyć chyba z pół opakowania pianki i jakiś specjalny lakier, który miał utrzymać fryzurę nawet podczas huraganu.

Na chwilę oparła się o pień drzewa i zamknęła oczy. Czuciła się zmęczona po trwającym ponad godzinę seansie, który przypominał raczej przesłuchanie. Fryzjerka zarzucała ją pytaniami o jej dzieciństwo, małżeństwo i osobę męża. Bailey straciła mnóstwo energii, aby możliwie wiarygodnie kłamać i udzielać odpowiedzi, z których nic nie wynikało.

Na szczęście Opal tak się rozgadała, że nie zwróciła uwagi na powściągliwość Bailey. Natomiast Carla, która przesiadła się teraz na drugi fotel, coraz to spoglądała z ukosa na Bailey, jakby chcąc dać do zrozumienia, że rozszyfrowała jej uniki.

Bailey potrzebowała całego swojego sprytu, by wydobyć z Opal jakiegokolwiek informacje, zamiast pozwalać na wydobywanie ich z siebie. Nie mogła jej przecież powiedzieć nic takiego, o czym nie mogłoby dowiedzieć się całe Calburn! Musiała więc działać dyskretnie i zarazem ofensywnie.

- Interesuje mnie to miasto - zaczęła niewinnie, choć Carla skwitowała to niedowierzającym spojrzeniem. - Chciałabym dowiedzieć się o nim czegoś więcej...

- A czego tu się dowiadywać? - prychnęła Opal, nawijając na wałek pasmo włosów Bailey.

- Ależ jestem pewna, że historia tego miasta jest fascynująca! - zaprzeczyła Bailey, starając się unikać natrętnego wspomnienia o Shirley Tempie. W lustrze widziała, że Opal na chwilę przestała zakręcać jej włosy i wbiła w nią przenikliwy wzrok.

- Chyba nie przyjechałaś tu w sprawie „Złotej Szóstki?” - spytała głosem równie nieprzyjaznym jak jej spojrzenie.

- Nie rozumiem, o czym mówisz - wyznała szczerze Bailey, zadowolona, że sama nie spytała Opal o nic takiego, co wprowadziłoby ją w podobny nastrój. Nie mogła się jednak oprzeć, żeby nie spytać: — A kto to ta „Złota Szóstka?”



- Chłuba naszego miasta, ot co! - oświadczyła z dumą Opal i nakazała córce zamilczeć, gdy ta parsknęła pogardliwie. - A teraz może opowiesz mi coś więcej o twoim świętej pamięci mężu? - zaproponowała, nawijając włosy Bailey na mniejsze wałki tak ciasno, że z oczu pociekły jej łzy.

Gdy Bailey siedziała już pod suszarką, Carla, przechodząc obok niej, dyskretnie upuściła na przeglądane przez nią pismo złożony kawałek papieru. Bailey bez namysłu chwyciła karteczkę i schowała do kieszeni spodni.

Dopiero teraz, po wyjściu z zakładu, przypomniała sobie o tym dziwnym liściku, rozwinęła go więc i zajrzała do środka. Znalazła tam informację: „Violet Honeycutt wie wszystko o Calburn. Mieszka w żółtym domu przy końcu Red River Road”. Pod tym Carla wyrysowała mapkę, z której wynikało, że ulica ta znajduje się całkiem blisko miejsca, gdzie Bailey teraz zaparkowała samochód.

Bailey przeczesła więc jeszcze raz włosy i wróciła do wozu. Od razu polubiła Carlę, mimo jej odstręczającego wyglądu i zachowania.

Korzystając z mapki, łatwo trafiła na Red River Road. Przy końcu ulicy bez trudu znalazła domek w stylu wiejskim, niegdyś pomalowany na żółto, z wyjątkiem futryn okiennych, które były w kolorze ciemnobrązowym. Domek prawie nikał w cieniu rozłożystej wierzby płaczącej, a kiedy Bailey wjechała na podjazd - rzuciła się jej w oczy weranda z bujanymi fotelami. Nie mogła powstrzymać się od refleksji: „Czemu ten Jimmie nie zostawił mi właśnie takiego uroczego gniazdka?”

Weszła na werandę i zapukała do drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Zawołała „Halo!” - także bez echa. Przespacerowała się więc na zaplecze domu i dostrzegła tam kobietę pochyloną nad zagonkiem w ogrodzie warzywnym. Sadziła akurat coś, co z daleka wyglądało jak flance pomidorów Wysoka, mocno zbudowana, miała na sobie spraną letnią sukienkę w duży wzór kwiatowy, na bosych stopach - gumowe klapki, a na głowie szerokoskrzydły słomkowy kapelusz

z obszarpanym rondem. Wjego cieniu kryła się część twarzy, ale Bailey oszacowała wiek właścicielki posesji na mniej więcej pięćdziesiątkę.

- Dzień dobry - przywitała ją. Kobieta zwróciła się ku niej, odsłaniając twarz poraną zmarszczkami wskutek dłu-goletniego przebywania na słońcu, ale nosząc także pewne ślady nadużywania alkoholu i narkotyków. Najej widok samo nasuwało się określenie: „podstarzała hippiska”.

- Kochana, jaka ty jesteś śliczna! - zachwyciła się ta dziwna osoba, taksując Bailey wzrokiem z góry na dół. - Wyglądasz jak wycięta z żurnala!

Bailey nie była pewna, czy nie powinna się czuć obrażona, ale jeszcze kilka miesięcy temu nikt nie porównałby jej do modelki z żurnala. Ostentacyjnie rozłożyła więc ręce i okre-ciła się wokół własnej osi.

- Rzeczywiście, jestem żywą reklamą firm Orvis, Norm Thompson i Land's End! - zażartowała.

Ekscentryczna kobieta roześmiała się, ukazując szczerbę po dwóch brakujących zębach w dolnej szczęce.

- No więc co mogę dla ciebie zrobić? - przystąpiła do rzeczy.

Bailey nie od razu zaspokoiła jej ciekawość, bo zaintereso-wały ją roślinki, które starsza dama przenosiła do gruntu. Nie była to rozsada pomidorów. Była to marihuana!

- Czy to nie jest zabronione? - zadała dyskretne py-tanie.

- Zależy komu. Ja niejestem taka chytra, żeby nie odpa-lić działki zastępcy szeryfa, więc on tylko chwali mój ogród! - Przymrużonymi oczami przyjrzała się Bailey i za-proponowała: - Może jednak wejdiesz do środka i powiesz mi, po co tłukłaś się taki kawał drogi do mnie?

Bailey nie mogła powstrzymać uśmiechu, bo zwykle na-wet weekendy spędzała w miejscach, do których najwygod-niej było dostać się samolotem. Widocznie jednak dla miesz-kanki tego domu nawet Red River Road stanowiła „kawał drogi”.

W ślad za gospodynią weszła na osłoniętą werandę, gdzie stała pralka - chyba z lat czterdziestych, i dwie wysłużone tary. W kącie piętrzyła się sterta połamanych mebli ogrodowych. Prawdopodobnie przeznaczono je na podpałkę, aczkolwiek Bailey przysięgłaby, że widziała podobne w eleganckim paryskim magazynie, gdzie panował wtenczas szal mody retro.

Z werandy przeszły do kuchni, której wyposażenie musiało mieć około trzydziestu lat. Linoleum na podłodze było wytarte, a szafki zatłuszczone i pokryte łuszczącą się farbą. Pod jedną ścianą rozpierał się trzon kuchenny z piekarnikiem takiej wielkości, że dałoby się w nim upiec ćwiartkę wołu. Pod oknem natomiast zainstalowano emaliowany zlew z jedną dużą komorą, osączarkami do naczyń po obu stronach i emaliowaną osłoną z tyłu, z której sterczały dwa kurki. Tak musiała wyglądać oryginalna wersja zlewozmywaka, który Bailey zamówiła do swego domu.

- Straszna tu graciarnia, co? - odezwała się gospodyni, siadając na krześle tyłem do zlewu. Identyczne krzesła Bailey widziała w którymś z ekskluzywnych amerykańskich magazynów meblowych.

- Bynajmniej - wyznała szczerze. - Ma tu pani oryginały tego, *co* my nieudolnie kopiujemy.

- Wygadana jesteś, ale podobasz mi się! — zachichotała właścicielka domu. - Siadaj i pytaj śmiało, co tam chcesz wiedzieć. Chyba że wolisz pomóc mi wekować pomidory?

Zaśmiała się jak z dobrego kawału. Chyba najbardziej rozśmieszyła ją wizja elegancko ubranej damy, jaką w jej oczach była Bailey, nakładającej pomidory do słoików.

Tymczasem Bailey uśmiechnęła się z zadowoleniem. Zajrzała do zlewu i stwierdziła, że leżą tam świeżo zerwane pomidory, mające jeszcze w sobie ciepło słońca. Niektóre były uszkodzone przez ślimaki, ale oznaczało to jedynie, że ogrodniczka nie zwalczała tej plagi. Nie zwracając na nią uwagi, Bailey otworzyła drzwi obok tylnego wyjścia, przypuszczając, że prowadzą do spiżarni, gdyż taki przeważnie był rozkład starych wiejskich domów. Odgadła prawidłowo,

gdyż w środku znalazła półki zastawione wekami i twistami, czekającymi na napełnienie darami lata. Na podłodze stały przygotowane dwa kociołki do sterylizacji przetworów i pudełko nowych, hermetycznie zamykanych wieczek.

- Proszę opowiadać, a ja zajmę się pomidorami - zaproponowała, przynosząc kociołki do kuchni, aby napełnić je wodą z kranu. - Chciałabym wiedzieć, dlaczego to miasto tak opustoszało i dlaczego fryzjerka... - przepraszam, właścicielka salonu piękności - Opal o mało mnie nie udusiła, kiedy wydawało się jej, że chcę się dowiedzieć czegoś więcej o „Złotej Szóstce”. I co to w ogóle za ksywa? Jakiś gang, czy co? A w ogóle to nazywam się Bailey James i odziedziczyłam...

- ...starą farmę Hanleyów - dokończyła kobieta, obserwując Bailey, która poruszała się po jej kuchni tak swobodnie, jakby całe życie tu pracowała. - Wiem o tym, jak również i o tym, że twój mąż zmarł i zapisał ci ją w testamencie. Matt Longacre ma jeszcze dziś wprowadzić się do ciebie, a Patsy nie może się doczekać, kiedy się go wreszcie pozbędzie, bo wiecznie narzekał na jej synów, że straszne z nich flejtuchy. Miał rację, bo Patsy rozpuściła ich jak dziadowski bicz. A ja jestem Violet Honeycutt.

- Tak właśnie mi powiedziano. - Bailey przyniosła ze spiżarni słoiki, aby wygotować je w kociołkach. - Najbardziej chciałabym dowiedzieć się jak najwięcej o tej farmie, którą odziedziczyłam. Kto tam przedtem mieszkał, czy ci Hanleyowie mieli dzieci i tak dalej.

- A co, szukasz kogoś? - spytała podejrzliwie Violet.

W odpowiedzi Bailey usiadła przy stole naprzeciw gospodyni, dając jej niedwuznacznie do zrozumienia, że w zamian za pomoc przy pomidorach musi odpowiadać na jej pytania, a nie zadawać je.

- Aha, ktoś cię nauczył, jak załatwia się takie sprawy? - zaśmiała się Violet, ale Bailey nie ruszała się z miejsca. Violet otworzyła więc drewnianą kasetkę stojącą na stole i wydobyla z niej ręcznie zwijanego papierosa. - Nie masz nic przeciwko temu, że zapalę?

Bailey bez słowa mierzyła ją wzrokiem, czekając na spodziewane odpowiedzi.

— No, dobrze. — Violet odchyliła się na oparcie krzesła, zapaliła skręta, zaciągnęła się głęboko i z zamkniętymi oczami delectowała się wonnym dymem. Po chwili otworzyła oczy i zaczęła: — Hanleyowie byli właścicielami tej farmy i chociaż wyjechali stąd dawno temu, nie myśl, że ludzie o nich zapomnieli.

Bailey od razu wstała, podeszła do zlewu i wzięła do ręki stary nożyk — jarzyniak, którego klinga od wielokrotnego ostrzenia zagięła się do środka, jak dziób ptaka. Przez kontrast przypominała sobie drogi, specjalnie sprowadzony z Francji nóż, którego przedtem używała do tych samych celów.

— A co, interesują cię Hanleyowie? — chciała wiedzieć Violet.

Bailey nie spieszyła się z odpowiedzią, bo wolała zanadto się nie odsłaniać przed obcą osobą.

— Nie, raczej chciałabym wiedzieć, co działo się w Calburn w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

— Ach, więc interesuje cię jednak „Złota Szóstka?”

— Nadal nie wiem, kto lub co nosi taką nazwę.

— „Złotą Szóstką” nazywamy sześciu chłopców, którzy w 1953 roku ukończyli naszą szkołę średnią. Całe Calburn było z nich dumne, dopóki jakaś menda z zazdrości nie rozpuściła plotek o nich. Wtedy wszystko diabli wzięli — dokończyła z goryczą.

Bailey pamiętała, że Jimmie urodził się nie wcześniej niż w 1959, nie mógł więc należeć do „Złotej Szóstki”.

— Interesują mnie raczej późniejsze lata — wyjaśniła, stawiając na kuchni płytki aluminiowy rondel z wodą. Potrzebowała wrzątku, aby zanurzać w nim pomidory i łatwiej obierać je potem ze skórki.

— W sześćdziesiątym ósmym jeden z tych chłopaków zastrzelił żonę, a potem siebie. Czy ta data ci odpowiada?

Już drugi raz słyszała o roku sześćdziesiątym ósmym, ale

Jimmi był wtedy jeszcze za mały, aby mieć coś wspólnego z takimi sprawami.

- Bardziej interesują mnie ludzie, których coś łączyło z moją farmą.

- Prawdę mówiąc, niewiele wiem o tym miejscu, ale znam dziewczynę, która kiedyś mieszkała w Calburn. Przyśnij mi telefon, to sprawdzę, czy jest w domu. Tylko że to będzie rozmowa zamiejscowa... - spojrzała wyczekująco na Bailey, która zaraz obiecała:

- Zapłacę za to połączenie.

Wytarła ręce w kuchenną ścierkę i rozejrzała się za aparatem telefonicznym. Był to stary model, z obrotową tarczą, i Bailey chętnie doradziłaby gospodyni, żeby go oddała do muzeum.

Violet wybrała numer, odczekała, aż zgłosi się ktoś po drugiej stronie, i zaczęła rozmowę:

- Cześć, kochanie! Honeycutt z tej strony. Jest tu u mnie nowa obywatelka naszego pięknego miasta, która chciałaby poznać historię starej farmy Hanleyów. Chodzi o to, czy wydarzyło się tam coś ciekawego. Pamiętam, że kiedyś ktoś mi coś o tym mówił... Dobrze, zadzwoń do mnie. Jeszcze tujakiś czas będziemy, bo ona pomaga mi wekować pomidory.

Odłożyła słuchawkę i powtórzyła to, co usłyszała:

- Obiecała, że oddzwoni, jak tylko wejdzie w temat. Gdyby działo się tam coś ciekawego, wiedziałaby o tym.

Po przekazaniu tej informacji Violet nie odzywała się przez dłuższy czas. Bailey doszła do wniosku, że pewnie ma zamiar siedzieć tak i palić skręta, dopóki jej gość nie zamknie w słojach mniej więcej dwudziestu litrów pomidorów. Gdyby natomiast jej koleżanka nie zdążyła w tym czasie oddzwonić, Bailey była gotowa pójść o zakład, że gospodyni wynajdzie jeszcze zieloną fasolkę lub truskawki do wekowania.

Violet zaciągnęła się papierosem i wypuszczała dym z płuc tak wolno, jak tylko mogła. Widać było, że doszła do dużej wprawy w tej czynności, gdyż Bailey przez ten czas zdążyła obrać sześć pomidorów.

- Dziś trudno w to uwierzyć, ale kiedyś Calburn było świetnie prosperującym miasteczkiem - rozpoczęła swoją opowieść. - Działy tu dwa zakłady przemysłowe, mnóstwo sklepów, a nawet szkoła średnia. Niestety, w roku 1952 wybuchł tam pożar i spaliło się górne piętro. Strażacy stwierdzili, że trzy niższe piętra nadają się do użytku, ale z najwyższego szkoła będzie musiała zrezygnować. Ponieważ mieściły się tam sale dla najstarszych klas — ich uczniów musiano przenieść do innej szkoły.

Bailey obserwowała Violet podczas tego opowiadania i doszła do wniosku, że musiała powtarzać tę historię setki razy i znają już na pamięć.

Violet przerwała, aby znów zaciągnąć się papierosem z marihuaną.

- Ja wtedy jeszcze nie chodziłam do tej szkoły, ale mówiono mi, że z tym przeniesieniem najstarszych uczniów było mnóstwo kłopotów. Żadna szkoła w promieniu pięćdziesięciu mil nie chciała przyjąć wszystkich, więc rozesłano ich do czterech różnych szkół. Ale ten, kto ich podzielił, chyba nie miał po kolei w głowie, bo na przykład do szkoły średniej w Wells Creek trafiło dwadzieścioro małolatów, ale w tym tylko sześciu chłopców.

- Aha, więc to była ta „Złota Szóstka!” - zorientowała się Bailey.

- Tak, to właśnie była „Złota Szóstka”.

Bailey nie wiedziała, czy to wpływ tych wspomnień, czy narkotyczny odlot, ale oczy Violet przybrały rozmarzony, nieobecny wyraz.

- To były rzeczywiście złote chłopaki. Ledwo minął miesiąc, odkąd dostali się do szkoły średniej, a już uratowali wszystkich kolegów od wybuchu bomby.

- To w latach pięćdziesiątych w tych stronach były już zamachy bombowe?

- Kochanie, my, ludzie z Wirginii, mamy może inny akcent, ale poza tym jesteśmy tacy sam jak reszta świata, umiemy kochać i nienawidzić. Teraz po prostu więcej się infor-

muje o tym, co dzieje się na świecie, ale zamachy bombowe były zawsze. Tamtego lata panowała ogólna psychoza strachu, bo ktoś akurat wysadził w powietrze dwa magazyny w pobliżu Calburn. No więc kiedy w poniedziałek rano ze szkoły zaczął się wydobywać czarny dym, zarówno dzieciaki, jak i nauczyciele wpadli w panikę. Zapanował całkowity chaos i nie wiadomo, co mogłoby się stać, gdyby ci wspaniali chłopcy nie wyprowadzili w porę wszystkich w bezpieczne miejsce? I cóż z tego, że bomba okazała się atrapą? Przecież nie wiedzieli o tym ani ci chłopcy, ani nikt inny!

Ostatnie zdania wręcz wykrzyczała, jakby musiała bronić treści, o których mówiła. Widząc spojrzenie Bailey, przyjęła postawę zaczepno-odporną, jakby chciała ją przekonać:

- Nazajutrz rozpisywały się o tym wszystkie gazety w Wirginii! Naszych chłopców okrzyknięto bohaterami i mówiono nawet, że prezydent ma ich odznaczyć medalem, ale nic z tego nie wyszło.

- To czemu ta Opal z zakładu piękności była taka zła?

- Z salonu piękności - poprawiła z uśmiechem Violet. - Wystarczy, że wyglądasz jak cudzoziemka, nie musisz więc jeszcze tak mówić.

Bailey zaczęła nakładać obrane pomidory do wyjąłowionych słoików. Wiedziała, że nowoczesne odmiany pomidorów zawierają mało kwasów, muszą więc być poddawane pasteryzacji dostatecznie długo, aby uniknąć skażenia bakteriami jadu kiełbasianego.

- Po prostu Opal, tak samo jak my wszyscy, nie trawi pani T. L. Spangler. Wiesz może, kto to taki?

- Raczej nie. A powinnam?

- Oczywiście, że powinnaś. Chyba że przez ostatnie pięć lat przebywałaś za granicą.

Bailey nie ustosunkowała się do tego stwierdzenia, gdyż przez ostatnie szesnaście lat podróżowała po całym świecie.

- A mówi ci coś nazwisko Theresa Spangler - posłanka?

- Właściwie nie.

- To gdzieś ty się... - zaczęła Violet, ale dała spokój. -



Zresztą nie chodzi tu o ciebie. Uprzedzam cię jednak, że ludzie z Calburn i tak wyniuchają o tobie wszystko, równie dobrze więc możesz mi to od razu powiedzieć.

Dała Bailey trochę czasu na odpowiedź, ale gdy nie doczekała się reakcji - westchnęła i mówiła dalej:

- Posłanka Spangler pochodzi z naszego stanu, z Wells Creek. To miasto położone najbliżej nas i tam właśnie sześciu chłopaków dostało się do szkoły. Spangler była od nich rok młodsza i diabli wiedzą, co jej odbiło, ale rok po ukończeniu tej swojej snobistycznej uczelni postanowiła podłożyć naszym chłopakom świnie. Przyjechała do Calburn i zaczęła wypytywać ludzi o tamte wydarzenia. Wszyscy byli pewni, że chce napisać książkę o naszych bohaterach, każdy więc przypominał sobie, co tylko mógł. A ona, owszem, napisała książkę, tyle że nie zostawiła na biednych chłopcach suchej nitki. Starła się udowodnić, że w gruncie rzeczy byli nikim, nic ważnego nie zrobili, a ten cały ich wyczyn - to jeden wielki pic. Wcisnęła nawet, że pewnie któryś sam podłożył bombę, żeby mogli zgrywać bohaterów.

Trzymając szczypce do przenoszenia gorących słoików, Bailey zastygła nieruchomo, bo zafascynował ją styl narracji Violet. Tyle lat upłynęło od opisywanych przez nią wydarzeń, a ona opowiadała o nich tak wzburzona, jakby to wszystko działo się tydzień temu!

- A co się stało po wydaniu tej książki? - zachęciła Violet do dalszych wynurzeń.

- Wiadomo, wybuchł skandal. Wkrótce po jej ukazaniu się jeden z chłopaków ze „Złotej Szóstki” najpierw zastrzelił swoją żonę, a potem siebie. Jakby tego było jeszcze mało - jego żona była w ciąży! Drugi wsiadł do najbliższego autobusu i więcej się nie pokazał, a pozostali też nie byli już nigdy tacy sami jak dawniej. Powiem ci tylko, że przeżyli prawdziwy dramat. Ta podła kobieta wyrządziła im straszłą krzywdę!

Bailey sięgnęła do zlewu po kolejny pomidor, a Violet znowu zaciągnęła się papierosem. Bailey postanowiła więc

skorzystać z okazji, choć ręce drżały jej tak, że musiała przytrzymać się krawędzi zlewozmywaka. Przecież każda rodzina ma jakieś swoje nienaruszalne tabu, a to, co chciała teraz powiedzieć, stanowiło dotąd tajemnicę jej i jej imię.

Zaczerpnęła więc powietrza w płuca i powoli wykrztusiła:

- A spotkała pani kiedyś w Calburn chłopca urodzonego pod koniec lat pięćdziesiątych, który miał zajęczą wargę?

Odetchnęła z ulgą, gdy wyrzuciła to z siebie, ale Violet nawet nie otworzyła oczu.

- Nie żebym nie pamiętała, skąd! - zarzekała się. - Tyle tylko, że wtedy jeszcze tu nie mieszkałam. Wprowadziłam się dopiero w 1970.

Bailey była wściekła na siebie, gdyż okazało się, że niepotrzebnie ujawniła największą tajemnicę rodzinną.

- Ale pewnie zaraz po urodzeniu zoperowali mu tę wargę? - upewniała się Violet. Bailey nie zdążyła odpowiedzieć, bo akurat zadzwonił telefon.

Violet gestem potwierdziła, że dzwoni jej koleżanka, ta, którą wcześniej o to prosiła. Rozmawiała z nią dosyć długo, ale przeważnie o sprawach, osobistych - pytała na przykład o zdrowie jej dzieci. Kiedy w końcu rozmowa zeszała na temat starej farmy Hanleyów, Bailey starała się chwycić każde słowo, ale głównie słychać było odpowiedzi Violet w rodzaju: „Tak” lub „Aha, rozumiem”. Może ze dwa razy Violet podniosła na nią oczy, a wtedy Bailey udawała, że nie podsłuchuje, bo zajmuje się pomidorami.

Violet prawie skończyła rozmowę, ale tuż przed odłożeniem słuchawki zadała jeszcze pytanie:

- Aha, słyszałaś kiedyś, żeby jakieś dziecko w Calburn urodziło się z zajęczą wargą? Dziś ten chłopak byłby mniej więcej w twoim wieku.

Bailey z zapartym tchem nasłuchiwała odpowiedzi, ale usłyszała tylko:

- No to cześć. I daj mi znać, jak udał się recital Kąty.

Powoli odłożyła słuchawkę i znów rozsiadła się wygodnie na swoim miejscu. Widać było, że czeka, aż Bailey sama za-

pyta, co powiedziała jej koleżanka. Bailey jednak prędzej by pękła, niż pierwsza z tym wyskoczyła.

- Oj, chyba nie będziesz zachwycona, kiedy ci powiem, co usłyszałam - nie wytrzymała w końcu Violet.

- W każdym razie proszę spróbować.

- Pierwszy raz w życiu słyszę tę historię, ale jak mówię, nie wychowałam się tutaj. Ona zresztą też dowiedziała się o tym dopiero jako dorosła osoba.

Violet zrobiła krótką przerwę, po czym zaczęła z innej beczki:

- Ale kurczaka nie umiałabyś usmażyć, co?

Bailey pojęła, że to czysty szantaż: ta kobieta w zamian za dalsze informacje żąda od niej ugotowania obiadu! Z grymasem obrzydzenia otworzyła starą lodówkę - ileż to lat temu przestali produkować modele z zaokrąglonymi brzegami? Zamrażalnik już zdążył się zamienić w bryłę lodu, który dawno wysadził od środka wątle drzwiczki. Na najwyższej półce mieściło się sześć plastikowych pojemników, wypełnionych jakąś kłaczkowatą, szarzieloną substancją o przenikliwym zapachu. Bailey, wstrzymując oddech, ostrożnie sięgnęła głębiej, pospiesznie chwyciła mokrą plastikową torbę, która mieściła kształt z grubsza przypominający kurczaka, i szybko zamknęła lodówkę. W środku rzeczywiście znajdował się kurczak, ale kiepsko oskubany i na dodatek z głową i nogami. Zrozumiała, że musi nie tylko go przyrządzić, ale także pokroić i do końca oczyścić.

- Powiedz mi, Violet - zagaiła przyjaźnie, bez cienia krytyki w głosie - czy ty jesteś najbardziej leniwą kobietą na świecie, czy są gdzieś jeszcze więksi lenie?

- Jeszcze nie spotkałam takiego, który mógłby mi dorównać! - stwierdziła z satysfakcją Violet, sięgając po następnego skręta.

Bailey przeszukała spiżarnię, by w końcu znaleźć niezepsute jeszcze kartofle i pojemniczek z mąką. Natknęła się przy okazji na kilka gotowych potraw w puszkach. Przyniosła je do kuchni i z impetem postawiła na stole przed Violet.

- Widzę, że nie przejmujesz się liczeniem kalorii - za-uważała. - Dobra, coś za coś. Lunch w zamian za informację. Co koleżanka powiedziała ci o mojej farmie?

- Dowiedziała się o tym od swojej ciotecznej babki, która zaręczała, że nikt więcej o tym nie wie. Ta farma należała przedtem do kobiety, której nikt w mieście nie lubił. Miała dwoje dzieci... -Widząc badawcze spojrzenie Bailey, dodała szybko: - Ale żadne z nich nie miało zajęcej wargi, podobnie zresztą jak nikt inny, kogo moja koleżanka pamiętałaby. Zresztą to wszystko zdarzyło się znacznie wcześniej, nie w latach, które cię interesują, żadne z tych dzieci nie mogło więc być chłopcem, którego szukasz.

Przerwała na chwilę, zadowolona, że potrafiła tak dużo wynioskować z powściągliwych wypowiedzi Bailey.

- Kiedyś jednak ta kobieta wyjechała na jakiś czas i wróciła z mężem, który nazywał się chyba Guthrie czyjakoś podobnie... ja zwykle daję więcej pieprzu do kurczaka! - Ta ostatnia uwaga padła pod adresem Bailey, która właśnie dodawała soli i pieprzu do mąki, w której obtaczała kawałki mięsa.

- Dobra, jedź dalej. - Bailey posłusznie posypała kurczaka większą ilością pieprzu.

- Gladys, to znaczy ta moja koleżanka, powiedziała mi, że ten facet to był chłopjak dąb, ale niezbyt rozgarnięty. Farma była strasznie zapuszczona, kiedy ta kobieta - Gladys zapomniała jej nazwiska -ją kupiła, ale pracowała w mieście, nie miała więc czasu zrobić porządku. Dopiero jej mąż sprawił, że ziemia zaczęła rodzić. Ucieszysz się, kiedy ci powiem, że lubił robić dzemy i marynaty, tak jak ty. Gladys mówiła, że dostarczał je nawet do sklepu w Calburn.

Violet zaciągnęła się papierosem i spod oka przyglądała się, jak Bailey obsmaża kawałki kurczaka w rozgrzanym oleju, a na oddzielnej żeliwnej patelni smaży plasterki kartofli.

- I co w tej historii miało mi się nie spodobać? - dopytywała Bailey.

- Zaraz się dowiesz. Gladys nie pamięta wszystkich szczegółów, ale ciotka opowiedziała jej, że ta kobieta wdała

się w romans ze swoim kolegą z pracy. Kiedy oświadczyła mężowi, że chce się z nim rozwieść i kazała mu opuścić farmę, biedaczysko poszedł do stajni i tam się powiesił!

- W mojej stajni? - Bailey zastygła ze szczypcami w powietrzu.

- W tej samej. Widzisz, mówiłam ci, że nie będziesz zachwycona tą historią.

Przez najbliższych kilka minut Bailey tylko odwracała kawałki mięsa w rozgrzanym tłuszczu i myślała o tragedii tego nieszczęsnego człowieka. Uświadamiając sobie kontrast między swoim zapuszczonym domem a mimo wszystko zadbanym ogrodem, od razu wyczuła, że poprzedni właściciel farmy musiał kochać tę ziemię. Troskliwie ją uprawiał, dawała mu więc plony tak wysokie, że po przetworzeniu ich część mógł nawet sprzedawać. Ponieważ nie był jednak dość bystry, nie zdołał zarobić tyle, by starczyło na wykupienie farmy gdy niewierna żona postanowiła go wypędzić. Ot, i przykra historia!

- Nie musisz się aż tak tym przejmować - odezwała się Violet, zaniepokojona milczeniem Bailey. - Wszystkie te stare domostwa mają swoje dramaty. Mój mąż kupił tę posesję dwa lata temu, a jej poprzedni właściciel, już starszy gość, upuścił sobie piłę łańcuchową na nogę i, oczywiście, całkiem mu ją obcięła!

- Ale żeby samobójstwo...? - zastanawiała się głośno Bailey, przechodząc do blatu przy zlewie, gdzie ustawiła litrowe słoje z pomidorami i sprawdzała szczelność ich zamknięcia. Wszystkie wieczka z wyjątkiem dwóch dobrze się zassały.

- No cóż, zdarzają się takie wypadki. Zresztą to stało się już dawno, kto więc dziś zna całą prawdę? Może on był chory na głowę albo coś w tym rodzaju? Kto może wiedzieć, co siedzi w człowieku?

- A co działo się później? - spytała Bailey, podchodząc do płyty kuchennej, gdzie smażył się kurczak.

Violet zachichotała.

- Gladys mówiła, że po śmierci tego faceta jego żona spakowała manatki, zabrała dzieci i wyniosła się z miasta. Podobno ten jej kochaś był żonaty i wcale nie miał zamiaru opuszczać dla niej swojej ślubnej. Albo może odstraszyło go to samobójstwo. Kto to wie?

- I wtedy ona sprzedała farmę?

- Pytałam o to Gładys, ale nie wiedziała. Pamięta tylko, że przez całe jej życie ten dom stał pusty, ale teraz to samo dzieje się z większością domów w Calburn.

- Rzeczywiście, to miasto jest jakoś dziwnie opustoszałe - zgodziła się z nią Bailey. Otwierała wszystkie szuflady, chcąc znaleźć papierowe ręczniki, żeby osączyć kurczaka z nadmiaru tłuszczu, ale nic takiego nie znalazła. W niektórych szufladach natrafiła na puste opakowania po chlebie, wśród nich były też dosyć stare. Zastanawiała się nawet, czy stare opakowania po chlebie zasługują na miano antyków? Na szczęście w spiżarni nawinęły się jej pod rękę papierowe serwetki z nadrukiem: „Wszystkiego najlepszego, koteczku!”, zabrała je więc ze sobą. Nie mogła się jednak oprzeć zadaniu Violet pytania:

- Czy przechowujesz te starocie, bo masz do nich sentyment?

- Jeśli fakt, że nic mnie nie kosztowały, można nazwać sentymentem, to tak.

Bailey umyła wyszczerbiony półmisek, wyłożyła go serwetkami i na nich ułożyła kawałki kurczaka i smażone kartofle, aby obciekły.

- Dlaczego połowa tego miasta zieje pustką? - powtórzyła swoje pytanie, nakładając na talerz kukurydzę i groszek w sosie śmietanowym z puszek znalezionych w spiżarni. Dołożyła do tego osaczonego już kurczaka z frytkami i podała Violet.

- Będzie mi miło, jeśli zjesz ze mną. - Violet zapraszającym gestem wskazała krzesło po przeciwnej stronie stołu.

Bailey zdawała sobie jednak sprawę, że jeśli zabierze się do jedzenia, to nieprędko będzie mogła przestać. Potrawy,

które jadaliśmy w dzieciństwie, mają wszak nieodparty urok. Ale ona zdawała też sobie sprawę, ile mają kalorii!

- Nie, dziękuję - odmówiła z żalem, siadając naprzeciw Violet. - Lepiej powiedz mi, co się stało z Calburn.

- To proste - odpowiedziała Violet z pełnymi ustami. - Wszystko przez tę nową autostradę. Przez pewien czas trwały spory, czy ma ona prowadzić przez Wells Creek, czy przez Calburn. Myślę, że ktoś musiał komuś dobrze dać w łapę, bo nasze miasto przegrało przetarg. W rezultacie po roku od ukończenia autostrady Calburn się wyludniło, a Wells Creek urosło w siłę. Musisz tam kiedyś pojechać, to sama zobaczysz. Są tam takie... - uniosła brwi w pogardliwym grymasie - ...butiki, to znaczy małe sklepiki, gdzie sprzedają różne śmieszne rzeczy, na przykład małe mydełka w kształcie serduszek, ale są też magazyny, gdzie jedna rzecz kosztuje tyle, ile wynosi mój całoroczny zarobek. Tak się im poprzewracało w głowach, że zmienili nawet nazwę miasta na bardziej pretensjonalną: Welborn. Chytrusy, co?

- Welborn? — zamyśliła się Bailey.

- Tak jak to miasto w Australii, tylko bez „e” na końcu.

- Chyba gdzieś już słyszałam tę nazwę. Czy jest tam coś ciekawego, jakaś atrakcja ściągająca turystów?

- Młące muddła... - wymamrotała Violet, mając usta zapechane kukurydzą i groszkiem.

- Słucham?

- Gorące źródła - powtórzyła to samo wyraźniej, gdy przełknęła.

- O właśnie, gorące źródła! - podchwyciła Bailey. - Słyszałam, że to cudowne miejsce i mnóstwo kuracjuszy przyjeżdża tam na leczenie. Sama chciałam pojechać, ale Jimmie... - Zawiesiła głos.

- Jimmie to twój nieboszczyk mąż?

Bailey przytaknęła. Nie wiedziała, dlaczego Jimmie nigdy nie chciał jej zabrać do tego uzdrowiska w Wirginii, chociaż znajomi rozwodzili się nad jego zaletami. Pewna dama z wyższych sfer przysięgała, że dzięki kąpielom w tych źród-

łach zupełnie pozbyła się artretyzmu! Bailey wierzyła, że gorące kąpiele byłyby doskonałe również dla Jimmiego, ale on nawet nie chciał o tym słyszeć. Zdziwiła ją ta niezrozumiała niechęć, spytała więc o jej przyczynę. Na chwilę spochmurniał, ale zaraz obrócił sprawę w żart i zadeklarował, że jeśli chce brać kąpiele w gorących źródłach, to chętnie zabierze ją do renomowanego europejskiego uzdrowiska lub nawet do ciepłych krajów, ale nie na zadupie w Wirginii! Potem zaraz porwał ją na ręce, obrócił wokół siebie i pocałował w szyję, więc już nie zadawała, oczywiście, dalszych pytań.

- Jeszcze tu jesteś? - ściągnęła ją z obłoków Violet.

- Och, przepraszam - zmieszała się Bailey. - Coś mi się przypomniało. Muszę już iść, bo...

- Chcesz przygotować dobrą kolację temu wysokiemu przystojniakowi, Mattowi Longacre? A co, śpicie już ze sobą?

- Pewnie, regularnie. Pieprzymy się jak norki! - nie wytrzymała Bailey. Violet zaniósła się śmiechem, potem znów opadła na oparcie krzesła. Ogarnęła wzrokiem pomidory w wekach i lunch, który Bailey dla niej przyrządziła.

- Kiedy tylko zechcesz się czegoś dowiedzieć, wal do mnie jak w dym - zezwoliła.

- Następnym razem przyniosę książkę kucharską - obiecała Bailey, co przypawiło Violet o kolejny wybuch śmiechu.

- Poczekaj chwileczkę! - zawołała za nią, z trudem odrywając się od stołu. - Fajna z ciebie dziewczucha, więc chcę coś ci dać.

- Byle nie marychę! - wyrwało się Bailey.

- A co, boisz się, że za bardzo wyluzujesz w łóżku z tym twoim dryblasem? - podpuszczała ją Violet, podając jej zniszczoną książkę w miękkiej okładce.

- Raczej boję się, żeby nie pójść siedzieć... - zaczęła Bailey, gdy jej wzrok padł na tytuł książki. Była to *Złota Szóstka*, autorstwa Theresy Spangler, a podtytuł książki in-



trygował: *Wspaniali młodzi ludzie czy oszuści? Wybór należy do Ciebie!*

- Weź to i przeczytaj - doradziła Violet z błyskiem w oku. - Przynajmniej nie będziesz się nudzić sama w łóżku. Ale ta dzisiejsza młodzież jest głupia! Za moich czasów...

- ...nie było AIDS, półpaśca i morałów - dokończyła słodziutko Bailey, ale Violet wcale się nie obraziła.

- Taki Matt Longacre potrafiłby skłonić zakonnice, żeby zapomniała o złożonych ślubach!

- Będę o tym pamiętać, zanim sama je złożę - zażartowała Bailey i już w drzwiach uśmiechnęła się, słysząc śmiech Violet. Zauważyła przy tym jej dziwną minę.

- Co tak na mnie patrzysz? Może zostało mi trochę mąki na policzku?

- Nie masz żadnej mąki - zaprzeczyła Violet. - To tylko mnie się wydawało, że już cię gdzieś widziałam. Może wypaliłam za dużo trawki? Lepiej już idź i zajmij się twoim facetem.

Bailey opuszczała z uśmiechem dom tej dziwnej kobiety. Na pewno Violet Honeycutt była leniwa, niechlujna, a chwilami szorstka, lubiła za dużo kręcić i w każdej chwili mogła trafić za kratki. Ale Bailey miała wrażenie, że znalazła bratnią duszę.

Rzuciła otrzymaną książkę na siedzenie samochodu i uruchomiła silnik. Była już prawie trzecia po południu, a ona jeszcze nie jadła lunchu, musiała ponadto kupić coś dobrego, żeby podjąć kolację Matta. Trzeba by zajrzeć na farmę tego sympatycznego pana Shelby'ego i sprawdzić, czy ma do sprzedania coś innego prócz gołębi i królików. To właśnie dzięki szyldowi: „Kruliki na spszedarz” trafiła do niego, a nie do któregośkolwiek z farmerów, którzy rozkładają kramiki przy szosie. Jeśli jej pamięć nie myli, widziała u niego na zapleczu ładną kapustę.

Matt zaparkował swoją furgonetkę w cieniu drzewa, obok toyoty należącej do Bailey. Przesiedział chwilę odchylony na oparcie fotela, przymknął nawet oczy, bo do godziny ósmej wieczorem zdążył się porządnie zmęczyć. Odwykł już od własnoręcznego wykonywania prac budowlanych, bo przez ostatnie lata zatrudniony był głównie przy komputerze lub desce kreślarskiej, a prace budów zaledwie wizytował.

Musiał jednak przyznać, że dziś trochę przesadził. Narzucił takie tempo pracy zarówno sobie, jak i swoim bratankom, że chłopcy zagrozili strajkiem. Chciał bowiem za wszelką cenę skończyć rozpoczęte zlecenie przed końcem tygodnia, aby mieć wolny weekend, i dlatego próbował wykonać jednego dnia to, na co normalnie potrzebował trzech. Dodatkowo zmęczyła go przeprowadzka do domu Bailey podczas przerwy na lunch, choć pomagali mu w tym brat i bratankowie.

Na domiar złego Patsy sześciokrotnie odrywała go od pracy, dzwoniąc do niego na komórkę. Za piątym razem miał ochotę trzasnąć aparatem o ziemię, tym bardziej że odbierał telefon, stojąc na dachu wykańczanego budynku.

- Dałabyś już lepiej spokój, Patsy - nie wytrzymał w końcu.
- Przecież muszę ci powiedzieć, że ona spędziła cały dzień z tą okropną Violet Honeycutt! - donosiła Patsy.
- Bailey na pewno nie spędziła u niej całego dnia, ponieważ jak sama mi powiedziałaś, przedpołudnie przesiedziała u Opal, tej plotkary. Więc jak to było naprawdę?
- Ty mi nie próbuj się wykręcać, bo dobrze wiesz, co mam na myśli. Pilnujesz przynajmniej, żeby chłopcy nie zdejmowali koszul i używali kremu z filtrem przeciwsłonecznym?

Matt spojrział w dół, gdzie „chłopcy”, rozebrani do pasa, pili właśnie wodę z plastikowych kubków, opryskując przy tym swoje opalone na brąz, muskularne torsy. Podpatrzyli kiedyś ów gest u jakiegoś przystojniaczka w telewizji i za-

uważyli, jakie to robi wrażenie na dziewczętach. Również tutaj chyba z sześć nastolatek z sąsiedztwa przechadzało się po drugiej stronie ulicy, udając, że nie patrzą, jak John i Joe polewają się wodą.

- Oczywiście, co godzinę smaruję twoje maleństwa kremem! - ironizował Matt. - Błagam cię, Patsy, ja naprawdę mam moc roboty i nie mogę wysłuchiwać, co robi moja gospodyni.

- Czyżby? Na pewno nie chcesz wiedzieć, że po wyjściu od Violet Honeycutt odwiedziła jeszcze Adama Tillmana?

- Co zrobiła?! - ryknął Matt tak głośno, że nie tylko jego bratankowie przestali obryzgiwać się wodą, ale i dziewczęta z przeciwka przestały udawać, że na nich nie patrzą. Zaczęły natomiast przyglądać się ich stryjowi wrzeszczącemu coś na dachu.

- Jeszcze nie zrobiła, ale mogła zrobić - wycedziła słodziutko Patsy. - Radzę ci, Matt, ty tego tak nie zostawiaj. Przychodźcie do nas w sobotę?

- Patsy! - Matt silił się na cierpliwość. - Ja jeszcze nie znam dobrze tej kobiety. Z tego, co wiem, ma w okolicy dużo znajomych. Skąd mogę wiedzieć, czy nie zechce spędzić z nimi weekendu?

- Więc tym bardziej powinnaś jej lepiej pilnować... O kurczę, muszę już kończyć i lecieć wyłączyć piekarnik!

Matt z westchnieniem ulgi przerwał połączenie i policzył w myśli do dziesięciu. Zaraz potem krzyknął na chłopców, żeby wracali do roboty. Krzyk potrzebny był mu do wyładowania gniewu, ale nie pomógł wiele. Czy ta Patsy musi wtrącać się do wszystkiego? Już i tak wywierał na Bailey taki nacisk, że większego nie mógł - widział się z nią dopiero wczoraj, a dziś po lunchu wprowadził się do jej domu.

Nawet to jednak nie wystarczało jego szwagierce.

- Ona tu długo nie wytrzyma - przepowiadała, pomagając Mattowi pakować jego rzeczy do kartonów. - Znudzi jej się życie w Calburn i ani się obejrzysz, jak stąd pryśnie. Musisz ostro zabrać się do niej już teraz.

- Co cię obchodzi, z kim się zadaję, jeśli nie będę już u ciebie mieszkał? - warknął Matt.

Patsy z ostentacyjną rozpaczą wyrzuciła ramiona w górę, sygnalizując tym gestem, że większego tumanajeszczu w życiu nie widziała.

- Rick, ty mu powiedz! - jęknęła. - Jajuz nie mogę!

- No, wiesz, Patsy uważa... - zaczął Rick. - To znaczy... nam wszystkim się wydaje...

Przerwał, bo nie mógł się wysłowić, i zwrócił się do żony:

- Myślę, kochanie, że ty to lepiej wyjaśnisz.

Za jej plecami mrugnął do brata porozumiewawczo i wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, dlaczego Patsy tak się go uczepliła. Ona zaś wygłosiła Mattowi kazanie takim tonem, jakby nie rozumiała, dlaczego to, co jest oczywiste dla niej, nie jest takie również dla niego:

- Widzisz, drogi szwagrze, dla nas nie jest obojętne, z kim się zadajesz, ponieważ ta osoba stanie się członkiem naszej rodziny. Będzie uczestniczyć w obchodach Dnia Dziękczynienia, świętach Bożego Narodzenia, weselach, pogrzebach i tak dalej. A pamiętasz, co narobiłeś ostatnim razem?

- Aha, już wiem, o co ci chodzi - przytaknął szybko Matt. Rzeczywiście, jego była żona nie uczestniczyła w uroczystościach rodzinnych. Przez cały czas trwania tamtego małżeństwa Matt prawie nie widywał się z rodziną brata, a jeśli już, to zawsze sam. Patsy i Cassandra spotkały się tylko raz i to im wystarczyło.

- Ta akurat jest sympatyczna. - Patsy jeszcze raz dała mu do zrozumienia, co sądzi o jego byłej żonie. - Nawet Opal i jej córka już ją polubiły. Musisz koniecznie skosztować dżemu, jaki od niej dostały.

- Już go próbowałem i wiem, że ona umie gotować. - Te ostatnie słowa Matt wymówił z namaszczeniem.

Później, kiedy z Rickiem znosili pudła z rzeczami do furgonetki, Rick szepnął Mattowi na ucho:

- Widać, że wdowie Patsy i Janice nie działają na nerwy!

Matt przytaknął ze zrozumieniem, bo pamiętał, co powie-

działała mu Cassandra po swoim pierwszym i jedynym spotkaniu z Patsy. „Oczekujesz ode mnie, że będę udawać, iż w pokoju jest tylko jedna osoba, podczas gdy są tam dwie? Przecież to absurd! Moja noga więcej nie postanie w domu twojej bratowej!” Postanowienia dotrzymała i Matt w żaden sposób nie mógł na nią wpłynąć.

Teraz zaś, kiedy Matt wysiadł z samochodu przed domem Bailey, sam był zaskoczony własnym rozczarowaniem, kiedy nie wyszła mu naprzeciw. „Hej, jest tam kto?!” - krzyknął, bo krępował się wchodzić bez pukania, choć wiedział, że jej nie zastanie, bo Patsy i jej informatorzy donosili mu o każdym ruchu Bailey.

Dom pachniał smakowicie i zdawał się emanować ciepło i aromat gotujących się potraw. Także w kuchni jednak nie zastał Bailey, znalazł tylko na lodówce kartkę z informacją: „Kolacja w piekarniku”.

Po raz pierwszy Matt zobaczył próbkę ręcznego pisma Bailey. Spodobało mu się, było wprawdzie drobne, ale wyraźne, czyste i porządne. Przypominało mu ją samą.

- Bailey! - zawołał, ale ponieważ nie doczekał się odpowiedzi, przeszło mu przez myśl, że może ona woli, by ją nazywał jakoś inaczej. Przeszedł przez hall i zauważył uchylone drzwi do jej sypialni. Otworzył je szerzej i jeszcze raz zawołał ją po imieniu, ale odpowiedzią była tylko cisza. Otwarte drzwi od łazienki świadczyły, że i to pomieszczenie jest puste.

Czyżby wyszła z domu? Może, zgodnie z umową, przygotowała mu kolację, a potem się ulotniła, żeby jadał sam?

Gdyby teraz Patsy wpadła mu w ręce, z przyjemnością skręciłby jej kark! To ona wmówiła mu, że między nim a „wdową” zaszło coś, co w istocie wcale się nie zdarzyło. Przekonała go również, że jeśli chciałby, aby do czegoś doszło, powinien działać szybko.

Starał się to wszystko zrozumieć, kiedy wrócił do kuchni i otworzył drzwiczki piekarnika. W środku znajdowały się: duży talerz i miska, jedno i drugie przykryte folią. Zaczął więc od tego, że wyjął talerz i oderwał folię. Pod nią znalazł

cztery panierowane i obsmażone filety rybne na warstwie czerwonego, ostro przyprawionego sosu. Obok ryby leżał na talerzu stosik jakiejś zielonej jarzynki z rodzaju tych, które jadał w dzieciństwie, a teraz nie sposób było je kupić w sklepie. Druga porcja warzyw przypominała cebulę i rzeczywiście - były to małe cebulki duszone w karmelu.

Chryste! Ależ ta kobieta umiała gotować!

Zjadł już połowę dania z talerza, kiedy znów zaczął dociekać, gdzie mogła się podziąć gospodyni. Pod wpływem impulsu otworzył drzwi do przyległej spiżarni - i stanął jak wryty. Jeszcze wczoraj to pomieszczenie świeciło pustkami, a dziś półki zapełniły słoje, z których każdy był opatrzony etykietką. Matt pobieżnie je przeliczył, dotykając ręką.

Na półce pod oknem stał duży szklany słoć pełen wiśni. Zanurzone w przezroczystej zalewie, wyglądały jak świeżo zerwane. Napis na etykietce, wykonany wyraźnym pismem Bailey, głosił: „Nalewka wiśniowa”. Po przeciwnej stronie stały słoje z ciemnym płynem, opatrzone nalepkami z napisem: „Likierjeżynowy”. Zauważył też weki z marchewkami zalanymi marynatą z całymi ziarnami różnych przypraw. Na innych nalepkach znalazł napisy: „Dżem”, „Konfitury” i „Keczup z zielonych pomidorów”.

Wycofał się ze spiżarni, porażony widokiem tego, co tam ujrzał. Zupełnie jakby spotkał żonę pioniera z Dzikiego Zachodu!

Wrócił do kuchni, zjadł resztki z talerza i wyjął z piekarnika miskę. Zerwał z niej folię i przekonał się, że w misce jest pudding z chleba -jego ulubiony deser! W miękiszu tkwiły rodzynki, a z wierzchu polany był sosem o konsystencji kremu. Gdy Matt spróbował trochę, zdawało mu się, że zemdleje z rozkoszy i będzie musiał pokrzepić się wiśniową nalewką!

Z pełną miską puddingu w ręce pchnął zabezpieczone siatką drzwi i wyszedł na dwór. Było ciepło jak na tak wczesną porę roku, a wszystko wskazywało, że niedługo zrobi się jeszcze cieplej.

- Może ty wiesz, gdzie ona jest? - spytał morwy. Uśmiechnął się, gdyż liście poruszone lekkim powiewem zdawały się wskazywać w stronę kamienistej ścieżki. Rzeczywiście, przez krzewy i nisko nawisłe gałęzie drzew prześwitywało coś żółtego. Matt rozpoznał bluzkę Bailey.

- Dziękuję! - zawołał w kierunku starego drzewa i ruszył krętą ścieżką w stronę stawu. Znalazł Bailey pochyloną nad świeżo skopaną grządką. Sadziła tam małe roślinki, których cały pęczek leżał przy niej.

Początkowo Matt się nie odzywał, stał za nią i przyglądał się, jak pracuje. Doszedł do wniosku, że jest bardzo atrakcyjną kobietą, tylko nie w ten sposób, jaki ludzie zwykle rozumieją przez to pojęcie. Po prostu czuł się dobrze w jej towarzystwie, ale nie wzbudzała w nim dzikiego pożądania. Raczej wywoływała w jego wyobraźni wizję powrotu z pracy do ciepłego gniazdka rodzinnego i wspólnego odpoczynku przed kominkiem. Czuł potrzebę zwierzenia się jej ze swoich problemów, widok Bailey nasuwał mu bowiem skojarzenia ze szczęśliwą rodziną z mnóstwem dzieci, łapiących świetliki i z radości tarzających się w trawie.

Nie lubił zwierzać się nikomu ze swych najskrytszych planów, nie miał więc zamiaru wtajemniczać Patsy, jaką obrał metodę postępowania. Zdecydował się bowiem stosować wobec Bailey taktykę „małych kroków”, gdyż za wiele dla niego znaczyła, aby miał ją spłoszyć jakimś nieostrożnym ruchem.

- Żarcie było pyszne! - wyszeptał, aby nie podskoczyła ze strachu, słysząc niespodziewanie głos za plecami.

- Cieszę się, że ci smakowało - odrzekła. - Pewnie wiesz, że pan Shelby hoduje sumy w wielkim zbiorniku za domem.

Matt przysiadł niedaleko niej na trawie, przy czym zauważył, że najwyższy czas pomyśleć o skoszeniu dużego trawnika i kęp trawy rosnących tu i ówdzie. Postanowił, że rozejrzy się za dobrą kosiarką do trawy.

- Wątpię, aby ktokolwiek w tych stronach wiedział coś więcej na temat Shelby'ego. Odstrasza wszystkich swoją strzelbą.

Zauważył, że Bailey chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała i wróciła do pracy na grządce.

- Co takiego sadzisz?

- Truskawki. Dostałam sadzonki od pana Shelby'ego. Na tamtej grządce będą całoroczne, a na tej czerwcowe.

- Czym się one różnią?

- Zgadnij! - Nie podniosła oczu znad grządki.

- Zastanówmy się. Pewnie jedno owocują przez cały sezon, a drugie tylko w czerwcu. Zgadza się, pani profesor?

- Bezbłędnie! - Przeszła do następnego rządka. - I jeszcze zanim zapytasz, powiem ci, że producenci przetworów życzą sobie takich odmian, by wszystkie truskawki dojrzewały jednocześnie. Będziemy więc mogli nasmażyć beczkę konfitur!

- Gdzieś ty się nauczyła tego wszystkiego? - Wykonał nieokreślony ruch ręką w stronę domu.

- Od mojej babci, kiedy byłam mała. Tyle że ona robiła przetwory z konieczności, a ja to po prostu lubię.

Czekał, aż powie coś więcej, ale się nie doczekał, usiadł więc obok i przyglądał się, bo choć jej dobrze nie znał - miał wrażenie, że czymś się gryzie.

- Czy Violet powiedziała ci coś przykrego? - nie wytrzymał.

Bailey przysiadła na piętach i otrzepała ręce z ziemi.

- Oj, widzę, że będę musiała sobie przypomnieć, jak to się żyje w takim małym miasteczku. Wszyscy już wiedzą, że byłam u Violet Honeycutt?

- Nawet na pewno. Mam nadzieję, że nie kupowałaś u niej trawki, chociaż ma chyba najlepszą, jaką... znam. — Uśmiechnął się łobuzersko i wziął do ust następną porcję puddingu.

Bailey odpowiedziała mu uśmiechem, ale zaraz przesunęła się dalej i wciąż sadziła truskawki.

- Wiedziałaś o tym, że jeden facet powiesił się w mojej stajni? - zagadnęła.

- Tak, ale mam nadzieję, że jego duch nie będzie cię straszyl. - Matt powstrzymał się, żeby nie dodać: „i nie wystraszy cię stąd”.



- No nie, ale nie mogę przestać myśleć o tym nieszczęśniku. Mogę sobie wyobrazić, co czuł. Kochał tę ziemię i wszystko, co na niej rosło, kiedy więc chciano mu to odebrać... - Zawiesiła głos i dodała po przerwie: - Biedny człowiek!

- Hm, w Calburn zdarzyło się więcej takich dramatów.

- Wiem, nasłuchiwałam się już o waszej słynnej „Szóstce z Calburn”.

- „Złotej Szóstce” - poprawił odruchowo Matt. Bailey od razu zwróciła się ku niemu.

- O, właśnie! - wykrzyknęła. - Znowu to samo!

- Co jest „znowu?” - nie zrozumiał.

- Ten sam ton głosu, jakby ci chłopcy co najmniej byli świętymi! Już w zakładzie fryzjerskim - przepraszam, w salonie piękności! - Opal chciała oskarżyć mnie o herezję, bo nie wiedziałam nic o „Złotej Szóstce”. Czy to naprawdę aż tak ważne?

Matt miał już na końcu języka: „Dla mnie tak”, ale darował sobie ten komentarz i odpowiedział bardziej wymijająco:

- Widzisz, ludzie w Calburn nie ufają już obcym, boją się, że ktoś nas znowu obsmaruje. Ta książka *Złota Szóstka* wyrządziła nam wielką krzywdę. Wprawdzie nie sprzedawała się za dobrze, ale zaraz po ukazaniu się drukiem zwróciła uwagę krytyków. Przez pewien czas turyści, którzy do nas przyjeżdżali, zadawali kłopotliwe pytania.

- To przykre, że ktoś chciał zdobyć rozgłos dzięki takiej tragedii.

- I tak, i nie. To zależy od punktu widzenia. Ludzie z Calburn uważają tych sześciu za wspaniałych chłopaków, którzy po prostu mieli pecha.

- Ajak inaczej można na nich patrzeć?

- Niektórzy twierdzą, że mieli po prostu bujną wyobraźnię i sami wykreowali się na bohaterów. Trudno powiedzieć, kto miał rację, ale przez pewien czas rzeczywiście wszystko, czego dotknęli, zamieniało się w złoto. Natomiast po ukończeniu studiów szczęście jakby ich opuściło. A może ich szczęście było związane z Calburn, tylko oni nie?

- Jak to, myślałam, że oni tu mieszkali.

- Niektórzy tak, inni powyjeżdżali. Natomiast latem 1968 roku wszyscy byli jeszcze w Calburn. To wtedy Frank zabił najpierw swoją żonę, a potem siebie.

- A czy tutejsi ludzie wiedzieli, dlaczego on to zrobił?

- Mniej więcej. Przed czterema laty miał wypadek samochodowy, w wyniku którego stracił władzę w prawej ręce. Przez trzy następne lata nie mógł dostać pracy, aż w końcu ktoś go zatrudnił jako nocnego stróża. Niby wszystko było w porządku, ale...

- Violet powiedziała mi, że jego żona była w ciąży.

- Tak wykazała sekcja. Ludzie snuli domysły, że dziecko mogło nie być jego, a taki dumny mężczyzna jak Frank nie potrafił znieść upokorzenia.

- I dlatego zastrzelił najpierw ją, a potem siebie?

Niepotrzebnie zadała to pytanie, bo Matt, zamiast odpowiedzieć, zwrócił się wprost do niej:

- A dlaczego to cię tak interesuje?

- Bynajmniej. Może to bezduszność z mojej strony, ale nie interesuje mnie nikt z tych ludzi. Chciałam tylko dowiedzieć się od Violet czegoś więcej o mojej farmie i jej poprzednich właścicielach. Opal poleciła mi ją jako osobę dobrze poinformowaną, a przy okazji nasłuchiwałam się o „Złej Szóstce”.

- Opal nienawidzi Violet, więc nie mogła ci jej polecić.

- Tak, przepraszam, to nie ona, lecz jej córka Carla. Podsunęła mi karteczkę z nazwiskiem Violet. A właściwie dlaczego Opal jej nienawidzi?

Rozmowa zweeksłowała na inny temat, więc Matt mógł z powrotem rozluźnić się i oprzeć na łokciach.

- Violet nie zawsze wyglądała tak jak teraz.

- I co z tego?

- A domyśl się dalszego ciągu.

- Aha, rozumiem, poszło o sprawy męsko-damskie?

Matt z zadowoleniem stwierdził, że wymawiając te słowa, Bailey po raz pierwszy popatrzyła na niego jak kobieta na

mężczyznę. Domyślił się, że nie rozczarował jej ten widok, bo policzki zaróżowiły się jej lekko. Zauważył to, choć zapadał już zmrok, jak również to, że szybko zwróciła oczy w kierunku grządkki truskawek.

- Do czego potrzebne ci te informacje o farmie? - chciał wiedzieć.

Opowiedziała mu to, co już przedtem usłyszał od Patsy - że tę farmę zapisał jej w testamencie zmarły mąż. Stopniowo jednak zaczął się wsłuchiwać bardziej w *ton* jej głosu aniżeli w treść wypowiedzi. Zauważył, że słowa „mój mąż” wymawiała nie tak, jak mówi się zwykle o umarłych, ale jakby miała na myśli kogoś, kto za chwilę ukaże się na ścieżce.

- Czy mogę ci zaufać, że nie... - Patrząc mu prosto w oczy, chciała zapytać, czy nie rozpowie tego całemu miastu, ale wyraz jego twarzy sprawił, że nie dokończyła zdania.

On też zawahał się, bo wyczuł, że Bailey ukrywa jakąś straszną tajemnicę i właśnie się zastanawia, jak wiele z niej może ujawnić. Początkowo chciał ją zapewnić, że może mu ufać, ale powstrzymał się od wszelkich deklaracji, doszedł bowiem do wniosku, że powinna sama podjąć decyzję.

- Chciałabym dowiedzieć się więcej o przeszłości mojego męża - wyznała w końcu. - Byliśmy małżeństwem szesnaście lat, więc zdawało mi się, że dobrze go poznałam. Nie przestawało mnie jednak dziwić, że nigdy nie wspominał przy mnie o swoim dzieciństwie. Po jego śmierci nieoczekiwanie dowiaduję się, że zapisał mi tę farmę! - wykonała niezdecydowany, kolisty ruch ręką. - Przecież to się nie trzyma kupy! Nigdy nie puszczał pary z ust na temat miejsca, gdzie się wychował, a potem nagle nie tylko zapisał mi to miejsce, ale jeszcze zostawił liścik, żebym się dowiedziała, „co się tam naprawdę stało”.

Przez chwilę przypatrywała się własnym ręką, złożonym na podołku, potem znów podniosła oczy na niego.

- Dziwne, prawda? Żyłam przez tyle lat z tym człowiekiem, a potem okazało się, że wcale go nie znałam! Od jego

śmierci minęło już tyle tygodni, a nie udało mi się trafić na cokolwiek, co byłoby związane z tym miejscem. Ani zdjęcia, ani jakiegóż notatki - kompletnie nic!

Matt widział, jak Bailey usiłuje zapanować nad swoimi emocjami, i tak samo próbował powściągnąć swoje. Było mu głupio z tego powodu, ale przyłapał się na tym, że zaczął odczuwać zazdrość o jej zmarłego męża!

- Znasz się choć trochę na komputerach? - Spróbował zmienić temat, ale dostrzegł, że zaskoczyła tym pytaniem.

- Mniej więcej tak samo jak ty na truskawkach.

- A umiesz korzystać z Internetu?

- O tyle, o ile. Żona pełnomocnika Jimmiego pokazała mi, jak można zamawiać różne rzeczy przez Internet.

Matt tylko jęknął.

- Dobrze więc, chodźmy na górę, to włączę komputer i zobaczymy, co możemy znaleźć w Internecie o tym miejscu.

- Zobaczymy? - powtórzyła z oczami jak spodki.

- No, spróbujemy sprawdzić, kto miał tytuł własności na tę farmę...

- Ale... - Na wszelki wypadek odsunęła się dalej od niego.

- Aha, rozumiem. - Matt tylko spojrział na nią i od razu zorientował się w sytuacji. - Powiedzmy to sobie od razu, żeby wszystko było jasne. Wprawdzie urodziłem się i wychowałem w małym miasteczku, ale to nie znaczy, że muszę chlapać językiem na prawo i lewo. - Podniósł do góry prawą rękę i oświadczył z patosem: - Przysięgam, że to, czego się dowiemy, zostanie między nami. Nawet gdyby się okazało, że jesteś wnuczką Lizzie Borden... Z czego się tak śmiesz? - zdziwił go jej, nagły wybuch wesołości.

- To nic takiego. Po prostu coś sobie pomyślałam...

- Powiedz, to pośmiejemy się razem.

Bailey zastanawiała się przez chwilę, wreszcie wyznała, że właściwie powinna się cieszyć, bo przecież mąż mógł jej zapisać farmę położoną w rodzinnych stronach Lizzie Borden.

- Masz pojęcie, co by to było? Dostyc mam kłopotów z tamtymi sześcioma chłopakami, a gdyby jeszcze Lizzie Borden?

Matt nie od razu przełknął określenie „Złotej Szóstki” jako „tamtych chłopaków”, ale jakoś się z tym pogodził i zdobył się na uśmiech. Mało tego - po raz pierwszy w życiu potrafił podejść do tematu „tamtych chłopaków” na wesoło!

- No więc jak, dogadaliśmy się? - naciskał.

- Chcesz przez to powiedzieć, czy ci ufam, że nie powtórzysz Patsy ani Janice tego, czego dowiesz się o mnie?

- O tobie czy o twoim świętej pamięci mężu? - podpuszczał.

- O tym i o tym. Jesteśmy jedno.

Matt potrzebował chwili, aby pogodzić się z tym oświadczeniem.

- Przysięgam na wszystko, co dla mnie święte - zobowiązał się.

- Nawet jeżeli Patsy spyta cię wprost?

- Wtedy skłamię jej w żywe oczy, nie pierwszy raz zresztą. No więc jak, dalej prowadzisz przesłuchanie czy lepiej spróbujmy do czegoś się dokopać... A to co znowu? - Przerwał, bo Bailey trzepnęła go w czoło, ale oczywiście się śmiały

- Nic, tylko zabiłam komara. Dobra, chodźmy już.

Spróbował wstać, ale poczuł ból w nodze. Jęknął i usiadł z powrotem na ziemi.

- Coś ci się stało? - zapytała z troską.

- To cud, że w ogóle żyję. Jeden z tych moich głupich bratanków pomagał dziś swojej dziewczynie ściągać kota z drzewa.

- I co z tego?

- Potrzebował do tego drabiny.

- Tak, no i co?

- To, że mnie ta drabina też była potrzebna. Stałem na dachu garażu, a kot siedział na drzewie o trzy domy dalej.

- Nie powiesz mi, że twój bratanek zabrał drabinę i zostawił cię na lodzie... to znaczy na dachu?

- On podobno myślał, że jestem w samochodzie, ale wydaje mi się, że raczej chciał się zemścić na mnie za tę wodę...

Ponownie spróbował wstać, ale gdy mu się to i tym razem nie udało - Bailey podała mu rękę. Przy jej pomocy zaczął ostentacyjnie z wysiłkiem dźwigać się z ziemi.

- Może będę musiał wesprzeć się na tobie... - zagadnął.

- Tu jest motyka, możesz się nią podpierać! - zbyła go szybko.

- No wiesz, popsułaś wszystko! - gderał żartobliwie, kiedy utykając, podążał za nią.

Bailey niosła całe narzędzie narzędzi ogrodniczych, ale przypomniała sobie coś i zawróciła.

- Mówiłeś o jakiejś wodzie...

- Tak, że odebrałem ją chłopakom. - Kulejąc, trzymał się za krzyże.

- Ale oczywiście nie opowiesz mi o tym, póki cię nie poproszę?

- Hm, to nawet niezły pomysł z tym proszeniem...

- A wiesz, co znalazłam w tym domu? Poprzedni właściciele zostawili na parapecie spore pudełko z przepisami!

- Tak? - mruknął uprzejmie Matt. Owszem, był ciekaw tego, co ma mu do powiedzenia, ale przede wszystkim chciał, żeby posłuchała jego opowieści.

- Żebyś wiedział, mnóstwo różnych przepisów! Chciałabym je wszystkie wypróbować, na przykład smażone kurczęta panierowane w płatkach kukurydzianych, sos do spaghetti na bazie zupy pomidorowej Campbella albo coś takiego, co się nazywa „klops z niespodzianką”...

- No, wygrałaś! - przyznał szybko Matt, bo na sam dźwięk nazwy tej potrawy włosy stanęły mu dęba. - Więc z tą wodą to było tak, że zabrałem ją moim bratankom, bo zamiast pić oblewali się nią.

Bailey już trzymała rękę na klamce, ale Matt widział, że nie rozumie, co w tej historyjce jest zajmującego. Nie dziwiło go to zresztą.

- Jak to, zwyczajnie oblewali się wodą? Jak dzieci?

- Zaraz ci to zademonstruję - zaproponował Matt, sięgając nad jej głowę do kłamki. - Poczekaj tu i spróbuj przypomnieć sobie, jak się czułaś, kiedy miałaś szesnaście, siedemnaście lat.

Wszedł do kuchni, wybrał najwyższą szklankę, jaka mu się nawinęła pod rękę, i napełnił ją wodą z kranu. Wiedział, że to, co ma zamiar zrobić, jest wyzywające, ale uznał, że cel uświęca środki. Rozpiął koszulę, ściągnął ją i przerzucił przez ladę kuchenną. Wprawdzie bywały dni, kiedy miał serdecznie dosyć uciążliwych fizycznie prac budowlanych, musiał jednak przyznać, że wpłynęły korzystnie na jego muskulaturę. Zapalił więc światło nad tylnymi drzwiami i wyszedł na dwór.

Udając, że nie widzi wyrazu jej oczu, które na widok jego obnażonego torsu zrobiły się wielkie jak spodki, podniósł szklankę do ust i wyjaśnił:

- No więc dziewczęta z sąsiedztwa stały po drugiej stronie ulicy, a moi bratankowie pozdejmowali koszulę i robili to, co ja teraz.

Zamiast pić wodę pozwalał jej ściekać po swojej nagiej piersi, równocześnie klepiąc się po niej wolną ręką.

- Widzisz, z czym musiałem mieć do czynienia przez cały dzisiejszy dzień? - zapytał, kiedy już wylał wszystką wodę.

- Widzę - odpowiedziała tonem, od którego poczuł się głupio. - Słuchaj, wczoraj nie spałam do późna w nocy i przemyślałam sobie twoją propozycję dotyczącą komputera. Myślę - tu ziewnęła rozdzierająco - że zaraz go włączę.

Weszła do domu, a Matt został na zewnątrz - bez koszuli, w mokrych spodniach i z co najmniej ośmioma komarami na plecach. Nie wiedział dokładnie, jaki popełnił błąd, ale coś musiał zrobić źle.

Z westchnieniem zgasił światło na werandzie i sprawdził, czy wszystkie drzwi są pozamykane na zamki. Było jeszcze za wcześnie, aby kłaść się spać, na powrót włożył więc ko-

szulę i udał się na poddasze. Miał nadzieję, że w najgorszym razie znajdzie za pomocą wyszukiwarki nazwisko tego, kto kupił dom od wdowy po desperacie, który się powiesił. Liczył, że gdy zdobędzie tę informację dla Bailey, może odzyska jej względy.

## 9

Bailey nie spała tej nocy dobrze, bo śnił się jej Matthew Longacre i strugi wody, spływające w żółtym świetle lampy po jego nagiej piersi. Dziwiła się sama sobie, czemu nie zachowała się jak nowoczesna kobieta i nie skorzystała z jego niedwuznaczej propozycji. W końcu oboje byli dorośli i stanu wolnego - ona wdowa, on rozwodnik. Musiało być z nią coś nie w porządku, bo zachowała się jak pruderyjna stara panna i, udając zmęczenie, poszła do łóżka sama!

Wstawała z uczuciem, że Matt albojeszcze śpi, albo gdzieś wyszedł. „Pewnie poszedł do burdelu, żeby znaleźć prawdziwą kobietę” - mruknęła pod nosem, ale zaraz się roześmiała, bo zabrzmiało to jak zdanie z kiczowatego filmu.

Wzięła prysznic, ubrała się i spróbowała doprowadzić do ładu włosy. Kiedy była żoną Jimmiego, zawsze miała do dyspozycji fryzjerów, ale w Calburn fryzura chyba nie miała aż takiego znaczenia.

Otworzyła drzwi sypialni, starając się, by nie zaskrzypiały. Na palcach przeszła do kuchni, ale tam nie mogła sobie odmówić spojrzenia na schody prowadzące na facjatkę. Od razu zauważyła zmianę - komputer Matta wraz z urządzeniami peryferyjnymi zostały już wypakowane z pudeł i złożone w całość, to samo z biurkiem. Matt ustawił je w rogu pomieszczenia, z daleka widać tam było biały ekran komputera.

Bailey cichutko podkradła się do biurka, choć czuła się, jakby wsadzała nos w nie swoje sprawy. Zauważyła mysz na



purpurowej podkładce, ale bez kabla. Czyżby Matt nie wszystko jeszcze podłączył? Machinalnie podniosła mysz i zaczęła kręcić jej kulka. Ku swojemu najgłębszemu zdziwieniu usłyszała pomruk, świadczący, że komputer został uruchomiony.

- Co ja najlepszego zrobiłam? - wyszeptała.

- Nic, tylko go uruchomiłaś - odezwał się Matt zajej plecami.

Bailey złapała się za serce.

- Aleś mnie przestraszyła!

- Widzę, że praca w ogrodzie cię uspokaja, podczas gdy komputery raczej denerwują.

- Nie wiedziałam, że jest włączony, a on nagle się uruchomił...

- Bo to jest mysz bezprzewodowa. Wystarczy jej dotknąć, a komputer sam przechodzi na tryb roboczy - tłumaczył, nie ruszając się z miejsca.

Bailey nie od razu zorientowała się, że Matt czeka, aby odeszła od komputera. Najwyraźniej nie chciał się do niej za bardzo zbliżyć - i nic dziwnego, po tej nauczce, jaką dała mu wczoraj!

- Jeśli chodzi o wczorajszy wieczór... - zaczęła, oglądając sobie paznokcie. - Ja...

- Nie, to raczej ja jestem ci winien wyjaśnienie! - wszedł jej w słowo. - Widzisz, czasami miewam ciężki dowcip.

- Ależ skąd, to moja wina! - sprzeciwiła się Bailey. - Rzecz w tym, że po szesnastu latach wierności jednemu człowiekowi trudno jest w ciągu kilku tygodni przestawić się na coś, co z perspektywy tylu lat wydaje się zupełną rozpusztą. Przynajmniej ja mam z tym trudności.

- Mnie akurat nie musisz niczego wyjaśniać, bo ja wiem, co to znaczy stracić kogoś bliskiego. Poznałem chyba wszystkie możliwe warianty, ale w każdym wypadku strata najcięższa jest dla tego, kto zostaje przy życiu. Miałbym więc dla ciebie pewną propozycję... - dodał z uśmiechem.

Po tych słowach Bailey od razu poczuła się lepiej, gdyż

spośród wszystkich osób, które poznała w Calburn, jak do-  
tąd Matt najbardziej nadawał się na jej przyjaciela.

- Czy to coś takiego jak twoja ostatnia propozycja, dzięki  
której zaanektowałeś mój dom? - odwzajemniła jego  
uśmiech.

Matt już otwarcie się roześmiał, co przełamało wszystkie  
lody między nimi.

- Nie mylisz się, ale w tej chwili chodzi mi o to, żebyśmy  
mieli jasną sytuację. Możemy sobie żartować, ale pozosta-  
niemy przyjaciółmi i nikt z nas nie będzie wywierał nacisku,  
aby to zmienić. Umowa stoi? - Wyciągnął do niej rękę, by  
potwierdzić układ ostatecznie.

- Stoi! - Uścisnęła jego rękę, ale zaraz rozluźniła chwyt. -  
A teraz pogadajmy o tym poddaszu. Nie przypominam so-  
bie, abym się zgodziła, żebyś zajął je całe.

- Chcesz, żebym ci pokazał, jak zalogować się w Inter-  
necie?

- Matthew, ty mnie wcale nie słuchasz!

- Słucham, tylko nie zwracam uwagi na to, co mówisz,  
a to różnica - sprecyzował, nie odrywając oczu od monitora.

- Chciałam wykorzystać tę powierzchnię na działalność  
zarobkową.

- Ajaka to ma być działalność?

- Sama jeszcze dobrze nie wiem, przynajmniej nie  
wszystko. - Starła się nadać głosowi pozory pewności sie-  
bie. - Powiem ci, kiedy się już zdecyduję, ale wtedy będę po-  
trzebowała poddasza.

- Będziesz także potrzebować komputera, więc możesz  
używać mojego. - Wodził myszą po podkładce, klikając od  
czasu do czasu.

- A jeśli będzie ci potrzebny wtedy, kiedy i mnie?

- Mam jeszcze laptopa, a zresztą na razie nie umiesz po-  
sługiwać się komputerem.

- Jeszcze nie umiem, ale mogę się nauczyć.

- Przedtem czy potem, zanim się zdecydujesz, jak chcesz  
zarobkować?

- Przedtem... Nie, potem!... To znaczy... - Podniosła wzrok na niego. - A czy ty masz jakiś pomysł, czym mogłabym się zająć? Oczywiście poza uruchomieniem fabryki przetworów. Zaznaczam, że nie mam żadnych kwalifikacji ani wykształcenia, a po tylu latach niezależności nie chciałabym pracować dla kogoś. Czy wiedząc o tym, możesz mi coś podsunąć?

- Myślę, że na pewno powinno to mieć związek zjedzeniem. Myślałaś kiedyś o napisaniu książki kucharskiej?

- Chyba dawno już nie byłeś w księgarni! - wykiła go. - Każdego roku ukazują się setki książek kucharskich. Potrzebuję bardziej stałego zajęcia.

Matt oderwał się od komputera, położył ręce na ramionach Bailey i zajął jej w oczy.

- Dopiero co owdowiałaś, i to po wielu latach małżeństwa - przypomniał. - Daj sobie jeszcze trochę czasu. Musisz najpierw dojść do siebie, żeby móc podejmować ważne decyzje życiowe.

Te słowa zabrzmiały przekonująco, ale musiała zadać sobie trud, żeby nie strząsnąć jego rąk ze swoich ramion.

- Myślę, że masz rację - przyznała.

- A wiesz, co ja myślę, że moglibyśmy dziś zrobić?

W pierwszej chwili chciała zaprotestować przeciwko formie „my”, ale bała się, że alternatywą będzie spędzenie dnia w samotności. *Nie* miała bynajmniej ochoty siedzieć sama w brzydkim domu i nasłuchiwać każdego odgłosu - w nadziei, że to może wraca Jimmie?

- Co takiego? - spytała i od razu zaczęła wyobrażać sobie, co Matt może zaproponować. Ciekawe, czy będzie to coś romantycznego lub seksownego.

- Kupmy kosiarkę do trawników - powiedział najspokojniej w świecie i zdziwił się, słysząc śmiech Bailey. - A co, nie uważasz, że jest potrzebna?

- Tak, oczywiście. To tylko takie... - machnęła ręką lekceważąco. - Mniejsza z tym. Zjedźmy najpierw śniadanie, a potem pojedziemy po kosiarkę.

- To brzmi zachęcająco! - zgodził się Matt i znów spojrzął na ekran komputera.

U szczytu schodów Bailey jeszcze raz się odwróciła, by spojrzeć na niego. Pomyślała, że to miły człowiek, dobry i życzliwy, a przy tym zgodny we współżyciu. Z uśmiechem zeszała do kuchni i przyniosła ze spiżarni torebkę mąki gryczanej, z której zamierzała zrobić naleśniki.

- Czym mogę państwu służyć? - zapytał młody sprzedawca, ubrany w białą koszulę i spodnie koloru khaki. Zachowywał się tak, jakby zamierzał w wieku dwudziestu pięciu lat objąć stanowisko kierownicze.

- Chciałabym ręczną kosiarkę... - zaczęła Bailey, ale w tym samym momencie Matt wypalił:

- Chcielibyśmy samobieżną kosiarkę...

- Nie mamy aż tyle trawników! - zaprotestowała gwałtownie Bailey.

- Ale te, co mamy, trzeba często kosić, a poza tym teren za domem jest mocno zachwaszczony — tłumaczył cierpliwie Matt.

- To kup rozdrabniacz do zielonek i piłę! - zdenerwowała się Bailey. Zbyt wiele lat spędziła w otoczeniu zawodowych ogrodników, aby czegoś się przy okazji nie nauczyć.

- Rozdrabniacz też się przyda, ale...

- Też? Co ty jeszcze chcesz kosić?

- Przecież masz dziesięć akrów ziemi.

- Z czego połowa jest zalesiona!

- Przepraszam państwa - wtrącił się ekspedient. - Czy mógłbym zaproponować mniejszy i lżejszy typ kosiarki samobieżnej?

Bailey i Matt spojrzeli na niego nieprzyjaznym wzrokiem, aż młody człowiek zakrył twarz dłońmi, jakby osłaniając się przed ciosami.

- Ja nigdy nie mieszam się do spraw małżeńskich! - za-

strzegł. -Jeśli państwo potrzebują porady, proszę zwrócić się do mnie albo... do adwokata od spraw rozwodowych! — Te ostatnie słowa wymówił, odstępując nieco na bok.

Bailey i Matt spojrzeli po sobie i wybuchnęli śmiechem.

- Dobra, w końcu to twoja farma. - Pierwszy wycofał się Matt. - Ty decyduj.

Teraz ona poczuła się winna.

- Nie mówię, że kosiarka samobieźna jest nam niepotrzebna, tylko dla mnie ona jest za droga.

- A gdybym to ją kupił?

Bailey od razu się usztywniła.

- Nie chcę, żebyś mi cokolwiek kupowała. Zbyt długo byłam na utrzymaniu mężczyzny. Teraz chcę radzić sobie sama.

- A gdybyśmy zrobili tak - zaproponował Matt. - Zaażęzuj mnie do wykonania tych prac, a ja się zgłoszę z własnym sprzętem.

- Ciekawe, ile za to zażędasz.

- O, dużo.

- To znaczy?

- Żebyś zdjęła mi z głowy moją bratową.

- Co przez to rozumiesz?

- Widzisz, Patsy ma bardzo rodzinne usposobienie — Matt uśmiechnął się zgrzyliwie. - Cięgle chce urządzać jakieś spędy, a teraz...

- Co teraz?

- Teraz obedrze mnie ze skóry, jeśli nie będę cię wszędzie zabierał z sobą.

Bailey przez chwilę zastanawiała się nad jego słowami. Oczywiście nie miała wątpliwości, że całą historyjkę o „anżęzowaniu do pracy” zmyślił, a chodziło mu tylko o to, żeby zapłacić za kosiarkę i za darmo skosić jej trawnik.

- W innych warunkach nie zgodziłabym się na to - próbowała zachować twarz. - No, ale odkąd Opal powiedziała mi, że Patsy płaciłaś siedem i pół stowy komornego, a mnie tylko sześć, to jesteś mi jeszcze coś winien.

Matt wcale nie czuł się zakłopotany, że jego kłamstwo wyszło najaw.

- Opal nie usłyszała tego ode mnie - zapewniał. - Janice prowadzi moje księgi rachunkowe, więc to pewnie ona powiedziała Opal...

- Nieważne, kto komu powiedział, ale kiedy sobie przypomnę, jak perfidnie udawałeś, że za dużo z ciebie zdzieram...

Zamiast odpowiedzi pocałował ją w policzek.

- Lubię, jak się złościysz!

Akurat wrócił ekspedient, Bailey więc tylko wyszczała pod nosem:

- Czekaj, już ja ci pokażę...

Matt mrugnął do niej filuternie poza plecami sprzedawcy, który podszedł, by zapytać:

- No i jak, gołąbki, zdecydowaliście się na coś?

- Tak, poprosimy tę - Matt wskazał najtoporniejszą kosiarkę, przypominającą średni traktor.

- Doskonale pan wybrał - pochwalił sprzedawca. - Ja też bym ją kupił.

- Bo wszyscy jesteście przerośniętymi chłopcami! — mruknęła Bailey, patrząc w przestrzeń. Usłyszał ją tylko Matt, ale niezrażony jej ironią, dysponował dalej:

- Potrzebujemy jeszcze trochę narzędzi ogrodniczych. Popatrz, kochanie, na te sekatory...

Po upływie godziny na pace furgonetki Matta wylądowała ponadgabarytowa kosiarka, a wewnątrz samochodu zapełniły różne rodzaje łopat i szpadli, grabie, widły szerokozębne, sekator itp. Przy drugim szpadlu Bailey przestała protestować, Wyjeżdżali już z parkingu, kiedy coś sobie przypomniła:

- Mówiłeś, zdaje się, że Janice prowadzi twoje księgi przychodów i rozchodów?

- Zgadza się. Kiedy prowadziłem własną firmę, zatrudniałem zawodowego księgowego, ale teraz wystarczy to, co robi Janice. To nie znaczy, żeby mniej umiała od księgowego, bo prowadziła rachunkowość wszystkich czterech salo-

nów samochodowych męża, przynajmniej dopóki Scott nie doszedł do wniosku, że nie wypada, aby pracował w jednej firmie z żoną. Między nami mówiąc, wydaje mi się, że naprawdę to nie chciał, aby ona wiedziała o wszystkim, co on ma.

Bailey nie skomentowała tej informacji, bo bardziej interesowała ją osoba i działalność Matta niż Janice.

- A ty sprowadziłeś się do Calburn na stałe czy tylko chcesz dojść do siebie po rozwodzie, a po kilku miesiącach wrócisz do wielkiego miasta?

Matt nie od razu odpowiedział, gdyż włączył migacz i sprawdził położenie lusterek przed skrzętem w lewo.

- Tak naprawdę to nie wiem - wyznał szczerze. - Powiem ci jedno: nie mam zamiaru przez całe życie wbijać gwoździ.

- A co chciałbyś robić?

- Zawsze najbardziej interesowała mnie architektura wnętrz. No wiesz, urządzenie mieszkań.

- W takim razie dlaczego pracowałeś przy wieżowcach?

- Bo lepiej płacili.

- No tak, wiadomo. Najważniejszy jest szmal. Mój Jimmie miał takie powiedzonko: „Kto pracuje dla pieniędzy, ten ich nigdy mieć nie będzie”.

- Tak mówią wszyscy biedacy.

Bailey odwróciła się, by ukryć uśmiech, ale Matt to zauważył.

- Co to ma znaczyć?

- Niby co? - Najspokojniej w świecie spojrzała mu w oczy.

- No, ten perfidny uśmieszek. Bardzo się wygłupiłem?

- Nie, tylko że Jimmie nie był biedakiem.

- Dlaczego w takim razie zostawił cię prawie bez środków do życia?

- Nie wiem. - Bailey potrząsnęła głową. - Niektórych jego motywów mogę się domyślać, ale dalej nie rozumiem, czemu chciał, żebym zamieszkała na tej farmie i w tym miasteczku. Zawsze wydawało mi się, że miał jakieś przykre

wspomnienia z dzieciństwa i dlatego nie chciał o tym mówić, ale jeśli tak, to czemu wysłał mnie właśnie tam, gdzie spędził dzieciństwo? Zakładając, iż rzeczywiście tak było, bo dalej nie mam pewności, czy to był jego dom.

Odwróciła się w stronę okna samochodu i siłą woli nakażywała sobie spokój.

- Wczoraj wieczorem uruchomiłem komputer i podłączyłem się do Internetu - poinformował ją Matt. - Znalazłem odpowiednią wyszukiwarkę i wpłaciłem trzydzieści pięć dolarów za ustalenie statusu własnościowego twojego domu. W poniedziałek powinny już być jakieś informacje.

Bailey nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Jeśli bowiem na ekranie komputera ukaże się komunikat, że posiadłość należała do Jamesa Manville'a, to choćby Matt nie wiadomo jak się zaklinał, że utrzyma to w tajemnicy - fakt ten i tak wyjdzie na jaw. A gdyby Matt dowiedział się o tym - czy zmieniłoby to jego stosunek do niej?

- Bailey? - Matt wrócił do poprzedniego tematu.

- Słucham?

- No więc Patsy zaplanowała na dziś małe spotkanie towarzyskie...

- I ja jestem zaproszona?

- Jako gość honorowy.

- A to oznacza, że będę musiała odpowiedzieć na tysiące najbardziej osobistych pytań?

- Przypuszczam, że tak. Mało tego, pewnie będą próbowali nas pożenić, bo swatanie jest ulubionym zajęciem mojej bratowej.

- Czy ona swata wszystkich, czy tylko ciebie?

- Głównie mnie, bo obawia się, że spadnę jej z powrotem na kark, jeżeli jakaś kobieta się nade mną nie zlituje.

- Czym się jej tak naraziłeś, że chce się ciebie na gwałt pozbyć?

- Bo, widzisz, moja bratowa uwielbia szycie. Ma do tego specjalny pokój, w którym stoi maszyna do szycia i stół do krojenia odzieży. Ilekroć w naszym mieście organizuje się



kiermasz na cele dobroczynne, Patsy zawsze przewodniczy kółku krawieckiemu.

- I co z tego? - Bailey nie zrozumiała.

- To, że przez ostatnie pół roku zajmowałem jej pokój do szycia.

- O rany!

- No właśnie. Teraz już wiesz, o co chodzi?

- Aha, to może Patsy płaci za twoje mieszkanie w moim domu?

- Bardzo śmieszne! - rzucił z przekąsem, ale równocześnie się uśmiechnął, bo zajęchali właśnie pod dom Patsy.

Matt trafnie przepowiedział, że cała jego rodzina zbierze się na powitanie Bailey i przyjmie ją jako gościa honorowego. Zaproszona była również Janice i jej mąż Scott, którego Bailey dotąd nie zdążyła poznać, ale od razu nie przypadł jej do gustu. Należał do gatunku ludzi, których Jimmie nazywał geszefciarzami, bo na każdym kroku starał się ubić jakiś interes. Dlatego Bailey była rada, że Scott nie wie o jej zmarłym mężu, miliarderze, bo gdyby o tym wiedział - zaraz próbowałby jej wcisnąć jakiś towar. I tak już po trzech minutach znajomości zaczął ją nakłaniać, żeby sprzedała swoją toyotę, a kupiła wóz marki Kia z jego salonu.

W sukurs przyszedł jej Matt, obejmując ją ramieniem i odprowadzając na bok.

- Nie słuchaj tych głupot Scotta - doradzał. - Jeśli się od ciebie nie odczepi, ja się nim zajmę.

Najbardziej przypadły Bailey do serca dwie małe córeczki Janice - siedmioletnia Chantal i czteroletnia Desiree. Zaraz jednak zrobiło się jej żal dziewczynek, ponieważ miały na sobie odprasowane i wykrochmalone różowe sukienki, a swoje hot dogi jadły tak ostrożnie, jakby się bały pobrudzić.

Na szczęście członkowie rodziny Patsy, w przeciwieństwie do ceremonialnego stroju i manier rodziny Janice, zachowywali całkowity luz. Jej przystojni synowie, bliźniacy, robili wrażenie wiecznie znudzonych i przysypiali za każdym razem, kiedy tylko usiedli.

- Matthew zmusza ich do pracy ponad siły! - poskarżyła się Patsy, kiedy zauważyła, że Bailey przygląda się jej synom, śpiącym smacznie na kocu w cieniu drzewa. Kiedy spali - wyglądali tak niewinnie jak duże dzieciaki.

- Akurat! - parsknął pogardliwie Rick. - Przez całą noc nie odstępowali komputera i obdzwaniali chyba wszystkie dziewczyny w hrabstwie. Ich lenistwo nie ma nic wspólnego z pracą!

- Ryszardzie Longacre! - Patsy zabierała się do wygłoszenia reprimendy, więc Bailey z uśmiechem się ulotniła.

W jednym natomiast Matt się pomylił - ani gospodarze, ani goście nie zadreżczali Bailey wścibskimi pytaniami. Odwrotnie, każdy starał się raczej opowiedzieć jej o sobie lub obserwować, czy dobrą parę tworzy z Mattem.

Dwa razy w ciągu tego pikniku wszyscy obecni nagle umilkli i wlepili w nich wzrok. Pierwszy raz — kiedy Matt - nabrał na karbowanego chipsa pasty przyrządzonej na bazie twarożku i podał Bailey ze słowami: „Spróbuj tego”.

Czwórka gości siedzących przy piknikowym stole od razu zamarła i śledziła każdy ruch Bailey z nieskrywanym zainteresowaniem. Nawet chłopcy drzemający pod drzewem otworzyli każdy po jednym oku, a dwie małe dziewczynki przestały się huśtać i rozglądały się wokół, ciekawe, dlaczego zapadła taka cisza.

Bailey z pewnym skrępowaniem wzięła chipsa i poniosła do ust. Wszyscy widzowie natychmiast wrócili do przerwanych czynności, ale wydawali się zadowoleni z tego, co zobaczyli. Prawdę mówiąc, również Bailey ucieszyła się, widząc, że mogła sprawić bliźnim radość. Od razu przestała czuć się obco i nabrała przeświadczenia, że należy już do tego grona.

Piknik miał się ku końcowi, kiedy Matt szepnął Bailey na ucho:

- Poproś Patsy, żeby pokazała ci swój pokój do szycia. Ona uwielbia się nim popisywać.

Bailey posłuchała rady, i rzeczywiście twarz Patsy od razu

się rozjaśniła. Kiedy prowadziła ją w głąb domu, w milczeniu podążała za nimi Janice.

Przez cały dzień Bailey dyskretnie obserwowała wzajemne stosunki tych dwu kobiet, zewnętrznie tak różnych, a w gruncie rzeczy bardzo do siebie podobnych. Patsy miała na sobie workowate bawełniane szorty i takąż, powyciąganą koszulkę - niewykluczone, że zdjętą z własnego męża. Janice też nałożyła szorty, ale ciemnobrązowe, zaprasowane na kant, z paskiem z krokodylej skóry, a do tego nowiutką bluzkę w brązowo-zieloną kratkę. Włosy Janice były kunsztownie ułożone, a Patsy - w nieładzie. Różnice w stroju i uczesaniu nie mogły jednak zatuszować uderzającego podobieństwa ich obu.

- Jak one są spokrewnione ze sobą? - spytała szeptem Matta, który opiekał właśnie hamburgery na grillu.

- Ich matki były bliźniaczkami jednojajowymi - odpowiedział. - Tylko że jednej z nich trafił się bogaty mąż, a drugiej biedny. Zgadnij - której?

- Janice miała biednego ojca - Bailey od razu znalazła prawidłową odpowiedź. Podobnie bowiem zachowywała się jej matka, która starała się przesadną elegancją maskować ewentualne oznaki biedy. Nikt nigdy nie widział Freidy Bailey niedbale ubranej i bez perfekcyjnego makijażu!

- Bystrajesteś! - pochwalił Matt z uśmiechem.

- Wystarczająco bystra, aby wiedzieć, że te hamburgery zaraz spalą się na węgiel, jeśli nie zdejmiesz ich z grilla.

Ucałował ją za to w czubek nosa. Wtedy po raz drugi uczestnicy pikniku zamarli w bezruchu mniej więcej na trzy sekundy, potem wrócili do przerwanych czynności. Bailey starała się udawać, że tego nie widzi, ale nie mogła ukryć rumieńca.

- Daj spokój! - syknęła do Matta. - Jeszcze ludzie pomyślą, że jesteśmy czymś więcej niż współlokatorami!

- A co, nie mogliby tego przetrwać? - spytał wyzywająco, a Bailey odniosła nieodparte wrażenie, że nie miałby nic przeciwko temu, gdyby ludzie tak myśleli.

Kiedy Matt zwoływał piknikowiczów, anonsując, że hamburgery już gotowe, Bailey stanęła sobie z boku, popijając niesmaczną lemoniadę przyrządzoną z gotowego proszku. Obserwowała Patsy i Janice, które razem pracowały, ale nie rozmawiały ze sobą ani nie nawiązywały bezpośredniego kontaktu wzrokowego. Nawet przy stole piknikowym siedziały obok siebie, nie zamieniając ani słowa. Bailey nieraz już korciło, aby spytać, co je tak poróżniło, ale obawiała się, że usłyszy odpowiedź w rodzaju, iż w dzieciństwie pokłóciły się o lalkę Barbie. Zresztą czasem lepiej było nie wiedzieć wszystkiego...

W każdym razie wzajemna wrogość obu pań musiała trwać dosyć długo, bo znajomi zdążyli przyzwyczaić się do tego stanu. Najzabawniej reagowała młodsza córeczka Janice, Desiree. Bailey raz podsłuchiwała, jak zwracała się do matki: „Mamusiu, czy nie jest ci przykro tak stać samej?“, podczas gdy Janice znajdowała się najwyżej piętnaście centymetrów od Patsy. Z kolei dziecko wlepiało swoje duże, błękitne oczy w ciotkę i odgrywało następną scenkę: „Ciociu Patsy, czy nie wolałabyś, żeby ktoś tu był z tobą? Masz taką smutną minę!“ Bailey z trudem powstrzymywała śmiech, widząc takie rezolutne dziecko. Nie była też wcale zaskoczona, kiedy Janice przyłączyła się do grupy chętnych do obejrzenia pracowni krawieckiej Patsy.

Dom wywarł na niej wielkie wrażenie, ponieważ był duży i raczej nowy - na oko mógł mieć około pięciu lat. Nosił wyraźne piętno „współczesnego stylu rustykalnego“. Wzdłuż całej ściany biegła głęboka, staromodna weranda, a w centralnej części górnego piętra wycięto jedno wyższe, łukowate okno z dwoma kwadratowymi po każdej stronie. W całym budynku stare na każdym kroku przeplatało się z nowym.

Weszli do środka przez tylne drzwi, ale po wejściu Patsy nagle zatrzymała się bez słowa. Bailey nie wiedziała, jak powinna się teraz zachować, dopiero Janice podsunęła jej rozwiązanie:

- Na pewno chciałabyś zobaczyć cały- dom Ricka? —

zwróciła się do niej wprost. - Czy raczej powinnam była powiedzieć „dom Matta?”

Bailey nie od razu zrozumiała ten podtekst.

- A co, Matt go projektował?

- Pewnie! - odrzekła z dumą Patsy. - Może ci pokazać, co wyszło spod jego ręki?

Bailey w lot pojęła, że Patsy nie wypadało się chwalić własnym domem, ale nie widziała nic zdrożnego w reklamowaniu projektu szwagra. Dom nawet się jej spodobał, ale wciąż nie mogła się nadziwić, jak Patsy i Janice ostentacyjnie ciągną każda w swoją stronę. Na zmianę - to jedna, to druga - pokazywały jej różne pomieszczenia.

Połowę przestrzeni na parterze zajmowały salon, jadalnia i kuchnia połączone w jedno. Nie stawiając ścian działowych, Matt wyodrębnił poszczególne aneksy, stosując inne środki. Nad salonem i częścią jadalną pozostawił sufit otwarty do połowy. Przez otwory widoczny był sufit w pomieszczeniach położonych bezpośrednio nad nimi. Tylko kuchnię odgradzało jakieś przepierzenie.

Dom sprawiał wrażenie dobrze rozplanowanego i panowała w nim atmosfera przytulności mimo dużych, otwartych przestrzeni. Bailey chwaliła to, co jej się podobało, natomiast zachowała dla siebie zdecydowanie negatywną opinię o kuchni. Pod jedną ścianą zainstalowano bowiem zlewomywak i lodówkę, kuchenkę elektryczną - na centralnie usytuowanym podestacie, a za nim drugi podest z ladą barową i czterema taboretami. Gospodyni, by przejść od zlewu do lady, musiała okrążyć kuchenkę, czyli wykonać wiele niepotrzebnych kroków. Tyle tylko, że ta wypucowana do połysku kuchnia nie wyglądała na zbyt często używaną, może więc jej nieekonomiczny rozkład nikomu nie przeszkadzał.

Drugą połowę parteru zajmował apartament pana domu, garderoby jego i żony oraz gabinet. Przy łazience Patsy nie darowała sobie komentarza: „Widziałas kiedy w życiu większą łazienkę?”

Bailey taktownie rzuciła jakiś zdawkowy komplement, ale

po pałacach Jimmiego żadna łazienka nie była w stanie jej zaimponować. Jimmie bowiem lubował się w łazienkach, im przestronniejszych i bardziej ozdobnie wyposażonych — tym lepiej. W jednym z jego licznych domów wanna miała wymiary średniego basenu pływackiego, pod prysznicem można było wykapać słonia, a na toalety i bidety wygospodarowano oddzielne pomieszczenia.

Bailey od razu zauważyła charakterystyczną cechę domu Patsy - wszędzie rzucały się w oczy uszyte przez nią zasłony lub pokrowce. Sama nigdy nie przepadała za szyciem, ale prezentując swoje przetwory na targach i kiermaszach różnego szczebla, musiała się zetknąć, chcąc nie chcąc, i z tą dziedziną rękodzieła. Kanapa i fotele w salonie były obite kretonem w niebieskie i zielone kwiaty, z tego samego materiału uszyto zasłony i wiele innych elementów wystroju wnętrza. Tak więc z drzwiczek sosnowego segmentu, w którym Patsy trzymała telewizor i magnetowid, usunięto szyby i zastąpiono je zmarszczoną tkaniną w jednakowy wzór. Każda półka na książki była obita kretonem, na przemian zielonym i niebieskim. Takim samym materiałem, z jakiego uszyto zasłony, obciążony był kosz na śmieci, z niego zrobiono też bieżniki na stoliki do kawy i abażur na lampę. Każdy wolny skrawek powierzchni musiał być przykryty serwetką, matą lub pokrowcem.

Ten sam efekt Bailey zaobserwowała także w innych pomieszczeniach. Obicia w sypialni utrzymano w kolorach niebieskim i bordo. Podobnie jak w salonie, skrupulatnie przykryto każdą wolną powierzchnię. Pokoje na piętrze też pod tym względem niczym się nie różniły. Patsy na krótko uchyliła drzwi do sypialni chłopców - wystarczająco, aby Bailey zdążyła rzucić okiem na zasłony, kapy i poszewki, na które zużyto chyba całe bele niebieskiej tkaniny, drukowanej w samolociki! Gdyby nie wiedziała, ile lat mają synowie Patsy, pomyślałaby, że najwyżej dziewięć!

Po przeciwnej stronie hallu znajdowała się łazienka, także cała założona uszytymi przez Patsy pokrowcami. Goście mi-

nęli ją i doszli wreszcie do chluby gospodyni - pokoju do szycia! Jego ściany pokrywała różowa tapeta, drukowana w pączki róż. Na środku stał duży, roboczy stół, pod ścianą - maszyna do szycia, a na półkach pudełka oznaczone próbkami materiałów. Widać było, że Patsy zorganizowała sobie wzorowy warsztat pracy!

- Tu mam wykroje, a tu zapasowe guziki do wszystkich ubrań całej naszej rodziny, posegregowane według wielkości, koloru i materiału - wyjaśniała Patsy. Bailey miała nadzieję, że dobrze udaje podziw. Nie chciała wyrwać się z nietaktownym pytaniem: „A po co to wszystko?”

Wolała skupić się na czymś innym, dlatego też zaczęła oglądać oprawione, grupowe zdjęcia wiszące na ścianie. Było ich pięć i na każdym Patsy stała w pierwszym rzędzie, ubrana w biały fartuch z identyfikatorem przypiętym do kieszeni na piersi.

- Co to za zdjęcia? - spytała.

- To pracownicy fabryki w Ridgeway. Chcecie zobaczyć moje igły do maszyny?

- Patsy! - Bailey nie dała się spławić. - Byłaś szefem tych ludzi?

- Tak, ale to było dawno temu - rzuciła obojętnie Patsy. - Teraz wam pokażę, gdzie trzymam nici.

Bailey niechętnie dała się oderwać od zdjęć i odwróciła się, aby zobaczyć setki szpulek nici w różnych kolorach, nanizanych na pręciki po wewnętrznej stronie drzwiczek szafki. Kiedy podniosła oczy, napotkała spojrzenie Janice. Miała wrażenie, że Janice chce jej coś powiedzieć, ale zaraz zatrzepotała rękami i spojrzała w inną stronę.

Po chwili Janice spokojnym tonem zaproponowała:

- Chodźmy już, dołączmy do naszych panów.

Na dole Rick narzekał, że Matt nie przestaje chwalić kuchni Bailey.

- No więc kiedy mamy złożyć wam rewizytę? - przymawiał się, a wszyscy obecni po raz trzeci w dniu dzisiejszym zastępli w bezruchu, oczekując reakcji Bailey.

- Może w przyszłą sobotę? - zaproponował Matt, obejmując Bailey ramieniem. - Co ty na to, kochanie?

- Oczywiście, może być przyszła sobota - zgodziła się Bailey, wyslizgując się spod ramienia Matta, ale kiedy podniosła oczy - napotkała spojrzenie Janice i Patsy, jedno podobne do drugiego: tak uporczywe, że aż się wzdrygnęła. Obie jednak unikały jej wzroku.

## 10

Bailey spojrzała na zegarek przy łóżku. Była już druga nad ranem, a ona jeszcze nie spała! Spodziewała się, że po takim wyczerpującym dniu padnie jak długa na łóżko i zaśnie natychmiast. Tak się jednak nie stało, bo po powrocie od Patsy Matt zaproponował, żeby zaraz zabrali się do wyburzania ścianek działowych, aby odtworzyć werandę na dawnym miejscu.

- Według ciebie to ja mam zacząć wyburzać tę różową łazienkę? - upewniała się Bailey. W odpowiedzi Matt wręczył jej krótki łom, wydobyty ze swojej skrzynki z narzędziami, anonsując:

- Służę pani uprzejmie.

Rozejrzała się więc po łazience, taksując kolejno kafelki, tapetę i armaturę, ale nie wiedziała, od czego zacząć.

- Rury na razie zostaw, dopóki nie odetnę dopływu wody! - zawołał do niej Matt z drugiego pokoju. - Zaczynj odłupywać kafelki albo zrywać tapetę.

- Dobrze! - odkrzyknęła, podważając łomikiem różowy kafelek w kwiatki. Musiała się odchylić, żeby odpadł i potoczył się po pokoju.

- Jak ci idzie? - spytał Matt od drzwi.

- Świetnie! - odpowiedziała.

Pracowali tak przez trzy godziny a potem Matt zaproponował, żeby zamówić pizzę.

- Jaka masz na myśli, taką z klejącymi się brzegami? - iro-



nizowała Bailey. - Albo z ananasem, czy może z czterema gatunkami mięsa?

- O co ci właściwie chodzi? - zaśmiał się Matt.

- Może lepiej zjedlibyśmy makaron i sałatę? Kiedy byłam w Kalabrii... - spojrzała w bok i nie dokończyła zdania.

- Dużo podróżowałaś? - Matt chciał jej pomóc.

- Trochę... Może jednak powinniśmy zamówić pizzę? Czemu tak na mnie patrzysz?

- Jeżeli chciałabyś porozmawiać, to powiedz, a chętnie cię wysłucham.

Bailey rozważała nawet możliwość zwierzenia mu się z kilku spraw, bo utrzymywanie ich w tajemnicy już zaczynało jej ciążyć. Nie zdecydowała się jednak, gdyż uświadomiła sobie, że przed rozpoczęciem gotowania przydałby się jej prysznic. Pobiegła do łazienki, lecz kiedy wróciła, Matt pracował już przy swoim komputerze. Tym sposobem zmarnowała okazję.

Jak za dawnych lat odreagowała stres w kuchni. Zaczęła od tego, że ugotowała niedużą porcję brokułów, wyjęła je z garnka, a w pozostałej wodzie ugotowała makaron o kształcie muszelek. Dzięki temu makaron zyskiwał nie tylko dodatkowy smak, lecz i witaminy, które woda wypłukała z brokułów. Nauczyła ją tego pewna kobieta z Kalabrii. Podczas gotowania makaronu przysmażyła na patelni czosnek, sardelle, orzeszki piniowe i pokruszoną czerwoną papryczkę. Gotową potrawę wyłożyła na duży półmisek, posypała tartym serem pecorino, a do tego podała sałatę i pieczone na grillu strąki papryki w trzech kolorach.

Przy kolacji rozmawiali o tym, jak ten dom kiedyś wyglądał i jakie zmiany trzeba w nim wprowadzić.

Po posiłku Matt spojrzał na nią wyczekująco, a Bailey przyłożyła palce do skroni.

- Uważaj, bo czytam w twoich myślach - powiedziała. - O, już nadchodzą... zbieram je... wiem, o czym myślisz! O deserze, prawda? Dobrze odgadłam?

- Jesteś genialna - uśmiechnął się, ale wyraz wyczekiwania nie schodził z jego twarzy.

- Deser na razie jest jeszcze w torebkach z napisami: „cynamon”, „gałka muszkatołowa” i „brązowy cukier”.

Matt spojrział na nią całkiem poważnie:

- A będę mógł wylizać miskę?

- Owszem, możesz pozmywać! — roześmiała się Bailey. - Ale dopiero wtedy, gdy będę piekła ciasto z płatków owsianych, najlepsze, jakie w życiu jadłeś.

- To coś takiego jak owsianka? - spytał podejrzliwie Matt. - Wątpię, czy będzie mi to smakowało.

- Na pewno, jeśli podam je z lodami domowej roboty! - obiecywała, otwierając tylne drzwi.

- O rany, domowe lody! - wyszeptał z podziwem Matt, zbierając brudne talerze.

Po czterdziestu minutach Bailey postawiła przed nim formę, a w niej jeszcze ciepłe, aromatyczne ciasto prosto z pieca, przybrane z wierzchu puszystymi lodami z bitą śmietanką i zapachem jaśminu. Po trzech pierwszych kęsach udał, że mdleje z rozkoszy, i ze śmiechem pozwolił Bailey przytrzymać się za ramię.

Mimo zapadającego zmierzchu wyszli jeszcze na spacer po ogrodzie, dyskutując, jakie zmiany należy w nim wprowadzić.

Ten wieczór miał z jednej strony charakter raczej bezosobowy, a z drugiej - ściśle osobisty wydzźwięk. Przecież razem się śmiali i o wszystkich planach mówili w liczbie mnogiej - co „my” jeszcze musimy zrobić. Zbliżało ich to do siebie bardziej, niż gdyby byli kochankami. Szkoda, że nie wiedzą o tym autorzy kiepskich powieści miłosnych i filmów!

Niezręczna sytuacja powstała, gdy Bailey oznajmiła, że już kładzie się spać. Na szczęście Matt ziewnął i potwierdził, że także jest zmęczony. „Ułatwił mi zadanie” - pomyślała z wdzięcznością Bailey, kiedy po kilku minutach nakładała już na siebie koszulę nocną i wskakiwała pod kołdrę.

Sen jednak długo nie przychodził, nawiedziły ją wspomnienia z pierwszej wspólnej podróży z Jimmiem do południowych Włoch, gdzie zwiedzili starorzyskie miasto Ba-

dolato, otoczone murami obronnymi. Im dłużej myślała o Jimmiem, tym większy niepokój ją ogarniał. Po dwóch godzinach miała już dość miotania się po łóżku, wstała więc, ubrała się, po cichu zeszła do kuchni, wzięła stamtąd latarkę i wyszła na dwór.

Zaczynało już świtać, kiedy spojrzała w górę, i wcale się nie zdziwiła, widząc nad sobą zatroskaną twarz Matta. Wybiegł z domu boso, tylko w dżinsach i koszulce, a zastał ją na kolanach, pochyloną nad grządką truskawek. Wmawiała sobie, że piele, tylko że razem z chwastami po ciemku wyrwała także młode sadzonki. Nie zdziwiła się więc, gdy zdała sobie sprawę, że twarz ma zalaną łzami.

Matt bez słowa sam uklęknął i porwał ją w ramiona. Przyłgnęła do niego, zanosząc się coraz gwałtowniejszym szlochem. Nie płakała od przyjazdu do Calburn, ale tylko dlatego, że tłumiła łzy, bo stale myślała o Jimmiem i wszystkojej go przypominało.

- Tak mi go brak! - szlochała, wtulając twarz w zgięcie muskularnego ramienia Matta. - Nie ma chwili, żebym o nim nie wspominała. Tęsknię za jego bliskością, pieśczołkami, rozmową z nim... Tyleśmy zawsze ze sobą rozmawiali! Zawsze mnie się radził, czy to w interesach, czy na temat kupna czegoś do domu... Żyłam tylko dla niego. Był całym moim światem!

- Wiem, wiem - powtarzał Matt, tuląc ją w ramionach i kołysząc lekko.

- Wyszłam za niego, kiedy miałam siedemnaście lat. Nigdy nie znałam innego mężczyzny oprócz niego. Byłam niešťczęśliwa, bo nikt mnie nie kochał, ale on zabrał mnie stamtąd, właściwie uratował! Nie wiem, co stałoby się ze mną, gdybym go nie spotkała.

Matt nie komentował tych słów, tylko trzymał ją mocno w objęciach, gładził po włosach i uspokajał.

- Nie rozumiem, jak on mógł umrzeć, kiedy ja go tak bardzo potrzebowałam — żaliła się. - Czy musiał odejść i zostawić mnie tu samą?

- No już cicho, cicho, kochanie! - Matt przemawiał do niej łagodnie. - Przecież nie jesteś tu sama, bo masz mnie. Jestem przy tobie!

Bailey jednak nie przestawała płakać.

- Jimmie był takim wspaniałym mężczyzną, pełnym życia! Umiał wszystko zrobić i wszystko załatwić! - zawodziła, wpijając się palcami w ramię Matta. Jego koszulka była już mokra od jej łez. Usiadł więc na ziemi i posadził ją sobie na kolanach, mocno tuląc do siebie, wciąż jednak nie przestawała płakać.

- To, że tęsknię za nim, to mało! - szeptała przez łzy. - Bez niego nie wiem, co mam ze sobą począć. Jimmie zawsze umiał podejmować decyzje, ale ja...

Zawiesiła głos, więc i Matt na razie milczał. Nie przychodziły mu do głowy inne słowa, jak tylko: „Cicho, kochanie, spokojnie...”

Dopiero kiedy słońce wyjrzało zza horyzontu, Bailey poczuła się lepiej. Jeszcze pociągała nosem, lecz musiała przyznać, że odczuwa znaczną ulgę, jakby zdjęto jej z ramion duży ciężar.

Raptem zdała sobie sprawę, że siedzi na kolanach Matta i że oprócz nich nie ma w pobliżu nikogo. Sytuacja nie była dla niej przykra, ale wolała nie dopuścić do tego, co mogłoby z tego wynikać. Przynajmniej jeszcze nie teraz, bo wciąż miała wrażenie, że dusza Jimmiego unosi się tuż nad nią, co jednak nie oznaczało, że spieszno jej było do wyzwolenia się z ciepłych i bezpiecznych ramion Matta.

- Może powinnaś się nauczyć... - zaczął Matt, ale go odepchnęła.

- Tylko mi nie mów, że powinnam już nauczyć się żyć bez niego! - krzychała. - Tylko ludzie o narcystycznej osobowości potrafią żyć sami dla siebie!

- Masz rację! - zgodził się ze śmiechem. - Moja była żona zawsze żyła tylko dla siebie i była klasycznym przykładem narcyzmu!

Bailey patrzyła na niego wyczekująco, chcąc usłyszeć dal-

szy ciąg. Zaraz jednak spadła jej na nos zimna kropla deszczu, zerwała się więc z jego kolan.

- Chodźmy do środka - zaproponował Matt, wstając. - Opowiem ci więcej szczegółów z mojej przeszłości, może to odwróci twoją uwagę od własnych trudności.

- I pewnie jesteś głodny, co?

- Jak wilk.

- I w zamian za coś do jedzenia chcesz obnażyć przede mną duszę?

- Otóż to właśnie.

Bailey zrobiła krok w stronę domu, ale zaraz obejrzała się na Matta.

- Ilu jeszcze osobom opowiadałeś tę historię? - podpytywała.

- Nikomu więcej. A trzeba ci wiedzieć, że Patsy zapłaciłaby każdą cenę, żeby ze mnie wydobyć, dlatego ożeniłem się z Cassandrą.

Potakując, uśmiechnięta Bailey poszła w stronę domu, a Matt za nią. Po dwudziestu minutach siedział już przy kuchennym stole, zjadając gorącą bułeczkę z truskawkami i serkiem mascarpone. Bailey tymczasem wyrabiała w misce ciasto na placek z jeżynami i cząstkami mandarynek, który następnie posypywało się cukrem pudrem.

- No, to teraz płać za przyjemność - zażądała. Teoretycznie powinna była czuć się zażenowana tym, co zaszło między nimi, ale jakoś nic takiego nie czuła. Odwrotnie, od dnia śmierci Jimmiego nie była w tak dobrym nastroju. Nawet niegustowne kolory wyposażenia kuchni wydawały się jej teraz żywsze, a nierdzewna blacha kuchenki lśniła jak gwiazda. - Opowiedz, co miałeś mi opowiedzieć.

Matt nie ukrywał, jak wielką mu sprawiła radość tym pytaniem. W rewanżu odpowiedział jej innym:

- Czy pragnęłaś kiedyś czegoś tak silnie, że choćbyś wiedziała, iż to ci nie służy, nie mogłabyś się od tego powstrzymać?

- Tak - odpowiedziała natychmiast Bailey. - Czekolady.

- Wiesz, chodzi mi raczej o coś większego... - tłumaczył z uśmiechem Matt.

- Mnie też chodzi o koszyk takiej wielkości jak ten, w którym wrzucono do rzeki Mojżesza. Wyobraź sobie taki kosz pełen czekoladek marki „Godiva”, o różnych smakach - z kremem malinowym, karmelowym, trufle... I jeszcze wyobraź sobie, że już od czterech tygodni i trzech dni jesteś na diecie „tysiąca kalorii”, czyli jesz same niesmaczne rzeczy, a głódówka tak cię osłabiła, że w głowie ci się kręci, ilekroć wstajesz. I teraz dostajesz nagle taki kosz, w którym jest tyle czekoladek, że możesz się w nich tarzać. Wgryzasz się w nie, aż roztopiona czekolada spływa ci po rękach, a ty ją zlizujesz... Czy o ten rodzaj pragnienia ci chodziło?

Matt wsłuchiwał się w jej narrację z oczami jak spodki i szeroko otwartymi ustami. Kiedy skończyła, podsumował:

- Wiesz? Chyba nawet Cassandry tak nie pożądałem?

Bailey z uśmiechem podsunęła mu łyżkę wyjętą z kremu i poleciła:

- Spróbuj teraz tego!

Matt oblizwał łyżkę i przymknął oczy z rozkoszy.

- Jak... - Nic więcej nie zdołał wyszeptać.

- Dodałam całą laskę wanilii, to wzmacnia smak. No, dosyć już o mnie, chcę wreszcie usłyszeć tę twoją opowieść.

- Dobra, na czym to ja stanąłem? - Matt jeszcze raz oblizwał łyżkę. - Aha, ukończyłem wydział architektury ze specjalnością: projektowanie wnętrz. I to z wyróżnieniem!

- Jestem pod wrażeniem!

- A jak myślisz, po co ci to powiedziałem? Może gdybym nie miał takich dobrych wyników, nie otrzymałbym aż tylu ofert pracy. A gdybym dostał ich mniej, nie przebierałbym w nich jak w ulęgałkach, tylko przyjął posadę w jakimś biurze projektowym w Saint Louis lub Mmneapolis. Może wtedy nauczyłbym się czegoś więcej, ale ja chciałem tylko zadziwić świat moimi projektami prywatnych domów i wystroju wnętrz, broń Boże - biurowców! Podjąłem wreszcie pracę u pewnego multimilionera, pochodzącego z rodziny od po-

koleń związanej z finansami. Otrzymałem zlecenie zaprojektowania domku - prawdziwego cacuszka - dla jego jedynej córki Cassandry, która miała na wiosnę wyjść za Cartera Haverforda Norcotta Trzeciego. Umyśliłem więc sobie, że zaprojektuję naprawdę piękny dom i zaprezentuję go podczas wystawnego wesela, a kiedy spodoba się gościom - dostanę nowe zlecenia, a potem jeszcze więcej i więcej...

- Ale zamiast tego wolałeś uciec z narzeczoną?

Matt odpowiedział nie od razu, lecz po pewnym namyśle.

- Widzisz, cały dowcip polegał na tym, że w gruncie rzeczy tak bardzo jej nie pragnąłem, bo prawie jej nie widziałem. Chciałem raczej prowadzić takie życie jak ona. Te tęsknoty wzięły się stąd, że moja matka pochodziła z podobnej rodziny, ale została wydziedziczona, gdy uciekła z moim ojcem. Nawet po latach jednak, kiedy ojciec od nas odszedł, a matka chwyciła się każdej pracy, nawet kelnerowania, żeby zarobić na utrzymanie swoje i dwóch synków, zawsze miała... - Przerwał i spojrzął w bok, ale Bailey dojrzała na jego twarzy płomień gniewu.

- ...klasę-podpowiedziała.

- Tak, moja matka zawsze miała klasę.

Bailey zauważyła, że mówiąc to, obracał nerwowo łyżkę w rękach.

- I ty chciałeś tę klasę odzyskać?

- Otóż to właśnie.

Bailey usiadła naprzeciw niego. Nalała sobie pełny kubek herbaty i wzięła ze stołu grzanekę z pełnoziarnistego chleba, bez masła.

- To kiedy poznałeś tę posażną jedynaczkę, Cassandrę? - wyciągała z niego kolejne zwierzenia.

- Trzeciego dnia mojego pobytu w rezydencji jej ojca. Uderzyła mnie piłką tenisową tak mocno, że wpadłem do stawu.

Słuchając opowiadania Matta, Bailey wypijała trzy filiżanki herbaty, a jego filiżankę napełniała aż cztery razy. W tym czasie zdążyła także pokroić w plasterki truskawki i banany, po-

łać to wszystko śmietanką i podsunąć Mattowi miseczkę tej sałatki.

Nie tylko wsłuchiwała się w jego słowa, lecz także zwracała uwagę na ton głosu. Widziała, że głęboko przeżywał wszystko, o czym mówił. Próbował wprowadzić deprecjonować to, co było treścią wielu lat jego życia, ale zbiegające palców zaciśniętych na uszku filiżanki i cienka, biała bruzda w lewym kącie ust zdradzały jego prawdziwy nastrój.

Opowiadał właśnie, jak lekceważąco potraktowała go wysoka, szczupła blondynka z wyższych sfer, ubrana w biały strój do gry w tenisa. Trzeba trafu, że przemówiła się akurat na korcie tenisowym ze swoim utytułowanym narzeczonym, Carterem Haverfordem Norcotte Trzecim. Ze złości źle odbiła piłkę, która trafiła w tył głowy architekta mającego projektować dom dla młodej pary. Od tego ciosu Matt stracił równowagę i wpadł do rybnego stawu.

- Gdyby nie to, że pokłóciła się z Carterem - opowiadał dalej Matt - pewnie skończyłoby się na tym. A tak ten wy-moczek Carter zrobił jej scenę zazdrości o dwudziestopięcioletniego chłopaka w mokrym podkoszulku!

Matt opowiedział też, że w oczach Cassandry zobaczył wtedy coś, co „poruszyło go do głębi”. Po latach doszedł do wniosku, że chyba mu się to przywidziało. Ale przez chwilę zdawało mu się, że widział taką isierkę...

- ...która oznaczała: „Ratuj mnie!” - dokończyła Bailey.

- Tak, a skąd ty...

- Nie takie rzeczy w życiu widziałam. Popatrz: wydają panienkę za jakiegoś arystokratycznego mięczaka, a tymczasem wpada jej w oko chłop jak dąb, w mokrym podkoszulku na środku stawu. No więc co ona może zrobić? Jasne, że błaga cię oczami, abyś ją ratował!

Matt, słysząc, że został nazwany chłopem jak dąb, dumnie wypiął pierś.

- Też tak myślałem, ale tylko w pierwszej chwili. Bo potem panienka spojrzała na mnie z góry i prychnęła: „Ten mięśniak się nie liczy. Na pewno przyszedł tu kraść ryby!”



- Nie mogła już wykombinować nic lepszego?

- Kiedy lepiej ją poznałem, dowiedziałem się, że jej wydawało się to świetnym dowcipem. Co z tego, że nikt się nie śmiał, ona i tak uważała, że ma nadzwyczajne poczucie humoru!

- I co wtedy zrobiłeś? - spytała Bailey biorąc sobie truskawkę. Matt przesunął dłońmi po twarzy, jakby chciał uporządkować myśli.

- Słyszałaś kiedyś, że największym wrogiem człowieka jest on sam? Po skończeniu studiów postanowiłem za wszelką cenę dostać się do pracy u ojca Cassandry, który początkowo chciał zamówić projekt domu dla córki u jednego z moich wykładowców. Zarzuciłem go jednak moimi projektami i pomysłami, i tak zawróciłem mu w głowie, że mnie zatrudnił. Teraz już wiesz, co zrobiłem. Poszedłem za Cassandrą.

Jedząc truskawki, Bailey słuchała opowiadania Matta o tym, jak zdobywał Cassandrę Beaumont. Ze dwa razy zastężyła z truskawką w rękę w połowie drogi do ust, kiedy opisywał swoje podchody. Było w tym coś z bajki lub kiczowatej komedii filmowej. Wspiął się do jej okna po treliażu obrośniętym różami, a w sypialni schował się pod łóżkiem i czekał na powrót panienki.

- Musiała być zszokowana - domyśliła się Bailey.

- Raczej zafascynowana. Patrzyła na mnie jak antropolog na członka jakiegoś nieznanego plemienia. Wszystko, co robiłem, wydawało jej się dziwne. Taksowała mnie tymi swoimi błękitnymi oczami — chłodno i bez przekonania.

- Niech zgadnę: im chłodniej reagowała, tym mocniej próbowałaś?

- Musiałaś chyba gdzieś słyszeć tę historię - orzekł Matt, szczerze ubawiony.

- Lepiej powiedz, jak doprowadziłeś ją do zgody na małżeństwo z tobą.

Matt przez chwilę patrzył w dół, na swoje ręce, ale zaraz znów spojrzął w oczy Bailey.

- Myślę, że to raczej ona chciała się wydać bardziej interesująca dla swojej klasy społecznej. To tylko ja, wychowany w ciężkich warunkach, przez samotną matkę, patrzyłem na nią z podziwem -jak na egzotycznego rajskiego ptaka. W jej sferze uchodziła za pospolitą i nijaką, więc pewnie wyobrażała sobie, że wystarczy sześć tygodni małżeństwa ze mną, aby znaleźć się w centrum uwagi, nawet w klubie myśliwskim swego taty.

- A co było potem, kiedy już się pobraliście?

- Prawdę mówiąc, nic, bo i nic nas nie łączyło. Żywiłem słabą nadzieję, że chociaż trochę wyluzuje, kiedy zostaniemy sami. Znasz takie poetyckie porównanie, że niby ogień pod skorupą lodu i tak dalej. - Uśmiechnął się półgębkiem. Tymczasem po dwóch tygodniach przestała mnie rajcować nawet w łóżku. Właściwie już następnego dnia po naszej ucieczce wiedziałem, jak bardzo się pomyliłem. Zaraz po przebudzeniu przywitałem ją: „Dzień dobry, Cassie!”, a ona mi na to: „Nie nazywaj mnie tak, bo to strasznie pospolite!”

Matt wziął dwa głębokie oddechy, żeby mieć siły na ciąg dalszy.

- Ona po prostu nie potrafiła zrozumieć, że nie stać mnie na opłacenie jej uczestnictwa w ekskluzywnym klubie jeździeckim czy członkostwa w Country Clubie. Jej ojciec wiedział o tym, ale z góry zastrzegł: „Tak jej mocno pragnąłeś, więc teraz ją masz”. - Przez chwilę patrzył gdzieś w bok, potem uśmiechnął się do Bailey i mówił dalej: - Głupio mi mówić o takich rzeczach kobiecie, zwłaszcza kobiecie, którą lubię takjak ciebie, ale prawda była taka, że uganiałem się za Cassandrą głównie z powodów materialnych. Oczywiście, wobec jej ojca byłem gotów zgrywać bohatera i zaklinać się, że kocham jego córkę, a nie jego pieniądze. Po cichu jednak oblizywałem się na myśl o prezencie ślubnym od niego w formie jakiegoś miłego domku (rzecz jasna, według mojego projektu) z kilkoma akrami dobrze uprawionej ziemi. Miałem też nadzieję, że rozpowie wśród swoich nadzianych znajomych, jakim to jego zięć jest zdolnym architektem i że-

by tylko jemu zlecali projekty swoich willi. Tymczasem od tego starego dusigrosza nie dostałem nawet toster. Ucisnął mi prawicę - i było po wszystkim.

Matt roześmiał się serdecznie. Najwyraźniej ulżyło mu, że mógł się z tego komuś zwierzyć.

- Prawdę mówiąc, byłem przekonany, że rodzice Cassandry chcieli się jej za wszelką cenę pozbyć z domu. Dawali jej wszystko, o czym zamarzyła, i w rezultacie wychowali pięknego potwora. Zamiast poświęcać jej więcej czasu, kupowali jej kosztowne prezenty, nic zatem dziwnego, że oczekiwała tego samego ode mnie. Według niej, jeśli ją naprawdę kochałem, nie powinienem niczego jej odmawiać, a wyciągi z mojego konta do niej nie przemawiały.

- Dlaczego zaraz się z nią nie rozwiodłeś?

- Byłem na to zbyt dumny. Nie darmo przechwalałem się na prawo i lewo, że ją zdobędę. Do śmierci nie zapomnę kpiącego uśmiešku ojca Cassandry, kiedy powiadomiła go o naszym ślubie. To dopingowało mnie do pracy, nawet ponad siły, byleby dorabiać się coraz większych pieniędzy, bo tylko one imponowały mojemu dostojnemu teściowi.

Zrobił krótką przerwę, po czym ciągnął dalej:

- Chyba nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale przez cały czas moich starań o Cassandrę w wyobraźni widziałem się przy jednym stole z jej ojcem. Pewnie dlatego, że moja matka pochodziła z „dobrej” rodziny... - tu rzucił Bailey ironiczny uśmiešek - wiedziałem, jaki widelec podaje się do ostryg, a jaki nóż do ryb, i tym podobne rzeczy... Nie wiem, jak mogłem być taki naiwny, ale roiło mi się, że któregoś dnia teściu palnie mi mówkę: „Myślałem, że moja córka popełniła mezalians, ale teraz widzę, że jesteś jednym z nas!”

Bailey wiedziała, że chciał ją tym rozśmieszyć, ale podobne historie wcale jej nie bawiły. Zbyt często sama stawała się obiektem kpin i upokorzeń. Jimmie traktował tak samo króla jak i śmieciarza, a że zarówno jednemu, jak i drugiemu zależało na jego pieniądzech - zachowywali się wobec niego

z szacunkiem. Na nią jednak patrzyli z góry, nieraz rzucając pod nosem uwagi w rodzaju: „Jak James Manville mógł się ożenić z takim tłumokiem?”

- A wiesz, co było dalej? - Matt kontynuował swą opowieść. - Kiedy podjechaliśmy pod dom jej rodziców, aby ich poinformować, że Cassandra wyjeżdża ze mną, siedzieli akurat przy kolacji. I kogo ja widzę? Obok teścia przy stole siedział Carter. Tak jak przedtem, on był w środku, a ja na zewnątrz. Czyli nic się nie zmieniło.

- Nie zrobiło się im nawet przykro, że ich jedynaczka się wyprowadza?

- Nie wyglądali na specjalnie zmartwionych - wzruszył ramionami Matt. - Teraz, kiedy sięgam myślą wstecz, przypuszczam, że nie wierzyli, aby nasze małżeństwo miało długo trwać. Liczyli, że rozwiedziemy się po kilku tygodniach, a wtedy będą mogli udawać, że nic takiego się nie zdarzyło.

- Więc chciałeś im udowodnić, że się mylą? - podsunęła Bailey.

- Mniej więcej, ale przede wszystkim chciałem dowieść, że nie jestem takim idiotą, za jakiego mnie uważają. Jeżeli nie przewyższałem ich klasą, chciałem przynajmniej przelicytować ich na polu pracy. Obdzwaniałem wszystkie firmy, dla których kiedyś pracowałem, z pytaniem, czy nie mają dla mnie zleceń. Kiedy to nie odnosiło skutku, błagałem, żeby dali mi jakąś robotę!

Trudno mu było znaleźć słowa, aby opisać lata katorżniczej pracy i rezygnacji z życia prywatnego za cenę zarobienia jak największych pieniędzy! Chciał stworzyć Cassandrze takie warunki życia, do jakich była przyzwyczajona, z wielkim domem i ekskluzywnymi klubami, podczas gdy dla siebie zostawił tylko płacenie rachunków i stres.

- Więc co spowodowało, że zmądrzałeś i rzuciłeś ją?

- Zawał - zaskoczył ją Matt. - To znaczy mnie się wydało, że to był zawał, bo w szpitalu orzekli tylko, że miałem niestrawność, i że bym nie zwracał im głowy. W każdym razie wystraszyłem się na tyle, aby zacząć poważnie zastana-

wiać się nad swoim życiem. Wróciłem do domu wcześniej niż normalnie, a tu...

- Co takiego?

- Zastałem Cassandrę i Cartera razem w wannie, nago. W pierwszej chwili nie przyszło mi na myśl nic innego, tylko przypomniałem sobie, ile zapłaciłem za tę wannę, choć nie miałem czasu z niej korzystać. Nagle, ni z tego, ni z owego, zacząłem się śmiać. Poczułem bowiem ogromną ulgę, że teraz będę mógł rozstać się z nią bez poczucia winy. Powiedziałem coś w rodzaju: „No proszę, myśmy też od tego zaczęli”, a na to Carter: „Słuchaj, Longacre...”

„Proszę sobie nie przeszkadzać - przerwałem mu. - Niech pan się czuje jak u siebie w domu!” Odwróciłem się na pięcie i wyszedłem, ale za plecami usłyszałem, jak Cassandra zapewnia kochanka: „Nie przejmuj się nim. On na pewno wróci, bo mnie ubóstwia”. A ja dopiero wtedy poczułem się naprawdę wolny!

Potem Matt opowiedział Bailey jak rozstał się ze swoją potężną firmą, sprzedał wszystko, co posiadał, spłacił długi, połowę pozostałych pieniędzy oddał Cassandrze i wrócił do Calburn.

- I co teraz? - spytała Bailey oględnie.

- Przede wszystkim chcę odnaleźć siebie. Przeprowadziłem już pobeżny rachunek sumienia i zdałem sobie sprawę, że jedną z przyczyn mojego przywiązania do Cassandry była silna potrzeba posiadania normalnej rodziny. Mój brat i ja wychowaliśmy się bez ojca, a było to w czasach, kiedy ludzie litowali się nad takimi dziećmi.

- No dobrze, znalazłeś się tutaj i co dalej? - nagabywała Bailey.

- Nie jestem jeszcze całkiem pewien, ale chyba zaczyna mi kiełkować jakiś pomysł.

Znów spotkały się ich spojrzenia i po raz drugi tego dnia Bailey cofnęła się, chociaż nie wiedziała, dlaczego.

- Chcesz jeszcze placka? - zmieniła temat, wstając od stołu. Sama nie rozumiała, co się z nią właściwie dzieje. Dlacze-

go odrzucała niedwuznaczne propozycje tak przystojnego mężczyzny?

- No więc co dziś robimy? - spróbował z innej beczki Matt. - Mamy niedzielę, więc może jest coś, co sprawiłoby ci przyjemność?

- Owszem, chciałabym polecieć do Indii, żeby jeszcze raz zobaczyć mauzoleum Tadź Mahal. - Potraktowała to jako żart, ale Matt nie śmiał się, tylko wpatrywał w nią tak uporczywie, że odwróciła oczy. Zaraz też poprawiła się: - Naprawdę to chciałabym popracować jeszcze nad tą werandą i doprowadzić kuchnię do porządku.

- To się da zrobić - obiecał Matt, ale wciąż nie spuszczał z niej oczu.

## 11

*Sześć tygodni później...*

Bailey mieszała sałatę w drewnianej misie i krytycznie przypatrywała się jej zawartości. Nie żeby jej nie smakowała - była świeża, a poza tym zawierała cząstki mandarynek z puszki i cienkie płatki migdałów. Do picia zamówiła mrożoną herbatę z sokiem malinowym. W sumie lunch nie był więc zły, ale jakoś jej nie interesował.

Tym, co odbierało jej apetyt, była prawdopodobnie broszura reklamowa agencji obrotu nieruchomości. Reklamowany tam obiekt został jednak sprzedany przed dwoma dniami. Tak przynajmniej poinformował ją agent, kiedy godzinę temu dowiadywała się o to.

Bailey jadła ten późny lunch sama, siedząc w boksie przytulnej restauracyjki w Welborn. Zastanawiała się jednocześnie nad swoim obecnym stanem ducha, który Jimmie określiłby:

- Jesteś mi jakoś dziwnie niespokojna, Piegusku!

Jimmie zaraz znalazłby radę na ten niepokój, zabierając ją w jakieś miłe miejsce. Teraz jednak nie miała ani Jimmiego, ani pieniędzy na wycieczkę.

Ulotka reklamowa była opatrzona kolorowym zdjęciem sklepu, który mieścił się o troje drzwi dalej od restauracji, w której akurat siedziała. Nie imponował rozmiarami ani wyposażeniem, ale zarówno ona, jak też Janice i Patsy zdały już polubić ten lokal, nawet bardzo. Cóż więc się stało?

Pięć i pół tygodnia temu Patsy zadzwoniła do Bailey i zaproponowała jej wspólny wyjazd do Welborn. Bailey zgodziła się, bo i tak nie miała nic lepszego do roboty - Matt pracował na budowie, a ona zapełniła już całą spiżarnię słoikami i butelkami swoich konfitur, marynat i nalewek. Jej poszukiwania śladów przeszłości Jimmiego spełzły na niczym - wyszukiwarka internetowa zwróciła jej pustą kartkę. Okazało się bowiem, że transakcji kupna i sprzedaży dokonano wcześniej, zanim komputerowe banki danych zaczęły gromadzić informacje.

Patsy wjechała w uliczkę prowadzącą do domu Bailey, której wcale nie zdziwiło, że na tylnym siedzeniu samochodu rozpierała się Janice. Bailey miała na końcu języka pytanie, w jaki sposób Patsy zaproponowała Janice, że ją podwiezie, ale w końcu nie zapytała o to.

W ciągu pół godziny jazdy do Welborn wszystkie panie prowadziły ożywioną rozmowę. Bailey dowiedziała się dzięki temu więcej szczegółów z ich życia, starając się przy tym jak najmniej ujawniać z własnego życiorysu.

Welborn, zgodnie z oczekiwaniami Bailey, okazało się dobrze prosperującym miasteczkiem, nastawionym na turystów i zaopatrywanie bogatych klientów. Podczas spacerującego ulicami Bailey doszła do wniosku, że w gruncie rzeczy dobrze się stało, iż autostrada ominęła Calburn. Opustoszałe miasteczko zachowało mimo wszystko życie, którego w Welborn zabrakło.

- Najlepiej by było, gdyby ludzie mogli mieszkać w Calburn, a pracować w Welborn - skostatowała, przechodząc obok sklepu z kryształami i książkami o New Age.

- Właśnie, w ten sposób byłoby ich stać na remont starych domów— zawtórowała jej Patsy.

- Nie, to Calburn potrzebuje przedsiębiorstwa, które dałoby pracę kobietom! - sprzeciwiła się Janice z takim rozgoryczeniem w głosie, że Bailey zmierzyła ją krytycznym wzrokiem.

Może jednak jej słowa dały im wszystkim do myślenia, gdy dziesięć minut później zobaczyły mały sklepik z upominkami, na którego szybie widniała nalepka: „Do sprzedania”. Nie skomentowały tego faktu od razu, ale kiedy wstąpiły na lunch do tej samej restauracji, gdzie Bailey siedziała teraz - nie rozmawiały już na żaden inny temat poza tym. Janice i Patsy zajęły miejsca po tej samej stronie boksu, by nie musiały patrzeć sobie w oczy. Bailey usiadła naprzeciwko nich.

Janice, nie podnosząc oczu znad laminowanej karty menu, pierwsza zaczęła rozważać ten problem:

- Gdybyśmy miały sklep, mogłybyśmy sprzedawać twoje wyroby - zwróciła się do Bailey.

Wjednej chwili wszystkie trzy kobiety zaczęły mówić jednocześnie. Janice i Patsy nie nawiązywały ze sobą kontaktu wzrokowego, ale i tak można było powiedzieć, że rozmawiały każda z każdą.

- Mogłabym wyrabiać ładne pamiątki - zaproponowała Patsy. - Potrafię uszyć wszystko.

- Już wiem, koszyki upominkowe! - wpadła na pomysł Janice. - To mogłaby być nasza specjalność. Do każdego można by włożyć po kilka słoików dżemu i galaretek...

- I to, co Patsy uszyje - uzupełniła Bailey. - Znałam kiedyś bardzo bogatą kobietę, która najbardziej ucieszyła się, kiedy dostała od męża w prezencie małego smoka z wyhaftowanym jej imieniem. Twierdziła, że sprawił jej tym drobiazgiem większą radość niż brylantami.

- Pewnie ofiarował jej te brylanty, bo czuł się winny - zauważyła Patsy.

- Rzeczywiście, tak właśnie było! - potwierdziła Bailey i wszystkie trzy panie wybuchnęły śmiechem.



Pomysł nabycia małego sklepu w miejscowości uczęszczanej przez turystów z każdą chwilą coraz bardziej im się podobał. Nic dziwnego, wszystkie trzy dysponowały wolnym czasem, i to w nadmiarze. Wprawdzie Janice miała dwie małe córeczki, ale mieszkała razem z teściową, a dziewczynki chętnie przebywały zarówno z babcią, jak i z mamą. Co prawda, kiedy Janice obwieściła to koleżankom, Bailey dostrzegła w jej oczach ten sam dziwny błysk, jaki zauważyła podczas zwiedzania domu Patsy. I wtedy, i teraz nie wiedziała jednak, co może on oznaczać. Równie dobrze mogła to być złość, jak i poczucie klęski.

Po lunchu wspólniczki zaczęły omawiać sprawy finansowe. Wróciły do wybranego sklepu, weszły do środka i zaczęły sobie wyobrażać, jak go przemeblują. Chwilowo sklep ten, jak wiele innych w Welborn, nie specjalizował się w określonym asortymencie, oferując wszystkiego po trochu. Można tam było dostać na przykład koszulki z nadrukiem „Welborn, Wirginia”, świece lub tanie zabawki. Aktualna właścicielka oprowadziła potencjalne nabywczynie po lokalu. Stwierdziły, że jest tam przeszklone pomieszczenie do ekspozycji towaru i zaplecze złożone z trzech pokoi, które można wykorzystać na pracownię, biuro lub magazyn.

- Kiedyś mieściła się tu kwaciarnia - wyjaśniła właścicielka.

Otworzyły jeszcze tylne drzwi i pokazała im rozległy parking. Mrużąc oczy w oślepiającym świetle słońca, reflektantki zrozumiały, że znalazły się w punkcie zwrotnym. Miały do wyboru: albo wrócić do domów i zapomnieć o wszystkim, albo pójść dalej tym śladem.

Pierwsza podjęła decyzję Janice.

- Przede wszystkim musimy sprawdzić, czy nie miałybyśmy tutaj konkurencji - zarządziła. - Bo jeśli ktoś już tu sprzedaje kosze upominkowe, to wątpię, czy wystarczyłoby klientów dla dwóch sklepów tej samej branży. Poza tym któraś z nas musi skontaktować się z pośrednikiem obrotu nieruchomościami i zacząć negocjacje cenowe, no i trzeba do-

wiedzieć się, jak wygląda rozruch takiego sklepu, jeśli rzeczywiście chcemy to robić.

Wspomnienie tamtego popołudnia przywoływało uśmiech na twarz Bailey. Rzeczywiście, Janice, niby sierżant prowadzący musztrę, wydawała rozkazy, a ona i Patsy, trzaskając obcasami, stawały na baczność i od razu wiedziały, jaki dostał się im przydział. Patsy wyruszyła na zwiad, by rozejrzeć się, czy w okolicy działają już podobne sklepy; Bailey udała się do miejscowej biblioteki, by poszukać źródeł informacji; Janice natomiast wzięła na cel biuro nieruchomości, by porozmawiać o cenie.

Po raz drugi tego dnia spotkały się o szóstej po południu. Każda miała już mnóstwo informacji, którymi chciała się podzielić z koleżankami. Patsy powiozła je do Calburn, zatrzymując się po drodze w supermarkecie, aby zrobić zakupy. Nawet gdy pchały swoje wózki między regałami w hali, usta im się nie zamykały.

Po powrocie do domu takim samym potokiem wiadomości zalały swoich partnerów. Janice pochwaliła się Scottowi, że ma zamiar prowadzić rachunki nowo powstającej firmy Patsy poinformowała Ricka, że obejmie stanowisko dyrektora artystycznego spółki, a Bailey zwierzyła się Mattowi, że rozgląda się już za pomieszczeniem, które mogłoby służyć za kuchnię do przygotowywania większych ilości wyrobów.

- Nie wiemy, jak nazwać naszą firmę - skarżyły się wszystkie trzy. - Może masz jakiś pomysł?

Teraz Bailey przeglądała ulotkę reklamową w tym samym boksie, w którym z Janice i Patsy omawiały rozruch nowej firmy. Tyle tylko, że sklep tymczasem został sprzedany, ale nie kupiła go żadna z nich.

Co mogło się stać? Przecież wtedy, wracając do domu, były w różowych humorach. Bailey po raz pierwszy od dłuższego czasu śmiała się głośno i żartowała: „Proszę, co baby potrafią wymyślić z nudów!”

Wieczorem wydzwaniały do siebie nawzajem, przy czym telefon Bailey dzwonił dwa razy częściej, bo Patsy i Janice

nie kontaktowały się ze sobą, Bailey musiała więc pośredniczyć w przekazywaniu wiadomości.

Pierwszego dnia także panowie zachowali się przykładowo. Matt podjął się wyremontowania i przeróbki lokalu; Scott zadeklarował udostępnienie dwóch samochodów typu van, zaledwie dwuletnich; Rick, właściciel trzech stacji obsługi, który - według słów Patsy - potrafił naprawić wszystko na świecie, miał zapewnić bezpłatne paliwo i serwis. Synowie Patsy, choć może niekoniecznie z dobrej woli, mieli dostarczać klientom zamówione kosze.

W ciągu tamtego tygodnia życie Bailey nabrało więc nowego tempa i rumieńców. Przyjmowała i odbierała telefony, umawiała się na rozmowy, wyszukiwała niezbędne informacje w książkach i na stronach internetowych. Z pomocą Matta w rekordowo krótkim czasie nauczyła się korzystać z Internetu, choć nie znała jeszcze innych funkcji komputera.

W następnym tygodniu zaszły pewne zmiany. Janice zadzwoniła w poniedziałek rano, aby przeprosić Bailey, że chwilowo nie będzie mogła zajmować się rozruchem sklepu. Jej mąż, Scott, miał bowiem kłopoty z urzędem skarbowym i potrzebuje teraz jej pomocy, gdyż -jak twierdzi - ufa tylko jej. Z kolei Patsy dwa dni później obchodziła urodziny i dostała od Ricka w prezencie maszynę do szycia sprzężoną z komputerem, przystosowaną do haftowania zaprogramowanych motywów. Pochłonięta nową zabawką, Patsy oczywiście nie miała czasu ani ochoty na rozmowy o sklepie.

Jednakże największą niespodziankę zrobił Bailey w sobotę rano Matt. Jego dawna firma zwróciła się do niego z propozycją opracowania projektów domów, reklamowanych następnie na ich stronie internetowej. Jasne, że projekty przeprowadzane w przeszłości za pośrednictwem katalogów musiały wyglądać blado w porównaniu z ofertą Internetu. Klienci mieli teraz o wiele większe możliwości wyboru.

- I co o tym myślisz? - zagadnął Matt Bailey, która akurat przebywała w kuchni, ale humor miała kiepski. Zawiodła się na Janice i Patsy, które wystawiły ją do wiatru. Spodziewała

się, że spędzą ten dzień na omawianiu planów rozwoju nowej firmy gdy tymczasem Patsy próbowała wyhaftować na koszuli syna motyw słonia przekalkowany z dziecinnej książeczki, a Janice sprawdzała dokumentację finansową Scotta sprzed ośmiu lat.

Wystarczyło, że Bailey rzuciła okiem na szkic podsunęty jej przez Matta, a już stwierdziła:

- Kuchnia jest do niczego!

Wygłosivszy ten sąd, z impetem zamieszała perkoczącą w rondelku na płycie zupe bazyliową.

- A cóż ci się w niej nie podoba? - zdziwił się Matt. - Ten projekt nazywa się „Kuchnia dla konesera”, czyli w sam raz coś dla ciebie.

- Dlaczego wy, mężczyźni, nawet w sprawach kuchni uważacie się za koneserów? - zaatakowała go Bailey.

- Czym sobie zasłużyłem na to krzywdzące uogólnienie?

Bailey wiedziała, że zastosowała chwyt poniżej pasa, ale czuła żal do mężczyzn, ponieważ to oni odwiedli Janice i Patsy od uczestnictwa we wspólnym planie trzech kobiet. Ponieważ jednak nie odpowiadała na pytanie zadane wprost, Matt postanowił inaczej je sformułować.

- A potrafiłabyś zaprojektować lepszą kuchnię?

- Z zamkniętymi oczami - rzuciła przez zaciśnięte zęby. Matt bez wahania podsunął jej więc arkusz kratkowanego papieru. Po dziesięciu minutach siedzieli już razem nad odbitką planu i Bailey nanosiła na projekt kuchni swoje poprawki.

Matt tak się zapalił do tej pracy, że myślał już o wydaniu własnego katalogu projektów i założeniu strony internetowej. Plan miał szansę powodzenia, gdyby udało mu się nawiązać współpracę z większym biurem projektów, takim na przykład jak „Home Planners”. Mógłby w ten sposób zarabiać na życie, co umożliwiłoby mu pozostanie w Calburn. Zaproponował nawet Bailey, żeby przystąpiła do spółki z nim jako projektantka kuchni.

- Lillian?

- Słucham? - rzuciła machinalnie Bailey, nie odrywając oczu od ulotki.

- To ty, prawda? Od razu wydawało mi się, że już cię gdzieś widziałam, tylko nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie. Pewnie przyjechałaś tu na kurację, podobnie jak ja? Pamiętaj, proś zawsze o Andre, to wspomniały masażysta.

Bailey z przerażeniem wpatrywała się w kobietę, która zjawiała się nagle przed nią jak upiór z przeszłości. Do jej boksu wśliznęła się bowiem i usiadła na przeciwległej ławce Arleen Browne-Thompson, znana także jako baronowa von Lindensale.

- Przykro mi, ale pani na pewno wzięła mnie za kogoś innego! - wyjąkała Bailey. - Nie jestem...

- A pewnie, pewnie! - wpadła jej w słowo Arleen. - Wyglądasz rzeczywiście świetnie. Musiałaś chyba zgubić ze czterdzieści kilogramów, albo i więcej... No i, chwała Bogu, nareszcie zrobiłaś coś z tym nosem. Musiał to być chyba skomplikowany zabieg!

Bailey wpatrzyła się w tę dziwną kobietę wytrzeszczonymi oczami, a w jej głowie kłębiły się przerażające obrazy konsekwencji tego spotkania. Wystarczy, że Arleen sprzeda tę sensację jakiejś brukowej gazecie, a już nazajutrz przed domem Bailey będzie koczował tłum dziennikarzy. A jeśli ona...

- Co się tak na mnie gapisz? - Arleen zdawała się czytać w jej myślach. - Nie mam zamiaru rozgłaszać twoich tajemnic. Jeśli lubisz chodzić między ludźmi ubrana jak... no, tak jak teraz - Arleen zabrakło widać słów na określenie bawełnianych spodni i koszulki Bailey - to twoja sprawa. Zresztą ty także wiesz to i owo o mnie.

Arleen okrasiała tę wypowiedź złośliwym śmiechem, więc Bailey korciło, żeby jej przyciąć: „Ale nie jest to nic takiego, za co ktoś by zapłacił ciężkie pieniądze!” Dwa razy bowiem przyłapała Arleen w niedwuznacznej sytuacji z młodymi pracownikami Jimmiego. Kiedy mu o tym opowiedziała, ry-

czał ze śmiechu: „A niech sobie użyje, stara wiedźma! Przecież ona jak nic ma ze sto dwadzieścia lat na karku!”

Arleen rzuciła na blat stolika torebkę od Gucciego i zaczęła w niej szperać. Tak jak Bailey przypuszczała - szukała papierosa. Krążyły o niej nawet żarty, że może obywać się bez jedzenia, ale nigdy - bez papierosów i alkoholu. Nic dziwnego, że ciało i skórę miała wysuszone jak mumia.

- No więc opowiedz mi o wszystkim - zażądała Arleen, zapalając papierosa.

- Ale to jest sala dla niepalących! - oponowała nieśmiało Bailey.

- Dopiero co przespałam się z właścicielem, więc nas nie wyrzuci! - palnęła bezceremonialnie Arleen, ale zaraz ryknęła śmiechem na widok miny Bailey. - Że też ty zawsze musisz tak brać wszystko do serca! Skądże, nie spałam z tym starym dziadem, ale jest trzecia, a ci wasi Amerykanie o pierwszej zjadają lunch i w dyrdy gonią do roboty!

Nawiasem mówiąc, Arleen pochodziła z Teksasu, o czym Bailey doskonale wiedziała. Uwielbiała jednak uchodzić za „obywatelkę świata” -jak to określała.

- No, opowiadaj, szybko! - ponaglała.

- Nie mam zamiaru niczego pani opowiadać - oświadczyła Bailey i z satysfakcją zauważyła, że wyskubane brwi Arleen uniosły się ze zdziwienia.

- To może chcesz, żebym ci powiedziała, co się stało z twoimi przyjaciółmi?

- Ma pani na myśli tych, którzy dzwoniли do mnie po śmierci Jimmiego i wciskali, jak bardzo mi współczują?

- Niech ja skonam! - Arleen wydała zdziwiony okrzyk i przyglądała się Bailey badawczo przez kłęby dymu. - Skąd ci się nagle wziął taki ostry język? Dawniej siedziałaś w kącie jak trusia i ani mru-mru!

- Chyba już pójdę. - Bailey chwyciła torebkę.

- Lepiej siedź, bo każę mojemu kierowcy jechać w ślad za tobą. A on dawniej był agentem FBI!

- No więc czego chcesz ode mnie? - spytała Bailey, siadając.

- Tego, dzięki czemu tak ślicznie wyglądasz i tak się złościsz.

- Wcale się nie złościę! - odwarknęła Bailey, ale rozejrzawszy się po prawie pustej restauracji, dodała ciszej: - Nie wiem, na jakiej podstawie pani tak sądzi.

- Zobaczmy. Byłaś żoną faceta, który przez całe życie uganiał się za spódniczkami, a kiedy umarł - zostawił ci guzik z pętelką. A teraz...

Bailey znów sięgnęła po torebkę, lecz Arleen przytrzymała ją za nadgarstek.

- Dobrze już, przepraszam. Nie musimy mówić o tym, co ci zrobił.

- Masz rację, Arleen, bo przecież w ogóle nie musimy rozmawiać. - Bailey już prawie wstawała, Arleen jednak ścisnęła jej nadgarstek mocno jak w imadle. - A czego ty właściwie ode mnie chcesz?

- Czy to prawda, że Jimmie nic ci nie zostawił?

- Aha, rozumiem. Chodzi ci o pieniądze?

- No cóż, każdy ma jakieś potrzeby - wzruszyła ramionami Arleen. Kiedy Bailey nadal jednak nie zajmowała swego miejsca, jej głos ścichł i przybrał błagalny ton. - Proszę cię, usiądź i porozmawiaj ze mną! Tak mi brak Jamesa! I obiecuję, nie będę już więcej z ciebie żartować!

Bailey wiedziała, że powinna zabrać się i pójść stąd, ale coś ją powstrzymywało. Przypominała sobie, że Arleen zawsze kręciła się koło Jimmiego, który uważał jej wyzywające zachowanie za szalenie zabawne, a poza tym - przyznawał - ona zna, kogo trzeba.

- Dobrze, więc o czym będziemy rozmawiać? - Bailey powoli usiadła na swoim miejscu.

- Przede wszystkim o tobie - zapowiedziała Arleen. - Muszę wiedzieć, jak to zrobiłaś, że tak ładnie wyglądasz. Dawniej, kiedy byłaś z Jamesem, wyglądałaś okropnie.

- Dzięki. Ty też nie wyglądałaś lepiej.

Arleen oparła się o ściankę boksu, zaciągnęła się papierosem i spojrzała na Bailey badawczo.

- Jesteś zła. Zawsze byłaś taka czy coś się stało?

- Nie jestem zła... - zaczęła Bailey ale bezsilnie opadła na oparcie.

- Może to wpływ twojego nowego męża? - badała dalej Arleen.

- A na jakiej podstawie sądzisz, że mam nowego męża?

Arleen zaśmiała się sucho. Nie mogła śmiać się zbyt długo i głośno, bo płuca miała tak przesycone dymem papierosowym, że gdyby zaczęła kaszleć - nie mogłaby przestać.

- Bo ty, droga Lillian, jesteś stworzona na żonę - oświadczyła. -A teraz chyba czekasz, kiedy zostaniesz matką. Nieraz zastanawialiśmy się, jak ty w ogóle żyłaś, zanim pojawił się James. Bandy - pamiętasz go? - wiecznie powtarzał, że byłaś chyba duchem, którego James wywołał. Albo zapłacił jakiejś kapłance wudu, żeby mu wyczarowała kobietę, jaką tylko taki prymityw jak James mógł uważać za dobrą żonę.

Bailey patrzyła na tę kobietę z przerażeniem. Owszem, nieraz słyszała szepty za swoimi plecami i widziała ukradkowe spojrzenia, ale nikt nigdy nie ośmielił się powiedzieć jej czegoś podobnego w oczy.

- Mów, mów dalej - usłyszała własny głos. - Co jeszcze Bandy o mnie powiedział?

- Och, kochanie, wiesz przecież, jaki z niego był kawał drania! Płótno jeszcze takie różne głupstwa, że tylko zupełna idiotka może być żoną miliardera, a równocześnie wekować wiśnie w butelkach. Mówił, że mogłaś mieć wszystko, ale tak naprawdę marzyłaś, żeby James Manville cię wchłonał, choć właściwie to on tego chciał. Najlepszy dowód to te czekoladki, które ci posyłał, kiedy udało ci się trochę schudnąć.

- Czekoladki przysyłali nam ludzie, którzy chcieli się za coś odwdziaczyć... Tak mówił Jimmie... - Głos Bailey zawiśł w próżni, ponieważ Arleen patrzyła na nią takim wzrokiem, jakby chciała powiedzieć: „Jak możesz być taka naiwna?”

- Bandy raz był przy tym, kiedy Jimmie zamawiał te cze-



koladki. Zdziwił się nawet: „A myślałem, że Lillian stosuje dietę?” James tylko się roześmiał, ale znasz Bandy'ego - kiedy raz czegoś się uczepli, to nie popuści. Wiercił Jamesowi dziurę w brzuchu, dopóki nie wyciągnął z niego, dlaczego chciał, żebyś była gruba. James przyznał się w końcu, że wcale nie chciał mieć pięknej żony. Pamiętam dokładnie tę noc. Byliśmy wtedy na jachcie Jimmiego, tym dużym, jak też on się nazywał?

- Lillian" - wycodziła Bailey przez zaciśnięte zęby. Z jednej strony nie chciała już słuchać więcej słów tej kobiety; a z drugiej - coś przykuwało ją do miejsca.

- Co jeszcze Jimmie powiedział o mnie?

Arleen odpaliła następnego papierosa od poprzedniego.

- To była jedna z tych nocy, które zaczynały się dopiero, kiedy ty kładłaś się wcześniej spać. Ty zresztą zawsze kładłaś się z kurami, nieprawdaż, kochanie? Jednym z powodów, dlaczego ludzie nas nie lubią, jest to, że nawet nie próbujemy ukryć tego, że nimi po prostu gardzimy.

- Wam wszystkim chodziło tylko o pieniądze Jimmiego.

- Zgadza się, kochanie, pragnęliśmy jego pieniędzy, za to ty pragnęłaś jego duszy. Powiedz mi teraz, co jest cenniejsze.

Bailey nie miała ochoty odpowiadać na tę jawną prowokację.

- Lepiej ty mi powiedz to, co tak koniecznie chcesz mi powiedzieć! - warknęła.

- Boże, co za wrogość! Gdybym o tym wiedziała, może byśmy się wcześniej zaprzyjaźniły? - Arleen zachichotała na samą myśl o czymś podobnym. - Tamtej nocy wszyscy za dużo wypiliśmy i wtedy Bandy wpadł na pomysł, żeby podpuścić Jamesa, aby zdradził nam przepis na szczęśliwe małżeństwo. Pewnie wiesz o tym, ale twoja osoba dla nas stanowiła zwykle temat tabu. W obecności Jamesa nie wolno nawet było wspominać twojego mienia. Tej nocy jednak James sam zaczął mówić. Może był pijany, a może humor poprawiła mu ta gwiazdka filmowa o rudych włosach i z serduszkami wytatuowanymi na ramieniu? Kiepska

z niej była aktorka, ale urodą zbijała z nóg. Zaraz, jak ona się nazywała?

- Chloe - wyszeptała Bailey.

- O właśnie, Chloe. - Arleen zdusiła jednego papierosa i zapaliła drugiego. - W każdym razie Jamesowi rozwiązał się język. Zwierzył się nam, że klucz do sukcesu leży w tym, żeby wybrać odpowiednią dziewczynę. Pamiętam wyraźnie - powiedział „dziewczynę” nie „kobietę”. Taką, która sama nic nie posiada, nie jest przez nikogo kochana i nie ma ambicji, aby zostać kimś. James określił to jako „pustą butelkę, która tylko czeka, żebyś ją napełnił swoją miłością, bo dla niej tylko to się liczy”.

Arleen przerwała, aby głęboko zaciągnąć się papierosem.

- Znałaś dobrze Jamesa, więc na pewno wiesz, że kiedy się raz rozgadał — trudno mu było przestać. Zwykle nie mówił wiele o sobie, ale Bandy potrafił wszystko z niego wyciągnąć. Teraz też powołał się na inny przypadek. „Weźmy na przykład...” No, jak ona się nazywała? Ta włoska modelka, która z nim była przed Chloe?

- Senta - wyszeptała Bailey.

- Tak, to o niej właśnie mówił. „Weźmy na przykład Sentę. Co z niej byłaby za żona? Za piękna, za ambitna i zakochana tylko w sobie. Na mnie nie starczyłoby jej miejsca. Takie kobiety nadają się do tego, aby ich używać zgodnie z przeznaczeniem, a kiedy się nam znudzą - rzucić”. Bandy mu na to odpowiedział: „Ale nie Lillian!” I powiem ci, że wszyscy wtedy wstrzymaliśmy oddech. Znasz przecież charakter Jamesa. Mógł przez całe lata tolerować przy sobie kogoś, kto go zwyczajnie wykorzystywał, ale wystarczył jeden fałszywy krok, by nie chciał tego kogoś więcej widzieć, rozmawiać z nim ani - co gorsza - płacić jego rachunków!

- I co Jimmie powiedział o mnie? - spytała Bailey ledwo dosłyszalnym głosem.

- Że co do ciebie jest pewien, iż nie kochasz nikogo oprócz niego. Powiedział, że gdybyś zaczęła się nudzić i chciała zająć się czymś konkretnym, wywoźłby cię szybko

wjakiś nowe miejsce. Aha, i powiedział jeszcze coś takiego: „Cały problem z Lillian polega na tym, że jest za sprytna. Wygląda, jakby do trzech nie potrafiła zliczyć, ale nie macie pojęcia, że kiedy wy jeszcze smacznie śpicie, ona już odbywa konferencję z kucharzami, ogrodnikami czy mechanikami. Urządza im burzę mózgów, bo ciągle chce się uczyć czegoś nowego”. „Co z tego, kiedy i tak nie wykorzystuje tej wiedzy w praktyce?” - zaproponował Bandy, ale James tylko się roześmiał i podchwycił: „Widzisz, o to właśnie chodzi! Jeśli ożenisz się z głupią kobietą, musisz się z nią mordować całe życie. Natomiast sprytna kobieta w dzisiejszych czasach tylko się rozgląda, w czym mogłaby z tobą konkurować”. „W życiu zawodowym: tak - zgodził się Bandy. - Ale chyba nie sądzisz, że Lillian mogłaby stanowić dla ciebie jakiegokolwiek zagrożenie”. „Na pewno nie, jeśli chodzi o pieniądze, ale kariera zawodowa mogłaby spowodować, że nie poświęcałaby mi każdej myśli!” „Aha, to dlatego pozbyłeś się tego faceta od Heinza!” - zorientował się Bandy.

Arleen na chwilę przerwała potok wymowy, aby spojrzeć na Bailey.

- Pamiętasz, gościł wtedy u was przedstawiciel Heinza, załatwił jakieś sprawy z Jamesem. Chyba mieszkaliśmy wtedy na wyspie Antigua?

- Nie - zaprzeczyła słabym głosem Bailey. - To był zamek w Szkocji.

- Aha, ten, gdzie było ci tak zimno, że mogłaś wytrzymać tylko w kuchni, urządzonej - nawiasem mówiąc - za sto tysięcy dolców? Wszyscy i tak wiedzieliśmy, że przesiadywałaś tam, by uniknąć naszego towarzystwa!

- Dobrze, więc co tu ma do rzeczy ten facet od Heinza? - Bailey nie była w stanie spojrzeć w oczy Arleen.

- Wystarczyło, że spróbował twoich dżemów, a już chciał zwerbować cię do pracy w swojej firmie. Oczywiście, James na to nie pozwolił. Oficjalnie rozgłaszał, że nie zależy ci na pracy zawodowej, ale Bandy za jego plecami dodawał, że powinno ci zależeć tylko na nim. Pamiętasz, co się wtedy działo?

Bailey siedziała ze spuszczoneymi oczami, bo sama poprosiła wtedy Jimmiego, aby zwrócił się do przedstawiciela Heinza z pytaniem, czy nie dopomógłby jej w uruchomieniu linii produkcyjnej specjalnych wyrobów dla smakoszy. Przez cały dzień czekała na odpowiedź, przeżywając istne katusze. Kiedy wieczorem Jimmie przyniósł jej wielki bukiet róż, od razu wiedziała, co to oznacza.

Jimmie przez cały wieczór zachowywał się wobec niej z uderzającą galanterią i z czułością. Trzymał ją w objęciach i starał się rozśmieszyć, ale już wcześniej zdążył jej zaserwować gorzką pigułkę - otóż wysłannik Heinza nie przyjął propozycji. W relacji Jimmiego wyglądało to tak:

- Nie powiedziałem mu, kto smażył dżemy, których próbowałem, bo chciałem, żeby był wobec mnie szczery. Niewiele jednak brakowało, bym dał mu w mordę, kiedy zaczął wybrzydzać: „przeciętne” i „nie szczególnego!”

Słuchając takiej relacji, Bailey z trudnością powstrzymywała łzy. Przecież nie pierwszy raz w życiu smażyła dżemy i degustujący zawsze chwalili jej wyroby, podkreślając, że są nie tylko smaczne, ale też inne od wszystkich, jakie dotąd jadali. Czyżby więc okazało się, że tamte pochwały były tylko grzecznościowymi kłamstwami?

Kiedy Jimmie dostrzegł, że jest bliska płaczu, najpierw wpadł w złość, a potem obiecał, że kupi jej własną fabrykę, w której będzie mogła produkować swoje przetwory.

- Nazwiemy je „Konfitury Lillian”, dobrze? - zagadywał. - Albo wiesz co? Już wiem, co zrobię! Wykupię dla ciebie całe zakłady Heinza!

To święte oburzenie wydawało się tak szczere, że dopiął swego i rozśmieszył Lillian. Mimo to ciężko przeżyła porażkę i przez kilka najbliższych miesięcy nie miała ochoty na robienie przetworów. Tymczasem dopiero teraz dowiedziała się od Arleen prawdy - w rzeczywistości pracownik Heinza był zachwycony konfiturami Lillian do tego stopnia, że miał już dla niej przygotowaną do podpisu umowę, która gwarantowała jej kierowanie odpowiednim działem produkcji.

- Trzeba ci go było widzieć przy śniadaniu! - opowiadała Arleen. - Prawie błagał Jimmiego, żeby ci pozwolił na tę pracę. Tłumaczył, że rynek na delikatesy dopiero się otwiera, a dzięki twoim wyrobom Heinz mógłby łatwiej wejść na ten rynek.

Bailey oglądała swoje paznokcie, stwierdzając z przerażeniem, że wbija je we własne dłonie. Pamiętała przecież, że chciała sama zejść na to śniadanie i powiedzieć temu bubkowi od Heinza, co o nim myśli. Zamierzała pokazać mu nagrody otrzymywane na wystawach i konkursach od wielu lat. Jednakże Jimmie, z wyrazem zawziętości na twarzy, obiecał, że sam „zajmie się” delikwentem.

- Zostaw to mnie, Piegusku - polecił. - Lepiej umiem się mścić niż ty.

Bailey musiała więc zostać w sypialni, dopóki przez okno nie zobaczyła Heinza idącego do samochodu, który miał go odwieźć na lotnisko. Później wypytywała Jimmiego, jak potraktował przybysza, ale zbył ją ogólnikowym zapewnieniem:

- Mogę ci zagwarantować, że on się tu więcej nie pokaże.

Oczywiście dla niej stanowiło to jeszcze jeden dowód bohaterstwa Jimmiego!

- No i jak ci się teraz żyje? - podpytywała Arleen

- Ja... - zaczęła Bailey, ale na razie nic innego nie przechodziło jej przez gardło. Co więcej mogła powiedzieć? Ze mieszka już z innym mężczyzną i gotuje dla niego, podczas gdy on płaci prawie za wszystko? Ze ma zamiar przystąpić do spółki z nim, opracowując najwyżej jeden procent jego planów? Inaczej mówiąc, w ciągu ostatnich kilku tygodni robiła wszystko, aby odtworzyć swój dawny model życia z Jimmiem.

- Kupiłam ten sklep - oświadczyła głośno, popychając ulotkę reklamową przez stół w stronę Arleen. - Chcemy do spółki z dwiema znajomymi założyć firmę produkującą wyroby delikatesowe.

- Chyba żartujesz? - Arleen sceptycznie popatrzyła na Bailey przez chmurę papierosowego dymu. - Ty i firma?

- Nikt z was dotąd mnie nie znał! - wygłosiła Bailey z patosem, biorąc głęboki oddech. - Nie mieliście pojęcia, jak duży udział miałam w interesach Jimmiego! To nie polegało tylko na tym, że chodziłam za nim krok w krok!

Nic więcej nie przyszło jej na myśl, bo w uszach wciąż jej dźwięczały słowa Arleen, przytaczającej wypowiedzi Jimmiego: „Nic nie ma, nie jest przez nikogo kochana i nie ma ambicji, żeby zostać kimś... To pusta butelka, która tylko czeka, żebym ją napełnił swoją miłością...” Nieraz przecież słyszała takie słowa z ust Jimmiego!

- Poderwałaś sobie chociaż jakiegoś chłopa? - indagowała Arleen. - Czy może po Jimmie nie chcesz już patrzeć na żadne portki?

- Owszem, w moim życiu jest już mężczyzna - wycodziła Bailey. - Po kądzieli prawdziwy arystokrata! Gdybym ci powiedziała jego nazwisko, na pewno byłoby ci znane, wolę jednak zachować anonimowość.

- Oczywiście, rozumiem - przytakiwała Arleen z uśmiechem. - Jamesa zawsze ciągnęło do tych błękitniaków. To dlatego tolerował przy sobie ludzi tego pokroju, co Bandy i ja. Ale łatwiej zgarnąć wszystkie skarby świata niż zmienić własne pochodzenie.

- Rzeczywiście, tego nie mógł zrobić - przyznała Bailey, wymieniając z Arleen porozumiewawczy uśmiech. W tym momencie wydawało się jej, że mogłyby się nawet zaprzyjaźnić.

- A wiesz co? - Arleen zaczęła z nieco innej beczki. - W gruncie rzeczy nawet się cieszę, że nie wpakowałaś się znów w takie samo małżeństwo jak tamto i że ten twój nowy facet nie pilnuje cię tak jak Jimmie. Najlepszy dowód, że pozwala ci otworzyć ten sklepik i chyba nie będzie miał nic przeciwko temu, żebyś dowiedziała się tego, o co prosił cię James.

- O co ci chodzi? - Bailey próbowała zyskać na czasie. Czy to możliwe, żeby Jimmie wtajemniczył więcej osób w treść notatki, którą jej zostawił w spadku? Niewykluczo-

ne, skoro - jak widać - rozgłosił też wiele innych faktów z ich prywatnego życia.

- James raz wspomniał o czymś takim, ale myślę, że to nic ważnego. Powiedział, że poprosi cię, abys pojego śmierci spróbowała sprawdzić coś, cojemu się nie udało.

Ponieważ Arleen nie dodała nic więcej, Bailey zmierzyła ją surowym spojrzeniem i ponagliła:

- Dobrze więc, czego ode mnie chcesz?

Arleen zaciągnęła się papierosem tak głęboko, że dym musiał dotrzeć do końców jej stóp.

- Nie ma już wielu takich facetów jak James! - rzuciła ogólnikowo i czekała, aż Bailey domyśli się, co chciała przez to powiedzieć.

- Racja - przytaknęła Bailey, bo znała odpowiedź. Przypuszczała, że Arleen ma na myśli coraz mniej liczne grono naprawdę zamożnych panów, spośród których niewielu czuło potrzebę otaczania się ludźmi mającymi wyjątkową zaletę - „kontakty”.

- Dzisiaj rzeczywiście nadziani faceci robią w branży komputerowej - snuła swoje rozważania Arleen. - Do czego potrzebne im kontakty, jeśli po całych nocach nic, tylko rąbią w te swoje gry komputerowe?

Zgasila papierosa w salaterce Bailey z takim zapamiętaniem, że o mało nie złamała paznokcia.

Bailey patrzyła na nią pytająco, próbując uzyskać od niej informacje, czego właściwie chce.

- Tej waszej nowej firmie przydałoby się kilka znanych nazwisk jako reklama - rzuciła mimochodem Arleen. Bailey w lot pojęła aluzję, ale zmrużyła oczy, bezwiednie przejmując manierę zmarłego męża.

- Czemu nie, może dobrze by było, gdyby taki ktoś opowiadał innym, jak wspaniałe są moje wyroby? Dostawałyby za to, powiedzmy... jeden procent dochodu brutto.

- Dziesięć procent dochodu netto! - skorygowała Arleen.

- Dwa procent dochodu brutto, żeby mieć pewność, iż coś w ogóle robisz - odparowała Bailey.

- Szkoda, że nie spotykałyśmy się częściej, kiedy jeszcze James żył! - uśmiechnęła się Arleen. - Dobra, niech będzie trzy procent netto.

- Nie trzy, tylko dwa. I nie netto, tylko brutto - poprawiła Bailey całkiem poważnie.

- A właściwie jak się nazywa firma, w której mam mieć dwa procent udziału?

Dopiero teraz Bailey się uśmiechnęła.

- Nie wiem, bo jeszcze nie ruszyłyśmy

Arleen najpierw zamrugała oczami, ale gdy uświadomiła sobie, że została nabrana - ryknęła takim zdrowym śmiechem, na jaki mogła sobie pozwolić dziewczyna z Teksasu, ale nie baronowa von Lindensale.

Bailey też nie mogła powstrzymać uśmiechu, a kiedy Arleen dostała ataku kaszlu - podsunęła jej szklankę wody.

- No, czy powiesz mi wreszcie, co Jimmie powiedział o tym czymś, czego kazał mi szukać? - naciskała.

- Już dobrze. - Arleen sięgnęła po torebkę, bo jej makijaż wymagał poprawienia po ataku kaszlu. Miała co korygować, gdyż na rzęsy nakładała dużo tuszu, a na policzki mnóstwo jaszkrawego różu. - James powiedział kiedyś przy nas, że żadne pieniądze nie naprawią zła, jakie zostało wyrządzone, kiedy był dzieckiem. Nigdy nie wspominał o swoim dzieciństwie, chyba więc rozumiesz, że siedzieliśmy jak wryci. „Morderstwa nazywane samobójstwami” - tak się wyraził. Próbowaliśmy mu tłumaczyć: „Jimmie, przecież masz dosyć szmalu, żeby doprowadzić sprawy do porządku i wykryć morderców”. Wszyscy zgłosiliśmy się do pomocy, bo sami chcieliśmy rozszyfrować jego tajemniczą przeszłość, ale James miał wątpliwości: „Myślicie, że oni zechcą rozmawiać ze mną? Przecież byłem w to zamieszany. A tych sześciu błyskotliwych chłopaków...”

- Coś ty powiedziała? - przerwała jej Bailey, wytrzeszczając na nią oczy.

— Nie wiem, kogo James miał na myśli, ale powtarzał, że „oni go rozpoznają”. Kim są ci „oni” - nawet Bandy nie był w stanie z niego wyciągnąć.



- Tak, ale powiedziałaś coś o „szczęściu błyskotliwych chłopakach”. Czy on się dokładnie tak wyraził? A nie mówił czasem o „złotych chłopakach?”

- Jakie to ma znaczenie, czy nazwał ich tak, czy tak?

- Dla mieszkańców Calburn to ma znaczenie. Zresztą mniejsza z tym, czy błyskotliwi, czy złoci - ale co o nich mówił?

Arleen nieprzyzwoicie długo ociągała się z zapaleniem kolejnego papierosa, ale gdy w końcu podniosła wzrok na Bailey - zafundowała jej następną rewelację:

- Chyba jego ojciec był jednym z nich.

- Czy to ma znaczyć, że został zamordowany? Czy raczej popełnił samobójstwo? Albo może zamordował kogoś lub był oskarżony o morderstwo?

- Diabli wiedzą. James najpierw palnął coś o „morderstwach nazywanych samobójstwami”, potem zaczął z innej beczki, że ktoś mógłby go rozpoznać, gdyby gdzieś tam wrócił, a w końcu uczeplił się tych „błyskotliwych” - przepraszam, „złotych” - chłopaków. Coś nawijał, że zrobiono z nich bożków i nikomu nie wolno ich tknąć. Nawet okropnie się skrzywił, kiedy przypomniał sobie, że ktoś ich jednak tknął, ale zrobił tylko taką aluzję: „Popatrzcie, co się z nią stało...” i nic więcej. Czy ty coś z tego rozumiesz?

- Trochę tak, ale jaką rolę w tym wszystkim odegrał ojciec Jimmiego?

- James raz zaczął: „Mój ojciec był jednym z nich, ale...” i urwał. Nie chciał powiedzieć nic więcej, chociaż Bandy mocno go naciskał. Wykręcił się, że i tak już mówi za dużo. I rzeczywiście, o ile wiem, nigdy więcej nie puścił pary z ust na temat swojej przeszłości. Raz zapytałam o to którąś z jego dziewczyn, chyba tę Szwedkę, no, jak jej tam było...?

- Ingrid - podpowiedziała Bailey, wracając do poprzedniej pozycji. - Nie, Jimmie nigdy im się nie zwierzał.

- Kochanie, ręka ci krwawi! - zwróciła jej uwagę Arleen. I rzeczywiście, Bailey dopiero teraz zorientowała się, że wbi-

jała paznokcie w dłoń tak długo, aż wreszcie dwa przecięły jej skórę. Pospiesznie schowała ręce pod blat stolika.

- Może chcesz dowiedzieć się wszystkiego o jego ojcu? - drażniła Arleen. - Jasne, mogłabyś przecież napisać o nim książkę i zbić kupę szmalu!

Bailey spojrzała na nią z niesmakiem.

- O, nie, na pewno nie będę zdradzać tajemnic mojego zmarłego męża!

- Ależ, kochanie, naprawdę powinnaś. Mogłabyś na przykład opisać nasze cudowne przyjęcia, kobiety, które przewinęły się przez jego życie, i tak dalej... Oczywiście, rozumiem, dlaczego nie chcesz tego zrobić, ale w takim razie do czego potrzebna ci jest ta informacja?

- Do niczego - ucięła krótko Bailey. - Siedząc tu z tobą, zrozumiałam, że nie jestem nic winna Jamesowi Manville'owi. Z pewnością miał powody, by zapisać cały majątek tym, których najbardziej nienawidził, a mnie zostawić coś takiego jak... - Urwała, widząc błysk ożywienia w oczach Arleen. Nie chciała przed nią za wiele ujawniać, szczególnie miejsca swego zamieszkania. - Muszę tylko jakoś nadrobić cały ten stracony czas, a do tego twoja współpraca też będzie mi potrzebna. - Nachyliła się przez stół do Arleen, przysuwając twarz blisko jej twarzy. - Nie spisujemy żadnej umowy, bo wystarczy mi twoje słowo honoru. Znasz takie pojęcie?

- No, raz czy dwa słyszałam o czymś takim - uśmiechnęła się Arleen.

- Ale pamiętaj, że jeśli nie przyciągniesz do nas klientów - nie dostaniesz ani grosza. Jasne?

- Jasne, tylko mam nadzieję, że ja nie będę musiała jeść tych rzeczy, prawda?

- Jeśli dobrze pamiętam, moje wiśnie w koniaku zawsze ci smakowały.

- Te idiotyczne, czerwone kulki? Zawsze wyrzucałam je za burtę, a wypijałam koniak! — sprostowała Arleen. Wywołało to uśmiech na twarzy Bailey.

- Daj mi twój adres i numer komórki, to dam ci znać, je-

śli będzie się coś działo - zaproponowała. - Kiedy już coś zrobimy, wyślę ci czek.

Arleen wzięła ze stolika ulotkę reklamującą sklep, nagryzmoliła coś na niej i przesunęła do Bailey.

- Zaraz, a „my” to kto? Ty i ten twój chłop? - upewniała się.

- O, nie - odpowiedziała stanowczo Bailey. - To ma być firma prowadzona przez kobiety i dla kobiet. Facetom wstęp wzbroniony!

Rzuciła okiem na zegarek, ale że był tani - poczuła na sobie wzgardliwe spojrzenie Arleen.

- Muszę już lecieć - oznajmiła szybko, wypychając do torebki ulotkę z namiarami Arleen. - Dam ci znać, co jest grane.

- Dziękuję ci - wyszeptała Arleen. - Polegam na tobie!

Wychodząc z boksu, Bailey starała się unikać wzroku Arleen, bo w jej oczach dojrzała jakąś dziwną pustkę. Stanowiła ona żywą ilustrację znanego aforyzmu Tennessee Williamsa: „Zawsze musiałem polegać na ludzkiej uprzejmości”.

Z dumnie uniesioną głową Bailey wyszła z restauracji i skierowała się na parking.

## 12

Trzymała się dzielnie, dopóki nie zamknęły się za nią drzwiczki samochodu. Włożyła kluczyk do stacyjki, ale go nie przekreśliła, lecz oparła głowę na kierownicy i przymknęła oczy.

Dopóki żył Jimmie, mogła wmawiać sobie, że tamte kobiety nie istnieją, a od jego antypatycznych „przyjaciół” lepiej trzymać się z daleka - w ten sposób mniej zobaczy i mniej usłyszy. Zasztywniała w kuchni i udawała, że z Jimmiem stanowią takie samo małżeństwo jak inne, że czeka na niego z domowym posiłkiem, kiedy wróci z biura. Przez wszystkie lata pożycia z nim udoskonaliła sztukę chowania głowy w piasek.

A teraz wszystko wskazywało na to, że z Matthew Long-acre'em będzie postępować tak samojak z Jimmiem. Znowu wycofa się do kuchni i pozwoli mężczyźnie decydować za siebie we wszystkich ważnych, życiowych sprawach.

Przez przednią szybę samochodu widziała kobietę, która prowadziła za rączkę małego chłopczyka. Zmierzała z nim w kierunku sklepów. Przypomniało to Bailey, jak bardzo chciała mieć dzieci, ale Jimmie jeszcze na długo przed ich ślubem poddał się sterylizacji. Nigdy nie mówił o tym otwarcie, ale Bailey podejrzewała, że obawiał się, iż dzieci mogą odziedziczyć po nim rozszczep podniebienia.

Teraz, kiedy Jimmiego od dawna już nie było przy niej, coraz częściej przychodziło jej do głowy inne uzasadnienie. Może nie chciał dzieci, bo wiedział, że byłby o nie zazdrosny? Pragnął przecież mieć Bailey tylko dla siebie!

- Ależ był z ciebie egoista, Jamesie Manville! - powiedziała do siebie na głos, włączając równocześnie silnik. — Aja, co gorsza, pozwoliłam ci na to!

Wracając do domu, rzadko spoglądała na szosę, bo jej myśli zaprzętały zasłyszane właśnie informacje. Na ich podstawie doszła do wniosku, że w jej życiu szykowało się coś gorszego niż to, co ją już spotkało. I na domiar złego sama zamierzała się w to wpakować!

Nie miała bowiem wątpliwości, że Matt wkrótce poprosi ją o rękę. Wezmą romantyczny ślub w urokliwym, małym kościółku, a potem ani się obejrzy, jak zajdzie w ciążę. Przecież - według słów Arleen - „tylko czekała, kiedy zostanie matką”.

No tak, ale co w przyszłości powiedziałyby tym dzieciom, gdyby poprosiły ją o opinię lub wskazówkę? „Idźcie z tym do tatusia, on podejmuje decyzje, a ja się podporządkowuję?” Czy tylko tyle miałyby im do powiedzenia?

Poza tym wiedziała aż nadto dobrze, jak czasem kończy się taka idylla. Co by było, gdyby Matt na przykład spadł z rusztowania i zabił się, a ona została z trojgiem dzieci? Jak zarobiłyby na ich utrzymanie? Pracując na dwie zmiany jako

kelnerka? Czytała nieraz wypowiedzi dorosłych już ludzi, którzy mieli pretensje do matek, że chowali się bez ojców, a one były wciąż przepracowane i zestresowane i nie miały czasu dla dzieci.

A co by zrobiła, gdyby Matt wdał się w romans? Czy zareagowałaby tak samo jak na liczne zdrady Jimmiego - utonęła po uszy w marmoladzie grejpfrutowej i udawała, że nie widzi, co się dzieje? A gdyby chciał zaprosić gości, których nie lubiła? Czy miałaby wymawiać się, że jest zmęczona i musi się położyć? Łatwo jest wykręcić się od udziału w przyjęciu, jeśli się mieszka w pałacu o powierzchni sześciu tysięcy metrów kwadratowych, trudniej natomiast próbować tego samego w domu, który liczy raptem sześćset metrów! Nie, teraz Bailey nie kryłaby się przed gośćmi Matta, lecz przygotowywała dla nich poczęstunek w kuchni własnego domu!

Wjeżdżając w swoją uliczkę, przypominała sobie, jaki okropny wydawał się jej ten dom, kiedy po raz pierwszy oglądała go razem z Philipem! Wystarczyło jednak zaledwie sześć tygodni, by diametralnie się zmienił. W kolejne weekendy krewni i znajomi Matta, jak bohaterowie westernu, wspólnie budujący stodołę, pomagali w doprowadzeniu domu do pierwotnego stanu.

Z początku cała przebudowa wydawała się Bailey świetną zabawą. Przecież zawsze tak właśnie wyobrażała sobie idealny model życia! Gotowała dla ludzi, którzy wylewnie chwaliли wszystkie potrawy, jakie przed nimi stawiała. Matt był zawsze w pobliżu, często śmiał się i żartował, obejmując ją opiekuńczym ramieniem. Szczycił się przed znajomymi zarówno potrawami, jak i projektami kuchni, które tworzyła jako uzupełnienie jego planów wzorcowych domów. Na te ostatnie każdego tygodnia otrzymywał nowe zamówienia, a gdyby został na stałe zatrudniony przez nowojorską firmę specjalizującą się w rozprowadzaniu projektów przez Internet - mógłby zarobić na dostatnie życie w Calburn.

W ciągu tygodnia wiedli z Mattem spokojny i uregulowa-

ny tryb życia. Znali na pamięć tytuły ulubionych seriali telewizyjnych partnera, a Matt wiedział już, że nie powinien przeszkadzać Bailey w lekturze kryminałów. W tygodniu nie lubili szukać rozrywek poza domem, wypożyczali więc kasety wideo, układali puzzle z tysiąca elementów albo słuchali muzyki. Od czasu do czasu któryś z bratanków Matta (lub obaj) zatrzymywał się na noc. Wtedy Bailey smażyła im popcorn i zmuszała się do oglądania horrorów, po których miała koszmary senne.

Nie było natomiast między nimi intymnego pożycia. Sami w domu, zachowywali się jak brat i siostra. Owszem, Matt traktował ją uprzejmie, ale na dystans. Doświadczenia Bailey w tej sferze sprowadzały się do jednego mężczyzny, który nie znosił nadmiernie aktywnych kobiet, nie wiedziała więc, jak ma dać Mattowi do zrozumienia, czego się po nim spodziewa. Zresztą czy naprawdę tego chce? Obawiała się, żeby nadmiernym pośpiechem nie zepsuć czegoś naprawdę ważnego.

Natomiast przy ludziach Matt często stroił sobie żarciki z wyraźnym podtekstem seksualnym. Goście przyjmowali te aluzje z życzliwą aprobatą, bo wszyscy chcieli skojarzyć ich w parę.

Bailey czuła się dotknięta brakiem inicjatywy ze strony Matta, rewanzowała się więc dogryzaniem mu przy ludziach. Niezorientowani w sytuacji mogli na tej podstawie przypuszczać, że są kochankami z długim stażem. Czasem jednak, kiedy byli sami, miała ochotę krzyknąć na niego: „Wiem, że wtedy nie byłam jeszcze gotowa, ale spróbuj teraz!”

Oczywiście nie krzyczała, tylko dalej zajmowała się gotowaniem wymyślnych potraw. Czterem kolegom szkolnym Matta, którzy przyszli pomóc mu w usunięciu roju pszczoł z komina, podała duży garnek chili i bochenek upieczonego w domu chleba. Innym razem, kiedy pomagali w wyburzeniu zielonej łazienki - poczęstowała ich pizzą.

Któregoś dnia Matt zwierzył się jej, że prezes firmy, w któ-

rej chciałby pracować, ma opinię smakosza. Patrzył przy tym prosząco na Bailey, dając w ten sposób do zrozumienia, że gdyby przygotowała jakąś wystrzałową kolację - pomogłaby mu w uzyskaniu posady. Jasne, że Bailey zgodziła się i spędziła dwanaście godzin w kuchni, szykując przyjęcie w stylu marokańskim. Składały się na nie: oliwki i pomidory zapiekane we francuskim cieście; ryba w całości pieczona w ziołach; owoce morza przyprawione kardamonem i kminkiem; kurczak w szafranie, nadziewany morelami, rodzynkami i migdałami. Danie główne stanowiła *b'stilla* - tradycyjna marokańska potrawa, przyrządzana z siekanego mięsa kurczaka, jajek i migdałów, zawiniętego w cienki płat ciasta i pieczonego na złoty kolor, a po upieczeniu posypana cukrem. Po tym wszystkim, kiedy sześciu panów zarzekało się, że nie wezmą już do ust ani kęsa więcej, Bailey wystąpiła z zaskakującym deserem - sorbetem ze śliwek i malin, udekorowanym malutkimi ciasteczkami z cukru, w kształcie domków. Goście byli zachwyceni niespodzianką, a prezes firmy obiecał Mattowi, że chętnie go zatrudni.

- Żebyś choć w połowie umiał tak projektować, jak ona umie gotować, nasze obroty wzrosłyby dwukrotnie! - oświadczył.

W tym okresie Bailey często widywała Janice i Patsy. Nie zareagowała, gdy któregoś dnia Janice powiadomiła ją, że w księgach podatkowych jej zmarłego męża nie znalazła żadnego błędu. Nie odpowiedziała też nic, kiedy Patsy skarżyła się, że mąż i synowie poprosili ją, aby nie haftowała już na ich ubraniach żadnych zwierzątek, kwiatków ani fantazyjnych wzorków. Nie chciała po prostu zakłócać tego błęgiego spokoju, którego zawsze pragnęła i który w końcu z Mattem wypracowali. Udało jej się to, co chciała osiągnąć z Jimmiem, tylko że wtedy na przeszkodzie do całkowitego szczęścia stałyjego pieniądze oraz przemożne pragnienie zawłaszczenia jej osoby.

Teraz Bailey wysiadła z samochodu i szła prosto do domu, który wreszcie w pełni odpowiadał jej wyobrażeniom o ide-

alnym mieszkaniu. Trzecią część fasady osłaniała głęboka weranda, gdzie stały dwa bujane fotele z wyplatanyymi z trzciny siedzeniami i trzy wiklinowe krzesła, wyściełane poduszkami w kwiatowy wzór. W rogu werandy Matt zawiesił nawet huśtawkę.

Bailey nie miała jednak wiele czasu, by przesiadywać na werandzie, a dopóki trwał jej remont, rzadko wychodziła z kuchni. Rzecz w tym, że Matt - według słów Patsy - próbował „nadrobić stracony czas”. Rick kiedyś wspominał, że gdy obaj byli dziećmi, „Matt nie uczestniczył w żadnych imprezach towarzyskich, bo jego matka była za biedna, żeby się rewanżować”. Rozwijała ten wątek Patsy: „Mój Rick nie był tak głupio dumny, chodził więc na wszystkie imprezy i przez całą szkołę świetnie się bawiliśmy. A Matt został sam i pewnie dlatego ożenił się z Cassandra”. Imię to Patsy wymówiła takim tonem, jakby wszelkie wyjaśnienia były zbędne.

Po wysłuchaniu tych opowieści Bailey czuła się zobowiązana przez następne sześć tygodni gościć u siebie połowę mieszkańców Calburn i okolic. Nie miała bowiem sumienia odmówić Mattowi tego, czego był pozbawiony w dzieciństwie. Zresztą Matt odpłacał jej za wszystko z nawiązką i ciągle dopytywał, czy gotowanie dla tylu osób nie jest dla niej zbyt uciążliwe. Za każdym razem odpowiadała, że nic podobnego - przecież tak lubi to robić!

Tym razem na werandzie, oprócz foteli, krzeseł i huśtawki, zobaczyła jeszcze dwa stoliki o blatach wyłożonych kafelkami. Przypadły Mattowi przy podziale majątku po rozwodzie, a do tej pory przechowywał je w magazynie.

- Kupowała je Cassandra, musiały więc kosztować majątek - opowiadała. - A skoro i tak leżały w magazynie, to równie dobrze możemy ich używać. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

Spoglądał z obawą na Bailey, więc go zapewniła, że jej to wcale nie przeszkadza.

- Oczywiście, że będziemy ich używać. Nie jesteśmy przecież tacy głupi, by pozwolić im się zmarnować.



Nie podobały się jej natomiast krzesła, gdyż - jak na jej gust - były zbyt „wysmakowane”, a deseń na poduszkach za- nadto jaskrawy. Wolałaby pojechać do Karoliny Północnej i wybrać coś z wyrobów tamtejszych rzemieślników, ale oczywiście nie wspominała o tym Mattowi.

Rozglądając się po domu, mogła stwierdzić, że salon zmienił się nie do poznania od dnia, kiedy się wprowadziła. Łączył się teraz z kuchnią, gdzie na granitowym postumen- cie ustawiono taborety. Przez trzy soboty z rzędu zasiadali na nich koledzy Matta, aby po całym dniu pracy przy wymianie podłogi na facjatce obejrzeć mecz baseballowy w telewizorze z dużym ekranem, który Matt przywiózł w piątek wieczorem. Bailey serwowała im smażony ser, bo jak zapowiedział Matt, jego koledzy „nie byli przyzwyczajeni do zagranicz- nych potraw”.

Jeszcze poprzedniego dnia usprawiedliwił ich przed Bailey:

- Nie zrozum mnie źle, wiesz, jak lubię to, co ugotujesz... Ale ci chłopcy wychowali się w Calburn, więc sama rozu- miesz...

Nie musiał kończyć, bo od razu pojęła, o co mu chodzi. Widocznie jednak jego znajomym odpowiadała kuchnia Bailey, bo w następną sobotę jeden z nich przyniósł jej upo- minek. Była to maszynka do krojenia cebuli w takie cząstki, aby po rzuceniu na gorący tłuszcz utworzyły „cebulowy kwiatek”.

Rzeczywiście, pod nadzorem Matta jego pomocnicy wy- konali wiele pożytecznej pracy. Kuchnia zrobiła się niewiel- ka, ale znacznie ustawniejsza dzięki zagospodarowaniu do- datkowej powierzchni na spiżarnię. Znikły wiszące nad gło- wą szafki - zastąpiły je otwarte półki, na których Bailey trzy- mała najpotrzebniejsze rzeczy. Matt pożyczył od znajomego sprzęt do obróbki drewna i zrobił szafki z surowych sosno- wych desek, zerwanych ze ścian garażu, który przerabiał na zlecenie klientki. Pokładając się ze śmiechu, opowiedział Bailey, jak to tej kobiecie nie podobała się boazeria sosnowa i kazała mu ją zastąpić zwykłym tynkiem. „A ten tynk kaza-

ła mi pokryć tapetą imitującą sosnowe deski!" - zakończył, przyprawiając ich oboje o paroksyzm śmiechu.

W uzyskanych tym sposobem deskach Matt wypełnił otwory po gwoździach, papierem ściernym zdarł nagromadzone przez lata warstwy brudu i sadzy. Pociągnął je matową politurą i wyszły z tego tak piękne szafki, że Bailey za każdym razem uśmiechała się, przechodząc obok nich.

Tę kuchnię Bailey z miejsca uznała za swoją, natomiast do innych części domu nie miała już stosunku osobistego. Patsy słusznie orzekła, że Matt pragnął obecnienadrobić stracony czas. Mało tego - sprawiał wrażenie, jakby chciał napisać historię na nowo. W czasach szkolnych miał opinię samotnika, a Calburn opuścił - według słów Patsy - „zanim wysechł atrament na jego dyplomie”. Teraz wydzwaniał do dawnych kolegów i usiłował odnowić przyjaźnie, które zdaniem Patsy i Ricka nigdy nie istniały.

- Jak to, przecież w szkole byliście śmiertelnymi wrogami! - sprostował Rick, kiedy Matt mu się pochwalił, jaki to „stary kumpel” przyjeżdża do niego w sobotę. - Ten dureń chciał wszystkim udowodnić, że jest najlepszym piłkarzem w Calburn, chociaż wiedział, że byłeś od niego o niebo lepszy. Nie wszedłeś do reprezentacji tylko dlatego, że musiałeś pracować po szkole i w weekendy. Nie pamiętasz, jak pobiliście się na parkingu, kiedy pracowałeś w mleczarni? Jeszcze tego samego popołudnia kierownik wylał cię z roboty.

- To było dawno i nieprawda! - mruknął pod nosem Matt, włączając telewizor. Więcej nie chciał rozmawiać na ten temat.

W domu Bailey Matt powiesił na ścianach swoje zdjęcia rodzinne i dwa oprawione pejzaże. Obrazy nie były złe, ale okazało się, że Matt kupował je jeszcze razem z byłą żoną.

- Malarz był znajomym jej ojca - tłumaczył. - Teraz nie są wiele warte, ale może kiedyś będą.

- Więc dlaczego Cassandra ich nie, zabrała? - chciała wiedzieć Bailey.

- Nie podobały się Carterowi - wzruszył ramionami

Matt. Bailey miała ochotę dodać, że jej też nie, ale ugryzła się w język.

Schówek przy hallu był tak zapchany sprzętem sportowym Matta, że trudno byłoby wcisnąć tam szpilkę. W trzeciej sypialni piętrzyły się skrzynie, których Matt nie otwierał od czasu swego rozvodu. Twierdził, że kiedyś je rozpakuje, ale wciąż nie miał na to czasu.

Wymarzona facjatka Bailey mieściła teraz narzędzia pracy Matta, między innymi kupione niedawno komputerowe urządzenie do projektowania. Po przeciwnej stronie facjatki Matt z pomocą kolegów ułożył już solidną podłogę i usunął biegnące przez środek przepierzenie, ale wygospodarowaną przestrzeń również zdążył już wypełnić swoim sprzętem. Zainstalował tam drugi stół kreślarski z podnoszonym i opuszczanym blatem.

- Lepiej mi się myśli z ołówkiem w rękę niż z myszą — wyjaśniał powody swojej decyzji. Stymulacji procesu myślowego miał zapewne służyć ustawiony w rogu przepaścisty fotel - wyposażony w lampkę -jak również kanapa. Wszystkie ściany Matt obudował półkami i umieścił tam swoje książki.

Bailey wyszła tylnymi drzwiami - przez odnowioną werandę - prosto do ogrodu. Z ulgą pomyślała, że przynajmniej morwa została taka, jak była przedtem. Zatrzymała się przy starym drzewie, by stwierdzić, że owoce już prawie dojrzewają. Do dzisiejszego dnia była gotowa przysiąc, że jej życie zmierza w dobrym kierunku, ale dwa ciosy, które dziś na nią spadły, sprawiły, że zmieniła zdanie. Pierwszym ciosem była wiadomość o sprzedaży upatrzonego sklepu, a drugim - upiory przeszłości przywołane przez Arleen.

Tu, pod tą morwą, zdała sobie sprawę, że znajduje się w punkcie zwrotnym swego życia. Śmierć Jimmiego zapoczątkowała proces zmian, a teraz musi podjąć decyzję, czy będzie ten proces kontynuować, czy pozostawi swoje życie takim, jakie jest.

Według tego drugiego schematu postępowała zwykle, bę-

dac małżonką Jimmiego. Prawda, że jeszcze zanim się z nią ożenił, był bogaty i sławny, ale sławę zawdzięczał głównie licznym skandalom, których był bohaterem. Po ślubie zarzucił bardziej spektakularne podboje i przeszedł do etapu, który media nazywają światem przerośniętych chłopców. Nie na długo jednak, bo wkrótce po zawarciu związku małżeńskiego z młodą i subtelną - acz otyłą - Lillian Bailey stanął do rywalizacji o powszechnie pożądany tytuł najbogatszego człowieka świata.

Lillian wiedziała, że najcenniejszym darem, jaki Jimmie od niej otrzymał, była świadomość, że miał przy sobie kogoś, kto znał jego prawdziwe oblicze, a jednak go kochał. Czy istnieje zaś na świecie lepsze lekarstwo aniżeli szczerą miłość? Nieraz podnosił Lillian do góry, okręcał wokół siebie i prawił komplementy w rodzaju:

- Ty dajesz mi siłę, Piegusku. Nikogo i niczego na tym świecie nie potrzebuję tak bardzo jak ciebie!

Niestety, tak samo jak rezygnowała z własnej osobowości na rzecz Jimmiego, zamierzała również pozwolić się zdominować przez Matta. Chciała zrzucić na niego, podobnie jak przedtem na męża, ciężar odpowiedzialności za to, że był dla niej wszystkim. Tkwiła w kuchni, wśród garnków, i oczekiwała od Matta, że przyniesie jej do domu cały świat zewnętrzny. Nawet nie próbowała kształtować swego życia według własnego pomysłu, a równocześnie po cichu miała pretensje o meble, które się jej nie podobały, czy gości, których nie lubiła...

Bailey ukryła twarz w dłoniach, bo przypomniała sobie to, o czym wcale nie chciała pamiętać - że przez ostatnie dwa lata pożycia z Jimmiem czuła się bardzo nieszczęśliwa.

Jeszcze jako dwudziestolatka była w nim tak ślepo zakochana, że wszystko, co robił, uważała za słuszne. Dopiero gdy stuknęła jej trzydziestka - czyli akurat dwa lata temu - coś w niej pękło. Nie znała przyczyny takiej zmiany, ale postronnym mogło się wydawać, że z dnia na dzień stała się drażliwa i kłótniwa. Kiedy Jimmie z troską w głosie pytał, co

jej się stało - swarliwie odpowiadała, że nic. Przy kolejnych napadach złego humoru chciała wyjeżdżać gdziekolwiek i za wszelką cenę - aż w końcu Jimmie zmierzył ją karcącym spojrzeniem i podsumował:

- I co ci to da? Gdziekolwiek pojedziesz, wszędzie zabierzesz siebie!

Teraz więc Bailey oparła się o pień starej morwy i wzięła dwa głębokie oddechy, by odzyskać spokój. Zastanawiała się, co ma zrobić, odkąd zdała sobie sprawę z przyczyn swoich problemów. Jak zabrać się do tego, co poradniki nazywają odzyskiwaniem własnej tożsamości? Czy ma oznajmić Mattowi przy kolacji: „Słuchaj, postanowiłam odzyskać własną tożsamość?” A jeśli tak, to co dalej? Wstać i nałożyć mu drugą porcję na talerz?

Matt nie stwarzał jej żadnych problemów. Lubiła go, bo był miły, ale nie grały między nimi gwałtowne namiętności. Dzięki niemu mogła natomiast wieść spokojne, wygodne życie, co też jej odpowiadało.

Większy problem miała ze sobą, dopiero teraz bowiem zdała sobie sprawę, że przez całe dotychczasowe życie podporządkowywała się innym. Chciała zmienić tę sytuację, ale nie wiedziała, jak się do tego zabrać. W jej domu rodzinnym ster rządów dzierżyły zawsze matka i Dolores, siostra Lillian. Wolała nie myśleć, jak to wyglądało...

Przymknęła na chwilę oczy i spróbowała przypomnieć sobie sylwetkę ojca. Herbert Bailey, podobnie jak ona, wolał, by inni podejmowali za niego decyzje i brali na siebie odpowiedzialność.

- Ty i ja potrzebujemy takich ludzi jak twoja matka i Dolores, żeby ktoś pomógł nam przejść przez życie - mawiał często do Lillian. - Tylko że tacy ludzie nie znoszą sprzeciwu, więc lepiej pozwolić im rządzić.

I rzeczywiście, kierował się tą zasadą do końca swoich dni. Co rano wychodził do pracy, po południu wracał do domu zawsze o tej samej porze, a co piątek przynosił żonie wypłatę. Zostawiał jej pełną swobodę w gospodarowaniu pie-

niędzmi, prowadzeniu domu i wychowaniu dzieci, a sam zadowalał się wygodnym fotelem i lekturą codziennej gazety.

W tym właśnie fotelu w pewne niedzielne popołudnie zakończył też życie. Lillian cały ten dzień spędziła w kuchni, przygotowując popisowe danie na konkurs organizowany przez klub 4-H. Z kuchni udała się na spoczynek tylnymi schodami, które prowadziły wprost do jej sypialni. Ponieważ w salonie światło było zgaszone, przypuszczała, że rodzice i siostra poszli już spać. Członkowie tej rodziny nie mieli zwyczaju informować innych, dokąd się wybierają ani na jak długo.

Następnego dnia Bailey wstała wcześniej, gdyż obiecała sąsiadowi z tej samej ulicy, że popilnuje mu dziecka. Wróciła do domu dopiero po lunchu i od razu zaczęła coś podejrzewać, bo zastała ojca siedzącego w fotelu, w tej samej pozycji co wczoraj. Kiedy przyłożyła usta do jego czoła - stwierdziła, że jest już zimny i sztywny. Okazało się, że wieczorem poprzedniego dnia zarówno jej matka, jak i siostra - sądząc, że ojciec zasnął w fotelu — nie próbowały go budzić, tylko po prostu zgasiły lampę i poszły spać. Bailey do dziś nie mogła zapomnieć, z jakim niesmakiem popatrzyli na matkę policjanci, gdy stwierdzili, że jej mąż nie żyje od dwudziestu czterech godzin.

Bailey do dziś również pamiętała, że matka — w odpowiedzi na to stwierdzenie policjantów — zaledwie wzruszyła ramionami. Wcześniej upewniła się, że mąż był wysoko ubezpieczony, jego zgon zatem nie wpłynął niekorzystnie na jej poziom życia.

Dziś natomiast Bailey z całą pewnością wiedziała, że nie chce dłużej być traktowana jak dziecko. Miała żal do ojca, który jej wpoił przekonanie, że odziedziczyła po nim skłonność do poddawania się dyktatowi innych i że właśnie w taki sposób powinna postępować. Swoją drogą ciekawe, dlaczego wmawiał jej takie brednie. Czy dlatego, że czuł się samotny, podobnie jak ona? A może potrzebował jej poparcia dla własnej taktyki bierności, by upewnić się, że jest ona słuszna?

Bailey próbowała uporządkować myśli. Pamiętała, że w dzieciństwie jedynym człowiekiem, który darzył ją miłością, był ojciec, ale nie za darmo - musiała w zamian godzić się ze wszystkim, co ją spotykało. Ilekroć chciała przeciwstawić się matce, szukała wzrokiem poparcia u ojca, lecz napotykała jego spojrzenie, które ostrzegało, że przestałby ją kochać, gdyby wyrosła na takąędzę, jaką była matka. Po odebraniu niemego komunikatu tej treści Bailey natychmiast zrezygnowała z buntu.

Ledwo upłynęły trzy lata od śmierci ojca, gdy Bailey uciekała z Jamesem Manville'em, który kontrolował każdy jej krok o wiele ostrzej aniżeli matka.

Cóż z tego jednak, że Bailey miała świadomość błędów popełnionych w przeszłości? Najwyższy już czas, by wyciągnęła z nich wnioski! Miała wybór: albo żyć jak dotąd, czyli stopniowo tracić własną indywidualność na rzecz Matthew Longacre'a, tak jak we wczesnej młodości stawała się cieniem własnego ojca, a potem Jimmiego - albo też dokonać jakiegoś radykalnego posunięcia, na przykład wyrzucić Matta z domu pod pretekstem, że chce uporządkować własne życie, zanim zwiąże się z jakimś mężczyzną. Tylko czy sama poradzi sobie w obcym i nieprzyjaznym świecie?

Tego właśnie Bailey nie była całkiem pewna. Zdażyła już na własnej skórze poznać świat, który czekał na nią za drzwiami. Nie miała też w sobie tyle determinacji, by wyrzucić za drzwi porządnego człowieka w nadziei, że ten właściwy zjawi się akurat wtedy, gdy będzie już na to gotowa. Wiedziała zarazem, iż nie należy do kobiet, które świadomie wybierają życie bez męskiego partnera. Zgoda, że wśród facetów jest mnóstwo drani, ale większość potrafi przynajmniej rozśmieszyć kobietę. Czego jak czego, lecz tego akurat była pewna, że w swoim życiu potrzebuje mężczyzny.

Tylko czy nie z tego powodu, że był jej potrzebny, tolerowała wszystkie wady Jimmiego?

Właśnie, tolerowała, czyli godziła się z nimi na co dzień. A z czym głównie musiała się pogodzić? Z jego romansami

i... czekoladkami! Na samą myśl o tym znowu wbiła paznokcie w skórę dłoni - i tak już pokaleczonych. Prawdę mówiąc, świadomość, że to nie wdzięczni klienci, lecz Jimmie podsyłał jej czekoladki, kiedy się odchudzała, dotknęła ją boleśniej niż jego niewierność.

A na dodatek dowiedziała się, jak to było naprawdę z przedstawicielem firmy Heinz... Na to wspomnienie wbiła paznokcie w dłoń tak mocno, że aż się skrzywiła.

- Dobrze więc, co w takim razie mam zamiar zrobić z resztą życia? - zadała sobie pytanie. - Czy przeżyć jak dotąd, czy próbować coś zmienić? Pozwolić się zdominować przez Matta Longacre'a, czy przekonać się, co potrafię osiągnąć sama? Ale naprawdę sama, nie w cieniu mężyczyny!

Oczywiście, bez wahania opowiedziała się za zmianami. Jednakże najpierw musiała odpowiedzieć sobie na dalsze pytania. Przede wszystkim: czego mają dotyczyć zmiany? Ano, chciała udowodnić samej sobie, że potrafi dokonać czegoś konkretnego. Nie chciała przecież dożyć osiemdziesiątki i przyznać się wnukom, że chociaż wzrastała w czasach, gdy kobiety mogły startować w wyborach prezydenckich, wolała pozostać w kuchni i smażyć ser z cebulą dla facetów, których wcale nie lubiła!

Spróbowała więc przypomnieć sobie okoliczności, które przemawiały na jej korzyść. Z uśmiechem musiała przyznać, że opowiadała Arleen o swoim udziale w interesach Jimmiego po to, by rozwiązać mit, jakoby była tylko „duchem”. W rzeczywistości nauczyła się od Jimmiego wcale niemało!

Mogła więc przyjąć, że z grubsza zna się na interesach. Zdążyła też poznać kilka kobiet, które - tak samo jak ona - chciały coś zrobić ze swoim życiem.

Postanowiła, że pora skończyć z użalaniem się nad sobą. Wiedziata już, co ma zrobić, należało więc teraz zastanowić się - jak? Ciekawe, jak Jimmie postąpiłby w podobnej sytuacji, zakładając, że kiedykolwiek miał do czynienia z czymś, czego w pełni nie kontrolował.



- Najlepsza jest taktyka podziemnego ruchu oporu! - podsunąłby jej na pewno. - Najpierw rób, dopiero potem opowiadaj, coś zrobiła. Nikt wtedy nie będzie mógł udzielać ci „rad”. Pamiętaj, Piegusku, od rady tylko krok do kontroli, a od kontroli - do władzy!

— Muszę więc przygotować plan kampanii - stwierdziła głośno. — Zacznę od zorientowania się, kto jest moim sprzymierzeńcem.

Z uśmiechem triumfu weszła do domu, bo musiała przecież ugotować kolację dla Matta.

## 13

Dopiero Patsy podsunęła Bailey właściwy pomysł.

Od spotkania z Arleen w restauracji w Welborn minęły dwa dni, a ona wciąż nie mogła dojść do ładu z planami na przyszłość. Przygotowując posiłki dla Matta, myślała przebywała daleko: nawet na jego najnowszy projekt ledwo raczyła rzucić okiem. Nie zareagowała, kiedy Matt żartobliwie proponował pensa za jej myśli. Umysł jej bowiem zaprzątnięty był problemami: co, jak i z kim.

Coś zaświtało jej w głowie, kiedy na Patsy przyszła kolej goszczenia koleżanek u siebie w domu. Bailey zawczasu przywiozła do niej samochód produktów, bo miała już powyżej uszu mdłych specjałów, jakie zwykle serwowała Patsy.

- Na tym właśnie polega mój problem - przyznała się szczerze Patsy. - Nie wiem, co się podaje przed, a co po.

Bailey słuchała jej jednym uchem, ale myślała raczej o tym, co ostatnio przeczytała z dziedziny marketingu w branży „produktów delikatesowych”. Wynikało stąd, że wszelkie możliwe pola działalności na lokalnym rynku były już zajęte. Nie brakowało krajowych ani zagranicznych wytwórni luksusowych konfitur, sosów, przypraw i marynat. Jakiegokolwiek podjęłaby się produkcji, byłoby to dublowa-

niem czegoś, co ktoś już wytwarzał. Musiała więc znaleźć lukę, w którą mogłaby wejść.

- Przed czym? - spytała machinalnie.

- No wiesz, co się podaje przed daniem głównym. A co ty podajesz?

- *Hors d'oeuvres*. To znaczy przystawki. - Bailey nie była pewna, co Patsy ma na myśli.

- Wiem, co to znaczy! - prychnęła z pogardą Patsy. - Wiem, że to się tak nazywa, ale co się konkretnie podaje jako te przystawki?

- Możesz... - zaczęła Bailey, ale Patsy nie dała jej skończyć.

- Oczywiście, mogę wypiec takie śliczne muszelki z ciasta, jak pokazują w telewizji, i napełnić je pyszną sałatką z homara - wycodziła ironicznie Patsy. - Przecież niejestem głupia i też oglądam to „Gotowanie na ekranie”, ale czy to znaczy, że muszę to robić? A jeśli mi się nie chce? Te dupki z telewizji nie rozumieją, że niektóre kobiety po prostu nie cierpią gotować! Każda z nas najchętniej wyleciałaby z kuchni jeszcze szybciej, niż wpadła do niej. Tymczasem wymaga się od nas, żebyśmy udawały Marthę Stewart!

Bailey do tego stopnia wysilała się, żeby zrozumieć, o co chodzi Patsy, że porzuciła rozmyślenia i zaczęła jej uważnie słuchać.

- Jak to - udawały? Co masz na myśli?

- W tych programach dla kobiet przecież nam wmawiają, że gotowanie jest takie łatwe. Dodasz trochę tego, trochę tamtego i wychodzi pychota. Nie mówią tylko, że najpierw trzeba umieć sobie wyobrazić, jak to ma wyglądać, potem kupić wszystko w odpowiednich ilościach i dobrze się nad tym namordować. A ja nie mam na to ani czasu, ani wyobraźni! Wystarczy, jeśli kupię kurczaka, wstawię go do pieca, ugotuję jakąś jarzynkę, poleję kupionym sosem, do tego rozrobię wodą puree z proszku i mam pełnowartościowy posiłek. Oczywiście dla gości chciałabym przygotować coś lepszego, ale właśnie do tego potrzebne mi są jakieś przystawki i deser inny niż lody.

Bailey wpatrywała się w nią z niedowierzaniem. „Przystawki i deser” - powtarzała w kółko, dopóki jej umysł nie zaczął zataczać szerszych kręgów. Oczami wyobraźni widziała już podawane na małych półmisczkach marynowane grzyby, siekane oliwki na okrągłych grzankach oraz ciasto z proszku, przybrane wiśniami z koniaku...

- Przystawki i desery... - powtórzyła z uśmiechem. Stopniowo uśmiechała się coraz szerzej, aż w końcu rzuciła się Patsy na szyję i uściskała ją serdecznie.

- Co tam się dzieje?! - zawołał Scott z drugiego końca podwórka. - Czy można wejść?

- To babska sprawa! - odkrzyknęła mu Patsy, a ściszym głosem zwróciła się do Bailey: - Pewnie chciałaś mi powiedzieć, co nowego wymyśliłaś.

- Powiem ci, ale to tajemnica - zgodziła się Bailey. - Dzięki tobie wpadłam na świetny pomysł, czym mogę się zająć. Wchodzisz w to?

- Wchodzę! - bez wahania zgodziła się Patsy.

- No więc pamiętaj, ani słowa nikomu, szczególnie żadnemu facetowi! - przestrzegła szybko Bailey, bo właśnie zbliżał się Matt.

Minęło najwyżej dziesięć minut, a już Janice dyskretnie podpytywała Bailey:

- Co ty tam znowu knujesz?

- Chcę rozkręcić interes, ale wolałabym na razie trzymać to w tajemnicy. Lepiej, by żaden facet o tym nie wiedział, bo zaraz próbowaliby wybić to nam z głowy! Wchodzisz w to czy masz zamiar sprawdzać deklaracje podatkowe męża za ubiegłe dziesięć lat?

Przez chwilę Bailey myślała, że zagalopowała się i Janice zaraz chluśnie jej w twarz zawartość swojej szklanki. Tymczasem Janice zaczęła coś mówić, ale niedosłyszalnym prawie szeptem.

- Odkryłam jeszcze jedno jego konto w banku - oczami wskazała Scotta, który właśnie zaśmiewał się z jakiegoś powiedzonka Ricka. - On nie wie, że je odkryłam. Nie wie też,

że ja wiem, czemu... czy raczej - komu ono ma służyć. Przeniosłam już wkład, a teraz zaczynam przenosić kapitał. Zanim on się w tym połapie, będę już miała dosyć, by pozostawić mu resztę.

Bailey osłupiała. Wprawdzie nie lubiła zbytnio Scotta ani też, będąc na miejscu Janice, nigdy nie zgodziłaby się, żeby teściowa ingerowała w wychowanie jej dzieci, ale nic nie wskazywało, żeby Janice myślała o odejściu od męża.

- Tylko pamiętaj, że nie mogę zagwarantować zysków! - ostrzegła. - Niewykluczone, że dołożymy majtki do interesu.

- Możemy najwyżej dołożyć jego majtki - podkreśliła z naciskiem Janice, po czym zaraz obróciła się na pięcie i odmaszerowała. Bailey zauważyła przy tym, że koleżanka szła teraz bardziej wyprostowana i głowę trzymała wyżej.

Przez cały następny dzień Bailey rozpracowywała pierwszy punkt nowego planu: jak skłonić Janice i Patsy, żeby przestały się na siebie boczyć? Najpierw próbowała przemawiać im do rozsądku.

- Jak można rozkręcić jakikolwiek interes, gdy wspólnicy nie rozmawiają ze sobą? - perswadowała podczas lunchu. Obie kobiety jednak zachowały kamienne twarze i widać było, że nie zamierzają poruszać tego tematu.

Bailey chciała nawet zabawić się w psychoterapeutę i próbować znaleźć przyczynę konfliktu, aby móc go zażegnać. Mniej więcej za pół minuty porzuciła jednak tę myśl. Nie miała przecież czasu, by podołać tylu zadaniom naraz!

Wieczorem podała Mattowi krewetki z rusztu i jarzyny duszone na parze. Nie miała kiedy przyrządzić bardziej pracochłonnej kolacji, bo rozgryzała następny problem:

- Kiedy Patsy chce gdzieś pojechać z Janice, w jaki sposób jej to komunikuje?

- Piszą do siebie listy - wyjaśnił Matt.

- Listy? - powtórzyła Bailey takim tonem, jakby pierwszy raz słyszała o czymś takim.

- Tak, bo to, że nie rozmawiają ze sobą, nie przeszkadza, aby do siebie pisały. Oczywiście nie adresują tych listów do siebie, ale Patsy używa zielonej papeterii, a Janice niebieskiej, więc łatwo poznać, który list jest do kogo. A wszystko zaczęło się od...

Bailey podniosła rękę, dając znak, żeby nie mówił dalej.

- Dobrze już, nie chcę wiedzieć, od czego to się zaczęło. Chodziło mi tylko o to, żeby przynajmniej teraz zaczęły rozmawiać ze sobą.

- Aha, a o czym tak zawzięcie dyskutowałyście wczoraj?

- O gotowaniu - odpaliła błyskawicznie Bailey.

- Patsy mówiła o gotowaniu... - powtórzył beznamyślnie. Bailey jednak na wszelki wypadek odwróciła twarz, by nie widział jej rumieńca.

- Tak, o tym właśnie rozmawiałyśmy - powtórzyła, nie patrząc mu w oczy.

- Aha, rozumiem.

- Listy za wolno idą. - Bailey zmieniła temat, więc mogła z powrotem odwrócić się do niego. — Może lepszy byłby fax albo e-mail?

Matt zmierzył ją surowym spojrzeniem.

- Do czego właściwie zmierzasz?

Miała na końcu języka ostrą replikę, że to niejego sprawa, ale wolała zmyślić ładną bajeczkę:

- Wiesz, chcemy zrobić Rickowi niespodziankę i wyprawić mu odlotowe przyjęcie urodzinowe - opowiadała z uśmiechem. - Patsy prosiła mnie, żeby wymyślić coś rewelacyjnego na kolację, bo chce zaprosić około stu osób!

Patrzyła mu w oczy z zapartym tchem, zastanawiając się, czy Matt kupi to kłamstwo i kiedy właściwie przypadają urodziny Ricka.

Matt odchrząknął, biorąc z półmiska następną krewetkę.

- No, to się lepiej pospiesz, bo do urodzin Ricka zostały jeszcze tylko trzy tygodnie. I dajcie mi znać, gdybym mógł wam w czymś pomóc.

Bailey nie rozwijała już tego tematu, tylko wyszła na dwór,

żeby ochłonać. Nigdy nie umiała zbyt dobrze kłamać i nie cierpiała robić czegokolwiek w tajemnicy. Jimmie nieraz mawiał: „To, o czym myślisz, masz wypisane na twarzy”. Tym razem jednak była zadowolona. Mimo że kłamałajak z nut, świat się nie zawalił i - co więcej - Matt chyba jej uwierzył. Zwróciła więc rozpromienioną twarz w stronę drzewa morwy. Oto zrobiła pierwszy krok na drodze do konspiracji i całym dobrze się z tym czuła!

Z Mattem poradziła sobie bez problemów, ale o mało nie zaprzepaściła perspektyw rozwoju swojej firmy, gdyż obraziła Janice. Doszło do tego, kiedy po raz pierwszy panie spotkały się na prywatnym gruncie, a konkretnie w pokoju do szycia Patsy.

- Na pewno żaden facet tu nie wtargnie - zapewniła je Patsy. - Nie po tym, jaki numer wycięłam Rickowi.

- A co mu takiego zrobiłaś? - zaciekała się Bailey.

- Na całej jego bieliźnie wyszyłam różowe króliczki! Nie zauważył tego, dopóki nie chciał przebrać się w pracy. Było z nim wtedy dwóch kolegów, więc musieli się z niego zdrowo nabijać!

- Pewnie był wściekły? — domyśliła się Bailey.

- A jakże, ale rozpłakałam się i tłumaczyłam, że przez pomyłkę nastawiłam maszynę na zły wzór, bo on i chłopcy za bardzo mi przeszkadzali, po prostu nie mogłam się skupić. Na dowód tego pokazałam mu jeszcze jeden wzór, który przypadkiem wyhaftowałam na jego nowej koszuli. - Patsy podniosła do góry męską koszulę z dzinsu, z kieszonką ozdobioną motywem kaczki prowadzącej cztery małe kaczątki. - Teraz, żeby nie wiem co się działo w moim pokoju, ani mój mąż, ani synowie za nic tu nie wejdą.

Bailey popatrzyła na Patsy z podziwem. Metoda, jaką zastosowała, była okrutna aż do bólu, ale skuteczna!

Niestety, potem Bailey sama sprowokowała konflikt. Wszystko się rozbiło o nazwę tworzącej się firmy.

- To musi być coś konkretnego, żeby mogło od razu służyć za logo — dowodziła Patsy.

- W każdym razie nie „Kaczuszka” - zaproponowała Janice, patrząc w oczy Bailey, jakby tylko one były w tym pokoju.

- Myślałam o czymś takim jak „Tęcza” - rzuciła obojętnie Patsy.

Bailey tylko jęknęła. Jak mogła współpracować z kobietami, które, zamiast normalnie rozmawiać, obrażały się nawzajem jak pensjonarki? Chciała więc jakimś lekkim żarciem rozładować napiętą atmosferę.

- A czemu nie „Złota Szóstka?” - zaproponowała z uśmiechem. - Pod tą nazwą wszystko w Calburn sprzedawałoby się jak ciepłe bułeczki.

Zapanowała konsternacja i obie kobiety zmierzyły Bailey nieprzyjaznym spojrzeniem. Patsy wyduła górną wargę, a Janice patrzyła chłodno i surowo.

- Co ja takiego powiedziałam? - nie rozumiała Bailey.

- Najlepiej nazwij to „Trzydziesty Sierpnia” i będzie po problemie! - warknęła Janice. Gwałtownie zerwała się z miejsca i wybiegła z pokoju.

Nienawiść w jej głosie poraziła Bailey, ale jeszcze większym szokiem były dla niej słowa Janice. Trzydziestego sierpnia bowiem przypadały urodziny Jimmiego. Czyżby Janice skądś dowiedziała się, kim ona jest?

Pocieszała się, że to niemożliwe, że to przypadkowy zbieg okoliczności, ale dalej nie rozumiała, co tak rozgniewało Janice. Zwróciła się więc do Patsy, która ostentacyjnie przeglądała notatnik trzymany na kolanach:

- Co powiedziałam me tak?

Patsy podniosła na nią oczy równie chłodne jak oczy Janice.

- Wiem, że jesteś tu obca, ale musisz zapamiętać, że tych sześciu chłopców wiele znaczy dla mieszkańców naszego miasta. Nie radzę ci z nich żartować, a szczególnie w obecności Matta.

- A co ma do tego Matt?

Patsy spojrzała na nią jak na idiotkę.

— Ojciec Matta i Ricka był jednym z „Złotej Szóstki”.

Bailey tylko zamruwała oczami, rozpaczliwie próbując przypomnieć sobie, co na ich temat powiedziała kiedykolwiek Mattowi, który nigdy i w żaden sposób nie sugerował, aby go coś z nimi łączyło.

— A co z tym wspólnego ma Janice? - nie ustępowała Bailey, dając tym samym Patsy do zrozumienia, że nie ma po co udawać, iż nie zna Janice.

- Jej ojciec też był jednym z nich - wymamrotała Patsy, spuszczać głowę.

Godzinę później Bailey wsiadła do samochodu i wsparła głowę na kierownicy. Teraz już wiedziała, że spotkanie zakończyło się fiaskiem. A jeszcze rano obudziła się pełna entuzjazmu, bo liczyła, że do spółki z dwiema zaprzyjaźnionymi kobietami uruchomi dochodowe przedsięwzięcie, do którego mężczyźni nie będą mieć dostępu.

Straciła jednak cały kontenans, gdy okazało się, że „wspólniczki” nadal nie chciały ze sobą rozmawiać, a spotkanie dotyczące interesów zakończyło się jak kłótnia dzieciaków w piaskownicy, po której wszyscy zabierają swoje zabawki i obrażeni rozchodzą się do domów.

- Kobiety nie nadają się do tej zabawy - mawiał Jimmie, który nawet nie próbował ukrywać swojego męskiego szowinizmu. - Wystarczy, że ktoś zadraśnie ich uczucia, a zaraz się wycofują.

Po części przyznawała mu rację, bo zaczynała już myśleć, czy nie rzucić wszystkiego w diabły. Miała też inne ciagoty - żeby skoczyć do najbliższego sklepu z bielizną i kupić sobie jakiś seksowny i odpowiednio skąpy łaśzek, w którym następnie przedfilowałyby przed Mattem! Coś jej mówiło, że należał do mężczyzn, którzy „nazajutrz” proponują małżeństwo. Przydałaby się jej dwójka dzieci, którym robiłaby kanapki z masłem orzechowym i galaretką i które woziłaby na treningi piłkarskie i balet...



Pograżona w takich rozmyślaniach, przekreśliła kluczyk w stacyjce. Fakt, że sprawiło jej przykrość, gdy nazwano ją obcą, ale przecież była tu obca. Równocześnie jednak była na tyle wtajemniczona w historię tego miasta, że potrafiła robić na ten temat niedelikatne uwagi.

W domu zostawiła rosnące ciasto na trzy bochenki chleba. Nie powinna była go tak zostawiać, tylko wstrząsnąć formy, aby opadło, i wstawić do letniego pieca, by wyrosło ponownie. Zamiast tego jednak skierowała samochód znów na szosę, podjechała do Ridgeway i zatrzymała się dopiero przed biblioteką.

Podając karteczkę z zamówieniem panience w dziale czasopism, zauważyła, że bibliotekarka nawet nie mrugnęła. Najwidoczniej nie pochodziła z Calburn, gdyż w przeciwnym razie na pewno zwróciłaby uwagę na datę. Po kilku minutach Bailey otrzymała mikrofilm i wstawiła go do przeglądarki. Chciała sprawdzić, o czym donosiła „Ridgeway Gazette” z 31 sierpnia 1968, żeby znaleźć wytłumaczenie dziwnego zachowania Janice, kiedy wymieniła tę datę.

I rzeczywiście, nagłówek artykułu brzmiał: *Tragedia w Calburn*.

Pod tym tytułem opisane było samobójstwo Franka McCalluma, połączone z zabójstwem jego młodej żony, Vondy. Artykuł zaczynał się od słów: „Frank był najbardziej wygadany z całej *Złotej Szóstki*”...

*Miał najbardziej ekspresyjny głos i potrafił przekonać każdego do swoich planów. Z początku wszystko, czego tknął, zamieniało się w złoto. Wyjechał z Calburn wkrótce po ukończeniu szkoły średniej, ale po kilku latach wrócił, już jako wdowiec, z małym synkiem. Ze swoim talentem krasomówczym i darem przekonywania łatwo uzyskał posadę w komisie używanych samochodów. Po roku awansował na stanowisko kierownicze, a już w następnym – sprzedawał więcej samochodów niż którykolwiek dealer w całym stanie.*

*Później jednak szczęście odwróciło się od niego. Niektórzy twierdzą, że stało się to już wtedy, kiedy swoim uwodzicielskim głosem*

oczarował Vondę Oleksy, uczennicę szkoły średniej. Wywołało to oburzenie mieszkańców Calburn, gdyż dziewczyna była o połowę od niego młodsza. Powszechnie sądzono, że „Złotej Szóstce” za dużo ucho-  
dzi płazem. Frank jednak postawił na swoim i ożenił się z Vondą.

Niedługo po ślubie Frank przyszedł do pracy pijany. Nikt nie potrafił powiedzieć, jak to się stało, ale samochód pozostawiony na biegu ruszył z nienacką i przygniół Franka do betonowej ściany. Zabrano go do szpitala, gdzie spędził kilka tygodni, a wyszedł jako wrak człowieka. Stracił nie tylko władzę w lewym barku, ale i dotychczasowe szczęście. Nie minął nawet rok, gdy z powodu alkoholizmu został zwolniony z pracy w salonie samochodowym. Bez grosza przy duszy, zabrał młodą żonę i powrócił w swoje rodzinne strony, do górskiego szataśu bez elektryczności i kanalizacji. Można sobie wyobrazić, do jakiej desperacji musiał go pchnąć taki spłót wydarzeń.

Ale czy ktoś z nas potrafiliby zapomnieć o bohaterskich czynach „Złotej Szóstki?” Dawno temu, bo jeszcze w 1953 roku, sześciu chłopców wysłano z rodzinnego miasteczka do szkoły w innym mieście. Co tam przeżyli, wiedzą tylko absolwenci podobnych szkół. Jak wszystkich nowicjuszy gnębiono ich, poniżano i wyśmiewano. Czy myślicie, że nasi chłopcy nosili urazę w sercach? Nie. Kiedy groziło niebezpieczeństwo i trzeba było dać przykład męstwa, chłopcy z Calburn stanęli na wysokości zadania. W naszej części stanu chyba nie ma nikogo, kto by nie słyszał, jak „Złota Szóstka” uratowała całą szkołę w obliczu śmiertelnego zagrożenia.

Ale to było dawno, a tymczasem Frank McCallum spadł ze szczytów sławy na samo dno upodlenia. Z bohatera stał się alkoholikiem i nędzarzem, którego desperacja pchnęła w końcu do zbrodniczych uczynków. Nie znamy wszystkich okoliczności, które doprowadziły go do takiego stanu - znamy tylko suche fakty.

Trzydziestego sierpnia 1968 roku Frank McCallum zastrzelił swoją młodą żonę, a potem zwrócił broń przeciwko sobie. Koroner zakwalifikował ten postępek jako zabójstwo połączone z samobójstwem.

Pogrzeb odbędzie się drugiego września w Calburn, w Domu Pogrzebowym Davisa. Ręczę, że nazwiska żałobników niosących trumnę znane są nam wszystkim.

Poniżej zamieszczono listę nazwisk: Rodney Yates, Thaddeus Overlander, Frederick Burgess i Harper Kirkland. Listę zamykało nazwisko ojca Matta - Kyle'a Longacre'a.

Bailey przestawiła przeglądarkę mikrofilmów na datę 2 września. Na pierwszej stronie gazety z tego dnia nie znalazła żadnego nagłówka, który by dotyczył tej sprawy. Dopiero na stronie szóstej zamieszczono wzmiankę opatrzoną tytułem *Calburn w żałobie*:

*Trzy dni temu znaleziono ciała Franka McCalluma i jego młodej żony w kałuży krwi, z odstrzelonymi twarzami.*

Bailey skrzywiła się z niesmakiem i ominęła następne dwa zdania. Podczas gdy pierwszy artykuł był utrzymany w podniosłym, żałobnym tonie - ten drugi zdradzał upodobanie autora do drastycznych szczegółów. Sprawdziła, że obydwie materiały wyszły spod pióra dwu różnych osób, co zgadzało się z jej przypuszczeniami. Czytała więc dalej:

*Nikt jednak nie wiedział, że tej samej feralnej nocy w Calburn miała miejsce druga tragedia. Gus Yenters, powszechnie szanowany obywatel, popełnił samobójstwo przez powieszenie. Zrozpaczona wdowa oświadczyła szeryfowi, że nieznane są jej powody, dla których jej ukochany mąż mógł pragnąć śmierci. Był przecież właścicielem farmy i dobrze prosperującego przedsiębiorstwa, miał również dwoje udanych pasierbów, a zatem miał dla kogo żyć. Nasz reporter odnotował wypowiedź pani Venters, w której stwierdziła, że nie rozumie tego, co się stało.*

Bailey znów się skrzywiła. Autor artykułu nie wspomniał ani słowem o romansie pani Venters i o tym, że kazała mężowi wynosić się z farmy! Bailey wróciła jednak do przerwanej lektury.

*Tej samej nocy, kiedy zginął Frank, jeszcze jeden z członków Złotej Szóstki opuścił miasto i dotąd nie powrócił. Na pogrzebie Franka okazało się, że pani Longacre zdołała utrzymać w tajemnicy zniknięcie swego męża przez trzy dni. Sprawa wyszła na jaw,*

*dopiero gdy Kyle Longacre nie pojawił się na pogrzebie swego przyjaciela, mimo że był wyznaczony do niesienia trumny. Mieszkańcy miasta zrozumieli od razu, że musiało się stać coś złego, bo człowiek pokroju Kyle'a Longacre'a bez ważnej przyczyny nie odmówiłby staremu przyjacielowi ostatniej posługi.*

*Nasz reporter dowiedział się z wiarygodnego źródła, że pani Longacre pochodzi z rodziny Winfieldów, plasującej się wysoko na drabinie społecznej Filadelfii. Nie utrzymywała jednak stosunków ze swoją rodziną od momentu, gdy kilka miesięcy przed dyplomem poślubiła kolegę ze studiów - charyzmatycznego Kyle'a Longacre'a. Ten sam informator powiedział naszemu reporterowi, że Winfieldowie nie uważali syna Stanleya Longacre'a za odpowiedniego kandydata na zięcia, chociaż zasiedzieli mieszkańcy Calburn pamiętają, że ojciec Kyle'a był najbogatszym obywatelem kilku hrabstw. Dopiero w 1958 stracił cały majątek, a wtedy wraz z samochodem i trzydziestoletnią żoną rzucił się z klifu do morza. Epitafium na ich nagrobku głosi: „Razem po śmierci, tak samo jak za życia”.*

*Z powodu kłopotów finansowych Kyle musiał jeszcze przed dyplomem opuścić renomowany uniwersytet na Północy. Po powrocie do rodzinnego Calburn podjął pracę agenta handlowego. Wkrótce poznana przezeń dama z towarzystwa wyrzekła się swojej rodziny i wyszła za Kyle'a, choć z uwagi na wykonywaną pracę nie mógł on poświęcać wiele czasu rodzinie.*

*Wszystko jednak wskazuje, że trzy dni temu nastąpił kres tej wielkiej miłości. Nasz reporter został poinformowany, że Kyle Longacre napisał do żony tylko krótki liścik - którego treści nie ujawniła - i opuścił miasto. Zostawił żonę z dwojgiem małych dzieci, pięcioletnim Mattem i trzyletnim Rickim. Pytana przez naszego reportera, pani Longacre oświadczyła, iż zamierza zabrać dzieci i wrócić do swojego domu rodzinnego w Filadelfii.*

Bailey odchyliła się do tyłu na oparcie krzesła. Wiedziała przecież, że matka Matta nie miała żadnego domu, a jeśli - to w Calburn. Czyżby zjawiła się razem z synkami na progu rezydencji swoich rodziców, ale nie została tam przyjęta?

Myślała o tej kobiecie ze współczuciem. Mało tego, że rodzice wydziedziczyli ją, gdy chciała poślubić mężczyznę, którego kochała, to nie zmienili postanowienia nawet wtedy, kiedy została sama!

Żal było Bailey także biednego Matta. Przez całe dotychczasowe życie musiał walczyć o odzyskanie tego, co mu się słusznie należało.

Bailey pogrzebała w torebce, wyjęła notatnik i długopis. U góry strony zapisała datę 30 sierpnia 1968, a pod spodem - w słupku jedno pod drugim - wydarzenia tego dnia:

Gus Venters powiesił się  
Frank zastrzelił żonę, a potem siebie  
ojciec Matta wyjechał z miasta na zawsze  
1959 - urodził się Jimmie...

Tylko czy naprawdę tego dnia przypadały urodziny Jimmiego?

Bailey odłożyła długopis i zamyśliła się. Przypomniała sobie, że jej mąż nie cierpiał jasnowidzów ani osób zajmujących się wróżbiarstwem. Potrzebowała lat, zanim się domyśliła, że animozja ta nie wynika z niewiary w ich przepowiednie, tylko ze strachu przed tym, co mogli mu powiedzieć. Kiedyś na kolacji gościli pewną dobrze urodzoną damę, która amatorsko zajmowała się astrologią. Zapytała Bailey o datę urodzenia Jimmiego, ale słysząc, że urodził się 30 sierpnia, odpowiedziała stanowczo:

- To niemożliwe. On nie może być spod znaku Panny. Wszystko, tylko nie Panna. Proszę, podaj mi prawdziwą datę i miejsce jego urodzenia, to ułożę dla niego horoskop.

Bailey nie powtórzyła Jimmiemu wątpliwości tej damy ani jej pytania, bo wiedziała, że i tak nie uzyska prawdziwej odpowiedzi. Gorzej nawet - Jimmie z pewnością wyciągnąłby od niej, kto prosił o tę informację, a wtedy nie zobaczyłaby już więcej amatorki astrologii. Ponieważ zdążyła ją polubić, dyskretnie powiadomiła ją, by nie wspominała nikomu

z obecnych o swoim... hobby. Kobieta ze zrozumieniem skinęła głową.

Mimo to za którymś razem Bailey odkryła, że Jimmie wpatruje się w nią badawczo, jakby chciał dociec, co jego żona widzi ciekawego w kobiecie tak obwieszanej imitacjami brylantów, że osoba drobniejszej postury nie uniosłaby tego ciężaru. Gdy zostali sami, zapytał Bailey o to wprost, ale ona tylko zaszczębiotała niewinnie, że chciała posłuchać o licznych podróżach tej pani. Jimmie spojrzął na nią, unosząc wysoko brew, to zaś oznaczało, że jej nie wierzy. Bailey uparcie jednak obstawała przy swojej wersji. Nic jej to zresztą nie pomogło, bo i tak nie zobaczyła już więcej pani hrabiny.

Ale głęboko zapadło jej w pamięć, że specjalistka od horoskopów gotowa była dać głowę, że James Manville nie urodził się 30 sierpnia!

Spojrziała na zegarek i stwierdziła, że minęła piętnasta, a zatem, jeśli chciała zdążyć na czas z kolacją dla Matta, powinna była już jechać do domu. Zanim wzięła się do przewijania mikrofilmu, dostrzegła pod przeczytanym właśnie artykułem notkę: „Patrz odbitka oryginalnego artykułu na stronie B2”.

Wtedy już wiedziała na pewno, że za nic w świecie nie zrezygnuje z zajrzenia na drugą stronę pisma. Do dzisiejszego dnia bowiem wydarzenia z udziałem grupy uczniów szkoły średniej - grupy nazywanej w Calburn „Złotą Szóstką” - miały dla niej charakter lokalnego incydentu, niegodnego uwagi. Do tej pory nawet nie zajrzała do książki, którą dała jej Violet. Do dziś nie zdawała sobie również sprawy, że oświadczenie może znać kogoś związanego z tą grupą. Teraz już wiedziała, że w jej skład wchodził ojciec Janice i Matta. Nic jednak nie tłumaczyło postępków ojca Matta, który porzucił żonę z dwojgiem dzieci. Czyżby Kyle Longacre tak bardzo przejął się samobójstwem i zabójstwem w wykonaniu starego kumpla, że nie mógł dłużej znieść tego miasta?

Bailey przeczytała więc artykuł o wydarzeniach roku 1953, którym grupa chłopców zawdzięczała przydomek „Złotej

Szóstki". Jeszcze zanim doczytała do końca, musiała przyznać, że czyny, których ci chłopcy dokonali, nosiły rzeczywiście znamiona bohaterstwa.

W pierwszej części artykułu opisane były te same wypadki, o których Bailey dowiedziała się od Violet: pożar w szkole i — w jego następstwie - rozmieszczenie uczniów w różnych placówkach poza Calburn.

Autorka nie poprzestała na suchym opisie, ale na własną rękę przeprowadziła poszukiwania, a także wywiady z wieloma osobami. Między innymi przytoczyła fakt, jak to rodzice uczniów nękali radę pedagogiczną szkoły żądaniem, gdzie chcieliby widzieć swoje dzieci, że w końcu dyrekcja zdecydowała się na salomonowe rozstrzygnięcie. Nazwiska uczniów wypisano na karteczkach, które wrzucono następnie do kapelusza i drogą losowania przydzielano dzieci do poszczególnych szkół w innych miejscowościach. W efekcie takiego losowego podziału prawie wszystkie dziewczynki znalazły się w jednej szkole, do innej bowiem trafiły tylko dwie. Natomiast z sześciu chłopców, których dotąd nie łączyło nic poza wychowywaniem się w tym samym mieście, stworzono jedną grupę.

Reporterka scharakteryzowała pokrótce każdego z nich, taktownie pomijając fakt, że pochodzili z różnych środowisk społecznych, choć taki wniosek narzucał się sam. Autorka tylko dyskretnie zaznaczyła, że w normalnych warunkach nigdy by się nie zaprzyjaźnili. W tym przypadku zdecydowała narzucona chłopcom, sztuczna izolacja.

I tak na przykład do „szóstki” należał Taddy, czyli Thaddeus Overlander, pilny uczeń, któremu rodzice ze względów religijnych nie pozwalali brać udziału nawet w meczach koszykówki, a co dopiero - w życiu towarzyskim. Frederick Burgess był dla odmiany potężnie zbudowanym osiłkiem, któremu nauka sprawiała trudności. Harper Kirkland mieszkał tylko z matką - ostatnią z rodu założycieli, a przez pewien czas nawet właścicieli Calburn. Dopiero dziadek Harpera stopniowo wyzbył się ziemi, a uzyskane pieniądze roz-

trwonił, toteż w rękach rodziny Kirklandów pozostawała obecnie tylko redakcja niskonakładowej lokalnej gazety w Calburn.

Frank McCallum i jego kuzyn Rodney Yates wychowali się w małej górskiej osadzie, gdzie żyli w ciężkich warunkach. Wybrali szkołę średnią akurat w Calburn, gdyż tam mieszkał jeden z siedmiu braci Rodneya, który zakończył edukację na szóstej klasie podstawówki. Rodney i Frank jednak dążyli do lepszego życia, postanowili więc kontynuować naukę.

Reporterka wspomniała o talencie Franka do przekonywania innych, jak też o tym, że zarabiał, zbierając ogłoszenia dla gazety. Natomiast Rodney Yates był według niej niezwykle przystojnym młodym człowiekiem, którego przeważnie widywano w otoczeniu dziewcząt.

- A teraz kolej na Kyle'a - zapowiedziała dziennikarka i Bailey wstrzymała oddech, bo zaraz miała dowiedzieć się czegoś więcej o ojcu Matta. Jaki charakter mógł mieć człowiek porzucający dwoje małych dzieci i żonę, która dla niego wyrzekła się własnej rodziny i majątku?

- Kyle to prawdziwy złoty chłopak - głosił artykuł. - Zarówno w Wirginii, jak i w sąsiednich stanach każdy musi wiedzieć o życiowym sukcesie Stanleya Longacre'a. To on zaprojektował pałacyk, w którym mieszka obecnie Kyle, a zresztą wielu mieszkańców Wirginii żyło w domach, które on projektował. Wydaje się to nawet logiczne, że człowiek, który stworzył tyle cennych dzieł, spłodził również takiego syna jak Kyle - przystojnego, wysportowanego, prymusa i starostę roku na studiach.

- Ale on porzucił żonę i dzieci! - zaprotestowała Bailey, po czym kontynuowała lekturę.

Tamtego jesienno-go dnia 1953 roku, do szkoły zadzwonił jakiś mężczyzna o ponurym, złowroźnie brzmiącym głosie. Ostrzegł, że w budynku podłożył bombę, która lada moment wybuchnie. Nikt nie ujdzie z życiem. I rzeczywiście, mniej więcej po minucie korytarze szkoły wypełnił czarny dym. Zapanował chaos, ale sześciu chłopców z Calburn



zdołało stłumić panikę i zapewnić wszystkim kolegom drogę ewakuacji.

Przybyła reporterka zastała wszystkich uczniów poza budynkiem szkoły. Na miejscu była już straż pożarna i policja. Niektóre dziewczyny płakały. Dziennikarka sądziła, że odregowują przeżyty strach, ale dwie uczennice przez łzy wyznały: „Byliśmy wszyscy tacy niedobrzy dla nich...”

Dopiero wtedy autorka reportażu zaczęła zadawać im bardziej szczegółowe pytania i dowiedziała się prawdy. Okazało się, że uczniowie w Wells Creek nie życzyli sobie nowych kolegów, od początku więc dawali im do zrozumienia, że nie są tu mile widziani. Wyśmiewali ich, przezywali, płatali im złośliwe figle - w rodzaju podrzucania zdechłych szczurów do szafek - i stosowali wobec nich bojkot towarzyski. Na pewno przybysze z Calburn ciężko to przeżywali, ale w potrzebie umieli wnieść się ponad doznawane przykrości i, ryzykując własne życie, przyjść z pomocą kolegom.

Bailey przeczytała opis wydarzeń tego dnia, oparty na relacjach uczestników. Gdy otrzymał polecenie ewakuacji szkoły, Taddy wyrzął przez okno swojej klasy i dostrzegł dym wydobywający się z sali gimnastycznej. Usłyszał, jak dwóch piłkarzy wali w drzwi od środka, wywnioskował zatem, że mogli zostać uwięzieni w sali. Wyjście z klasy zatarasowali uczniowie w panice cisnący się do drzwi, Taddy wychylił się więc przez okno, zszedł na dół po drabince przeciwpożarowej i uwolnił ćwiczących. Niektórzy potrzebowali pomocy lekarskiej z powodu zatrucia czadem, ale dzięki Taddy'emu nikt nie odniósł poważniejszych obrażeń.

Z kolei Rodney zeznał, że usłyszał krzyki dobiegające z szatni dziewcząt. Pobiegł tam, ale drzwi były zamknięte na zasuwę. Rzucił się do okien, ale szatnia mieściła się w suterenie, okna więc znajdowały się tuż nad ziemią, zresztą także były zamknięte. Na szczęście w pobliżu znajdowała się sala zajęć praktycznych, Rodney więc wziął stamtąd łom i wypchnął okna z ram. Dziewczęta wspięły się po ławkach i wtedy wydostały się na zewnątrz.

Reporterka przytoczyła dosłownie swoją rozmowę z Rodneyem.

- Czy to prawda, że niektóre dziewczęta były rozebrane do naga? - spytała go.

- Tak, proszę pani.

- A ty dałeś im swoje rzeczy, żeby się okryły?

- Tak, oddałem im marynarkę, koszulę, podkoszulek i spodnie.

- Aha, to dlatego zostałeś tylko w slipach, skarpetach i butach?

- Tak, proszę pani, właśnie dlatego.

Czytając ten wywiad, Bailey nie mogła powstrzymać uśmiechu. Z łatwością wyobraziła sobie przystojnego młodego człowieka, który został w samych slipkach, ponieważ inne części garderoby oddał przerażonym dziewczętom.

- Niewątpliwie jednak bohaterem dnia został Kyle Longacre - dowodziła autorka reportażu.

W szkole znajdowała się maska gazowa, pamiątka z pierwszej wojny światowej, trzymana w szklanej gablocie. Kyle rozbił szkło, nałożył maskę, wskoczył w niej na biurko i ściągnął drabinkę prowadzącą na strych. Po fackie powiedział reporterce, że zauważył dym snujący się pod sufitem, podejrzewał więc, że bomba musi być na strychu. Nie zastanawiał się nad tym, co robi, tylko po prostu skorzystał z drabinki.

- I znalazłeś bombę? - dociekała reporterka.

- Tak - odpowiedział sucho Kyle.

Dziennikarka już wcześniej zauważyła, że niechętnie mówi o tym, co zrobił. Przytoczyła także wypowiedź strażaka. Jego zdaniem Kyle popełnił największe głupstwo pod słońcem. Właściwie sam nie był pewien, czy temu chłopakowi należałoby dać medal, czy raczej dla jego własnego dobra wziąć go pod klucz. Równocześnie jednak jakaś kobieta wlewnie uściśnięta dłoń Kyle'a, dziękując mu za ocalenie życia jej córce. Matka uratowanej dziewczyny dodała jeszcze, że mieszkają w domu zaprojektowanym przez ojca Kyle'a, na osiedlu powszechnie nazywanym Złotą Sześćdziesiątką.

Wzięło się to stąd, że na tym sześćdziesięcioakrowym obszarze rosły kiedyś brokoły, które w okresie kwitnienia tworzyły jakby złocisty dywan.

## 14

Bailey machinalnie przesuwała na talerzu swoją porcję zapiekanki. Znowu nie miała czasu ugotować porządnej kolacji, po drodze więc wstąpiła do Boston Marketu i kupiła gotowe danie w foremce. Miała nadzieję, że Matt nie domyśli się pochodzenia wieczornego posiłku. Na razie jadł zapiekankę w milczeniu, zatopiony w rozmyślaniach, podobnie zresztą jak i Bailey.

Wciąż rozważała artykuł przeczytany kilka godzin temu. Z podziwem myślała o sześciu wspaniałych chłopcach - z pozoru zwykłych uczniach szkoły średniej, szykanowanych przez kolegów, którzy jednak w potrzebie przyszli tym kolegom z pomocą, narażając własne życie. Nie przypuszczała, by wielu młodych ludzi zdolnych było do takiego poświęcenia.

Mogła sobie wyobrazić, jak ciężkie życie w szkole musiały mieć Taddy - stroniący od towarzystwa mól książkowy. Na pewno sprawni, wygimnastykowani członkowie drużyny piłkarskiej nie szczędzili mu kpiny i upokorzeń. A jednak nie kto inny, lecz właśnie Taddy zjechał po rynnę, żeby wyratować ich z pożaru.

Kyle poważił się na coś więcej - nałożył maskę przeciwgazową i zabrał się do unieszkodliwiania bomby. A gdyby wybuchła? Miał przecież czas, by schronić się w bezpiecznym miejscu, czemu więc nie myślał przede wszystkim o ratowaniu własnego życia? Co mogła go obchodzić szkoła, której uczniowie dokuczali mu i wyśmiewali się z niego?

A z drugiej strony - jak należy rozumieć fakt, że taki człowiek mógł później opuścić żonę i dzieci?

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że twój ojciec był jednym ze „Złotej Szóstki?” - spytała cicho Matta, nie patrząc mu w oczy. Dopiero gdy nie odpowiadał, spojrzała na niego i zorientowała się, że prawie nic nie zjadł, dziobał tylko kawałki kurczaka.

- Nie sądziłem, żeby to było ważne - powiedział po chwili namysłu, później odłożył widelec i odchylił się na oparcie krzesła. - Mogłaś mi powiedzieć, żebym ci kupił te zapiekanki - dorzucił, dając do zrozumienia, że wie, iż nie przyrządziła ich sama.

- Przepraszam, nie miałam czasu zrobić nic porządne-go... - zaczęła. Po chwili jednak zorientowała się, że Matt chce zmienić temat, powtórzyła więc poprzednie pytanie: - Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- A niby odkąd tak się interesujesz „Złotą Szóstką?” - odwarknął. Bailey wyczuła, że chce ją spławić, ale nie ustępowała.

- Jeśli mam mieszkać w tym mieście, to powinnam chyba wiedzieć coś więcej o jego ludziach. Dziś niechcący uraziłam Janice, bo zażartowałam sobie ze „Złotej Szóstki”, a ona od razu się wściekła! Dopiero Patsy mi powiedziała, że i twój ojciec, i jej należeli do tej grupy. Sądziłam, że to wszystko działo się już dawno i dziś nie ma żadnego znaczenia. Widzę jednak, że się myliłam. - Patrząc Mattowi prosto w oczy, dodała ściszym głosem: - Na przykład: czy wiesz, dlaczego twój ojciec od was odszedł?

Matt bez słowa wstał i wyszedł z pokoju, a Bailey ciężko westchnęła. Wszyscy się dzisiaj na nią obrażali, cokolwiek by powiedziała! Cóż mogła zrobić - sprzątnęła ze stołu i wstawiła naczynia do zmywarki. Ledwie skończyła, odwróciła się i zobaczyła Matta, który stał za nią z pudełkiem po butach w ręku.

- Chcesz obejrzeć trochę zdjęć? - spytał.

- No pewnie! - Odetchnęła z ulgą, że nie gniewa się na nią, i czym prędzej podążyła za nim do salonu. Matt usiadł na kanapie i wskazał Bailey miejsce obok siebie. Dotychczas

trzymali się niepisanej umowy, że to ona siadała zwykle na kanapie, a on w fotelu. Tym razem usiedli blisko siebie, a pudełko Matt postawił na stoliku do kawy.

- Nie mam ich zbyt wiele - tłumaczył, podnosząc wieczko zniszczonego pudełka, w którym kiedyś mieściła się para małych, dziecięcych bucików. - Mniej więcej po roku od odejścia naszego ojca mama wyrzuciła je na śmietnik. To zupełnie przypadek, że je uratowałem.

Bailey odniosła wrażenie, że Matt nikomu dotąd nie pokazywał zawartości pudełka, choć nie powiedział tego wprost. Zauważyła, że ręka mu drży przy zdejmowaniu wieczka.

- Szalałem za swoim ojcem - opowiadał. - Rzadko bywał w domu, ale kiedy przychodził, od razu wszystko kręciło się wokół niego. Nie śmieję się ze mnie, ale on naprawdę był super! Umiał zrobić chyba wszystko. Dużo czytał, ale przeważnie literaturę faktu, więc nawet będąc w ciągłych rozjazdach, wiedział, co się dzieje na świecie. W czasie jego nieobecności pełniłem właściwie funkcję głowy domu, chociaż miałem zaledwie pięć lat. Byłem więc dzieckiem nad wiek rozwiniętym i zadawałem mnóstwo pytań. Ojciec nigdy nie zbywał mnie ani nie odtrącał, jak nieraz robili inni tatusiowie.

Matt sięgnął do pudełka i wyjął jedno zdjęcie, formatu pocztówkowego, nienaturalnie upozowane, jakie często widuje się w kronikach szkolnych. Gdy Bailey wzięła je od niego, uległa złudzeniu, że patrzy w oczy młodszego i szczuplejszego wydania Matta.

- Jesteś do niego bardzo podobny. Ależ to przystojny facet!

- Chyba był przystojny, bo już nie żyje.

Różne pytania cisnęły się Bailey na usta, ale wyczuła, że jeśli zachowa powściągliwość - Matt chętniej sam powie jej więcej. On tymczasem podsunął jej następne zdjęcie, na którym sześciu chłopców stało przed samochodem z zaokrąglonymi błotnikami - cudem techniki z lat pięćdziesiątych.

- To są... - zaczął.

- Domyślam się, kim oni są, ale uważaj, czy zgadnę, który jest który. - Bailey podeszła ze zdjęciem pod samą lampę. - Ten w swetrze z inicjałami to twój ojciec, prawda?

- Zgadza się - potwierdził z uśmiechem Matt.

- A ten to Rodney... Kurczę, jaki przystojniak!

- Owszem. Po ukończeniu szkoły przeniósł się nawet na dwa lata do Hollywood, ale nie zrobił kariery w filmie. Może konkurencja była za silna, w każdym razie wrócił do Calburn.

- Tak jak Frank.

- Przeczytałaś w końcu tę książkę, którą trzymasz przy łóżku? Tę, którą dała ci Violet?

- Jak... - zaczęła Bailey i urwała. - Nie, lepiej mi nie mów, skąd wiesz, co trzymam przy łóżku i kto mi to dał. Natomiast jeśli chodzi o tę książkę, to jeszcze jej nie przeczytałam. Spędziłam dzisiejsze popołudnie w bibliotece, czytając reportaże prasowe na ten temat.

- Aha.

- Co to miało oznaczać?

- To znaczy, że choćbyś przeczytała nawet wszystkie gazety, to i tak nie poznasz całej prawdy. No, kogo jeszcze poznajesz? - Ruchem głowy wskazał zdjęcie, które miała w ręku.

- Frank to pewnie ten chudy. Stoi na samym końcu, chyba z papierosem w ręku.

- Owszem, i to bez filtra, ale jesteś pewna, że to nie Taddy?

- Skąd, Taddy to ten wysoki z drugiej strony. Wygląda na wystraszonego.

- No, widzę, że całkiem dobrze ci to idzie! - pochwalił Matt.

- A Burgess to ten potężny, co przykucnął w pierwszym rzędzie. - Podniosła zdjęcie wyżej i dokładniej przyjrzała się wizerunkowi młodego człowieka stojącego obok Kyle'a. Harper Kirkland był drobny i szczupły, o buzi aniołka z Kaplicy Sykstyńskiej. Kogoś jej przypominał, ale nie pamiętała, kogo. - Co stało się z nimi wszystkimi?

Matt odebrał od niej zdjęcie i położył na stole obok poprzedniego. W pudełku zostały kawałki papieru poskładane na kształt kopert. Przechowywał w nich każde zdjęcie oddzielnie, aby się nie zarysowało

- Burgess przez wiele lat prowadził hurtownię materiałów budowlanych, którą przejął po ojcu - zaczął objaśniać. - Potem jednak zbankrutował i zginął w katastrofie, pilotując samolot. To mogło się stać w 1982 albo 1983. Rodney zdążył dwa razy się ożenić i spłodził kupę dzieci. Taddy uczył przedmiotów ścisłych w naszej szkole średniej, dopóki jej nie zamknęli. Dwa lata później zmarł na zawał serca. Do śmierci pozostał kawalerem. O Franku i moim ojcu już wiesz.

- A co z Harperem?

Matt zawahał się, zanim odpowiedział:

- Jako jeden z pierwszych w Stanach padł ofiarą AIDS.

- No tak, teraz już pamiętam, kogo mi przypominał! - Bailey jeszcze raz przyjrzała się zdjęciu. — Oczywiście, wyglądała zupełnie jak Sal Mineo. No, gdyby ci „miejscowi”, z Welborn, wiedzieli o nim jeszcze i to, nie dałabym trzech groszy za jego życie.

Matt podał jej następne zdjęcie, przedstawiające parę roześmianych, młodych ludzi. On miał na sobie sweter z nazwą reprezentacji szkoły, a ona szeroką, kloszową spódnicę i obcisły sweterek z kołnierzykiem obszytym puchem. Wyglądali jak aktorzy teatralni w czasie przedstawienia.

- To twoi rodzice? - domyśliła się Bailey.

- Tak, jeszcze zanim mój dziadek zbankrutował, a potem zjechał z klifu rozpędzonym samochodem z moją babcią w środku.

Gorzka ironia tych słów poraziła Bailey.

- Wyglądają na zakochanych - zauważyła. - Widać to po jej oczach. Patrzy na niego, jakby... - Nie znalazła odpowiedniego określenia.

- Jakby nie wahała się pójść za nim choćby na koniec świata? - dokończył Matt z sarkazmem w głosie. - I ow-

szem, szła za nim wszędzie, ale on i tak odszedł i więcej nie wrócił. Porzucił kobietę, która kochała go nad życie. Została z dwojgiem dzieci na utrzymaniu, ale była zbyt dumna, żeby prosić rodziców o pomoc.

- No i jak dawaliście sobie radę?

- Wspominam swoje dzieciństwo jako lata pracy - zaczął po chwili milczenia. - Przynajmniej tak mi się wydawało. Matka prowadziła sklep należący do jakiegoś starego skapca, a nas zostawiała pod opieką niechlujnej staruchy, która przez cały dzień oglądała seriale telewizyjne, a na mojego brata ani na mnie nawet się nie obejrzała!

Matt wziął głęboki oddech, aby się uspokoić, potem mówił dalej:

- Staralem się, jak mogłem, żeby mój braciszek był zawsze nakarmiony i dopilnowany. Miałem dziewięć lat, kiedy w poszukiwaniu zarobku zacząłem strzyc trawniki sąsiadom. W dniu, kiedy ojciec od nas odszedł, przestałem być dzieckiem, a stałem się mężczyzną. On zabrał ze sobą tylko swoje szkolne wyróżnienia, a mamie zostawił raptem krótki liścik.

Spojrzał na Bailey oczami pociemniałymi z gniewu.

- A wiesz, co było w tym liściku? — Nie czekał odpowiedzi, sam dokończył: - „Przebacz mi!” Tylko to! Wszystkiego dwa słowa!

- Ale ty mu nie przebaczyłeś, prawda?

- Nie, bo człowiek powinien dotrzymywać swoich zobowiązań.

- Tak jak ty dotrzymałeś obietnicy danej Cassandrze?

- No właśnie. Trwałem przy niej, dopóki sama mnie nie zdradziła. Ja ślubowałem jej wierność i swoich ślubów dochowałem.

- Czy twoja matka nie próbowała nawiązać kontaktu ze swoimi rodzicami?

- Nie, była na to zbyt dumna... No, nie patrz tak na mnie, wiem, że odziedziczyłem po niej tę dumę. Patsy nieraz kładła mi to do głowy! Moja mama nigdy nie przyjęłaby pieniędzy od rodziców, nawet ode mnie nie brała ani grosza, cho-



ciaż w każdej wolnej chwili starałem się zarobić, ile mogłem. Mama nieraz powtarzała, że powinienem pójść na studia, bo to jedyny sposób, żeby nie wylądował tak jak ona. Bardziej nigdy nie narzekała.

- Szkoda, że nie miałam szansy jej poznać - powiedziała Bailey. - Jakżebym ja na jej miejscu narzekała! Na kolanach wróciłabym do ojca i błagała o przebaczenie!

- Czyżby? - uniósł brwi Matt. - Oj, coś mi się nie wydaje, żeby to była prawda. Podejrzewam raczej, że masz w sobie więcej dumy niż moja matka i ja razem wzięci!

Bailey odwróciła oczy, bo Matt dostrzegł stanowczo za dużo. Wolała zmienić temat.

- Czy twoja matka dożyła dnia, w którym ukończyłeś studia?

- Nie. Umarła w roku, w którym Rick kończył szkołę średnią. Sześć miesięcy później ożenił się z Patsy. Zawsze twierdził, że nie jest taki zaradny jak ja, ponadto nie zniósłby życia w samotności. Był sprytniejszy ode mnie i wiedział, czego się trzymać. Przy Patsy i dzieciach odnalazł swoje szczęście.

- On tak, ale ty chyba nie.

- Rzeczywiście, nigdy nie byłem całkiem szczęśliwy, zawsze czegoś mi brakowało, jakbym miał w środku czarną dziurę.

- Udało ci się wykryć, dokąd wyjechał twój ojciec i dla czego to zrobił?

- Kilka lat temu otrzymałem przesyłkę nadaną przez właścicielkę pensjonatu w Baltimore. Dołączyła do paczki list, w którym zawiadamiała, że jej lokator prosił o wysłanie mi tych rzeczy, gdy on umrze.

- Niech zgadnę: to twój ojciec był tym lokatorem?

- Tak, a w paczce były medale, które otrzymywał za dobre oceny w szkole średniej, te same, które zabrał ze sobą, kiedy od nas odchodził. W momencie, kiedy je dostałem, miałem akurat coś innego do roboty, więc tylko mruknąłem: „A to skurwysyn!” i cisnąłem paczkę do graciarni. Dopiero

po rozwodzie, kiedy przeprowadzaliśmy podział majątku, znalazłem to pudełko i wrzuciłem do walizki.

- Do tej walizki, którą już spakowałeś na powrót do Calburn?

- Tak, bo musiałem się zastanowić, co teraz zrobić ze sobą, a najlepiej do tego nadawało się Calburn.

- I doszedłeś już do czegoś?

- Na razie tylko do tego, że muszę się dowiedzieć, co się stało z moim ojcem. Wzrastałem w nienawiści do niego i zarzekałem się, że nigdy nie postąpię tak jak on, ale teraz jestem już starszy i rozumiem, że ludzie nie zawsze kierują się rozsądkiem.

- Słusznie, częściej kierują się emocjami - przyznała Bailey. - A takie rozkołysane emocje często dyktują im nieracjonalne posunięcia.

- Wiesz to z własnego doświadczenia? - zapytał Matt z wesołym błyskiem w oczach. - To może dla odmiany pojechalibyśmy do kina? Raz na jakiś czas trzeba zrobić coś normalnego.

- To brzmi zachęcająco - zgodziła się Bailey. Ale kiedy Matt zaczął zbierać i wkładać zdjęcia z powrotem do pudełka, jedna papierowa kopertka upadła na podłogę. Bailey szybko ją podniosła, bo zastanowiło ją, dlaczego nie pokazał jej wszystkich zdjęć. Czyżby coś trzymał przed nią w tajemnicy - jak i ona przed nim?

Fotografia, którą podniosła z podłogi, przedstawiała dwoje nastolatków, chłopca i dziewczynę. Oboje byli tędzy i nalanani, w opiętych ubraniach, oboje mieli też ponure miny, a chłopak nawet na czarno-białym zdjęciu wyglądał na przyszczatego.

- Czy to koledzy twojego ojca? - zapytała Bailey ze źle skrywaną wesołością, bo nie wyobrażała sobie, jak wytworny starosta roku, Kyle Longacre, mógłby przyjaźnić się z takimi oferkami.

- Nie, to są... - zaczął Matt, ale urwał, kiedy zorientował się, że Bailey nie zamierza odłożyć zdjęcia.

Ona zaś, z twarzą bladą jak sosnowe deski, podniosła obrazek do światła.

- Kim oni są? - spytała ochrypłym szeptem.

- Nie wiem - skłamał gładko Matt. - Znalazłem to zdjęcie w koszu na śmieci, razem z tamtymi. A może ty wiesz, kim oni są?

- Skądże! - zaprzeczyła Bailey przesadnie głośno. — Przecież nie znam ludzi, którzy są na twoich zdjęciach!

Po oczach Matta poznała jednak, że jej nie wierzy, zaśmiała się więc ze sztuczną nonszalancją.

- Przez chwilę wydawało mi się, że to moi antypatyczni znajomi. Aż ciarki przeszły mi po plecach!

- Czy chciałabyś o nich opowiedzieć? - zagadnął Matt łagodnie.

- To raczej nieciekawi ludzie - zbyła go krótko i wstała. - Wiesz co, jeśli nie masz nic przeciwko temu, może darujmy sobie to kino. Czuję się trochę zmęczona i wolałabym poczytać w łóżku. Dobranoc!

Nie czekając na jego odpowiedź, czym prędzej schroniła się w zaciszu swojej sypialni. Szybko zamknęła drzwi od wewnątrz i oparła się o nie.

Młodymi ludźmi na zdjęciu byli Atlanta i Ray. Stali przed domem, który Jimmie zapisał w spadku Bailey i w którym znajdowała się teraz.

## 15

Ledwo Bailey znalazła się w sypialni, odszukała kalendarzyk, a w nim - numery kontaktowe do Philipa. Przez moment wydawało się jej, że powinna go zawiadomić, co przed chwilą zobaczyła. Może obecność brata i siostry Jimmiego w pobliżu domu, który jej zostawił, miała jakieś znaczenie?

W końcu jednak odłożyła kalendarzyk, bo przecież od początku wiedziała, że ten dom należał do Jimmiego. Jeśli więc

on się tu wychował, to chyba jego brat i siostra również. No, a w takich małych miasteczkach częściej się trafiało, że ich mieszkańcy przechowywali w swoich kolekcjach także nie swoje zdjęcia.

Sięgając do komody po nocną koszulę, postanowiła dać sobie spokój z roztrząsaniem tak starych dziejów. Przekonała się już, że nadmierna ciekawość tylko pogarsza sytuację, a z pewnością nie na miejscu byłoby pytanie: „Kim jest ta dwójka niezgrabnych, nabzdyczonych nastolatków i co robi ich zdjęcie między zdjęciami członków «Złotej Szóstki?»” Widziała, że jedna niestosowna uwaga potrafiła rozwścieczyć Janice, wyobraziła więc sobie, jak wyprowadziłoby ją z równowagi zadawanie wielu pytań.

Schowała kalendarzyk do szufladki w nocnym stoliku i skierowała się w stronę łazienki. Doszła do wniosku, że będzie lepiej, jeśli skoncentruje się na rozkręceniu działalności, którą zamierzała podjąć wraz z Patsy i Janice. Gdy podjęła decyzję, od razu poczuła się lepiej, odkręciła więc kurek prysznicu, ale w tym momencie przez okno łazienki zobaczyła światła samochodu, ślizgające się po drzewach. Czyżby Matt postanowił sam pojechać do kina?

Machinalnie zakręciła wodę, narzuciła szlafrok i wyszła z sypialni. Dom wydawał się pusty, tak samo jak wtedy, gdy Matta nie było w domu

- Matt! - zawołała, ale nie było odpowiedzi. Serce podeszłej do gardła, na palcach więc zbliżyła się do jego sypialni. Zobaczyła uchylone drzwi, więc zawołała powtórnie: „Matt!”, a potem położyła rękę na klamce. Próbowała na oczekaniu wymyślić jakiś pretekst, w razie gdyby wrócił lokator, ale nic wiarygodnego nie przychodziło jej do głowy.

Na nie całkiem zaścielonym łóżku stało pudełko po butach, w którym Matt przechowywał zdjęcia. Bailey bez zastanowienia usiadła na brzegu łóżka, zapaliła lampę i otworzyła pudełko. Znalazła tam trzy zdjęcia, których Matt jej nie pokazał.

Najednym był on - jako mały chłopczyk - razem z bratem Rickiem. Ubrani w piżamki, stali pod choinką wśród

rozpakowanych prezentów. Ojciec siedział na podłodze i z miłością wpatrywał się w starszego syna.

Bailey na ten widok łzy napłynęły do oczu, bo wiedziała, co nastąpiło potem.

Na drugim zdjęciu Matt, już trochę starszy, siedział na kolanach ojca za kierownicą samochodu. Na odwrocie tego zdjęcia Bailey znalazła datę, z lipca 1968. Nie minęły zatem nawet dwa miesiące, jak ten czuły tatuś na zawsze porzucił rodzinę.

Kręcąc głową z niedowierzaniem, Bailey jeszcze raz wzięła do ręki fotografię przedstawiającą dwoje nastolatków. Podniosła ją do światła i przyglądała się wnikliwie przez dłuższy czas. Teraz już nie miała wątpliwości, że tych dwoje młodych to Atlanta i Ray, a dom, na tle którego zostali sfotografowani, to ten sam, który Jimmie zostawił jej w spadku.

„Zrób to dla mnie, Piegusku, i dowiedz się całej prawdy o tym, co się stało” - prosiła ją Jimmie. Ale o jaką prawdę mu chodziło? Czy o to, co naprawdę łączyło Atlantę i Raya ze „Złotą Szóstką”, bo inaczej skąd wzięłoby się ich zdjęcie razem z fotografiami rodziny Matta?

Matt twierdził, że nie wie, co ono tam robi ani kogo przedstawia. Może mówił prawdę i znalazło się tam przypadkiem? Na przykład jego matka wyrzuciła wiele innych zdjęć, ale Matt zachował tylko te, które przedstawiały jego ojca? A to akurat przyklepiło się do nich za pośrednictwem kropli keczupu?

Bailey odwróciła zdjęcie, ale na jego spodniej stronie nie znalazła śladów keczupu ani żadnej innej plamy. Odkryła natomiast datę niewyraźnie napisaną ołówkiem. Udało jej się odczytać cyfry 196..., ostatnia była zamazana.

Starannie poukładała zdjęcia w takim porządku, jak były wcześniej, i wygładziła pościel na łóżku, bo nie chciała, by Matt domyślił się, że szperała w jego rzeczach. Wróciła do swojej łazienki i ponownie stanęła pod prysznicem. W strugach ciepłej wody podjęła mocne postanowienie, że na razie nie będzie zadawać żadnych pytań. Co się stało, to się stało dawno i lepiej tego nie ruszać.

Po dwóch dniach spędzonych w towarzystwie Janice i Pat-sy opadły jej ręce. Bailey zorientowała się, że każda z nich ma wiedzę wystarczającą do prowadzenia już działającej firmy, ale nie mają zielonego pojęcia, jak ją uruchomić. Nie mogły się nawet dogadać co do nazwy, ciekawe więc, jak miały zdobyć pieniądze na rozruch.

Bailey zrobiła sobie herbatę, wzięła długopis i szkicownik i wyszła z tym na dwór. Próbowała wymyślić jakąś nazwę i logo, ale bez przekonania. Po godzinie bezowocnych starań wróciła do domu po następną filiżankę herbaty, ale pod wpływem impulsu zabrała na dwór także swój kalendarzyk i telefon bezprzewodowy.

Wybrała numer i z zapartym tchem czekała na reakcję drugiej strony. Od razu uzyskała połączenie, a po pierwszym dzwonku telefon odebrała Carol Waterman. Ledwo Bailey zdążyła się przedstawić, a już zalała ją potokiem wymowy.

- Ach, to ty? Myślałam, że to Philip dzwoni. Ostatnio prawie nie ma go w domu. Nie widzieliśmy go chyba od miesiąca. Dawno już chciał przestać pracować dla nich i dwa razy próbował zerwać kontrakt, ale za każdym razem podwyższali mu honorarium. To duże pieniądze, więc Philip zgodził się jeszcze przez jakiś czas ich reprezentować. Oczywiście nie powie mi, do czego tych dwoje zmierza, ale poznałam po jego minie, że to nic dobrego.

Słuchając jej, Bailey machinalnie kreśliła na kartce szkicownika zarysy falujących gałęzi starej morwy. Mimo najlepszych chęci nie mogła wykrzesać w sobie ani cienia współczucia dla Carol. Bo i czego Philip się spodziewał po współpracy z takimi nędznymi kreaturami? Czy tego, że odziedziczone miliardy przemienią Atlantę i Raya w porządnych ludzi?

- To znaczy, że masz zarówno czas, jak i dostęp do dużych pieniędzy? — podsumowała.

- Myślę, że tak - przyznała ostrożnie Carol. - To zależy, o co ci chodzi.

- Zastanawiałam się właśnie, czy nie chciałabyś przystąpić do spółki, którą zakładam razem z dwiema koleżankami.

- A czym się ma zajmować ta spółka? - badała Carol.

- Na razie zajmujemy się... - Bailey zerknęła na swój rysunek jak na ściągawkę - przystawkami i deserami. To jedna z gałęzi produkcji spółki pod nazwą... „Drzewo Morwy. Przetwory Domowe”.

- Ale chyba nie będę musiała robić tych przetworów?

- Skąd, to moja działka

- Aha, rozumiem. - Głos Carol stał się raptem chłodny. - Więc czego oczekujecie ode mnie poza moimi pieniędzmi?

Bailey potrafiła wczuć się w tok rozumowania Carol. Pamiętała bowiem, jak zaraz po ślubie z Jimmiem różni ludzie składali jej mnóstwo propozycji, ale szybko domyśliła się, że w rzeczywistości chodzi im tylko o pieniądze.

- A gdybyś, na przykład, zajęła się reklamą naszych wyrobów? - improwizowała na poczekaniu. - Myślisz, że potrafiłabyś to robić?

Wiedziała przecież, że ani ona, ani Patsy czy Janice nie miały takich zdolności. Carol jednak nie odpowiadała tak długo, że Bailey złękła się, czy nie odwiesiła słuchawki.

- Zanim wyszłam za Philipa, studiowałam aktorstwo - powiedziała w końcu.

Bailey już chciała prychnąć z pogardą: „A co nam z tego przyjdzie?”, lecz ugryzła się w język. Nie mogła przecież zniechęcić osoby, od której oczekiwała wkładu finansowego.

- No więc mogłabyś... zostać główną gwiazdą naszego spotu reklamowego!

- Super! Macie już jakiś scenariusz?

- Wciąż nad nim pracujemy i mamy nadzieję, że nam pomożesz.

- To znaczy, że nie napisaliście jeszcze ani słowa, prawda?

Bailey roześmiała się, co momentalnie rozładowało napięcie.

- Rzeczywiście, ani słowa. Widzisz, ja umiem gotować, Patsy kierowała kiedyś produkcją w fabryce, a Janice zna się na sprawach finansowych, ale wszystkie utknęłyśmy na tym, jak poinformować ludzi, że mamy na sprzedaż dżemy, galaretki i inne przetwory. Myślisz, że mogłabyś nam w tym pomóc?

- Może... - myślała głośno Carol. - Gdybym znalazła trochę czasu między fryzjerem a manikiurzystką... Wiesz, jak to jest.

- Aż za dobrze! - Bailey starała się ukryć radosne podniecenie. Liczyła, że uda się jej namówić Carol na wkład finansowy, ale talent aktorski mógł się przydać jeszcze bardziej. - Więc gdybyś mogła...

- Wsiąść w najbliższy samolot, przylecieć do was i wykombinować coś więcej ponad to, czy mam nałożyć czarną suknię, czy granatową?

- A wiesz przynajmniej, gdzie teraz mieszkam? - zaśmiała się Bailey.

- Jeszcze nie, ale już trzymam długopis.

Bailey podała Carol swój obecny adres i pożegnała się z nią. Przez jakieś pół minuty starała się zachować spokój, ale w końcu nie wytrzymała, podskoczyła z radości i odtńczyła dziki taniec. Przyciągnęła do siebie gałąź morwy i pocałowała ją, mówiąc: „Kochana staruszka!” Zabrała szkicownik i poszła z nim do „biura” Matta na facjatce. Musiała bowiem przekonać jeszcze Patsy i Janice, że wybrała odpowiednią nazwę dla ich firmy.

Skserowała więc swój rysunek i przefaksowała go oddzielnie do Janice i do Patsy. Od Patsy oczekiwała, że wyszyje aplikację według jej rysunku. Niestety, Janice odpowiedziała jej, że nazwa może sugerować rozprawdzanie wyłącznie produktów z owoców morwy, a Patsy obawiała się, że większość Amerykanów nie ma bladego pojęcia, co to jest morwa.

- To nigdy się nie skończy! - jęknęła Bailey, ale przypomniała sobie słowa Jimmiego. Zawsze mawiał, że nie znosi takich decyzji, na które się wszyscy od razu zgadzają.

- Tym lepiej — odfaksowała. — Ci, którzy nie znają smaku



morwy, nie będą też mieć żadnych uprzedzeń. Zresztą, jeżeli macie lepsze pomysły, to dajcie mi znać.

Przez godzinę faks milczał, a potem spłynęły z niego dwie identyczne odpowiedzi: „Jeśli chodzi o mnie, to się zgadzam”. Oznaczało to, że jej koleżanki zdołały w końcu jakoś dojść do porozumienia.

- Dzięki ci, Jimmie! - Bailey uśmiechnęła się, czytając oba komunikaty. Teraz mogła już śmiało iść do kuchni i zacząć komponować przystawki i desery.

Bailey degustowała właśnie nową kompozycję na bazie truskawek i wiśni. Problem tkwił w tym, żeby tak przyprawić sos, aby przypominał kirsza, nie dodając równocześnie alkoholu. Okazało się bowiem, że dystrybucja wyrobów z dodatkiem alkoholu wymaga specjalnej licencji. Janice zaproponowała więc, by włączyć ten punkt do planu na rok 2005, na co współpracownicy się zgodziły.

Bailey liczyła, że uzyska pożądaną smak, jeśli odcedzi sok, zagęści go nieco i doda esencji migdałowej. Poszła więc do spiżarni po cedzak, ale dopiero po dziesięciu minutach poszukiwaniach znalazła go na najwyższej półce.

To Matt odnosił wczoraj do spiżarni umyte naczynia i najwyraźniej sądził, że cedzak nie będzie jej w najbliższym czasie potrzebny. Odłożył go więc na górną półkę, która znajdowała się prawie metr nad głową Bailey.

Mogła iść do stajni i przynieść stamtąd drabinę albo przysunąć sobie krzesło, lecz szkoda jej było na to czasu. Przecież sos już perkotał na płycie i mógł się przypalić! Weszła więc na najniższą półkę, wstrzymując oddech ze strachu, czy nie załamie się pod jej ciężarem. Ale przypomniała sobie, że teraz waży znacznie mniej niż przedtem, więc może deska jednak wytrzyma?

Wdrapała się po półkach do takiej wysokości, żeby dosięgnąć cedzaka. Kiedy go już zdejmowała, zobaczyła, że z za tylnej deski coś wystaje. Spiżarnia była jedynym pomieszcze-

niem, którego kumple Matta nie przemeblowali, ponieważ Bailey bała się, żeby nie popsuli jej funkcjonalnej obudowy. Skończyło się więc na wielkich porządkach, przy których mogli to i owo przeoczyć.

Ostrożnie zdjęła cedzak na niższą półkę, a potem wdrapała się jeszcze wyżej, by wydostać zza deski kawałek papieru. Przytrzymując się jedną ręką, zdołała go wyciągnąć, a wtedy jej oczom ukazał się biały prostokąt. Od razu odgadła, że ma przed sobą odwrotną stronę fotografii.

Powoli ją odwróciła, ale to, co ujrzała, zaparło jej dech w piersiach. Na pierwszym planie fotograf uwiecznił dwóch mężczyzn. Jeden z nich był krzepkim, muskularnym blondynem o nie bardzo bystrym spojrzeniu, ale za to z urzekającym uśmiechem. Do zdjęcia pozował, obejmując przyjaźnie za szyję czternasto-, może piętnastoletniego chłopca z widocznym rozszczepem górnej wargi i podniebienia.

Bailey ostrożnie zeszła na podłogę i zabrała zdjęcie pod okno, aby przyrzeć się mu w lepszym świetle. Nie miała wątpliwości, że widoczny na nim chłopiec to Jimmie - te oczy i układ ramion poznałaby na końcu świata! Tak samo była pewna, że rosły blondyn obok niego to poprzedni lokator jej domu - ten, który powiesił się w stajni.

W świetle słonecznym widoczne stały się również postacie z drugiego planu - kobieta i dwu mężczyzn. Szczególnie wyraźnie było widać kobietę - drobną, szczupłą i raczej nieładną, o twarzy pociągłej i jakby skurczonej. Stojąc za osiłkiem i Jimmiej, spoglądała na nich z wyraźną pogardą. Bailey od razu domyśliła się, że musi to być niewierna żona Gusa Ventersa.

Nie mogła natomiast rozpoznać mężczyzn stojących z tyłu, gdyż ich twarze widoczne na zdjęciu były zwrócone profilem i nieostre. Zastanawiała się, kto mógłby wiedzieć, kim są ci ludzie. Może Matt? Nie, był wtedy stanowczo za młody, gdyż sądząc po ubraniach, zdjęcie zrobiono pod koniec lat sześćdziesiątych lub na samym początku siedemdziesiątych.

- Violet! - doznała nagłego olśnienia. Czym prędzej wróciła do kuchni, zdjęła z gazu perkoczący przecier owocowy,

położyła ścierkę na szklanej półce lodówki i wstawiła tam rondel. Biegąc do wyjścia, porwała po drodze kluczyki od samochodu. Nie minęło piętnaście minut, jak była już u Violet. Zastała ją na werandzie, pogrążoną w drzemce.

Bailey bezceremonialnie zbudziła ją i pokazała zdjęcie.

- Kim są ci ludzie? - spytała bez żadnych wstępów.

Violet, wcale niespeszona, podniosła na nią oczy.

- Ach, jak miło cię widzieć! Przynieś mi okulary, gdzieś tam muszą być. - Gestem wskazała drzwi.

Szukanie okularów zajęło Bailey dziesięć minut, a dalsze pięć - ich umycie. Przez ten czas Violet zdążyła ponownie zasnąć, zostawiając zdjęcie na podolku.

- No, mów! - wrzasnęła jej nad uchem Bailey, podsuwając okulary. Violet powoli je nałożyła i przyjrzała się zdjęciu, podczas gdy Bailey przysunęła sobie krzesło naprzeciw niej.

- Tych z pierwszego planu nie znam... - zaczęła, ale Bailey wpadła jej w słowo.

- Za to ja ich znam, chciałabym natomiast wiedzieć, kim są ci z tyłu.

- Znasz ich? - Violet uniosła brwi w zdumieniu. - Widocznie już zdążyłaś to i owo przewąchać. Czy chłopak z zajączą wargą to ten, którego szukałaś?

- Mniejsza o niego. Kim są ci dwaj faceci, którzy stoją za nim?

- A co będę z tego miała, jeśli ci powiem?

Bailey zmierzyła ją karzącym spojrzeniem, Violet więc tylko się zaśmiała.

- Dobra, przyjrzyjmy się temu bliżej. Nie znam tej baby, natomiast to jest z pewnością Roddy a ten drugi - to Kyle.

- Znów ta „Złota Szóstka!” - wyszeptała bez tchu Bailey. - Więc on miał z nimi coś wspólnego!

Violet wbiła w nią przenikliwe spojrzenie, a potem podniosła do góry zdjęcie i jeszcze raz je obejrzała.

- O tym dużym mówiła mi koleżanka, że to ten, co się powiesił w twojej stajni. O, popatrz, czy to nie ta morwa, która rośnie za twoim domem?

- Tak, ta sama - odparła machinalnie Bailey, myśląc o czym innym.

- Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej o tym chłopaku ze zdjęcia, czemu sama go nie zapytasz?

- On nie żyje - wyrwało się Bailey. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, z czym się wygadała, i przerażonym wzrokiem spojrzała na Violet.

- Uważaj, żebyś kiedyś sama nie powiedziała komuś za dużo, zamiast czegoś się od niego dowiedzieć! - zaśmiała się Violet, widząc speszoną minę Bailey. - Miałam na myśli, żebyś zapytała go! - Wskazała jedną z twarzy na fotografii.

- Kto to jest?

- Rodney.

- To on żyje?

- Kochanie, może dla ciebie sześćdziesiąty ósmy rok to strasznie dawno, ale naprawdę - to wcale nie tak bardzo. Roddy nie tylko żyje, ale ożenił się z dziewczyną dwa razy młodszą od siebie i ciągle płodzi bachory. Janice nie mówiła ci, że ma ze sześć sztuk przyrodniego rodzeństwa?

- Tu, w Calburn, chyba wszyscy macie zwyczaj pomijania w opowiadaniu tego, co najciekawsze.

- Pewnie, że nie jesteśmy tak wylewni jak ty i nie zwierzymy się pierwszemu lepszemu! — odcięła się Violet.

Bailey wstała, wzięła od niej zdjęcie i zaczęła się zbierać do odejścia. Ale Violet ją zatrzymała.

- A co wy tam, kobitki, knujecie, że latacie napalone jak koty w marcu?

Bailey zatrzymała się w pół kroku. Czy w tym Calburn wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich?

- No, co się tak na mnie gapisz? - roześmiała się Violet. - Nie bój się, to jeszcze nie rozniosło się po mieście, tylko ja czasem wiem więcej niż inni, bo znam kogo trzeba i gdzie trzeba.

Bailey przez chwilę przyglądała się jej badawczo. Ze strzępów informacji, jakie do niej dotarły, wiedziała, że Violet za młodu była znana jako miejscowa prostytutka. W starszym

wieku przekwalifikowała się na dealera narkotyków - czy może tylko marihuany? Bailey znała trochę ludzi z pokolenia Violet, toteż wiedziała, że dawni hippisi nie uważali marihuany za narkotyki.

- A wiesz *coś* może na temat kręcenia filmów? - zaryzykowała.

- Zanim tu przyjechałam, mieszkałam w Los Angeles i przez szesnaście lat pracowałam jako sekretarka planu! - pochwaliła się Violet ze skromnym uśmiechem.

- Czy to oznacza, że przez ten czas pisałaś na maszynie, czy pracowałaś na planie filmowym?

- Chyba wystarczy, jeśli powiem, że przez większość czasu, kiedy reżyser był pijany albo pieprzył się jak norka, przejmowałam jego obowiązki. A jaki film chciałabyś nakręcić? Pewnie jakiegoś pornosa?

- Chyba że z tobą w roli głównej! - zrewanżowała się jej Bailey.

- No, kiedy byłam młodsza, to kto wie... - zaniósł się śmiechem Violet. - Dobra, żarty na bok. Czego ci właściwie trzeba?

- Jakiegoś krótkiego filmu reklamowego dla telewizji. Chodzi o to, że wiemy, co chcemy sprzedawać, ale nie wiemy, jak się do tego zabrać.

- No więc powiedz, co to ma być. Przepisywałam w życiu tyle scenariuszy, że chyba potrafiłabym sama coś takiego spłodzić.

- A dałabyś sobie radę z Janice i Patsy równocześnie, i to tak, żeby się nie pobiły?

- Może... Na kiedy potrzebujesz ten scenariusz?

Bailey nie miała zamiaru zwierzać się tej zwariowanej kobiecie, że rozpaczliwie poszukuje kogoś, kto wiedziałby cokolwiek o czymkolwiek. Zamiast odpowiedzi wrzuciła tylko ramionami, co miało oznaczać, że albo skorzysta z pomocy Violet, albo z niej zrezygnuje.

- Potrafisz narysować mapkę? - zapytała zupełnie z innej beczki.

Violet nie spieszyła się z odpowiedzią.

- Chodzi ci o taką mapkę, żebyś mogła trafić do tej górskiej meliny Rodneya?

- Otóż to właśnie.

- Nie spodoba ci się, co tam zobaczysz. Masz na czole wypisane, że szmal ci się wylewa uszami, a on tylko na to leci. Poza tym jesteś za ładna, żeby w ogóle zbliżyć się do niego.

- Jednak zaryzykuję. Czego żądasz w zamian za pomoc?

- Powiedzmy, że rozpleniły mi się w ogrodzie straszne chwasty, większe od warzyw...

- Warzywa mogę ci opielić, ale nie konopie indyjskie! - zaprotestowała Bailey. - Nie chcę mieć nic wspólnego z marychą!

Violet ze śmiechem dźwignęła z fotela ciężar swojej tuszy.

- Dobra, chodź do mieszkania, to zrobisz nam lemoniady, żebyśmy na spokojnie mogły pogadać o tym waszym biznesie. A przy okazji opowiesz mi, jak się miewa Matt.

Bailey aż podskoczyła.

- Chyba nie powiesz mi, że ty i Matt...

- Nie bój się, nie spałam ani z nim, ani z jego tatusiem - uspokoiła ją Violet, mijając Bailey, aby wejść do domu. - Co nie znaczy, że nie chciałam!

## 11

Wjeżdżając na zwirowaną drogę wiodącą do posiadłości Rodneya, Bailey borykała się z poczuciem winy. Nigdy nie miała zdolności aktorskich ani nie potrafiła porządnie kłamać, więc już poprzedniego dnia zżerała ją trema. Przede wszystkim dokuczała jej świadomość, że oszukuje Matta. Wprawdzie nie miała obowiązku spowiadania się przed nim ze wszystkich swoich posunięć, ale uważała, że nie zasłużył na te wszystkie kłamstwa i uniki, których mu w ostatnim czasie nie szczędziła.

Przy kolacji udawała beztroskę i próbowała prowadzić swobodną rozmowę. Z trudem jednak maskowała swoje rzeczywiste intencje wydobywania z Matta jak największej ilości informacji. Chciała się dowiedzieć wszystkiego o przeszłości Rodneya Yatesa i jego obecnej sytuacji.

- Dlaczego nigdy nie powiedziałeś mi, że jeden z członków „Złotej Szóstki” nadal żyje? - zaatakowała Matta, kiedy nakładała mu na talerz ziemniaki puree. - Kiedy Janice o nim wspomniała, było mi głupio, że o tym nie wiedziałam.

- Dziękuję, już wystarczy - odezwał się Matt, pozornie nie na temat, ale Bailey dopiero wtedy zorientowała się, jaką górę kartofli mu nałożyła.

- Och, przepraszam - zreflektowała się, odwracając twarz w stronę pieca.

- Janice nigdy i przy nikim nie wspomina o swoim ojcu - podkreślił Matt z naciskiem.

Bailey musiała na chwilę przymknąć oczy, aby odzyskać równowagę. A więc przyłapała ją na kłamstwie! Postanowiła jednak nie przejmować się tym i, nakładając do miski fasolkę szparagową posypaną migdałami, szybko zmyśliła następną wersję.

- No więc dobrze, wstąpiłam dzisiaj do Violet i to ona mi powiedziała, że Rodney żyje.

- Z tego, co wiem, przejechałaś przez Calburn w zawrotnym tempie i całe popołudnie przesiedziałaś u Violet.

Bailey wiedziała, że jeśli pozwoli mu się sprowokować - wpadnie w gniew, a w gniewie może się jej wymknąć więcej, niżby chciała. Usiadła więc spokojnie przy stole, wzięła do ręki widelec i spojrzała Mattowi w oczy.

- Ponieważ zamieszkałam w tym mieście, chciałabym poznać jego historię - przemówiła. - Raz już niechcący uraziłam Janice, nie chciałabym zrobić tego ponownie. Czy mógłbyś być tak miły i opowiedzieć mi o jej ojcu?

Matt spuścił głowę i nie od razu odwzajemnił jej spojrzenie.

- A może ty powiedziałabyś mi prawdę, dlaczego tak wypytujesz o wszystkich mieszkańców miasta?

Bailey zmilczała, bo co miała mu powiedzieć?

- Dobrze już, niech ci będzie - dał za wygraną Matt. - No więc Janice odcięła się od swego ojca, bo to stary rozpustnik i alkoholik. Kiedyś miał pieniądze, ale wszystkie przepił. Matki Janice i Patsy były bliźniaczkami, córkami miejscowego lekarza. Jedna z nich wyszła za dentystę — dzięki temu Patsy przez całe życie mieszkała w ładnym domu i była dobrze ubrana. Matka Janice natomiast zakochała się w przystojnym Rodneyu, który szybko przepuścił to, co zostawił jej ojciec, a potem siedział na karku żony i skazał ją na nędzną wegetację.

- A skąd w tym wszystkim wziął się Scott? - spytała dyskretnie Bailey, wyczuwając gniew w jego głosie.

Matt odchylił się na oparcie krzesła i odsunął od siebie opróżniony do połowy talerz.

- Naprawdę chcesz poznać wszystkie wstydlive tajemnice Calburn?

Bailey zarazem chciała i nie chciała, ale nie mogła powstrzymać się od potakującego kiwnięcia głową.

- No więc Janice zarzekła się, że nie powtórzy błędów matki. Zaraz po ukończeniu szkoły przeniosła się do Chicago i podjęła pracę w ekskluzywnym magazynie konfekcji męskiej. Wiedziała, co robi, bo tam najłatwiej było spotkać nadzianych facetów. W ciągu dwóch pierwszych lat pracy zdążyła dwa razy się zaręczyć, ale z obydwoma narzeczonymi zerwała, bo nie o takich mężczyznnej chodziło. W końcu któregoś dnia pojawił się Scott Nesbitt - najmłodszy syn najbogatszego człowieka w małym miasteczku, jakieś dwadzieścia mil stąd. Mało tego, że był młody i przystojny, to jeszcze Janice szybko odkryła, że łatwo dawał się wodzić za nos. Zagięła więc na niego parol i pół roku później doprowadziła go do ołtarza. Wmówiła mu, że nie powinni opuszczać Wirginii, podczas gdy naprawdę chodziło jej o to, żeby kłuc w oczy ludzi z Calburn swoim świeżo nabytym majątkiem.

Matt przerwał, żeby nabrać powietrza. Rozejrzał się po pokoju, a po chwili zaczął mówić dalej:



- To Janice zrobiła ze Scotta to, czym jest dzisiaj. Pracowała po dwadzieścia godzin na dobę i przerobiła leniwego maminsynka na... No, na faceta, którego znasz. - Matt przez stół spojrzął na nią spode łba i dodał: — Czy to właśnie chciałaś wiedzieć?

- Tak... to znaczy nie... - bąkała Bailey, zaskoczona taką wrogością. — Po prostu myślałam, że...

Matt nie czekał, aż skończy zdanie, tylko odsunął krzesło i wstał od stołu.

- Mam jeszcze trochę roboty - wyjaśnił. Doszedł już do połowy schodów na swoją facjatkę, ale jeszcze się zatrzymał i dorzucił: - A w ogóle to mój brat obchodził urodziny pół roku temu!

Bailey ukryła twarz w dłoniach. Stanowczo nie wychodziła jej ta „polityka niezaangażowania!”

Teraz, jadąc samochodem, porównywała przebytą drogę z mapką narysowaną przez Violet. Wynikało z niej, że jeśli trzymała się instrukcji - powinna wkrótce dojechać do domu Rodneya. Tylko że te górskie drogi o żuźlowej nawierzchni nie były oznakowane, więc już dwa razy się zdarzyło, że skręciła nie tam, gdzie trzeba, i musiała zawracać. Dobrze, że miała wóz terenowy z napędem na cztery koła, bo musiała pokonać płytki strumień i objechać zwalony pień. Takiej jazdy po bezdrożach nie uczono jej na kursie!

Zanim dotarła do chaty Rodneya, czuła się jak na safari. Zaparkowała pod drzewem u podnóża pagórka i spoglądając w górę, przypomniała sobie słowa Violet:

- Tylko się nie przeraż. Zobaczysz tam brud, smród i ubóstwo. To Rodney doprowadził ten dom do takiego stanu.

Rzeczywiście, gdy spojrzała na tę rudere, musiała napić się wody, którą przezornie zabrała ze sobą. Trudno było uwierzyć, że pod tym samym słońcem mogą istnieć pałace Jimmiego i taka obskurna chałupa. Dom wyglądał, jakby lada chwila miał się zawalić. Jedno skrzydło werandy już leżało w rozsypce, a dach po tej samej stronie był dziurawy.

Po ubitej ziemi, udeptanej przez wiele nóg, kręciło się kil—

ka chudych kurczaków. Na widok Bailey spod werandy wyskoczyło dwoje brudnych dzieci, a za nimi wygramolił się nieco starszy chłopak. Bailey dziwiła się, jakim cudem nie usłyszeli jej nadjeżdżającego samochodu, ale domyśliła się, że krzyki dobiegające z wnętrza domu mogły zagłuszyć warkot silnika.

- Chyba wybrałam nieodpowiedni moment na odwiedzi-  
ny - myślała głośno. - Może powinnam raczej zawrócić  
i poprosić Matta...

Jednakże zabrakło jej czasu na dalsze przemyślenia, bo na werandzie ukazał się mężczyzna, który celował w nią z dubeltówki.

- Niech się pani wynosi z mojej ziemi! - wrzeszczał.

- Tak, oczywiście, już odjeżdżam! - odkrzyknęła skwapliwie Bailey. Odnalazła kluczyki rzucone na przednie siedzenie, ale kiedy chciała zapalić silnik - upadły jej na podłogę. Puściła sążnistą wiazankę i schyliła się, by poszukać kluczyków pod deską rozdzielczą, lecz nim je znalazła - ktoś szarpnął drzwi jej samochodu i otworzył na całą szerokość.

- Tylko spróbuj wciskać mi jakieś papiery, a rozwalę ci łeb! - zagroził męski głos tuż za tymi drzwiami.

Bailey wyprostowała się tak gwałtownie, że uderzyła głową o deskę rozdzielczą.

- Nie mam dla pana żadnych papierów! - zapewniła żarliwie. - Chciałam tylko zadać panu kilka pytań.

Na wszelki wypadek podniosła ręce do góry, dotykając podsufitki samochodu. Czuła się, jakby grała w filmie gangsterskim. Przy jej wozie stał mężczyzna z twarzą tak pooraną zmarszczkami, jakby liczył sobie ze sto lat, choć poruszał się ze zwinnością młodzika. Przez cały czas trzymał dubeltówkę wycelowaną prosto w jej głowę.

- A o co chcesz mnie pytać? - zagadnął podejrzliwie.

Nie wiedziała, co powiedzieć, by go nie urazić, ale wypaliła:

- O „Złotą Szóstkę!”

Od razu zacisnęła powieki w oczekiwaniu na strzał, ale

gdy nic takiego nie nastąpiło - otworzyła jedno oko i ze zdumieniem ujrzała roześmianą gębę starego dziwaka.

- Aha, więc przyjechałaś do mnie porozmawiać o dawnych, dobrych czasach? - dopytywał.

- Przyjechałam... - zaczęła, ale nie mogła mu przecież powiedzieć, że chciała zobaczyć się z przystojnym Rodneyem Yatesem. Niemożliwe, żeby ten okropny dziad był... On jednak przez cały czas ją obserwował i zniżył lufę strzelby tylko o jakiś cal, więc zdecydowała się dokończyć - ...do pana. Pan jest Rodney Yates, prawda? Wygląda pan zupełnie tak samo jak na fotografii.

Obawiała się, że za tak wierutne kłamstwo gospodarz zastrzeli ją na miejscu, ale tylko roześmiał się od ucha do ucha. Złapał ją za ramię i wyciągnął z wozu, a oddech miał tak cuchnący, że Bailey zbierało się na wymioty. Palce, którymi ścisnął jej ramię, były zakończone szponami centymetrowej długości, z grubymi pokładami brudu. Najchętniej wyrwałaby mu się i pobiegła do samochodu, aby jak najszybciej uciec z tego okropnego miejsca i od tego niechlujnego dziadygi!

- Nawet jesteś ładna! - stwierdził, przyciągając Bailey bliżej do siebie i wodząc ręką po jej ramieniu. - Ale zaraz, czy ty czasem nie chcesz wyciąć nam takiego numeru jak tamta?

- Chodzi panu o posłankę Spangler? - skojarzyła Bailey.

- Posłankę, rzeczywiście! - Rodney splunął na ziemię, ledwie o cal od nogi Bailey.

- Ależ skąd, na pewno nie mam takich zamiarów! - zaprzeczyła skwapliwie.

Wyszczrzył w uśmiechu zęby, które chyba od wielu lat nie zetknęły się ze szczoteczką.

- No to chodź, pokażę ci, jak wyglądała ta stara wiedźma, i powiem, co nam zrobiła.

Znajdowali się w tej chwili u podnóża schodów prowadzących na werandę. Widziany stąd dom wydawał się Bailey jedną wielką kupą brudu. Zastanawiała się, jak ludzie mogą mieszkać w czymś takim.

Kiedy zaczęli wchodzić po schodach, Rodney ścisnął ją mocniej za ramię, na co Bailey od razu się usztywniła.

- Uważaj na ten schodek, bo jest nadłamanym - ostrzegł. - Miałem zamiar go naprawić, ale byłem ostatnio bardzo zajęty.

Bailey spojrzała pod nogi i w ostatniej chwili zdążyła ominiąć spróchniałą deskę, chyba jeszcze z lat trzydziestych. O mało przy tym nie straciła równowagi, a wtedy Rodney skorzystał z okazji i musnął palcami jej pierś. Prawie ją zemdliło.

Chata Rodneya wyglądała w środku o wiele gorzej niż z zewnątrz. Umeblowanie pokoju, do którego weszli, składało się z brudnych, połamanych krzeseł i kanapy, której brakowało nóg po jednej stronie, wskutek czego z drugiego końca była o dobre dziesięć centymetrów wyższa.

- Usiądź, proszę. - Rodney z lubieżnym błyskiem w oku wskazał ten wyższy bok kanapy. Bailey domyśliła się, że gdyby tam usiadła - szybko zsunęłaby się na niższy koniec, gdzie prawdopodobnie zamierzał usiąść ten obleśny staruch.

Rozejrzała się wokół i dostrzegła naprzeciw kanapy małe drewniane krzeselko.

- Może raczej tu usiądę - zaproponowała. - Muszę mieć oparcie, bo mam kłopoty z kręgosłupem.

- To nie wiesz, jakie jest najlepsze lekarstwo na kręgosłup? - Rodney schylił się, zionąc jej w twarz swoim nieświeżym oddechem, którego starała się uniknąć. - Przydałoby ci się trochę gimnastyki. O, takiej...

Złączył w kółko palec wskazujący i kciuk jednej ręki, a palec drugiej przesunął przez to kółko ruchem markującym wiadomą czynność.

Wszystko przez ciebie, Jamesie Manville! - myślała Bailey, próbując bladym uśmiechem zamaskować obrzydzenie. Rodney wyciągnął do niej rękę i zaczął najpierw gładzić jej ramię, a potem zbliżać się coraz bardziej do piersi. Bailey z trudem uwolniła ramię.

- Pewnie napiłabyś się czegoś — uśmiechnął się Rodney, wstając.

- Och, nie, dziękuję, ja tylko...  
- Pogardzasz moją gościnnością? - Od razu uśmiech zniknął z jego oblicza.

- Nie, ale...

- No więc napijemy się, a potem możemy nawet cały dzień... rozmawiać! - To ostatnie słowo wymówił takim tonem, jakby był pewien, że wolałaby z nim robić co innego. Bailey obawiała się, że zaraz będzie jej niedobrze, i uciekłaby stąd, gdyby nie strzelba w rękę starucha. Tymczasem o mało nie spadła z krzesła, kiedy Rodney ryknął jej nad uchem:

- Kobieto, chodź tu w tej chwili! Nie widzisz, że mamy gościa?

Do pokoju, w którym się znajdowali, prowadziło dwoje drzwi: jedne były otwarte, a drugie - zamknięte. Przez otwarte widać było rozgrzebane łóżko, a zamknięte dotąd - uchyliły się i przez szparę zajrzała blada dziewczynka, na oko najwyżej trzynasto- lub czternastoletnia.

- No, włącz! - ponaglił ją Rodney. A kiedy dziewczynka weszła - Bailey z przerażeniem zobaczyła jej zaawansowaną ciążę, choć wyglądała zbyt młodo nawet na absolwentkę podstawówki, a co dopiero na matkę.

Rodney spoglądał na nią z dumą.

- Nosi moje dziecko! - oświadczył. - Dobrze mi idzie ta robota. A ty masz już jakieś?

To pytanie było skierowane do Bailey, ale ona nie mogła oderwać oczu od dziewczynki, która stała ze spuszczoneymi oczami i czekała na dalsze polecenia.

- Masz już jakieś? - powtórzył głośniej Rodney.

- Że co mam? Aha, dzieci? Nie, nie mam żadnych.

- To może mógłbym ci pomóc? - zachichotał oblesnie. - Jestem dobry w robieniu dzieci!

W tym momencie otworzyły się drzwi za ciężarną i weszła przez nie może piętnastoletnia, ładna blondynka, w zniszczonej sukience, ale czysta i zadbana.

- Jej nie potrzeba twoich bachorów, a jeśli ją tkniesz, naśle na nas gliny! - ofuknęła Rodneya, podając mu puszkę piwa.

- Pyta cię kto? - warknął Rodney. - A gdzie picie dla niej?
- Akurat potrzebne jej ciepłe piwo o dziesiątej rano!

Prawda, proszę pani?

Bailey obdarzyła oboje bladym uśmiechem.

- Naprawdę chciałam tylko zadać państwu kilka pytań.

- Pewnie na temat „Złotej Szóstki?” - wycodziła dziewczyna z taką gryzącą ironią, że Bailey zatkało. - O tych dawnych, dobrych czasach, kiedy nie był jeszcze pijakiem i lumpem?

- Wynoś się stąd! - wrzasnął na nią Rodney. - Zostaw nas samych!

Nastolatka nie przejęła się ani tym rozkazem, ani siłą i tonem jego głosu.

- To ty ją zostaw, słyszysz? - A zwracając się do Bailey, dodała: - Słyszysz mnie pani? Jeśli panią dotknie, proszę mnie zawołać, dobrze?

Bailey przytaknęła skinieniem głowy.

- No, to proszę go pytać, co tam panią interesuje. On wie wszystko o tamtych sześciu chłopakach i mógłby gadać cały dzień, gdyby tylko pani chciała słuchać. Dla niego czas zatrzymał się w dniu śmierci Franka McCalluma.

Troskliwie otoczyła ramieniem ciężarną i wyprowadziła z pokoju.

- Nie przejmuj się nią! - zareagował natychmiast Rodney, ledwo drzwi się za nimi zamknęły. - Pewnie myślisz, że córka powinna mieć więcej szacunku dla ojca, prawda? A wiesz, że ta młodsza to moja żona? Teraz pytaj, o co chcesz, tylko... - tu zmierzył ją groźnym spojrzeniem - ...żebyś nas znowu nie obsmarowała w jakiejś parszywej książce!

- Słowo daję, że nie mam zamiaru napisać żadnej książki! - zapewniła szybko Bailey, ale nie potrafiła wymyślić na poczekaniu zręcznego kłamstwa, które tłumaczyłoby cel jej wizyty. Prawdę mówiąc, sama już nie pamiętała, dlaczego tu się właściwie znalazła.

- Ta wiedźma Spangler napisała te wszystkie głupoty ze zwykłej zazdrości - zawyrokował. - Ja tam nikomu niczego nie zazdroszczę, bo Pan Bóg i tak hojnie mnie obdarzył.

Spojrzał na Bailey, jakby oczekiwał od niej potwierdzenia, że nadal jest przystojnym mężczyzną. Ona zaś w końcu wyrzuciła z siebie to, co ją tu przywiodło:

- Znał pan może jakiegoś chłopca z zajęczą wargą?

- Nawet dwóch. Chcesz zobaczyć zdjęcie tej małej Spangler?

Bailey zbytnio nie paliła się do tego, ale odpowiedziała mu tylko uśmiechem.

Rodney nareszcie odstawił strzelbę i przeszedł w róg pokoju, gdzie stał zniszczony kredens. Jego górne drzwiczki ledwo się trzymały na zawiasach, ale dolne były zamknięte na solidną kłódkę. Rodney wyciągnął z kieszeni łańcuszek z kółkiem, a na nim mnóstwo kluczy. Wybrał z nich pasujący do kłódki i zwrócił się do Bailey z wyjaśnieniem:

- Przy tylu dzieciakach ostrożności nigdy za dużo!

Bailey odpowiedziała mu tylko kurtuazyjnym uśmiechem, ale zauważyła, że wewnątrz kredensu było czyste i w doskonałym stanie. Na półce leżały dwa oprawne w skórę albumy z fotografiami, a Bailey znała się dość na pięknych przedmiotach, by wiedzieć, że musiały sporo kosztować. Zatrzęsa się ze złości na myśl, że dzieci tego człowieka wegetowały w brudzie i smrodzie, podczas gdy on wydawał pieniądze na piwo i eleganckie albumy.

Rodney zdjął z półki album leżący na wierzchu z takim pietyzmem, jakby trzymał w ręku coś niezwykle cennego. Otworzył go mniej więcej w dwóch trzecich grubości i oznajmił z namaszczeniem:

- Pomyliłem się o jedną stronę... Zwykle trafiam za pierwszym razem, ale przyprawiasz mnie o takie bicie serca, że nie mogę się skupić.

Bailey nie mogła odżałować, że nie zabrała ze sobą Matta, Violet albo przynajmniej jakiejś broni! Wzięła od niego album i przyjrzała się zdjęciu, na które wskazywał swoim brudnym paluchem, dodając od siebie komentarz:

- Tak wyglądała ta twoja T. L. Spangler, kiedy chodziła z nami do szkoły. Widziałaś kiedyś gorszą maskarę?

Bailey musiała przyznać, że dziewczyna rzeczywiście nie grzeszyła urodą. Miała kędzierzawe włosy sterczące na wszystkie strony, zęza widocznego zza grubych okularów, wystające zęby, cofnięty podbródek i okropny trądzik.

- A teraz popatrz tu - obwieścił Rodney, odwracając stronę. Do następnej kartki albumu przyklejono okładkę wyciętą z „Time'u”. Widniały na niej twarze trzech kobiet pod nagłówkiem *O lepsze jutro*. Podpis drobnym druczkiem głosił, że zdjęcie na pierwszym planie przedstawia panią senator Spangler. Teraz jednak włosy miała wygładzone, nie nosiła już okularów, zęby były wstawione lub skorygowane, a podbródek operacyjnie odtworzony.

- Widać, że zajął się nią dobry chirurg! - stwierdziła z podziwem Bailey. - Ciekawe, kto to.

Rodney spojrział na nią jak na zupełną idiotkę, która nie pojmuje, w czym rzecz. Wrócił do poprzedniej strony albumu i dalej rozwodził się nad zdjęciem:

- Ta dziewczyna oszalała na punkcie Kyle'a. Zagięła na niego parol i za wszelką cenę chciała zwrócić jego uwagę na siebie. Oczywiście, on nie chciał jej nawet dotknąć, ale ona zawzięła się, że go złapie. Dlatego właśnie napisała tę książkę.

- Aha, rozumiem. - Bailey zwróciła mu album. - No więc jak, panie Yates, nie pamięta pan żadnego chłopca z zajączą wargą?

Rodney zamknął album i delikatnie odłożył na miejsce.

- A ile on miałby lat w sześćdziesiątym ósmym?

- Dziewięć.

- Takiego dzieciaka nie przypominam sobie. Na pewno pochodził z Calburn?

- Tak. Ja... - Już chciała mu powiedzieć, że znalazła zdjęcie takiego chłopaka na tle morwy rosnącej przed jej domem, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Nie powiedziała również, że odbitkę tego zdjęcia ma w samochodzie. - Wie pan, ja chyba już pójdę.

- Ależ nie możesz jeszcze iść! - Rodney podszedł bliżej



do niej. - Mam trzy albumy pełne zdjęć. Możemy je razem oglądać choćby cały wieczór.

- Może kiedy indziej - rzuciła szybko Bailey, podążając ku drzwiom. W myśli dodała: „Wtedy przyjadę z dobrą obstawą”.

Rodney stanął między nią a drzwiami.

- Nie spiesz się tak, jeszcze za wcześnie! - zamruczał głosem, który pewnie uważał za bardzo zmysłowy.

Bailey szarpnęła zasuwkę u drzwi i w ciągu dwóch sekund znalazła się na zewnątrz. Zbiegła po schodkach, zmierzając wprost do samochodu, a w biegu modliła się, żeby móc jak najprędzej się stąd wydostać.

- Czekaj no! - zawołał Rodney z werandy. Bailey zatrzymała się, ale nie odwróciła głowy. - Coś sobie przypomniałem. Lucas McCallum miał zajęczą wargę, ale był starszy. Musiał mieć ze czternaście lat, taki duży, niezgrabny chłopak.

Dopiero wtedy Bailey się odwróciła. Rodney wzruszył ramionami identycznie, jak swego czasu robił to Jimmie.

- Nie masz pojęcia, co to było za brzydactwo! Górną wargę miał rozszczępioną aż po nos, całe džiaśta na wierzchu, a do tego odstające uszy. Tego chłopaka szukałaś?

- Powiedział pan, że nazywał się McCallum? - upewniała się Bailey.

- Aha. Syn Franka. Słyszałaś o Franku, prawda?

- Czy to ten ze „Złotej Szóstki”, który najpierw zabił, a potem popełnił samobójstwo?

- Tak, to cały Frank. Luke to jego syn, ale po śmierci Franka wyjechał z miasta i ślad po nim zaginął. Nikt go specjalnie nie żałował, bo był pyskаты i wszędzie szukał zaczepki.

Bailey nie miała już cienia wątpliwości, że Lucas McCallum i James Manville to jedna i ta sama osoba. Wbrew rozsądkowi same nogi ją poniosły w przeciwnym kierunku - z powrotem do domu Rodneya.

- Bardzo słusznie - pochwalił ją. - Chodź tutaj, opowiem ci dużo ciekawych rzeczy o Franku. To był wspaniały chłopak.

- O Lucasie! - poprawiła Bailey, podchodząc do schodów. - Chcę się dowiedzieć wszystkiego o Lucasie.

- Dobra, wszystko jedno. - Rodney uczynił zapraszający gest ramieniem. - Siadaj, opowiem ci, o kim tylko zechcesz.

Tym razem Bailey dała się namówić i usiadła na wyższym końcu kanapy. Czuła się tam jak pasażerowie „Titanica”, którzy kurczowo trzymali się relingu, kiedy statek ginał. Im groziło osunięcie się w głębiny morskie, a jej - wprost w ręce Rodneya. Nie miała pewności, który wariant był gorszy.

Trzymając się kanapy, musiała wysłuchać opowieści Rodneya o sześciu dzielnych chłopcach, którzy uratowali całą szkołę. Próbowała naprowadzić opowieść na sprawy Lucasa, ale trwało to mniej więcej czterdzieści pięć minut — niby nie-dużo, ale jej ten czas dłużył się niemiłosiernie!

- No więc jak było z Lucasem? - zapytała chyba po raz dwudziesty.

Rodney gniewnie zmarszczył czoło, niezadowolony, że przerywa jego wywody.

- A co tu ma do rzeczy Lucas? Nie było go tutaj, kiedy działy się te wszystkie ważne wydarzenia. Dopiero później Frank gdzieś wyjechał, a kiedy wrócił, przywiózł ze sobą tę... tę... — Rodney uczynił lekceważący gest ręką.

- Czy to była matka Lucasa?

- Nie wiem, nie widziałem jej ani nie byłem ciekaw. Jeśli miała taką gębę jak ten mały, to musiała chyba zadać Frankowi jakichś prochów, żeby poszedł z nią do łóżka. Pewnie mu wcisnęła, że to jego bachor, a Frank zawsze miał za dobre serce. Przyjął tego dzieciaka za swego, bo taki już był.

- Święty Franciszek! - mruknęła pod nosem Bailey, a Rodney od razu przeszył ją ostrym spojrzeniem.

- A właściwie dlaczego tak mnie wypytujesz o tego dzieciaka? Znasz go? Czy on w ogóle jeszcze żyje?

- Nie przypuszczam - bąknęła Bailey. Nie podobało się jej spojrzenie Rodneya.

- Ten chłopak był brzydszy niż ta Spangler. I jeszcze bardziej wredny. A może to o nim chcesz napisać książkę?

- Ależ skąd! - zaprzeczyła skwapliwie, bo cała ta sytuacja coraz bardziej działała jej na nerwy. Rodney przez dłuższą chwilę taksował ją wzrokiem, jakby chciał się upewnić, czy może jej wierzyć, czy nie.

- No więc dlaczego bardziej cię interesuje ten felerny dzieciak niż my, bohaterowie?

- Ja... ja... - wiała się pod jego przenikliwym spojrzeniem, które z sekundy na sekundę stawało się coraz bardziej nieprzyjazne. Musiała na oczekaniu coś wymyślić, nabrała więc powietrza w płuca. - Mam zamiar otworzyć fabryczkę przetworów domowych, a słyszałam, że poprzedni właściciel mojej farmy wyrabiał takie rzeczy. Chciałabym dowiedzieć się o nim czegoś więcej, bo próbowałam szukać w Internecie, ale nic nie znalazłam.

Spojrzał na nią spode łba takim wzrokiem, że włosy na karku się jej zjeżyły. Jak tylko mogła najdyskretniej, ześliznęła się z kanapy i zaczęła wycofywać w stronę wyjścia.

- I to byłoby tyle - kończyła swoje wyjaśnienia. - Po prostu chciałam poznać różne fakty z przeszłości mojej farmy. Rośnie tam taka wielka morwa...

Rodney zrobił wielkie oczy.

- Morwa? - powtórzył ściszym głosem. - Niech ja skonom, to ty jesteś ta wdowa, która mieszka na starej farmie Gusa?

Bailey od razu poczuła ulgę.

- Tak, to ja, a ten biedak nazywał się Gus? Myślałam, że Guthrie, ale widocznie się przesłyszałam. Może pan wie, dlaczego on się powiesił?

W jednej chwili Rodney, siedzący dotąd na niższym końcu kanapy, znalazł się przy drzwiach, do których Bailey prawie już doszła. Złapał ją za szyję i zaczął dusić, powtarzając z furją:

- Gus Venters był potworem! Żebyś wiedziała, że zasłużył na to, co go spotkało!

Popchnął ją w stronę okna. Bailey chwyciła się ramy, próbując jednocześnie uwolnić szyję z jego rąk.

Nagle oba skrzydła okna rozwarły się na zewnątrz i Bailey wypadła - prosto w ramiona młodego mężczyzny. Ten cofnął się o kilka kroków, wydając stłumione stęknienie: „Ufff!” Bailey otworzyła oczy i poczuła się, jakby odbyła podróż w czasie i została przeniesiona prosto w lata pięćdziesiąte. Spoglądała bowiem w błękitne oczy przystojnego mężczyzny, którego już widziała na tyłu zdjęciach. Czyżby Rodney Yates nagle cudownie odmłodził?

Nie minęła jednak nawet sekunda, a już przystojny młody człowiek postawi ją na nogi, chwycił za rękę i zmusił do biegu.

- Ma pani kluczyki?! - krzyknął przez ramię.

Nie od razu pojęła, o co mu chodzi, dopóki nie zorientowała się, że jej toyota stoi u podnóża pagórka, a tuż za sobą słyszy gniewne pokrzykiwania Rodneya. Dobiegali już do wozu, gdy z tyłu rozległ się wystrzał z dubeltówki, a potem ryk potężnego silnika.

- Uciekamy, proszę pani! - zarządził młody człowiek, wskakując na miejsce kierowcy. - Gdzie są, do cholery, te kluczyki?

Bailey wciąż nie mogła się pozbierać po tylu wydarzeniach, błyskawicznie następujących jedno po drugim. Skąd się nagle wzięły mordercze instynkty w starym rozpustniku Rodneyu? Szyja bolała ją tak, że nie mogła przełykać.

- Na podłodze! - wyszeptwała.

Jej towarzysz przesunął się na boczne siedzenie, wsadził głowę pod deskę rozdzielczą i w ułamku sekundy odnalazł kluczyki. Bailey odwróciła się w kierunku, skąd dobiegał warkot obcego silnika, i z przerażeniem ujrzała zmierzającą w ich kierunku ogromną, czarną ciężarówkę na wysokich kołach. Zaczęła więc działać instynktownie, nie zastanawiając się nad tym, co robi. Wyrwała chłopakowi kluczyki z ręki, przeskoczyła na sąsiednie miejsce i włączyła silnik.

Podczas gdy szukali kluczyków, Rodney zjechał swoją ciężarówką z pagórka, najwyraźniej z zamiarem zablokowania im drogi odwrotu. Bailey błyskawicznie się zorientowała, że

ma tylko jedno wyjście -jechać prosto na niego. Gdyby bowiem traciła czas na szukanie drogi okrężnej - Rodney w ułamku sekundy znalazłby się nad nią. Wrzuciła więc bieg i ruszyła pełnym, gazem naprzód.

- Niech pani jedzie w dół! - krzyknął młody człowiek przy niej. - Tędy! Proszę skrócić! Kiedy on wpada w taki szal, to najpierw strzela, a potem patrzy, kogo trafił.

Bailey błyskawicznie oceniła szansę ucieczki wąską ścieżką między drzewami, którą zalecał chłopak. W takim wypadku jednak musiałyby najpierw przyhamować, później skrócić, a tymczasem Rodney dawno zdążyłby staranować ją od tyłu. Pędziła więc wprost na niego, zwiększając szybkość z każdą sekundą. Któreś z nich musiało w końcu zjechać na bok, inaczej nastąpiłoby zderzenie czołowe.

- Skręcaj! Skręcaj! - darł się młodzieniec. Pierwszy jednak nie wytrzymał nerwowo Rodney. W ostatniej chwili zбочzył w prawo, mijając się o centymetry z toyotą Bailey.

- Chyba zwariowałaś! - stwierdził młody człowiek.

Bailey zwolniła i wrzuciła wsteczny bieg.

- Nie, tylko przeżyłam większą część życia u boku mężczyzny, który lubił ostrą grę - sprostowała. - Zapiąłeś pas?

Chłopak przypiął się pasem, a Bailey zarządziła:

- Teraz zjeżdżamy w dół.

Widziała bowiem, że Rodney jeszcze nie wyszedł z zakrętu, ale wiedziała też, że tym razem nie zaprzestanie pogoni, choćby to miało kosztować go życie. Przypomniała sobie słowa Jimmiego: „Element zaskoczenia można wykorzystać tylko raz, później trzeba już uruchomić swoją inteligencję”.

- No więc uruchamiamy inteligencję - głośno wyartykułowała swoje myśli.

- Do kogo ty mówisz?

Samochód podskoczył na wyboju, wskutek czego oboje stuknęli głowami w sufit.

- Do kogoś, kogo kiedyś znałam. A ciebie jak wołają?

- Alex - odpowiedział nowy znajomy. - Gdzieś ty się tak nauczyła prowadzić wóz?

- Chyba na Bermudach... — Zjeżdżała w dół trawiastym zboczem, ale tuż przed nią pojawił się duży kamień, a zaraz za nim płot. Wykonała tak ostry zakręt w miejscu, że właściwie wspięła się na dwóch tylnych kołach. - Albo nie, to było chyba w Johannesburgu, w Afryce Południowej. - Zauważyła starą drogę po lewej stronie i znów gwałtownie skręciła w miejscu. - Nie, byliśmy wtedy w...

Kierowała się prosto na strumień o kamienistym dnie. Niektóre skałki tak znacznie wystawały z wody, że gdyby na nie wjechała, mogły poważnie uszkodzić podwozie.

Kręcąc kierownicą raz w lewo, raz w prawo, ominęła dwa większe głazy. Na drugim brzegu wróciła do podjętego tematu:

- Wydaje mi się, że to jednak było w...

- Dobra, opowiesz mi później - przerwał jej Alex. Trzymał się kurczowo deski rozdzielczej i rzucał Bailey ukradkowe spojrzenia.

- Może wiesz, jak mamy się stąd dostać do szosy?

- Myślałem, że wiesz... - zaczął, ale urwał i zdecydował się odpowiedzieć na jej pytanie. - Jedź wolniej i uważaj, bo tu gdzieś powinna być taka stara droga. Dawno nikt jej nie używał i pewnie jest zawalona ściętymi drzewami, a zresztą chyba tato został daleko w tyle.

- Tato, mówisz? - upewniła się, zerkając w lusterko wsteczne.

- Tak, on... - Alex rozszerzonymi ze strachu oczyma śledził ciężarówkę ojca przemykającą między drzewami. - On wie, dokąd chcemy jechać, będzie więc próbował odciąć nam drogę. Wydaje mu się, że nas zaskoczy.

Bailey gwałtownie przyhamowała i wrzuciła wsteczny bieg.

- Co ty robisz?! - wrzasnął Alex.

- Wycofuję się tak samo, jak tu przyjechałam. Jeśli go gdzieś napotkam, będę miała czas pojechać inną drogą.

- Coś ty, nie dasz rady! Miałaś więcej szczęścia niż rozumu, że przedostałaś się przez ten strumyk, ale drugi raz taki numer nie przejdzie.

Bailey bez słowa wyprowadziła samochód na prostą i skierowała go w dół zbocza.

- Zostajesz czy wysiadasz? - spytała Aleksa wprost.

Alex wziął głęboki oddech i spróbował się opanować.

- Zostaję! - zdecydował.

W następnej sekundzie Bailey wcisnęła gaz do dechy i z rozpędu przeleciała nad strumieniem. Po raz drugi udało jej się wymanewrować wóz między skałkami.

- Uch, napiłbym się czegoś! - stęknął Alex, kiedy szczęśliwie znaleźli się na drugim brzegu.

- Jesteś jeszcze za młody, żeby pić! - osadziła go szorstko Bailey.

- A na to, żeby umrzeć, nie jestem za młody? Tu w każdej chwili ryzykuję życie!

Bailey gwałtownie skręciła kierownicą, aby zawrócić na tę samą drogę, którą wjechała pod górę. Poczowała pewną ulgę, ale na krótko, bo spomiędzy drzew wynurzyła się z rykiem silnika czarna ciężarówka Rodneya. Rzuciła się więc do ucieczki.

- Coś ty mu, dojasnej cholery, zrobiła? - dziwił się Alex.

- Nie mam pojęcia! - odkrzyknęła. - Wystarczyło, że wspomniałam o Gusie, Luke'u i morwie, a z mety mu odbiło!

Zboczyła z drogi, by ominąć skałkę, przy tym Alex o mało nie wyleciał razem z przednią szybą.

- Goni nas - stwierdziła, rzuciwszy okiem we wsteczne lusterko.

- Wytrzymaj jeszcze z osiemset metrów, a będziemy mieli go z głowy. On w życiu nie zapuści się na główną szosę, bo kręci się tam za dużo gliniarzy. Tyle razy prowadził na bani, że pierwszy szeryf by go zgarnął.

- Jest jakaś krótsza droga stąd do szosy?

Ponieważ Alex nie odpowiadał, wbiła w niego uporczywy wzrok i powtórzyła z naciskiem:

- No, jest czy nie?

- Jest, ale to stara droga drwali. Nieprzejezdna.

- Gdzie ona jest?! - ryknęła mu nad uchem.

Alex ruchem ręki wskazał prześwit między drzewami prosto przed nimi.

- Trzymaj się! - nakazała mu Bailey i wznosząc spod kół fontanny żwiru, skierowała tam wóz.

- On tędy nie przejedzie - zapewniał Alex, oglądając się do tyłu. - Przecież wie, że nie da rady. Nie będzie nawet... O, kurde, on pakuje się za nami!

- Nie wyrażaj się! — zgromiła go Bailey. Przejechała właśnie przez bal o dziesięciocentymetrowej średnicy, przy czym oboje stuknęli głowami w podsufitkę.

- W każdej chwili możemy zginać, więc co za różnica, czy się wyrażam, czy nie?

- „Pan jest moim pasterzem - zacytowała w odpowiedzi Bailey - nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na...”

Alex obrócił się, żeby zobaczyć to samo, co ona. Jechali właśnie przez most, który był cały, kiedy ostatni raz go widział, ale od tamtego czasu w połowie pograżył się w wodach rzeki, dosyć głębokiej i o bystrym nurcie.

- „...zielonych pastwiskach. Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć... Chociażbym chodził ciemną doliną...” - Bailey recytowała spokojnie tekst psalmu, dopóki wóz nie odbił się, jak od trampoliny, od zerwanej części mostu. Wtedy oboje wydali okrzyk przerażenia.

Twardemu lądowaniu na drugim brzegu towarzyszył wstrząs, ale Bailey i Alex byli zanadto oszołomieni, aby od razu się zorientować, że udało się im przebyć rzekę i wyjść z tego cało.

Pierwszy oprzytomniał Alex. Wyrzał przez tylną szybę i zobaczył po tamtej stronie rzeki swojego ojca, który ze strzelbą w ręku wysiadał z kabiny ciężarówki. Oboje z Bailey spojrzeli po sobie i chórem dokończyli werset psalmu:

- „...zła się nie ulękne...”

Bailey nacisnęła pedał gazu, ale silnik nagle zgasł. Próbowała uruchomić go kluczykiem - też bez skutku. Alex przechylił się, by spojrzeć na wskaźniki.

- Paliwo się skończyło! - zameldował.



Zanim Bailey zdążyła odpowiedzieć, złapał ją za rękę i wyciągnął z wozu. Zgięci w kabłąk, przebiegli przed maską tooty i przycupnęli za nią, dopóki nie usłyszeli dwóch wystrzałów z dubeltówki Rodneya.

- Teraz, zanim przeładuje! - komenderował Alex i oboje puścili się biegiem. Nie zatrzymywali się, dopóki nie dotarli do szosy.

- No, tu już nam nic nie grozi, możemy odpocząć - zarządził znowu Alex. - A w ogóle, to jak się nazywasz?

- Bailey James. - Przedstawiła się, wyciągając do niego rękę. Stojąc na skraju szosy, gdzie śmigały osiemnastokołowe tiry, uśmiechnęli się do siebie, a w końcu zaczęli się śmiać.

- W życiu się tak nie bałem - przyznał się Alex.

- Ja też nie.

- Ależ ty masz mocne nerwy! Musisz być chyba kierowcą rajdowym.

- Skąd, jestem gospodynią domową. Nie wiem, czy przez całe życie przejechałam za kółkiem dwieście kilometrów.

To wyznanie wywołało nowe salwy śmiechu.

- No, teraz wszystko jest jasne - stwierdził Alex. - Doświadczony kierowca nie porwałby się na takie szaleństwo!

Krztusząc się od śmiechu, przeszli piechotą może półtora kilometra poboczem szosy, dopóki pan Shelby, który właśnie tamtędyjechał, nie zaproponował im podwiezienia do domu Bailey.

## 18

Kiedy Matt wrócił wieczorem do domu, zastał Bailey śpiącą na fotelu w salonie. W nocnej koszuli i szlafroku, z włosami jeszcze wilgotnymi po prysznicu, wyglądała jak dwunastoletnia dziewczynka. Doszedł do wniosku, że ostatnio nie układało się między nimi tak, jak by chciał, bo oddalała się od niego mimo wysiłków z jego strony.

Widział, że knuła coś do spótki z Janice i Patsy. Trzymała to w tajemnicy, czego nie miał jej za złe, odkąd usłyszał, jak Scott i Rick podśmiewali się z „głupich pomysłów” swoich małżonek.

- Janice jest moją żoną! - puszył się Scott. - Nie chcę, by całe Calburn gadało, że nie potrafię utrzymać rodziny!

Matt chciał dokończyć: „...i pół tuzina kochanek”, ale wstrzymał się od komentarza.

Rick łagodniej formułował swą dezaprobatę, ale tak samo zawzięcie upierał się przy swoim zdaniu.

- Patsy chyba już zapomniała, jak bardzo była zmęczona, kiedy musiała każdego ranka wstawać wcześniej i spieszyć do pracy.

- I jeszcze do tego, kiedy była w pracy, na ciebie spadała połowa domowej roboty! - przyciął mu Matt tym samym tonem. Nie widział bowiem powodów, by nie powiedzieć młodszemu bratu, co o tym myśli.

- To nie ma nic do rzeczy! - dowodził Rick. - Myślę, że lepiej byłoby dla nas wszystkich, aby Patsy siedziała w domu.

Matt biernie przyglądał się z boku, jak mężowie usiłują odwieść swe żony od zakładania własnej firmy, ale ze względu na męską solidarność nie informował Bailey o ich zabiegach. Onajednakjakoś się o tym dowiedziała i Matt, kiedy proponował jej pomoc przy opracowywaniu swoich projektów, wiedział, że ona uważa go za osobnika pokroju Ricka i Scotta.

Czuł więc, że traci płaszczyznę porozumienia z nią, bo nie umiał jej przekonać, że może mu ufać. Przecież nie wydałby nikomu jej tajemnic ani nie próbował deprecjonować wybranej przez nią drogi życiowej.

Tamtego wieczoru na palcach przeszedł przez pokój i dotknął jej włosów. Chętnie zacząłby ją uwodzić, ale obawiał się, że przyjej obecnym stanie ducha z pewnością odrzuciłabyjego awanse. A tego już nie zniosłabyjego duma!

Pochylił się i wziął ją na rękę.

- Nie bój się, to tylkoja - szepnął, gdy zaczęła się rozbudzać.

Wtuliła się w jego pierś i spała dalej. Dopiero kiedy zaniósł ją do łóżka, rozbudziła się na tyle, aby złapać go za ramię.

- Słuchaj, coś dziś zrobiłam - wyznała.

- No, cóż takiego? - zachęcił, siadając na brzegu łóżka i przyglądając jej włosy.

- Odwiedziłam Rodneya Yatesa.

Od razu przestał gładzić ją po włosach.

- Trzeba mi było powiedzieć, że chcesz się z nim zobaczyć. Pojechałbym z tobą.

- Przepraszam - ziewnęła. - Rzeczywiście, powinnam była ci powiedzieć. To zupełny wariat.

- Chyba tak. Na razie wyśpij się dobrze, a jutro, mi wszystko opowiesz.

Był już przy drzwiach, kiedy go zatrzymała:

- Matt...

- Słucham?

- Przywiozłam ze sobą jedno z dzieci Rodneya. Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli tu trochę zostanie?

- Skąd, przecież to twój dom - zapewnił, a kiedy chciała jeszcze coś powiedzieć, dodał: - W porządku, ja też zawsze uważałem, że ktoś powinien coś zrobić dla tych dzieci. Moglibyśmy na przykład spróbować znaleźć dla nich rodziny zastępcze. Nareszcie byłoby to coś, co możemy zrobić razem.

- O, tak - odparła sennie. - Wszyscy razem, we troje...

Matt uśmiechnął się na samą myśl o współdziałaniu z Bailey i dzieckiem, ale zamykając drzwi od jej sypialni, pomyślał, że może jednak w końcu wszystko się ułoży.

Następnego ranka Matt był pewien, że śni koszmarny sen, bo w tym śnie przeniesiono go z powrotem do domu Patsy. W łazience zastał istny chlew. Wszystkie ręczniki były przemoczone i walały się po podłodze. Na brzegu wanny pozostał tłusty, szary osad, umywalka była zapchana włosami, a lustro — pochłapane pianką do golenia.

Po wyjściu z łazienki potknął się w hallu o jakieś pudło. Kiedy się rozejrzył, stwierdził, że pudła z jego rzeczami, których było około pięćdziesięciu, ktoś przeniósł na facjatkę, gdzie znajdowała się jego pracownia. Wskutek tego nie mógł dostać się ani do komputera, ani do stołu kreślarskiego.

Czym prędzej zszedł na dół i otworzył drzwi do zapasowej sypialni. Zobaczył, że wyniesiono stamtąd wszystkie jego rzeczy z wyjątkiem łóżka i tych sprzętów, które Bailey umieściła tam wcześniej.

Wmawiał sobie, żeby się tym nie przejmować. Przecież Bailey uprzedziła go, że sprowadziła do domu dziecko Rodneya, a po dziecku wychowanym w tamtych warunkach trudno się było spodziewać, że zachowa czystość w łazience. Biedactwo może po raz pierwszy w życiu zetknęło się z łazienką w domu?

Ajednak zrobiło mu się przykro, kiedy zobaczył wszystkie swoje rzeczy wyniesione gdzie indziej, jakby go stąd wyrzucano!

Mało tego - w kuchni stwierdził, że słoje, w którym Bailey przechowywała własnej kompozycji mieszankę płatków zbożowych, był pusty. W duchówce nie czekał też na niego puszysty omlet, a z lodówki jakby wymiotło jajka i mleko.

Tymczasem do kuchni weszła Bailey. Wyglądała dziś lepiej niż kiedykolwiek, a w oczach miała błysk, jakiego nigdy dotąd u niej nie widział.

— Dzień dobry - przywitała go. - Późno wczoraj wróciłeś...

- No, tak...

— Wzięłam ją do prania! — rzuciła przez ramię, przerywając Mattowi rozpoczętą myśl. - Och, przepraszam, Alex szukał koszuli, więc mu powiedziałam... Zresztą słyszałeś, co mu powiedziałam. A co u ciebie, wszystko w porządku? Potrzebujesz czegoś?

Matt uśmiechnął się bezradnym, chłopięcym uśmiechem, który na ogół rozbrajał kobiety.

- No, chciałbym zjeść śniadanie...

- Dobra, ale musisz sam sobie zrobić. Alex i ja wychodzimy. Mamy coś... hm... do załatwienia.

- Aha - bąknął Matt z wymuszonym uśmiechem. - Ale nie mogę znaleźć płatków.

Bailey otworzyła szafkę i wyjęła stamtąd pudełko płatków śniadaniowych „Cheerios”.

- No wiesz, gotowe? - zgorszył się Matt.

- Przykro mi, ale Alex zjadł całą moją mieszankę. Możesz zjeść jajka.

- Ale ich też nie ma! - Silił się, by robić dobrą minę.

- Rzeczywiście, wczoraj z Aleksem smażyliśmy omlet...

- Ale jeszcze wczoraj tu było dwanaście jajek!

- Może i było - wzruszyła ramionami Bailey. - Tylko że Alex i ja byliśmy tacy głodni, że pewnie zjedliśmy wszystkie.

- Jak dziecko mogło zjeść cały tuzin... - zaczął Matt, ale urwał, gdyż do kuchni wszedł w tym momencie Alexander Yates. Matt spodziewał się zobaczyć dziewięcio- lub dziesięcioletniego chłopca, podczas gdy stanął przed nim wyrośnięty młody człowiek. Spoglądał na Matta takim wzrokiem, jakby przejrzał na wylot jego myśli, a nawet... uczucia!

Matt próbował zachować spokój, ale nie wytrzymał i warknął:

- Co pan tu robi?

- Jestem jej współnikiem w zbrodni - odparował bez namysłu, po czym oboje z Bailey parsknęli śmiechem. Bailey tak się zaśmiewała, że aż musiała przysiąść.

- Pamiętasz... - zaczęła.

- Jak jechałaś prosto na niego? Myślałem, że to moje ostatnie chwile! - zarykiwał się Alex, siadając obok Bailey. - Nawet nie miałem pojęcia, że znam na pamięć ten psalm!

- Recytowałeś go bezbłędnie.

Spojrzeli po sobie i wyskandowali chórem:

- „...zła się nie ulękne!”

- Kiedy to okno się otworzyło, myślałam, że wypadnę... Och, Alex! - Bailey ścisnęła go za ramię, a ze śmiechu aż się popłakała. Gdy Alex podniósł oczy na Matta, napotkał jego

nieprzyjazne spojrzenie. Wzruszył wtedy ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Coja poradzę, że kobiety mnie lubią?”

Bailey wytarła oczy i poszła do sypialni po ręcznik. Matt deptał jej po piętach.

- Czy wiesz, kim jest ten chłopak?

Bailey z trudem dochodziła do siebie po paroksyzmach śmiechu.

- Przecież mówiłam ci wczoraj, że to jedno z dzieci Rodneya Yatesa. Ładnie z twojej strony, że zaniósłeś mnie do...

- On nie jest już dzieckiem. Jest mężczyzną! Wpuściłaś pod swój dach obcego mężczyznę i pozwoliłaś mu spędzić tu noc. Mało tego, pozwalasz mu się objadać. Nie zdajesz sobie sprawy, że on może być niebezpieczny?

- Oczywiście, masz świętą rację! - Bailey obrzuciła go przelotnym spojrzeniem. - Ale ciebie na początku też nie znałam, a pozwoliłam ci tu spać, prawda? Dałam ci nawet jeść, choć wyglądałeś o niebo bardziej niebezpiecznie niż on. Nie bój się, nie będę musiała trzykrotnie zwiększać komornego! Przepraszam cię teraz, ale mam tu jeszcze to i owo do zrobienia.

Z tymi słowami zatrzasnęła mu drzwi sypialni przed nosem. Matt w bezsilnej złości kopnął brudny ręcznik pozostawiony na środku hallu.

## 19

Przez cały następny miesiąc Bailey była tak zapracowana, że nie miała czasu myśleć o „Złotej Szóstce”. Zresztą, prawdę mówiąc, miała już dość tego tematu. Alex wciąż ją wypytywał, co takiego powiedziała jego ojcu, że tak go wyprowadziła z równowagi. Jej wyjaśnienia jednak niewiele wniosły do sprawy.

- On wpada w szał za każdym razem, kiedy jego aktualna żona grozi mu rozwodem - myślał głośno Alex. - Ciekaw jestem, co teraz tak go rozwścieczyło.

Bailey poszukała wzrokiem Matta, ale on siedział po przeciwnej stronie stołu i nie odzywał się do nikogo. Musiała przyznać, że jego zazdrość o Aleksa bardzo ją dowartościowała.

Z czasem wyszło na jaw, że Alex stale mieszkał w Calburn u jednej z sióstr Rodneya, ojca zaś odwiedził tylko na kilka dni, aby się zobaczyć ze swoim przyrodnim rodzeństwem. Bailey nie pamiętała, jak doszło do tego, że teraz zamieszkał z nią i Mattem, ale w końcu na tym stanęło. Nie miała za złe Aleksowi, że skorzystał z okazji, bo siostra Rodneya mieszkała z sześciorgiem wnucząt w małym domku, tylko zjedna łazienką i dwiema sypialniami. Zresztą Bailey nie przeszkadzało to, gdyż polubiła tego chłopaka.

- To taki miły dzieciak! - opowiadała o nim Mattowi. - Po szkole pracuje w Wells Creek i każdy zarobiony grosz oddaje rodzinie. Gdyby nie on, żyliby w nędzy.

Matt w odpowiedzi mruknął coś pod nosem.

Alex świetnie godził pracę z nauką, bo otrzymywał w szkole dobre oceny, a oprócz tego znajdował jeszcze czas na występy w szkolnym teatryku. Jego nauczyciel wyrażał się o nim w samych superlatywach:

- Jak on naturalnie gra! Wystarczy, że tylko raz przeczyta rolę, by już ją pamiętał. Nie potrzebuje nawet wielu prób. Przyjdzie na samo przedstawienie i też zagrajak z nut.

Bailey namówiła Matta, by pojechał z nią obejrzeć przedstawienie z udziałem Aleksa. W drodze powrotnej rozpływała się nad jego talentem.

- Co za wspaniały aktor! Słuchaj, przez cały czas zastanawiałam się, czy nie powinnam zadzwonić do takiego jednego znajomego, który mógłby załatwić mu zdjęcia próbne w Hollywood?

- Pewnie, zadzwoń do niego choćby zaraz! - podchwycił Matt z udanym entuzjazmem. - Niech mu załatwi sesję zdjęciową na jutro, a ja zapłacę za jego przelot do Hollywood.

Bailey skwitowała tę ironię śmiechem, ale Matt nie ustawał.

- Ależ naprawdę! Chętnie zarezerwuję dla niego samolot, nawet odrzutowy!

Przyprawiło to Bailey o jeszcze bardziej żywiołowy atak śmiechu.

Carol przyleciała następnego dnia po telefonie Bailey. Od razu zabrała się do pracy i pod tym względem dobrze dobrały się z Violet, u której zamieszkała. Dwa dni później przed domem Violet pojawiło się osiem ciężarówek, którymi przyjechali elektrycy, stolarze, malarze, hydraulicy, spedytorzy mebli i wyposażenia domu oraz ekipa porządkowa. Po dalszych trzech dniach dojechały z nianią córki Carol, w wieku ośmiu i dwunastu lat. Początkowo miały zostać tylko przez weekend, ale, zamiast wracać na poniedziałek do domu, zdecydowały się zamieszkać z matką, która zapisała je do miejscowej szkoły.

Carol zachowywała się tak, jakby tylko praca mogła ją utrzymać w dobrej formie. Od razu napisała scenariusz dla jednodominutowego spotu reklamującego produkty firmy „Drzewo Morwy. Przetwory Domowe”. Za pieniądze Philipa wykupiła czas antenowy w porze największej oglądalności - podczas przerwy prestiżowego meczu piłkarskiego, transmitowanego w trzech stanach. Kiedy miała już zarezerwowane miejsce na antenie, wpadła w szał projektowania scenografii. Wykorzystywała przy tym przez większą część doby maszynę do szycia Patsy, a każdemu, kogo przedstawiała jej Bailey, powierzała jakąś rolę w swoim scenariuszu.

Na początku następnego tygodnia w drzwiach domu Bailey pojawiła się Arleen z dwudziestoma ośmioma walizkami.

- Jak mnie odnalazłaś? - jęknęła Bailey.

- Może udało ci się ukryć przed światem, ale w tym miasteczku wszyscy wiedzą, gdzie mieszkasz. No, co tak na mnie patrzysz? Przecież nie mówię, że wiedzą, kim jesteś, tylko gdzie cię szukać. Dobra, pokaż mi teraz, gdzie masz pokój gościnny.

- Widzisz, mam tylko trzy sypialnie, a mieszka teraz u mnie dwóch panów, więc...

- No, no, rzeczywiście się zmieniłaś! - wycodziła Arleen.



Bailey smażyła właśnie sześć rondli konfitur, a cztery skrzynki truskawek czekały na odszypułkowanie, nie miała więc czasu na szermierkę słowną z Arleen.

- ...będziesz musiała zatrzymać się w hotelu! - dokończyła.

- Niestety nie mogę, kochanie. Jestem spłukana do suchej nitki.

Bailey miała ochotę dać nowej znajomej do zrozumienia, że to jej problem, ale wpadła na pewien pomysł. Przyszło jej do głowy, że Arleen i Janice mogą przypaść sobie do gustu. Janice wstydziła się swego pochodzenia, utytułowana dama mogłaby więc zaimponować. Poza tym przed laty Janice namówiła męża, aby kupił dom, który postawił jeszcze dziadek Matta, by świecić w oczy ludziom z Calburn swoim bogactwem. Matt nieraz mawiał: „Ten dom zrujnował mego dziadka”, ale Scott kupił go za bezcen i stale ulepszał, choć Janice zrzędziła, że ta robota nigdy się nie skończy.

- Poczekaj, niech zadzwonię - zaproponowała więc Bailey, a po dziesięciu minutach Janice przyjechała swoim mercedesem i zrobiła oczy jak spodki. Zabrała ze sobą Arleen i tyle walizek, ile dało się naraz wtłoczyć do jej samochodu.

Oczywiście Carol znalazła i dla Arleen rolę w swoim filmie reklamowym. Wtedy nie dało się dłużej trzymać w tajemnicy planowanej działalności, a zresztą nie było już ku temu powodu. Panie zanadto się zaangażowały w rozruch firmy, aby pozwolić komukolwiek wyperswadować sobie jej założenie. Ponadto osiągnęły przewagę liczebną nad swymi mężczyznami -przecież zebrali się ich już sześć!

Inicjatorce przedsięwzięcia spędziły kilka wieczorów na obliczaniu, ile pieniędzy uda się im zgromadzić. Patsy zorganizowała kiermasz rzeczy używanych, na który Arleen ofiarowała dwie balowe suknie prosto z Paryża. Każda z pań wniosła jakiś wkład na wspólne konto bankowe i z bijącymi sercami zasiadły do redagowania oferty na zakup zakładów w Ridgeway. Zanim ją doszlifowały, pośrednik sprzedaży nieruchomości dał im znać, że właściciel zgodził się na ob-

nizienie ceny o jedną trzecią. Bailey dałaby głowę, że ta promocja miała coś wspólnego z randką Violet z właścicielem fabryki, ale wiedziała, że lepiej nie pytać o szczegóły.

Z kolei Janice zabrała się do zakładania ksiąg podatkowych, wyrabiania licencji i numerów statystycznych. Piała przy tym z zachwytem nad zaradnością Arleen.

- Jak na arystokratkę zna się na interesach! - podziwiała. - Liczy w pamięci szybciej niż kalkulator, a jak umie się targować! Zamówiła do mojej jadalni jedwabne zasłony za połowę ceny bawełnianych, a jakie dywany skombinowała mi nie wiadomo skąd! I trzeba było wam słyszeć, co nagadała mojej teściowej. Myślałam, że ta stara wiedźma od razu się obrazi i wyjedzie, ale gdzie tam - przełknęła wszystko! Macie pojęcie? Im więcej Arleen jej dogryza, tym bardziej mamuśka Scotta stara się jej przypodobać!

Patsy z prawdziwą radością ponownie przyjmowała do pracy kobiety, które kiedyś musiała zwolnić z powodu zamknięcia fabryki. Cieszyła się też, że odzyska pretekst do scedowania większości prac domowych na barki męża i synów.

- Jak za dawnych, dobrych czasów, kiedy jeszcze pracowałam! - wzdychała nostalgicznie.

Podczas którejś z degustacji w domu Bailey współpracownicy zaczęły dyskutować o wydaniu broszury reklamowej, którą mogłyby rozsyłać zarówno do małych sklepików, jak i do hurtowni. Tu jednak musiały przystopować, bo żadna z nich nie miała pojęcia o grafice komputerowej ani o zakładaniu stron internetowych.

- Wiesz, kto mógłby wam pomóc? - zaproponował Alex przy śniadaniu. - Carla!

Bailey musiała przypomnieć sobie, gdzie i kiedy słyszała przedtem to imię.

- To córka Opal - odpowiedział Matt.

- Ta z włosami farbowanymi na wszystkie kolory tęczy i kolczykami we wszystkich możliwych miejscach?

- Widzisz? Już po tym można poznać, że ma artystyczną duszę!

- Właściwie... - zawahała się Bailey.  
- Jeśli dopuścicie do tajemnicy Carłę — ostrzegł Matt - to jej matka niedługo się czegoś domyśli, a Opal to największa plotkara w całym mieście.

- Nic nie szkodzi - uspokoiła go Bailey. - Trzymałyśmy to w tajemnicy tylko przed wami trzema.

Liczyła, że rozśmieszy tym Matta, ze zdziwieniem spostrzegła więc rumieniec gniewu rozlewający się aż na jego szyję.

- Nie jestem waszym wrogiem! - rzucił krótko i wstał od stołu.

Następnego dnia Alex zaprosił Carłę, żeby po szkole przyszła z nim do domu Bailey. Przez całą wizytę nie spuszczał z Carli oka, a Bailey z zadowoleniem stwierdziła, że dziewczyna nie zachowywała się tak ponuro i odstręczająco, jak to było w zakładzie matki. Przeciwnie, tryskała entuzjazmem i wciąż strzelała nowymi pomysłami, wiedziała także sporo o zakładaniu stron internetowych. W krótkim czasie opracowała udany folder reklamowy, po czym zapędziła Aleksa i bliźniaków Patsy do adresowania kopert.

- Jak ona to robi? - Bailey wypytywała Matta. Zauważyła bowiem, że dziewczyna błyskawicznie podporządkowała sobie trzech młodych, atrakcyjnych chłopaków, nie wykazując równocześnie specjalnego zainteresowania żadnym z nich.

- Tak samo jak ty - odburknął Matt, idąc do swojej pracowni na poddaszu. Na parterze nie zostało dla niego za wiele miejsca, bo wszędzie kręcili się pracownicy i udziałowcy firmy „Drzewo Morwy. Przetwory Domowe”. Jeszcze zanim ci ostatni rozeszali materiały reklamowe - do firmy zaczęły napływać pierwsze zamówienia.

- Zauważyłyście, że nadawcami są sami mężczyźni? - rozważała Patsy. - I to bezpośrednio. Czy to ja jestem taka staroświecka, czy dyrektorzy przedsiębiorstw nie zatrudniają już sekretarek?

- To robota Violet - orzekła Carol, liżąc brzeg koperty. - Pewnie poroższyłała trochę prezentów.

Bailey chciała jeszcze o coś zapytać, ale Patsy i Janice zmierzyły ją surowym spojrzeniem, ograniczyła więc swoją ciekawość do problemu:

- To który według was jest lepszy - wiśniowy czy jagodowy?

Na trzy dni przed terminem emisji filmu reklamowego w telewizji o trzeciej nad ranem obudził Bailey odgłos telefonu.

Dzwonił Philip, choć Bailey słabo go słyszała, gdyż musiał się znajdować w jakimś gwarным barze.

- Słuchaj, nie mam dużo czasu - zaczął bez żadnych wstępów. - Dałem właśnie pięćdziesiątka jednemu facetowi, który pozwolił mi skorzystać z jego komory, żeby mnie nie namierzyli, skąd dzwonię. Chciałbym cię ostrzec, choć nie bardzo jeszcze wiem, przed czym. Chodzi o to, że Atlanta i Ray zachowują się, jakby wpadli w panikę. Likwidują wszystkie swoje przedsiębiorstwa, spieniężają, co mogą, a gotówkę wywożą z kraju. Może usłyszysz coś o tym w wiadomościach.

- Przepraszam cię, Philip - nie wytrzymała Bailey - ale co ja mam do tego? To ich pieniądze i mogą zrobić z nimi, co zechcą.

- Bailey, czy jesteś pewna, że James nie otrzymał zezwolenia twojej matki na ślub z tobą? - Philip niespodziewanie zmienił temat.

- Nie mógł otrzymać niczego takiego, bo przed naszym ślubem nawet nie widział mojej matki. Mówiłam ci przecież, że uciekłam z nim.

- Wiem, ale czy jesteś tego całkiem pewna?

- Dlaczego tak wypytyujesz?

- Ponieważ Atlanta i Ray wiele razy pytali o ciebie. Powiedziałem im, że odkąd dowiedziałas się o mojej współpracy z nimi, wyprowadziłaś się i nie znam miejsca twojego pobytu.

- Naprawdę nie rozumiem, o co ci chodzi. Że Atlanta i Ray mają nie po kolei w głowie, to fakt, ale to, że nasz ślub nie był prawomocny i Jimmie nie zapisał mi nic w testamencie, to też są fakty. Atlanta i Ray są jego jedynymi żyjącymi krewnymi.

- A na pewno są?

- Słucham? Nie słyszę cię dobrze.

Philip przez chwilę się nie odzywał, ale gwar w tle nieco ścichł, co mogło oznaczać, że przeszedł w ustronniejsze miejsce.

- Czy oni na pewno są jego krewnymi? - powtórzył.

- No pewnie! Jimmie ich nienawdził, a mimo to jakoś ich tolerował, co oznacza, że musieli być jego krewnymi! Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie przyjaźniłby się z kimś takim!

- Nie jestem pewien, ale zastanawiam się, czy oni nie mogli wiedzieć o nim czegoś, co starał się ukryć przed światem. Wiesz, w jakiej tajemnicy trzymał całą swoją przeszłość. Może dopuścił się jakiegoś potwornego czynu, o którym oni wiedzieli? Dużo myślałem też o tym, że James na ogół przywiązywał dużą wagę do szczegółów. Nie przypuszczam, aby nie wiedział, że miałś tylko siedemnaście lat, gdy się z tobą żenił. A gdyby wiedział o tym, poprosiłby twoją matkę o zezwolenie.

- Ależ na pewno nie prosił jej o nic takiego. Przecież powiedziałałaby mi, gdyby to zrobił.

- A ty powiedziałaś mu, ile masz lat? Może on czekał, aż pierwsza przyznasz mu się do tego?

- Skąd, nic mu nie mówiłam. Gdybym powiedziała, może pobralibyśmy się legalnie, ale nie martw się o mnie. Mnie to wcale nie przeszkadza.

- Bailey, posłuchaj... -W telefonie odezwał się brzęczyk. - Cholera, bateria się rozładowuje... Słuchaj, a może jednak James miał kartkę z pisemną zgodą twojej matki? Może wasz ślub był prawomocny, a Atlanta i Ray nie są z nim w ogóle spokrewnieni? W takim razie wszystkie jego miliardy należa-

łyby się tobie, a nie im. A może ujawnił się ktoś, kto wie o legalności waszego małżeństwa i chciałby tę informację nagłośnić? To mogłoby dać Atlancie i Rayowi niezły popęd!

- No, a testament Jimmiego?

- Zgodnie z testamentem pieniądze przypadły jego bratu i siostrze. Ale gdyby w sądzie udało się dowieść, że oni nie są z nim spokrewnieni... Bailey, czy ty pamiętasz, żeby cokolwiek ich łączyło?

Bailey nie chciała mu powiedzieć o zdjęciu Atlanty i Raya, które znalazła wśród zdjęć Matta w pudełku po butach. Po prostu miały już dość tej całej sprawy i nie chciała mieć nic wspólnego z Atlantą, Rayem, a nawet i z Jimmiem.

- Słyszałaś coś, prawda? - naciskał Philip. - Co to było?

Bailey westchnęła. Nie umiała kłamać nawet przez telefon.

- Nic, po prostu znalazłam zdjęcie dwójki dzieciaków, które wydały mi się podobne do Atlanty i Raya.

- Bailey, na miłość boską! - wpadł jej w słowo Philip. - Nawet nie wiesz, jakie to ważne. Musisz się dowiedzieć o nich, ile tylko możesz. Gdyby udało mi się udowodnić, że nie są żadnymi krewnymi Jamesa, może mógłbym postawić tamę temu całemu szaleństwu? Gdybyś znała kogoś, kto wiedziałby, czy byliście prawomocnie poślubieni...

- Nie potrzebuję tych pieniędzy! - przerwała mu Bailey piskliwym z przejęcia głosem. Wyobraziła już sobie reporterów oślepiających ją błyskami fleszy i zadających mnóstwo niedyskretnych pytań...

- Tu nie chodzi o ciebie! - Philip ze zdenerwowania podniósł głos. - Wiesz, co ci dwoje robią? Zamykają i wyprzedają wszystkie zakłady koncernu Jamesa. Tysiące, a może i miliony ludzi przez nich znajdują się na bruku. Nie mogłabyś dowiedzieć się czegoś więcej? - Z tamtej strony ponownie odezwał się brzęczyk. - Obiecuj mi, że zdobędziesz tyle informacji, ile dasz radę. Przrzeknij, że to zrobisz, bo to naprawdę bardzo ważne!

- No dobrze - zgodziła się niechętnie Bailey. - Zrobię... -

Urwała, bo w słuchawce zapadła już cisza. - Zrobię, co będę mogła! - obiecała w przestrzeń, krzywiąc się z niesmakiem.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała w stronę drzwi, bo dobiegło stamtąd ciche pukanie.

- Kto tam? - spytała. Za drzwiami stał Matt.

- Wszystko w porządku? - chciał wiedzieć. - Bo słyszałem, że ktoś do ciebie dzwonił.

- Aha - odmruknęła. Nie chciała dać po sobie poznać, jak ten telefon wyprowadził ją z równowagi. Ostatnio zaczynała już powoli zapominać, że kiedykolwiek była korpulentną żoną Jamesa Manville'a. Od wielu dni nie zastanawiała się, „co Jimmie powiedział” ani „co Jimmie zrobił”. Obawiała się wprawdzie, żeby Arleen lub Carol z czymś się nie wygadały, ale te kobiety umiały dochować tajemnicy. Carol wyrwała się raz z zabawnym pytaniem: „Czy powinnam im powiedzieć, że mój mąż pracuje dla miliarderów?” Bailey przy tym uśmieła się setnie, bo przyjaciółka wymówiła słowo „miliarderów” takim tonem, jakby chodziło o jakąś zaraźliwą chorobę.

Teraz, nie patrząc Mattowi w oczy, próbowała go spławić.

- To nic takiego, tylko mój stary znajomy dzwonił z imprezy. Obchodzi akurat urodziny.

Matt nawet się nie poruszył. Można było wyczuć, że jej nie wierzy.

- Albo w ogóle była to pomyłka - rzucił chłodno, nie dając Bailey szansy wyjaśnienia. Zamknął za sobą drzwi jej sypialni, ale nie wrócił do łóżka, tylko od razu skierował się do swojej pracowni. Bailey słyszała, jak wchodził po schodach na poddasze.

Próbowała ponownie zasnąć, ale rozmowa z Philipem kompletnie wybiła ją ze snu. Niepokoiła się, dlaczego nie zapytał o Carol ani o córki - przecież wiedział, że są u niej. A może nie wiedział?

Odczekała jeszcze godzinę, wstała, ubrała się i przeszła do kuchni. Zanim obudził się Alex, zdążyła nasmażyć całą górę naleśników i przyrządzić do nich cztery rodzaje sosu. Matt

usiadł przy stole, ale niewiele jadł i prawie się nie odzywał. Nie zareagował nawet na zaczepkę Alexa:

- Dobrze, stary, że przestałeś się obżerać, bo faceci w twoim wieku łatwo tyją!

Kiedy Matt wyszedł do pracy, Alex zapytał z niepokojem:

- Co się z nim dzieje?

- Och, to takie sprawy tylko dla dorosłych! - zbyła go, jakby Alex był pięcioletnim chłopczykiem.

- Aha, chodzi o te rzeczy? - odgadł z domyślnym uśmiechem. - Że też od razu nie wyczałem! Mając takiego ojca, jak ja mam, trudno nie wiedzieć nic o seksie!

- Zapewniam cię, że między mną a Matthew Longacre'em nie ma mowy o seksie - wycodziła Bailey z gryzącą ironią.

- Coś takiego! - Alex umaczał w sosie pomarańczowym naleśnik posmarowany serkiem i zwinięty w rulon. - To stary Matt już nie może? Bo jeśli tego nie robi, to chyba tylko dlatego.

- O czym ty, chłopcze, mówisz?

- O normalnej chcicy, panno B. Ludzie zawsze przez to skakali sobie do oczu, a ten gość jest taki napalony na ciebie, że mało nie pęknie!

- Z byka spadłeś? Lepiej przestań się obżerać i leć, bo spóźnisz się na autobus.

- Jeśli mi nie wierzysz, to spróbuj wsadzić mu rękę...

- Dosyć! - przerwała mu ostro. - Zjeżdżaj stąd i nie upodabniaj się do twego ojca!

Alex porwał swoje książki i wybiegł przez drzwi od frontu, gdzie właśnie podjeżdżał szkolny autobus. W biegu krzyknął jeszcze:

- Jestem za przystojny, żeby skończyć tak jak on!

Na śmiech Bailey odpowiedział uśmiechem od ucha do ucha.



Film reklamowy udał się nad podziw. Wszyscy zainteresowani czekali niecierpliwie na emisję, a Bailey musiała przyznać, że panowie, odkąd zdali sobie sprawę z determinacji kobiet zdecydowanych na założenie firmy, chętnie zaprzestali protestów.

- To wszystko mnie tak podnieca, że szalejemy teraz z Rickiem w łóżku jak nigdy w życiu! - wyznała Patsy. - Masz pojęcie? On chce, żebym założyła jeszcze jedną firmę! A jak ci idzie z Mattem?

- On mówi, że lepiej od razu trzy! - z mety odpaliła Bailey i skwitowała uśmiechem chichot Patsy.

Bailey już zawniosła wystawiła nakryte stoły na zewnątrz, ale realizatorki filmu miały taką treść, że nie mogły niczego przełknąć. Przyglądając się temu z boku, Bailey doszła do wniosku, że matka Teresa miała rację, gdy mówiła, iż ludziom bardziej niż bieda czy choroba doskwiera poczucie zbędności. Przecież wszystkie kobiety zgromadzone w cieniu morwy, nie wyłączając jej samej, w ostatnich tygodniach znacznie zmieniły się na korzyść. Odnalazły bowiem cel w życiu!

Największej metamorfozie uległa Arleen. Dopóki kręciła się w otoczeniu Jimmiego - Bailey nie znosiła jej, uważała ją bowiem za pasożyta. Teraz jednak okazała się bardzo pomocna przy rozruchu firmy, a wskutek częstych degustacji wyrobów Baileyjej kanciasta figura przyjemnie się zaokrągliła.

Połowę projektów Carli Arleen ostro skrytykowała, klasyfikując jako „bazarową tandetę”. Bailey ostrzegają nawet, by uważała na dobór słów, gdyż posługiwanie się takimi określeniami może zdradzić jej prawdziwe pochodzenie. Jednakże to dzięki Arleen wyroby Bailey zostały opatrzone prostymi, lecz eleganckimi etykietkami, sugerującymi zarówno klasę produktu, jak też jego dostępność.

Z kolei Carol wywierała pozytywny wpływ na Violet - ekscentryczna niewiasta bowiem schudła o dobre osiem ki-

logramów i ani razu podczas przygotowywania filmu nie zapaliła trawki.

- Już czas - powiedziała teraz Carol. Wszyscy zamarli na ułamek sekundy, a potem tłumnie rzucili się ku tylnym drzwiom domu Bailey. Alex i bliźniacy Patsy wzięli Carłę między siebie i razem z nią zaklinowali się w drzwiach.

- Przestańcie! - ofuknęła ich Patsy, wymierzając klapsa zrolowanym katalogiem swojemu bliżej stojącemu synowi. Dopiero wtedy chłopcy, krztusząc się od śmiechu, przepuścili Carłę do środka.

Bailey usiadła na kanapie obok Matta. Wszyscy wstrzymali oddech, kiedy w przerwie meczu na ekranie ukazała się zapowiedź bloku reklamowego. Bailey bezwiednie chwyciła Matta za rękę.

Na początku kamera pokazała kobietę z dwójką dziewcząt (Carol, jej młodsza córka i Carla), które w zwykłym mieszkaniu oglądają telewizję. W pokoju panuje uroczy nieład, a mama i jej córki mają na sobie znoszone, codzienne ubrania. Nagle na planie pojawia się mąż (Alex z przyprawionymi wąsami) i obwieszcza, że przywiózł swojego szefa wraz z małżonką, trzeba więc podjąć gości kolacją.

- Przepraszam cię, kochanie, ale już ich uprzedziłem, jak świetnie gotujesz - zaznaczył na wstępie.

- Mam w piecu duszoną wołowinę, ale co ja podam na przystawkę i na deser? -jęknęła ostentacyjnie Carol.

W tym momencie kamera najechała na twarz Carli, która proponuje:

- Mamo, a gdybyś otworzyła te konserwy, które dziś kupiłaś?

Następna scena rozgrywała się na dwóch planach. W kuchni Carla pomagała matce się przebrać (szczególną ekspresją wyróżniała się scena nakładania rajstop). Równocześnie Carol otwierała słoiki opatrzone etykietkami „Drzewo Morwy. Przetwory Domowe” i układała na półmisku gotowe przystawki. Młodsza córka wyjmowała tymczasem z zamrażarki gotowy keks i przybierała go wiśniami w koniaku.

Kamera zatrzymywała się przez chwilę na nienagannej kreacji i fryzurze Carol (efekt trzech godzin spędzonych u Opal i wskazówek Arleen), kiedy podaje przystawki gościom (role te grali pan Shelby i Arleen w kostiumie od Chanel). W ostatniej scenie obie pary kończyły przy stole deser, a rozpromieniony szef informował Alexa:

- No, zasłużyłeś na awans i podwyżkę!

Ledwo film się skończył, Patsy porwała pilota, wyłączyła telewizor i powiodła wzrokiem po zebranych.

- No i jak? - rzuciła w przestrzeń.

Pierwszy zaczął bić brawo Rick, a pozostali dołączyli do niego. Matt wyjął z lodówki szampana i ponalewał do kieliszków.

- Za pomyślność firmy „Drzewo Morwy!” - wzniosł toast. Wszyscy spełnili toast i ze śmiechem podążyli ku zastawionym stołom. Dyskutowali przy tym zawzięcie, analizując każdy fragment filmu. Tylko Bailey została w kuchni, a z nią Matt.

- Naprawdę ci się podobało? - dopytywała.

- Tak, to rzeczywiście świetne — orzekł. — Doskonale promuje wasze produkty i na dodatek rozśmiesza widzów. Czego można chcieć więcej?

- A może wolałbyś coś zmienić?

- Absolutnie nic. Dobrze jest tak, jak jest.

Bailey skorzystała z okazji, że zostali sami w całym domu, i dodała:

- Matt, przepraszam cię za moje zachowanie w tych dniach. To chyba dlatego, że...

Nie dalej dokończyć, tylko schylił się nad nią i ucałował ją w czubek nosa.

- W porządku, nie mam do ciebie o nic pretensji - zapewnił. Przeszedł z powrotem do salonu i wziął do ręki pilota. - Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli obejrzę wiadomości?

- Podejrzewam, że chodzi ci raczej o wyniki rozgrywek piłkarskich.

- Widzę, że znasz mnie aż za dobrze! - uśmiechnął się Matt.

- Może wciąż jeszcze za mało - sprostowała, patrząc na niego surowo. Mimo to Matt rozpromienił się jeszcze bardziej.

- Może byśmy napili się jeszcze szampana i...

- ...przytulili się gdzieś i obejrzeni stary film? - dokończyła, uśmiechając się domyślnie.

- Przytulić się możemy w każdym razie - odwzajemnił jej uśmiech.

- No więc już jedzie szampan - zaanonsowała Bailey i na chwilę znikła w kuchni.

Kiedy wróciła, trzymając napełnione kieliszki w obu rękach, trwały już wiadomości. Nagle z ekranu padło nazwisko „Manville”, więc zamieniła się w słup soli.

- Zamknęli nasz zakład! - szlochała do mikrofonu jakaś kobieta. - Zostałam bez pracy i z czego teraz utrzymam troje dzieci?

Prezenter uzupełnił do kamery tę wypowiedź:

- To tylko jeden z wielu zakładów, które Atlanta i Ray Manville'owie zamknęli w ostatnich tygodniach.

Bailey jęknęła. Matt przyglądał się jej uważnie, kiedy z zapartym tchem śledziła dalszy ciąg transmisji.

- Manville'owie nieźle namieszali na Wall Street - komentował dalej spiker. - Wyprzedają akcje po zaniżonym kursie i spieniężają cały majątek wchodzący w skład imperium miliardera Jamesa Manville'a...

Na ekranie ukazał się Ray w otoczeniu reporterów i zdeperowanych pracowników, którzy niespodziewanie znaleźli się na bruku. Dopchał się do mikrofonu tylko dzięki obstawie trzech ochroniarzy i czterech adwokatów.

- Mój brat znał się na prowadzeniu takiego przedsiębiorstwa, ale my z siostrą nie mamy o tym bladego pojęcia - tłumaczył. - Jesteśmy prowincjuszami, nie biznesmenami, chcemy więc pozbyć się tego wszystkiego.

Ponownie zaczął torować sobie drogę w tłumie, ale zatrzymał go reporter:

- I ma pan sumienie pozbawiać tych ludzi źródła utrzymania?

- Gdybyśmy zbankrutowali, też zostaliby bez pracy! - odparował Ray Kiedy już wszedł do czekającej limuzyny, na ekranie znów ukazała się twarz prezentera.

- Szacuje się, że wartość majątku sprzedanego dotychczas przez Atlantę i Raya Manville'ów przekroczyła już miliard czterysta milionów dolarów. Ciekawe, gdzie ulokują te dolary - że nie w amerykańskim banku, to pewne. Po tragicznej śmierci byłego pełnomocnika Manville'ów, mecenasa Philipa Watermana, który wczoraj utonął...

W tym momencie Bailey wypuściła z rąk kieliszki. Stała jak wryta, z oczami rozszerzonymi przerażeniem. Widząc to, Matt obszedł kanapę i podprowadził Bailey, aby usiadła. Obserwując ją, równocześnie słuchał komentarza płynącego z ekranu:

- Likwidacja koncernu Manville'a postępuje w zdwojonym tempie - donosił spiker. - Nikt nie zna przyczyny tej wyprzedaży ani tego nadzwyczajnego pośpiechu. Nancy, oddaję ci mikrofon.

W studio, nad głowami redaktorów prowadzących program, wisiało duże, oprawione zdjęcie Jamesa Manville'a i jego żony. Reporter snuł domysły, gdzie teraz może znajdować się wdowa.

- Jak myślisz, Chuck, czy ona mogła temu zapobiec? - zastanawiała się jego koleżanka. - Była jego żoną przez szesnaście lat. Może potrafiłaby uchronić jego majątek?

Świat zawirował przed oczami Bailey, a ściany pokoju zdały się walić jej na głowę. Zachwiała się i byłaby upadła, gdyby Matt jej nie podtrzymał. Wziął ją na ręce i skierował się do sypialni.

- Czy ona źle się czuje? - usłyszał za sobą głos Carol.

- Nie, to nic takiego - silił się na zachowanie spokoju. - Zrobiło się jej trochę słabo i rozcięła sobie rękę na rozbitym szkle. Za chwilę wyjdziemy do was.

- Dobrze, ja to posprzątam - zaofiarowała się Carol. - Dajcie znać, gdybyście czegoś potrzebowali.

Matt ułożył Bailey na łóżku, potem przyniósł z łazienki ręczniczek zmoczony w zimnej wodzie i położył go jej na czole.

Oczywiście Bailey od razu próbowała usiąść, ale Matt na to nie pozwolił.

- Weź się w garść - polecił. - Spróbuj się uspokoić. Nikt nie może zobaczyć, że tak przejęłaś się tym komunikatem, bo zaczną ci zadawać kłopotliwe pytania.

- Nnn... nie rozumiem, o co ci chodzi... - Bailey próbowała lawirować, ale Matt nie dał się zbyć. Wytarł jej twarz mokrym ręczniczkiem i oznajmił wprost:

- James Manville to był twój Jimmie, prawda? Od razu rozpoznałem cię na tym zdjęciu. Przedtem miałaś okrągłą twarz i inny kształt nosa, ale i tak widać, że to ty.

Nie odpowiedziała od razu, ale Matt naciskał.

- Nie próbuj mnie oszukiwać! - ostrzegł. - Od początku podejrzewałem, że coś tu nie gra, bo zachowywałaś się dziwnie. Z jednej strony - niby zwiedziłaś cały świat, ale z drugiej - nie miałaś pojęcia o najprostszych rzeczach, jak na przykład zamówienie czegoś z katalogu... Zupełnie jakbyś przedtem była trzymana w luksusowym więzieniu albo... W każdym razie wiem na pewno, że coś przede mną ukrywasz.

- I co masz zamiar zrobić z tą wiedzą? - spytała podejrzliwie.

- Naciągnąć cię na dużą pożyczkę! - wypalił bez namysłu.

- Ależ ja nie... Aha, rozumiem, to był żart, prawda?

- Z gatunku kiepskich. Czy ten Philip, który utonął, to ten sam człowiek, który zapłacił za remont i wysprzątanie tego domu?

Bailey zakryła usta grzbietem dłoni, jakby sobie coś przypomniała.

- Philip to mąż Carol, ojciec dziewczynek... Och, Matt, przecież ona jeszcze nic nie wie! Była zła na niego, że tyle godzin pracował poza domem, może więc on nawet nie wie,

że ona tujest... To znaczy nie wiedział... - poprawiła się, a do oczu napłynęły jej łzy.

- Tylko mi się nie rozpłacz! - Matt położył jej ręce na ramionach. - A co ma do tego ten dziwny telefon w środku nocy?

- To Philip dzwonił - wyszeptała Bailey, tłumiąc łzy. - Chciał mnie ostrzec... nie pamiętam już, przed czym. Nie mogę skupić myśli.

- Odkąd tu jesteś, zadajesz na prawo i lewo mnóstwo pytań. O co tu chodzi?

- Jimmie prosił mnie... to znaczy zostawił... taki liścik do mnie, żebym się dowiedziała, co się naprawdę stało.

- A co się miało stać?

- O to chodzi, że nie wiem! - Bailey otworzyła szufladkę w nocnym stoliku, wyjęła stamtąd kalendarzyk, a potem - karteczkę z notatką od Jimmiego, którą przekazał jej Philip.

- Co to ma znaczyć? - zdziwił się Matt po przeczytaniu notatki. - Chce, żebyś się dowiedziała prawdy, ale o czym?

- Też bym chciała wiedzieć! - Bailey podniosła głos, ale zaraz bezsilnie opadła na poduszki. - I co ja teraz powiem Carol? Przecież to, że Philip zginął, jest po części także moją winą. Może gdybym wcześniej dowiedziała się prawdy... albo gdybym go posłuchała...

- Twoją winą było jedynie to, że mi nie ufałaś - oświadczył stanowczo Matt. - A teraz posłuchaj, co masz zrobić. Chciałbym, żebyśmy oboje wyszli zaraz do gości i udawali, że nie usłyszałaś żadnych złych wieści. Poproszę Violet, żeby Carol nie dowiedziała się o niczym, dopóki sami jej tego nie powiemy. Wymyślę jakąś bajeczkę, żeby ci ludzie prędko sobie poszli, a kiedy zostaniemy sami - usiądziemy razem i porozmawiamy poważnie. Zgoda?

Bailey przeżywała rozdarcie wewnętrzne, bo z jednej strony wolałaby sama stawić czoło sytuacji, ale z drugiej - chętnie wtuliłaby się w ramię Matta i pozwoliła mu przejąć inicjatywę. Ostatecznie wybrała ten drugi, wygodniejszy wariant.

- Dziękuję ci - odetchnął z ulgą Matt, widząc odprężenie na jej twarzy. Wyciągnął do niej ręce, pomógł jej wstać i przygłodzić włosy. - No, nieźle - ocenił. - Wyglądasz, jakbyś przed chwilą z kimś się przespała.

- Nie miałam takiego szczęścia - skarżyła się Bailey, pociągając nosem.

- I ty dopiero teraz mi to mówisz? - nie wytrzymał Matt. Wygarnął to z taką wzruszającą szczerością, że Bailey musiała się uśmiechnąć. - No to chodźmy, głowa do góry. Postaram się jak najszybciej ich spławić.

Co zapowiedział, to zrobił. Jasne, że kiedy wyszli na dwór - oczy gości zwróciły się na nich. Matt czym prędzej podszedł do Violet i szepnął jej coś do ucha, ale nikt tego nie zauważył, bo wszyscy znacząco spoglądali na Bailey. To, że unikała ich wzroku, pokrywało się z ich oczekiwaniami, jakby z góry zakładali, co musiała wyprawiać z Mattem w sypialni. Wystarczyło, że Matt ziewnął i westchnął: „Uff, ciężki dzień mieliśmy dzisiaj!”, a goście zaraz, jeden po drugim, zaczęli zbierać się do domów.

Tylko Alex najwidoczniej nie zrozumiał, o co chodzi, bo kiedy synowie Patsy próbowali go wywabić pod skleconym naprędce pretekstem - wyznał szczerze, że nie znosi gier komputerowych. Dopiero Carla podeszła do niego i szturchnęła go łokciem w żebra. Wtedy udał, że coś sobie przypomniał, i wyszedł, mrugając porozumiewawczo do gospodyni.

Nie minęło pół godziny, a Bailey i Matt zostali sami w całym domu. Matt usadowił ją na kanapie, zaparzył jej filizankę mocnej herbaty i polecił:

— Teraz mów!

Bailey w krótkich słowach wyznała Mattowi wszystko, co leżało jej na sercu. Opowiedziała mu o tragicznej śmierci męża - miliardera - i o tym, jak szybko rozeszła się wieść, że nie zapisał jej ani centa. Pozostawioną przez niego notatkę Matt już widział, natomiast Bailey podzieliła się z nim swoimi przypuszczeniami, że Jimmie mógł być synem



Franka McCalluma. Tylko tego zdołała dowiedzieć się w Calburn!

- W takim razie kim, do jasnej cholery, byłiby Atlanta i Ray? - nie wytrzymał Matt. Bailey spojrzała na niego rozszerzonymi ze strachu oczami.

- Skąd mogę wiedzieć? To miasto musi być rajem dla plotkarzy, bo wszędzie kryją się jakieś tajemnice. Jeśli Jimmie był synem Franka, to może Atlanta i Ray też są jego dziećmi? To wszystko dzieje się stanowczo za szybko! - zakryła twarz dłońmi. - Kiedy zobaczyłam ich na zdjęciu u ciebie...

Matt odciągnął jej rękę od twarzy.

- Najakim zdjęciu? O czym ty, do cholery, mówisz?

- W twoim pudełku po butach znalazłam zdjęcie Atlanty i Raya - oświadczyła wprost.

- Chodzi ci o tych dwoje ofermowatych małolatów? - wycedził Matt. - A mnie nałgałaś w żywe oczy, że nie wiesz, kim oni są!

- Ja... - zaczęła, ale uciszył ją ruchem ręki.

- Poczekaj, przyniosę to pudełko.

Po chwili przyniósł je i wyjął zdjęcie, o którym mówili.

- Prawdę mówiąc, nigdy mu się specjalnie nie przyglądałem. Powinienem był dawno wyrzucić te rupiecie, ale mi się nie chciało - wyznał, stawiając pudełko na stoliku do kawy. - Teraz powtórz mi, ale co do słowa, wszystko, co powiedział ci Philip, kiedy dzwonił.

Bailey przyznała mu się, że w tych dniach myślała głównie o uruchomieniu swojej wytwórni, toteż nie słuchała Philipa wystarczająco uważnie, by zapamiętać wszystkie szczegóły. Natomiast to, co utkwіło jej w pamięci, wymagało dodatkowych wyjaśnień.

Po jakimś czasie Matt poszedł po następną filiżankę herbaty dla Bailey. Po powrocie podzielił się z nią następującym przemyśleniem:

- A może Manville otrzymał od twojej matki zgodę na ślub z tobą, tylko nigdy ci o tym nie powiedział?

- Philip też tak myślał, ale to się nie trzyma kupy. Prze-

cięż powiedziałam Jimmiemu, że za rok będę obchodzić dziewiętnaste urodziny, więc nie miał powodu sądzić, że mógłby potrzebować zgody matki. Powiedziałam mu... O Boże!

- Co takiego?
  - Nie, to niemożliwe! Nie mogę w to uwierzyć.
  - Ale w co, do jasnej cholery?
  - Poznałam Jimmiego, kiedy wręczał mi nagrodę. Ale ja wtedy wygrałam... - Bailey była zbyt zszokowana, aby móc mówić dalej - ...w klasie młodzieży poniżej osiemnastu lat!
- Matt odchylił się na oparcie kanapy i zarządził:
- Musisz mi teraz opowiedzieć, i to dokładnie co do słowa, w jakich okolicznościach się poznaliście.

## 21

- Kto mnie, do jasnej cholery, w to wrobił? - piorunował James Manville, mierząc pogardliwym spojrzeniem niepozornego człowieczka z identyfikatorem w klapie. Jimmie był wysoki i mocno zbudowany, miał na sobie czarny skórzany kombinezon kierowcy wyścigowego, a bujna czupryna i obfite wąsy jeszcze wzmagały jego imponujący wygląd.

- Taka była umowa - przypomniał szczupły człowieczek. - W zamian za to organizatorzy jarmarku zagwarantowali panu...

- No, dobra! - warknął Jimmie. - Co mam oceniać, bukiety?

Ponad głową chudzielca rzucił porozumiewawcze spojrzenie swoim dwu pracownikom, którzy zachichotali stłumionym śmiechem z dowcipu szefa.

Drobny człowieczek jednak nie zrozumiał żartu.

- Nie - stwierdził całkiem poważnie, sprawdzając coś w notatniku. - Pan ma oceniać przetwory domowe, dzemy i galaretki.

Podniósł oczy na Jimmiego i dodał:

- Najmocniej pana przepraszam. To rzeczywiście skandal, żeby zlecać sędziowanie takiego drobiazgu osobie o pańskim statusie... Dowiem się, kto to wymyślił, i natychmiast zwolnię...

- Gdzie? - wpadł mu w słowo Jimmie.

- Chciałby pan wiedzieć, gdzie jest ten łobuz?

- Nie, chciałbym wiedzieć, gdzie jest stoisko z tymi przetworami?

- O, proszę bardzo, pan pozwoli tędy... - Chudzielec pospieszył truchtem, starając się dotrzymać kroku Jimmiemu.

- Lillian, wpadłaś mu w oko! - orzekła Sue Ellen.

- Ale skąd! - odzęgnywała się Lillian Bailey, ściskając w dłoniach błękitne wstęgi, które wygrała. - Był po prostu uprzejmy.

- Żartujesz? Który sędzia całuje zwycięzcę w policzek?

- A niby dlaczego miałyby... - zaczęła Lillian. Nie rozwinęła jednak tego tematu, bo kiedy James Manville całował ją w policzek po raz czwarty, wyszeptał przy tym: „Bądź o trzeciej przy diabelskim młynie”, a ona potakująco skinęła głową. - Zresztą muszę już lecieć.

Wymówiła się i pobiegła w stronę głównej estrady, gdzie spodziewała się zastać matkę i siostrę. Dolores miała zaśpiewać zaraz po pierwszym wyścigu samochodowym, w którym uczestniczył James Manville. Na samą myśl o tym Lillian przebiegł dreszcz.

Matka pomagała swojej starszej córce przygotowywać się do występu. Miały do dyspozycji małe pomieszczenie na zapleczu, osłonięte z trzech stron plandekami, a otwarte z przodu. Toaletkę zastępował kawałek dykty oparty na dwóch kozłach do piłowania. Dolores siedziała tu przed lustrem, nakładając tusz na rzęsy. Miała na sobie skąpy strój kowbojski, złożony prawie z samych frędzli.

- No, jesteś nareszcie! - przywitała młodszą córkę Freida

Bailey. - Nie stój tak, zrób coś pożytecznego. Na przykład pomóż siostrze przy czesaniu.

Lillian posłusznie ujęła szczotkę i zaczęła przygładzać włosy siostry.

- Uważaj! - warknęła Dolores. - Będę cała w tuszu, jeśli nie przestaniesz mnie tak szarpać!

- Przepraszam — bąknęła Lillian, ale zaraz ugryzła się w język, bo jak miałyby powiedzieć tym zawistnym kobietom, że sam James Manville umówił się z nią na randkę? Ciekawe, czy na wieść o tym uściskałyby ją i piszczały z zachwytem, jak wtedy gdy Dolores zwyciężyła w konkursie piosenkarskim? Zamiast tego oznajmiła: - Wygrałam konkurs!

Freida nie zareagowała, tylko w dalszym ciągu grzebała w wielkim kufrze, który wozili ze sobą na wszystkie występy.

- Nie mogę znaleźć twojego pistoletu! - zrzędziła.

- Musi gdzieś tu być! - denerwowała się Dolores. - Poszukaj dobrze!

- Wygrałam konkurs! - powtórzyła Lillian głośniej, szarpiąc szczotką włosy siostry, aż jęknęła z bólu.

- Doprawdy, Lillian? - wycodziła ironicznie Freida. - Wielka sprawa, że wygrałaś kolejną niebieską wstążkę! Przecież twoje dzemy zawsze wygrywają wszystkie konkursy. Pomóż lepiej siostrze, bo za dziesięć minut musi wyjść na scenę, a ludzie gadają, że na widowni ma być James Manville. Wiecie przecież, że jest okropnie bogaty i nie ma żony!

Freida i jej starsza córka popatrzyły po sobie i parsknęły śmiechem, podczas gdy Lillian uświadomiła sobie, że nie zniesie tego ani chwili dłużej.

- Przepraszam, zapomniałam czegoś... - rzuciła szybko, bo nie umiała wymyślić na poczekaniu żadnej bajeczki. Odwróciła się na pięcie i wybiegła, a na wołanie matki jeszcze przyspieszyła kroku. Zostało jej mnóstwo czasu do randki z nim, chciała więc go spędzić w samotności, by móc się napawać rozkoszą oczekiwania.

- Nie mogę w to uwierzyć! - kręcił głową Matt. - Ty miałaś siedemnaście lat, a on ile?

- Dwadzieścia sześć - odpowiedziała Bailey.

- I oczywiście spotkałaś się z nim przy diabelskim młynie?

- No pewnie!

Przymknęła oczy, żeby sobie lepiej wszystko przypomnieć. Gdyby udało się jej wyrzucić z pamięci to, co nastąpiło później, ten cudowny dzień stanowiłby najmilsze wspomnienie w jej życiu.

- Nie masz pojęcia - wspominała - jak świetnie się bawiliśmy! Jimmie zachowywał się jak dzieciak... nie, źle mówię, raczej jakby nigdy w życiu nie był dzieckiem. Pojeździliśmy na karuzeli, a potem pokazał mi swój samochód wyścigowy. W tamtych latach był znany nie tylko jako milioner, ale i rajdowiec. Otworzyli tor specjalnie dla niego i przewiózł mnie dwa okrążenia swoim bolidem, nawet dał mi kawałek poprowadzić...

- Czyli pokazał, że cię lubi? - uściślił Matt.

- Właśnie tak, po staroświecku, zwyczajnie mnie lubił! Starał się mnie rozśmieszyć, podobało mu się wszystko, co mówię i robię, nawet mój wygląd, chociaż byłam taka gruba i miałam nos jak...

Matt przyłożył palec do jej ust.

- Manville po prostu przejrzał cię na wylot - sprecyzował. - Widział cię taką, jaka naprawdę jesteś, i akceptował to.

- Zgadza się - potwierdziła Bailey. - Czasem akceptacja może być najlepszym afrodyzjakiem.

- Zwłaszcza gdy komuś brakowało jej w życiu - uzupełnił Matt, pieszcząc jej rękę.

- Tak, ale to działało również w drugą stronę. Nieraz miałam wrażenie, że i on potrzebował akceptacji. Gdybym była starsza, pewnie myślałabym, że stary świntuch poleciał na mój wianek, ale już kiedyś napastował mnie jeden starszy facet i to było obrzydliwe. A z Jimmiem było mi wspaniale, wcale nie przeszkadzała mi różnica wieku! - Bailey przez

chwilę patrzyła tęsknie w dal. - Może to dlatego, że kiedy go poznałam, czułam się starą kobietą, a on zdawał się nie mieć dzieciństwa?

- Ile czasu spędziliście wtedy razem? - wypytywał Matt.

- Och, wiele godzin! Chyba całe popołudnie, aż do wieczora.

- A czy twoja matka nie martwiła się, gdzie jej siedemnastoletnia córka przepadła na tak długo?

- Nie przypuszczam - odpowiedziała bez namysłu Bailey. - Zresztą wtedy ona i Dolores były zajęte czym innym.

- No, ale z pewnością ktoś „życzliwy” doniósł matce, że jej córka jeździ na karuzeli z tym słynnym Jamesem Manville'em.

- Na tymjarmarku nie było nikogo znajomego. Odbywał się w Illinois, a my przyjechaliśmy z Kentucky.

- Hmmm... - mruknął Matt. - Dobra, opowiadaj, co się działo dalej.

- Kiedy później nic takiego się nie działo! Jeździliśmy akurat kolejką górską i wagonik właśnie piął się w górę, kiedy Jimmie spytał mnie, czy nie wyszłabym za niego. Wagonik już zjeżdżał w dół, a ja przez cały zjazd krzyczałam: „Taaaak!”

Bailey wstała z kanapy i stanęła przy kominku. Wspomnienia pobudziły ją do smutnych refleksji - w którym momencie oboje z Jimmiem popełnili jakiś błąd? Kiedy coś zaczęło się między nimi psuć?

- Pod koniec trasy kolejki Jimmie wziął mnie za rękę i zapytał: „Gdzie jest twoja matka?” Wtedy się przełękłam, bo wiedziałam, że jeśli zwróci się do niej o zgodę na nasz ślub, to nic z tego nie wyjdzie. Albo mu się odechce, albo któraś z nich mi go odbije, bo obie były piękne. W najlepszym razie przygotowania do wesela ciągnęłyby się miesiącami, a nie wyobrażałam sobie, jak Jimmie zniósłby to, że wszyscy właziliby mu bez wazeliny. Nawet nie pytaj, od razu ci powiem, że wcale nie miałam ochoty mu uświadamiać, ile naprawdę mam lat, bo bałam się stracić jedyną ży-

ciową szansę! Jimmie zrozumiał moje wahania, bo on zawsze mnie rozumiał.

Przerwała, aby wziąć głęboki oddech.

- Spytał mnie tylko: „Jesteś tego pewna?”, a ja odpowiedziałam mu, że tak. „I nie masz żadnych wątpliwości?” Odpowiedziałam, że nie. „Już ja się tobą zajmę” - obiecał, a ja potwierdziłam, że nie wątpię w to. Podałam mu rękę i poszłam za nim do samochodu. Trzy godziny później byliśmy już małżeństwem. A przez następne trzy miesiące nie widywałam się z matką ani z siostrą, żeby zdążyły przyzwycząić się do myśli, że jestem żoną Jamesa Manville'a.

Matt uśmiechnął się krzywo.

- Pewnie potem przywitały cię z otwartymi ramionami?  
- Raczej z otwartymi portfelami! - stwierdziła cierpko.  
- Wiesz, nie jestem prawnikiem, ale zdaje mi się, że wasze małżeństwo byłoby prawomocne, gdyby Manville przed ślubem uzyskał pisemną zgodę twojej matki. Czy sądzisz, że to było możliwe? Czy kiedykolwiek któraś z nich dała do zrozumienia, że wie o twoich zamiarach poślubienia Manville'a, jeszcze przed ceremonią?

Bailey próbowała przypomnieć sobie przebieg pierwszej wizyty nowożeńców w domu jej matki.

- Jimmie powiedział, że muszę pogodzić się z rodziną, pojechaliśmy więc do Kentucky. Może niektóre kobiety odczuwałyby przy takiej okazji satysfakcję, ale ja byłam raczej zakłopotana. Miałam wyrzuty sumienia, że oto uciekłam z domu, a tak strasznie pragnęłam aprobaty moich najbliższych!

- Pomyśl dobrze - naciskał Matt. - Spróbuj przypomnieć sobie wszystko, co zostało wtedy powiedziane.

Bailey przymknęła oczy i próbowała się skupić.

- Pamiętam, że w ich domu pojawiło się wiele nowych rzeczy, niektóre meble, zmywarka... Nawet dach wyglądał mi na nowy... Nigdy z nimi o tym nie rozmawiałam, ale wiedziałam, że musiały otrzymać jakieś pieniądze od Jimmiego. On potrafił być hojny.

- A jak matka i siostra zachowywały się w stosunku do ciebie?

Bailey przełknęła ślinę, bo stare rany wciąż bolały.

- Chłodno i z dystansem, jak obce... — wyjaśniła. - Tak chciałam, żeby mama i Dolores wyściskały mnie i zapewniły, jak bardzo się cieszą. One tymczasem...

Na chwilę odwróciła głowę, ale zaraz wypaliła Mattowi prosto w oczy:

- Nie chciałabym wywlekać tamtych spraw z przeszłości. To dla mnie przykre i bolesne.

- A pamiętasz tę kobietę w telewizji, która płakała, bo straciła pracę, a tu troje dzieci na utrzymaniu? - przypomniał Matt. - Obawiam się, że takich ludzi jest więcej i dla nich też jest to przykre i bolesne.

Bailey znów przymknęła oczy.

- Zachowywały się, jakby mnie nie pamiętały albo nigdy nie znały. Zamiast zwyczajnie nalać mi coli, matka wyciągnęła porcelanowy serwis do herbaty, nalała mi filiżankę i spytała, czy chcę jedną, czy dwie kostki cukru! Tak jakbym kiedykolwiek w domu piła herbatę z filiżanki i używała cukru w kostkach! Czyste wariactwo! .

- A czy ktoś w ogóle coś mówił?

- Przypominam sobie tylko luźne strzępy rozmowy, takie tam uwagi na temat pogody. Jimmie siedział odchyłony na oparciu fotela i chwilami sprawiał wrażenie, jakby go to wszystko bawiło, a chwilami nudził się śmiertelnie, prawie przysypiał. A ja tak chciałam, żeby miło spędził czas! Wyobrażałam sobie, że matka wyjmie moje zdjęcia z dzieciństwa i zacznie opowiadać Jimmiemu, co wyrabiałam, kiedy byłam małą. Tymczasem ona zwracała się do mnie per „pani Manville!” Mojej siostrze wyrwało się coś w rodzaju: „Dzięki tobie...”, ale matka spojrzała na nią tak, że umilkła. Zazdrościłam jej nawet tego spojrzenia, bo to przypominało prawdziwą rodzinę...

- Chwileczkę - przerwał jej Matt. — Co twoja siostra miała na myśli, mówiąc: „Dzięki tobie?”



- Bo ja wiem? - wzruszyła ramionami Bailey. - Pewnie takie tam, rodzinne sprawy. Według nich ja już nie należałam do tej rodziny.

- Powtórz dokładnie, co powiedziała twoja matka.

- Spytała: „Może jeszcze herbaty, pani Manville?” A moja siostra dodała: „Dzięki tobie”.

- Czy mówiąc to, zwracała się do ciebie, czy do matki?

- Na początku wydawało mi się, że do mnie, ale patrzyłam akurat na Jimmiego i... - oczy Bailey zrobiły się jak spodki. - Myślisz, że chciała przez to powiedzieć, że zostałam panią Manville dzięki mojej matce?

- Bardzo możliwe. Spróbuj osadzić wszystko w czasie. Kiedy Manville mógł ewentualnie otrzymać zgodę twojej matki?

- Wcale nie mógł. Prosto z kolejki górskiej poszliśmy tam, gdzie czekał już pastor....

- Właśnie, czekał! - podchwycił Matt. - Manville musiał wiedzieć, że jesteś niepełnoletnia, bo startowałaś w klasie wiekowej poniżej osiemnastu lat. Już wtedy, gdy wręczał ci nagrodę, mógł myśleć o ożenku z tobą. A kiedy spotkaliście się przy diabelskim młynie, miał już sprawę obgadaną z twoją matką, bo inaczej szukałaby cię! Nie uwierzę, by na prowincjonalnym jarmarku nie rozeszły się plotki o milionerze randkującym z małolată. Na pewno znalazłaby się przynajmniej jedna wścibska paniusia, która uznałaby za swój obowiązek doniesienie o tym twojej matce!

- Myślisz, że z góry wszystko ukartował? - wyszeptwała Bailey.

- A czy nie należał do ludzi, którzy najpierw podejmują decyzję i są tak pewni pozytywnego wyniku, że planują wszystko na zapas?

- Rzeczywiście, Jimmie zwykle tak właśnie postępował, bo taka była jego filozofia życiowa. Twierdził, że większość ludzi to niezdecydowane matole i choćby ich przekonywał przez całe lata, potrafią w ostatniej chwili się wycofać. Dlatego na spotkania w sprawach interesów przynosił zwykle ze

sobą gotowe dokumenty i w chwili, gdy partnerzy się zdecydowali - podsuwał im je do podpisu.

- Pewnie więc jak cię zobaczył, zorientował się, że cię pragnie, a ponieważ wiedział, że nie masz jeszcze osiemnastu lat - zaczął starania, żeby cię zdobyć.

- Sądziś więc, że uzyskał zgodę mojej matki?

- Tak. I mało tego - Atlanta i Ray musieli niedawno się dowiedzieć o istnieniu takiego dokumentu. Wiedzą, że stracą wszystko, jeśli to wyjdzie na jaw, w pośpiechu więc wyprzedają, co się da, żeby wywieźć z kraju jak najwięcej pieniędzy.

- W takim razie gdzie jest ten kwit? - wypytywała Bailey. - Taksatorzy masy spadkowej nie znaleźli go w papierach Jimmiego.

- Ktoś na pewno wie, gdzie on jest.

- Kto taki?

- Twoja siostra. Przypuszczam, że albo sama go ma, albo wie, u kogo on jest.

- Rzeczywiście, świetny pomysł! - uśmiechnęła się kwaśno Bailey. - Może po prostu zadzwonimy do niej i zapytamy? Wyobrażam sobie, z jaką radością udzieli nam informacji! Ostatni raz rozmawiałam z nią... chyba ze trzy lata temu. Wydarła się na mnie, że zrujnowałam jej życie i że to przeze mnie pierwszy mąż ją opuścił. Nie wiedziałam wtedy, zresztą nawet nie chciałam wiedzieć, czy to Jimmie zaproponował mu pracę na Bliskim Wschodzie. Dolores była pewna, że maczał w tym palce, i nie miało dla niej znaczenia, że załatwił dla niej i jej córki wysoką rentę. Kupił im nawet dom w willowej dzielnicy na Florydzie i wspierał ją finansowo, chociaż zdażyła jeszcze dwa razy wyjść za mąż. Ale ona i tak wiedziała swoje: że przeze mnie żyje w nędzy.

Bailey zaczerpnęła dużo powietrza, żeby się opanować.

- Dajmy na to, że ty nie możesz jej wprost o to zapytać - przyznał Matt. - Ale można przecież napuścić na nią kogoś, kto wyciągnie z niej tę informację.

- Tak, ale nie wiem, kto to mógłby być.

- No więc pomyślmy nad tym oboje.

Myśleli dosyć długo, ale wciąż nie mogli ustalić, kto nadałby się do takiej misji. W którymś momencie Matt wstał i spojrzął na zegarek. Bailey od razu wiedziała, co miał na myśli. Za długo już odwlekali poinformowanie Carol o śmierci jej męża!

## 22

Matt nie pozwolił Bailey samej jechać do domu Violet. Odwiozł ją tam i zapowiedział, że będzie czekał na nią tak długo, jak będzie trzeba. Kiedy Violet zobaczyła ich pod drzwiami, od razu wysłała córeczki Carol na podwórze. Matt dla kurażu ścisnął Bailey za ramię i zostawił ją samą z Carol.

Po dwóch godzinach Bailey wyszła na zaplecze domu, gdzie Matt bawił się z dziewczynkami, a Violet przyglądała się im z fotela.

- Jak ona to zniosła? - zapytał Matt.

- Tak dobrze, jak się spodziewałam. Powiedziała mi, że opuściła Philipa bez pożegnania, bo chciała nim wstrząsnąć i spowodować, żeby przestał pracować dla Atlanty i Raya. Nie mógł jednak odrzucić takiego honorarium, jakie mu zaproponowali. I wiesz co? - podniosła oczy na Matta. - Wydaje mi się, że Philip nie powiedział żonie całej prawdy. Musiał istnieć jeszcze inny powód, że nie chciał zerwać z Atlantą i Rayem. Jimmie kiedyś wspomniał, że Philip odłożył sobie to i owo na czarną godzinę, choć nie wyglądał mi na chciwego. Z kolei Philip zwierzył mi się, że praca dla Jimmiego majedną zaletę - człowiek się nigdy w niej nie nudzi!

- Dobra, co teraz robimy? - zapytał Matt, spoglądając w stronę domu Violet.

Bailey też popatrzyła na córeczki Carol, które akurat szalały na huśtawce, domagając się od Violet, żeby bujała je coraz wyżej. Mimo że starsza miała już dwanaście lat - w Calburn wciąż uchodziły za małe dzieci.

- Teraz? Carol będzie musiała powiedzieć dziewczynkom, że ich ojciec nie żyje!

Bailey zanosła się płaczem. Matt otoczył ją ramieniem, a do Violet pomachał ręką na pożegnanie. Przez całą drogę do domu żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

Po powrocie do domu Matt odnosił się do Bailey tak troskliwie, jakby była chora. Usadowił ją na kanapie, okrył kocem i usmażył jej jajecznicę na dużej ilości masła.

- Miałaś dziś ciężkie przejścia - stwierdził, siadając przy niej i odgarniając jej włosy z twarzy.

- Żebyś wiedział - przyznała, odsuwając pusty talerz. - Kiedy straciłam męża, przez jego pieniądze nie mogłam go nawet opłakiwać. A teraz, słyszałeś, jak mnie obsmarowali w wiadomościach? Że to z mojej winy Atlanta i Ray wyprzedają cały majątek! Ledwie Jimmie zamknął oczy, zrobili ze mnie herod-babę, nawet psychoterapeuci wypowiadali się o kobietach, które manipulują mężczyznami! Jeszcze i teraz...

Matt uśmiechnął się pod nosem.

- Z czego się, do jasnej cholery, śmiesz?

- Z ciebie - odpowiedział wprost. - Kiedy cię poznałem, wyglądałaś, jakbyś bała się własnego cienia, a teraz, proszę! Jesteś gotowa do walki z całym światem!

- Może i tak - zgodziła się. Nagle zaczęła z zupełnie innej beczki: - Oj, masz chyba coś na podbródku!

Matt wytarł się ręką.

- Jeszcze to mam?

- Chodź tu bliżej, niech zobaczę. - Kiedy Matt pochylił się nad nią, złapała go za kołnierz, by przyciągnąć jego usta do swoich.

Widocznie musiała bezpośrednio zetknąć się ze śmiercią, aby nabrać większej chęci do życia. Carol też wykrzyczała dziś na głos to wszystko, co gnębiło Bailey po śmierci Jimmiego - że nigdy już go nie przytuli ani się z nim nie pośmieje...

Bailey miała ochotę jej powiedzieć: „Tak, ale ty przynaj-

mniej masz przy sobie bliskie osoby, które ci współczują!" Jej odmówiono nawet tej skromnej pociechy, przeciwnie - przyklepiono etykietkę sekutnicy, którą wydziedziczył własny mąż!

Matt odwzajemnił jej pocałunek, ale zaraz odsunął się i zaczął się z nią droczyć:

- Uważaj,, bo ja nie jestem łatwym łupem, a w tej grze zwycięzca bierze wszystko!

- Mnie się nigdzie nie śpieszy - odparowała śmiało Bailey

Matt ze śmiechem porwał ją w ramiona, zaniósł do sypialni i położył na łóżku. Ledwo zrobił krok w stronę drzwi, a Bailey już przytrzymała go za rękę.

- Dokąd to?

- Chciałbym się jakoś zabezpieczyć...

Bailey nie wypuszczała z uchwytu jego ręki. Nic nie mówiła, ale jej oczy wyrażały niemą prośbę, by pozostał.

- Jesteś tego pewna? - Z wrażenia aż ochrypnął.

- Tak! - wyszeptała.

Uśmiechnął się do niej jakby przez łzy, ale już po chwili odżyło w nim tłumione tygodniami pożądanie. Oboje rzucili się na siebie z taką pasją, że części garderoby fruwały po całym pokoju. Dzika, niepohamowana radość pozwoliła im zapomnieć o przeżytych niedawno ciężkich chwilach.

Bailey chciała przede wszystkim wymazać z pamięci długie tygodnie samotności. Tym, czego potrzebowała najbardziej, była właśnie bezpośrednia bliskość ukochanego człowieka.

- Jaki jesteś piękny! - wyszeptała, wodząc wargami po jego nagiej skórze.

- Na pewno? - zażartował. - Myślałem, że zimna woda ostudziła twoje zapały.

Bailey zaniósła się gardłowym śmiechem. Pod wargami i palcami czuła jego gładką skórę, pod którą rysowały się dobrze rozwinięte mięśnie; między udami - jego biodra, a na sobie - jego słodki ciężar. Ach, co to była za rozkosz!

- Wiesz, jak cię kocham? - wyszeptał jej Matt do ucha, nim zaczął pieścić wargami jej płatek uszny.

Bailey mogła tylko kiwnąć głową, bo w tej samej chwili wszedł w nią, a ona poczuła się pierwotną samicą, u samego źródła życia.

Matt brał ją w posiadanie z taką pasją, że Bailey zsunęła się z łóżka, z głową zwieszoną w dół. Aby całkiem nie spaść, wsparła się rękami o ścianę.

Kiedy Matt osiągnął spełnienie, Bailey krzyknęła, a ciało jej tak się rozluźniło, że ześliznęłaby się na podłogę, gdyby jej nie przytrzymał. Jedną ręką wciągnął ją z powrotem na łóżko i podgarnął pod siebie. Leżeli przytuleni, ociekając potem, ale po chwili Bailey wyczuła w nim pewne napięcie, jakby chciał powiedzieć jej coś poważnego.

- Wiesz, że mogliśmy teraz... - zaczął, ale zawiesił głos.

- Począć dziecko? - dokończyła. Matt z uśmiechem przytaknął, dziwiąc się, że użyła tak staroświeckiego zwrotu.

Uniosła się na ręce, aby mu się lepiej przyjrzeć. Z Jimmiem wzięła ślub po dwudziestu czterech godzinach znajomości, ale Matta zdążyła poznać lepiej. Wiedziała już, że jest człowiekiem dobrym i miłym, którego jedyną wadą była nadmierna duma. Bywały chwile, kiedy przypominał małego chłopca, którego tak wiele w życiu ominęło.

- Nie, to niemożliwe - oświadczyła z dużą pewnością siebie.

- Aha, stosujesz jakieś środki? - wyraźnie zrzędała mu mina.

Bailey odgarnęła mu z czoła ciemne włosy, zlepione potem.

- Nie, ale słyszałam, że w ciążę zachodzi się tylko przez usta.

- Naprawdę? - w oczach Matta zamigotały wesołe iskierki.

- Tak, bo mówiła mi to moja najlepsza przyjaciółka, jeszcze w szkole! Powiedziała, że dziewczyna nigdy nie zajdzie w ciążę, jeśli ani on, ani ona nie będą brali tych rzeczy do buzi.

- Rzeczywiście może lepiej nie próbujmy - zgodził się od razu.

- Szczególnie kiedy jesteśmy tacy brudni jak teraz.

- Masz rację - zaczął, ale po chwili trzepnął się w czoło. - O rany, zupełnie zapomniałem! Pamiętasz mojego kolegę - hydraulika?

- Jak mogłabym zapomnieć? Przecież to od niego dostałam maszynkę do wykrawania kwiatków z cebuli.

- No widzisz! - roześmiał się Matt. - Właśnie on mnie prosił, żebym sprawdził, jak działa ta duża wanna w twojej łazience, a ja tego nie zrobiłem!

- To naprawdę brzydko z twojej strony - orzekła Bailey. - Co za przyjaciel z ciebie!

- Rzeczywiście kiepski - perorował, wodząc ustami po jej nagim ramieniu. - Jak mogę naprawić swój błąd?

- Wypróbuj tę wannę teraz - podsunęła Bailey.

- Yhym - wymruczał, całując ją w szyję. - Ale musisz pójść tam ze mną i uważać, czy to dobrze robię.

- Dobrze, ale pod jednym warunkiem.

- Ciekawe, pod jakim.

- Ze nie będziemy brać do buzi. Wszystko, tylko nie do buzi.

- Słowo harcerza! - oświadczył, biorąc ją na ręce i niosąc do łazienki.

- A byłeś kiedyś harcerzem? - zagadnęła.

W odpowiedzi Matt tylko się roześmiał.

## 23

Gdy następnego ranka Bailey zeszła do kuchni, zastała tam Alexa i obficie zastawiony stół. Nie wierzyła własnym oczom, bo chłopak przygotował gorące bułeczki prosto z pieca, naleśniki, jajka na twardo i parówki.

- Pomyślałem sobie, że rano będzie się wam chciało jeść -

wycodził Alex z wyraźną aluzją w głosie, na co Bailey zarumieniła się i odwróciła twarz. - Zrobiliście sobie dobrze w nocy, co?

- Zamknij dziób i lepiej się przyznaj, o której wczoraj wróciłeś — zgasił go Matt od drzwi.

- O dziesiątej - skłamał gładko Alex.

- Akurat, była już druga nad ranem — sprostował Matt. - Jeśli chcesz mieszkać z nami pod jednym dachem, młody człowieku, musisz przestrzegać pewnych zasad.

- Jednego tatusia już mam i wystarczy! - odciął się Alex.

Pogodziła ich Bailey.

- Dostyc już, obaj zachowujecie się jak smarkacze! A gdzie tak długo siedziałeś, Alex?

- U Carol - odpowiedział chłopak.

Kiedy Bailey i Matt spojrzeli po sobie ze zdziwieniem, tylko wzruszył ramionami.

- Co ja zrobię, że takie trochę starsze panie mnie lubią? - rozwijał wyjaśnienie. - Widać mają do mnie zaufanie, bo od razu chcą obnażać przede mną duszę, a czasem także co innego. Nie tak, jak ta biedna Carol...

- Jak ona się czuje? - spytała Bailey.

- Dobrze, ale żałuje, że ostatnio pokłóciła się z mężem, bo nie zdążyła z nim się pogodzić przed jego śmiercią.

Matt usiadł przy stole, a Bailey nalała mu wrzątku do swojej filiżanki. Kiedy przez okno przyglądała się widocznej stamtąd morwie - coś jej przyszło na myśl. Zainspirowały ją słowa wypowiedziane przez Alexa, wprowadzie prowokujące, ale...

Odwróciła się do Matta, by z jego oczu wyczytać, że i jej przyszło do głowy to samo. Spojrzeli więc po sobie, jak-by doznali olśnienia.

- Czy coś źle powiedziałem? - dopytywał Alex.

- Nie, ale chyba znaleźliśmy dla ciebie odpowiednie zajęcie - wyjaśnił Matt.

- Takie, które wymaga zdolności aktorskich - dodała Bailey.



- To znaczy, że co mam robić? - indagował podejrzliwie Alex.

- Potrzebny nam jest ktoś, kto umiałby poderwać kobietę... - Dalszy ciąg zdania Matt skierował do Bailey - Ile lat ma twoja siostra?

- Czterdzieści jeden.

- To ona jest aż tyle starsza od ciebie?

Kiedy Bailey przytaknęła, Matt zwrócił się ponownie do Alexa:

- No więc trzeba tak zbajerować czterdziestojednoletnią babkę, żeby wyciągnąć od niej, gdzie jest pewien świstek papieru, jeśli w ogóle istnieje.

Alex popatrywał to na jedno, to na drugie.

- Potrzebuję więcej informacji - stwierdził.

Matt spojrział pytająco na Bailey, ponieważ nie był pewien, czy ma powiedzieć Alexowi o istnieniu Jimmiego. Bailey po chwili wahania przytaknęła, toteż rozpoczął opowiadanie. Okazało się zresztą, że Alex widział w telewizji Bailey pod rękę z jej efektownym małżonkiem.

W momencie, kiedy Matt poruszył temat Dolores, zwrócił się do Bailey z pytaniem:

- Jeśli twoja siostra ma teraz czterdzieści jeden lat, to znaczy, że kiedy ty miałaś siedemnaście, ona miała dwadzieścia sześć, prawda?

- Tak - odpowiedziała Bailey, choć nie rozumiała, o co mu chodzi.

Matt i Alex wymienili porozumiewawcze spojrzenie, jakie wśród mężczyzn zwykle łączy się z pobłażliwą wyższością wobec kobiet.

- I co z tego? - indagowała Bailey

- I była chyba, jak mówiłaś, bardzo ładna?

- Owszem, wygrała nawet kilka konkursów piękności.

- No więc, jeśli dobrze zrozumiałem, Dolores miała dwadzieścia sześć lat, była piękna i jeszcze niezamężna.

- A ty - dodał Alex, zwracając się do Bailey - miałaś siedemnaście lat, gruby tyłek i nos jak trąba?

- Co to ma do rzeczy? - prychnęła ze złością Bailey.

Matt i Alex znów wymienili porozumiewawcze uśmiechy, przy czym Alex zrobił minę oznaczającą: „Teraz twój ruch”.

- To, że mimo tak oczywistych różnic między wami nie ona, lecz ty złapałaś faceta, na którego leciała połowa kobiet w Ameryce - wyjaśnił Matt. - Zgadza się?

- Nigdy nie patrzyłam na to od tej strony - wyznała szczerze Bailey. - Ale rzeczywiście, chyba masz rację.

- A twoja siostra zrewanżowała ci się tylko w ten sposób, że zatrzymała dla siebie informację, która mogła przysporzyć ci grubych miliardów? - zdziwił się Matt.

- Trudno mi uwierzyć, że cię nie zabiła - dodał Alex, pochłaniając z rozkoszą trzecią już bułeczkę z cynamonem. - Ja na jej miejscu załatwiłbym cię powoli i z szykanami.

- O rany, to coś zupełnie jak z bajki o Kopciuszku! - jęknęła Bailey. - Zła siostra i tak dalej...

Matt i Alex parsknęli śmiechem, po czym Matt zwrócił się do Alexa wprost:

- No więc jak, myślisz, że dasz radę odnaleźć ten świstek?

- Nie ma sprawy - zapewnił Alex. - Masz to jak w banku, tylko będę potrzebował motocykla i pełnego skórzanego kombinezonu. Kibitki lubią motocyklistów w skórach. Wyrobisz na to, staruszk?

Podczas gdy dalej dogryzali sobie w tym stylu, Bailey odwróciła się do okna, by ukryć uśmiech. Dopiero teraz poczuła się naprawdę w domu.

## 24

Bailey nie mogła uczestniczyć w pogrzebie Philipa z obawy, by jej nie rozpoznano. Na cmentarz pojechały Violet i Arleen, a Bailey z Mattem siedzieli obok siebie na kanapie i oglądali wiadomości CNN. Telewizja nadała migawki z pogrzebu, a przy tej okazji któryś dziennikarz wspomniał o „wdowie po

Jamesie Manville'u, która nie wyszła dotąd z ukrycia, aby oddać ostatnią usługę tak oddanemu sobie człowiekowi".

- Znowu musieli mi dołożyć — skwitowała ten komentarz Bailey. - Cokolwiek bym zrobiła, to zawsze będzie źle.

Matt powstrzymał się od wygłaszania sądów, bo wprawdzie zgadzał się z nią, ale wiedział, że to i tak niczego nie zmieni.

Na pogrzebie zjawili się natomiast Atlanta i Ray. Kamera uchwyciła Atlantę płaczącą w chusteczkę.

- Wprost nie mogę w to uwierzyć! - szlochała do mikrofonu. - Był nie tylko naszym adwokatem, ale i przyjacielem!

Jako tło tej sceny pokazano nagrane krótkie migawki z życia Jamesa Manville'a.

- Trudno sobie wyobrazić, że Manville mógł być spokrewniony z tą dwójką! - zauważył Matt. - Przecież nie są podobni ani między sobą, ani do Franka McCalluma. Czy jesteś pewna, że łączą ich więzy krwi?

- Philip też mnie o to pytał - rzuciła luźno Bailey, nie odrywając oczu od telewizora. Poczowała jednak na sobie spojrzenie Matta tak uporczywe, że odwróciła się i dostrzegła jego rozniewaną twarz. - O co ci chodzi?

- Ach, więc Philip też wątpił w pokrewieństwo tych trojga? Kiedy ci to powiedział? Wtedy, gdy zadzwonił do ciebie ostatni raz przed swoją śmiercią? To była ta rozmowa, którą miałaś powtórzyć mi słowo w słowo?

- Aha - Bailey uśmiechnęła się zawstydzona. - A co, nie powiedziałaś ci, że Philip zastanawiał się, czy Atlanta i Ray naprawdę byli rodzeństwem Jimmiego?

- Nie powiedziałaś mi ani słowa - rzekł Matt cicho, lecz z naciskiem. - Ciekawe, o czym jeszcze „zapomniałaś” mi powiedzieć.

- A o tym... - Bailey wzięła głęboki oddech - ...że znalazłam zdjęcie Jimmiego razem z tym facetem, który powiesił się w naszej stajni?

- Raz, dwa, trzy... - zaczął odliczać Matt. - Zanim doliczę do dziesięciu, to zdjęcie ma się znaleźć w moich rękach albo...

- Albo co? — spytała wyzywająco Bailey.

- Albo nigdy więcej nie włożę ci do buzi! - odparował.

Bailey zerwała się z kanapy i zanim doliczył do ośmiu już wróciła ze zdjęciem. Nie od razu jednak dała je Mattowi.

- Poczekaj, muszę ci coś powiedzieć, zanim ci je dam - zastrzegła. - Nim go poznałam, albo raczej: nim poznał go świat, Jimmie przechodził operację plastyczną twarzy. Chirurg odwalił kawał roboty!

- Co za... - Matt urwał w pół słowa i wyciągnął rękę po zdjęcie. Bailey podała mu je z ociąganiem, a Matt długo mu się przyglądał, zanim orzekł: - Aha, już wiem. Jesteś pewna, że ten dzieciak to twój późniejszy mąż?

- Tak - potwierdziła. - Widzisz, żyłam z nim tak długo, że zdążyłam dobrze go poznać...

Nie rozwijała tego wątku, gdyż Matt samym spojrzeniem dał do zrozumienia, że nie jest ciekaw szczegółów jej bliskiej zażyłości z innym mężczyzną.

- Skąd masz to zdjęcie? - zaczął z innej beczki.

- Kiedyś szukałam tego cedzaka, który postawiłeś w spiżarni na najwyższej półce. Nie mogłam go dosięgnąć, wspięłam się więc po półkach i zauważyłam przy tym, że zza deski wystaje rożek tego zdjęcia.

- Rzeczywiście, ta spiżarnia była jedynym pomieszczeniem w tym domu, którego nie przewróciliśmy do góry nogami... - Zamyślił się, a w końcu zdecydował: - Poczekaj tu, aja przyniosę łom.

- Och, nie rób tego! - poprosiła Bailey. - Ta spiżarnia była też jedynym gustownym i funkcjonalnym pomieszczeniem w tym domu, więc nie trzeba tego niszczyć!

- Nie dotarło jeszcze do ciebie, że śmierć Philipa prawdopodobnie nie była przypadkowa? Musiał wpaść na trop czegoś, co kosztowało go życie. Na krótko przed śmiercią jeszcze zdążył cię przestrzec, że tych dwoje łajdaków próbuje cię namierzyć, więc skąd wiesz, czy nie jesteś następną na liście potencjalnych „ofiar wypadku?”

- Rzeczywiście, nie myślałam o tym - przyznała Bailey. - Ale poskładasz tę spiżarnię z powrotem do kupy?

- Będzie to znacznie łatwiejsze, niż gdybym miał składać do kupy twoje ciało! - oznajmił i skierował się ku drzwiom.

- Poczekaj, aż wszystko stamtąd wyniosę! - rzuciła przez ramię, biegnąc do spiżarni.

- Nic tam nie ma - stwierdził Matt, patrząc na gołe ściany. Pozdejmował wszystkie półki i pozrywał deski, ale nic za nimi nie znalazł oprócz wieloletnich pokładów kurzu, martwych owadów i wysuszonych zwłok gryzoni.

Bailey z trudem powstrzymywała płacz na widok ogołconych ścian swojej ślicznej przedtem spiżarni. Wszystkie deski Matt zwałił na stos za drzwiami kuchni. Sam oparł się o skrzydło drzwi i głośno rozważał:

- Spójrzmy na to z logicznego punktu widzenia. Po pierwsze, może tu nie być już nic więcej, a to zdjęcie za deską znalazło się tam przypadkiem. Z drugiej strony na ogół chce się ukryć nie jedną rzecz, tylko więcej, a zatem cała żyła złota może znajdować się gdzieś w pobliżu. Taki skarb może być schowany tu pod podłogą albo w stajni. Od czego zaczynamy?

Bailey nawet nie spojrzała na solidne deski podłogi, które wytrzymały na tym miejscu wiele lat.

- Od stajni - zdecydowała. - Czuję przez skórę, że tam może coś być. W końcu facet wybrał to miejsce, żeby się powiesić, więc jeśli chciał coś ukryć, mógł to zabrać ze sobą.

- Słusznie, zacniemy więc szukać pod podłogą spiżarni - zawyrokował Matt.

- Jakja nie cierpię facetów! - mruknęła pod nosem Bailey, kiedy Matt podważył łomem pierwszą deskę.

- Coś ty powiedziała? - zareagował natychmiast, odrywając deskę.

- Powiedziałam, że... A to co? - Nie dokończyła poprzedniego zdania, bo zajrzała Mattowi przez ramię i w otworze po wyrwanej desce dostrzegła róg metalowego pudełka.

- Chyba cię to nie ciekawi, prawda? Myślę, że na razie da-

my sobie spokój - drażnił się z nią Matt, odchodząc od dziury w podłodze. — A w ogóle chyba bym coś zjadł.

- To sobie zrób! — warknęła Bailey, wyrывая mu łom z ręki. Sama podważyła następną deskę, a kiedy wyrwała cztery - odsłoniła pudełko w całej okazałości. Matt przyglądał się temu oparty o framugę drzwi, z kpiącym uśmiechem na ustach.

Bailey wyjęła znalezione z dziury i przeniosła obok niego, idąc z dumnie uniesioną głową.

- Przestań się tak głupio uśmiechać, bo nic ci więcej nie ugotuję i nie wpuszczę cię do łóżka! - zapowiedziała.

Matt zrobił tak poważną minę, że Bailey nie mogła powstrzymać śmiechu..

- Zabierz to paskudztwo na dwór, a ja przyniosę coś do picia. Tylko spróbuj je otworzyć, zanim przyjdę, to... - Nie dokończyła, pozwalając mu się domyślać, co by go wtedy spotkało.

Gdy wróciła, okazało się, że Matt posłusznie oczyścił pudełko z zewnątrz, a potem usiadł grzecznie na krześle pod morwą i czekał, aż razem będą mogli zajrzeć do środka.

- Bądź łaskawa - powiedział i wziął od niej szklankę lemoniady.

Na wieczku starego metalowego pudełka widniał napis: „Dietetyczne krakersy Earnesta”. Bailey wzięła głęboki oddech, zanim uniosła wieczko. Co też tam jest? Tymczasem zawartość puszkii okazała się jej dziwnie znajoma, na samym wierzchu bowiem leżały cztery niebieskie baretki - symbole odznaczeń przyznawanych za przetwory! Bailey wyjęła je, usiadła na krześle i gładziła palcami śliskie wstążki. Widziała je po raz pierwszy w życiu, lecz od razu pobudziły wspomnienia.

- Co to jest? - spytał Matt.

- Ze też wcześniej się nie skapowałam! Słyszałam, że ten gość, który się powiesił, wyrabiał przetwory i sprzedawał je w mieście. Od czasu, gdy widziałam go na fotografii z Jimmim, tyle się zdarzyło, że o niej zapominałam. A przecież widać tu wyraźnie, że są to osoby bliskie sobie.

Matt w skupieniu zmarszczył czoło, starając się zrozumieć, do czego Bailey zmierza.

- Gdy pierwszy raz zetknęłam się z Jimmiem, dostałam właśnie odznaczenie z niebieską baretką za konfitury z malin. Wstażka była prawie identyczna jak ta - spojrzała na to, co trzymała na kolanach.

- Myślisz, że to się jakoś łączy?

- Możliwe, że to, co ja robiłam, to, że smażyłam konfitury, wzięłam udział w konkursie i dostałam nagrodę, kojarzyło się Jimmiemu z kimś, kogo znał... czy nawet kochał?

Matt pochylił się nad stołem, sięgnął do pudełka i wyjął plik wystrzępionych na brzegach kartek, ściągniętych zbutwiałą gumką, która pękła, ledwo wziął pakiet do ręki.

- Hmm... - odchrząknął, zanim zaczął głośno czytać: - „Galaretka imbirowa”, „Marmolada z czarnych jagód”, „Masło karmelowo-jabłkowe”...

- Dawaj to! - krzyknęła Bailey, wrywając Mattowi kartki. - Nie wiesz, że każdy, kto zajmuje się kuchnią, trzyma swoje przepisy w tajemnicy?

Zerkała mu jednak przez ramię.

- O rany, on dodawał dwie łyżeczki soku cytrynowego! Oczywiście! Dlaczego na to nie wpadłam?

- Może więc powinniśmy uszanować wolę zmarłego i spalić te przepisy? - zaproponował Matt.

Bailey otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale tylko się uśmiechnęła.

- Słusznie. Kto by dziś jadł brzoskwinie w koniaku? - wyciągnęła do niego plik kartek. - Spal je więc...

- Jak ja nie cierpię bab! - przekomarzał się uśmiechnięty, ale jeszcze raz pochylił się nad pudełkiem i z samego dna wy dobył kopertę.

Oboje z Bailey spojrzeli po sobie i równocześnie przebiegło im przez myśl, że chyba znaleźli to, o co im chodziło. Matt podsunął kopertę Bailey, ale ona wzdragała się przed jej przyjęciem, najpierw zsunął więc dwa krzesła i wtedy, stykając się ramionami, otworzyli kopertę.

W środku znajdowały się dwa zdjęcia. Jedno było drugim egzemplarzem tego, które kiedyś znalazł Matt: dwoje małolatków, Atlanta i Ray, stało pod morwą - tam gdzie teraz siedzieli Bailey i Matt - i patrzyło w obiektyw z ponurą wrogością. Na odwrocie ktoś napisał ołówkiem: „Eva i Ralph Turnbull, 1966”.

Drugie zdjęcie było portretem wykonanym w atelier. Przedstawiało mężczyznę, który się później powiesił, pod rękę z kobietą wyraźnie od niego starszą, nieładną i ze smętnie opuszczonymi kącikami ust. Nie wyglądała na szczęśliwą, za to on wręcz promieniał! Czarno-białe zdjęcie dobrze oddawało zachwycone spojrzenie jego jasnych oczu, wpatrzonych w dal.

Mężczyzna miał na sobie garnitur, a kobieta kostium, oboje z bukietami w klapach.

- To jest zdjęcie ślubne, ale ona wcale nie chciała za niego wychodzić - zauważyła Bailey.

Matt odwrócił zdjęcie. Dziecinną ręką napisano tam drukowanymi literami: „Hilda Turnbull i Gus Venters. Pobrali się 12 maja 1966”.

- Wygląda na to, że tych dwoje dzieci nie było jego - stwierdziła Bailey.

- Albo troje. Czy Manville nie pasuje do tej układanki?

- Pewnie myślisz, że pierwszym mężem tej kobiety mógł być Frank McCallum, prawda? Zdaje się, że Frank wyjechał z Calburn zaraz po dyplomie, a po kilku latach wrócił z małym dzieckiem.

- Aha - mruknął Matt.

- No więc czy nie mogło być tak, że Frank gdzieś tam ożenił się z Hildą Turnbull, zrobił jej trójkę dzieci, potem się z nią rozwiódł? A ona może nie chciała najmłodszego dziecka, tego z zajęczą wargą?

- I to z nim Frank wrócił do Calburn, a po paru latach Hilda pojawiła się z dwójką pozostałych?

Matt spojrział na Bailey z podziwem i dodał:

- Niezłe rozumowanie jak na dziewczynę!



Bailey rzuciła w niego poduszką, ale złapała ją w locie. Porwał Bailey w ramiona i zaczął namiętnie całować.

- Kto mógłby wiedzieć... - szeptała mu Bailey wprost do ucha.

- O czym? - Wodził właśnie ustami po jej szyi.

- No, kto mógłby powiedzieć nam coś więcej o tych ludziach? Do Rodneya raczej nie marny po co wracać. Dostał białej gorączki, kiedy tylko wymieniłam nazwisko Gusa.

- Hmm... - wymruczał Matt, przesuwając wargi niżej. - Moglibyśmy spytać Violet, gdy wróci z pogrzebu.

- Dobry pomysł, przecież w tym mieście nie ma faceta, z którym coś by jej... hm... nie łączyło.

- Wystarczy, jeśli spytamy, co Burgess jej powiedział - sprostował Matt, odpinając cztery guziki u bluzki Bailey. Ona jednak cofnęła się, by mu się lepiej przyjrzeć.

- Burgess? Ten świetny piłkarz? Czyżby i on był jej kochankiem?

- Chyba tak, skoro wyszła za niego.

Bailey od razu się usztywniła.

- Violet była żoną jednego ze „Złotej Szóstki” i nikt mi o tym nie powiedział?

Matt z westchnieniem odsunął się od niej, bo z tonu jej głosu wyczuł, że włożył kij w mrowisko, wskutek czego nie może być na razie mowy o seksie. Przetarł więc tylko dłonią oczy.

- Stąd ona w ogóle wzięła się w Calburn - wyjaśnił. - Jeszcze w latach sześćdziesiątych Burgess wyjechał do Kalifornii w interesach, a przywiózł stamtąd żonę. Byłem wtedy jeszcze dzieckiem, ale pamiętam, co ludzie wygadywali o jej gorszącym prowadzeniu się.

- Co ich tak gorszyło? Jej pożycie małżeńskie? - spytała Bailey.

- Nie o to chodzi - odrzekł z niesmakiem. - Szokowała ludzi głównie swoim strojem i manierami.

- Aha, pewnie nosiła miniówki i kozaki?

- To nie to - uśmiechnął się Matt. - Podobno ludzie gor-

szyli się, że nie nosiła kapelusza ani rękawiczek. Mama opowiadała mi o tym.

- No, to rzeczywiście skandal! A co, twoją mamę też to gorszyło?

- Wydaje mi się, że mama raczej lubiła Violet, choć nie mówiła o tym głośno. Tylko kiedyś, gdy oglądałem w telewizji *Bonnie i Clyde*, mama w którymś momencie powiedziała: „O, coś podobnego miała na sobie Violet, kiedy ją po raz pierwszy zobaczyłam”.

- Rzeczywiście, wtedy wszyscy ubierali się w stylu tego filmu! - przypomniała sobie Bailey. - Czyli że Violet przyjechała z Kalifornii, ubierała się według najnowszej mody i była żoną jednego ze „Złotej Szóstki”?

- Zgadza się. Burgess kupił ten dom, w którym Violet mieszka do dziś, i żyli tam szczęśliwie, dopóki nie splajtował na handlu materiałami budowlanymi. - Matt skrzywił się na to wspomnienie. - Zginął w katastrofie lotniczej, ale ludzie gadali, że chciał się zabić, bo po śmierci Franka nigdy już nie wrócił do siebie.

- To samo mówili i o Jimmiem - wyszeptała Bailey. Nagłe podniosła głowę i powiedziała na głos: - Morderstwo zwane samobójstwem!

- Co to ma znaczyć?

- Arleen...

- Masz na myśli tę wariatkę, którą wcisnąłeś na kark Janice? Ilekroć pytałem cię, gdzie ją poznałeś, za każdym razem uciekałeś do drugiego pokoju, zamiast mi odpowiedzieć. O tę Arleen ci chodzi?

Bailey lekceważąco machnęła ręką.

- Chcesz się kłócić czy słuchać? - Nie czekając na odpowiedź, ciągnęła dalej: - To od Arleen dowiedziałam się, że któreś nocy, już dosyć dawno, Jimmie wspominał coś o „morderstwach nazywanych samobójstwami”.

- Co dokładnie ci powiedziała? - chciał wiedzieć Matt.

Bailey ścisnęła dłońmi skronie.

- Mówiła, że Jimmiemu kiedyś wyrwało się coś takiego,

iż wszystkie jego pieniądze nie byłyby w stanie naprawić zła, jakie stało się, kiedy był dzieckiem. No i o tych samobójstwach.

Matt przyjrzał się jej uważnie.

- Zaraz, ile w końcu mieliśmy samobójstw? - Wyliczając, podnosił kolejno palce: - Frank McCallum. Gus Venters. I Frederick Burgess.

- I sądzisz, że któreś z nich było morderstwem?

- Tak. I mało tego - sądzę, że miał z nim coś wspólnego zarówno James Manville, jak i tych dwoje łajdaków, którzy teraz wszystko wyprzedają.

Bailey głęboko zaczerpnęła powietrza.

- I pewnie uważasz, że śmierć Philipa Watermana nie była przypadkowa, a moje życie też jest teraz w niebezpieczeństwie?

- Właśnie tak uważam - odpowiedział spokojnie Matt.

## 25

Trzy dni później wrócił Alex. Matt w ciągu tych trzech dni zaniedbał całkowicie swoje prace projektowe i próbował odszukać w Internecie informacje na temat Hildy Turnbull, Gusa Ventersa, Lucasa McCalluma, Evy i Ralpa Turnbullów. Nie znalazł jednak nic.

Bailey usiłowała skupić się na rozwijaniu wytwórni przetworów, ale nie przychodziło jej to łatwo. Violet i Arleen opiekowały się wciąż Carol i jej dziećmi. Któregoś dnia Violet zadzwoniła do Janice, by ją poinformować, że pojechały razem uporządkować sprawy majątkowe Philipa i że Carol ciężko to znosi. „Wrócimy, kiedy będziemy mogły” - zapowiedziała jeszcze Violet i odwiesiła słuchawkę.

Przy kolacji Matt powiadomił Bailey, że nie znalazł nawet śladu informacji o żadnej z interesujących go osób. I to ani w Internecie, ani w archiwach miejskich.

- Zupełnie tak, jakby ich nigdy tam nie było - skomentował ten fakt.

- Podejrzewam, że je raczej usunięto - zaproponowała Bailey, podając Mattowi rybę w sosie słodko-kwaśnym. - Pewnie zrobił to sam Jimmie. Pamiętam, jak jego biografowie usiłowali dotrzeć do lat jego wczesnej młodości, ale nic z tego nie wyszło.

- Przecież nie mógł usunąć wszystkiego zewsząd! - rozpaczał Matt. W odpowiedzi Bailey tylko uniosła brwi, co miało oznaczać: „Myślisz, że nie mógł?”

W miarę upływu dni Matt coraz bardziej się denerwował, choć starał się to ukryć przed Bailey. Obawiał się, że ktoś mógł ją rozpoznać. Gdyby na przykład Arleen lub Carol wygadały się, że wiedzą, gdzie obecnie przebywa Lillian Manville? Alex też znał prawdziwą tożsamość Bailey, a w tych dniach gościł u jej siostry. Co by było, gdyby Alex okazał się takim draniem jak jego ojciec i sprzymierzył się z siostrą Bailey przeciwko niej? Dopóki Alex nie wrócił, Matt nie przestawał się zamartwiać.

Po kolejnym dniu poszukiwań zakończonych fiaskiem leżał w łóżku obok Bailey, ale nie mógł zasnąć. Kiedy usłyszał warkot motocykla, najpierw upewnił się, że Bailey śpi smacznie, a zaraz potem dyskretnie wysliznął się z łóżka. Alex właśnie wyłączył silnik i zdejmował kask.

- Gdzieś ty się tak długo włóczył? - warknął Matt.

- Ja też cieszę się, że cię widzę - odpowiedział Alex, jakby nigdy nic. Dopiero wtedy Matt się zreflektował.

- Przepraszam, ale znalazłeś ją? Przez te wszystkie dni nie mieliśmy od ciebie żadnego znaku życia! - Nie darował sobie małej reprimendy, ale nawet w słabym świetle na werandzie widać było na twarzy chłopca zmęczenie. Na ten widok gniew Matta znacznie osłabł.

- Ona śpi? - zapytał Alex, wskazując na ciemne wnętrze domu.

- Tak - odparł Matt. — Ale ty wyglądasz na zmachanego. Może być coś zjadł?

- Zjadłbym konia z kopytami, ale chciałbym porozmawiać z tobą w cztery oczy. Musimy się umówić, co jej powiemy.

Matt domyślił się, że chodzi o Bailey, więc przytaknął.

- Czekaj na mnie w stajni - zaproponował. - Przyniosę ci coś do jedzenia, a tymczasem możesz wziąć prysznic.

Alex tylko mruknął coś pod nosem, obrócił się na pięcie i pomaszerował w stronę stajni. Kiedy mniej więcej po dwudziestu minutach Matt tam przyszedł, chłopak siedział już na wiązce siana - z wilgotnymi po myciu włosami, przebrany w czyste ciuchy i gotów do rozmowy.

- Rozbiłem go - zaczął, mając jeszcze pełne usta.

- Co rozbiłeś?

- No, motor. Widzisz, nie chciałem tracić czasu, więc popytałem w kilku sklepach, gdzie ona mieszka, a kiedy dowiedziałem się, że mieszka sama, wpakowałem się motorem prosto w jej okno na parterze. Kiedy chciała zadzwonić na pogotowie, udawałem, że uciekam przed policją. To ją strasznie rajcowało, zaraz więc zaproponowała, że będzie mnie sama pielęgnować, bylebym tylko u niej został!

Matt spoglądał na młodego człowieka z niedowierzaniem. Na usta cisnęły mu się dwa określenia: odważny i głupi! Dołał Alexowi mrożonej herbaty.

- Jeśli rozbiłeś motor, to jak... - wskazał na zewnątrz, gdzie stał motocykl, którym Alex przyjechał.

- Ona kupiła mi nowy - wyjaśnił chłopak. Matt zrobił wielkie oczy.

- Skąd ma tyle pieniędzy? Wydawało mi się, że po śmierci Manville'a przestała otrzymywać uposażenie.

- Nie wiem, skąd ona bierze szmal, bo za krótko u niej byłem, ale ma go kupę i na pewno nie z legalnego źródła. Płakała mi w mankiet, że musi trzymać gotówkę na różnych kontach, żeby nikt się nie pokapował, ile tego jest. Biedaczka, myślałby kto! Skarzyła się, że musi mieszkać w takiej norze, choć stać ją na coś lepszego, bo oni nie pozwalają jej afiszować się z bogactwem. A ta nora... - Alex potrząsnął głową z oburzeniem - to jest willa z sześcioma sypialniami, na

czterookrowej działce, urządzona jak z luksusowego magazynu. Sam basen ma wymiary olimpijskie!

- Dowiedziałeś się może czegoś więcej o Bailey i jej małżeństwie?

- Owszem. Manville miał zgodę jej matki. - Matt otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz Alex powstrzymał go ruchem ręki. - Dolores jednak nie wie, gdzie jest ten kwitek. Dosłownie tak mi powiedziała: „Oni nie wiedzą, że ja nie wiem”. Chichotała przy tym jak dziecko.

Alex pociągnął duży łyk herbaty i zajął się jedzeniem.

- Muszę znać więcej szczegółów! - naciskał Matt.

Alex odstawił talerz na ziemię, podwinął koszulę i odwrócił się tyłem do Matta. Na plecach miał głębokie zadrapania, ślady paznokci kobiety targanej gwałtowną namiętnością. Matt aż zagwizdał z podziwu.

- Teraz już wiem, dlaczego trzech mężów ją rzuciło. - Alex podniósł swój talerz. - Nie widziałem w życiu kobiety tak dyszącej nienawiścią do rodzonej siostry! Nienawidzi Lillian... to znaczy Bailey... bo twierdzi, że odbiła jej Manville'a. Ciekawe tylko, jak mogła to zrobić, jeśli Dolores nigdy przedtem nie widziała tego faceta. Czy ty coś z tego rozumiesz?

- Coś niecoś. Jedź dalej.

- Dolores twierdzi, że matka podpisała ten papier pod jej nieobecność. Ona próbowałaby ją powstrzymać, ale występowała akurat na estradzie. Próbowwała mi wmówić, że śpiewała dla Manville'a, a on przecież...

- Dalej, dalej - ponaglał Matt. - Mów o tym świstku.

Obawiał się, że Bailey tymczasem obudzi się i zacznie go szukać, on zaś wolał, żeby nie słyszała, co Alex ma do powiedzenia.

- Dolores wspominała, że tamtego dnia - nazwała go strasznym dniem - przyszło do nich trzech panów w garniturach. Jeden z nich - uważaj! - był miejscowym notariuszem. Dolores twierdzi, że ta „biedna kobieta”, czyli jej matka, nie miała ani chwili do namysłu i nie bardzo wiedziała, co robi. Podobno notariusz poprosił matkę o okazanie prawa

jazdy, a któryś z panów kazał jej podpisać jakiś druk, mówiąc, że to dla jej dobra. Notariusz pod jej podpisem przybił swoją pieczęć, panowie zabrali papierek i się zmyli.

- Nie zostawili matce kopii tego dokumentu?

- Nie. Dolores twierdzi, że matka była tak „skołowana” - to jej własne słowa - że dopiero późnym wieczorem opowiedziała jej o tym.

- A Dolores nie martwiła się, gdzie się podziała jej nieletnia siostra?

- Widać nie. - Alex niedwuznacznie zezował w stronę koszyka, w którym Matt przyniósł jedzenie.

- Niezła rodzinka - podsumował Matt. - No i co działo się dalej?

- To już prawie wszystko. Dolores powiedziała mi, że jeszcze tylko raz, na pogrzebie swojej matki, usłyszała o tym papierze. Przyłapała wtedy Manville'a na osobności i spytała, co się stało z zezwoleniem na ślub. Potraktowała to jako żart, ale Manville na serio się rozżłościł. Nie wiedziała, dlaczego, dopóki nie zaświtało jej w głowie, że Lillian mogła o niczym nie wiedzieć. Najwidoczniej Manville nie życzył sobie, by jego żona dowiedziała się, że wszystko z góry ukartował, zanim się jej oświadczył - taki był pewien jej zgody. Dolores wyczuła więc, że w tym punkcie ma przewagę nad Manville'em, i celowo go podpuściła: „No, a gdzie masz ten kwitek, Jimmie?” - wie, że tylko Lillian zwraca się do niego w ten sposób. Manville odwarknął: „Dałem go osobie, której ufam najbardziej na świecie”, ale to właśnie usatysfakcjonowało Dolores. Zrozumiała to w ten sposób, że Manville nie ufał Lillian, to znaczy Bailey, i dlatego ją wydziedziczył.

Alex wziął do ust następny kęs potrawy, którą przyniósł Matt.

- Ufff, jak mi brakowało kuchni Bailey!... I jeszcze na tym pogrzebie - przypomniał sobie po chwili - Dolores przymówiła się u Manville'a, że właśnie widziała takiego uroczego, białego mercedesa cabrio z czerwoną tapicerką. I masz pojęcie?! Za tydzień zjawił się u niej jakiś facet, który przyniósł

kluczyki do białego mercedesa cabrio, oczywiście z czerwoną tapicerką. Oprócz tego Manville przyznał jej sześciocyfrowe apanaże, a jeśli życzyła sobie czegoś więcej, na przykład członkostwa w ekskluzywnym klubie, i to również załatwiał.

- Ale jej i tego było za mało! - zaznaczył dyskretnie Matt.

- Oczywiście, nadal utrzymuje, że to wszystko jej się należało. Skarż mnie Bóg, nie rozumiem, jak ona może uważać, że Manville jej się należał, jeśli go nigdy przedtem nie widziała?

- Nie żyję jeszcze tak długo, aby móc zrozumieć kobiety - wyjaśnił Matt, a widząc ziewnięcie Alexa, dodał: - Idź, chłopcze, dobrze się wyśpij, a jutro wczesnym rankiem zawiozę cię do domu Patsy. Im mniej szczegółów Bailey pozna, tym lepiej.

## 26

Violet zadzwoniła do Janice i zawiadomiła ją, kiedy będą wraz z Arleen wracać do domu. Janice przekazała tę informację Bailey, ona i Matt mogli więc wyjechać po nie na lotnisko.

Arleen uważała za normalne, że ktoś odbierze z lotniska ją i jej bagaże, ale Violet wydało się to podejrzane. Manewrowała więc tak, aby usiąść obok Bailey, na tylnym siedzeniu toyoty.

- Na czym ci tak zależy, że aż wyjechałaś nam na spotkanie? - zapytała wprost, podczas gdy Arleen na przednim siedzeniu zasypywała Matta gradem informacji o pogrzebie i jego uczestnikach. - Pani Manville - dodała Violet.

- Kto jeszcze o tym wie? - spytała szybko Bailey.

- Na razie tylko my dwie, ale oni już niedługo cię namierzą. „Oni” oznaczało, rzecz jasna, Atlantę i Raya.

- Przyciskali Carol nieźle do muru, ale nie puściła pary z ust. W którymś momencie wpadła w histerię, bo przypuszcza, że to właśnie ta para załatwiła Philipa.

- A wie, dlaczego? - wyszeptowała Bailey.



Violet zmierzyła ją przeciągłym spojrzeniem.

- Ona nie, ale ty wiesz, prawda?

Bailey nie spieszyła się z odpowiedzią, taksując wzrokiem Violet, która w milczeniu czekała na jej reakcję. Zauważyła, że starsza dama wygląda teraz znacznie korzystniej niż wtedy, gdy widziała ją po raz pierwszy. Ubierała się gustowniej, a utrata zbędnych kilogramów sprawiła, że trzymała się prosto i poruszała bardziej sprężysto.

- Ponieważ istnieje możliwość, że majątek Jimmiego należy się mnie, a nie im - odpowiedziała w końcu.

Violet z wrażenia opadła na oparcie fotela i potrząsnęła głową.

- Jeśli tak, to choćbyś się zamelinowała w górach Afganistanu, i tam cię znajdą.

- A tymczasem Atlanta i Ray wyrzucają ludzi na bruk...

- Miłosierna się znalazła! Lepiej zmywaj się z Calburn, zanim...

Bailey nie była ciekawa dobrych rad w sprawie, gdzie ma się ukryć ani kiedy zacząć uciekać. Wiedziała, że było kwestią czasu, kiedy Atlanta i Ray trafią na jej trop, ale dopóki im się to nie udało - starała się dowiedzieć, jak najwięcej mogła. Zaczęła więc z innej beczki:

- Dlaczego nie powiedziałas mi, że wyszłaś za jednego z członków „Złotej Szóstki?”

- A co to, u Boga Ojca, ma do tych dwojga chciwych morderców? - oburzyła się Violet, ale widząc minę Bailey, pozwoliła sobie na lekki uśmiech: - Aha, rozumiem. Pewnie już coś knujecie z tym twoim przystojniakiem?

Bailey nie skomentowała tych słów, więc Violet uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Dobry jest w łóżku, co? Nie udawaj, że nie wiesz. Rzucacie sobie takie spojrzenia, że aż iskry lecą.

Bailey spojrzała na nią karcącym wzrokiem.

- Nic mnie nie obchodzą twoje kosmate myśli. Chciałabym tylko dowiedzieć się, czy twój były mąż coś kiedyś wspominał o synu Franka McCalluma?

- O synu Franka? - powtórzyła ze zdziwieniem Violet. - Pierwsze słyszę, żeby Frank miał syna. Chociaż, zaraz... Chodziły słuchy, że trzyma u siebie w górach jakieś upośledzone dziecko i nigdy nie zabiera go na dół, nikt więc tego dzieciaka nie widział.

Bailey odwróciła się do okna, bo poczuła przykry ucisk w żołądku. Więc taki rozrywkowy facet jak Jimmie, dusza towarzystwa, spędził dzieciństwo odizolowany od świata w górskim szałasie? Ciekawe, jak długo trwała ta izolacja i czy była dobrowolna, czy wymuszona.

Mierząc Bailey uporczywym spojrzeniem, Violet powiedziała z cicha:

- Zajęcza warga. Czy to było dziecko upośledzone, czy z defektem?

Bailey nie mogła wymówić ani słowa przez zaciśnięte gardło. Informacje uzyskane od Violet wyjaśniły jej tak wiele niezrozumiałych dotąd zachowań Jimmiego. Przypomniała sobie, że obawiał się pozostać sam choćby przez chwilę i rozpaczliwie pragnął akceptacji w towarzystwie. W dniu, kiedy się poznali, oddawał się przejażdżkom na karuzeli z takim zapałem, jakby nigdy dotąd tego nie robił. A może naprawdę tak było?

Violet poklepała Bailey po ręce i poradziła:

- Odwieźcie Arleen i wracajcie do mnie. Powiem wam wszystko, co wiem.

Dwie godziny później Bailey i Matt podjechali pod jej dom. Po drodze wstąpili do sklepu i naładowali bagażnik półproduktami spożywczymi do szybkiego przyrządzenia. Chcieli je zostawić Violet, a oprócz tego Bailey kupiła wino i jagnięcinę, by na miejscu przygotować kolację dla trojga.

- Dopóki czegoś nie ugotuję, możecie w ogrodzie porozmawiać z Violet o Carol - planowała. - A przy kolacji może się czegoś dowiemy o „Złotej Szóstce”.

- Oj, chyba cię znowu coś gryzie - zauważył Matt. - Odkąd odebraliśmy panie z lotniska, jesteś jakaś małomówna.

Bailey już chciała go uspokoić, że nic złego z nią się nie

dzieje, ale zamiast tego powtórzyła mu, co usłyszała - że o Luke'u McCallumie mówiło się jako o dziecku upośledzonym i że był przetrzymywany samotnie w górskim szałasie.

- Na miłość boską, nie żyjemy przecież w średniowieczu! — oburzył się Matt. - Taką wargę można było zoperować. Zresztą w końcu tak się właśnie stało.

- Tylko czemu nie zrobiono tego wcześniej? — zastanawiała się Bailey. - Jimmie na tym zdjęciu musiał już mieć ze czternaście lat. Nawet gdybyjego ojciec nie miał pieniędzy na zabieg, to jest przecież opieka społeczna, są organizacje charytatywne. Zresztą w takim przypadku jak ten z pewnością znalazłby się chirurg, który by zoperował chłopca za darmo. Jimmie zawsze... - Przerwała, by nabrać powietrza. - Jimmie przeznaczał spore sumy na operacje dzieci z deformacjami.

- W końcu wszystkiego się dowiemy - pocieszył ją Matt, wyciskając na jej ustach czuły pocałunek. - Przede wszystkim poczekajmy, co powie nam Violet.

Po skonsumowaniu pieczeni jagnięcej i zupy ogórkowej na zimno wszyscy troje przeszli na dwór, by wysłuchać opowieści Violet. Okazało się jednak, że Burgess nie przekazał jej zbyt wielu informacji.

- Poznałam go w Kalifornii, kiedy właśnie uciekałam przed nędzną roślinnością w Luizjanie - opowiadała Violet. - Moja matka miała sześcioro dzieci, każde z innego ojca... Zresztą to teraz nieważne. Byłam młoda i ładna, więc wyobrażałam sobie, że wystarczy dostać się do Hollywood, by zrobić karierę filmową!

Violet zaśmiała się z własnej naiwności.

- Możecie sobie wyobrazić, co z tego wyszło. Owszem, zawędrowałam do Kalifornii, ale przez pierwsze cztery miesiące zarabiałam na życie tak samo jak matka. Nawet mi nieźle szło, ale już wiedziałam, jak to się kończy. Zdawałam sobie sprawę, że młodość i uroda nie potrwają wiecznie i przyjdzie czas, kiedy będę wyglądać tak jak teraz.

Wskazała na własne obfite kształty, ale ani Bailey, ani Matt nie śmiali się z jej wątpliwego dowcipu.

- Trzeba trafu, że któregoś dnia wóz mi nawalił w jakiejś bocznej uliczce, a ten wielki, flegmatyczny gość z Wirginii zatrzymał się, żeby mi pomóc. Pomyślałam sobie wtedy, że teraz albo nigdy. Zagrałam bezradną małą dziewczynkę, namyślałam parę łzawych historyjek o moim dzieciństwie i po kilku dniach byliśmy już małżeństwem. Wrócił ze mną do Calburn i osiedliśmy tu na stałe.

Violet przerwała i rozejrzała się po ogrodzie, jakby chcąc sprawdzić, czy Carol wycięła wszystkie krzaczki jej marihuany, jak to zapowiadała. I rzeczywiście, nie ocalał ani jeden.

Bailey wstała, aby przynieść deser - krem karmelowy z dodatkiem mango. Wróciła z dwiema kopiastymi salaterkami, jedną dla Matta, a drugą dla Violet.

- Opowiadaj dalej - poprosiła. - Spodobało ci się w Calburn?

- Nudno, ale może być - roześmiała się Violet. - Spróbowałam stać się wzorową gospodynią i nawet mi się to udawało, bo Burgessowi niewiele trzeba było do szczęścia. Czasami czułam się trochę samotna, bo on nie lubił dużo gadać, chyba że opowiadał jakieś długie historie. Ale tak ogólnie - fajny był z niego chłop.

- Opowiadał coś może o „Złotej Szóstce?” - zagadnął Matt.

- Ani słowa. Mieszkaliśmy tu już od kilku miesięcy, kiedy usłyszałam w sklepie, jak ktoś wspomniał o nich. Nadmienił przy tym, że mój mąż był jednym z nich, ale sądziłam, że żartuje. Wieczorem dla żartu podpuściłam go, że podobno należał kiedyś do „Złotej Szóstki”, i dopiero wtedy mnie zszokował, bo porządnie się wnerwił. Nigdy dotąd nie wpadał w złość, a tym razem normalnie się wściekł!

- I to cię zaciekawiło? - podsunęła Bailey.

- Nawet nie, bo nigdy nie grzeszyłam wścibstwem. Zbyt dużo znałam ludzi, którzy mieli coś do ukrycia, toteż wiedziałam, że lepiej nie pakować nosa w cudze sprawy. Jeżeli nie chciał rozmawiać o tej „Złotej Szóstce”, to nie ciągnęłam go za język.

- Pyszna kolacja - stwierdziła, dojadając deser. - Carol potrafi wmusić w człowieka sześć rodzajów zielenin na jeden posiłek. Zdaje się, że nie będę mogła patrzeć na ten kolor! A zamiast deseru wciskała mi jakąś galaretkę bez cukru...

- Co się wydarzyło trzydziestego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego? - Matt dyskretnie naprowadził ją na właściwy temat.

- Och, od tamtego dnia wszystko się zmieniło! - westchnęła Violet. - Tamtego lata zjechała tu cała szóstka. Przedtem mój chłop siedział wieczorami w domu, a wtedy codziennie zaczął gdzieś znikać. Pracownicy z hurtowni wydzwaniali do niego do domu. Bez niego nie chcieli podejmować ważnych decyzji, a ja nie potrafiłam im powiedzieć, kiedy szef przyjdzie do pracy.

- Po co oni przyjechali do Calburn? - spytała Bailey.

- Z różnych powodów. Ten mały pedzio Harper pieprzył, że przyjechał do umierającej matki, ale nie poświęcał jej wiele czasu. Burgess rozplęwał się nad nim, jaki to z niego wielki reżyser z Hollywood i ile kontraktów traci przez to, że opiekuje się matką. Od początku nie trawiłam tego małego wszarza i byłam pewna, że kłamie. Zadzwoiłam więc do starego znajomego w Los Angeles i okazało się, że miałam rację. Harper Kirkland był nikiem, najwyżej zatrudniali go na kilku planach jako klapsera - Violet zamarkowała odgłos stukania dwu deseczek z numerami kolejnych ujęć - ale nigdzie długo nie zagrzał miejsca, bo wdawał się w bójki. Skończyło się tym, że musiał zarabiać na życie pokazywaniem sztuk.

- Wdawał się w bójki? - zainteresował się Matt. - Jak walczył? Bił się na pięści?

- Tak, ale nie tylko. Uwielbiał robić ludziom świństwa - na przykład puszczał w obieg plotki - i skłócać jednych z drugimi.

- Mój ojciec całe tamto lato przesiedział w domu - uzupełnił Matt. - Złamał wtedy nogę w kostce i nie mógł prowadzić samochodu.

- Aha! - przypomniała sobie Violet. - Widziałam się

z twoim ojcem może ze dwa razy, ale pamiętam, że był sympatyczny.

- Rzeczywiście, taki sympatyczny, że opuścił własną rodzinę.

- Więc przyjechali tu całą szóstką... - wpadła mu w słowo Bailey, chcąc zachęcić Violet, aby mówiła dalej. - A Frank?

- Trzydziestego sierpnia Frank zastrzelił swoją młodą, ciężarną żonę, a potem siebie - odpowiedziała Violet.

- A Gus Venters powiesił się w stajni - dodał Matt.

- Ciekawa jestem, czy Jimmie to widział - napomknęła dyskretnie Bailey.

- Mój mąż po tej nocy stał się zupełnie innym człowiekiem - oświadczyła poważnie Violet. - Wpadł w głęboką depresję, dopiero śmierć w katastrofie lotniczej skróciła jego cierpienia.

Na chwilę zapanowała cisza, którą przerwało kolejne odezwanie się Violet:

- Po śmierci mojego męża znalazłam kilka zeszytów z wycinkami, które zbierał jako dziecko. Może chcielibyście je zobaczyć?

- No pewnie! - krzyknęła Bailey, zanim Matt zdążył otworzyć usta. Nie minęło piętnaście minut, a już sprzątnęła ze stołu i wstawiła naczynia do zmywarki, którą Carol kazała zainstalować w domu Violet.

Bailey musiała przyznać, że Carol nadzwyczajnie udała się modernizacja tej zaniedbanej kuchni. Usunęła wytarte linoleum, a szerokie sosnowe deski podłogowe wycyklinowała. Na miejsce szafki przy zlewie zainstalowała zmywarkę, ale innych szafek nie ruszała. Nie przemalowywała ich nawet, kazała je tylko odczyścić i wymienić zużyte zawiasy. Tak samo zachowała staroświecki, lecz jeszcze sprawny trzon kuchenny, zlew i lodówkę, które po wyremontowaniu i doczyszczeniu wciąż nadawały się do użytku. W rezultacie kuchnia wyglądała jak przeniesiona z lat trzydziestych, co dawało — zdaniem Bailey - nadzwyczajny efekt.

- Proszę, to one. - Violet położyła trzy zeszyty na stoliku

do kawy i usiadła w fotelu ze świeżo zmienioną tapicerką. W salonie, tak samo jak w kuchni, Carol nie przeprowadziła generalnego przemeblowania, przywróciła go jedynie do pierwotnego wyglądu, dzięki czemu nie kłócił się ze stylem całego domu.

Na dworze już się ściemniło, ale od godziny wszyscy troje siedzieli przy kawie i likierach, przeglądając dziecięce kolekcje wycinków. Violet stwierdziła, że nie widziała ich już od lat, każdy więc wziął do przejrzienia jedną taką książeczkę.

Na pozór nie było w nich nic ciekawego - zwykłe szkolne pamiątki, zdjęcia i rysunki. Ale zważywszy na to, jaki los spotkał te roześmiane dzieciaki - widok nie napawał optymizmem. Większość zdjęć pochodziła z okresu, kiedy Burgess uczęszczał do szkoły w Calburn, nie w Wells Creek.

W pewnej chwili Matt wskazał na jedno zdjęcie i spytał Violet:

- Czy to Bobbie?

Violet odpowiedziała twierdząco, ale ton jej głosu sprowokował Bailey do zadania pytania, kim był Bobbie. Natychmiast padła odpowiedź:

- To starszy brat Burgessa.

- Umarł, kiedy Burgess był mały - dodał równie szybko Matt i wrócił do przeglądania zeszytu. Z tonu jego głosu Bailey wywnioskowała, że nie dowie się niczego więcej, podobnie jak nie udało się jej wyciągnąć z niego szczegółów wizyty Alexa u Dolores. Matt zdradził jej tylko, że Dolores potwierdziła fakt podpisania przez ich matkę zgody na ślub, ale Jimmie oddał ten dokument „osobie, której ufał najbardziej w świecie”. Nie puścił natomiast pary z ust, czy Alex wszedł w bliższą zażyłość z Dolores i czy zamierzali utrzymywać kontakt ze sobą. Teraz jednak nie ulegało wątpliwości, że Bailey została legalnie poślubiona Jimmiemu. Należało jedynie to udowodnić...

- ...i wyobrazić sobie, jak się zarządza imperium o wartości miliardów dolarów! - mruzczała pod nosem Bailey, ale Matt tylko się uśmiechał.

- A to co? - zagadnęła, otwierając dużą kopertę, wetkniętą pod okładkę jednego z zeszytów. Znajdował się w niej gruby plik wycinków z różnych gazet i czasopism.

- Ona nie przeczytała książki - wyjaśnił Matt Violet.

Bailey spojrzała na niego ze złością.

- Nie miałam na to czasu, bo musiałam kombinować, jak zarobić na życie i napchać twój wielki brzuch! — wyszczała.

- Jedno i drugie świetnie ci idzie! - radośnie oświadczył Matt, a Violet zachichotała.

- Kiedy w którejś gazecie nazwali naszych chłopców „Złotą Szóstką” - wyjaśniła, wskazując na kopertę z wycinkami - Harper od razu poszedł za ciosem i napisał o nich całą serię pochwalnych artykułów. Oczywiście było w nich trochę prawdy, ale przypominały raczej... - Spojrzała na Matta z niemałą prośbą o podpowiedź.

- Komiksy! - mruknął, wpatrując się z zainteresowaniem w trzymany na kolanach zeszyt. Bailey od razu domyśliła się, że znalazł tam coś ciekawego, choć miała nadzieję, że Violet tego nie zauważyła.

Jak na zawołanie Matt nagle ziewnął i spojrzał na zegarek.

- Czy moglibyśmy wypożyczyć je na trochę, żeby w domu przyjrzeć się im dokładniej?

Violet uśmiechnęła się domyślnie, jakby podejrzewała, że Matt nabrał gwałtownej ochoty na seks.

- Oczywiście, nie musicie się śpieszyć. Tak długo nie zaglądałam do tych szpargałów, że nie przypuszczam, abym ich potrzebowała.

Piętnaście minut później Bailey i Matt pędzili już do domowej toyoty. Bailey trzymała na kolanach zeszyty z wycinkami i zadała w końcu Mattowi pytanie, które miała na końcu języka:

- Co tam takiego zobaczyłeś?

- Numer polisy ubezpieczeniowej Burgessa. Był zapisany na jego pierwszym podaniu o pracę.

- Co z tego wynika? - nie zrozumiała Bailey.



- Wprowadzę ten numer do komputera i zobaczymy, co wyskoczy

- Ale co to nam da, jeśli ten facet nie żyje?

- Nie bardzo wiem, czego mam się spodziewać — przyznał Matt - ale to jest pewien trop. Nawet jeśli twój nieboszczyk mąż próbował zatrzeć ślady swojej przeszłości, zawsze mógł coś przeoczyć. Może nie zdążył usunąć danych dotyczących Fredericka Burgessa.

Zaraz po przyjeździe do domu Matt pobiegł do komputera, podczas gdy Bailey odsłuchiwała wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce. Było ich siedemnaście, wszystkie od Janice i Patsy, dotyczące ich wspólnego przedsięwzięcia. Zanim obdzwoniła obydwie, zrobiło się za późno na lekturę wycinków, tym bardziej że Matt już się umył i czekał na nią w łóżku.

Wzięła więc prysznic i ułożyła się u boku Matta. Przed zaśnięciem wymamrotała jeszcze:

- Znalazłeś coś?

- Wprowadziłem numer jego polisy do wyszukiwarki. W ciągu dwudziestu czterech godzin powinny do mnie dotrzeć wszystkie uzyskane informacje, jeśli jakieś istnieją. Podejrzewam, że nie, bo pod nazwiskiem Turnbull nic nie znalazłem.

- Yhym... - mruknęła Bailey, zapadając w sen. Obudziła ją dopiero dobiegający z daleka okrzyk Matta i odgłos otwierania drzwi.

- Popatrz, co mam! - wołał, wymachując jej przed nosem świstkiem papieru.

- Co to jest? - Bailey była zanadto rozespana, by się skupić. Natomiast Matt musiał zrobić kilka wdechów i wydechów, aby odzyskać równowagę.

- Na podstawie numeru polisy ubezpieczeniowej Burgessa udało się ustalić adresy, pod którymi przebywał w latach 1986, 1992 i 1997.

Bailey podciągnęła się do pozycji siedzącej.

- Zaraz, zaraz... - zwróciła uwagę. - Coś tu nie gra. Przecież ten gość zginął w roku...

- 1992. Teoretycznie tak, ale samolot spłonął doszczętnie, tak że nie znaleziono żadnych szczątków, nawet zębów.

- Tak wczesnie mnie zbudziłeś... — grymasiła początkowo Bailey, ale w którymś momencie coś ją tknęło i podniosła oczy na Matta: - Czy to może oznaczać, że on żyje?

Zamiast odpowiedzi Matt podsunął jej wydruk, ale kiedy mu się przyjrzała, dostrzegła nieścisłość:

- Nic nie rozumiem. Co tu robią adresy faceta nazwiskiem Kyle Meredith?

- To on - wyjaśnił krótko Matt.

- Skąd ta pewność? Kyle to imię twego ojca.

- Był taki aktor filmowy, Burgess Meredith.

- Rzeczywiście! - Bailey dokładniej wczytała się w treść wydruku. - Jego ostatnie miejsce zamieszkania to Dom Opieki w Meadow Acres, Sarasota na Florydzie. Kurczę, jest tam nawet ich numer telefonu!

- Wiem, bo już tam dzwoniłem, ale recepcja jest czynna dopiero od dziewiątej rano.

- Dobrze, poczekamy do dziewiątej. - Bailey wyczuła podniecenie Matta. — Którą teraz mamy?

- Siódma dwadzieścia dwie - odpowiedział od razu Matt bez spoglądania na zegarek.

- No więc będziemy cierpliwie czekać. Tymczasem usmażę naleśniki, bo to zawsze ciągnie się w nieskończoność.

Nasmażyła ich całą górę, ale część przypaliła, bo nie odrywała oczu od tarczy zegara. Matt usiadł przy stole, zasłaniając się gazetą, ale nie przypuszczała, aby ją czytał, bo coraz to zerkał w stronę telefonu.

Ledwo wybiła dziewiąta, Matt podniósł słuchawkę i drugi raz połączył się z tym samym numerem. Po tamtej stronie ktoś odebrał telefon po pierwszym dzwonku. Matt odchrząknął i zadał pytanie:

- Czy mieszka jeszcze u państwa pan Kyle Meredith?

- Owszem, mieszka - odpowiedziała recepcjonistka. - Przepraszam, a kto mówi?

Zamiast odpowiedzi Matt odwiesił słuchawkę i przekazał Bailey:

- On tam jest.

Bailey nabrała dużo powietrza w płuca.

- Zarezerwuj dla nas miejsca w samolocie, a ja spakuję nasze rzeczy, zadzwonię do Patsy i poproszę ją, żeby Alex mógł się u nich zatrzymać.

- Świetnie! - ucieszył się Matt, po czym oboje ruszyli do akcji z takim impetem, że omal nie powpadali na siebie.

W samolocie Matt wręczył Bailey książkę T. L. Spangler.

- Masz teraz czas, żeby ją przeczytać - oznajmił.

Bailey zaczęła od strony tytułowej, na której znalazła adnotację, że książka oparta jest na pracy doktorskiej pani Spangler, rozprawie z dziedziny psychologii. Nietrudno dostrzec, że autorka sugeruje wariant podłożenia bomby przez samych zainteresowanych, którzy z góry ukartowali akcję ratunkową. Spangler od razu wyłożyła kawę na lawę, a potem przeszła do głównego nurtu swoich zainteresowań - portretów psychologicznych chłopców.

Bailey rozpoczęła lekturę od wstępu:

System klasowy w każdym społeczeństwie jest godny uwagi, szczególnie jednak w mikrokosmosie amerykańskiego miasteczka. Co się dzieje, jeśli upadają bariery między poszczególnymi klasami społecznymi? Wyobraźmy sobie na przykład, iż zamożna kobieta i ubogi mężczyzna znajdują się razem na bezludnej wyspie. Kobieta przypuszczalnie zachowa swój status, jeśli opanowała jakiś praktyczny fach, choćby szycie. Jednakże gdy kobieta nie ma żadnych kwalifikacji, a mężczyzna jest - założmy - stolarzem, jak zmieni się ich status społeczny?

Podobna sytuacja miała miejsce w roku 1953 w Wells Greek, w stanie Wirginia. Sześciu chłopców, którzy wzrasta-

li w pobliskim Calburn, w wieku kilkunastu lat miało już ustabilizowaną pozycję społeczną.

Kyle Longacre wywodził się z najzamożniejszej rodziny w Calburn. Jego ojciec, chcąc zademonstrować swoje bogactwo, zbudował pałac na szczycie wzgórza, z którego mógł patrzeć z góry na całe miasteczko. Pieniądze ojca sprawiły, że Kyle był w szkole traktowany jak książątko. Koledzy rozstępowali się przed nim na korytarzach, każdy starał się do niego zbliżyć i pokazywać się w jego towarzystwie.

Frederick Burgess był kapitanem szkolnej drużyny piłkarskiej. Przyłgnęła więc doń opinia prowadzącego drużynę do zwycięstwa, przynajmniej w tych rzadkich przypadkach, kiedy wygrywali mecze.

Harper Kirkland pochodził ze starej, zasiedziałej rodziny, której korzenie sięgały aż do pierwszych osadników w Wirginii. Mieszkańcom Calburn nie przeszkadzało więc, że jego dziadek przegrał na wyścigach majątek odziedziczony po przodkach, a zaniedbaną plantację sprzedał, żeby za te pieniądze kupić swej kochance miejską rezydencję. Nie miało też znaczenia, że w rękach rodziny pozostała tylko redakcja lokalnego pisemka. Nazwisko Kirklandów wymawiano w Calburn z szacunkiem, gdyż miejscowi mieli w pamięci jego dawniejszą rangę.

W tłumie nie wyróżniali się natomiast Frank McCallum, Rodney Yates ani Thaddeus Overlander. Owszem, Frank był znany ze swoich talentów krasomówczych, Rodney miał opinię przystojniaka, a nauczyciele doceniali bystrość Thaddeusa, w Calburn jednak liczyło się głównie środowisko, z którego wyszli. Frank i Rodney, będący zresztą kuzynami, wychowali się w biednych rodzinach, toteż dziewczęta nie oglądały się za Rodneyem, którego nazywano wieśniakiem. Z tego samego powodu ignorowano też Franka, a Thaddeus, czyli Taddy, miał przechlapane już na wstępie, jego rodzice bowiem, należący do ortodoksyjnej sekty religijnej, nie pozwalali mu udzielać się w życiu towarzyskim ani pełnić funkcji społecznych.

W ostatniej klasie chłopcy byli zmuszeni przenieść się do Wells Creek, gdzie ich życiorysy uległy zatarciu bądź swoistemu wzbogaceniu.

W Wells Creek pies z kulawą nogą nie wiedział o korzeniach rodziny Harpera Kirklanda, toteż pochodzenie od pierwszych osadników w Wirginii nie dawało mu żadnych przywilejów. W nowej szkole uczyły się dzieci majątniejszych rodziców aniżeli ojciec Kyle'a - przedsiębiorca budowlany - a w miejscowej drużynie piłkarskiej grało kilku zawodników lepszych od Burgessa. W związku z tym dla tych trzech chłopców przeniesienie do innej szkoły oznaczało degradację.

Nabrała natomiast znaczenia pozycja trzech pozostałych. Frank już w pierwszym tygodniu zabłysnął sztuką przekonywania. W Calburn jego wystąpieniom nie poświęcano uwagi, gdyż wszyscy wiedzieli, kim on był. Natomiast w Wells Creek, chyba po raz pierwszy w życiu Franka, oceniano nie to, kto mówi, lecz - co ma do powiedzenia. Wystąpienie Franka okazało się tak przekonujące, że nagrodzono mowę owacją na stojąco.

Rodney mimo urody gwiazdora filmowego, w Calburn był lekceważony z powodu swego pochodzenia. W Wells Creek dziewczęta chichotały i trzepotały rzęsami, kiedy koło nich przechodził.

Thaddeus, poniżany w Calburn, w Wells Creek brylował na lekcjach matematyki, gdyż potrafił przeprowadzać w pamięci skomplikowane obliczenia. Miejscowe ciało pedagogiczne, nie zważając na jego sytuację rodzinną, z miejsca okrzyknęło go geniuszem.

Kyle Longacre, po przeżyciu szoku, jakim musiał być dla niego upadek z wyżyn na niziny, a może też dlatego, że chciał się sprawdzić - już w pierwszych tygodniach pobytu w Wells Creek starał się poprawić swoją pozycję. Postanowił udowodnić, że może przewodzić szkolnej społeczności bez pomocy pieniędzy ojca, więc mimo że znał tu dopiero kilka osób - zaczął ubiegać się w swej klasie o funkcję starosty.

Przyłączył się również do zespołu redakcyjnego kroniki szkoły i klubu dyskusyjnego.

Burgess spróbował wywalczyć sobie pozycję króla strzelców, jaką miał w rodzinnym miasteczku. W tym celu przychodził wcześniej na treningi drużyny piłkarskiej i jako ostatni z nich wychodził, by dodatkową pracą podciągnąć poziom gry.

Harper podjął się pracy w redakcji gazetki szkolnej i już pod koniec pierwszego miesiąca objął stanowisko redaktora naczelnego. Trzeba bowiem trafić, że chłopiec, który od trzech lat pełnił tę funkcję, spadł ze schodów i złamał obie nogi.

Około Bożego Narodzenia sześciu chłopców z Calburn zdobyło już rozgłos w Wells Creek. Trzech z nich było na najlepszej drodze do odzyskania pozycji, jaką mieli w Calburn, trzech pozostałych zaś wspięło się tak wysoko jak nigdy w życiu.

Sukcesy „przybłędów” musiały w końcu zalać sadła za skórę miejscowym uczniom, gdyż oni także mieli swój system klasowy. Tymczasem Frank McCallum zajął w rankingu szkolnej społeczności miejsce chłopca, który od szóstej klasy był znany z wygłaszania porywających przemówień, a jego ojciec mógł się poszczycić największym majątkiem w Wells Creek.

Najprzystojniejszy chłopak w Wells Creek znienawidził Rodneya Yatesa, odkąd dziewczęta zaczęły szeptać między sobą, że „Roddy” znacznie przewyższa go urodą.

Uczniów w Wells Creek zżerała więc zazdrość - uczucie o przemożnej sile! Właśnie zazdrość sprawiła, że postanowili wskazać „intruzom”, gdzie ich miejsce. Zaczęli od skrupulatnego zbierania informacji o przybyszach, tak by na każdego mieć jakiegoś „haka”.

W takich małych miasteczkach wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich, ale niepisane prawo nakazuje nie ujawniać pewnych faktów. Na przykład każdy może wiedzieć, że ojciec któregoś dziecka siedzi w więzieniu, ale dla dobra tego

dziecka społeczność postanawia tego nie nagłaśniać. W Wells Creek taki wewnętrzny system ochrony dóbr osobistych nie obowiązywał jednak wobec obcych. Kilku przedsiębiorczych uczniów wybrało się więc do Calburn, by na miejscu zasięgnąć języka o swoich nowych kolegach. Zasłyszane informacje rozpowszechnili następnie w szkole.

Wkrótce po całym Wells Creek rozniosło się, że Franka i Rodneya nazywano w dawnej szkole wieśniakami - toteż znów przyklejono im tę etykietkę. W Calburn było publiczną tajemnicą, że Kyle nienawidzi swojego despotycznego ojca, który obnosił się ze swym bogactwem. Tamtejsi mieszkańcy jednak tolerowali wyzywające maniere Stanleya Longacre'a, ponieważ chcieli kupować wznoszone przez niego domy. W Wells Creek natomiast rówieśnicy zaczęli bez żenady podśmiewać się z Kyle'a, gdy dotarli do nich anegdota o jego ojcu. Od razu stracił jakąkolwiek możliwość zostania starostą klasy!

Powszechnie kolportowano też plotkę, że Thaddeus Overlander przez cały rok nosił koszulę z długimi rękawami, aby ukryć sińce po biciu przez konserwatywnego ojca. Opowiadano też niesamowite historie na temat odrażających obrzędów religijnych, w których jakoby uczestniczył.

Harpera natomiast obsmarowywano po kątach jako „zakochanego” w Kyle'u. Trzeba pamiętać, że był to rok 1953, kiedy nikomu nawet się nie śniło o tolerancji wobec „kochających inaczej”.

Największą sensację wzbudził jednak fakt, że Frederick Burgess został mimowolnym mordercą w wieku lat czterech. W Calburn wszyscy znali historię jego starszego brata Bobbiego, który - jak mało kto - miał w równym stopniu bystry umysł i sprawność fizyczną. Był przewodniczącym klubu dyskusyjnego, kapitanem drużyny piłkarskiej, a w niedzielne popołudnia udzielał korepetycji dzieciom opóźnionym w rozwoju. Dwunastego lipca 1940 roku szesnastoletni Bobbie mył samochód, a w środku pojazdu bawił się czteroletni wówczas Frederick. Sąsiad widział, jak mały chłopczyk

próbował naśladować starszego brata i - udając, że kieruje samochodem - przesunął dźwignię zmiany biegów. Samochód, zaparkowany na wzniesieniu, zaczął toczyć się w dół, przygniatając Bobbiego i zabijając go na miejscu.

Frederick nie odziedziczył ani inteligencji, ani talentu sportowego starszego brata. Całe Calburn wiedziało, że rodzice żywili do młodszego syna urazę za jego niezamierzony postępki. Ktoś nawet słyszał, jak stary Burgess wyraził się, że jego drugie dziecko mogłoby się nigdy nie urodzić.

W tym miejscu Bailey podniosła oczy znad książki i zamknęła ją, mówiąc, że nie jest w stanie czytać dalej.

- Wystarczy, że nauka w szkole średniej jest trudna, a te dzieci miały jeszcze takie straszne przejścia...

- Ale po ukończeniu szkoły nikt ich już nie szykanował, więc skąd się wzięły wszystkie późniejsze nieszczęścia? - zastanawiał się Matt.

- Nie wiem, może takie było ich przeznaczenie? - powiedziała Bailey. - Na pewno masz przy sobie ten adres?

- Tak! - rzucił ze złością Matt.

- A co takiego czytasz? - oparła głowę na jego ramieniu.

- Nic, tylko pomyślałem właśnie, że wszystkie nici prowadzą do „Złotej Szóstki”. Czegokolwiek chcemy się dowiedzieć, wszystko kręci się wokół nich.

- Wśród nich był również twój ojciec — przypomniała delikatnie Bailey.

- Wtedy, gdy to się działo, nie był jeszcze moim ojcem. Im więcej jednak będziemy wiedzieć o nich, tym większa szansa na znalezienie w końcu osoby, której Manville ufał najbardziej.

- Jeżeli ta osoba jeszcze żyje - zaznaczyła Bailey.

- Właśnie, jeżeli - zgodził się z nią Matt.



- Jego nikt dotąd nie odwiedzał! - stwierdziła ze zdziwieniem pielęgniarka w domu opieki. - No, może raz czy drugi przychodzili koledzy z pracy, ale nikt z rodziny.

- A gdzie on pracował? - spytał Matt.

- W szkole średniej, a pełnił funkcję trenera drużyny piłkarskiej. - Pielęgniarka spoglądała na nich badawczo, jakby chcąc zapytać, czemu o tym nie wiedzieli. - Czy on jest pana wujem?

- Tak, ale wie siostra, jak to bywa. Nasze rodziny są od lat skłócone - próbował wyjaśnić Matt.

- W porządku, ale proszę pamiętać, że tu obowiązują pewne zasady. To człowiek ciężko chory, więc jeśli się zdenerwuje, natychmiast państwa wyproszę. Czy wyrażam się jasno?

Tak Bailey, jak i Matt potakująco skinęli głowami, ledwo jednak przekroczyli próg pokoju - Bailey najchętniej od razu by stamtąd uciekła. Mężczyzna leżący na łóżku wyglądał, jakby ważył nie więcej niż czterdzieści kilogramów. Do lewego, unieruchomionego ramienia miał podłączoną kropłówkę, przez którą wolno skapywał płyn. Oddychał dzięki masce tlenowej, a otaczały go monitory rejestrujące liczbę jego oddechów i akcję serca.

- Matt, ja... - zaczęła Bailey, kładąc mu rękę na ramieniu, ale nie słuchał jej, tylko podszedł do łóżka pacjenta.

- Panie Burgess - przemówił do niego - chcielibyśmy zapytać pana, co działo się tej nocy, kiedy zginął Frank McCallum.

Tymi słowami rozpętał burzę, bo leżący mężczyzna otworzył oczy, a wtedy rozdzwoniły się sygnały alarmowe. W jednej chwili do pokoju wbiegł lekarz z dwiema pielęgniarkami, odpychając Bailey i Matta.

Podczas gdy lekarz badał pacjenta, a pielęgniarki wyłączały urządzenia alarmowe, Bailey stała pod ścianą, ściskając dłonie Matta. Nagle zza pleców personelu medycznego usłyszała głos:

- Przecież nic mi nie jest, zostawcie mnie w spokoju! Miałem po prostu zły sen.

Bailey odetchnęła z ulgą, bo wiedziała, że to przemówił Frederick Burgess.

- Wyoście się do wszystkich diabłów i dajcie mi porozmawiać z moimi gośćmi! - gderał stary człowiek. Lekarz jednak nie dał się łatwo spławić. Zmierzył Bailey i Matta surowym spojrzeniem i zapowiedział:

- Tylko spróbujcie znów go zdenerwować, to osobiście was stąd wyprowadzę!

Wyszedł jednak z pielęgniarkami, a Bailey zbliżyła się do łóżka pensjonariusza placówki opiekuńczej. Był wyniszczony wiekiem i chorobą, ale oczy spoglądały żywo i bystro, pod zmarszczkami łatwo było poznać młodego człowieka uwiecznionego na tyłu zdjęciach.

- Może lepiej pójdziemy... - zaproponowała.

- Po co? I tak już mało mnie nie zabiliście! - wychrypiął Burgess, po czym zakaszłał.

Bailey podała mu szklanekę wody z wetkniętą słomką, którą przytrzymała, gdy pił. Matt tymczasem stał w nogach łóżka i zaciskał palce na poręczy, aż zbiełały mu kostki.

- Ty jesteś chłopak Kyle'a, prawda? - Burgess zwrócił się w tamtą stronę. - Podobny do niego, tylko tęższy

- Bo on lubi dużo jeść - wyjaśniła z uśmiechem Bailey, co spowodowało, że Burgess odwrócił się do niej.

- A ty - to kto?

Zanim Bailey zdołała otworzyć usta, Matt odpowiedział za nią:

- To wdowa po Lucasie McCallumie.

- O Boże... - wyszeptała ze strachem Bailey, osuwając się na krzesło. Obawiała się, że ta rewelacja dobije starszaka, ale poza kilkoma słabymi brzęczykami nie uruchomił się alarm.

- Aha, chodzi o Jamesa Manville'a! - zorientował się po chwili Burgess. - Widziałem go raz w życiu, kiedy kupowałem w Oregonie drewno budulcowe. Ktoś mi wtedy powie-

dział, że James Manville przyjechał tu na spływ tratwami. Chciałem go zobaczyć, tak jak wszyscy, więc stałem w tłumie na brzegu. Zanim zepchnął tratwę na wodę, pomachał do nas ręką, a mnie serce zamarło, ponieważ przez chwilę patrzyłem prosto w oczy Luke'a McCalluma.

- A czy on pana widział? - zagadnęła Bailey.

- Pewnie, ledwo na mnie spojrzął, a już zrzędała mu mina. Znowu wyglądał jak wystraszony mały chłopiec, ale położyłem palec na ustach i potrząsnąłem głową, żeby wiedział, iż nie puszczę pary z gęby. Wtedy uspokoił się i uśmiechnął do mnie. Zawsze lubiłem tego Luke'a.

- Chciałabym się dowiedzieć wszystkiego o nim - poprosiła Bailey, ale Burgess uśmiechnął się przepraszająco.

- Przykro mi, ale niewiele będę mógł ci pomóc. Wiem tylko tyle, że Frank wyjechał z miasta zaraz po dyplomie. Nie było go przez kilka lat, a wrócił z dzieckiem. Kiedyś pytałem Kyle'a, dlaczego nigdy nie mogliśmy zobaczyć tego dzieciaka, Kyle jednak mi wytłumaczył, że mały miał jakiś feler, więc Frank trzymał go w ukryciu, żeby ludzie się z niego nie śmiali. Nie pytałem Franka o nic, bo w końcu to nie moja sprawa, ale ten chłopak przez kilkanaście lat siedział na odludziu. Tylko co jakiś czas wykradał się na taką małą farmę...

- Przy Owl Creek Road - dokończyła Bailey. - Przedtem należąca do Hanleyów.

- Rzeczywiście, a skąd wiesz? Byłaś tam kiedyś?

- Owszem, bo tam jest bardzo ładnie. Za domem rośnie stare drzewo morwy... - Przerwała, bo znów odezwały się brzęczyki. - Och, przepraszam, widzę, że pan się zdenerwował. Myślę, że powinniśmy już iść...

- Och, nie, nie odchodźcie! - poprosił Burgess. - Czuję się tu taki samotny, nieraz całymi dniami nie mam do kogo gęby otworzyć. A kiedyś byłem znanym gawędziarzem...

Bailey i Matt wymienili spojrzenia i porozumiewawcze uśmiechy. Burgess przenosił wzrok z jednego na drugie i sam zaproponował:

- Może chcielibyście posłuchać o „Złotej Szóstce” i jak to było naprawdę?

- No pewnie! - potwierdził Matt. - Chętnie wysłuchamy wszystkiego, co mógłby pan nam powiedzieć.

- Stoję już nad grobem, więc chciałbym powiedzieć prawdę! - westchnął Burgess. Przymknął oczy, a potem je otworzył i spojrzał na Bailey. - To ta mała Spangler narobiła całego bigosu. Wiedziałaś o tym?

- Przeczytałam prawie całą jej książkę - wyznała. - Przy najmniej tyle, ile byłam w stanie znieść.

- Nie ma tam tego, co najważniejsze - potrząsnął głową Burgess. - Ona napisała tę książkę, żeby usprawiedliwić swoje postępowanie, ale przecież wiedziała, co robi. Podobno wylądowała w Waszyngtonie - i dobrze, bo tam jej miejsce. Polityka, oszczerstwa i chwytaki poniżej pasa to jej specjalność.

Przerwał na chwilę, aby się uspokoić, a potem opowiadał dalej.

- Wszystko zaczęło się od zakładu, który Roddy przegrał. Ten zakład zmienił życie wielu osób. Jeśli przeczytałaś jej książkę, to widziałaś, ile miejsca poświęciła dywagacjom o klasach społecznych. Pod tym względem akurat napisała prawdę. W Calburn byliśmy przywódcami młodzieży, a w Wells Creek - nikim. Ta okropna kobieta nie wspominała tylko o jednym, że to ona podsyciała wzajemną wrogość w Wells Creek. Taki na przykład Roddy... Zaraz, czy on jeszcze żyje?

- Oczywiście - zapewniła Bailey. - Żyje, ale to kawał drania i chyba ma nierówno pod sufitem. Żeni się z młodziutkimi dziewczynkami i coraz to płodzi nowe dzieci.

- W takim razie nic się nie zmienił - uśmiechnął się Burgess. - Zawsze był z niego szurnięty łobuz, ale przy tym przystojny jak diabli. Mało kto potrafił przejrzeć go na wylot. Ale twój ojciec się na nim poznał. - To zdanie skierował do Matta, który usiadł obok Bailey. - Kyle nie znosił Roddy'ego, otwarcie nim gardził. Nie miało to nic wspólnego

z pochodzeniem czy statusem społecznym Roddy'ego, jak napisała ta baba. Roddy był po prostu łajdakiem i taki pozostał.

- Naprawdę mój ojciec go nie lubił? - zdziwił się Matt. - Aja myślałem, że w tej „Złotej Szóstce”...

- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, co? - Burgess chciał się zaśmiać, ale od razu uruchomił brzęczyki alarmowe. Opanował się więc i podniósł rękę naszpikowaną wenflonami. - Powyrywałbym te paskudztwa, ale i tak wbiliby mi je z powrotem... - westchnął. - Na czym to ja stanąłem?

- Na zakładzie - przypomniała Bailey. - Podobno od niego wszystko się zaczęło.

- Tak, pamiętam dokładnie ten dzień. Byliśmy wtedy w szkole: Kyle, Roddy, Frank i ja. Staliśmy przy naszych szafkach i Roddy strasznie się przechwalał, jak to on, żeby zaimponować Kyle'owi. Nie wiem czemu, ale tym razem Kyle nie zignorował go, jak zwykle to robił, tylko złośliwie się uśmiechnął i sprowokował Roddy'ego. Nie zapomnę, jakim tonem go podpuszczał: „Jak z ciebie taki kozak, to spróbuj poderwać ją!” - to znaczy Theresę Spangler. Widziałaś może jej zdjęcie?

- Ja tak, a ty? - Bailey spojrzała na Matta.

- Oczywiście, przecież była na okładce „Time'u”.

- Nie chodzi o jej ostatnie zdjęcia, ale z czasów, kiedy była w szkole średniej. Wiesz, jak ona wtedy wyglądała?

- Jak buldog - podsumował Burgess. Przymknął oczy, żeby sobie lepiej przypomnieć tamten dzień. - Roddy zaczął przewracać przed nią oczami, prawił jej komplementy, robił niedwuznaczne propozycje, ale jej takie chwytły nie brały. Najzwyczajniej w świecie kazała mu iść do diabła.

- Trzeba wam było widzieć jego minę! - zachichotał Burgess. - Roddy był przekonany, że może mieć wszystkie dziewczyny w Wells Creek na każde skinienie, a tu taka maskara wysłała go do wszystkich diabłów! Mało tego, dała mu kosza na oczach tłumy dziewczyn, które zaraz zaczęły szeptać między sobą. Roddy chciał ratować twarz, więc od-

gryzł się: „To i lepiej, komu potrzebna twoja paskudna gęba?” Chciał się zmyć, ale ta Spangler...

Musiał zaczerpnąć dużo powietrza, aby móc mówić dalej.

- Wyobraźcie sobie, iż zaczęła nadawać tak głośno, że słychać ją było na całym korytarzu: „Może i jestem brzydka, ale przynajmniej mądra! Urodę można poprawić, ale twojego ptasiego mózdzku nic nie naprawi. Zobaczysz, że dojdę nawet do Białego Domu, a ty skończysz na śmietniku, śniąc o czasach, kiedy byłeś przynajmniej przystojny!”

- Rzeczywiście, miała dziewczucha łeb! - przyznał Matt. - Trafiła w samo sedno.

- Miała raczej dobrą pamięć, bo zapożyczyła tę odzywkę od Winstona Churchilla - orzekła Bailey.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią pytająco, nie rozumiejąc, do czego to ma być aluzja. Opowiedziała więc im całą anegdotę.

- Przy kolacji posadzono Winstona Churchilla obok kobiety, której nie lubił. Kiedy zwróciła mu uwagę, że jest pijany, odpowiedział: „Za to pani jest brzydka, a ja jutro będę trzeźwy...”

Panowie nadal nie chwyтали, jaki związek ma ta historyjka ze zdarzeniem, o którym opowiedział Burgess.

- Szkoda, że Roddy nie wytknął jej, iż popełniła plagiat - podsunęła Bailey. - Ach, przepraszam, przecie jesteście dużymi chłopcami i uważacie, że Roddy powinien był dać jej fangę w nos. A właściwie co on jej powiedział?

- Nic - odpowiedział smutno Burgess. - Roddy był przystojny, ale nie zanadto bystry, więc go po prostu zatkało, a cała szkoła nabijała się z niego. Tyle tylko że my, z Calburn, nie wiedzieliśmy, że nie wolno robić sobie żartów z Theresy Spangler, bo jest niebezpieczna. Dzieciaki z Wells Creek już w podstawówce nauczyły się trzymać od niej z daleka, bo inaczej „ginęły” im drugie śniadania, mogły znaleźć gumę do żucia we włosach albo na boisku mógł je spotkać „wypadek”...

- Specjalistka od chwytów poniżej pasa! - stwierdził Matt. - Owszem, wybitna! Chyba nigdy w życiu nie pograła

czysto. Wszystkie dzieci wiedziały, kto im robił świńskie kawały, ale nauczyciele stawali po stronie Spangler, bo było im jej żal, że taka brzydka. W końcu karę ponosiły te dzieci, które skarżyły się na nią.

- W szkole średniej taka mała czirliderka zrobiła złośliwą aluzję do brzydoty Spangler, a inne dziewczęta to podchwyciły. Następnego dnia „ktoś” dodał zielonej farby do szamponu, którym dziewczyny z zespołu myły włosy. Po tym incydencie wszyscy w Wells Creek zaczęli traktować Spangler z najwyższym szacunkiem!

- Rzeczywiście grała nieczysto, ale przynajmniej mogła się odegrać! - zauważyła Bailey. Ją też zbyt często nazywano brzydulą, aby nie śniła o odwecie.

- Rozumiem, co masz na myśli - przyznał Burgess. - Na pewno miała powody do zemsty, ale przesadzała z tym. Nie poprzestała na pomalowaniu czirliderkom włosów na zielono, ale do końca roku szkolnego uprzykrzała im życie. Po wakacjach trzy przeniosły się do innych szkół, a trzy pozostałe były bliskie załamania nerwowego.

- Czyli niechcący zależliście za skórę najwredniejszej dziewczynie w szkole? - podsumował Matt.

- Tak, a ona zemściła się na nas wszystkich. Postawiła sobie za cel, żeby nas skompromitować, bo po tym alarmie z bombą chodziliśmy w glorii bohaterów. Już w następny poniedziałek, kiedy Kyle otworzył zeszyt, znalazł w nim pracę domową któregoś z chłopaków. Po szkole czterech jego kolegów czekało na Kyle'a i sprawili mu takie manto, że dwa dni przeleżał w szpitalu.

Na samo wspomnienie Burgess potrzęsnał głową.

- Tamtego roku całą naszą szóstkę raz za razem niewinnie oskarżano o najpaskudniejsze postęпки. W szafce należącej do dziewczyny jednego z piłkarzy znaleziono nieprzyzwoity liścik rzekomo od Roddy'ego, który tylko cudem uniknął łania. Pod drzwi szatni dziewcząt ktoś podrzucił skrawek koszuli Franka, którego z miejsca obwołano podglądaczem. Taddy'emu zarzucono ściąganie na klasówce, a Harpera czte-

rech chłopców zamknęło w szafce Kyle'a. Zrobili to w piątek po południu, a przez całą noc z piątku na sobotę nie mogliśmy go znaleźć. Musieliśmy dopiero włamać się do szkoły.

- A jaki numer wycięli panu? - zainteresowała się Bailey.

- Na mojej szafce, książkach, zeszytach i wszystkim, co było podpisane moim nazwiskiem, dopisano „morderca”.

Na chwilę zapanowała cisza. Dopiero potem Bailey odważyła się zapytać:

- Czy to wszystko było z góry ukartowane? Tę bombę też sami podłożyliście, czy naprawdę byliście bohaterami?

- I tak, i nie - odpowiedział wymijająco Burgess. - Można powiedzieć, że w pewnym sensie zaplanowaliśmy to, gdyż marzyliśmy, by doszło do takiej sytuacji. Nie przypuszczam jednak, żeby któryś z nas naprawdę chciał podłożyć w szkole bombę.

- Z wyjątkiem Harpera - zaznaczył dyskretnie Matt.

- Żebyś wiedział! Jak na to wpadłeś?

- Podśledzałem, jak tato rozmawiał o tym z mamą. Oglądali kiedyś wiadomości w telewizji, gdzie akurat leciał komunikat o jakimś zamachu bombowym. Mama wtedy powiedziała niby żartem: „Należałoby sprawdzić alibi Harpera”. Nie wiedziała, że to słyszałem, zresztą byłem jeszcze taki mały, że nie miałem pojęcia, o kogo chodzi. Dopiero po latach skojarzyłem, kiedy padło jego nazwisko.

- No więc jak do tego doszło? - dociekała Bailey.

- Tak jak napisała Spangler, wszystko miało początek w naszej samotności. Byliśmy w tej szkole uważani za intruzów, choć rozpaczliwie szukaliśmy miejsca dla siebie.

- A Spangler pisze, że Frank, Rodney i Thaddeus czuli się lepiej w Wells Creek aniżeli w Calburn! - zaoponowała Bailey. - wspominała, jaki podziw wzbudziło przemówienie Franka...

Burgess parsknął tak głośno, że w jednym z urzędzeń rejestrujących włączył się brzęczyk i ucichł dopiero wówczas, gdy chory dwa razy głęboko odetchnął

- Że niby Frank miał taki dobry głos? Ciekawe, jakim cu-



dem, jeśli już w wieku jedenastu lat palił jednego papierosa po drugim, a płuca pewnie miał zwęglone? Spangler napisała tę książkę pod swoich profesorów. Prawda była taka, że nie pasowaliśmy do nowego środowiska - i to nas zbliżyło do siebie. To babsko miało rację, że w Calburn nigdy nie zaprzyjaźnilibyśmy się ze sobą. Nieudacznicy, na przykład Taddy, bali się nawet podejść do takich idoli jak Kyle Longacre.

Bailey dostrzegła zaciśnięte usta Matta, co świadczyło, że wcale nie uważał swego ojca za idola.

- Najgorsze były pierwsze tygodnie! - wyznał Burgess. - Czuliśmy się osamotnieni i tęskniliśmy za starą szkołą. Zналиśmy już tamte reguły gry. Teraz codziennie po lekcjach musieliśmy czekać czterdzieści pięć minut, albo i godzinę, na autobus do Calburn. Chłopcy trzymali się wtedy na dystans od dziewcząt, staliśmy więc sami, w małej grupce, i narzekaliśmy na szkołę. To wtedy po raz pierwszy pojawiła się wzmianka o bombie.

- Co byście zrobili, gdyby w naszej szkole znalazła się bomba? - zapytał Harper kolegów wraz z nim czekających na autobus.

- Uciekalibyśmy! - palnął Roddy, co wywołało ogólną wesołość.

- I to szybko, a ta przeklęta buda niech wylatuje w powietrze! - uzupełnił Frank.

- Ależ, panowie, w ten sposób nie zostaje się bohaterem - zaprotestował energicznie Harper.

- A któż chce zostać bohaterem? - zdziwił się Roddy.

- Tak czy siak musimy tu spędzić jeszcze rok i od nas zależy, czy będziemy się czuć jak w raj, czy jak w piekle - wyjaśnił Harper. - Co wybieracie?

Frank chciał odwrócić się na pięcie i odejść, bo nie widział sensu w tej idiotycznej wymianie zdań. Zatrzymał się jednak, słysząc słowa Kyle'a:

- No, słuchamy, powiedz nam, co masz na myśli?

- Nic konkretnego - wywinął się Harper. - Jak wiecie, chciałbym zostać dramatopisarzem i planuję właśnie akcję sztuki. To moja ulubiona rozrywka.

- Oprócz przymierzania babskich pończoch? - przyciął mu Burgess.

- A co, może chciałbyś spróbować? - odgryzł się, mierząc Burgessa spojrzeniem od stóp do głów.

- Dobra, mów dalej - przerwał tę utarczkę Kyle. - Jak moglibyśmy stać się bohaterami?

- Próbowałem ułożyć sobie taki scenariusz, co bym zrobił, gdyby w naszej szkole ktoś podłożył bombę.

- A co, wepchnąłbyś tę całą hołotę do szybu windy, a za nimi wrzucił łaskę dynamitu? - wybuchnął Taddy, a wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem, zaskoczeni jego zawziętością.

- Przeciwnie, uratowałbym ich - zaprzeczył Harper. - Byłbym tym jedynym, który zachował spokój, podczas gdy inni wpadliby w panikę. To ja bym panował nad sytuacją i wskazywał wszystkim, nauczycielom i uczniom, awaryjne wyjścia. Za to później, w rozmowie z reporterami, udawałbym skromnego. - Nawet pokazał, jak by to wyglądało. Spuścił głowę i nieśmiało podnosząc oczy, bąkał wstydliwie: - To nic takiego, proszę pani...

Oczywiście wszyscy parsknęli śmiechem, tylko jeden Kyle rozwinął wątek:

- To niezły pomysł. Wyprowadzilibyśmy ich w bezpieczne miejsce i zyskali poklask dla Calburn!

- A jeśli drzwi w klasach byłyby pozamykane? - myślał głośno Taddy.

- A kto uratuje gołe dziewczyny w łaźni? - spekulował Rodney.

- Co z maluchami, które się uczą na parterze? - dodał Burgess. - Ja bym je wyprowadził.

- Ja też - zgłosił się Frank. - Lubię małe dzieci. Bardziej niż dorosłych. - Wzruszył ramionami, kiedy koledzy zaczęli się na niego gapić.

- A ty, Taddy? - podpuścił go Kyle. - Kogo chciałbyś uratować?

- Piłkarzy! - wypalił Taddy z szerokim uśmiechem. Pomyślał chwilę i dodał: - Trenowali akurat w sali gimnastycznej, kiedy dym zaczął przenikać do środka. Oczywiście zaczęli kaszleć i podusiliby się, gdyby... Gdybym nie wybił okna i nie spuścił im liny po ścianie!

Opowiadał tak realistycznie, że wszyscy pękali ze śmiechu. Jeden Harper potraktował jego fantazję poważnie.

- A czym wybijesz okno i skąd weźmiesz linę? - wypytywał. - Jeśli masz zamiar ewakuować ich pojedynczo, reszta tymczasem może ulec zaczadzeniu!

Wydawało się, że na tym dyskusja się skończy, gdyż jej uczestnicy umilkli i zaczęli wypatrywać autobusu na pustej jezdni. Tylko Harper podtrzymywał tę dziwną wymianę zdań.

- A co ty byś zrobił? - zwrócił się do Kyle'a.

- Dostałbym w ręce drania, który to zrobił - odparował bez namysłu Kyle, jakby miał wcześniej przygotowaną odpowiedź. - Nałożyłbym pelerynę i dał nura w dym, a tam już złapałbym łobuza!

- A gdyby on nie czekał na ciebie i dawno uciekł? - Harper chciał wypróbować wszystkie warianty scenariusza.

- Spróbowałbym rozbroić bombę, choćbym miał sam rzucić się na nią.

Widząc zdziwione spojrzenia kolegów, Kyle uśmiechnął się kącikiem ust i dodał:

- Myście sobie, co chcecie, a ja chciałbym zostać bohaterem, bo to przeciwieństwo mojego starego.

- I tak to się zaczęło - podsumował Burgess. - Od historii, którą wymyśliśmy, żeby skrócić nudę oczekiwania na autobus.

- Tymczasem to się zdarzyło naprawdę - podsunęła Bailey.

- Tak, Harper rzeczywiście podłożył bombę w szkole.

Mówiąc między nami, przypuszczam, że i wcześniej robił takie rzeczy. Tego lata na terenie otaczającym szkołę wybuchło wiele bomb i podejrzewam, że również podkładał je Harper. Chyba ze sześć umieścił w różnych częściach szkoły, ale korzystając z zamieszania, usuwał je, zanim przyjeżdżała policja. Zresztą to nie były takie prawdziwe bomby, raczej świece dymne.

- Dzięki tym bombom nasze fantazjowanie nabrało realnych wymiarów. Tyle się o tym mówiło, że wiedzieliśmy dokładnie, co mamy robić w czasie prawdziwego alarmu. Harper wykonał zadanie na medal, bo wszystko, co mogło być potrzebne do akcji ratunkowej, znajdowało się dokładnie tam, gdzie powinno. Nawet wypowiedzi dla prasy, pełne udawanej skromności, zdążyliśmy doskonale przećwiczyć.

Nie przewidzieliśmy tylko jednego - że Kyle się wnerwi. Późnym wieczorem przyszedł do każdego z nas i powyciągał nas z łóżek na małe „spotkanie” z Harperem. Obtańcował go z góry na dół i zagroził, że jeśli coś podobnego się powtórzy - wykluczy go z naszej grupy, nikt z nas nie poda mu ręki i będzie miał raz na zawsze przechłapanie.

- Jednakże dzięki tej bombie staliście się „Złotą Szóstką” - przypomniał Matt.

- Tak, tego też nie przewidzieliśmy. - Burgess na chwilę przerwał swoją narrację. - Początkowo mieliśmy z tego same korzyści. W Wells Creek chodziliśmy w glorii bohaterów i trzęśliśmy całym Calburn. Ludzie nas ubóstwiali.

- Dopóki Roddy nie obraził Theresy Spangler?

- Tak, do tej pory zdążyliśmy wybaczyć Harperowi prawie wszystko, gdyż dzięki niemu powodziło się nam lepiej niż kiedykolwiek. Złe zaczęło się dziać, dopiero kiedy Spangler się na nas uwzięła, ale wtedy pomógł nam Harper.

- Aha, poprzez te swoje artykuły, których Bailey nie zdążyła przeczytać? - upewnił się Matt, ale pospiesznie dodał: - Ja cię wcale nie krytykuję, kochanie.

- Przepraszam, nie wiedziałem, że jesteście małżeństwem - zreflektował się Burgess.

- Wcale nie jesteśmy-sprostowała Bailey.  
- Dopiero zaczęliśmy sypiać ze sobą - uzupełnił Matt.  
- No, uważaj! - przestrzegła go, co bardzo rozśmieszyło obu mężczyzn. - Proszę, niech mi pan powie, co było w tych artykułach.

- Lokalna gazeta w Calburn należała do rodziny Harperów, a bratanek jego matki był redaktorem naczelnym. Matka zajmowała się domem, ale tyranizowała nie tylko syna, lecz wszystkich w promieniu dwudziestu mil.

Kiedy Roddy zranił uczucia tej Spangler, zaczęła ona rozpowiadać na prawo i lewo, że sami podłożyliśmy bombę. Twierdziła, że bohaterowie nie rodzą się z dnia na dzień, ale mało kto dawał jej posłuch, gdyż istniało zapotrzebowanie na bohaterów. Zmieniła więc taktykę. Przyjechała do Calburn i pod pretekstem, że chce napisać artykuł o „Złotej Szóstce”, zadawała ludziom mnóstwo pytań.

- Zupełnie tak samo jak po latach, kiedy pisała tę książkę.  
- Dokładnie tak samo. Wyciągała z ludzi zwierzenia, a potem rozpowszechniała to, co usłyszała. Pod jej wpływem koledzy nas znienawidzili. Nie pochodziliśmy z Wells Creek, więc nie mogliśmy namierzyć źródła tych plotek, dopóki Roddy przypadkiem nie dowiedział się tego od dziewczyny, z którą kochał się na tylnym siedzeniu samochodu.

Na wieść o tym Harper wpadł we wściekłość. Zawział się, że jakaś zezowata maskara z wystającymi zębami nie będzie mieszać mu szyków. Zapowiedział więc swojej matce, że jeśli ma zostać pisarzem, powinien jak najwcześniej zacząć publikować, a więc jego artykuł musi ukazać się w ich gazecie, i to już!

Matka była gotowa dać synowi wszystko oprócz wolności, więc obiecała, że to załatwi, a Harper napisał artykuł. Jednak jego kuzyn - redaktor naczelny - po przeczytaniu pierwszej strony odmówił publikacji. „Nie mogę czegoś takiego wydrukować! - tłumaczył się przed ciotką. - Czytałaś, co on wypisywał? Z Kyle'a Longacre'a zrobił coś pośredniego między Sir Galahadem a Buddą! Owszem, znam go, to miły

chłopak, ale żaden święty. Thaddeus Overlander według niego ma być tak doskonałym matematykiem, że rząd zleca mu programy naprawcze gospodarki światowej. A Burgess..."

„Wydaje mi się, że ten artykuł dowodzi bujnej wyobraźni” - przekonywała pani Kirkland.

„To nie żadna wyobraźnia, tylko zwykłe zniesławienie, a do tego wierutne kłamstwo - od początku do końca”.

„Mój syn to napisał, więc ma pan to opublikować, jeśli nie chce pan stracić pracy” - zapowiedziała matka. I to wystarczyło, wtedy dopiero się zaczęło! Harper pozbierał wszystkie plotki, które Spangler rozpowszechniała na nasz temat, i wykreślił kota ogonem, tak że działały na naszą korzyść.

Na przykład wychwalał pod niebiosa sugestywny głos Franka, dowodząc, że dzięki temu głosowi Frank zdołał wyrwać się z nędzy. W rezultacie miejscowa rozgłośnia radiowa zaproponowała mu posadę komentatora meczów piłkarskich. Kyle miał według niego tak szlachetną duszę, jakby był żywcem przeniesiony z dawnych epok. Nic więc dziwnego, że oferowano mu każde stanowisko, na które było trzeba kogoś godnego zaufania. Roddy'ego Harper odmalował jako podatnego na kobiece wdzięki, toteż jego szafka pękała od listów miłosnych; Thaddeusa - jako wybitnie inteligentnego, co pozytywnie wpłynęło na jego oceny w szkole. Natomiast na swój temat Harper dyskretnie zasugerował, że pisuje książki pod znanym pseudonimem, więc coraz to ktoś zatrzymywał go na korytarzu, pytając, czy nie jest czasami tym a tym.

Burgess przerwał, co Bailey wykorzystwała, by podać mu łyk wody. Potem dodał jeszcze:

- Jeśli chodzi o mnie, wszyscy w całym hrabstwie wiedzieli, co zaszło, kiedy miałem cztery lata. Harper również tego nie ukrywał, ale wykorzystał ten wypadek do skonstruowania łzawej fabuły. Opisał, jakie to przeżywałem katusze, dźwigając brzemię tragedii, które zaciążyło nad całym moim życiem. Ten artykuł znacznie zwiększył poczytność gazety i od tej pory nikt nie przyklepał mi etykietyki „mordercy”.

Bailey zauważyła, że ta opowieść bardzo wyczerpała Burgessa który poszarzał na twarzy jak popiół. Gestem dała znak Mattowi, że powinni się już zbierać. On wprawdzie przytaknął, ale miał w zanadrzu jeszcze zasadnicze pytanie. Nabrał w płuca dużo powietrza i wypalił:

- James Manville był w posiadaniu pewnego ważnego dokumentu. Podobno oddał go osobie, której ufał najbardziej na świecie.

- To musiała być Martha, matka Franka - uśmiechnął się Burgess - Przecież to ona wychowała Luke'a.

Bailey od razu założyła, że taki świstek papieru na pewno gdzieś zapodział się w rzeczach staruszki.

- Och dziękuję panu-westchnęła, starając się nie okazywać rozczarowania. Oczami dała znak Mattowi i zaczęli się żegnać: - Przepraszam, że zajęliśmy panu tyle czasu. Chyba już pójdziemy.

- Rzeczywiście jestem zmęczony - przyznał Burgess. - Ale to dobre zmęczenie, bo zrobiło mi się lżej na sercu.

Bailey pozbierała swoje rzeczy i zaczęła się szykować do wyjścia, ale nie mogła się oprzeć, by jeszcze nie zapytać:

- Dlaczego najpierw ożenił się pan z Violet, a później od niej odszedł?

- Z wielu powodów. Miałem kumpla w Kalifornii, który kiedyś mnie spytał: „Słuchaj, Burg, kiedy ostatni raz rznąłeś babę?” Zadzwoił po taką jedną panienkę, o której mówił, że jest najlepsza w te klocki. Miało być fajnie, ale kiedy wspomniał że chce się temu przyglądać, odechciało mi się całej zabawy i wyszedłem od niego. Po drodze spotkałem tę dziewczynę. Rozkraczył się jej stary gruchot, a ja od razu poznałem co ona za jedna. Wiedziałem, że tam, dokąd jedzie, nic miłego jej nie czeka, więc zrobiło mi się żal i pomogłem jej naprawić wóz.

Podczas gdy grzebałem w silniku, udawała naiwną panienkę i wciskała mi kit, jak to w swoich stronach śpiewa w chórze kościelnym. Wiedziałem, że łże jak z nut, ale spodobała mi się. Jej natomiast spodobałem się - nie tyle ja, co moje ży-

cie. Zdziwiło mnie to, bo mało która ładna dziewczyna chciałyby wyjść za handlarza materiałami budowlanymi na zapadłej prowincji.

Burgess znów zrobił krótką przerwę i dokończył z uśmiechem:

- Poza tym chciałem wyciąć mojemu staremu numer i przedstawić mu zwykłą dziwkę jako jego synową. A jeszcze gdybyśmy z Violet doczekali się dzieci? Miałbym do opowiedzenia mu ładną historyjkę, gdyby już leżał na łożu śmierci!

- A kochał ją pan? - zagadnęła Bailey.

- Dokładnie tak samo jak ona mnie. Proszę mnie źle nie zrozumieć, nawet lubiliśmy się z Violet i całkiem do siebie pasowaliśmy.

- Mimo to sfingował pan swoją śmierć i już do niej nie wrócił.

- Nie planowałem tego z góry, bo nie spodziewałem się katastrofy ani tego, że wyjdę z niej cało. Tylko kiedy tak stałem obok szczątków samolotu, przyszło mi na myśl, że gdybym zerwał ze swoim dotychczasowym życiem, środowiskiem i znajomymi, to może stałbym się kimś zupełnie innym.

- I czy to panu pomogło? - spytała Bailey.

- Nie.

- Z powodu tego, co stało się trzydziestego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego? - przejął inicjatywę Matt. Od razu rozdzwoniły się sygnały alarmowe i lekarz wypchnął ich z pokoju chorego, nim zdążyli się pożegnać.

- Już wiem, jak to musiało wyglądać - fantazjowała Bailey, kiedy znaleźli się w hallu. - W tym górskim szałasie, gdzie wychował się Frank, musieli użyć tego kwitu do tapetowania ścian i on do dziś tam jest!

Matt najpierw się roześmiał, później potrząsnął głową, bo nie miał pomysłu, jakie kroki podjąć dalej.

- Przepraszam państwa - rozległ się za nimi głos pielęgniarki. - Pan Meredith prosił, żeby to państwu oddać.



Trzymała w ręku stary, wytarty kalendarzyk, który podała Bailey, a na jej pytające spojrzenie odpowiedziała tylko bezradnym gestem uniesionych rąk:

- Proszę mnie o nic nie pytać, bo nic więcej nie wiem.

- Dziękuję - odpowiedziała Bailey. Matt przytrzymał jej drzwi, a gdy oboje znaleźli się na zewnątrz - zaczęli przerzucać kartki kalendarzyka. Znajdowali tam głównie kontakty handlowe na Florydzie.

- Zobacz pod M - podsunął Matt. - Szukaj nazwiska McCallum.

Bailey otworzyła kalendarzyk na literze M i rzeczywiście, na samej górze strony widniało nazwisko Martha McCallum, a obok - numer telefonu. Zanim zdążyła zaczerpnąć powietrza - Matt już wyciągnął komórkę, wybrał ten numer, a osobę, która odebrała, spytał o Marthę McCallum.

- Przebywa u państwa? - indagował. - Żyje? Zdrowa? Dziękuję bardzo.

Kiedy się rozłączył, Bailey od razu spytała:

- Gdzie ona jest?

- W domu opieki na przedmieściach Atlanty.

Bailey, zamiast iść bezpośrednio do samochodu, zaczęła rozglądać się wokół.

- Co robisz? - spytał Matt.

- Patrzę, gdzie tu jest jakieś biuro podróży.

- Widzę, że podobnie myślimy. Kiedy to wszystko się skończy, przypomnij mi, bym ci powiedział, że cię kocham!

Bailey puściła się biegiem do samochodu i choć serce tłuło się jej jak oszalałe, odchrzyknęła:

- Dobra, przypomnę ci!

## 28

Bailey i Matt spędzili tę noc w hotelu w Sarasota, a na rano mieli zarezerwowane miejsca w samolocie do Atlanty.

Ponieważ wykupywali lot w ostatniej chwili, nie dostali już miejsc obok siebie i musieli sporo dopłacić, ale grunt, że dopięli swego.

Tymczasem o trzeciej nad ranem odezwała się komórka Matta. Oczekiwał złej wiadomości, bo w innym przypadku kto dzwoniłby o tej porze, a gdy na wyświetlaczu zobaczył numer swego brata — upewnił się, że wiadomość będzie nawet bardzo zła. Czym prędzej więc wybiegł z komórką do łazienki, zamknął drzwi od środka i wtedy dopiero zapytał:

- Co się stało?

W ostatniej chwili ugryzł się w język, bo miał ochotę spytać: „Komu stało się coś złego?”

- Alex został aresztowany - wyjaśnił Rick z pozornym spokojem, choć Matt od razu wyczuł jego zdenerwowanie.

- Za co, na miłość boską? Przekroczenie szybkości czy handel prochami? Jak mogłeś pozwolić takiemu smarkaczowi wałęsać się po nocach? Wiesz przecież, że on...

- Powoli, zamknęli go po zarzucie morderstwa - poinformował Rick. Matt z wrażenia aż usiadł na brzegu wanny.

- Mów, co to było - wyszeptał, mając nadzieję, że chodzi tylko o udział w bójkę o dziewczynę w barze.

- Mówi ci coś nazwisko Dolores Carruthers?

- Tak - wykrztusił Matt z trudem, bo serce podeszło mu do gardła.

- Wczoraj została zamordowana i policja znalazła w całym jej domu pełno odcisków palców Alexa. Mało tego, pod jej paznokciami zostały resztki naskórka, a pamiętasz, jakie ten chłopak miał zadrapania na plecach. Jeśli DNA będzie się zgadzało... - Rick przerwał, by zaczerpnąć tchu. - A swoją drogą, czego on u niej szukał? Przecież miała czterdzieści jeden lat, a on dopiero siedemnaście!

Matt przesunął dłonią po twarzy, bo wyobraził sobie, że Alex mógłby zostać skazany, i to z jego winy!

- Słyszysz mnie?! - krzyczał z drugiej strony Rick.

- Tak, słyszę cię dobrze.

- Kim była ta kobieta?

- Siostrą Bailey.

Ricka na chwilę zatkało.

- Oj, to chyba niedobrze. I ty też jesteś w to umoczony.

- Po same uszy.

- Czy Bailey to wdowa po Jamesie Manville'u? - podpytał dyskretnie Rick.

- Tak

- No! to ładnie. Gliny jej też szukają. Oczywiście powiedziałem im, że nigdy w życiu nie widziałem tej kobiety, ale pokazali mi zdjęcie, a ja...

- A ty co? - podchwycił Matt.

- A ja dopiero teraz wszystko zrozumiałem. Patsy też pokazywali to zdjęcie, ale nic im nie powiedziała. Dopiero kiedy gliniarze zabrali Alexa i pojechali, oświadczyła mi: „Muszę zobaczyć się z Janice”. A trzeba ci wiedzieć, że wymówiła jej imię po raz pierwszy od kilkunastu lat, więc w pierwszej chwili pomyślałem sobie, że może dzięki temu przynajmniej się pogodzą, ale...

- Czy ona domyśliła się, że Lillian Manville i Bailey to jedna i ta sama osoba? - wszedł mu w słowo Matt.

- Sądzę, że tak. A gdzie wy teraz jesteście?

- W Sarasota. Chcemy...

- Na Florydzie? - Tym razem Rick nie dał bratu dokończyć. - Chryste, denatka też tam mieszkała! Chcesz powiedzieć, że w czasie, kiedy ją zamordowano, przebywaliście w tym samym stanie? Czy Bailey mogła mieć powód, zęby załatwić siostrzyczkę?

- Myślisz, że nienawiść i kupa szmalu to wystarczające powody? . . . . .

- To znaczy - Rick zniżył głos do szeptu - ze ciebie i Bailey mogą oskarżyć o współudział w tym zabójstwie?

- Myślę, że to nie tylko możliwe, ale wysoce prawdopodobne. .

- Matt... - zaczął Rick takim tonem jak kiedyś, gdy był jeszcze dzieckiem i prosił starszego brata o pomoc i ochronę.

- Nie bój się - uspokoił go Matt. - Staraj się tylko jak naj-

mniej o tym mówić. Bailey i ja wylatujemy stąd dziś rano, bo musimy koniecznie zobaczyć się z pewną osobą. Ona może dostarczyć nam cennych informacji o tych morderstwach.

- Morderstwach? - Rick podniósł głos. - To znaczy, że było ich więcej?

- Później ci wszystko wytłumaczę. Na razie słuchaj: wyłączę teraz komórkę, możesz więc podać numer gliniarzom. Powiesz im, że nie mówiłem ci, dokąd wyjeżdżamy ani z kim się chcemy widzieć. To zresztą będzie prawda. Nie wiesz o niczym i tyle!

- Dobra - bąknął Rick zalęknionym głosikiem sześciolatniego chłopca. - Ale czego wdowa po takim Manville'u mogła szukać u nas w Calburn? Po co...

- Muszę już jechać - przerwał mu szorstko Matt. Nacisnął przycisk kończący rozmowę, a drugim przyciskiem, z boku aparatu, wyłączył go całkiem.

Zatrzymał się jeszcze na chwilę w łazience, aby ochłonać. Nie miał dotychczas do czynienia z zabójstwami, mało więc brakowało, a wpadłby w panikę. Wmawiał sobie jednak, że musi zachować zimną krew, aby móc trzeźwo myśleć o tym, co ma teraz zrobić. Może powinni z Bailey wracać do Calburn? Tak, ale to przecież oni wysłali do Dolores Alexa, który jest niepełnoletni, mogą więc zostać oskarżeni o współudział w zbrodni.

Gdy po kilku minutach wyszedł z łazienki - Bailey czekała już na niego, siedząc w łóżku.

- Co się stało? - spytała, patrząc na niego z powagą.

Matt przez chwilę bił się z myślami, czy powiedzieć jej prawdę, czy nie, ale zdecydował, że Bailey jest przecież dorosłą kobietą i nie ma sensu jej okłamywać.

- Twoja siostra została zamordowana, a jako podejrzanego zatrzymano Alexa - wypalił jednym tchem. - Policja poszukuje także nas obojga, musimy więc natychmiast stąd wyjechać!

Bailey niedowierzająco mrugała oczami, więc zaczęła z innej beczki:

- Ile masz przy sobie gotówki?
- Chyba około stowy. A bo co?

Widział, że usilnie próbuje to wszystko sobie poukładać, więc cierpliwie tłumaczył:

- Będziemy musieli jechać do Atlanty samochodem, a za tankowanie płacić gotówką, bo gdybyśmy używali kart kredytowych - od razu nas namierzą.

Bailey nie zmieniła wyrazu twarzy, tylko kurczowo mięła w palcach kapę na łóżku.

- Czy nie powinniśmy raczej wracać do Calburn i próbować ratować Alexa? - myślała głośno. - Po co właściwie mamy jechać do tej Atlanty? Co jakaś sklerotyczna staruszka może nam powiedzieć i w czym to pomoże Alexowi?

- Nie mam pojęcia - wyznał szczerze Matt. - Jeśli jednak Manville ufał tej kobiecie na tyle, że jej powierzył dowód ważności swojego ślubu, to może w zaufaniu przekazał jej więcej cennych informacji. Zresztą masz lepszy pomysł, jak można tu pomóc?

- Nie, ale biedny Alex na pewno jest ciężko przestraszony, a moja siostra...

Matt złapał Bailey za rękę i wyciągnął z łóżka.

- Płakać będziesz potem. Będziesz mogła nawet zupełnie się rozkleić, ja pewnie zresztą też. Ale po wszystkim! Na razie musisz się ubrać, spakować manatki i w drogę!

Dwadzieścia minut później siedzieli już w wynajętym samochodzie, ale Matt jeszcze nie uruchomił silnika.

- Muszę coś sprawdzić - powiedział i wysiadł. Podszedł do bankomatu na zewnętrznej ścianie sąsiadującego z hotelem banku. Włożył kartę i nacisnął kilka przycisków, wprowadzając swój kod. Po chwili wrócił, wsiadł z powrotem do samochodu i włączył silnik.

- Zablokowali już moje konto - wyjaśnił.

Bailey tylko kiwnęła głową i zapięła pas bezpieczeństwa.

Okazało się, że Martha McCallum miała dopiero osiemdziesiąt lat, czyli mniej, niż się spodziewali. Bailey i Matt przyjechali do Atlanty późnym popołudniem, kiedy w domu opieki nie przyjmowano już odwiedzających, musieli więc spędzić dziewięć godzin w samochodzie. Nie mogli zatrzymać się w motelu, bo gotówkę w większości wydali na żywność i paliwo. Matt zjechał na boczną drogę gruntową, gdzie zjedli na kolację resztki chleba i sera, popijając to wodą mineralną. Po zachodzie słońca skulili się oboje na tylnym siedzeniu i próbowali zasnąć.

- Zabierz nogę! - prosiła Bailey.

- Może któreś z nas powinno położyć się z przodu? - rozważał Matt, usuwając nogę z miejsca, w którym przeszkadzała. - Albo niech jedno śpi na dworze. Jak pionierzy na Dzikim Zachodzie.

- Nie wiem, co lepsze: robactwo czy drązek zmiany biegów? - zastanawiała się Bailey. Matt z uśmiechem przyciągnął ją do siebie. Cieszył się, że zaczyna jej wracać poczucie humoru, bo przez pierwsze trzy godziny jazdy płakała tak, że zwątpił, czy kiedykolwiek jeszcze będzie w stanie się uśmiechnąć.

Następnego dnia o dziewiątej rano czekali już w hallu domu opieki. Przedtem w toalecie najbliższej stacji obsługi samochodów zdążyli się jako tako umyć i doprowadzić do porządku.

Placówka, w której przebywała Martha McCallum, różniła się znacznie od domu starców, gdzie odwiedzili Burgessa. Tamten obiekt był czysty i urządzony funkcjonalnie, a nawet przytulnie. W tym natomiast pensjonariuszom stworzono wręcz luksusowe warunki. Patrząc na podwójny ciąg spiralnych schodów, Bailey nie mogła się powstrzymać od uwagi:

- A ja myślałam, że Jankesi spalili ten pałac w czasie wojny secesyjnej!

- Pani McCallum oczekuje państwa - zaprosiła ich tymczasem recepcjonistka, ubrana w kostium z pierwszorzędnego magazynu mody.

- Myślisz, że Manville zapłacił za to wszystko? - szepnął Matt na ucho Bailey. Postanowiła zaraz to sprawdzić.

- Przepraszam, do kogo należy ta placówka? - zwróciła się do sympatycznej damy.

- Znajduje się pod zarządem jednej ze spółek świętej pamięci Jamesa Manville'a - odpowiedziała z uśmiechem, wskazując im wejście do apartamentu. Mijając w drzwiach Matta, Bailey uniosła brwi, co miało oznaczać: „A widzisz?”

Apartament Marthy McCallum nosił wyraźny ślad ręki zawodowego projektanta wewnątrz. Urządzony był we francuskim stylu rustykalnym i umeblowany prawdziwymi antykami.

- No, proszę, Lillian! W końcu do mnie trafiłaś - dobiegł głos z rzeźbionego, wyściełanego fotela.

Bailey odwróciła się w tamtą stronę i zobaczyła drobną, szczupłą kobietę w nienagannie odprasowanej jedwabnej szmizjerce. Starsza dama miała w uszach dyskretne złote kolczyki, na szyi skromny sznurek pereł, a przeguby jej rąk zdobił mały złoty zegareczek i złota bransoletka. Sukienka miała prosty krój, ale musiała kosztować majątek. Wszystko zresztą, co ta kobieta miała na sobie, było zrobione z najlepszych materiałów. Prawie nie widać było zmarszczek na jej twarzy, a gęste srebrzyste włosy szesała do tyłu i upięła w koczek, po czym obwiązała go apaszką od Hermesa. Bailey zastanawiała się, czy ten sam chirurg, który zoperował wargę Jimmiego, mógł wykonać także lifting twarzy jego babki.

- Tak - odpowiedziała głośno, siadając na kanapie, którą starsza pani wskazała gestem.

- A kim jest ten przystojny młody człowiek?

- To Matthew Longacre - przedstawiła go Bailey. Lokatorka apartamentu wyciągnęła do niego rękę, którą uściśniła, zanim usiadł. Bailey zainicjowała rozmowę:

- Pani ma tę przewagę, że wie wszystko o mnie, podczas

gdy ja nigdy o pani nie słyszałam. Nie chciałabym być niegrzeczna, ale dla nas obecnie droga jest każda chwila, musimy więc jak najszybciej dowiedzieć się wszystkiego, co pani wie.

- Rozumiem, oczywiście - Martha uniosła wymanikiowaną rękę. - Słyszałam o twojej siostrze dziś rano. Współczuję ci, kochanie, ale ona chyba nie była dla ciebie najlepszą siostrą, prawda? Luke jej nie znosił... Przepraszam cię, ale nie potrafię mówić o nim inaczej niż Luke.

- A co Jimmie... to znaczy mój mąż... pani mówi? - spytała Bailey

- Wszystko. No, powiedzmy, prawie wszystko - bo o interesach nigdy ze mną nie rozmawiał - ale opowiadał mi o tobie, Evie i Ralfie, a także o tym, jak twoja siostra wyłudzała od niego pieniądze...

- Moja siostra? Jak...

- Pan wie, prawda? - Martha spojrzała badawczo na Matta. - Nie od razu skojarzyłam, ale to przecież pan nasłtał tego uroczego chłopca na Dolores, żeby wyostał od niej świstek z zezwoleniem na ślub. O mały nie dostałam zawału, kiedy przeczytałam, że ten chłopak to jeden z synów Roddy'ego. Wyciągnął od Dolores to wszystko, co pan chciał?

- Myślę, że tak. - Matt rozmyślnie zignorował karcące spojrzenie Bailey. Dopiero teraz dotarło do niej, że Alex powiedział mu znacznie więcej, niż Matt potem jej powtórzył.

- Więc już pan wie o samochodzie, na który naciągnęła Luke'a, o jej rocznych apanażach i wielu podobnych sprawach?

- Tak, wiem o wszystkim - odpowiedział, unikając wzroku Bailey.

- A ile z tego powiedział tobie, Lillian?

- Widzę, że bardzo niewiele - przyznała, sznurując usta.

- Wiesz, kochanie, mężczyźni zawsze starają się nas chronić - uśmiechnęła się Martha. - Przy okazji, widzę, że dałaś sobie zoperować nos i zrzuciłaś to całe sądło, które tak się podobało Luke'owi?

- Tak, a pani kto pomógł? Ten sam lekarz, co Jimmiemu?



Martha uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając prawdziwe arcydzieło sztuki dentystycznej.

- Tak, ten sam. Wiedział, że musi trzymać język za zębami.

- A skąd Jimmie wziął pieniądze na te wszystkie zabiegi? - chciała wiedzieć Bailey. Martha nieco się zawahała z odpowiedzią.

- Powiedzmy, że niespodziewanie stałam się właścicielką dużej sumy i przekazałam te pieniądze Luke'owi, by zrobił z nimi, co zechce. Trzeba przyznać, że spożytkował je mądrze - uśmiechnęła się. - Dał sobie zoperować wargę, a resztę ulokował tak, że przyniosła mu miliardowe zyski.

Na jej twarzy odmalował się wyraz dumy. Matt odczekał chwilę i zmienił temat:

- Ma pani ten kwit z zezwoleniem na ślub, podpisany przez matkę Lillian? - spytał.

- Tak - potwierdziła Martha, spoglądając na Bailey. - Luke panicznie się bał, że zechcesz go opuścić. Wiedziałaś o tym?

- Tak - wyszeptwała Bailey, czując łzy nabiegające jej do oczu. - Chyba to go właśnie zabiło.

Nie spuszczała przy tym oczu z Marthy, więc nie zauważyła karcącego spojrzenia Matta.

- Ależ nic podobnego! - zaprzeczyła stanowczo sędziwa dama, a kiedy Bailey próbowała oponować, powstrzymała ją gestem uniesionej ręki. - Tylko nie mów mi, że nie znam wszystkich okoliczności jego śmierci, bo je znam. Na trzy dni przed katastrofą Luke zadzwonił do mnie i zwierzył mi się, że zażądał rozvodu.

Matt na wszelki wypadek ścisnął Bailey mocno za rękę.

- Ale wiesz, że go to wcale nie zmartwiło? - relacjonowała dalej Martha. - Był raczej ożywiony.

- Czy to ma znaczyć, że chciał tego rozvodu? - zdziwiła się Bailey.

- Nie, ale cieszył się, że nareszcie odważyłaś się stanąć mu okoniem. Zwykle narzekał, że nie kochasz go na tyle, aby być o niego zazdrosna.

Teraz Bailey nie mogła już dłużej usiedzieć na miejscu. Podeszła do okna, z którego roztaczał się piękny widok na ogrody wokół domu, a potem znowu odwróciła się w stronę Marthy.

- To on myślał, że nie byłam zazdrosna o te wszystkie piękne, zgrabne kobiety, które go otaczały? - pytała ze zdumieniem.

- One nic dla niego nie znaczyły - odrzekła spokojnie Martha.

- Dla niego może nic, ale dla mnie dużo! - wykrzyknęła Bailey, po czym spokojniej już dodała: - Ciekawe, czy byłby skłonny dać mi rozwód.

- Ależ skąd, liczył raczej, że cię prześlaga. Uważał, że jest ci coś winien. Wiesz, dokąd leciał tym samolotem, który się rozbił?

- Pewnie w interesach. Jimmie często wizytował swoje posiadłości, nawet takie jak ta. - To ostatnie dodała ściszym głosem.

- Czy to nie cudowne? - uśmiechnęła się Martha. - Kiedy Luke mieszkał ze mną w tej okropnej, starej chałupie, bawiliśmy się w wymyślanie historyjek, co kupilibyśmy, gdyby do nas należały wszystkie skarby świata. Mieliśmy tam przecie telewizor, Frank sprowadzał nam książki i gazety, toteż wiedzieliśmy, co można kupić, chociaż nie było nas na to stać.

- I czego sobie życzyliście? - zaciekawiał się Matt.

- Ja marzyłam o tym, co ułatwia ludziom życie, choćby o domu z normalną łazienką, ale Luke chciał dostać na własność cały świat, żeby go potem podarować mnie i tatusiowi. Uwielbiał swojego ojca.

- Dokąd wybierał się Jimmie tego dnia, kiedy zginął? - Bailey z uporem drażyła poprzedni temat.

- Naprawdę nie wiesz? Nie wspomniał ci ani słowem?

- Nie wiem, bo przeżywałam wtedy ciężki okres. Miałam dość tego snucia się bez celu po kątach, gości Jimmiego, którzy patrzyli na mnie z góry, no i tych jego kobiet! - Ostatnie słowa wypowiedziała z wyraźną złością.

- A czy było wtedy coś takiego, czego pragnęłaś ponad wszystko? - zadała pytanie Martha.

- Nnn... nie wiem... - bąkała, zaskoczona.

- To może pan wie, czego jej trzeba? - Martha spojrzała na Matta.

- Dzieci - odpowiedział bez wahania. - Rozpływa się nad każdym dzidziusiem, którego widzi.

- Ależ nic takiego nie robię! - zaprotestowała ze zdziwieniem Bailey.

- Jak to, a co było, kiedy zobaczyłaś te bliźniaki w spożywczym?

- To co innego. Te maleństwa były wyjątkowo słodkie! - odparowała Bailey. Chciała dyskutować dalej, ale Martha jej przerwała.

- Tak i mnie się wydawało. Luke nie chciał mieć własnych dzieci, żeby nie odziedziczyły po nim zajęczej wargi, załatwił więc adopcję.

Bailey z wrażenia aż usiadła na kanapie obok Matta.

- Adopcję? - wyszeptała.

- Tak, przecież wiesz, jaki był Luke. Potrafił to zorganizować w ciągu kilku dni. Leciał tym samolotem, żeby przywieźć dziecko, chciał zrobić ci niespodziankę.

- Pewnie wsadziłybyje do pudełka i przewiązał wstążką! - ironizował Matt.

- Możliwe, to byłoby całkiem w stylu Luke'a - stwierdziła całkiem poważnie Martha, przyglądając się, jak Bailey przyjmuje tę nowinę. Potem zwróciła się bezpośrednio do niej: - Kiedy zwróciłam mu uwagę, że powinien traktować cię poważnie i podjąć tę decyzję wspólnie z tobą, odpowiedział: „Piegusek jest zanadto uczuciowy. Najchętniej zaadoptowałaby cały sierociniec, a ja jestem zbyt wielkim egoistą, żeby dzielić jej serce z więcej niż jedną sierotką. Przywiozę jej śliczną dziewczynkę, blondyneczkę z niebieskimi oczkami!"

- To było rzeczywiście do niego podobne - przyznała Bailey, tłumiąc łzy. Przez tyle miesięcy aż do tej chwili gnębiły

ją wyrzuty sumienia, że popchnęła Jimmiego do samobójstwa swoim żądaniem rozwodu. Tymczasem okazało się, że niepotrzebnie się tym zadęczała!

- Lepiej ci teraz? - zagadnęła Martha.

Bailey nie była w stanie wykrztusić ani słowa przez ściśnięte gardło, lecz energicznie kiwnęła głową. Jasne, że poczuła ulgę, bo spadł jej z serca największy kamień, jaki jej kiedykolwiek ciążył.

Martha gestem wskazała Mattowi, aby podał Bailey chusteczkę z eleganckiej szkatułki z drzewa klonowego, inkrustowanego orzechem. Bailey wzięła chusteczkę z jego rąk i wydmuchała nos.

- Więc to naprawdę był wypadek? - upewniała się.

- Ależ skąd! - zaprzeczyła żywo Martha. - Eva i Ralph sfingowali wypadek, bo chcieli go załatwić.

Bailey zatrzymała rękę z chusteczką w powietrzu, a Martha powiodła wzrokiem od niej do Matta.

- To znaczy Atlanta i Ray? - upewnił się Matt.

- Takie imiona przybrali, ale naprawdę nazywają się Eva i Ralph.

- Turnbull, nie Manville ani McCallum?

- Uchowaj Boże! - odzębnała się Martha. - Ci mordercy nie są żadnymi krewnymi ani moimi, ani mojego syna, a tym mniej Luke'a.

Bailey i Matt potrzebowali kilka chwil, by przetrwać tę informację.

- Rzeczywiście, Philip też podejrzewał, że oni wcale nie są spokrewnieni z Jimmiem - przypomniała sobie Bailey.

- Czyżby go szantażowali? - uzupełnił Matt.

- Owszem, grozili Luke'owi, że jeśli nie uzna ich za swoje rodzeństwo i nie zapisze majątku - ogłoszą całemu światu, jak naprawdę wyglądało jego dzieciństwo w Calburn. A Luke najbardziej obawiał się ludzkiej... - spojrzała pytająco na Bailey, oczekując, że dokończy zdanie.

- ...litości - odpowiedziała Bailey. — Jimmie nie znośił, kiedy ktoś mu współczuł.

- Zgadłaś.

- Ale to jeszcze nie wszystko, prawda? - dodał Matt. - Bailey kiedyś wspominała o jakichś „morderstwach nazywanych samobójstwami”. Czy on miał na myśli śmierć swego ojca?

Martha na chwilę odwróciła się do okna, potem na powrót do Bailey.

- Nie wiem, czy powinnam wam to powiedzieć - zaczęła. - Może byłoby lepiej, żeby Luke zabrał tę tajemnicę ze sobą do grobu? Dołożył tyle starań i pieniędzy, by ukryć przed światem prawdę o swoim dzieciństwie...

Umilkła, walcząc z napływającymi do oczu łzami, ale zaraz przypomniała sobie coś innego.

- Kiedy dowiedziałam się o śmierci Luke'a z telewizji - nikt mnie nie powiadomił, bo przecież nikt nie wiedział o moim istnieniu - od razu zrozumiałam, że to oni go zabili. Luke wielu ludziom działał na nerwy.

- Też mu to nieraz mówiłam - zgodziła się z nią Bailey. - Jimmie potrafił dotknąć człowieka do żywego.

- A mało to razy inni jemu dopiekali do żywego? On po prostu nie umiał inaczej. - Martha stanęła w obronie wnuka. - Eva i Ralph musieli przekupić kogoś w otoczeniu Luke'a kto donosił im o każdym jego kroku. Odkąd dowiedzieli się o jego planach adopcji dziecka, postanowili za wszelką cenę do tego nie dopuścić.

- Pewnie, przecież wtedy Luke miałby dziedzica - domyślił się Matt.

- Właśnie. - Dalszy ciąg przemowy Martha skierowała do Bailey. - Na pogrzebie waszej matki twoja siostra zorientowała się, że nie wiesz, czy Luke otrzymał jej zgodę na twój ślub, a to oznaczało, że nie wierzyłaś w moc prawną tego ślubu. Jak mogłaś przypuszczać, że Luke przeoczyłby coś tak ważnego?

- Kiedy brałam ślub z Jimmiem, nie zastanawiałam się nad jego mocą prawną - broniła się Bailey.

- Czyżby Atlanta, Ray i Dolores działali razem? - wtrącił się Matt.

- Nie przypuszczam. Dolores nie pasowałaby do nich. Ona po prostu miała za długi język. Przykro mi, kochanie, ale wystarczyło poruszyć temat jej młodszej siostry, aby wygadała wszystko, co miała na wątrobie.

- Faktycznie, Alexowi powiedziała o istnieniu podpisanego dokumentu już po jednym dniu znajomości - przypomniał Matt.

- I to kosztowało ją życie - skojarzyła fakty Martha.

- Sądzi pani, że zamordowali ją Atlanta i Ray?

- Oczywiście, tak samo jak Luke'a i jego adwokata. Po śmierci Luke'a milczałam, bo chciałam utrzymać w tajemniczego dzieciństwo. Trudniej już było dochować tajemnicy po śmierci tego prawnika, bo osierocił dwoje małych dzieci. A propos, jak sobie radzi jego żona?

- Ciężko to zniosła - odpowiedziała Bailey.

- Rzeczywiście, Luke opowiadał mi, jakie to było dobre małżeństwo.

- Ciągłe pani mówi: „Luke powiedział...”, „Luke opowiadał...” - zwróciła uwagę Bailey. - Czy to znaczy, że on do pani dzwonił?

W tym momencie poczuła lekkie ukłucie zazdrości, gdyż dawno już pogodziła się z faktem, że Jimmie sypiał z wieloma kobietami, ale wierzyła święcie, że nie rozmawiał z żadną oprócz niej!

Martha z uśmiechem wskazała na kredens po przeciwnej stronie pokoju. Był to elegancki mebel z sosnowego drewna, który według Bailey musiał kosztować co najmniej sto tysięcy dolarów. Starsza pani otworzyła go, odsłaniając półki wypełnione rzędami puzderek obciążonych brzoskwiowym jedwabiem. Każda skrzyneczka była opatrzona mosiężną tabliczką z datami, z których wynikało, że zawiera dane za okres sześciu miesięcy.

- Proszę, otwórz je - zachęciła Martha.

Bailey wzięła więc do ręki jedno z puzderek, zdjęła pokrywkę i znalazła w środku schludnie ułożone listy w zielonych kopertach, oznaczonych monogramami Jimmiego.

- Co tydzień, począwszy od lipca 1978 roku, przysyłał mi list i zdjęcie. Równocześnie pilnował, żebym zawsze miała odpowiedni stan konta. A tak naprawdę Luke urodził się nie w 1959, tylko w 1954. Po operacji był tak dumny ze swojej nowej twarzy, że przy okazji odjął sobie kilka lat.

Bailey otworzyła jeden z listów i przeczytała jego treść:

*Dziś wróciłem późno do domu i Piegusek był na mnie zły, ale ja już wiem, jak poprawić jej humor. Podczas mojej nieobecności schudła o dwa kilo, więc kazałem kucharzowi upiec tort czekoladowy, bo taki najbardziej lubi. Wiem, że nie powinienem tak jej tuczyć, ale kochanego ciątka nigdy nie za dużo, zwłaszcza kiedy należy tylko do mnie.*

Złożyła list w kostkę i wsunęła z powrotem do koperty. Nie mogła się przy tym powstrzymać, żeby nie spojrzeć na załączone zdjęcie. Przedstawiało ją na tle patia ich domu w Antigua, w otoczeniu roześmianych gości z drinkami w dłoniach. Widać jednak było, że czuje się w tym tłumie samotna i nieszczęśliwa. Czy mogła się dziwić, że inni uczestnicy przyjęcia nie odnosili się do niej z sympatią?

Dla kontrastu: kiedy spjrzała w drugi koniec pokoju, patrząc na Matta, uświadomiła sobie, że teraz jest o wiele szczęśliwsza. Odłożyła więc zdjęcie z powrotem do koperty, kopertę do pudełka, pudełko na swoje miejsce i zdecydowanym ruchem zamknęła drzwiczki kredensu. Tym sposobem definitywnie zamknęła pewien rozdział w swoim życiu. Chwała Bogu, że James Manville nie zabił się z powodu jej żądań rozwodowych.

- Jak możemy dowieść, że to Atlanta i Ray zabili Jimmiego? - spytała.

- Owszem, mam na to dowody - obwieściła triumfalnie Martha, z uśmiechem patrząc na zdziwione miny Bailey i Matta. - Miałam masę czasu, a dzięki hojności Luke'a - także nieograniczone fundusze, toteż gdy reszta świata wieszkała psy na tobie, ja tymczasem wynajęłam prywatnych detektywów.

- Co mieli wykryć? - spytał ostro Matt.
- To między innymi, kto przebywał w pobliżu samolotu, którym miał lecieć Luke, w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin przed startem. Inną grupę ludzi wysłałam w góry, by odszukali szczątki rozbitego samolotu Luke'a i znieśli je stamtąd co do najmniejszego okruszka.
- Sądziłam, że policja je zabezpieczyła, bo jeśli chodzi o ciało Jimmiego... - zaczęła Bailey.
- Owszem, policja dokonała wizji lokalnej na miejscu katastrofy, ale przeszukali je powierzchownie, oparli się bowiem na zeznaniach dwóch młodych ludzi, którzy jakoby błagali Luke'a, żeby nie leciał tym samolotem. Twierdzili, że uprzedzali go o niesprawności maszyny
- To niemożliwe! - zaprzeczyła Bailey. - Byłabym w stanie uwierzyć, że Jimmie w przypływie desperacji celowo rąbnął w szczyt górski, gdyż byłaby to jego świadoma decyzja. Natomiast w życiu nie wsiadłby na pokład samolotu, którego sprawności nie byłby stuprocentowo pewien. Zawsze mówił, że nie pozwoli, aby jakaś bezduszna maszyna decydowała o jego życiu lub śmierci.
- Dokładnie to samo pomyślałam - zgodziła się z nią Martha, z błyskiem radosnego podniecenia w oczach. - Głowę bym dała, że Atlanta i Ray przekupili tych dwóch chłopaków, toteż gdy oczy całego świata zwrócone były na ciebie - ja po cichu prowadziłam własne, prywatne śledztwo.
- I wpadła pani na trop sabotażu?
- Tak, to było bardzo proste. Wystarczyło uszkodzić przewód paliwowy, żeby Luke'owi w powietrzu zabrakło benzyny.
- Jeżeli nawet znalazła pani uszkodzony przewód paliwowy - wyraził swoje wątpliwości Matt - to czy nie mógł on pęknąć przy upadku maszyny?
- Oczywiście, mógł, ale sęk w tym, że nie znaleźliśmy w ogóle żadnego przewodu, ani całego, ani pękniętego.
- No więc jak... - zaczęła Bailey, lecz nagle ją olśniło. - Zaraz, przecież on musiał mieć czarną skrzynkę na pokładzie!



- No i miał - uśmiechnęła się Martha.

Bailey zwróciła się do Matta:

- Rzeczywiście, zupełnie zapomniałam! Kiedyś z Jimmiejem oglądaliśmy wiadomości w telewizji, gdy pokazano skutki katastrofy jakiegoś samolotu. Reporter mówił coś o czarnej skrzynce, która zarejestrowała rozmowę pilotów, a Jimmie od razu podchwycił, że też musi coś takiego założyć w swoim samolocie, żeby w razie czego móc... - Urwała.

- ...móc powiedzieć ci, że cię kocha, zanim runie na ziemię - dokończyła ściszym głosem Martha. - Tak, napisał mi, że ci to powiedział. Zamontował to urządzenie w tajemniczy, tak jak robił wiele innych rzeczy.

- I ludzie wysłani przez panią znaleźli skrzynkę, bo wiedzieli, czego mają szukać! - dokończył Matt.

- Zgadza się - przytaknęła Martha. - Luke spędził ostatnie chwile życia, próbując bezpiecznie sprowadzić samolot do lądowania, a przy tym przez cały czas komentował, co robi, i jego słowa zostały nagrane. Taśma zarejestrowała, jaka awaria nastąpiła w samolocie, kogo widział na lotnisku i jakie dowody przemawiają za tym, że Eva i Ralph - jak ich nazywał - zaplanowali zamach na jego życie.

- Ale pani nie przekazała policji tych informacji, prawda? - stwierdził Matt.

- Nie, ponieważ Luke mnie prosił, abym ujawniła je tylko w przypadku, gdyby coś zagrażało jego najdroższej Lillian. „Już ona do ciebie trafi - nagrał na taśmie, zanim samolot zaczął wytracać wysokość. - Kiedy ją zobaczysz, powiedz jej, że ją kocham”. To były jego ostatnie słowa.

Bailey przez chwilę patrzyła w inną stronę, a kiedy znów zwróciła się do Marthy - zażądała:

- Chcę usłyszeć całą tę historię - od początku do końca! Muszę dowiedzieć się prawdy o tych rzekomych samobójstwach, które w gruncie rzeczy były morderstwami.

- Nie jestem pewna, kiedy zaczęło się najgorsze - rozpa-  
miętywała Martha, nalewając herbatę ze srebrnego czajnicz-  
ka. - Czy wszystkiemu winna była Vonda, czy ta Turnbull,  
czy może to, że Frank stracił władzę w ramieniu...

Przed chwilą zamówiła do pokoju „poranną herbatkę”, ale  
to, co podano pod tą nazwą, z trudem mieściło się na stoliku  
na kółkach. W skład „skromnego śniadanka” wchodziły pa-  
rówki we francuskim cieście, jajka w trzech wersjach, pomi-  
dory z grilla i tyle gorących bułeczek, że starczyłoby na uru-  
chomienie piekarni.

Matt i Bailey wytrzymali mniej więcej pół minuty, żeby  
nie uchodzić za obżartuchów, ale dłużej nie potrafili ukry-  
wać głodu i łapczywie rzucili się na posiłek.

- Ta Turnbull była poprzednią właścicielką mojej farmy -  
oznajmiła Bailey z pełnymi ustami. - Jej mąż tak lubił robić  
przetwory...

- Zgadza się. - Martha patrzyła, jak pochłaniają dostar-  
czone produkty, ale przez grzeczność nie zapytała, kiedy  
ostatni raz jedli. - Hilda była dosyć skryta i mało komu się  
zwierzała, ale krążyły plotki, że w młodym wieku wyszła za  
mąż za zgrzybiałego starca z kupą szmalu. Z tego, co słysha-  
łam, pewnie liczyła, że dziadek szybko wykituje, a to wszyst-  
ko dostanie się jej.

- Chwileczkę - przerwał Matt. - Powiedziała pani, że sły-  
szała o tym, więc gdzie pani wtedy była?

- I gdzie był Jimmie? - dodała Bailey.

Martha nabrała do płuc dużo powietrza i wypaliła:

- Luke i ja mieszkaliśmy sami w górskim szałasie. Kiedy  
Luke był mały, Frank czasem zabierał go do miasta, ale prze-  
stał, bo ludzie strasznie gapili się na dzieciaka. Zostawiał go  
ze mną, a odwiedzał nas tylko w weekendy.

- Dlaczego więc pani nie dała mu zoperować tej wargi?

Martha nie od razu udzieliła odpowiedzi.

- Boję się, że jeśli ci powiem, znenawidzisz mojego syna, a zatem i mnie.

- Może i tak - pokiwała głową Bailey. - Jest jednak tyle ludzi, którzy bardziej zasługują na moją nienawiść, że pani i Frank znaleźliby się na końcu listy.

Martha i Matt skwitowali tę wypowiedź śmiechem, ale starsza pani wbiła w Bailey przenikliwy wzrok.

- Myślałam nad tym całe lata i doszłam do wniosku, że wszystko sprowadza się do miłości. Komu jak komu - ale tobie chyba nie muszę wyjaśniać, jak ciężko Luke'owi przychodziło kogoś pokochać. Dlatego Franka i mnie głównie je go miłość trzymała przy życiu. Czy coś z tego rozumiesz?

- Rozumiem, że ta jego miłość was przytłaczała, ale nie mogliście się bez niej obejść, prawda?

- Owszem, ale ja nie byłam tu bez winy. - Martha prze-rwała na chwilę, aby rozejrzeć się po pokoju. Niech Bóg mi wybaczy, ale bałam się, że Luke odszedłby ode mnie gdyby zyskał normalny wygląd. A co ja bym wtedy poczęła? Byłam biedną wdową i poza Frankiem nie miałam innych dzieci. Wiedziałam przy tym, że gdyby Luke mnie opóścił, tyle widziałabym i Franka! Ta zdeformowana warga trzymała Luke'a przy mnie, jak w prawdziwej rodzinie.

Matt przyglądał się, jak Martha, mówiąc to, nerwowo po-cierała jedną rękę drugą. Widać ciążyło jej brzemię krzywdy, jakie rzuciła na wnuka. Aby zmienić temat, zapytał.

- A co dotego ma Hilda Turnbull?

- Widziałam ją tylko raz - przypomniała sobie Martha usiłując się opanować. - Była drobna, chuda i miała prze-nikliwe spojrzenie.

Zdawała się tracić wątek, Bailey więc postanowiła jej po-móc.

Czy ten jej stary mąż w końcu umarł? - podsunęła

- Tak, ale dopiero gdy ona miała już około czterdziestki i dwoje dzieci - odpowiedziała Martha, wyraźnie odzyskując kontenans.

- Te dzieci - to Eva i Ralph?

- Tak.

- Więc dlaczego nikt w Calburn ich nie rozpoznał? Telewizja często ich pokazywała - wtrącił się Matt. - Nie znalazł się nikt, żeby krzyknąć: „Wolnego, przecież to dzieci Hildy Turnbull, a z Jamesem Manville'em mają tyle wspólnego, co każdy z nas!”

- Ludzie w Calburn prawie ich nie widywali - wyjaśniła Martha z uśmiechem. - Hilda wysyłała oboje do szkół z internatem, a w lecie - na obozy. Zresztą kto zwracał uwagę na dwójkę leniwych, niezbyt rozgarniętych maślaków? Luke napisał mi kiedyś, że w szkole, do której chodzili, spaliły się dwa budynki. Był pewien, że zrobił to Ralph, ale nikt nawet nie podejrzewał takiego...

- ...zera - dokończyła Bailey. - Na oko nie potrafił zliczyć do trzech, ale miał w sobie coś takiego, że ciarki człowieka przenikały od samego patrzenia. Działał zawsze w porozumieniu z Atlantą. Ilekroć przyjeżdżali do nas, ona zwykle coś tłukła dla odwrócenia naszej uwagi, a tymczasem jakiś cenny drobiazg lądował w rękawie Raya. Nie byłam pewna, czy Jimmie to widział, a głupio mi było oskarżać jego brata o kradzież. Od pewnego czasu jednak zauważyłam, że Jimmie zaczął kupować repliki ozdobnych szkatulek od Fabergego. Kiedy go spytałam, dlaczego wydaje pieniądze na takie kiczowate bibeloty, odpowiedział: „Oni i tak się na tym nie znają, niech więc kradną podroby!” Obśmialiśmy się wtedy jak norki.

- Mówmy lepiej o Hildzie - ponaglał Matt. Martha ponownie zabrała głos.

- Luke czasem opisywał mi różne zdarzenia... No, przynajmniej niektóre. Kiedyś na przykład wspomniał, że Hilda wyszła za Gusa, żeby zyskać darmowego robotnika. Po swoim zmarłym mężu odziedziczyła dwie farmy - jedną starą i zaniedbaną, gdzie mieszkali, i drugą, która była dawną posiadłością Hanleyów w Calburn. Praprababka jej męża była z domu Hanley. Po jego śmierci Gus nie chciał wyjeżdżać z miasteczka, w którym się wychował, oświadczył więc Hil-

dzie, że odchodzi, tym bardziej że oferowano mu dwie inne posady.

- I wtedy ona zaproponowała mu małżeństwo? — domyśliła się Bailey.

- Tak, wyszła za niego, ale nie chciała przyjąć jego nazwiska. On miał wtedy dwadzieścia osiem lat, a ona trzydzieści dziewięć. Fakt, że Gus nigdy nie grzeszył inteligencją, ale był świetnym kucharzem i urodzonym ogrodnikiem. Pod jego ręką wszystko rozkwitało. Luke mawiał, że gdyby Gus wetknął stalowy pręt w ziemię, wyrosłoby z tego drzewo! To coś podobnego jak z tobą - zwróciła się bezpośrednio do Bailey. - Luke mówił, że masz: taką samą rękę do hodowli roślin jak Gus, ale przy tym profesorską głowę!

- Przynajmniej raz zgadzam się z czymś, co powiedział Manville - poparł ją Matt, obejmując ramieniem Bailey, która się zarumieniła.

- Mówiono nam, że Hilda miała romans z żonatym mężczyzną - uzupełniła Bailey. - Czy to był Frank?

- Uchowaj Boże! To był Roddy.

- Powinnam była się tego domyślić - westchnęła Bailey. — Gdziekolwiek działo się coś złego, on musiał maczać w tym palce.

- Zgadza się, Roddy odgrywał w tym dużą rolę, bo koniecznie chciał dostać się do pieniędzy Hildy. Krażyły plotki, że miała grube tysiące schowane gdzieś w domu. Jednak największy problem stwarzał Gus, bo groził, że zabierze Luke'a od Franka. Może nie dosłownie, ale w 1968 Luke miał dopiero czternaście lat i nade wszystko pragnął towarzystwa.

- To mu zostało - dodała Bailey. - Zawsze bał się samotności.

- Czekaj, bo trochę się zaplątałam - przyznała Martha. - Nigdy nie byłam zbyt dobra w opowiadaniu historii. Musimy się cofnąć do 1966 roku, kiedy Frank się ożenił. A doszło do tego tak, że któregoś wieczoru wypił za dużo, a gdy się obudził - ujrzał przy swojej twarzy lufę strzelby. Z przerażeniem stwierdził, że jest nagi i leży w łóżku z równie nagą

małolatą. Nawet kiedy wytrzeźwiał, nie mógł sobie przypomnieć, czy już ją kiedyś w życiu widział, ale jej ojciec mierzył do niego ze strzelby i dawał mu do wyboru: albo ślub, albo grób. To cóż miał zrobić? Musiał z nią wziąć ślub!

- Nazywała się Vonda Oleksy. Frank od początku jej nie trawił, bo miał świadomość, że wmanewrowała go w ten związek. Oczywiście jej głupie koleżanki musiały mu powtórzyć, jak to Vonda jeszcze w wieku trzynastu lat zarzekała się, że wyjdzie z jednym z „Złotej Szóstki”. Frank wyciągnął stąd wniosek, że był jej potrzebny tylko jako tytuł do chwały, i rzeczywiście - ledwo się pobrali, przestała ją interesować. Okazała się tak głupia, leniwa i zła, że dawno rozwiodłby się z nią, gdyby nie miała ojca i czterech braci, i to jeszcze wredniejszych i głupszych niż ona. Zagrozili Frankowi, że jeśli wystąpi o rozwód, zabiją Luke'a albo mnie.

Martha zrobiła krótką przerwę, potem opowiadała dalej:

- Najgorsze w tym małżeństwie było to, że Frank stał się obiektem kpin całego Calburn. Ponieważ w chwili ślubu miał trzydzieści lat, a Vonda siedemnaście, wszyscy uważali go za starego świntucha, który poleciał na niewinną panienkę. Nie miała na to wpływu wersja rozpowszechniana przez Vondę. W ciągu jednego dnia Frank z ogólnie szanowanego obywatela stał się dla wszystkich pośmiewiskiem.

Mało tego, Vonda wydawała pieniądze o wiele szybciej, niż Frank był w stanie je zarabiać. Podczas gdy on pracował - ona szalała z zakupami, tak że co wieczór Frank zastawał w domu stertę nowych pudeł, ale zamiast obiadu na stole czekały na niego brudne naczynia od wczoraj leżące w zlewie. Przez całe lato jakoś próbował to wytrzymać, ale w końcu wysłał ją w góry do tego szałasu, gdzie mieszkaliśmy z Lukiem.

Martha wygięła usta w brzydkim grymasie, równie przykrym jak słowa, które następnie padły:

- Ta dziewczyna nienawidziła Luke'a! Frank uprzedzał, że Vonda potrafi być okrutna, ale szczerze próbowałam żyć z nią w zgodzie, dopóki po jakichś dwóch tygodniach nie dostrzegłam rozpaczony w oczach Luke'a. Początkowo nawet mi

się podobało, że przysiadła się do niego, kiedy wykonywał różne prace na dworze, na przykład rąbał drwa. Dopiero kiedy pewnego dnia schowałam się w krzakach - podsłuchiłam, co mówi do mojego wnuka.

Martha musiała dwa razy zaczerpnąć powietrza, aby móc kontynuować tę przerażającą opowieść:

- Wmawiała Luke'owi, że taka warga to diabelskie piętno, a chłopiec, który to ma, z pewnością musi być zły!

- Chyba była chora na głowę - stwierdził Matt.

- A pewnie! - zgodziła się Martha, spod oka przyglądając się Bailey. — Zapowiedziałam Frankowi, że nie mam zamiaru dłużej tego tolerować, a ponieważ kochał Luke'a - zabrał żonę do swego domu w mieście.

Sześć tygodni później Frank podobno przyszedł do pracy pijany i wtedy właśnie miał ten wypadek, wskutek którego stracił władzę w ramieniu. Tyle tylko... - Martha przez chwilę patrzyła gdzieś w przestrzeń - ...że widziałam Franka kilka godzin przed tym wypadkiem i przysięgłabym, że był trzeźwiutki- Mało tego, bardzo się z czegoś cieszył, choć nie chciał mi powiedzieć, z czego. Rzucił tylko: „Znalazłem już sposób na wyjście z kłopotów”, na co odpowiedziałam, że nie widzę innego wyjścia dla niego jak pozbyć się tej szurniętej dziewczuchy. On na to zaśmiał się tak, jak dawno już się nie śmiał.

Nie minęło kilka godzin, jak potracił go samochód i zmiądzzył mu rękę. Frank zeznał, że przypadkiem zostawił wóz na biegu, ale policjant napisał w protokole, że poczuł od niego whisky, i na tej podstawie określił go jako nietrzeźwego. Później, kiedy odwiedzałam go w szpitalu, powiedziałam mu otwarcie, że nie wierzę w tę jego nietrzeźwość. Według mnie to najstarszy brat Vondy potracił go samochodem, a Frank bał się powiedzieć policji prawdę w obawie, żeby mnie albo Luke'a nie spotkała krzywda. On jednak uparcie obstawał przy swojej wersji wydarzeń.

Martha znów zrobiła krótką przerwę w narracji.

- Oczywiście mój syn stracił pracę, a przez ten raport po-

licyjny nie dostał nawet odszkodowania za utratę zdrowia. Tymczasem ta przeklęta dziwka roztrwoniła albo rozdała swoim krewnym wszystkie jego oszczędności. Musiał więc sprzedać dom w mieście, by spłacić długi, w które go wpędziła. Ponownie wprowadził się z nią do naszej chałupy w górach. Przysięgał mi wprawdzie, że będzie pilnował swojej żony i wyprowadzi się natychmiast, kiedy tylko jego sytuacja się poprawi, ale się nie poprawiła. Frank próbował jedną ręką reperować silniki, a Vonda dostała pracę w Calburn jako kelnerka. Wkrótce doszło do tego, że Frank nie mógł się pokazać w mieście, bo podśmiewano się z niego za plecami, jak to jego żona się puszcza.

Martha przerwała i przez chwilę oglądała swoje paznokcie.

- Potem wszystko się zmieniło - potoczyła wokoło wyzywającym spojrzeniem. - Słuchajcie, ja wiem, że on źle postępował, ale to mój syn i kochałam go. Rozumiałam też, dlaczego to robił. Przez całe lata, jako jeden z tej przeklętej „Złotej Szóstki”, był uważany za bohatera, a potem z dnia na dzień ci sami ludzie, którzy przedtem klepali go po ramieniu i zabiegali o jego względy, zaczęli się z niego naśmiewać. Zyskał niewierną, choć o połowę młodszą od niego żonę, a utracił sprawność i zajęcie.

- Frank chyba już nie czuł się mężczyzną - wtrącił Matt, korzystając z przerwy w opowiadaniu Marthy. Ona jednak, nie zważając na to, ciągnęła dalej:

- To się zaczęło zupełnie przypadkowo, bo Gus Venters był mało rozcigniętym osiłkiem i nikt nie zwracał na niego specjalnej uwagi. Frank akurat był tego dnia w mieście i natknął się na Gusa, który przywiózł na sprzedaż trochę swoich przetworów. Nie wiem, co podkusiło Franka, że zrobił o nim jakąś złośliwą uwagę, a to strasznie rozśmieszyło jego kolegów. Po raz pierwszy od roku Frank przestał być obiektem żartów lub, co gorsza, litości.

Widać, że to mu odpowiadało, bo nieraz widziałam, jak śmieje się pod nosem przy naprawianiu silników. Domyślałam się, że układa nowe historyjki o Gusie, bo w końcu za-



czął specjalnie jeździć do miasta, aby się nimi popisywać. Znajomi podpuszczali go: „Słyszałeś jakieś nowe kawały o Gusie?”

Martha przymknęła oczy, aby nabrać sił do dalszych wyznań.

- Problem Franka polegał na tym, że historyjki o Gusie musiały być prawdopodobne, aby śmieszyć. Tymczasem Gus zbyt rzadko przyjeżdżał do miasta, by dostarczać Frankowi materiału do dowcipów.

- A nie próbowała pani... - zaczęła Bailey.

- ...prośbą, groźbą, łzami skłonić Franka, żeby dał sobie spokój z głupimi żartami? Owszem, próbowałam chyba wszystkich możliwych sposobów. Może gdybym nic nie mówiła, nie doszłoby do tej całej tragedii? Początkowo Frank popisywał się swoimi anegdotami przede mną i Lukiem, ale kiedyja się oburzałam, a Luke wcale się nie śmiał, robił dalej swoje, tylko że po cichu.

W tajemnicy przede mną wykorzystywał także Luke'a do tego procederu. Namawiał go, żeby z ukrycia obserwował Gusa, a o wszystkim, co widział, donosił tatusiowi. Początkowo Luke nie chciał się na to zgodzić, bo sam aż za dobrze wiedział, co to znaczy być wyśmiewanym. Wtedy jednak Frank wpadł w złość, choć prawie nigdy nie gniewał się na własnego syna.

W końcu Luke zgodził się na zbieranie wiadomości o Gusie, ale te, które przynosił, nie satysfakcjonowały Franka, gdyż syn informował go tylko, jak ciężko Gus pracuje i jak dobre uzyskuje wyniki w gospodarstwie. Luke wyraził się nawet, że farma prowadzona przez Gusa przypomina rajski ogród. Doprowadził tym ojca do szału. Frank wściekał się: „Czy naprawdę nie zauważyłeś nic złego? Luke zdenerwował się i odwarknął: „Owszem, widziałem. Najgorsze było to, jak żona nim pomiata. Traktuje go jak psa!”

Luke powiedział to w obronie Gusa, ale Frank tylko się uśmiechnął, bo zyskał nową historyjkę do opowiadania

w mieście. Następnego dnia jego koledzy zrywali boki ze śmiechu, słuchając, jak ten głupi Gus dał się żonie zawojować.

- Co za podłość! - oburzyła się Bailey. - Jak Jimmie mógł to znosić?

- Chyba jednak nie mógł, bo oświadczył ojcu, że nie będzie więcej dla niego szpiegował. W rezultacie Frank nie miał już w zanadrzu anegdotek o Gusie, nie miał więc czym zabawić znajomych z Calburn, którzy znów odwrócili się od niego. Owocowało to coraz częstszymi kłótniami z Vondą.

Którejś nocy Luke nie mógł zmrużyć oka, bo jego ojciec i macocha obrzucali się wyzwiskami. Tym, czego Luke nie znosił najbardziej na świecie, były zawsze kłótnie w rodzinie.

- I to mu zostało - potwierdziła Bailey. - Chętniej skłóciłby się z całym światem niż ze mną.

- Natomiast w Gusie od początku dostrzegł pokrewną duszę - uzupełniła Martha. - Raz uciekł przed kolejną domową awanturą i zasnął pod drzewem, skąd dobrze widać było farmę. Kiedy się obudził, zastał obok siebie Gusa, który przyniósł mu coś do jedzenia i czuwał przy nim. Jeszcze po latach Luke wspominał, że nigdy przedtem nie jadł czegoś tak dobrego, co niezbyt pochlebnie świadczy o mojej kuchni.

- I tak zrodziła się przyjaźń - podsumował Matt.

- Tak, ponieważ obaj byli nieudacznikami, odrzuconymi przez swoje otoczenie. Jednakże o tej przyjaźni nie wiedzieliśmy ani Frank, ani ja. Frank wkrótce potem dostał posadę nocnego stróża, noce więc spędzał poza domem, a we dnie spał. Ja byłam przeciążona obowiązkami domowymi, bo musiałam prać i prasować służbową odzież Vondy i Franka, a w domu nie było pralki. Nie miałam czasu zastanawiać się, gdzie czternastoletni chłopak przepada na całe dnie.

- A on przesiadywał u Gusa? - upewnił się Matt.

- Tak, bo żona Gusa dnie spędzała w pracy, a nocami zabawiała się z Roddym. Wątpię nawet, czy kiedykolwiek widziała Luke'a. - Martha przerwała, by zaczerpnąć powietrza. - Jak zawsze najgorsze zaczęło się przez Vondę.

Frank nie był zadowolony z pracy, bo musiał dojeżdżać do Ridgeway, gdzie nikt nie znał legendy „Złotej Szóstki”, a historyjki o Gusie nikogo tu nie bawiły. Inni pracownicy przezywali Franka Jednorękim Bandytą. Cierpiał piekielne męki, bo nie mógł ani odpierać napaści, ani zrezygnować z pracy. Żona wracała do domu jeszcze później i wiecznie się z nim kłóciła, a im gorsza stawała się atmosfera w domu - tym więcej czasu Luke spędzał z Gusem.

W takim małym miasteczku jak Calburn nic się nie mogło dłużej ukrywać. Raz i drugi dostawcy widzieli Luke'a w towarzystwie Gusa, a od nich dowiedziała się Vonda, która pracowała w restauracji.

Którejś niedzieli Frank po południu wstąpił do tej knajpy z grupą swoich starych kumpli i właśnie zabawiał ich kolejną opowieścią o Gusie, kiedy Vonda z czystej złościwości mu dogryzła: „Prędzej Gus jest ojcem twojego syna niż ty”. Goście restauracji ryknęli śmiechem, ale tym razem - z niego. Frank zrozumiał, że w ostatecznym rachunku Gus wygrał, bo w rewanżu za wystawianie go na pośmiewisko odebrał mu to, co Frank kochał najbardziej: Luke'a, jego syna.

Od tamtej pory Frank znenawidził Gusa Ventersa, bo obarczał go winą za wszystkie swoje niepowodzenia. Któregoś dnia ta nienawiść sięgnęła zenitu.

- To było trzydziestego sierpnia 1968 roku, prawda? - upewnił się Matt.

- Tak, właśnie wtedy. Wieczorem Vonda powiedziała Frankowi, że spodziewa się dziecka. Mnie akurat nie było w domu, bo poszłam odwiedzić znajomą, która zachorowała. Dopiero po latach Luke powtórzył mi wszystko, co zostało wtedy powiedziane. Ta podła kobieta cisnęła mu w twarz coś, o czym nawet ja nie wiedziałam. Przypuszczam, że Frank powiedział o tym chłopakom z tej... - Martha musiała przełknąć ślinę, aby pozbyć się dławiącego ucisku w gardle - ..., „Złotej Szóstki”, a któryś z nich powtórzył to Vondzie.

- Czyj jest ten bachor?! - wydierał się Frank, pijany jak zwykle.

- Prawdziwego mężczyzny, jakim ty nigdy nie byłeś i nie będziesz! - odgryzła się Vonda.

- Rozwiodę się z tobą! - zagroził Frank. - Powiem w sądzie, co z ciebie za ziółko i co z tobą przeszedłem!

- Ty ze mną? - parsknęła śmiechem Vonda. - Ciekawe, co miałbyś do powiedzenia w sądzie. Z czym do gościa, starszku?

W tym momencie podniosła głowę i dostrzegła Luke'a, stojącego cichutko w drzwiach sypialni.

- Znowu podsłuchujesz, ty mały szpiclu? Nie wystarczy ci, że szpiegujesz tego starego durnia Gusa?

- On jest mądrzejszy od ciebie i ma więcej pieniędzy! - odgryzł się Luke.

- Ty do mnie mówisz, smarkaczu? - prychnęła pogardliwie Vonda. - Hej, Frank, czemu nie powiesz temu bękartowi prawdy o jego matce?

- Zamknij się, Vonda! - ostrzegł ją Frank. - Bojak nie, to wiesz, co ci zrobię?

- Ciekawe, co jeszcze mógłbyś mi zrobić ponad to, co już zrobiłeś? - szydziła. - Słyszałeś, mały? Leć i spytaj tatusia o swoją mamuszkę!

- Stul pysk! - huknął Frank i ruszył w jej kierunku, ale potknął się i upadł, bo stopa mu uwięzła między ścianą a piecem węglowym.

Vonda skrzywiła się z niesmakiem, patrząc na zdeformowaną wargę chłopca.

- Frank poznał twoją matkę w barze w Nowym Orleanie - zwróciła się bezpośrednio do niego. - Starał się być dla niej miły, bo miała taką samą wargę jak ty, tylko z grubsza pozszywaną. Mało tego, wyglądała, jakby najdalej za dziesięć minut miała urodzić. No i urodziła - ciebie.

Luke patrzył na swego ojca leżącego na podłodze, a gdy dotarł do niego sens słów kobiety - pobladł, gdyż cios był za silny.

- Luke... - odezwał się do niego Frank. Nie mógł uwolnić stopy, więc tylko wyciągnął do syna rękę, ale chłopiec odsunął się poza ich zasięg.

- Frank McCallum jest twoim ojcem nie bardziej niż ten stary dureń Gus, do którego tak się kleisz - szydziła Vonda. - Zresztą kto wie, może stary Gus jest twoim tatuśkiem? A wiesz, co się potem stało z twoją matką? Nie umarła po urodzeniu ciebie, jak Frank ci wciskał, tylko spojrzała na twoją gębę, dostała ataku hysterii i uciekła!

W małych, ciemnych oczkach Vondy zamigotały złośliwe ogniki.

- Frankowi było cię żal, więc zabrał cię do tej dziury zabitej deskami, żeby nikt nie musiał patrzeć na twoją szkaradną gębę - szydziła dalej, a spoglądając na leżącego na podłodze Franka, dalsze wymysły skierowała do niego: -I widzisz, jak ci odpłacił ten felerny bękart starej dziwki za to, że wzięłaś go sobie na głowę? Woli przestawać z jakimś ciemnym prostakiem aniżeli z tobą!

Bailey zakryła usta ręką, próbując sobie wyobrazić, jak musiał czuć się człowiek tak dumny jak Jimmie, kiedy słuchał takich słów kierowanych pod swoim adresem.

- Po tej awanturze Luke uciekł z domu i nie wracał przez trzy dni - opowiadała dalej Martha. - Zanim wrócił, było już po wszystkim. Gus Venters został powieszony.

- I to w mojej stajni! - dopowiedziała cicho Bailey.

- Skąd, powiesili go na morwie za twoim domem.

Bailey na samo wspomnienie o swoim pięknym drzewie mocno ścisnęła rękę Matta. Jego uwagę zaś przykuło co innego.

- Powiedziała pani: „Powiesili go”. Więc to nie było samobójstwo?

- Nic podobnego, to ci... - Martha nie od razu znalazła właściwe określenie. - Ci z tej „Złotej Szóstki” go powiesili. Wszystkich sześciu. Tego lata zjechali się do naszego miasta,

więc Frank ich zebrał i powiedział im... - Rozejrzała się na wszystkie strony, a głos jej drżał: - Mój syn, Frank, powiedział im, że.... taki dobry, niewinny człowiek jak Gus... że on... zgwałcił Luke'a!

- Niech im Bóg wybaczy - podsumowała Bailey.

- Wróciłam do domu nad ranem - opowiadała dalej Martha. — Zastałam Franka roztrzęsionego. Siedział skulony na podłodze i płakał, a co gorsza - w ręce miał pistolet. Złękłam się, że chce sobie coś zrobić.

Nie rozumiałam, co się stało, więc spytałam go, czy może ktoś zranił albo nawet... zabił Luke'a. Na to Frank jeszcze bardziej się rozpłakał i powtarzał: „Jeszcze gorzej, jeszcze gorzej!”... Wydawało mi się, że nie jest tak źle, jeśli Luke'owi nic się nie stało.

Udało mi się odebrać mu pistolet, a ponieważ widziałam, że jest pijany, poszłam do kuchni zaparzyć kawę. Wiadro było puste, poszłam więc do studni nabrać wody.

Nie uszłam jednak daleko, bo rozległ się strzał. Przypomniałam sobie, że jak ostatnia idiotka zostawiłam tę spluwę na wierzchu. Rzuciłam wiadro i pognałam do domu, bo serce matki mi mówiło, że ktoś strzelał do mojego dziecka!

Martha głęboko zaczerpnęła powietrza, aby móc mówić dalej.

- Mój syn leżał martwy na podłodze, a nad nim, z pistoletem w dłoni, stała Vonda. Widząc mnie, zaczęła tokować: „No, załatwili dzisiaj starego Gusa. Powiesili go na drzewie, ale Roddy radził, żeby upozorowali samobójstwo, przenieśli go więc do stajni”. Popisywała się z takim błyskiem w oku, jakby jej to sprawiało nie wiem jaką przyjemność. Cieszyła się, że zabiła mojego syna!

Potem odłożyła spluwę na stół, przeszła nad ciałem mojego syna, jakby to był worek ze śmieciami, i podniosła z podłogi metalowe pudełko.

Otworzyła je, a w środku było mnóstwo pieniędzy. Vonda wyjaśniła: „Roddy zwinął to, kiedy drugi raz wieszali biednego Gusa. Nieraz przesypiał się z tą starą wiedźmą Hildą

Turnbull, toteż wiedział, że ma schowaną kupę szmalu, i powoli wyciągnął od niej, gdzie go trzyma. Ledwo przyniósł to tutaj, a ten... - z drwiącym uśmieszkiem spojrzała na ciało mojego syna - zabrał mu pudełko i zapowiedział, że oddaje starej Hildzie!"

Ta zdzira patrzyła na mnie z góry i dalej się chwaliła: „Za to teraz mam ten szmal i będę miała dziecko z Roddym, a on czeka na mnie na dworze! Po prostu za pierwszym razem wybrałam ze «Złotej Szóstki» nie tego, co trzeba, ale już wszystko idzie ku dobremu...”

Nie wytrzymałam, chwyciłam pistolet ze stołu i wypaliłam jej między oczy!

## *Epilog*

*Rok później*

Bailey spoglądała spoza gęstego, czarnego welonu na tłum gromadzący się przy grobie Marthy. Matt jej nie towarzyszył, gdyż obawiał się, że zostanie rozpoznany, a wtedy naprowadziłby dziennikarzy na trop Bailey. Wpadła więc na pomysł, aby wmieszać się w grupkę kobiet, które ukrywały się za identycznymi welonami, uszytymi przez Patsy. Przedstawiciele mediów nawet nie próbowali ich zidentyfikować, bo rozglądali się za wdową po Jamesie Manville'u, którą zapamiętali jako znacznie tęższą od kobiet obecnych na pogrzebie Marthy McCallum.

Po policzkach Bailey spływały łzy wdzięczności dla Marthy, która poświęciła się, aby uratować anonimowość Bailey i pozwolić jej zachować szczęście, które znalazła. Uważała bowiem, że była winna Luke'owi przynajmniej tyle za to, że tak wiele lat trzymała go przy sobie. Zrobiła więc wszystko, co należało - oddała sprawę w ręce prawników i przedstawiła posiadane dowody.

Zatrudnieni przez Marthę prywatni detektywi odnaleźli kobietę, która zeznała, że rozmawiała z Dolores następnego dnia po powrocie Alexa do Wirginii. Znalazło się również sześć dziewczyn z Calburn, które zaświadczyły, kiedy i gdzie widziały Alexa Yatesa. Wskutek tego dochodzenie przeciwko niemu zostało umorzono z braku dowodów przestępstwa.



Bailey przegadała z Mattem całą noc. Kiedy się już na coś zdecydowali, zadzwoniła do Marthy i powiadomiła ją o podjętym postanowieniu. Gdyby bowiem ujawniła się w sądzie i dowiodła, że jej ślub z Jamesem Manville'em miał moc prawną - przypuszczalnie mogłaby wejść w posiadanie tego, co zostało z jego miliardów. Jednakże odzyskanie tych pieniędzy kosztowałoby ją utratę prywatności - do końca życia pozostałaby pod ostrzałem mediów.

- Masz może coś przeciwko temu? - podpytywała ostrożnie Matta.

- Przeciwko czemu? Żebyśmy zrezygnowali z tych miliardów? - uśmiechnął się Matt, a w jego oczach zamigotał wesoły błysk. - Nie, nie potrzebuję tych pieniędzy, bo widziałem, co potrafią zrobić z człowiekiem. Zresztą wszystko, czego potrzebuję, mam tutaj.

Spojrzał przy tym na nią, odpowiedziała mu więc uśmiechem, ale jednocześnie nie mogła powstrzymać łez. Dopiero teraz zrozumiała, jak go kocha. Towarzyszył jej mimo przeciwności losu i w najcięższych przejściach służył pomocą. Wspierał ją moralnie i nie próbował powstrzymać od podejmowania działań, które uważała za stosowne.

Bailey trzymała ręce na podołku, obracając na palcu pierścionek zaręczynowy, który Matt jej wczoraj wręczył.

- Czy będziemy mieli huczne wesele? - zadała pytanie, które nawet jej samej wydało się naiwne i dziecinne.

- No pewnie, takiego ślubu Calburn jeszcze nie widziało, ale... - Zawahał się na chwilę.

- Ale co?

- Jeśli nie pozwolisz, żeby Patsy uszyła ci ślubną suknię, będziemy mieli do końca życia przechłapanie.

Bailey ze śmiechem zaakceptowała tę propozycję.

Przez cały następny dzień dyskutowali, jak ustosunkować się do kwestii przejęcia majątku Jimmiego. Czy możliwe jest operowanie miliardami przy równoczesnym zachowaniu anonimowości?

W podjęciu ostatecznej decyzji dopomogła im Arleen. Sa-

ma przez wiele lat pędziła żywot pasożyta, ale -jak podkreślała - był to „dobry pasożyt”. Taki tryb życia miał swoje dobre strony, gdyż dał jej możliwość obserwacji ludzi, bowiem „jeżeli twój obiad zależy od tego, czy potrafiysz dobrze z nimi żyć, musisz nauczyć się lubić to, co oni lubią, i mówić to, co chcieliby usłyszeć”. Zadziwiła więc Bailey, podając jej listę osób, którym James najbardziej ufał.

- Jeżeli potrzebujesz ludzi do zarządzania twoją firmą, ci będą najlepsi - zapewniała, wręczając Bailey spis.

- Tylko nie moja! - wyszeptała Bailey. - Nie chcę mieć żadnej firmy.

To Martha zgodziła się przejąć majątek Jamesa Manville'a. Miała przecież akt urodzenia Franka McCalluma, którego imię figurowało w rubryce „ojciec” aktu urodzenia Luke'a McCalluma. Badania próbek włosów i zgodności DNA wykazały, że Lucas McCallum i James Manville byli jedną i tą samą osobą.

Wszystkich formalności dopełniła Martha. Musiała tego dopilnować sama, choć była już stara i słaba. Znalazła jednak w sobie siły, żeby uporać się z prawnikami, detektywami i prasą. Nie mógł udzielić jej pomocy nikt z otoczenia Bailey - w obawie przed jej dekonspiracją. Marcie asystowała więc tylko zaprzyjaźniona z nią pensjonariuszka domu opieki, a dwie pielęgniarki czuwały nad jej stanem zdrowia.

Podczas szeroko nagłośnionego procesu Atlanty i Raya Matt zdążył oblecieć całe Stany, aby nawiązać kontakty z biznesmenami wymienionymi w spisie Arleen. Postępowanie w sądzie ciągnęło się trzy miesiące - wystarczająco długo, by zanim zapadło orzeczenie o winie, Matt zmontował skład zarządu powierniczego nad przedsiębiorstwami, które kiedyś należały do Jamesa Manville'a.

Matt, Bailey i członkowie zarządu pracowali dniami i nocami, aby stworzyć perspektywiczny plan, zgodnie z którym w ciągu dziesięciu lat poszczególne przedsiębiorstwa miały uzyskać samodzielność. Po upływie tego dziesięciolecia mogły być albo sprzedane, wpływy zaś rozdzielone między pra-

owników, albo działać dalej jako spółki akcyjne. Plan zakładał, że po dziesięciu latach imperium Jamesa Manville'a przestanie istnieć.

Tymczasem wraz z kolejnymi rozprawami w sądach Martha starzała się w oczach i podupadała na zdrowiu w zastraszającym tempie. Wyglądało to, jakby postanowiła zachowywać formę tylko do czasu wykonania swego zadania, a potem chciała już tylko spocząć na zawsze.

Po skazaniu Atlanty i Raya na kary dożywotniego więzienia - w kuluarach sądu dwie pielęgniarki pomogły Marcie usiąść w wyściełanym fotelu. Choć ręce jej drżały, odczytała oświadczenie dotyczące planów zagospodarowania majątku Jamesa Manville'a.

Pracownicy zgromadzeni na zewnątrz budynku sądu gromkim aplauzem przyjęli decyzję, dzięki której zachowali swoje miejsca pracy. Natomiast dziennikarze byli rozczarowani, spodziewali się bowiem, że Martha przekaze cały spadek w ręce jednej osoby. Wyczyny spadkobierców stanowiły zawsze dobry materiał dla prasy.

- A co będzie z Lillian Manville?! - krzyknął ktoś z tłumu, gdy Martha zakończyła odczytywanie postanowienia.

- Już jej się krzywda nie stanie! - odpowiedziała z uśmiechem Martha, ale zanim ktokolwiek zdążył zadać jeszcze jakieś pytanie - chwyciła się za głowę i opadła na oparcie fotela, jakby zemdłała. Od razu zajęły się nią pielęgniarki, a z bocznego skrzydła budynku przybiegł lekarz. Zbadał ją i wyprosił obecnych, stwierdzając, że pani McCallum miała już za wiele silnych przeżyć.

- Dobrze, ale co z wdową po Manville'u? - nie ustawał dociekliwy głos z tłumu. Lekarz nie zmienił jednak zdania, kazał ułożyć Marthę na noszach i wynieść z gmachu sądu.

Przez trzy dni przedstawiciele mediów koczowali pod szpitalem, w którym znalazła się Martha McCallum. Rokowania w jej przypadku były pomyślne, lekarze jednak nie wzięli pod uwagę okoliczności, że Martha po prostu nie chciała wyzdrowieć. Miała już dość życia, pragnęła tylko po-

łączyć się z synem i wnukiem. Nad ranem czwartego dnia zmarła, a pielęgniarki przysięgały, że na jej twarzy zastygł uśmiech.

Bailey rozplakała się na wieść o śmierci Marthy i nie mogła się uspokoić aż do dnia pogrzebu.

- Pomyśleć, że nawet nie będę mogła oddać jej ostatniej posługi! - łkała. - Przez tyle lat mogliśmy lepiej się poznać, ale James do tego nie dopuszczał.

Arleen ze zdziwienia uniosła brwi - po raz pierwszy Bailey powiedziała o zmarłym mężu „James”, a nie „Jimmie”. Matt przyjął tę zmianę z ulgą, gdyż oznaczała, że dopiero teraz Bailey potrafiła spojrzeć na swojego zmarłego męża z odpowiednim dystansem. Dostrzegła w nim nie idola, lecz zwykłego człowieka - z jego zaletami i wadami. Dawną miłość zastąpiło wspomnienie.

Matt troskliwie objął Bailey ramieniem i szepnął jej we włosy:

- Czekaj, zaraz coś wymyślimy.

Nie minęło dziesięć minut, a już oboje z Patsy wpadli na pomysł, żeby wszystkie kobiety zatrudnione w firmie „Drzewo Morwy” zjawiły się na pogrzebie osłonięte identycznymi czarnymi welonami.

Dzięki temu Bailey mogła teraz złożyć na trumnie Marthy trzy białe róże: jedną dla niej, drugą dla Franka, a trzecią dla Jamesa - chłopca, którego „urodziny” przypadły na ten feralny dzień sierpniowy.

Arleen położyła jej rękę na ramieniu.

- Chodźmy do domu! - wyszeptała przez welon.

- Tak, chodźmy już do domu - zgodziła się Bailey.